Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018614495

II 2.015.799

22830

Z DZIEJÓW
I LITERATURY

POMNIEJSZE PISMA

ANTONIEGO MAŁECKIEGO

22830

1896

KSIĘGARNIA HERMANA ALTENBERGA
WE LWOWIE

KSIĘGARNIA K. GRENDYSZYŃSKIEGO
W PETERSBURGU

105
337

Z DZIEJÓW I LITERATURY

22830

Z DZIEJÓW LITERATURY

Z DZIEJÓW
I LITERATURY

POMNIEJSZE PISMA

ANTONIEGO MAŁECKIEGO

II 22830

1896

KSIĘGARNIA HERMANA ALTENBERGA
WE LWOWIE

KSIĘGARNIA K. GRENDYSZYŃSKIEGO
W PETERSBURGU

BIBLIOTEKA NARODOWA
II 2.015.799

Z DRUKARNI ZAKŁADU IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.

PRZEDMOWA.

Nie miałem nigdy wielkiego pociągu do podejmowania robót dla pism peryodycznych. Przy zajęciach obowiązkowych, które z przyczyn niezawisłych odemnie, w pierwszej zwłaszcza połowie życia mego, nieraz — nie tylko pod względem języka wykładowego, ale i co do samego przedmiotu zmieniać się musiały, brakło do tego i czasu. Ostatecznie uzbierała się jednak pewna ilość takich rzeczy pomniejszych, rozproszona po różnych publikacyach zbiorowych, które już dziś w pewnej części do rzadkości bibliotecznych należą. Są między niemi płody młodocianego umysłu, o których wspominać niewarto; są artykuły przygodne, także już dziś bez znaczenia; mała tylko ilość takich, które podejmowały pytania czasu swego niewyjaśnione, a dla postępu nauki niezupełnie obojętne. Z tych ostatnich, ulegając pobudce, która nie odemnie wyszła, wybrałem kilka dawniejszych, nie przechodzących poza kres roku 1886, i zamieszczam je w zbiorku niniejszym. Może się kiedy zdarzy sposobność wydania i reszty rzeczy tegoż rodzaju.

Dość wczesne dwie rozprawy, bo 50 lat temu pisane, o Krasińskim i jego najznaczniejszej kreacyi, zawierają w sobie miejsca, którychbym dziś nie podpisał bez zastrzeżeń. Trącą studyami Berlińskiemi, którem wtedy co

tylko był ukończył, i w ogólności noszą wybitne znamiona tamtego czasu. Pomimo tego jednak, jako uprzytomniające punkt wyjścia, weszły w ten poczet z uwagi, że »et haec meminisse juvabit«. Z pomiędzy innych robót dwie tylko, »o biskupstwach« i »o klasztorach«, podległy teraz przerobieniu i to od początku do końca. W owym czasie, kiedym je po raz pierwszy redagował, nie mieliśmy jeszcze źródeł dziejowych pod ręką, których taka obfitość w dalszych latach przybyła. Te należało zużytkować, wiele dodać, a i sprostować niejedno. Wymagała też odpowiedzi i uwzględnienia różnica zdania tych autorów, którzy po mnie podejmowali ten przedmiot. Ta przeróbka w nieuniknionem następstwie pociągnęła za sobą pewną niewymierność w układzie, którą czytelnik raczy wybaczyć przez wzgląd na powód, dla którego nie mogło być inaczej.

Lwów, dnia 15 października 1895.

SPIS RZECZY.

	Strona
Przedmowa	V
O stanowisku i dziełach Autora Irydyona	1
Irydyon	10
Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy	48
Andrzej Frycz Modrzewski	110
Jana Kochanowskiego młodość	164
Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza	190
Biskupstwa w pierwotnej Polsce	203
W szczególności o bisk. Kruszwickiem	219
W szczególności o bisk. Lubuskiem	249
W szczególności o bisk. Płockiem	270
W szczególności o bisk. Wolińskiem	273
Klasztory w Polsce w obrębie wieków średnich	276
Benedyktyni	282
Kanonicy regularni Laterańscy	292
Cystersi	297
Premonstratensi czyli Norbertanie	307
Zakony rycerskie i krzyżowe	323
Miechowici	329
Johannici	332
Templaryusze	338
Krzyżacy	347
Zakony żebracze	349
Dominikanie	351
Franciszkanie	356
Markowie	361
Augustyanie	362
Paulini	364
Karmelici	365
Bernardyni	367
Konkluzya co do wszystkich	369

SPIS RZECZY.

	Strona
Przedmowa	V
O stanowisku i dziełach Autora Irydyona	1
Irydyon	10
Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy	48
Andrzej Frycz Modrzewski	110
Jana Kochanowskiego młodość	164
Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza	190
Biskupstwa w pierwotnej Polsce	203
W szczególności o bisk. Kruszwickiem	219
W szczególności o bisk. Lubuskiem	249
W szczególności o bisk. Płockiem	270
W szczególności o bisk. Wolińskiem	273
Klasztory w Polsce w obrębie wieków średnich	276
Benedyktyni	282
Kanonicy regularni Lateraneńscy	292
Cysterci	297
Premonstratensi czyli Norbertanie	307
Zakony rycerskie i krzyżowe	323
Miechowici	329
Johannici	332
Templaryusze	338
Krzyżacy	347
Zakony żebracze	349
Dominikanie	351
Franciszkanie	356
Markowie	361
Augustyanie	362
Paulini	364
Karmelici	365
Bernardyni	367
Konkluzya co do wszystkich	369

O STANOWISKU I DZIEŁACH AUTORA IRYDYONA*.

Poznano i uznano już dostatecznie jaki zachodzi stosunek między literaturą a biegiem wypadków politycznych, między prowadzicielami myśli narodowej, a wykonawcami czynów narodowych, innem słowem między pisarzami a narodem, do którego należą i dla którego piszą. Pojęto, że dzieła literackie tak dobrze są czynami historycznymi, jak wszelkie inne ślady rozwijającego się ducha narodowego, choć może nie są na tak rzeczywistej podstawie wyciśnięte, jak wypadki polityczne; pojęto i to, co w ścisłem następstwie stąd wynika, że i literackie sprawy taksamo ku chlubie i hańbie być mogą narodowi, jak czyny indywiduów przewodniczących w jego historyi. Dlatego też pisarzów naszych w czasach ostatnich stawiono pod ścisłą a surową strażą uwagi publicznej, baczącej pilnie, aby pisarz z drogi właściwej, jaką mu potrzeba narodowa wskazuje, nie zbaczał, i z utajonym w sercach wszystkich rodaków głosem harmonii nie zrywał. Co choć słuszna i konieczna: boję się jednakże, aby i w tym względzie nie przebrano miary, abyśmy się nie stali podobnymi owym Grekom i Rzymianom, którzy ludziom narodowi najzasłużeńszym cnotę niewdzięcznością częstokroć wypłacali, zacnych i szlachetnych na więzienie, kary pieniężne, wygnanie lub truciznę wskazując. Słyszeliśmy bowiem zewsząd głosy, a czytaliśmy nawet gdzieniegdzie zdania — potwarzające, a to jeszcze z uporem i dziwną a zaślepioną zajadłością, takich ludzi,

* Artykuł ten, stanowiący początek dłuższej zamierzonej pracy, był pisany pod koniec 1845 roku, a drukowany w czasopiśmie poznańskiem »Rok 1846«, wydawanem przez Libelta i Moraczewskiego — w zeszycie lutowym. Z powodu, że to pismo już w kwietniu r. 1846 zostało przytłumione, autor po napisaniu rozbioru Irydyona zaniechał dalszej pracy o Krasińskim.

którym jak już Cybulski broniąc Mickiewicza powiedział, potomność posągi stawiać będzie. Póki ich mamy między sobą, wyższości ich ponad mierność naszą ścierpieć nie możemy; otworzą się dopiero oczy, gdy rzucić przyjdzie na trumnę ich ostatnią garść ziemi: ale wtedy będzie zapóźno.

W tej tedy w źródle swojem niezawodnie szlachetnej, choć u niektórych przewrotnej troskliwości sformułowano i po tysiąc razy powtórzono powinności pisarza ogłaszającego wszem wobec dzieła swoje, a więc roszczącego prawo do przodowania narodowości; tych powinności my tu raz jeszcze wspominać nie będziemy. Są one tak już znane, że je i taki już umie na pamięć, który niezdolen dzieła głębszego zrozumieć, albo choćby tylko w całkowitości przeczytać. A jest takich między nami wielka liczba, a najwięcej między tymi, którzy najgłośniej krzyczą. Ja to tu tylko jeszcze dołożę, że kiedy wkładamy na pisarzów obowiązek względem nas, włóżmyż go też i na siebie względem nich: a to takie zobopólne zobowiązanie się, taka, że tak powiem, naturalna i przyrodzona umowa będzie pewnie stosunkiem naszym najpraktyczniejszym i odpowie wymaganiom i literackim i narodowym w sposób najwłaściwszy, a co większa i najprostszy. To jest: żądajmy od pisarza, aby się porachował z czasem i duchem narodu, aby się zapytał samego siebie, czy rozumie lud swój i przeszłość tego ludu, i przyszłość nieochybną; czy ma dość wiary, dość nadziei w to, czego bracia jego czekają, i czy ma tyle miłości, aby się mógł przez nią zagrzać tym świętym ogniem, w którym płynie siła przekonania do serc w duchu upadłych, nieszczęściem zwątlonych; żądajmy od niego dalej, aby się poznał, czy stoi ponad stronniczemi dążnościami namiętności, które zamiast myśleć nad tem, co się ma działać, nie mogą zapomnieć, że to lub owo źle się działo, i straszą tym znikomym upiorem przeszłości, ludzi w przyszłość patrzących, a zamiast pomagać, przeszkadzają i mącą czystą siłę woli... Tego wszystkiego i więcej jeszcze żądajmy od pisarzów naszych: ale pozwólmy zarazem i pisarzom, aby oni znowu od narodu żądali, aby on to co oni powiedzą, rozumiał. A wielkie to jest słowo rozumieć! Naród, który wewnętrzną duszę istnienia swego — a czemże innem jest literatura? — rozumie, naród taki odkrył już i ma w mocy swojej to wielkie zaklęcie, które zmieni postać ziemi i wszystko, co na niej jest; naród taki już do połowy spełnił przeznaczenie swoje w świecie.

Temu żądaniu my i naród nasz w powszechności dotąd nie uczyniliśmy zadość. Dały nam losy wielkich poetów; ale głos ich niknie wpośród wrzasku codziennych, znikomych pismaków; i powstał chaos zdań, wyobrażeń i celów; i tak miotani różnorodnym prądem, taczamy się, jak nietrzeźwi, bez węzła wspólnego, któryby nasze myśli w jedno wiązał i ku jednemu prowadził. Owoż żal bierze patrzeć na dzisiejszą literaturę naszą, bo oto przed oczami naszemi idzie w poniewierkę, a ludzie jej oddani za całą wdzięczność od narodu odbierają lekceważenie i bodajby nie minęli niepoznani, zapomnieni, całem życiem nie dokonawszy niczego!

Ależ to przynajmniej w tem nas pocieszać powinno, że cały ten zgiełk rozdźwięczny w dobrej wierze się wznosi, i płynie z źródła uczciwego i czystego. Nieprawość nie skaziła dotąd literatury naszej i stąd to Mickiewicz otwierając kurs swój trzecioletni, pamiętne słowo o niej wyrzekł, że pomiędzy literaturami dzisiejszemi ona jedna jest poważną, poważną przez ducha, z którego pochodzi i dla celu, do którego ciągle dąży. Starać się tylko jeszcze o to powinniśmy, aby w tej biedzie naszej i nędzy politycznej, w niedostatku stąd pochodzącym pisarzów i dzieł prawdziwie wielkich, każde słowo prawdziwie poważne było dla narodu naszego czynem i wywierało te skutki, jakie gdzieindziej, w szczęśliwszych stronach i pod pomyślniejszem niebem politycznem, wywierają czyny rzeczywiste, jak n. p. prawa, ustawy i t. p. Baczmy więc, aby słowo takowe nie uleciało mimo uszu naszych, jak dźwięk nikły i nie zginęło w falach czasu; starajmy się je pochwycić, wstrzymać, zrozumieć; rozumiejąc je, już go nie stracim, lecz ustalim, uwiecznim; a tym sposobem przejdzie ono w krew i soki powszechne. Ziarno nie padnie na opokę, ale na ziemię żyzną i przyjmie się, i wyda owoce.

Te i podobne uwagi pobudziły mnie do obecnego zamiaru, wspomnieć i ile sił starczy dopomóc do zrozumienia dzieł bezimiennego pisarza, którego autorem Irydyona w braku innego nazwiska nazywamy. Dzieła te wielce ważne — najważniejsze może z ostatnich faktów literatury naszej — tem bardziej na gruntowny rozbiór zasługują, że mało są dotąd rozpowszechnione, mało czytane, wielom nawet nieznane, niewiem, przez jaki zbieg okoliczności, ale za fakt ręczę.

Znane mi są trudności i niebezpieczeństwo mego przedsięwzięcia. Żyjącego jeszcze autora dzieła tłómaczyć, jest to wystawić

się przed widokiem publicznym na oczywistą możność skompromitowania się, gdyż każde nowe słowo autora cały wykład poprzednich obalić może; jeżeli zaś nie to, to już choć w oczach tylko autora być poczytanym za nierozumiejącego, jest rzeczą upokarzającą, i nie jednegoby może od podobnego zamiaru odstraszyło. Ależ precz z miłością własną, gdzie chodzi o powszechny pożytek. Nie przypisuję ja sobie, żeby ta praca moja była bez pomyłek: ale tuszę sobie, że i bez pożytku nie będzie. Toć i rozprawy po pismach czasowych (w Tygodniku n. p., które w swoim czasie wspomnę) o tejże traktujące rzeczy w niejednym pewnie względzie się pomyliły. Któż dlatego jednak zaprzeczy wielkiej ich ważności? Pracę tę moją wreszcie niosę w hołdzie dla autora: niech mu będzie dowodem, że choć może nie rozumiemy jeszcze dzieł jego, czytamy je, porównywamy, zgłębiamy.

Co się tyczy sposobu i porządku, jakim przechodzić będziemy dzieła wymienione, ten tak urządzimy, że najprzód pojedynczo jeden utwór po drugim będziemy rozważali, jak czasowo po sobie wydawane były: potem znając już w treści zasady i przekonania autora, starać się będziemy w całości i jakby obrazie i systemie rozwinąć żywą myśl poety tak w dziedzinie religijnej, jak politycznej i tym sposobem zakreślić zaokrąglony zarys jego filozofii. Dzielimy więc pismo nasze na dwie części, szczegółową i ogólną; nim jednak do pierwszej przystąpimy, oznaczyć wprzód wypada ogólne stanowisko autora w literaturze naszej, oraz rzucić parę wstępnych uwag o duchu pism jego.

Doraźną cechą stanowiska jego jest to, że nie należy do żadnej z wojujących dziś partyi. Stanowisko takie, odkryte zewsząd napaściom, jest niebezpieczne dla autora i całkiem niepopularne; aby je zajmować, potrzeba odwagi, i wielkiej pewności siebie. Nienależenie do żadnej partyi powszechnie uważa się za wadę i zarzut — zapytać nam się przeto należy, czy tak jest. Zdaniem naszem może to być cechą obojętności na rzeczy najważniejsze, albo apatyi umysłowej pod wszelkim względem, albo egoizmu najuporniejszego, lub wreszcie zupełnego braku charakteru. Takto też pewnie prawodawca ów starożytny pojmował, gdy obywateli obojętnych z państwa wyganiał. Lecz może ono także i ze szlachetnych pochodzić pobudek. Są niezawodnie ludzie, którzy rozumieją i szanują przekonania stronnicze, wszystkie razem ujęte nawet za swoje wyznanie mają, ale właśnie dlatego do żadnego już szczegółowo

należeć nie mogą, bo je już przeszli i wyszli poza ich obręb — i takim jest nasz autor. W tym razie nienależenie do żadnej partyi będzie cechą ducha wyrobionego i wyprzedzającego czas swój.

Wielka liczba ludzi wprawdzie szydzi ze stanowisk takich i pojąć nie może, jak n. p. można nie być ani religijnym bigotem, ani wyemancypowanym libertynem, a jednak być człowiekiem myślącym, dobrej wiary i godnym szacunku; albo jak można nie być ani demokratą, ani arystokratą, a jednak jeszcze być czemś pod względem nawet politycznym niekoniecznie niedołężnem i mieć charakter bez skazy. Pojąć zaś tego nie mogą ci ludzie stąd, że nie wiedzą, co to jest prawdziwy postęp w przekonaniach i wyznaniu; że się sami ponad partye nie wynieśli, ale albo zaciekle w nich siedzą, albo też to do tej, to do owej przechodzą i kręcą się między niemi, jak ów nietoperz w bajce, co raz uchodził za mysz, raz za ptaka. Stądto mało kto przewiduje trzeci obóz, istotną prawdę; a kto do tej prawdy wyższej zdołał się wznieść, ten zwyczajnie od różnych różnie pojmowany, każdej partyi za nieprzyjaciela uchodzi. Teżsame okoliczności sprawiły, że i autor Irydyona u demokratów uchodzi za arystokratę — czemu? bo z niepięknej strony odsłonił zamysły Pankracego i jego zastępów; u arystokratów przeciwnie za demokratę okrzyczany — a czemu? bo wystawił w temże dziele w przerażającem świetle wszystkie te stare, dziś przedawnione uczucia, które władały dawnymi czasy feudalizmem, później arystokracyą. Jeżeli zechcemy pójść dalej, obaczymy, że ortodoksi z niechęcią o nim wspominają, »bo to zasady nienarodowe, niekatolickie, bo to filozofia«. Filozofowie z swej strony zarzucają mu znowu zbytnią fantazyę i uczuciowość, »która pochodzi z przesadzonego religijnego kierunku(!) i nie cierpi tej wolności, która wszelkiego myślenia swobodnego a samodzielnego jest niezbędnym warunkiem«. Inni znowu do Towiańszczyzny go liczą! Owoż chaos wyobrażeń, zgiełk sądów różnych, sprzecznych o człowieku tymsamym.

Każda partya odsyła go drugiej, sobie przeciwnej, każda go się wypiera; podczas gdy on do nich wszystkich w połączeniu przyznać się może, oczyściwszy naturalnie każdą z tej pleśni, przez którą wyrzuca się na wierzch nurtująca w wnętrzu ich nienawiść. Autor nasz wyrzekł się nienawiści pierwiastków jednych, dla miłości pierwiastków innych: i tem je-

dnem już je z sobą złączył, by mu wszystkie służyły, by go wyniosły tam, dokąd żaden pojedynczo nie doprowadzi.

W tem jasnem spojrzeniu na całą prawdę, a nie na niektóre tylko strony prawdy, która jest jedna tylko, choć ma jakoby po bokach swoich sprzeczności rozliczne — w tem ujęciu wszystkich władz umysłu ludzkiego w jednę siłę, czy ją tam nazwiemy fantazyą twórczą, czy intuicyą, czy duchem, w tej mówię zupełnej i całkowitej wszystkiego ducha pracy, ukryta leży tajemnica wysokości stanowiska autora naszego, którem się od innych naszych poetów różni, i którem ich prześciga. I Mickiewicz nawet, ów książę poetów polskich, toczy nieustanną walkę przeciw rozumowi i filozofii, której nie może i nigdy nie mógł strawić, choć mu nic nie zawiniła, choć owszem wielce byćby mu mogła pomocną. Mickiewicz też dlatego jest tylko wielkim poetą; a gdy zaprowadzić chciał zmiany w sferze rzeczywistszej niż poezya, w wyobrażeniach religijnych, w wyobrażeniach narodowych: Mickiewiczowi choć miał prawdę za sobą, zabrakło siły przekonania ludzi, co się kierują rozumem — zwyciężył serca sercem, rozumów podbić sercem nie zdołał. I tak grzech jego pierworodny, to stanowisko bezpośrednie, ta walka uczucia z rozumem, ten wstręt do wszelkiej pracy trzeźwo-intellektualnej wogóle, wywarł swoje skutki, i roztłukł całe dzieło wielkiego skądinąd człowieka. Inni poeci, jak pod względem poetycznego geniuszu nie wyrównali Mickiewiczowi, tak i w tem niżsi od niego, że jeszcze bardziej na pewnym wyłącznym kierunku utwory swoje ograniczyli. Zostali piewcami pewnej prowincyi, pewnej szkoły, pewnej dążności (Zaleski, Goszczyński, Słowacki); nawet uczucia narodowego nie wylewają tak wezbranym, tak pełnym strumieniem, jak Mickiewicz — nawet przeszłości narodu nie pojęli tak żywo, tak wszechstronnie, jak on, który w tym względzie jest mistrzem — cóż dopiero, żeby mieli przewidywać ludzkości całej przyszłość, lub o niepożyczanej znikąd sile, odważyć się w strony jeszcze wyższe niż ludzkość i planeta, w strony niewielu śmiertelnym dostępne, nad których odsłoną pracuje od wieków filozofia, a które i nasz autor odsłania. Jeżeli słusznie Mickiewicza liczą do rzędu poetów europejskich, dlatego że tak uczucia polskie potrafił wyśpiewać, iż je każdy naród rozumieć i pojąć może, że tak starą naszą Polskę wystawił, iż ją każdy naród ukochać może, a jeżeli ma serce, ukochać musi: — autor Irydyona tem słuszniej ludzkości całej poetą nazwany być powinien, bo

rzeczywiście wszystkich dzieł jego bohaterką jest cała ludzkość, a sceną cały świat. A choć Polska jest tą ziemią, ku której wszystkie jego pomysły zbiegają: jest to jednak godna uwagi, że nie dlatego tylko ją kocha i nieustannie ludziom i Bogu przypomina, że jest synem tej ziemi, ale że ją widzi ludzkości potrzebną, że ją widzi warunkiem szczęścia przyszłości, że ją pojmuje ogniwem tego łańcucha, który po świat cały, po czasy wszystkie wyciągnięty; że ją słyszy, jak sam się wyraża, dźwięcznym tonem w akordzie wszechświata. Taka pieśń właściwie nie jest już pieśnią tylko, ale »uderzeniem w czynów stal«, przepowiednią wydarzeń, taka pieśń jest epoką w historyi naszej, rozpoczynającą nowe poznanie się narodu, nową ufność w siebie, i nie pozostanie bez skutku.

Widzę przeto w autorze Irydyona prawego i dalej poezyę prowadzącego następcę Mickiewicza. Na czem Mickiewicz zakończył, od tego ten zaczyna. Pod ręką Mickiewicza poezya dosięgła zenitu i skoncentrowała w sobie wszystko, co naród czuł. W tych niewielu słowach chciałem zamknąć nieśmiertelną wielkość, do jakiej poeta jako poeta wynieść się może. Autor Irydyona poezyę prowadzi dalej, prowadzi ją w strony już filozofii i nie tylko poetą jest, ale i filozofem. Jest znamienną postacią w literaturze naszej; od niego przyszła historya filozofii polskiej wątek dziejów swoich rozpocznie: jego dzieła są przejściem poetycznego ducha narodu naszego do filozofii; następca dalszy autora naszego już będzie musiał być filozofem, opowiadaczem prawdy jasnej, wyraźnej, a tak do przekonania narodowego trafiającej, jak pieśni Mickiewicza i następcy jego do serc polskich trafiają.

W tem pojmowaniu mojem autora naszego zawarte jest zarazem usprawiedliwienie formy i całego toku dzieł jego. Niezawodnie, że dzieła te są ciemne, do zrozumienia trudne i fantastyczne. Gdyby takiemi nie były, nie potrzebowałyby też i wytłómaczenia żadnego. Ale uważmy, że to po pierwszy raz w literaturze naszej napotykamy na treść filozoficzną w szaty poezyi przybraną, że naród nasz do tego czasu pojmował się tylko w zwykłej poezyi. (Prace filozoficzne dość liczne, po pismach czasowych i książkach rozprószone, raczej są reminiscencyami badań z lat młodzieńczych pod wpływem mistrzów cudzoziemskich, z uniwersytetów obcych przyniesionemi, niż samodzielnym głosem, filozofię swojską zwiastującym). Filozofia jest dzieckiem poezyi i nosić musi na sobie rysy matki swojej, w pierwszych latach wyraźne, które z rosnącą siłą

potem coraz bardziej się zacierają i ustępują miejsca rysom samodzielnym i właściwym. Początki filozofii greckiej, cała szkoła jońska, złożone zostały w formach poetyckich, wierszem. Platon nawet, samodzielny już filozof, pisał dyalogi, które więcej artystycznymi utworami, niż umiejętnymi traktatami nazwane być mogą. Stąd więc i dzieła autora naszego więcej są poetyckie, niż umiejętne, więcej w nich głębokości teozoficznej niż filozoficznej jasności. Nie mają jeszcze tego ładu, tej przezroczystości umiejętnej, która jest zaletą filozofii. Ogólna jednak treść, ogólne spojrzenie poety tego na świat i sprawy jego i na to, co nad światem istnie, jest szczero filozoficzne. Metoda pomimo cały nadmiar obrazów, w których jej dopatrywać należy, jest w sposobie nowym; zdaje się nawet być wynikiem metody dziś w szkołach filozoficznych w Niemczech panującej dyalektycznej, tylko że więcej w niej genezy, tego naturalnego pochodu od tworu do tworu, od sfery do sfery, niż w systemie heglowskim.

Tak bacząc na czas i położenie dzieł tych w literaturze naszej, wyrozumiemy, że nie można wymagać po nich, aby były insze. Ostatni to moment, gdzie filozofia zlana jest jeszcze z poezyą: idą oto razem i staną wkrótce na drodze rozstajnej, by potem iść osobno, o swojej sile i swoim poruczyć się gwiazdom. Jest to chwila ważna w literaturze naszej, to ostatnie ich pożegnanie. Wpadła mi w ręce w tych dniach recenzya niemiecka z powodu tłómaczenia Irydyona na język niemiecki, gdzie zarzucają autorowi dzieła tego, że nie ożywił dostatecznie figur dramatu tego życiem indywidualnem, lecz raczej pozostawił je jako personifikacye idei i potęg historyą rządzących. Niezawodnie, że niema w utworach tych tego ruchu, tego życia, jakie Szekspir roztaczał: ależ też to nie ludzie tu występują, tylko raczej kolosalne potęgi etyczne, lub całe grona wyznań i mniemań, w jednej skupione figurze, ścierają się i walczą, jak towarzystwa całe w rzeczywistości. Pod tym względem autor wiele ma podobieństwa do Eschila; i tam bogowie walczą i podlegają tragicznej katastrofie: któżby jednak Eschila winił za Prometeusza trylogię? Ruchliwe i życiem indywidualnem przepełnione postaci może się więcej podobać mogą; ile nam samym podobne, tyle też żywiej zajmują i przejmują uczucia nasze: ale istną jest niedorzecznością taki kolos myśli, jakim jest Irydyon, chcieć widzieć kręcący się w ramkach pięcioaktowej sztuki, na wzór i podobieństwo drobnego naszego potocznego życia. Goethe, ten biegły znawca wszystkich sposobów estetycznego tworzenia,

który jasną przezroczystość klasycznych utworów greckich nadewszystko przenosił i studyom starożytnym tyle zawdzięcza; Goethe nawet, gdy zstąpić chciał do głębszych pomysłów i odkryć utajone w wirze życia ludzkiego sprężyny — nie mógł innych kształtów na to wynaleść, jak allegoryę — mówię o drugiej części Fausta, nad którym on przez całe życie pracował i dopiero w 83cim i ostatnim roku życia tego swego nieśmiertelnego dzieła dokonał. Głębokie prawdy złożył starzec ten w ostatniem tem swem dziele: forma jednak mało komu przystępna, na wszystkie czasy powinnaby być nauką, że niepodobno tego, co właściwie filozofii przynależy, wcielić w powabne formy artystyczne i wszelką z nich fantastyczność wygładzić. Utwory autora naszego o wiele przecież jaśniejsze, zrozumialsze, dziedzinie poezyi właściwsze; snać, że je poeta w wyraźniejszych barwach ujrzał, niż twórca Fausta.

Tak oznaczywszy stanowisko autora Przedświtu, mamże wspomnieć jeszcze nakoniec o owych tam mniemaniach, które poglądy jego przysądzają wpływom Towiańszczyzny? Gdyby nawet mniemania jego niektóre podobne były do dogmatów Towiańskiego, nie dowodziłoby to niczego. Każde z dzieł naszego pisarza głębsze jest, niż cała gadanina tej obłąkanej szkoły. Porównajmy je tylko z Biesiadą! Pewnie Ligęza ani Przedświt nie wywleczony jest z »pochew«, ani oparty na ciemnych tej Biesiady »kolumnach«! Czas sam wreszcie tego dowodzi. Przedmowa do Komedyi Nieboskiej, gdzie najwięcej może wskazaćby można tego podobieństwa, pisana jest, kiedy o Towiańskim jeszcze nikt nic nie wiedział.

Równie niczego nie dowodzi zdanie, jakoby autor ten świat Schellinga, ubrany w poetyczne formy, pomiędzy nami roztaczał. Może Schellingowi winien niejeden pomysł... ale jestże to naśladownictwem? Niech mi kto pokaże poetę, któryby nie był tysiącem włókien powiązany z czasem swoim i jego przekonaniami! Cóż dopiero, że autora naszego celem, do którego zmierza wszędzie i zawsze, jest Polska. Tego pewnie od Schellinga nie przejął, który wszystkiem jest więcej, niż historyozofem. Zresztą pozwólmy na chwilę, że na tle schellingowskiej doktryny pomysły swoje zakreśla (czemu ja przeczę): czyżby to uwłaczało wartości jego poetyckich utworów? Uwierzę temu, jeśli przyznacie, że Dante nie jest wielkim poetą dlatego, że oparł dzieło swoje na życiu i dogmatach, których nie stworzył, nie wynalazł, ale zastał, przyjął i zużytkował.

IRYDYON*.

Kreacya ta, w r. 1836 wydana, stanowi dzieło tego poety, o ile wiedzieć możemy, z kolei trzecie, a po niem nastąpił cały szereg dalszych utworów. Stąd też nie należy upatrywać w niej ostatecznego wyrazu przekonań autora, ponieważ w pracach dalszych pod niejednym względem wyszedł poza stanowisko zajmowane w tej publikacyi. Spostrzeżenie to niema znaczenia zarzutu. Przeciwnie. Każdy pisarz, oryginalny i głębszy, powolnie i stopniowo się wznosi ku wyżynom, odpowiednim rzeczywistym właściwościom ducha i uzdolnienia swojego. Pod względem artystycznych zalet, formy poetyckiej, potęgi słowa, zajął poeta nasz już w dziele ogłoszonem rokiem pierwej przed Irydyonem miejsce, ponad które i niniejszy jego dramat nie sięga. Lecz w pismach tego poety forma, jakkolwiek tak niezwykła a niezrównana, mniej znaczy, niżeli myśli, wierzenia, słowem treść w nią przyobleczona. I pod tymto względem są różnice, są stopnie coraz wyższe zapatrywań i nastroju jego kreacyi.

Jeżelibym miał je oznaczyć, jeżelibym miał wskazać stadya, jakie autor Irydyona przechodził w swym literackim zawodzie, tobym wskazał na zwątpienie, jako na punkt wyjścia. Wszakże on sam mówi w tensam sposób o przesileniach swych wierzeń.

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: Tu niema nadziei. —
Ach żyłem, żyłem w tej przepaści długo...

* Było to pisane roku 1846, a drukowane w »Przeglądzie Poznańskim« z r. 1847 w pierwszych miesiącach.

Stan duszy tu określony wyprzedził zapewne wydane drukiem utwory, a może i wszelką działalność literacką. Nie tak jednakże, żeby ostatnie mgły tego skeptycyzmu nie były miały zostawić swego śladu na publikacyach, owego punktu wyjścia najbliższych. Nawet Irydyon nosi te znamiona na sobie. Dziecięciem zwątpienia on nie jest, a świadczy o tem choćby samo zakończenie kreacyi: ale są i w nim jeszcze zapatrywania, którychby autor po wydaniu Przedświtu (1843) i Psalmów (1845) nie podpisał bez zastrzeżeń. W Nieboskiej komedyi (1835) jest tego braku ufności w przyszłość jeszcze więcej. To też może słusznie wyrzekł o niej Mickiewicz, że jest to jęk genialnego człowieka, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społecznych, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, żeby mógł dojrzeć ich rozwiązania.

W czemże innem, prócz tego, jeszcze moglibyśmy między Nieboską komedyą a Irydyonem upatrywać... nie mówię postęp, ale większe zbliżenie się do ideałów rodzimych? — Oto w tem, że Komedya daje widzieć zatargi, do których na naszym polskim gruncie, jeżeli kiedy, to chyba na samym ostatku przyjdzie. Przemierza w niej autor okiem całą europejską społeczność i jej rozłam na stronnictwa, nic wspólnego nie mające z ideą narodowości poszczególnych plemion i krajów. Sprawa to kosmopolityczna, do której wytoczenia na światło dzienne myśmy się nie przyczynili, a i do jej rozegrania jeżeli nas powołają, to chyba jako cudzej woli narzędzia. Inaczej ma się rzecz z Irydyonem. Jakkolwiek i tu idea dzieła ani pod względem czasu ni miejsca nie da się wcisnąć w ramy pewnego narodu ani pewnej odosobnionej epoki, gdyż jej uosobione wcielenie łączy z sobą i ludy różne i odległe światodziejowe okresy: to jednak w każdym rysie tego obrazu odgadniesz, o którym narodzie myśl tutaj dominuje, i jakiej narodowości człowiek mógł pomysł ten utworzyć.

Bohater tego dramatu przejął w siebie wszystkie uczucia twórcy tego dzieła. Chociaż to postać z innych czasów i z innego narodu, uczynił ją autor sobie samemu podobną, w niej przedstawił siebie, wsączył w nią pragnienia i boleści własne. Potyrane losy swej ojczyzny odzwierciedlił w dziejach, użytych tu za osnowę pomysłu. Wywołał zaś tego Podobnego sobie z czasów pogańskich jeszcze. Był to Grek, duchem żyjący w Helladzie, choć stawiony ciałem wpośrodku Rzymu szalejącego przed skonaniem, i zżymającego się w rozpasaniu ostatniem. Nadał mu imię, nadał ciało;

wystawił w całej boleści i w tem, co chadza z boleścią w parze — w nienawiści. Odkrył więc wszystkie strony i stosunki uczucia tego tak ku stronie boskiej jak i przeciwnej: przeprowadził Irydyona przez wieków wiele, wystawił w plastycznych kształtach, jak się uczucie to i namiętność historycznie wznosi od nizin nienawiści i rozpaczy do coraz wyższych sfer prawdziwej miłości i ufności. »Choć myśl moja poczęta w Rzymie, dzień w którym Rzym zginie, nie będzie Jej ostatnim. Ona trwa dopóki ziemia i ziemskie narody!«

Tymto więc sposobem powstał pomysł Irydyona. Jest on jakby posągiem miłości ojczyzny; ale nie ojczyzny żywej i wolnej, lecz na zagładę oddanej, którą właściwie nie tyle kochać, jak raczej boleć nad nią można. Bo taka miłość nie jest szczęściem, ale żalem i boleścią. Miłość tam tylko możliwa, gdzie zachodzą dwie strony, obiedwie żywe i w żywym a rzeczywistym stosunku do siebie się mające. Gdzie ten rzeczywisty i żywy stosunek zerwany, i strona jedna w minione umarłych przeszła krainy, tak iż jej niema już obok pozostałej przy życiu strony drugiej: tam też już nie może być rzeczywistej a właściwej miłości, chyba tylko Pamięć miłości i Miłość pamięci. Ale Miłość pamięci jest uczuciem cichem, utajonem; rzadko w słowach, nigdy w uczynkach, w myśli tylko się przechowuje. Uczucie takie jest piękne i czyste — ale nie posłuży na huczny rytm tętna tragicznego; nie ogarnie i nie przemoże tyle nad duszą, aby pchnąć wolę w ruch czynu, i zostać tem, co się patos tragicznem zowie. Żal chyba tylko może być tem uczuciem głośniejszem — tą huczącą namiętnością, która trawi i pali serce i nie ucichnie, aż serce albo pęknie, albo dokona jej głosu. Takito więc ból i żal — niewysłowiony, ogromny — jest siłą żywotną w Irydyonie; i całe zadanie, które stawił przed sobą poeta, było w tem, aby wcielić go w postać działającą, i wywieść zeń czyny, które o uczuciu tem osądzą, jakie jest, czy natury bożej, czy ziemskiej — i do czego ostatecznie prowadzi. Żal taki nie jest cnotą, nie jest występkiem, ale czemś w środku tego obojga będącem: namiętnością i nieszczęściem — nieszczęściem dla tego, który chowa Żal taki we wnętrzu swojem. Czemu? oto dlatego, że bohater żalu upaść musi w zamysłach swoich; że zaplątać się musi w waśń ze wszelkiemi uczuciami, które prócz żalu i poza nim istną w piersiach człowieczeństwa, a o tyle mają prawo i mają siłę stawić czoło wyłącznej owej potędze, któraby siebie tylko na powierzchnię ziemi wywrzeć chciała, i zalać wszystko, co

jest mimo i poza nią. Tylko to, co jest w Żalu cnotą i boskiem, przetrwa i wywrze swoje skutki; bo tylko cnota buduje cele swoje w całej obszerności powziętego postanowienia; to zaś, co w uczuciu tem gorącem ku ziemi ciąży, ku nienawiści (a więc występkowi) się skłania, wypalić się musi i zginie marnie, jak każdy występek na to jest tylko, aby przeminął bez skutku. A ogień tego żaru ten czuć musi w sercu i cierpieć, który za popędem namiętnego żalu działa i żyje nim — zato że działał i żył nim, przez co samo zaciągnął już na siebie tragiczną winę. Dlategoto mówi poeta we wstępie: »Z tego świata co się zżyma i kona, wycisnę myśl jednę jeszcze — w niej będzie miłość moja (otóż dlaczego uważam pewne pokrewieństwo uczuć poety z owym żalem bohatera dramatu); pomimo tego pokrewieństwa dodać jednak musiał autor: »choć ona jest córą szaleństwa i zguby! Ona trwa dopóki ziemia i ziemskie narody; ale zato w niebie dla niej miejsca niemasz!« Irydyona nazywa wszędzie Synem Zemsty, i pojmujemy już pewnie, dlaczego. Zemsta i nienawiść tak dobrze jest tonem w akordzie żalu, jak miłość, a może i więcej jeszcze dominuje. Dlatego Irydyon w chwili ostatniego swego sądu stoi powyżej kusiciela, a poniżej anioła; nie należąc ani temu ani owemu, lecz będąc samotnym jak zawżdy w świecie (str. 243). »Ogień piekieł palił mu stopy; blaski niebieskie raziły mu oczy«. — »On żył w zemście, on nienawidził Romy«! woła szatan. »On kochał Grecyę« woła anioł. — W skutku tego uczucie to nie jest więc potępione zupełnie, ale i w niebie dla niego miejsca niema — stąd poeta odroczył sądy o niem w końcu dramatu, i posłany został Irydyon powtórnie z nowem życiem, w nowych czasach, do innej ziemi: już nie w imieniu zemsty, jak wprzódy, ale w imieniu Chrystusa, aby powtórnie przetrwał próbę swoją. Jak tam będzie działał, tego w dziele nie widać; ale od tego, jakie drogi wybierze w nowym zawodzie swoim, zależy ostatnie zbawienie albo potępienie jego żalu i miłości. Ostateczna katastrofa dramatu tego pozostaje więc w zawieszeniu.

Zakreśliwszy jak najogólniej założenie tragedyi i dążność całego tego świata, który objęty jest w niej, zależy nam jeszcze najwięcej na dobrem zrozumieniu dominującej w niej postaci, samegoż piastuna i bohatera żalu utraconej ojczyzny, Irydyona.

Nasuwa nam się pytanie, czemu autor z pomiędzy zawiłości spraw dzisiejszych przeniósł się myślą aż do Rzymu; czemu w społeczeństwie, o tyle wieków oddalonem od naszego, wyszukał sobie

BIBLIOTEKA NARODOWA

onę postać, w którąby włożył, a raczej w którejby wykrył podobieństwo i pokrewieństwo z uczuciem, którem sam był miotany, kiedy dzieło to pisał. Przyczyną tego to, że autor jasno pojmował, że uczucie takie, jak ów żal wyżej określony, nie jest uczuciem chrześcijańskiem, ale raczej starożytnem. Wiedząc, że na podstawie dążności takowej indywiduum nowoczesne nie może i nie powinno działać; że taki zupełny brak miłości, nie mówię już miłości nieprzyjaciół, ale miłości bliźniego, jak w Irydyonie, który wszystkich, istoty sobie najdroższe, siostrę, kochankę, siebie nawet samego bez litości poświęca ogromowi jednego pojęcia ojczyzny, wiedząc mówię, że takie nieoględne, fatalne zniżanie wszystkiego i wszystkich na środki tylko do wykonać mającego się jednego celu zbyt razi wyobrażenia świata nowego, chrześcijańskiego, oną ostrą i nieubłaganą surowością cnoty Katona: — w tem przeświadczeniu stawił przed nami postać wywołaną z czasów, gdzie takie pojęcia nad światem panowały, i tym sposobem usprawiedliwił od razu prawdopodobieństwo czyli naturalność charakteru Irydyona, który jako syn świata starożytnego być innym nie może i z natury swojej być takim musi. Myśli tej obszerniej roztoczyć tutaj nie dozwala mi zakrój pracy przedsięwziętej; odwołać się dlatego muszę do wyobrażeń o świecie starożytnym i żywiołach jego między czytającymi urobionych. Przytoczę tylko jedno miejsce na dowód, że nie mijam się z pomysłem autora w pojęciu tem Irydyona, którego on ukształtował jako postać całkiem starożytną i szczery antyk. »Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj niema na tej ziemi — nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. Tunika biała na piersiach jaśnieje — odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpaczy« (str. 11).

Tak więc Irydyon będąc dziedzicem wszystkich cnót i błędów prastarych ojców pogańskich, jakkolwiek w inny, uczuciu naszemu bliższy sposób Hellady swojej w danem położeniu inaczej kochać nie może, tylko tym nienawistnym żalem, który ze zemsty siły się dobiera: — cierpi jednak ostatecznie i upada pod ciężarem winy za to, że żył, że żyć musiał pod wpływem tej namiętności. Bo chociaż nie od niego zależało, mieć ją lub nie mieć, wykonywać ją lub nie wykonywać: nie uniewinnia go to jednak, sam bowiem ten fakt jest już jego winą. A że wina bez zmazania, że tak powiem,

bez absolucyi ostać się nie może: spadają na niego w sposób bolesny i tragiczny czyny jego, które miasto uiścić jedyny jego zamysł pomszczenia ojczyzny, zwichnęły całe przybory i wytrąciły go poza kolej życia, tak iż widzieć musi cel swój jedyny niewypełnionym, dalekim — podczas gdy siły jego, wyczerpnięte i zmarnowane, już niezdolne są pracę zniszczenia prowadzić dalej. W tymto ogromie gorzkiego przekonania, że żył i działał napróżno, wyrzekł Irydyon: »Ach! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia, by niszczyć — tak jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia, by kochać i błogosławić przy zgonie temu co kochali za życia. — Ach! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!«

To zdaniem naszem jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego autor myśl swoję wcielił w postać świetną i kolosalną, ale pogańską i uczuciem chrześcijańskich czasów nie dosięgającą. — Drugie pytanie dotyczy tej fantastycznej niby nieśmiertelności Irydyona, który przetrwał wieki, był sennym w dniu Alaryka, i w dniu wielkiego Atylli, i nie zbudził się ani brzękiem korony cesarskiej o twarde czoło Karola — ni Rienzego trybuna ludu głosem, aż dopiero w czasach dzisiejszych powstał i na północ, na ziemię mogił i krzyżów wysłany został. Mylnieby rozumiał ten obraz, ktoby tłómaczyć go chciał lekkiem słówkiem fantastyczność, bo ta takiemu poecie, jakim jest Irydyona autor, nie przystoi. Nadprzyrodzoność w utworach sztuki wydaje mi się brakiem zdolności mistrzowskiej, i zakrawa na Deus ex machina. Wtedy tylko może mieć i ona znaczenie, jeżeli istotnie złączona jest z rzeczywistym i ludzkim światem, choćby połączenie to było tajemne i na pierwsze spojrzenie niedostrzeżone. Natenczas rozumieć można i cudowność poetyckiego obrazu. Chyba Słowacki lubi czasem zdobić utwory swoje niewytłómaczonymi a rozbujałymi wybrykami fantazyi; ale kto pisze z powagą i rzeczywistą intencyą, kto wierzy w to co pisze, ten takich środków nadużywać nie będzie, chyba że świadomą sobie a głęboką myśl w nich ukrywa. Co wszakże natenczas nie jest już fantastycznością, ale świadomem i usprawiedliwionem symbolizowaniem. Tak też i w tym razie, poeta nie bez celu i nie bez konieczności nadnaturalny zakres trwania życiu i pracy Irydyona wyznaczył.

Owoż zdaje mi się, że poetą żal ów namiętny nie tylko zamierzał wcielić w postać żywą i wcieleniem tem osądzić go tra-

gicznie; ale co więcej zamierzył on jeszcze stawić sobie przed oczy niejako symbliczną historyę tej namiętności, postęp jej i wznoszenie się ku uczuciu wyższemu, którem jest prawdziwa miłość ojczyzny, tak jak ją narody chrześcijańskie niekiedy okazać zdołały, a przynajmniej okazywać powinny. To więc przejście żalu w miłość chciał widzialnie na charakterze Irydyona ukazać i przeprowadzić; a że uczucia te oddalone są od siebie wiekami i społeczeństwami całemi: dlatego uczynił człowieka tego, że tak powiem, wiekuistym; dlatego pasmo życia i trwania jego przeciągnął przez oddalone epoki historyi, tak iż od III wieku ery chrześcijańskiej żyje po dziś dzień jeszcze, i działa w duchu już czasu naszego. — Powiedziećby zatem można, że w jednym charakterze Irydyona powiązane są losy przeznaczenia i życia dwóch indywiduów, z których pierwsze w świecie starożytnym wyrosło i dojrzało na męża; drugie już duchem chrześcijańskim napełnione, w duchu prawdziwej narodowo-chrześcijańskiej miłości działa i dźwiga społeczność swoję — nie ku zemście ani zniszczeniu, ale ku szczęściu i temu, co obiecane jest ludziom na szczycie Golgoty — Wolności! Owo pierwsze indywiduum z całą swoją przyrodzoną właściwością skonało że tak powiem, w owym śnie wiekotrwałym, i zmartwychwstało z nowymi zasobami ducha ku nowej pracy wieków. To powiązanie dwóch indywidualności tak jednakże w jeden charakter zrasta, że jedności nie rozrywa, założenia pierwotnego charakteru nie niszczy. Wszystko to oględnie a rozumnie poeta nawiązał i przygotował. Samo już pochodzenie Irydyona tego dowodzi. Nie jest on wyłącznym potomkiem jednej rasy, jednego czasu. Syn Amfilocha, Greka, żyjącego zemstą i wszystkiem tem, w imieniu czego Irydyon w pierwszej połowie życia występuje do działania, pochodzi z matki Germanki, Grymhildy kapłanki Odyna — i to pochodzenie z matki jest w nim częścią z świata naszego, wiąże go z duchem społeczeństwa nowoczesnego. Za sprawą ducha matki czasy swoje wyprzedza Irydyon i mimowoli już w owych starych wiekach czuć musi, że »w piersiach jego coś niepotrzebnego zostawiły Bogi: miłość i łzy« (92).

Uwagi te rzuciliśmy jak najogólniej, by nie wyprzedzać sądu czytelnika. Chcieliśmy tylko z góry zaraz oznaczyć sposób, jak głęboki ten charakter z cudnych poetyckich obrazów ku trzeźwemu rozumieniu odsłaniać będziemy; porozumieć się i ułatwić czytelni-

kowi wspólne zagłębianie się w dzieło to wielkiej wartości artystycznej, lecz nie od razu wszystkim zrozumiałe pod względem zasadniczej swej myśli. Teraz przystępujemy do rzeczy.

Od wspomnienia ojca Irydyonowego rozpoczyna się dzieło. Już Amfiloch pracował nienawiścią nad ukaraniem Romy, poświęcał ku temu i mienie i umysłu pracę; lecz nie dokonał, nie zbliżył się nawet do celu. Owo potężne miasto, które się upodliło, upodliwszy zamordowało Helladę, to miasto nieprawości, nieśmiertelny Rzym, zestarzał się, szaleć począł z ludźmi i bogi swymi, i »po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych rozpoczął samobójstwo swoje«. Motłoch i Cezar oto jest Rzym cały. A pomimo tego nie miał jednak Grek ów pałający zemstą tyle szczęścia czy siły, by popchnąć ten walący się ogrom w przepaść zniszczenia i nicości. Czemu jej nie miał? Kto się rozpatrzył w tajnikach jego ducha, ten dwie przyczyny przytoczy. Oto, że ojczyzna jego, której pomszczeniu on życie poświęcił, rzeczywiście w samej sobie skonała już, i nawet w Amfilocha przeświadczeniu i wierze nie żyje więcej. Gdyby Hellada była utrzymała żywot wewnętrzny pod ujarzmieniem zewnętrznem, gdyby Hellada była w sobie Helladą, choć ją Rzym prowincyą rzymską nazywa: nie byłoby zabrakło Amfilochowi siły, w imieniu której przystąpiłby do walki z Rzymem, i przez którąby zwyciężył. Ale niepodobno już myśleć temu Grekowi o prawdziwem wyzwoleniu i ożywieniu narodu swego, kiedy on sam już w bogów Hellady nie wierzy, a więc z imienia tylko, nie z ducha jest Grecyi synem. Wylewa on jeszcze pełne kielichy w morze na cześć Posejdona, ale z uśmiechem niedowiarstwa (17); wspomina o bogach Hellady potężnych kiedyś, ale dodaje, »że im dzisiaj już rzadko kto wierzy — wyrocznie ich oniemiały od dawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości« — i wie, »że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki. Imię jego — Przeznaczenie« (20). Amfiloch więc odepchnąwszy wiarę Hellenów dawną, mimowoli wiarą swoją i przekonaniem poświadcza, że naród jego rzeczywiście już zstąpił do krain podziemnych; a w takim stanie rzeczy nie może myśleć o wskrzeszeniu Hellady, lecz tylko o pomszczeniu jej, i pracuje nad zniszczeniem Rzymu. Ale

i temu dziełu siła jego nie sprosta. By zniszczyć, trzeba być wyższym od tego, co się ma niszczyć. Ludy północne, które miały kiedyś zostać wyznawcami i piastunami nowej wiary, a sił żywotnych nie zmarnowały, — ci mówię nowi świata władcy potrafili zburzyć kolos ów wiekuisty rzymskiego imperium. Im ulec Rzym musiał, bo oni byli żywiołem późniejszym, wyższym, silniejszym niż cały świat klasyczny przedchrześcijański. Ale Amfiloch nie ma w odwodzie swoim niczego, coby było wyniesione nad świat ów, który go otaczał, a który on zamierzył zburzyć. Miał grecką mowę i twarz greckiego półboga: ale nie miał światoburczej potęgi. Stądto nawet zemsty nad Rzymem nie mógł spełnić o własnej mocy. Więc sam zrozumiał, że aby Rzym podkopać i obalić, trzeba mu natchnionej piersi germańskiej dziewicy (13); bierze więc z dalekiego Chersonezu Cymbrów kapłankę Odyna za żonę, której Bóg jej dał zgadnąć natchnieniem, to co on sam wydobywał nieraz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z nocy przeszłych wieków (19).

Na wyspie Chiarze osiadł Amfiloch z Grymhildą. Przy natchnieniu proroczej Germanki więcej usposobionym się mniemał do pracy nad dziełem swojem, i nie ustawał w niej; mało w domu, ciągle w strony dalekie czynił wyprawy; w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu — ku dzikim plemionom, tam gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, gdzie syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się na przemian, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą rozkoszy i łupów. — A Grymhilda samotna w domu chowa dzieci: Irydyona i Elzynoę, i sposobi ku prowadzeniu dalej dzieła ojca, który gdy wrócił do domu, tak im co wieczór błogosławił głowy do snu pochylone: »Pamiętajcie nienawidzieć Romy — dorósłszy, niech każde z was ściga Ją przekleństwem swojem — Ty żelazem i ogniem — Ty natchnieniem i niewiasty zdradą« (str. 22).

Tak upłynęło lat 13. W trzynastą rocznicę dnia, w którym kapłanka opuściła bogów i ziemię swoją, opuściła i męża; a Amfiloch przenosi się teraz z dziećmi i urną Grymhildy do Rzymu, by pośród wrogów oczekiwać w nienawiści przepowiedzianego dnia zniszczenia.

I znowu upływa lat 13. W trzynastą rocznicę śmierci Grymhildy opuścił zaczęte dzieło swoje razem z życiem i ojciec Irydyona. »Umierał tak jak żyją Bogi. Boleść nadaremno się wysiliła — jedynym jej znakiem była wzgarda na ustach — żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. »Hellado moja!« zawołał głosem miłości, i spojrzał jak tryumfator ubóstwiony zwycięstwem. W tem natchnieniu ustało Jego ziemskie życie (111). Tamto nawiązały się losy Irydyona, tam wpłynął weń ostatecznie duch ojca, i odtąd stoi charakter ten pod potęgą siły fatalnej, w ściśle opisanem kole, z którego nie wystąpi, chyba w innych czasach, w innych światach, po wypadkach wielu. To ścisłe zawarowanie charakteru Irydyona ucieleśnił poeta w symbolach znamiennych. Konający Amfiloch przycisnął najprzód córkę do łona, i odpychał potem zwolna i rzekł: Co brat ci rozkaże, czynić będziesz dla miłości mojej. Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił. Potem stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: »Jako wasze pęta skruszyłem, odrzekł, pamiętajcie drugim o ile wam sił stanie zrywać łańcuchy. Czyńcie kiedyś co wam mój syn powie«. Wtedy dopiero obrócił się do syna: »Nie uchylisz czoła, nie stracisz wiary w złej godzinie — w dobrej nie przebaczysz; nie zaprzestaniesz, ale przejdziesz po zwłokach zrzuconego, by stojących obalać. Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie, tak dzieje narodów na ziemi wzrastają, by maleć«. Więc na te słowa przysiągł Irydyon przed ojca świętem obliczem rozkoszy nie mieć, przywiązania nie znać, litości nie słuchać, ale żyć by niszczyć, dopóki duch jego z ojca duchem się nie połączy. On przez ten czas dłoń trzymał na czole syna, a Masynissa, ów wieczny starzec z pustyń libijskich, krew dymiącą wylał z czary na głowę syna i na rękę ojca.

Tak zakończył Amfiloch życie, z żalem przerwanych zamysłów. Na jego miejsce wystąpić ma nowy zapaśnik, z zasobami obfitszymi a wyższymi do walki, i czego nie zdołał ojciec, tego dokonać ma syn. Na czemże ta wyższość Irydyona nad Amfilochem zależy? Znamy to wszystko, co było w naturze Amfilocha niemocą i brakiem. By z starym światem pójść w zapasy, brakło mu młodzieńczości ducha, tej siły, która na miejscu zgrzybiałego Rzymu młodemu światu panować miała. Ten żywioł nowoczesny, germański (a przez wyraz ten rozumiem jeżeli nie wzniesienie się chrześcijańskie, to przynajmniej zdolność przyjęcia pierwiastku tego),

tę świeżą siłę energii, chciał on sobie pozyskać przez połączenie się z natchnioną Grymhildą: — ale połączenie to, zewnętrzne i jakby pożyczone, nie mogło wlać w ducha jego, w krew obiegającą całe jego ciało, tego, co było w Grymhildzie wyższe nad greckość lub rzymskość. Amfiloch żył i umarł tem, czem się narodził: synem świata szczero-starożytnego. W Irydyonie dopiero rzeczywiście zlała się krew germańska i grecka: i tak od razu przez samo pochodzenie wyższy on jest nad ojca i nad świat, który ma zstrącić do nicości. Ale duch ojca nad duchem matki przemaga, więcej Irydyon ku ojcu, niż ku matce się skłania; pod ojca wpływem dwa razy (13 lat) dłużej chowany, niż pod ręką matki, wystąpi najpierw w imieniu woli Amfilocha, jak mu przy konaniu jego zaprzysiągł; po wiekach wielu dopiero przemożniej odezwie się może w nim i duch matki. Tę dwoistość w charakterze Irydyona, która często pasuje się ze sobą wyraźnie, jak dwie przeciwne sobie siły, uwydatnił poeta i przedmiotowo, gdy stawia po obu stronach jego dwie Irydyonowi pokrewne, choć sobie wrogie postaci: Masynissę i Kornelię. Masynissa — szatan — był przyjacielem Amfilocha, siadywał przy ognisku jego (57), dnie całe trawił z nim; na jego łonie opartą miał Amfiloch głowę, gdy konał (110); jemu umierając powierzył syna i myśl swoję (36). Kornelia jest chrześcijanką, ale jak duch Masynissy, tak i Kornelii losy powiązane są tajemniczo z losami Irydyona, gdyż ona wie, iż się urodziła aby go zbawić (108). Otóż więc dwie przeciwne natury, jakby dwie połowy Irydyonowego ducha, wcielił poeta w te dwie postaci: a że Irydyon za ojca głosem poszedł, do ojca dzieła przystąpił, ojca zamysły powtarza: stało się, iż poświęcił Kornelię woli Masynissy. Chociaż jednak w Irydyonie duch ojca przemaga, fatum starożytne przeważa, zemsta góruje nad miłością: wyższy jest jednak i potężniejszy bogactwem i pełnością ducha, niż ojciec; i dlatego jeżeli nie zwycięży, to przynajmniej walczyć będzie, podczas gdy Amfiloch dnia walki nawet oczekiwał naprożno.

Było to za czasów Heliogabala cesarza, kiedy Irydyon czynnie występować zaczął do dzieła zniszczenia. Już w czasach owych Rzym pasował się z sobą w ostatniem rozprzężeniu, konał i szalał w upodleniu i zgrzybiałości swojej. Wszystko, co w dawnej repu-

blice wielkiem było i szlachetnem, przeminęło bez śladu. Niema już mowców, owych panów dusz tysiąców; niema żołnierzy legionów o twarzy spiekłej od słońca, ogromnych, bezsennych; rody stare patrycyuszów zupełnie wyginęły to przez zawiść Cezarów, to przez samo wyczerpnięcie siły żywotnej — a jeżeli zostali po niektórych w nędzy potomkowie jacy, to żyją w upodleniu, nierozeznani od gminu, jako gladiatorowie i niewolnicy ludzi nowych, przybylców obcych (85). Cała godność ludu rzymskiego w czasach owych zrównała się w obliczu Cezara na podłą tłuszczę: wszystkie godności polityczne i religijne, spłynęły z ludu całego w jednę uświęconą osobę Cezara; poza Cezarem tylko już motłoch bezprawny. Motłoch i Cezar oto jest Rzym cały. Motłoch — to materya z bytem, ale bez ducha i życia. Cezar — to wyniesione ponad świat zero, próżne w sobie i zgrzybiałe, depcące karki równie zgrzybiałego świata. Zgarnęły się te wszystkie cechy w nędznej osobie ówczesnego Cezara Heliogabala. Ten młody człowiek nosił je w sobie wszystkie w sposób dziwny połączone i krzyżujące się. Przez sam czas, w którym żył, i przez świat, który go otaczał, był on starcem, dla którego przeżyły się wszelkie żywioły i podniety życia. Stądto, chociaż szukał w całej naturze, w całem państwie swojem, w całym sobie — iskry, coby zapaliła jakiekolwiek ognisko w jego piersiach: nie mógł wypełnić niczem tej wiecznej próżni i nudy, która była treścią zgrzybiałego jego życia. Heliogabal (jak mówi poeta w dodatku) we wszystkiem co czynił i wyobrażał, był starością i śmiercią, był brakiem ducha, był materyą w gniciu (str. 258—265).

Na tle tego posępnego obrazu wybitnie a imponująco zakreślona jest postać Irydyona. »Choć nigdy nieznać młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej jego postaci. Zawsze godność niezrównana w postawie i słowach jego, — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wygląda gdyby drugi Cezar w Rzymie«. Na twarzy jego niewzruszonej uważano wargę spaloną, a oko w płomieniach — »nie wiedzieć, co drzemie w głębi tego serca, pewno tylko, że tam ni strachu, ni uniżenia niemasz« (str. 52).

Jakież środki, jakie sposoby miał Irydyon, aby zacząć i przeprowadzić przeznaczenie swoje?

Aby znienawidzoną Romę, to zgrzybiałe miasto nieprawości, zstrącić w gruzy i dokonać kolosalnej zemsty swojej, trzeba było

Irydyonowi zaprząc do odwodu sił swoich wszystkie potęgi, które resztę żywotności ówczesnego świata między siebie dzieliły. Potęg takowych w onych czasach było cztery: 1. Cezar; 2. reszty ludu rzymskiego; 3. napływające z północy barbarzyństwo, co zasiadało już nawet i w senacie i tworzyło legiony; 4. wzrastające pod ziemią, w katakombach chrześcijaństwo. To czworgo obejmuje całą masę siły, zapomocą której mógł Rzym być zburzony; a kolejne pozyskiwanie tych czterech ówczesnego społeczeństwa momentów dla sprawy Irydyona, stanowi plan i architektonikę naszej tragedyi. Jeżeli uda się Irydyonowi zapewnić sobie je wszystkie, jeżeli według woli swojej popchnie do czynu i barbarzyńców pokrewnych sobie przez matkę i chrześcijan i potomków owych starodawnych patrycyuszów (gladiatorów) i nakoniec samegoż Cezara: wtedy zabraknie obrońców zmartwiałemu miastu, i zwyciężone, opuszczone od wszystkich, rozwali się w próchno.

W tym sposobie wytkniętą ma przed sobą drogę działania Irydyon; i nic nam nie pozostaje, jak iść krok w krok za nim, od podbicia Cezara pod moc swoją, aż do ostatniego z wytkniętych co dopiero kręgów społecznych.

Od podbicia Cezara pod wolę swoją zaczyna Irydyon dzieło.

»Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności kilka razy Imperator spotkał Irydyona, idącego do Cyrku z Elzynoą. Widać po nim wtenczas było, że mu zaraz nabrzmiały żyły po skroniach, i że złote lejce, któremi lwów swoich kierował, wypuścił z dłoni« (53). Zapragnął jej za żonę niebawem, senat przezwał ją już boską i Irydyon nie wahał się oddać znienawidzonemu tej »ofiary naznaczonej za cierpienia wielu i za hańbę ojców swoich« (29). Napróżno siostra go błagała, aby miał litość nad nią, raczej życie jej odebrał; postanowienie Irydyona było nieodmienne, bo zakazał mu ojciec znać litości, a córkę w ręce brata oddał, aby czyniła co jej każe. Irydyon rozkaz ojca wypełnia nieubłaganie, i poświęca siostrę, przeznaczoną niesławie i zagubie, Bogom-Manom Amfilocha Greka (32). Tak więc idzie Elzynoa w dom Cezarowy, podobna do owej Sofoklesowej Antygony, gdy prowadzona na śmierć smętnie pieśń ostatnią zawodzi. »Rzucam próg ojcowski, bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony, cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał — O ja nie wrócę nigdy, ja idę na męki i długą żałobę«...!

Przez to połączenie małżeńskie zbliżył się Irydyon do Heliogabala, który miotany jak wątła trzcina potężnem uczuciem przesytu i zgrzybiałości powszechnej, tarza się w pyle, rosząc usta pianą, wśród ciągle nagabających go wspomnień zdrad i sideł, jakie naokół siebie upatruje. Dawno on czuł potrzebę charakterów silnych, na których mógłby oprzeć niedołężność swoją: Elzynoa i Irydyon przychodzą mu w porę. »Chwilę jeszcze bądź przy mnie — tak do nich przemawia — lepiej mi, kiedy stoisz choć z daleka. Ja biedny, ja tak młody, a już otoczony spiskami i śmiercią! Nudno mi nudno, i wszystkie strony świata nic mi nie pomogą«. — Od niebezpieczeństw i przygód wybawić go zdolen tylko Irydyon; tak to wystawia mu rozmarzona jego wyobraźnia, że on będzie jego dobrym geniuszem. Z usposobienia tego chorobliwego umie też korzystać brat Elzynoi. Niewiele go pracy kosztowało, aby doprowadzić Cezara do pytania: »czy w odwiecznej walce między człowiekiem (imperatorem) a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła? Dotąd ginęli imperatorowie jedni od miecza, drudzy od trucizny, zdradzani przez powierników. Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów. Teraz — Cezar stanie się spiskowym, Cezar uderzy na wrogi! — Wszystko to trafia w myśl Heliogabala: »Dopełnij zlecenia bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obtoczę, zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę; jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!« (75).

Tak tedy szczęśliwie dokonał kroku pierwszego Irydyon; powalił potęgę imperatorską pod swoje stopy, aby mu była pomostem ku dalszym celom. Za wolą Heliogabala on i senat rozpędzi, i pretoryanów wytnie, i Rzym w perzynę zamieni. Wtedy ci, co się zostaną na zgliszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami, i kilka pałaców rozpadłych na chaty, zwać się będzie Rzymem: — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach! A tych, którzy mu w dziele zniszczenia będą ku pomocy, niewolników, gladiatorów, barbarzyńców, Nazareńczyków (75), wyśle obietnicą lepszej rozkoszy na wschód: tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich; a reszta rozpłynie się i wyschnie.

W ten sposób zapewniwszy sobie siłę rozkazu i bezpieczeństwo ze strony Cezara, przystępuje Irydyon do przeciągania na swoją stronę drugich potęg społecznych owego czasu. Przede-

wszystkiem obaczmy, jak garną się do niego gladiatorowie i niewolnicy i cała rzesza upokorzonego, spodlonego ludu, w którym wszakże siła spoczywa Irydyonowi przydatna.

Nie więził, nie katował niewolników Irydyon, choć miał prawo śmierci nad nimi. Nie odpychał ubogich Swewów, Daków, Markomanów, żebrzących w mieście (59). A przez to nie tylko ogromną liczbę sług w dom swój zgromadził, ale pozyskał siłę, wolę i wierność tych nawet, co u niego nie służyli i tylko przez wieść i związki z domownikami Irydyona jemu sprzyjali. Kto się pod opiekę Greka tego oddał, tego nakarmiono, jeśli był głodny; uraczono winem, byłli spragniony; nie jeden z wdzięczności, zwłaszcza słysząc braci gladiatorów jak Irydyona imię błogosławili, zapragnął — jak ów Sporus, dawnego rodu Scypionów upodlony potomek, który przyszedł z rozkazu rzymskiego pana swego, zabić Irydyona, ale dla tych właśnie powodów morderczy zamysł porzucił — nie jeden, mówię, tego rodzaju człowiek zapragnął być domownikiem litościwego Greka, i otrzymawszy w zadatek sto sesterców, tunikę i pierścień żelazny, jaki niewolnicy jego nosili, choć rodem Rzymianin, na zgubę Rzymu oddał wolę swoją Grekowi, klął razem z nim temu miastu, »które opuściło wnuki swoich konsulów«, a kiedy nadejdzie chwila, gdzie mścić się i łupić będzie można, przywiedzie Verresa, Kassyusza, Sullę — wszystkich w nędzy — i każdy z nich znajdzie schronienie pod filary Irydyonowego pałacu (86).

Owoż tym sposobem spiesznie pochłaniał Irydyon cudze wole i siły. Już ma Cezara za sobą, jako brat jego żony; już rozkazuje gladiatorom i wszystkim w nędzy żyjącym, bo ich przyjął do domu swego i żywi aż do dnia zemsty. I barbarzyńcy z północy o niebieskiem oku, płowych włosach, postaci ogromnej, będą mu wierni do śmierci, bo on synem ich kapłanki. Wszystko to stało mu się po myśli i prędko, dlatego że z każdą z tych sił towarzyskich ma on pewną pokrewność: czy urodzenia, czy uczuć, czy familijnego stosunku. — Jednej tylko sfery nie wprowadził dotąd w zakres woli swojej: oto świat Nazareńczyków stoi jeszcze mimo świata jego, odrębny, obcy, niepozyskany, a niezbędny w sprawie zniszczenia, bo (według słów Masynissy) w katakombach los Rzymu ma

się rozstrzygnąć (36). »Rośniemy Sygurdzie, ale dopóki Nazaret nienawrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępnym i zwycięskim bojem!« (87).

Ale w temto właśnie miejscu napotyka on na nieprzełamane trudności, z któremi do ostatniego momentu będzie walczył i w chwili, kiedy się zupełnego zwycięstwa spodziewał, upadnie pokonany, opuszczony przez ten żywioł chrześcijański, z którym go żadne węzły, ni pochodzenia ni uczuć nie łączą, który mu dlatego zawsze pozostanie obcym, nieużytym, nieprzydatnym.

Od pierwszego momentu czuł już Irydyon, że potęgi tajemniczej jaką był chrystyanizm, nie potrafi podbić pod panowanie swoje, i że na tej skale rozbiją się jego zamiary. Wśród największego zapału, wśród tryumfów, jakie nad innemi społeczeństwa swego sferami odnosił, wzmianka o Nazareńczykach paraliżuje mu swobodę myśli, pewność i ufność wygranej. »Droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekolwiek wytężę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia! Ach! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niż bić się jak męże — oni, onito mnie wstrzymują!« (35). Jest w słowach tych widoczne przeczucie, mimowolne przeświadczenie, że ogromna, nieprzeskoczna zachodzi przepaść między nim a tym żywiołem; że tej przepaści nie zapełni żadnym środkiem, bo go od chrześcijan oddziela zamiar powzięty. Mimo to, na przekorę temu wieszczemu serca swego głosowi, gwałtem ciśnie się, musi się cisnąć Irydyon między Nazareńczyków, bo pomoc ich widzi i uznaje koniecznym warunkiem swego zwycięstwa, bo w katakombach los Rzymu ma się rozstrzygnąć. Idzie tedy pomiędzy nich, aby znamię ich mieć na piersiach, tajemnice ich w ustach swoich — »zaszczepiać zemstę w imieniu Boga niezemszczonego dotąd«. — Tak mu jego rozum każe, własny jego rozum, choć przemawia przez usta owego Masynissy, który jakby duch ojca jego towarzyszy mu wszędzie, oddechem i ramionami swemi otacza go zawsze, z którego wyschłej piersi Irydyonowi nurty siły płyną. Ta istota demoniczna, ten wieczny starzec z maurytańskich pustyń, który w rozumieniu mojem jest uosobieniem całej strony pogańskiej i mściwej ducha Irydyonowego, i którego wola, tak przeważnie nad Irydyonem panująca, nie jest bynajmniej wpływem z zewnątrz, obcym, wpływem istoty drugiej, na Irydyona, ale raczej widzialnie usymbolizowanym ruchem wewnętrznym własnej pogańskiej myśli

w Irydyonie samym — Masynissa mówię nalega na niego, aby co prędzej wszedł, wkradł się wpośród świata chrześcijańskiego, obiecuje mu być tam obecnym, »a kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o wtedy synu mój duch mój będzie z tobą!« (36). Tak tedy chociaż Irydyon nie wierzy w Chrystusa i od tej wiary daleki, idzie między chrześcijan, przyjmuje chrzest, imię mu teraz Hieronim, przyjmuje błogosławieństwo starca, który ku czarnym katakomb sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił go w skronie Irydyona rękoma drżącemi, z których sączyła się woda tajemnicy; przytem grono bladych wynędzniałych braci śpiewało, powtarzając imię jego nowe, a ich głos ciągnął się nad głową niewiernego ochrzconego, jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy. Dlaczego głos ten dla Irydyona tylko jak pogrzeb rozpływa się w powietrzu? dlaczego nie uwierzył w znamiona święte, chociaż je na piersiach zawiesił, chociaż je przycisnął do ust w pokorze (88): — o tem później mówić jeszcze będziemy. Tu powiemy tylko, że nie z nienawiści, nie z zaprzeczenia Irydyon w Chrystusa nie uwierzył, ale z przyczyn, które w związku zostają z całem zadaniem i nastrojem charakteru jego. Nie świadczy on Chrystusowi, ale ani też nie przeczy; jest on więcej obojętnym w tym względzie. Losy postawiły go poza okręgiem badań wiary, poza celami i zabiegami o zbawienie lub potępienie własne; on żyje, on przeznaczony nie dla siebie, ale dla ojca, dla zemsty, dla ojczyzny. To go tylko zajmuje, co go po drodze tej prowadzi, którą mu Fatum jego zakreśliło. Dni jego są policzone, ścieżki raz na zawsze wytknięte; poza okrąg zadania jego nie sięga wątek jego żywotny. A że w zadaniu tem niema mowy o nowej prawdzie, zwiastującej pokój ludziom dobrej woli, dlatego Irydyon nie tak przeciwny, jak raczej ślepy i głuchy być musi na słowa nowych swoich współwyznawców.

Wszedłszy w towarzystwo chrześcijan, zagościwszy się w katakombach, gdzie Nazareńczycy do czasu gościli, i zawiązawszy, jak zdawaćby się mogło, węzły między sobą a nimi: zaczyna rozpowiadać tam słowo swoje, rozniecać iskrę zapału, by go wsparli w dziele jego, by razem z nim wyrwali krzyż z wnętrzności ziemi i zatknęli na forum romanum. Nie wspomina on im nic o Helladzie, którą Rzym shańbił i zabił, ale o mękach, jakiemi Rzym dręczy wyznawców Chrystusa. Pod firmą tej zemsty religijnej wzywa on ich pomocy do swego dzieła, którem jest zemsta Hellady.

A więc za narzędzie tylko chce ich użyć w zamiarze swoim. Przemawia najprzód do starych, do tych, »co odbyli męczeństwo i jak twierdzą, niebo roztwarte nad sobą widzieli«; ale ci odpowiadali mu zawsze tesame słowa: »Przebaczenie — zapomnienie — miłość zabójcom!« Wiktor, kapłan najwyższy, starzec nad starcami, »którego twarz wyschła od cnoty« (122), jednem pytaniem rozbraja cały przybór jego wymowy i zapału: »Czyż On, gdy skronie opuścił i konał, wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do ojca?« (100). »Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pychach, jak barwy morza za lada powiewem — ale to nie powinno mieszać spokojności grobów« (98). »Uwierz i nie grzesz więcej! Ostrzegłem cię teraz jak ojciec rozżalony błędami syna; później jeśli winę powtórzysz, napomnę cię jak pasterz trzody, ukaram, jako sędzia ludu!« (101).

Kiedy więc ze starymi nie poszło po myśli, na młodszych buduje. Tych wzrok się płomieni na wzmiankę obelg i męczarni; ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie; zrazu błogosławią złemu co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im w żyłach, chcąc nie chcąc rzucają przekleństwa. Z tego materyału tworzyć siły swoje zamyśla Irydyon: przez nich wcieli królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi. Aby ich sobie tem pewniej pozyskać, poddaje Masynissa Irydyonowi jeszcze jeden sposób. Dostrzegł on przenikliwym rozumem swoim, jakie stanowisko w nowem tem społeczeństwie zajęły kobiety; wyrozumiał pojęcie chrześcijańskie, wynoszące niewiastę do rzędu i godności równej z godnością mężów. Pod względem tajemniczego wpływu potęga kobiety silniejsza może odtąd niż potęga mężczyzny, bo polega na sile więcej duchowej i nadnaturalnej. Dostrzegł Masynissa i wyrozumiał, że w towarzystwie tem nowem płeć jedna na drugą wpływa w stosunku równoważnym i zobopólnym; że dosyć pozyskać połowę jednę rodzaju ludzkiego, aby być pewnym już przez tosamo drugiej; dość przekonać męża, aby być pewnym kobiety; dość nakłonić ku myśli swojej kobietę, aby mieć i mężczyznę za sobą. Fakt ten on przyznaje, choć go nie uznaje i nie może uznać jako wyobraziciel (i to ze strony całkiem nieboskiej) świata starożytnego, któremu pojęcie takie kobiety zupełnie było obcem, nawet przeciwnem. Powiada tedy: »Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości (rozumie przez to kobietę); z łupów cielesnych rozkoszy wydumali parę tajemniczą; oni przed niewolnicą męża schylili czoła. Z tylu

dziewic, które tam więdnieją w modlitwach i postach, jednę wybierz i rzuć im ją ponad dusze. Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą co w piersiach męża góruje, porwana i zniszczona!« (89). Słowa te przerażają zimnem starożytnych, pogańskich wyobrażeń; ale w gruncie rzeczy zawierają radę bardzo stosowną i skuteczną. W danem położeniu słuchać ich musi Irydyon i wybiera na ten cel jednę, »którą wszyscy darzą imieniem błogosławionej i świętej przed czasem, która mu lubi rozpowiadać niebiosa«... Przez jej więc świadectwo, które dać ona musi słowom jego, przez jej pomoc zdobędzie Irydyon serca Nazareńczyków. Ona teraz jedynym warunkiem, czy dzieło zniszczenia Romy spełni się, czy nie. Gdy taki więc obrót strategika Masynissy działaniu Irydyona nadała, zależy teraz wszystek cel życia jego na pozyskaniu tej chrześcijanki dla sprawy swojej, a mówiąc wyraźnie, na zabiciu na duszy świętej dziewicy, gdyż cel, dla którego ją ma pozyskać, choć może jest najwznioślejszym, nie jest chrześcijańskim. Pojmuje też jasno i wyraźnie Irydyon całe szatańskie znaczenie i koniec planu tego, truchleje przed wypadkiem jego ostatecznym — ale przystępuje do niego, bo tak być musi. Tak każe rozum, dzieło jego żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi i dźwięk dźwięku następnego. Zrazu wątpi nawet o podobieństwie przekonania i odwiedzenia jej od jej błogosławionych marzeń. »Ach! kto zbada tajnie jej bytu, kto schwyci źródło jej życia? Przeciwko niej ja słaby jestem!« (90). Ale Masynissie nie braknie nigdy na sposobach, gdzie o zniszczenie czego dobrego chodzi: »Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę jego chwalić, z każdym gwoździem, co przebił go, żałośnie się pieścić. Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyła pięknemi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. Słuchaj, przeprowadź jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedyś na ziemi, on nie wróci nigdy — Ty żyjesz i jesteś przy niej. Ty będziesz jej Bogiem! Alma Venus i Eros sprzyjajcie! Kiedy jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży, jak pierś każdej niewolnicy, i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciała pożarach, wtedy w katakombach znajdziesz wiernych służalców o synu! wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem«.

W tej chwili stanowczej, gdzie nawiązane są ogniwa całej przyszłości dzieła Irydyonowego, odzywa się w sercu syna Germanki

on cichy i tłumiony, ale nie przytłumiony jednak zupełnie głos z świata, wyższego niż grecki, niż starożytny — głos, który możnaby nazwać tą odrobiną dobrego, co mu dostała się w spuściźnie po nieszczęśliwej matce, przez które Irydyon nie jest Masynissą ani figurą całkiem starożytną, ale jak sam powiada: człowiekiem. »Ach! w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły bogi — czuję jad co podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy — niewiasty ten jad nazywają łzami! Powiedz, wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?«... (92). Ale ojciec wolą swoją, a Fatum koniecznością swą ścieśniło człowieczeństwo Irydyonowe, opasało go żelaznym pierścieniem jednej tylko myśli, pchnęło w jeden tylko kierunek, tak iż tę litość, to sumienie syna Zemsty, i my razem z Masynissą nazwać musimy słabością. Bo gdy cofnąć się niepodobno Irydyonowi: wszelkie zatrzymywania i oglądania się są wahaniem się, które charakterowi działającemu nie przystoi. »Dein Loos ist gefallen, verfolge die Weise, dein Weg ist begonnen, vollende die Reise«, mówi Goethe, i można to zastosować do położenia, jakie tu mamy przed sobą. Ta jedna sytuacya zdolna jest już jasne dać pojęcie, co to jest zawikłanie tragiczne, gdzie widząc przepaść zguby, trzeba jednak w nią rzucić się. Już z założenia całej natury charakteru Irydyona wypadło koniecznie, że ulec musiał ów cichy głos sumienia potrzebie okoliczności. Idzie więc Irydyon do dzieła, chociaż ze zakrwawionem sercem i pełen gorzkiego uczucia, i miotany przeczuciem wiecznej pośmiertnej walki. Duszno mu pod opasującem go zewsząd Fatum. Klęka przed posągiem ojca: »Ojcze, czyż i Ją mam zgładzić także? Ojcze, daruj Jej. Ona nie cierpi jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu — skazaną dobić — ach! to w losach moich wyrytem było! Ale szczęśliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć! (95). Irydyon widocznie kocha Kornelią — idzie jednak do dzieła, uczynić zadość przeznaczeniu swemu: i zatwierdzi czynem odebrany od natury charakter. — Kornelia upadnie, ale zato Żal Hellady jeżeli się nie spełni, to przynajmniej zacznie się pełnić.

Tu przenosi nas poeta w świat nowy, pośród Nazareńczyków, między którymi dominującą postacią Kornelia. Jest to typ, pierwotwór duszy chrześcijańskiej. Charakter dziewicy tej pierwszorzędne zajmuje miejsce między charakterami tragedyi, i wiele do pojęcia całej idei dzieła tego posłużyć może wtajemniczenie się w głęboką

tę naturę niewieścią. Byłoby to w ogólności ciekawe i zajmujące studyum, rozważać charaktery niewieście autora naszego, których mamy już jakby całą galeryę, rozstawioną po licznych jego kreacyach. Wszystkie zachwycają nas jakimś dziwnym, nieznanym dotąd urokiem, co stąd pochodzi, że autor nasz przysądza nowe zupełnie znaczenie kobiecie, przewyższające wzniosłością pojęcia innych poetów, naszych i obcych. Jest to jedna ze znamiennych stron poezyi Mickiewicza, że nie dał nam w żadnym utworze swoim prawdziwie trafnego obrazu kobiety, kobiety z tą cichą duszą niewieścią, w której nieprzebrana głębia ducha nurtuje, choć ją skromny zakres córki, żony, matki, Polki, chrześcijanki pokrywa z wierzchu pozorem codziennego pokoju i skromnego przeznaczenia. Karłami czujemy się wobec postaci jego męskich, tak są w sile ogromne, tak zasobne w potęgę myśli; pomimo to każdego z bohaterów jego nazwaćbyśmy mogli bratem naszym. Widać więc, że rozwiązał Adam nasz najtrudniejsze zadanie mistrza, połączyć wielkość myśli ogólnoludzkiej z warunkami życia narodowego w danym czasie i z obyczajami tegoż czasu. Widać, że nie wykrzywił nigdzie wierności historycznej, ani narodowej, ani społecznej, chociaż postacie z życia rzeczywistego wywołane napełnił bezdenną głębokością uczuć i zamysłów, o które nie tylko naszemu narodowi, ale całemu społeczeństwu chodzi. Każdy prawie z charakterów męskich Mickiewicza jest rzeczywistym, i takie charaktery być powinny na tej ziemi, i były niezawodnie i są — ku chlubie rodzaju ludzkiego. Ale kobiety Mickiewicza rzeczywistości nie mają. Są to albo karykatury, istoty przesadzone jak Telimena; albo też wymarzone, i że tak powiem niedosadzone, jak Zosia, i Aldona nawet pod pewnym względem. Dobrze, że i takie odcienie charakterów żeńskich poutwarzał: nikt go też za to winić nie będzie. Ale to zaznaczamy, że tylko takie utworzył a pominął obrazy kobiet normalnych, które i w poetyczności nawet nie ustępują tamtym.

Że autor Irydyona tworzy charaktery niewieście takie, że je nie dosyć kochać, że je uwielbiać trzeba, to pochodzi z przyczyn głębszych. Pochodzi stąd, że uważa kobietę i w ogólności cały pierwiastek niewieści za czynnie wpływający na losy ludzi, na losy narodów, na losy historyi nawet. Już w Goethego zapatrzeniu poetycznem znaleść można wyobrażenia podobne.

Alles Vergängliche
Ist nur ein Gleichniß;

Das Unzulängliche
Hier wird's Ereigniß;
Das Unbeschreibliche
Hier ist es gethan;
Das Ewig Weibliche
Zieht uns hinan.

Ale w Goethem są to tylko zarody nierozwinięte. Samowiednie dopiero nasz poeta przekonanie to w dziełach swoich roztacza. On sam w osobie swojej wzniesienie się do teraźniejszych swoich pojęć zawdzięcza pomocy, wpływowi kobiety. Rozpowiada o tem wyraźnie w jednem z dzieł swoich późniejszych, przyrównywając się do Dantego:

Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatriczę moją!

. . . .

W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatrix moja!

. . . .

A jednak, jednak, mój jęk, twe westchnienia
Zmieszane, zlane, przebrzmiały na pienia!
Z dwóch smutków w duszne spojonych zamęście
Wzbił się głos jeden, a tym głosem szczęście!
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła,
Co w serce moje, przez wzrok twój, wróciła!

Na innem miejscu w temże dziele mówi: »Płciowość, polarność, jest prawem powszechnem, prawem jednem i wszechobecnem tak w naturze, jak w duchu, tylko że pod coraz wyższymi kształtami się objawia; naprzykład, biegun ujemny i dodatni w galwaniźmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i kobieta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. Prawo to na tem zależy, że jedna i tażsama siła w naturze, lub idea w duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich nibyto sprzecznie; a wtedy między tymi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei.

Na tej więc zasadzie, i wskutek tak wysokiego stawienia kobiety, poeta ten charakteryzuje postaci niewieście, jako istoty

wspomagające dzieło mężów wyrzeczeniem się siebie, poświęceniem poświęcające ich zamysły. Wszystkie charaktery żeńskie autora naszego noszą na sobie piętno ofiary. Wszystkie bez wyjątku, czy uważać będziemy Grymhildę, czy Elzynoę, czy Kornelią, czy Maryą w Komedyi; czy owę Nienazwaną, córę nieubłaganego »Starca« w Nocy Letniej. Ale najwyraźniej nosi cechę tę dziewica, którą Irydyon przeznaczył zgubie, by przez nią jak przez zwierciadło myśli swoich roztaczać naokół wolę swoją — Kornelia.

Kornelia jest Rzymianką, ród Metellów kończy się na niej (89), duchem jednakże całkiem światu chrześcijańskiemu przynależy, i jest jakby pierwotworem romantycznego porządku. »Oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary« (89). »Kto zbada tajnie jej bytu, kto schwyci źródła jej życia? — ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziemnych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyłudzająca urodę. — Sam Fidiaszby jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłótem — ona całą piękność swoję uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu!« (90).

Między niepojętą tą istotą a Irydyonem od razu, przy pierwszem spotkaniu, zawiązał się węzeł wiekuisty a mimowolny; snać zachodzi między nimi tajemnicze a wewnętrzne jakieś pokrewieństwo, iż zdaje się, jakby te dwie dusze były szukały się od dawna. Ona Irydyona pierwsza nauczyła modlitwy swojej, ona się za niego modli, pokutuje za niego ciężko wiele dni i nocy (104); wie — jak sama powiada — że się urodziła żeby go zbawić (108). Dreszcz ją przejmuje, gdy zstąpiwszy z powziętym zamiarem Irydyon do katakomb, opowiada jej dzieje Amfilocha, i przeznaczenie swoje odsłania (108 — 109), że zemsta jedynem dobrem jego, że on w zemście żyć musi, żyć i skonać (111). Ona wie, że Irydyon za to zgubiony, potępiony na wieki: a jednak nie może oprzeć się »ogniowi wiekuistemu, ogniowi Cherubów, co mu w oczach jaśnieje« (112). Nalega na nią Irydyon: uwierz, ja wodzem ludu twego — uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie, by nie powstać więcej (113). Kornelia czuje, że nie powinna uwierzyć; wyciąga ręce do Chrystusa, wzywa świętych popioły, aby ją strzegły tej nocy (115): a jednak człowiek ten tak demoniczną potęgę na nią wywiera, »że jako prorok, i jako święty, i jako archanioł stoi w jej oczach i mówi, a ona go słucha, i chciałaby skonać« (113). I stało się, że przeparła siła męża i uległo czucie niewieście! Za sprawą Masynissy, niewidzialnie im obecnego (118), zawierzyła — nie tylko

słowom ale i osobie kusiciela. Szuka Boga, Pana swego i znaleść go nie może; »rozprzęgło się coś w duszy jej, coś jej się w głowie usuwa, coś w sercu pęka«. Chciałaby przed nim uciekać, nie może. »Coś nieśmiertelnego opasało ją, niewidzialnych ramion dwoje przybiło ją do tego, którego ona chciała zbawić« (117). Irydyon bolejąc, czując się opasanym siłą srogiego Fatum, ale posłuszny tej sile, zrywa jej welon, i wyciska na bladem jej czole pocałunek zguby i zabicia duszy niewinnej. I odtąd Kornelia, pod wpływem ciągłego szału, widzi w nim samego nawet Chrystusa, i nie przestanie widzieć aż do samego skonania. Stała się tedy wreszcie odgłosem jego myśli i woli; biega po katakombach, roznosi wszędzie głos Irydyona: do broni! (120). Budzi świat grobów z grobów, świat umarłych ku życiu w czynach, zamiast religijnej zadumy, i uzbraja w oręże ku dziełu zemsty.

Powiedzieliśmy już wyżej, że zaczął był Irydyon najprzód od nawracania starszych chrześcijan na wolę swoją, ale obumarłe na sprawy świata tego ich duchy nie dały mu się nakłonić. Potem dopiero, gdy co do tamtych stracił wszelką nadzieję, przystąpił do młodszych, i tych zdołał zapalić żądzą boju i zemsty. Nastąpiło to wskutek porywającej wymowy jego i nieustannej a niewidzialnej przytomności Masynissy. Scena ta, gdzie to przyłączenie się chrześcijan do Irydyona jest wystawione, należy do najdramatyczniejszych całego dzieła. Jest to prawdziwa potyczka duchów i myśli. Zgromadzili się Nazareńczykowie w umówionem miejscu, na pograniczu świętych grobów, na cmentarzach starych pogan, przy blasku pochodni. Przyszli starcy, przyszli młodzieńcy; tych ostatnich większa była liczba, a gorące ich serca, i do czynu pochopne duchy w jednej osobie swojej wyobraża Symeon. Prócz właściwego wszystkim Nazareńczykom zapału i żarliwości religijnej, nurtuje w nim własny płomień, z własnej przeszłości i cierpień jego poczęty. Nie zapomniał on krzywdy, jaką zraniła go dzikość pogańskiego imperatora, i łatwo w nim więc obudzić pragnienie zemsty (122). Wierzył i on dawniej, »że niesprawiedliwość znosić trzeba, by doczerpieć się nieba«: ale tej wiary zaniechał, skoro poznał się z Irydyonem. Z krzyżem w dłoni woła on teraz, synowi Hellady świadcząc: kto się upomniał aż dotąd o obelgi Syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt go nie napoił! Oto kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie: dlaczego opuściłeś mnie Ojcze? Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścimy? — Ta wymowa

i Symeona z Koryntu i Irydyona zagłuszała w pamiętnej owej nocy grobowe jęki starców, co przypominali ciągle, że »puklerzem ich być tylko powinna skrucha, a jedynym orężem modlitwa« (124). Przemagać zaczynał pęd młodzieńczego ducha nad pokorą cierpliwą w zebranych, i zapragnęło wielu pomścić »Niezemszczonego, Ukrzyżowanego« — wyrwać krzyż, w pieczarach dotąd przechowywany, i zatknąć go w obliczu dziennego słońca na Kapitolu; to zaś wszystko, co dotąd zalegało przestrzeń starego świata, strącić w przepaść zapomnienia wiecznego. Gdy tak się już nakłaniać zaczęły myśli zebranych, wpadła obłąkana Kornelia wpośród ich grona z rozpuszczonym włosem, w ustach z wieszczym głosem objawienia. Niepewne dotąd szyki, czy pozostać przy nakazie wiary zalecającym cierpliwe znoszenie, czy rzucić się w przepaść wrzawy, ziemskich walk, dopominając się już w tem życiu sprawiedliwości — ten mówię bój dotąd w umysłach nierozegrany, ona ostatecznie rozstrzygnęła swojem wołaniem do broni, i tak dokonało się zwycięstwo Irydyona, przez które i chrześcijan już nawet podbił pod panowanie myśli swojej jedynej, aby pełniąc w rozumieniu swojem cele Chrystusa, spełnili w rzeczy samej pod Irydyona przywodem zemstę nad Rzymem za Grecyą.

Zdawało się, że dopełnił Irydyon wszystkich warunków zwycięstwa, że pozyskał sobie wszystkie potęgi, które świat ówczesny powalić mogły w gruzy. Ma w ręku swoim panowanie nad Cezarem. Rządzi nad całą masą ludu znędzniałego, nad niewolnikami i rzeszą gladiatorów. Jedno wspomnienie matki jego Grymhildy uczyniło go władcą wszystkich barbarzyńców. (Synu Grymhildy, wołają oni ku niemu, ślubujem tobie ciało nasze, jakeśmy duszę poślubili nowemu Bogu. Błękitno-oki, długo-włosy nie zdradzi ciebie). Teraz oto zaprzągł do rydwanu swej woli i Nazareńczyków. Ma więc wszystkie te siły, których połączony hufiec powalić może kolos pogańskiej Romy. — Jednakże są to siły pozorne. Powiązała je nie szczerość i rzeczywistość, ale obłuda. Przy pierwszej sposobności odpadną oni od uczestnictwa w Irydyonowych zamysłach. Mianowicie fałszywe tu są rachuby na pomoc chrześcijan, którzy zanadto różni dążnością od celów jego, żeby ich wspólnie mieli dokonać, i zanadto wzniośli, żeby się za narzędzia użyć pozwolili. Żywioły te muszą się rozpaść. Barbarzyńcy go nie zdradzą, ani gladiatorowie, bo ich sobie pozyskał bez zdrady, bez podstępu. Nie sprawie Irydyona, ale osobie jego oni się oddali na wieki. Ale możnaż tosamo

powiedzieć i o Nazareńczykach? — Cele ich a Irydyona różne; chrześcijanie pogaństwo tylko zniweczyć w Rzymie, Irydyon całe miasto zgładzić pragnie. Oni krzyż zatknąć na Kapitolu — on cały Kapitol zburzyć. Oni za Chrystusa będą walczyli, on za pogańską Helladę. Krom tego, cały ten sojusz z chrześcijanami tylko na podstępie polega. Jakiegoż to potrzeba było rusztowania, nim je powiązać potrafił! Trzeba mu dopiero było świętą dziewicę zdradzić, zdradzoną w szał wprawić, przez szał uczynić z niej echo swojej woli, zwierciadło swojej myśli, nim przystąpił do zawiązania węzła między sobą a tajemniczem tem gronem. A i tu ciągle dopomagała przytomność niewidzialnego Masynisy, któremu w chwili zwycięstwa nad umysłami, w chwili gdy mu pomoc zaprzysięgają, dziękuje za nią Irydyon (»przez ciebie Masynisso zwyciężam!« 109).

Z góry więc zapowiedzieć sobie możemy, że węzeł ten sztuczny pryśnie. Choć go Irydyon zawikłał niby silnie i kilkakrotnie, nie umieścił go w sercu swojem, bo nie jest chrześcijaninem; a nie jest nim nie przeto, żeby miał Chrystusowi (jak n. p. Masynissa) zaprzeczać, ale że uczucia nowe i nad świat starożytny wyższe, są posłannictwu jego obce, nie obchodzą go i nie mogą obchodzić. Życie jego przy urodzeniu, a powtórnie w godzinie konania ojca, jest ujęte w nieporuszone granice. Nieubłagane Fatum, któremu Irydyon jako postać starożytna podlega, nie dozwala mu wybiec poza te granice; a w tem właśnie cała tragiczność, dla której walczyć musi, ale tak iż zwyciężyć nie może. Gdyby został istotnie chrześcijaninem, miałby od razu na swoje usługi cały orszak Nazareńczyków, ale wtedy nie dozwoliłaby mu wiara mieszać się w boje i sprawy pomsty. Dlatego chrześcijaninem zostać nie mógł; a że jednak pomocy chrześcijan potrzebuje, udać się musiał do podstępu. Tak opierając się na obłudzie i fałszu, dokazał wprawdzie, że będzie mógł rozpocząć walkę; lecz zwycięstwa nie osięgnie.

Tu zapyta może niejeden: a gdzież jest ta potęga, która mu czoło stawić potrafi? Wszystko wspiera jego zamysły. Zdaje się, że nie będzie miał nawet z kim już walczyć. Dość miasto podpalić i zgnieść motłoch pierzchliwy, a bogi Many Amfilocha Greka będą miały, o co im chodzi.

Byłoby tak, gdyby na Irydyonie z góry nie ciężyła konieczność upadku. Irydyon musi ulec — mniejsza o to, naprzeciw jakiej

Wypuszczono 5 wierszy pierwotnego tekstu, Przegl. Pozn. 1897 str. 182

" 3 " " " " " " " 203

sile. Dość na tej konieczności. Znajdzie się już zwycięzca, skoro ktoś na zwyciężonego skazany. Tak zawsze dzieje się w sprawach świata naszego. I nad Irydyonem nie przemogła żadna wyższa idea, ale tylko poprostu osobisty przeciwnik Heliogabala. Nie będziemy się tu zapuszczali w charakterystykę stronnictwa Alexandra Severa, (jemu to bowiem pozwolił — nie wiem, los czy przypadek, zwyciężyć Irydyona). Zbędziemy ją krótko dlatego, że Irydyon uległ własnej niemocy, a nie owej gawiedzi, która przypadkiem wybrana została przez wyższą siłę na narzędzie jego upadku. Nie byłby ni Tytanów grom powalił o ziemię, gdyby nie był wypadł z ręki Jowisza. Tak i Alexander Severus nie przez siebie zwyciężył nad Irydyonem, ale przez fatalizm nad tegoż sprawą ciężący. Bo i dlaczegoż miałaby wyjść zwycięsko z walki zgraja taka, która za to zwala Heliogabala z tronu, że im obiecanego amfiteatru nie raczył wystawić, i że należnych nagród nie rozdał? (143). Sam Alexander, co prawda, mógłby stanąć obok najwznioślejszych postaci starożytnej republiki, a nawet przewyższyłby może Katona i wszystkich innych szlachetnych: ale sam poeta nadmienia, że jest to kropla szlachetności w oceanie zgnilizny i podłości. »Młoda latorośl, której dni krótkie; z uniesień jego ku piękności i cnocie śladu nie zostanie — przejdzie jak dźwięk niesłyszany od ludzi, tylko znany bogom« (147). Indywiduum takie, choć w sobie samym najczystsze i najwznioślejsze, nie przeprowadza nigdy w świecie swych myśli, jeżeli postawią je losy w świecie przegniłym, na czele spodlonej partyi. Nie zdoła ono oczyścić jej duchem swoim z brudów zgrzybiałej nieprawości. Jest w czasie swoim wyjątkiem. Tak i owa szczytność republikańskiej cnoty Alexandra obcą była całemu jego otoczeniu, i właśnie przeto nie byłby on zwyciężył Irydyona w tej walce, gdyby Irydyon na to nie był z głębszych przyczyn skazany. Że właśnie uległ Alexandrowi, że właśnie w taki sposób, jak to poeta w trzeciej części dzieła wystawia i t. d. — wszystko to są przypadkowości, o które tu mniej chodzi, gdyż byłyby mogły i inne okoliczności ową sprawę doprowadzić do tegosamego końca.

Zamach tedy Alexandra Severa na tron Heliogabala przyspieszył godzinę długo gotowanej w zamysłach Irydyona burzy. W jednej nocy uderzą na siebie te siły ku przeciwnym celom dążące. Alexander napada miasto, by Heliogabala zwalić i sam zasieść na jego tronie. Irydyon w Cezara imieniu, z pierścieniem Cezara na palcu wystąpi, aby go odeprzeć, a potem całe miasto zburzyć, spalić

i nawet ślady po niem zatrzeć. Tak dwa osobne sprzysiężenia spotkać się mają w nocy jednej, i zaczną walczyć: jedno — o przedłużenie gnijącej starości Rzymu, drugie — o zniszczenie jego natychmiast. Przed rozpoczęciem walki spotkali się jeszcze sam na sam dwaj bogowie przeciwnych biegunów, Irydyon i Alexander. Scena podobna do owej sceny w Komedyi, gdzie Henryk i Pankracy samowtór widzą się w nocnej porze i walczą najprzód pojedynczo duchami, nim nazajutrz rozpoczną walkę na placu bitwy i tysiącami uderzą przeciw tysiącom. Tylko że Henryk i Pankracy nienawidzą się z całej duszy i jeden drugim pogardza. Ci tu zaś nawzajem uwielbiają się i byliby sobie przyjaciołmi i braćmi, gdyby ich losy nie rozdzieliły i nie stawiły naprzeciw. »Gdyby mnie Losy stworzyły człowiekiem (mówi Irydyon) i serce moje chciały uposażyć błogim darem przyjaciela, byłbym je prosił o ciebie. Teraz chyba żelaza piersi naszych zetrą się na polu bitwy! Oba stoimy nad grobem, i nim trzecia wejdzie zorza, jeden z nas zstąpi do Erebu« (146, 148). Co dla jednego jest celem całego życia, na to drugi się wzdryga. I tak wielbiąc Alexandra Irydyon, musi z nim walczyć, bo on jeden tylko Romę wydziera z objęć nienawiści jego (159).

Szturm do miasta rozpoczęty, wewnątrz miasta takoż dzieło zagłady już zawrzało. Szturmującym przywodzi Alexander: tu Irydyon. Całe swe siły rozłożył on po wszystkich końcach Rzymu, o godzinie trzeciej w nocy chrześcijanie z podziemnych kryjówek wypaść przyrzekli, i wtedy nastąpi w nieubłagany sposób długo oczekiwany koniec. Tymczasem gladiatorowie i barbarzyńcy przebiegają miasto z zniszczeniem i ogniem — zwyciężają, a jeśli który polegnie, pada dla chwały Irydyona, błogosławiąc jemu (171). Wszystko dzieje mu się po myśli — zdaje się, że nareszcie trafiła łódź jego życia na sam prąd szczęścia i pędzi do pożądanej przystani. Kruszy mu się Rzym przed oczami powoli. Wtargnął do senatu, rozpędził Spisanych Ojców z kuryi, musieli pierzchnąć przed gniewem i ręką jego, choć się Jowiszem świadczyli, choć udawali Katonów. Wreszcie zbliżyła się i naznaczona godzina. W chwili tej stanowczej patrzmy na Irydyona: stanął u szczytu potęgi; lubuje się w swem szczęściu: »Im bliżej godziny, tem srożej krew moja szaleje. Teraz poznaję noc ostatnią Rzymu! Wszyscy dotrzymali słowa, wszyscy z domu Amfilocha idą na zgubę Romy, Nazarenów tylko jeszcze nie widać, ale Symeon przysiągł, że o trzeciej go-

dzinie sam ich przyprowadzi do mnie« (172). Nakoniec Hesperus stanął już nad Kapitolem, i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wzniosły, wybiła owa fatalna godzina, ale minęła napróżno, i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie — bo Nazareńczykowie nie przyszli. Wpadł tylko posłannik z wieścią, że Biskup na progach Eloimu wszystkich zbrojnych zatrzymał przekleństwem. — Wiedział Irydyon od dawna, i często powtarzał, że zginie, jeśliby go chrześcijanie zdradzili. Tego się oto doczekał. Ta jedna wiadomość kończy i rozwiązuje wszystko — i nic mu już teraz nie zostaje, jak zginąć. A więc, aby wbrew Losom i ludziom stała się wola ojca jego, wybiega z mieczem bez hełmu: bo aby zwyciężyć, dość miecza; by zginąć, nie potrzeba hełmu (175).

Nim się jednak rzucił w wir boju, zstąpił do podziemnych katakomb, aby przypomnieć im tam przysięgę, raz jeszcze wezwać do walki. Odbywał się tam właśnie sąd wielki. Na czele kapłanów i starców, ze stopni ołtarza, wyklinał Wiktor Symeona z Koryntu i świętą niegdyś, teraz potępioną dziewicę, Kornelię. Jednem słowem Chrystusa: królestwo moje nie jest z tego świata, zniszczył biskup cały żar wymowy Symeona, powalił zbrojnych chrześcijan na kolana. W obliczu martwej jego cnoty, jak mara rozchwiały się wszystkie usiłowania, przez które Irydyon z Masynissą uwikłał w panowanie swoje świat ów tajemniczy (177). Jedna tylko Kornelia świadczyć nie przestaje Irydyonowi, widzi w nim ciągle głos Pana. Kiedy jednak położył biskup na jej głowie dłoń swoją i wodą święconą skronie jej zrosił, i wsparty kapłanów modłami, zaklął do nawrócenia się serce jej obłąkane, krzyż do ust podał: w tej dopiero chwili opuściło i onę, ale wraz z życiem, opętanie i szał, który od owej tam chwili był dla niej całą siłą żywotną. Blada, konając, wyrzekła: umieram, sąd Pana dopełnia się nade mną, ale umieram w Panu! A obracając się do Irydyona, dodała słowa ostatnie: Ach! przebaczam ci Hieronimie; Hieronimie módl się do Chrystusa! (183). Opuszczony Irydyon, wyłączony z ich grona i przeklęty przez »Niewolnika starców« na wieki, widząc zniweczoną całą pracę swoją, oddala się z podziemnego ich ustronia, i tam gdzie go rozpaczna śmierć czeka, idzie samotny. Jedni tylko z pomiędzy chrześcijan barbarzyńcy, choć wiedzą już, że to sprawa nie Chrystusowa, idą za nim, wołając Odyn i Grymhilda! Jest to germańska wierność, która ich do Irydyona przykuła. Oni jedni go

nie opuścili, gdyż ich rzeczywiste węzły z nim łączą, bo istotnie i bez zdrady panuje syn Germanki nad nimi.

W chwili, kiedy Wiktor Hieronima z pośród synów swoich wyklinał, Alexander Severus wkroczył do miasta (185). Wyszedłszy z podziemnych świątyń na światło dnia, napotyka Irydyon na każdym kroku już tylko poległe ciała wiernych sług swoich, co o własnej sile pokusili się staczać nierówne walki z zalewającem ze wszystkich stron miasto żołnierstwem Alexandra Severa. Śmierci on już tylko szuka, sam śmierć roznosząc naokół. Chociaż rozpacz ociemniła mu duszę, wre on całą mocą życia. Duchy ginących sług jego przelewają się weń; stał się Tytanem, i płynie jak lawa paląc ciskanemi pochodniami, rozognionemi strzały, kipiącą naftą. On jeden całe rozpiera tłumy, wszędzie zwycięża. A jednak czasem się wstrzyma, odwróci oczy od krwi przelewu, i broń z dłoni wypuści: dolatują go ciągle głosy: Chrystus! Chrystus! co jakby z głębi jego ducha się wznoszą. Są to objawy ducha Kornelii, i teraz mu wszędzie przytomnej (215). Ale cóż mu po tem imieniu? Jemu niewolno wstrzymać się na drodze, po której iść już musi do końca.

Nakoniec przebrało się i zabrakło mu na wiernych obrońcach — czas więc zakończyć! Najwaleczniejsi polegli, najwierniejsi odstąpili nieszczęśliwego w złej chwili. Więc gdy już pałac Irydyonowy zwycięski orszak otoczył wokół, a złote trąby legionów obwieszczają przyjście nowego Cezara; gdy ten oto nadchodzi zaprząc zwyciężonego do tryumfalnego rydwanu: wstąpił Irydyon na stos i przyłożył zapaloną pochodnię, aby umrzeć »syt goryczy i krótkich dni swoich« (221). Lecz w tej chwili staje przy nim Masynissa, porywa go w swoje objęcia i unosi z niebezpieczeństwa — »zapada z nim«. wypuszczony przewrotny text.

Przez cały przebieg dramatu otaczała Irydyona ta postać tajemnicza, jako siła widzialnie (niekiedy i niewidzialnie) przytomna i nieodstępna, która go wspomaga, w powziętej myśli umacnia, nasuwa środki do tem prędszego przeprowadzenia zamiarów. Ingerencya ta, przeprowadzona przez poetę zresztą w mierze właściwej (a chcę przez to powiedzieć, że nie tak, iżby zniżała samodzielność bohatera kreacyi, czyniąc z niego obcej woli narzędzie, a więc raczej współdziałanie niż ingerencya) — przedstawiała nam się aż dotąd w taki sposób, że niełatwo było odgadnąć, jakie właściwie podkłada temu czynnikowi autor znaczenie. Jestli to tylko poetycka personifikacya? wcielenie abstrakcyjnego pojęcia? wyłączne

jednostronne uosobienie tych wszystkich ujemnych i ciemnych instynktów, które się w Irydyonie i z dobremi uczuciami łączą, choć tych ostatnich siła w nim słabsza niż pierwszych? Czy przeciwnie należy nam widzieć w Masynissie nie symboliczne tylko wyobrażenie oderwanej idei Złego, nie sztuczny umysłu ludzkiego wytwor, który poza wyobraźnią naszą nie ma przedmiotowego istnienia, lecz wręcz i dosłownie demoniczną istotę w jej tradycyjnej, wiarą przekazanej formie, więc szatana z własnymi jego od początku świata celami?

Dalsze karty dzieła tu rozbieranego nie zostawiają żadnej wątpliwości, że w tejto właśnie drugiej roli postać ta działa w dramacie. Z jakich przyczyn nadał autor temu wrogowi odwiecznemu ludzkości to właśnie imię pradawnego, Hannibalowi współczesnego króla Numidyi — z tego się nie tłómaczy. Być może, że skoro w dziele niniejszem o analizę pojęcia miłości ojczyzny, patryotyzmu chodziło, i o ukazanie doraźne tego, co w tem pojęciu jest złem, poziomem, negacyą: upatrzył sobie poeta w tej figurze wywołanej z zapadłej, przedklasycznej epoki, prototyp patryotyzmu, jakim być niepowinien, choć takim w tamtej epoce był. I ten punkt wyjścia w rozwoju idei, zdolnej coraz wyższych stopni i na to przeznaczonej, ażeby stopniowo coraz więcej się uzacniała; ten obstający upornie przy stanowisku pierwotnem raczej elementarno-zwierzęcy egoizm, niż patryotyzm, widział ucieleśniony w tym »wiecznym zachmurzonym starcu z mauretańskich pustyń«. W jego zatem indywidualność przyoblekł tym razem szatana odpowiednio do roli, w jakiej występuje w tem dziele.

Za sprawą Masynissy Irydyon nie spłonął zatem na stosie, nie dostał się w ręce okrążających go wrogów.

Życia, jak był postanowił, nie stracił; został zaniesiony w ustronne, spokojne, od placu boju dalekie miejsce. Jednakże moralnie przecięte zostało pasmo jego żywotne. »Człowiek raz tylko żyje, ten raz przyszedł dla mnie: ja skonałem wczoraj« (223). — W tym jakby pośmiertnym, w tym drugim zawodzie istnienia, jakież jego uczucia? — Rozpacz — żal, że mimo wszystkiego żyje jeszcze; poczynający się wstręt do dawnych podniet działania, uprzytomnionych w Masynissie, który go nie odstępuje. Ten stara się wzbudzić w nim nowe źródła żywotności. »Synu, twój zawód nie ukończył się jeszcze!« — Masynissa nie mógł dopuścić do tego wczoraj, żeby Irydyon w boju zginął. Idea tego syna Hellady

łączyła w sobie i wzniosłe uczucia: te się na nic szatanowi nie zdadzą. Osoba Irydyona była wcieleniem tej idei. Takiej duszy, niepozbawionej choćby w drobniejszej mierze dobrych pierwiastków, Masynissa nie może posieść. Wtedy dopiero nią zawładnie, kiedy się ona stanie bezwarunkowo jemu podobną, kiedy się do reszty tego lepszego pozbędzie: i takito sens powiedzenia »twój zawód nie skończył się jeszcze«. Ale uczucia, które teraz Irydyonem miotają, jeszcze dalszym go ukazują od upragnionej tamtemu mety, niżeli to było wczoraj. Do żalu zmarnowanych pragnień dołącza się i żal »niewinnej, którą szatanowi poświęcił«. Jej duch rozpłynął w powietrzu na jęki. Irydyon te jęki słyszy. Krzyż Kornelii widzi na błękitach. Rodzi się w sumieniu jego pytanie, czy jej Bóg nie jest rzeczywiście jedynym prawdziwym Bogiem? Co większa, rodzi się w nim życzenie, żeby tak było! »Ach! gdyby jej Bóg był jedyną prawdą świata!« — To usposobienie bardzo nie na rękę dla Masynissy. Wręcz zapytany, jako istota rzekomo wszystkowiedząca, czy tak jest? czy Chrystus jest panem nieba i ziemi? z największą niechęcią przywtarza (»Sam wyrzekłeś« 225), i jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wrogowi — świadczy Bogu Kornelii. Lecz władza i panowanie jego, powiada, do czasu. Dziś tak jest. Ale są światy i będą wieki, »kędy jego imię zmazane«. — Kiedy mimo to słyszy z ust Irydyona wyrzut, że go zwiódł, że go zgubił, że w tych wszystkich jego niby-wierzeniach i spodziewaniach ni wiary ni nadziei nie widać: szatan zażegnywa rodzące się to przeczucie prawdy w sposób, który sam jeden mógł podziałać jeszcze na Irydyona. — Oto wiedz, że to miasto twej nienawiści, ta Roma obecnie zmurszała w swych posadach, będzie jeszcze raz ubóstwiona przed narodami świata. A kto ją od upadku ocali, kto ją podniesie tak wysoko? Oto właśnie ten bóg, o którego się tak dopytujesz, Bóg Kornelii, Nazareńczyk!

Przepowiednia świetności Rzymu jako stolicy Kościoła nie chybia. Pogrąża Irydyona w ponowną rozpacz i obrzydza mu ideę, w imię której ma się to stać. Nie wystarcza to Masynissie. Bierna rozpacz jego ofiary nie wchodzi w rachuby szatana. Ten człowiek jest mu potrzebny jako czynne narzędzie działania. Więc nie rozpaczaj, mówi do niego, bo i ta druga świetność Romy nie będzie wieczna. Przyjdzie czas, że i ten Krzyż spieką się będzie wydawał ludom. Powstaną narody jedne po drugich i rzekną: nie służymy więcej, wypowiadamy Kościołowi posłuch. Opuszczą Krzyż, odepchną

wiarę. Wtedy z miasta tego nie pozostaną jak gruzy i nicość, od tej pory płacz geniusza tego miasta nie skończy się przenigdy.

Na te słowa duch ożył w Irydyonie, ale chce wiedzieć, kiedy to będzie. Masynissa, który jak się niżej okaże, okłamuje sam siebie tą nadzieją upadku nie tylko Romy pogańskiej, lecz i Kościoła, nie umie czasu tej katastrofy bliżej oznaczyć. Tyle wie tylko, że do tego bardzo daleko. »Sam ledwo to przeczuwam« (227) — Takie widoki, taką pociechę odtrąca od siebie Irydyon, a z nią razem i samego pocieszyciela. Woli zagasnąć w wieczności, jakim jest. »Odejdź! Ni tobie ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej«. — Tu zaczyna Masynissa z innego tekstu. Więc nasamprzód przyrzeczenie, że Irydyon dożyje owej dalekiej przyszłości; że jej dożyje nie targany żadnem ubocznem uczuciem, w niewiedzy i niepamięci wszystkiego co było i co będzie, a w pełni sił, żądz i żywotności młodzieńczej, używając wszelkich rozkoszy, jakich ziemia dostarczyć może. — Tę propozycyę szczęścia w epikurejskiej kałuży Irydyon odrzuca. Więc następnie kuszon jest ponętami władzy i sławy. Rzuci mu pod stopy szatan w dalekich gdzieś stronach plemię posłuszne a bitne. Będzie tam królem, może zwodzić zwycięskie wojny, użyje pochlebstw, ukocha siebie w tym majestacie tak, jako dawniej Helladę kochał. Wśród takich okoliczności doczeka chwili, gdzie go wezwie Masynissa do s w o j e j walki (z chrześcijańskim Rzymem, chylącym się do upadku). — I ten układ na wzgardę tylko ze strony Irydyona natrafia. Więc nakoniec jeszcze jedna — ostatnia próba ugody, i na tę druga strona przystaje. Oto uśpienie przez cały ten ogrom czasu, przedzielający wiek naszego dramatu od doby, kiedy na Forum będą tylko prochy, na Cyrku tylko kości, na Kapitolu hańba tylko. Tę przestrzeń dziejów prześpi Irydyon, bez świadomości siebie i wszystkiego co się tymczasem będzie działo — aż do chwili dopełnienia jedynej żądzy jego: mściwie deptać ruiny i popioły. — Za tę cenę wyrzeka on się wiary, nadziei, miłości, wyrzeka się Tego, co go Masynissa wrogiem swym zowie, nie zważa na jęk rozpaczy w powietrzu przelatujący mu ponad głową, kiedy to »wyrzekam się« wymawiał. Puszcza mimo siebie widok łez krwawych, sączących się z pękającej w sztuki opoki, i burzę nad morzem się zrywającą, i wołanie jakieś jego imienia. Nie zważa na to wszystko i kroczy na ów sen nieprzespany z słowami: Mnie Rzym, tobie duszę moją.

Właściwy dramat w tem miejscu się kończy. Następuje jako epilog »Dokończenie«, w którem autor opowieściowo, aforystycznie, już tylko naszkicował dalsze losy bohatera swojej kreacyi. Przenosi nas tutaj w czasy, kiedy Masynissa z wiekowego snu przywołuje Irydyona do czynu. Przespał on ten długi szereg wieków, jako mu było przyrzeczonem. Nie zasłyszał ani o wędrówkach ludów, od których się średniowiekowy okres dziejów rozpoczął, ani o wznowieniu władzy na dawnych cesarskich tradycyach, dokonanem przez Karola W., ani o próbach nadaremnych wskrzeszenia republikańskich wspomnień przez włoskich trybunów ludu. Cały ten czas i cały szereg papieży, moralnie władnących światem, przebiegł dla niego tak, jak gdyby nie był miał miejsca w historyi. Leżał tak na swem posłaniu zawieszony między snem a śmiercią, między ostatnią myślą z którą zasnął, a tą co niedługo się w nim obudzi; między potępieniem przebytego dotąd życia a potępieniem i nadal, potępieniem na wieki. »Przebudzenie stanie się dla niego dniem sądu, bliższym dlań, niż dla reszty świata«. Obecnie dzień ten już nadszedł, Masynissa obudza go z letargu, wiedzie za sobą i oprowadza po Rzymie.

Nie jest dość jasno uwydatnionem, w jakie czasy nas tu przenosi poeta. Czy to stan rzeczy teraźniejszy, współczesny wykonaniu tego utworu, czy dalsza przyszłość? Będę się starał tak streścić osnowę tych ostatnich ustępów, ażeby z tego wynikła i odpowiedź na pytanie tu poruszone.

Masynissa oprowadza Przebudzonego po Rzymie, by go przekonać, że słowa swego dotrzymał, że się spełniło, co przepowiadał, że zatem wobec dokonanych przezeń warunków należy i drugiej stronie dotrzymać swej obietnicy.

Chodziło o ukazanie w poniżeniu i gruzach dwóch światów: Romy pogańskiej i chrześcijańskiego Rzymu. Roma antiqua rzeczywiście przedstawia tylko zniszczenie. Kampania rzymska zamieniona na pustynię. Z wodociągów nie pozostało, jak poczerniałe odłamy, ponad stosami rozpadłych głazów, przysypanych kurzawą. Siedmioro wzgórz — osierocone z świątyń dawnym bogom wzniesionych. Po amfiteatrach — tylko niziny z nich owdowiałe. Cały przepych dzieł dawnych imperatorów, kolumny, termy, cyrki, portyki, pałace, mauzolea na via Appia, — wszystko to proch i ruina. Łuk Septimiusa Sewera zapadł po piersi w rumowisku. Co jeszcze nie zaklęsło w ziemi, sterczy jak szkielet. Z nad szczytów Kapitolu krzyk

tylko puszczyka słychać, z przyległych ulic skowyczenie psa, błądzącego po rozwalinach. Chaty dzisiejszych mieszkańców nędzne, a ci mieszkańcy w łachmanach, liczebnie przerzedzeni, żebraki. Słowem, ta niegdyś majestatem swoim do rozpaczy przywodząca swych wrogów stolica świata w takim dziś stanie, że Irydyon nic z niej odnaleść, nic poznać, nic nazwać nie zdołał w godzinie swego tryumfu.

A w jakimże stanie sprawa Krzyża, Rzym jako stolica Kościoła? Warto tu przypomnieć sobie, jakie w tej mierze były obietnice szatana. »Przyjdzie czas, mówił wtedy Irydyonowi, w którym cień Krzyża spieką się wyda narodom. Nadarmo on wytęży ramiona, by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. Jedni po drugich powstaną i rzekną: nie służymy więcej!« (226). — Czy ta przyszłość zapowiedziana stała się aktualnością? Czy ją Masynissa, tak jak tamte ruiny, ukazuje swemu towarzyszowi? Cóż w ogólności jest, co on mu może okazać? — Oto go wiedzie do jednej z bazylik i w krużganku tej świątyni spotykają dwóch starców w purpurowych płaszczach. Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt Kościoła; ale na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli, a głowy ich przysypane siwizną. Powóz, do którego wsiedli, ciągną konie schorzałe; za powozem sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającem z głodu; na ramach u okien powozu i na listwach ostatek pozłoty (238). — Cały ten obraz symbolizuje zestarzenie się instytucyi reprezentowanej przez tych kardynałów, i co za tem idzie: wycieńczenie duchowe i ubytek dawnej materyalnej świetności. Niechby nasuwał i myśl czegoś więcej: możliwego kiedyś »skonania z głodu«. Ale dlaczegoż nie zaczekał Masynissa na czas, kiedy i to dokonanym faktem się stanie. Wszakże ruinę pogańskiej Romy mógł był Irydyonowi ukazać już o kilka wieków dawniej. Dlaczegoż zwlekał? Bo oto czekał, aż i to drugie będzie sposobnem do ukazania. Ale skoro miał cierpliwość po temu, to dlaczego nie poczekał i dłużej, ażby wszystko stało się takiem, jak zapowiedział? Gdzież owa spieka, gdzie owe odchodzące narody, gdzie owo powszechne wypowiedzenie posłuszeństwa Krzyżowi? Zamiast tego — oto starość obecnych form idei Chrystusa, przyćmienie dawniejszej świetności Kościoła To on jest w stanie chwilowo ukazać, ale nic więcej.

Jest jeszcze i drugie miejsce, określające kwestyę tu omawianą, ale to jeszcze szczędniejsze w słowa znamienne. W owej

chwili, kiedy z uśpienia powoływano Irydyona do ponownego życia, »dano mu wiedzę lat zbiegłych od momentu kiedy zasnął aż do doby obecnej, tak iż, jak gdyby to były dzieje jednego dnia, ujrzał przed sobą wszystkie męki Rzymu i tryumfy Krzyża« (235). Przeciągają więc przed ducha jego oczyma postaci wszystkich papieżów. Idą w towarzystwie królów — tłumy za nimi. Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni, z znakiem zbawienia w ręku, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy. »Ale im bliżej epoki obecnej, tem mniej orszaku, tem głuchsze stąpania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie«. — Cóż zatem tu podniesiono? — Pominąwszy alluzyę do reformacyi, i do pewnego, częściowego oziębienia w wierze ostatnich pokoleń, znowu przedewszystkiem dawność, starość Kościoła. Tego tylko uczepia się Masynissa, by tą chwilową stagnacyą okłamać siebie samego, a w konsekwencyi wmówić i w drugich, że to konanie, że to dopełnienie widoku ruin, które zapowiedział okazać. Gdyby był pewny, że czego tak pragnie, nastąpi: byłby niewątpliwie odwlekł zbudzenie swojej ofiary ze snu do właściwego czasu *.

Mimo wszystkiego, szalbierstwu temu szatana szczęści się. Kiedy Irydyonowi owych dwóch kardynałów ukazał, z szyderczym

---

* Dziś dopisuję kilka uwag, których w r. 1846, kiedy pisałem ten rozbiór dzieła, nie byłem wstanie jasno postawić. Niewątpliwie Krasiński w tem »Dokończeniu« przedstawiał obraz społeczeństwa, a w szczególności stan Kościoła, jakim był w czasie jemu współczesnym. Bynajmniej zatem nie przenosi nas w tej scenie w jakąś więcej odsuniętą przyszłość, ale maluje aktualny stan rzeczy w r. 1836. Miał przed sobą panowanie Grzegorza XVI i jego poprzedników najbliższych od początku bieżącego stulecia. Te czasy rzeczywiście nie należały do najświetniejszych. Że sam poeta podzielał wiarę, wyznawaną i przez Mickiewicza, że owo pewne przyćmienie myśli żywotnej i nieśmiertelnej w Kościele zapowiada jakiś przełam, przesilenie, reformę: temu dał wyraz nie tylko w dziele tu rozbieranem, ale daleko dobitniej to wyraził w »Legendzie«, stanowiącej zakończenie publikacyi jego ogłoszonej w r. 1840 p. t. Trzy myśli pozostałe po ś. p. Ligenzie. Zdawało mu się, że to odrodzenie nie wnijdzie inaczej w życie, jak kosztem bezwzględnego skazania na zagładę wielu rzeczy skądinąd wzniosłych i pięknych, w których obronie wobec innych narodów tylko nasza dawna Kościołowi wierność wystąpi, choć obronić ich nie potrafi. Te przewidywania się nie ziściły. Po Grzegorzu XVI nastąpił Pius IX, po nim obecny papież — i siła Kościoła odżyła bez żadnych wstrząśnień; uchylenia bowiem doczesnej władzy świeckiej do nich nie zaliczam. Poniekąd zatem mię-

komentarzem, że to następcy Cezarów, a powóz ich, to rydwan kapitolińskiej Fortuny: syn Grecyi spojrzał i klasnął w dłonie. Kiedy go potem przywiódł do Kolizeum i nawet w tej wiekuistej budowie dał mu widzieć arkady przemienione w zwaliska porastające w bluszcz: Oprowadzany podziękował losom za spodloną Romę — i tu miał być koniec pielgrzymki jego, stąd miał pójść, kędy miliony...

Krzyż w pośrodku tej milczącej Areny, cichy, drewniany, poczerniały wiekiem, przypomina mu słyszane niegdyś, jak gdyby to wczoraj było, hymny wyznawców Chrystusa, z którymi w tem miejscu z twarzami pogodnemi konali. I budzą się w nim uczucia dziwne, niebywałe dawniej: nie żal życia, nie strach obranego losu, ale wspomnienie Kornelii i jakiś smutek nad tym krzyżem, znużonym jak on sam, opłakanym jak jego Hellada, nad tym Krzyżem przezeń pogardzonym dawniej dlatego, że się nie nadawał na oręż. Dziśby z nim już nie chciał walki; dziśby mu nie zaprzeczał świętości.

Mimo tych uczuć oddaje się w ręce starcowi, bo przyrzeczonej wiary nie złamie. »Wypiłeś napój, który ci wieki sączyły do czary (słowa Masynissy) i nie zostało kropli. Synu czas! Zorza niedaleka, nam ubiec długą drogę potrzeba«.

Tu jednak wkracza w ten frymark siła wyższa, rządząca niebem i ziemią. Głos, który nie zna oporu, przyzywa starca napowrót przed stopy krzyża. Przed tym trybunałem zapadnie wyrok, czy idea w Irydyonie uosobiona, czy rola spełniona przezeń, choćby nawet omotana w szalbierstwa demona, nadaje się na łup potęgi istniejącej tylko przeczeniem, a werbującej dusze i wole podstępem. Nadaremnie zgrzytając szatan woła: On potępiony! — Nieprawda! W tym rzekomo potępionym nie zagasło żadno z świateł, które już w pierwszym żywocie przyświecały na jego drodze. A do nich przybyły nowe, nieznane dawniej: litość — i przeczucie wiary — i »nadzieja boska« wszczynająca się w sercu, jak owa iskra, co zabłyśnie i znowu mdleje, i tak ciągle na przemian, by wkońcu

---

dzy tem, czem Masynissa tutaj się okłamuje, a przekonaniami tamtoczesnemi (co podkreślam) Krasińskiego, była pewna analogia, z tą jednakże różnicą, że nasz poeta widział w tamtoczesnem pochyleniu papiestwa zapowiedź odżycia w innych formach i w wyższej świetności: tamten zaś widział w nim początek końca i przedświt swego panowania nad światem.

przecie zajaśnieć (244). Jest miłosierdzie boże: Ojciec niebieski raz tylko jeden w wieczności syna własnego opuścił, by odtąd już nie-opuszczać żadnego z dzieci swoich. Jest świadectwo i modlitwa Kornelii: niech będzie zbawion, bo on kochał Grecyę. Dzięki temu świadectwu — i miłosierdziu bożemu, z tego sporu ostatniego idea Irydyona nie wyjdzie tak, by poszła na potępienie.

Nie pójdzie na potępienie, ale i zbawienia jej nie przysądzą. Do tego potrzeba ponownej próby i zwycięsko przebytej. I otóż Irydyon usłyszał głos, przed którym milkną głosy wszystkich duchów:

Idź na północ w imieniu Chrystusa, do ziemi mogił i krzyżów. Idź i zamieszkaj wśród braci, których ci daję. Idź i ufaj imieniu mojemu. Nie szukaj sławy, ale proś o rzetelne dobro narodu. Idź i pracuj, a ciągle i bez wytchnienia. A choćbyś zwątpił o braci twojej, na ucisk i urąganie szczęśliwych i świetnych nie zważaj. Jeżeli zadaniu swemu sprostasz, oni przeminą i ty przeżyjesz ich. I doczekacie się wolności, narodom przyobiecanej na szczycie Golgoty.

Owoż ideał i droga do niego narodowi wytknięta. Czy za nim pójdzie, okaże przyszłość. A wszystko tylko od samych siebie zależy.

Wynik dzieła nic wspólnego nie ma ze skeptycyzmem. Ale od wieszczeń, z góry otrębujących bezwarunkowe tryumfy, równie jest daleki.

JAN ANDRZEJ MORSZTYN,

poeta polski XVII wieku i jego imiennicy*.

I.

Rozpowszechniło się od czasu ogłoszenia Historyi Literatury Bentkowskiego (1814) wyobrażenie o całem z górą stuleciu tak zwanej makaroniczno-panegirycznej epoki, że się w tym przeciągu czasu rodziły w literaturze naszej same tylko niedołężności. Zgon Szymonowicza i Zimorowicza Szymona (1629), ostatnich wyobrazicieli dawnej, zygmuntowskiej poezyi, uważamy zazwyczaj za kres wszelkiego wyższego rymotwórstwa wogóle w prawdziwem znaczeniu wyrazu. Nie widzimy po nich już mistrzów słowa poetyckiego, aż dopiero za panowania Stanisława Augusta. Takiemuż potępieniu bezwarunkowemu podlega i piśmiennictwo prozą w rzeczonym okresie. Co do prozy, przyznać należy, że istotnie niełatwąby było rzeczą dostarczyć przykładów, któreby stanowczo złagodziły ten sąd surowy, chociaż nie brak znośnych utworów z czasu owego, mianowicie na polu dziejów i pamiętnikarstwa, ostatniemi dopiero laty wydanych. Więcej krzywdy, zdaje mi się, wyrządzamy poetom XVII wieku. Nie można zapewne winić za to Bentkowskiego. W czasie, kiedy Bentkowski składał narodowi swój obraz literatury polskiej, nie były jeszcze znane dzieła, które salwują cześć jakiej takiej umysłowości w Polsce za panowania Jana Kazimierza i następnych królów aż do dynastyi saskiej. Poezye Zbigniewowi Morsztynowi przypisywane, Wojnę Chocimską Wacława Potockiego

---

* Artykuł ten był pisany w lutym r. 1859, przed ogłoszeniem pracy Mecherzyńskiego w Bibl. Warsz. (w zeszycie czerwcowym z tegoż roku); te dwie prace uzupełniają się zatem niezawiśle od siebie. Moja rzecz wyszła w Piśmie Zbiorowem Ohryzki, Petersburg 1859.

odszukano i ogłoszono dopiero w ostatnich czasach. Uznanie talentu i zasług Morsztyna, jako i Potockiego, przybierze w przyszłości korzystniejsze jeszcze rozmiary, kiedy reszta ich płodów, czy to jeszcze w rękopisie leżąca, czy też w zbiorowych pismach bezimiennie wydana, wyjdzie na widok publiczny razem i pod imieniem właściwego autora. Co do Morsztyna wytłómaczę się niżej, jak to rozumiem. Co się zaś Potockiego tyczy, przypominam, że lubo teraz już wiadomo każdemu, po odkryciach Szajnochy, że jego są dziełem i Wojna Chocimska i poemat Merkurius Nowy zamieszczony bezimiennie w Wójcickiego Bibliotece Starożytnych Pisarzy (tom I), wiele jednak zalega oprócz tego jeszcze poezyi jego w manuskryptach niedrukowanych. Biblioteka Zakładu Ossolińskich posiada w rękopisie rozległy poemat jego p. t. Smutna przygoda Wirginiey dziewice rzymskiey, z którego mały tylko fragment ogłoszono w Athenaeum w r. 1841. W prywatnem posiadaniu we Lwowie znajduje się liryczny utwór tego poety na śmierć syna Stefana, także nieogłoszony dotychczas. A w cesarskiej bibliotece petersburskiej zalegają całe teki rękopisów autora Wojny Chocimskiej. Z prozaików Pasek, niepospolita illustracya swojego czasu, wyszedł na jaw także dopiero w obecnym wieku. Przekład czwartego Klimakteru Wespazyana Kochowskiego (również niewydanego nawet dotąd w oryginale) nie tylko obdarzył literaturę nowym nabytkiem, ale co ważniejsza, przekonał, że byle pisarza tego otrząsnąć z zaśniedziałej nieco łaciny, mamy w nim historyka — pod względem dziejopisarskiej sztuki — niepospolitej wartości. Wymieniłem kilka tylko imion; nie będę ich pomnażał nazwiskami autorów podobnie wyrwanych niepamięci w naszych dopiero latach, podrzędniejszej wagi, w przekonaniu że i to wystarcza, ażebyśmy patrzeli na owe czasy z całkiem innem usposobieniem, jak na nie dawniej godziło się spoglądać.

Nie idzie za tem, żebym chciał dowodzić, iż czasy od połowy XVII wieku aż do reformy Konarskiego nie były więc wiekiem upadku i ciemnoty. Daleki od tego jestem, żebym je miał równać czy to z epoką Zygmuntów, czy też z wskrzeszoną umysłowością za Stanisława Augusta; bo stan moralny całego ogółu narodu w drugiej połowie wieku XVII i pierwszej XVIII był zaiste opłakany pod każdym względem. Ale chciałbym tylko wskazać, z jakiego stanowiska zdaje mi się że należy wiek ów nieszczęśliwy rozważać. Wtedy jedynie odsłoni nam się ta prawdziwie wyjątkowa anormal-

ność ówczesnych umysłowych stosunków. Zwykle w innych razach najcelniejsi pisarze są przedstawicielami smaku, dążeń i usposobień współczesnej sobie epoki. Wypowiadają je dzielniej, barwniej, świadomiej, niżeli drudzy; ale innej różnicy, innego rozdziału jak talent, niema pomiędzy zastępem piszących a masą czytającą. W Polsce rzeczonej epoki spostrzegamy przeciwnie zupełnie inny porządek rzeczy. Były i wtedy pojedyncze talenta, były potęgi umysłowe; ale cały tłum wykształconej nibyto klasy tak mało z niemi miał wspólności, tak dalece upędzał się za pismami innej treści, innego smaku, że ludzie rozsądni, trzeźwi, obdarzeni jakąkolwiek zdolnością byli jakby cieniami dawno minionej przeszłości w własnem stuleciu. Pustych panegiryków, niedorzecznych mów pogrzebowych, sejmowych głosów bez sensu, wierszydeł z okoliczności, traktatów scholastycznego zakroju i tym podobnych śmieci literackich odbijano rok rocznie setki; całe szafy możnaby niemi zapełnić, gdyby je zgromadzić w jedno. Musiały zatem to być poszukiwane i odczytywane rzeczy! A co tylko się zrodziło lepszego w owym okresie, wyszło albo dopiero w kilkanaście, w kilkadziesiąt lat po zgonie autorów swoich, albo zgoła nam dziś dopiero przychodzi rzeczy takie ogłaszać z przegniłych rękopisów, o ile jeszcze nie podległy zupełnej zatracie. Jakże wytłómaczyć sobie to szczególne zjawisko, jeżeli nie wnioskiem, że byli wprawdzie i wtedy więc pisarze, godni tej nazwy, ale czytelników nie było. Nie było czytelników nawet dla dawniejszych, uznanych, zygmuntowskich skarbów literatury. Dla przekonania się o tem rzućmy tylko n. p. okiem na kolej wydań poezyi Jana Kochanowskiego. W wieku XVI i początku XVII aż do roku 1640, był to tak ulubiony poeta, że w przeciągu czasu od 1585 — 1639 odbito wydań powszechnego zbioru jego poezyi przynajmniej dziewięć; samego Psałterza osobnych edycyi wyszło aż do r. 1641 dwadzieścia, jeżeli nie więcej. Bywało, że się czasem w jednym roku dwa, nawet trzy wydania utworów Jana z Czarnolesia pojawiały! A od 1641 roku począwszy nie znajdziemy ani jednego. Minął przeszło wiek cały, nim sobie znowu przypomniano, że były tam kiedyś jakieś dzieła Kochanowskiego. Wiadomo, że dopiero Bohomolec w roku 1767 rozpoczął na nowo szereg powtarzających się odtąd wydań tych dzieł.

W takim stanie rzeczy, dziwić nikogo nie może, że mimowolnie ogarnia trudniących się dawną literaturą naszą pewne znie-

chęcenie, jakaś obojętność względem drukowanego piśmiennictwa owego wieku. A natomiast zmierza natężona baczność przedewszystkiem ku części literatury zalegającej jeszcze w tych stosach zabytków rękopiśmiennych, w których okoliczności czasowe, trudności mało komu łatwe do usunięcia, nie dozwoliły dotąd przejrzeć tej siejby czasów minionych i oddzielić plewę od ziarna. Rozczytując ówczesnych pisarzy, napotykamy też czasem miejsca, które utwierdzają w tem usposobieniu, które wprost zachęcają do śledzenia stosunków ówczesnych z tego właśnie stanowiska. Są to chlubne wzmianki o takich wieku XVII poetach, których dzieła dla nas zgoła nieznane; ślady egzystencyi znakomitości poetycznych, które jeżeli nie w narodzie, to w gronie bliższych znajomych, w gronie pokrewnych duchem, odbierały cześć — czy wyższą nad zasługę, czy odpowiednią, trudno dzisiaj oznaczyć. Ważny n. p. pod tym względem jest wiersz Kochowskiego »Poetowie Polscy«. Wspomniał w nim zaszczytnie między innymi o Potockim, o Morsztynie i o Skarszewskim. Powaga Kochowskiego jako krytyka może być wątpliwa; przekonaliśmy się wszelako w ostatnich czasach, że podniesienie zalet Potockiego nie było nieuzasadnionem. Będę się starał okazać niżej, że nie pomylił się także Kochowski co do Morsztyna; wnosić więc można, że i Skarszewski musiał mieć wyższe zdolności, chociaż my prawie nic zgoła o nim nie wiemy. W poezyach przypisywanych Zbigniewowi Morsztynowi, których autor nie należał do ludzi łatwo oddających hołdy innym poetom, również znajdujemy chlubnie wymienionych kilka nazwisk poetyckich nieznanego nam brzmienia: Naborowski*, Orzelski, Karmanowski, Smolik. Szczególny respekt okazany mianowicie dla Jana Grotkowskiego, dworzanina królewskiego, do którego tak przemawia poeta:

»Tobie mój Janie, tobie przed wszystkiemi
Wiersz się mój kłania, i między pańskiemi
Ścianami, gdzie się służba twa zawiera,
Ciebie się Muza nawiedzić napiera.
Tyś u mnie pierwszym i Tobie przyznawam,
Że w polskim wierszu za Tobą zostawam
I tak leniwo w trop za Tobą jadę,
Jak też po sobie pozad drugich kładę«.

* Czy nie Nieborowski, którego wiersz daje Szajnocha w Szkicach III, str. 377?

Takich świadectw o Grotkowskim jest w poezyach Morsztyna i więcej. Może się kiedy dadzą komu jeszcze odszukać poezye Grotkowskiego. *

Zostawiając szczęśliwemu trafunkowi w przyszłości rozwiązanie kwestyi co do wymienionych nieznajomych, zamierzyłem wyjaśnić w tem piśmie sprawę wielce zawikłaną, względem samego tylko Morsztyna. Znajdujemy w bibliograficznych i literacko-historycznych dziełach wzmianki o czterech XVII wieku poetach tego nazwiska, o Andrzeju, Stanisławie, Zbigniewie i Hieronimie Morsztynie. Niejasne i sprzeczne z sobą podania o rzeczonych pisarzach pobudziły mię do szczególnego rozpatrzenia się w dziełach ich pióra. Pozwolono mi też korzystać z niedrukowanego dotąd rękopisu poezyi Andrzeja Morsztyna, będącego własnością biblioteki zakładu Ossolińskich. W ten sposób dały się wydobyć szczegóły, które nie tylko rozstrzygają rozliczne wątpliwości co do autorstwa Morsztynów, ale usprawiedliwiają znowu korzystne zdanie Kochowskiego, wyrzeczone w owym wierszu (Poetowie Polscy) o Andrzeju Morsztynie. Mówi tam Kochowski, że Muza w hierarchii petyckiej

»Sadzi Morsztyna w Senatorskiem krześle
Z Skarszewskim, obu biegłych w tem rzemieśle:
Tamtego wdzięczna Psyche i Xymena **,
Tego Moskiewska zaleca Kamena,
A jak w Parnaskiem buja Korwin *** żniwie,
Tak w niem dziedziczyć przychodzi Leliwie
Dziś Morsztynowskiej. Idąc w przodków tropy,
Puścizną biorą talent Kalliopy«.

Porównanie Morsztyna z Kochanowskim jest niewątpliwie grubą przesadą. Że jednak po Potockim Wacławie najznakomitszym swego okresu poetą polskim był ten nasz autor, na to się pewnie czytelnicy moi zgodzą, kiedy ich obeznam z całem położeniem sprawy obecnej.

---

* Stało się tak. Obacz czasopismo »Biblioteka Ossolińskich«, tom IV i VIII.

** Xymena znaczy tu przekład tragedyi Cyd z Kornela, Psyche poemat pod takimże tytułem, przez A. Morsztyna.

*** Kochanowski Jan.

II.

Przed dwudziestu przeszło laty wydobyto gdzieś w Królestwie Polskiem »z pleśni domowych zakątów«, zarzucony rękopis folio, w XVII wieku pisany, uszkodzony, bez początku i końca, zatem i bez tytułu, obejmujący poezye, które nigdy nie były drukowane. Wartość poezyi, niepospolita jak na owe czasy, wzbudziła ciekawość, ktoby też był ich autorem? Zaczęto rozpatrywać kartę przy karcie; znaleziono na dwóch różnych miejscach na brzegu stronic przypisek, prawdopodobnie współczesnej daty: »JMci Pana Zbygniewa Morsztyna Miecznika Mozyrskiego wiersze«. To zdawało się uchylać wszelką wątpliwość co do autora rękopisu. Wprawdzie nikt przedtem nie czytał nigdzie wzmianki, żeby pisał poezye jaki Zbigniew Morsztyn. Mówi wprawdzie w Herbarzu o nim Niesiecki, ale i jemu z tej strony nie był znany rzeczony członek rodziny Morsztynów. Ponieważ jednak milczenie nie może być uważane samo przez się za świadectwo zaprzeczające, uwierzono owemu przypiskowi współczesnej ręki. Z rozrzuconych w poezyach tu i owdzie szczegółów, dotyczących osobistości samegoż autora, złożono jakikolwiek wizerunek życia i charakteru nowego poety i wprowadzono go do literatury najprzód przez artykuł o nim zamieszczony w Panoramie (1836), następnie przez kilka prób jego poezyi udzielonych w Bibl. Warsz. (1841, tom I), nakoniec przez ogłoszenie całego rękopisu, o ile mógł być drukowany. Wyszła ta publikacya w Poznaniu pod tyt. Poezye Zbigniewa Morsztyna z starego rękopisu pierwszy raz staraniem prywatnem wydane. Poznań 1844, 8-vo, stronic XXIV, 174.

Bezimienny wydawca (Władysław Wężyk?) w skreślonej pięknie przedmowie zapoznaje czytelnika raz jeszcze z okolicznościami i rękopisu odkrytego i życia autora; usiłuje zwrócić uwagę na znakomitość jego talentu; liryczny, potoczny i osobisty nastrój jego lutni tłómaczy wyznaniem religijnem poety, którego (mylnie) uważał za aryanina. »Przez wyznanie cierpiące w kraju, sam poeta wyczepiony był z całości narodowej. Życie publiczne nie przedstawiało mu także żadnych kształtów wykończonych, któreby się zbiegały i wiązały w jedności państwa. Dlatego widoczną jest obojętność poety na bieg otaczających go rzeczy publicznych.« Bądź jak bądź, przez wzgląd na inne zalety poezyi, wnioskuje ostatecznie wydawca, żeśmy po Janie Kochanowskim nie mieli zapewne poety, któryby

tylostronnie życie swego czasu potrącił. — Naturalnym trybem rzeczy stało się, że odtąd posiadł i posiada Zbigniew Morsztyn jednę z celniejszych kart w dziejach dawnej literatury. I w Wójcickiego i w Maciejowskiego dziele znajdujemy go już umieszczonego w szeregu znakomitszych a niewątpliwych poetów polskich.

Przypadkowym zbiegiem okoliczności znalazł w tymsamym prawie czasie, kiedy się w Warszawie nad rzeczonem odkryciem zastanawiano, w berlińskiej bibliotece królewskiej, przetrząsając rękopisy słowiańskie, Fr. Nowakowski manuskrypt z pierwszej (jak sądził) połowy XVII wieku, także nieznajomego poety, zawierający polski przekład wierszem komedyi pasterskiej Torkwata Tassa, p. t. Amyntas. Wydał go Nowakowski w Berlinie 1840 roku jako utwór Nieznajomego autora, w przedmowie atoli postawił domysł, że to jest praca Piotra Kochanowskiego, nieśmiertelnego tłómacza Jerozolimy Wyzwolonej tegoż poety włoskiego. Skłoniło go do wniosku podobieństwo z Jerozolimą Wyzwoloną w stylu, toku, całym sposobie, jakie zdawało mu się, że jest uderzającem w obydwóch tych przekładach.

To odkrycie i ogłoszenie berlińskie posłużyło na korzyść przygotowywanego właśnie do druku Zbigniewa Morsztyna. W rękopisie jego poezyi znajdował się początek przekładu komedyi Amyntas, słowo w słowo zgodny z tłómaczeniem berlińskiem, z temże samem nawet przypisaniem przekładu ze strony tłómacza jakiejś damie polskiej, z tą tylko różnicą, że tu i osoba owej damy bliżej była oznaczona (»JW. JMPani Koniuszynej koronnej« t. j. Tekli z Ossolińskich Lubomirskiej), podczas kiedy w rękopisie berlińskim tego nie było.

Amyntas Tassa nie ma wprawdzie szczególnej wartości poetyckiej nawet w oryginale, cóż dopiero w tym przekładzie, który musiał być młodocianą pracą tłómacza. Z tem wszystkiem, przy innych płodach podnosi znaczenie autora; zaczem też nie zaniedbano przy wydaniu poezyi Zbigniewa Morsztyna w roku 1844 zwrócić w przedmowie uwagi czytelnika na to, że z pióra tego samego poety, któremu przypisano cały zbiór poezyi, wyszedł i przekład Amynty; co też zresztą i dla nas niewątpliwą jest rzeczą.

Owóż taki jest obecny stan sprawy, którą podejmujemy, a podejmujemy w tym celu, ażeby dowieść, że Zbigniew Morsztyn nie był autorem tych dzieł. Był sobie w XVII wieku Zbigniew, piastował miecznikowstwo mozyrskie i pisał wiersze, ale mierne, i nie

był poetą. Zaszczyty poetyckie przyznawane jemu, należą się Andrzejowi Morsztynowi, podskarbiemu w. kor. autorowi Psychy i Cyda, mało dotąd cenionemu pisarzowi wieku XVII.

Dowodów ostatecznych na to twierdzenie dostarczy wizerunek życia Podskarbiego Morsztyna, który dać zamierzamy. Ponieważ zaś czerpać do niego szczegółów wypadnie nie tylko z Niesieckiego i z współczesnych historyków mimochodem o nim mówiących, ale i z poezyi lirycznych, uchodzących za dzieło Zbigniewa, — należy przekonać więc czytelnika na samym wstępie jakim takim, byle dostatecznym dowodem, że te liryczne rzeczy są niezaprzeczenie utworem Andrzeja i że mogą tedy służyć za źródło do jego biografii. Mam na to dwa następujące argumenta.

Najprzód znajduje się w Zbiorze poezyi Zbigniewa (wydanie Pozn. str. 134) przypisanie kilku zagadek wierszem, zatytułowane »Do JMci P. Teofili z Raciborska Rejowej Starościny Małogoskiej«, które tak się zaczyna:

»Znając twe siostro doskonałe cnoty,
Nie śmiem ci wierszów słać«... i t. d.

Miał tedy autor siostrę Teofilę, wydaną za mąż za Reja, starostę małogoskiego. A jeżeli tak, to nie mógł to być Zbigniew miecznik, ale podskarbi Andrzej Morsztyn. Widzimy bowiem w genealogicznym wywodzie Niesieckiego, że w rzeczy samej Teofila Rejowa z domu Morsztynówna była siostrą rodzoną Andrzeja, poety; podczas kiedy Zbigniew nie miał żadnej siostry Teofili, względem Rejowej zaś zostawał w tak dalekim stopniu pokrewieństwa, że niepodobna, aby ją był miał siostrą swoją nazywać. (Obacz na końcu tabelę genealogiczną Morsztynów).

Drugi dowód nierównie ważniejszy. Posiada Biblioteka Zakładu Ossolińskich we Lwowie rękopis, o 184 stronicach nieliczbowanych, 4-to, w XVII wieku pisany, papierowy, dobrze i cało utrzymany, z najwyraźniejszym i przez tęsamę rękę, która cały rękopis pisała, tytułem: »Lutnia Jego Mci Pana Andrzeja z Raciborska Morsztyna Referendarza W. Koronnego. Posłana po kolędzie Jego Mci Panu Łukaszowi ze Bnina Opalińskiemu Marszałkowi Nadwor. Koronnemu etc. etc. An. Dom. 1661«. Rękopis ten nie jest wprawdzie oryginał, t. j. własnoręczny autora; nie jest to też tensam egzemplarz, który był posłany Łukaszowi Opalińskiemu po kolędzie przez autora, ale tylko kopia jego. Jest bowiem na

tylnej stronie karty 38 miejsce próżne zostawione, ażeby później dopisać na niem początek wiersza, którego w rękopisie braknie i koniec dopiero jego spisany na następnej stronicy. Widać, że odpisywacz miał już zdefektowany przed sobą egzemplarz pierwotny tej Lutni Morsztyna i że jej nie przepisywał pod okiem autora. Wszelako pismo wieku XVII i zupełna jednostajność jego przez całą książkę daje w każdym razie rękojmię, że nie jest to zbieranina z różnych papierów, z późniejszemi dopisaniami przez coraz inne ręce, jak się rzecz ma z owym zbigniewowskim rękopisem, z którego powstała edycya poznańska. Polegać przeto ze wszech miar można na zapewnieniu wyrażonem w tytule, że Lutnia jest dziełem Andrzeja Morsztyna.

Otóż porównywając Lutnię Andrzeja z wydaniem poznańskiem Poezyi Zbigniewa, spostrzegamy, że wielka część, połowa przynajmniej treści tam objętej, znajduje się i tutaj; lubo są znowu rzeczy, które się znajdują w jednym rękopisie, nie będąc w drugim i odwrotnie.

Wniosek tedy konieczny i niezbity z tego taki, że wszystkie poezye Zbigniewowi tu przypisane, nawet te, których niema w rękopisie lwowskim, niemniej ów przekład komedyi Tassa znaleziony w Berlinie, muszą być płodem Andrzeja. Przypiski owe z boku na brzegach rękopisu ed. pozn. jakoby to były »Jmci Pana Zbygniewa Morsztyna, Miecznika Mozerskiego wiersze«, tak rozumieć chyba należy, że Miecznik był właścicielem tych wierszy, t. j. posiadaczem woluminu, w którym były dla niego może przepisane lub też jemu darowane przez jakiego czy to krewnego, czy zwolennika muzy rzeczywistego ich autora.

A teraz przystąpmy bliżej do szczegółów dotyczących osoby Andrzeja i jego talentu poetyckiego.

III.

W roku 1638 drukował się w krakowskiej Piotrkowczyka drukarni polski przekład Przemian Owidego Nasona, pod tytułem Księgi Metamorphoseon. Było to dzieło sędziwego już naówczas i pamiętającego jeszcze zygmuntowskie czasy, Otwinowskiego Waleryana, Podczaszego sandomirskiego. Na kilkanaście tygodni przed wyjściem dzieła otrzymał p. Podczaszy list z Belgii, wierszem

polskim do siebie pisany, pełen serdecznych pozdrowień, w którym między innemi takie słowa czytamy:

»Chociaż tak nieodmienne wyroki mieć chciały,
Żeby mię bystre wiatry na cudzy brzeg gnały,
Jeśli Cię jednak kiedy, Dobrodzieju drogi,
Zapomnę, niech Charybdy topi mię wir srogi;
Niech mię i na Syreńskie głośno brzmiące skały
Z rozbitego okrętu sztuką, niosą wały. —
Nie zapominaj wzajem, Muzą sługi swego
I oczerstw swoim rymem Melancholicznego.
. . . . . .
. . . . . A gdy twoja ona
Księga z prasy wynidzie, pierwej od Nasona
Po rzymsku napisana, i w sarmacką zbroję
Od ciebie uzbrojona: niech w tem łaskę twoję
Uznam przeciwko sobie, przyślij mi ją, żeby
I tam sława słynęła twa, póki pod nieby
Okręt wiatrem pędzony pobieży . . . . « i t. d.

Pisarzem tego listu był młody poeta, wnuk Otwinowskiego, Jan Andrzej z Raciborska Morsztyn, najmłodszy z synów Starosty bolnickiego, któremu także na imię było Andrzej. Odnoga ta niepomiernie rozrodzonej wtedy familii Morsztynów była osiadłą w Sandomirskiem. Przydomek »z Raciborska« służył całej dzielnicy idącej z Jana, który żył jeszcze w XVI wieku. Pisał się tak zatem i ojciec naszego poety i wszyscy jego bracia, synowie, krewni, chociaż Raciborsko (leżące w dzisiejszej Galicyi w powiecie bocheńskim) nie było wtedy w rzeczywistem posiadaniu tej właśnie gałęzi rodu Morsztynów. Do urzędu starosty bolnickiego dodano ojcu naszego poety później jeszcze godność podczaszego sandomirskiego, którą obecnie piastowaną widzimy przez jego teścia, Otwinowskiego. Dzieci miał pan Starosta czworo, jednę córkę Teofilę wydaną za Reja, starostę małogoskiego i radoszyckiego, tudzież trzech synów. Średni Stanisław umarł w rychłych latach na skromnem dostojeństwie wojskiego sandomirskiego. Najstarszy Tobiasz, łowczy koronny, nieżonaty, umarł po nim, około 1664*. Najmłodszy i najzdolniejszy był Andrzej. Jeżeli przypuścimy, że mogło mu być przynajmniej lat 20, kiedy kreślił powyższe wiersze: czas urodzenia jego (skądinąd

* Czerpię oprócz Niesieckiego, głównie z testamentu tegoż Tobiasza Morsztyna, zamieszczonego w Bibl. Staroż. Pisarzy Polskich Wójcickiego, t. V.

niewiadomy) przypadłby jakoś około roku 1618*. Pierwsze lata jego młodości, koleje jego nauk szkolnych — tych niepodobna mi opowiedzieć, żadnych bowiem nie znalazłem nigdzie o tem szczegółów. Tyle tylko pewna, że się podeszły tłómacz Przemian Owidyusza szczególniej opiekował jego wychowaniem, jego pierwszemi w polskim wierszu próbami, a potem kiedy się już nauczył młody Andrzej tego wszystkiego, czego się w kraju można było nauczyć, wyprawili go rodzice do dalekich, obcych krajów. Stary Podczaszy pobłogosławił wnukowi na drogę i pisywali do siebie. Zwiedziwszy Niemcy, znajdował się obecnie nasz Andrzej w Belgii, mając stąd ruszyć niebawem dalej, do Francyi, Włoch, Sycylii. Na list swój, z któregom wyjątek, z rękopisu lwowskiego wydobyty, wyżej przytoczył, otrzymał młody podróżnik od Otwinowskiego »Respons« także wierszem. Ponieważ są w nim ciekawe szczegóły co do stosunku tych dwóch pisarzy, wybaczy mi może czytelnik, że i z niego nieco przytoczę, ile że wiersz to dotąd także nieogłoszony drukiem; gdyż jak list wnuka, tak respons dziada nie znajduje się w edycyi poznańskiej. Pisał mu tedy Otwinowski, jak następuje:

»Ufam ja cale w Bogu swym, mój wnuku drogi,
Że ty wielki wziąwszy zysk z trudu i twej drogi
I zwiedziawszy narodów wielu obyczaje,
Wrócisz się da Bóg zdrowo znowu w nasze kraje«.

Wiele bywa, mówi dalej, niebezpieczeństw po drodze, czyhających na zgubę ludzi powierzających się morzu i lądom dalekim:

»Ale na cię, któryś jest w Najwyższego straży,
Nic się (da Bóg!) nacierać nigdy nie poważy.
Owszem ty wygodziwszy swej wrodzonej chęci,
I nazbierawszy mądrych rzeczy do pamięci,
Doma cię czekające — pozbawisz tęsknice,
I poczciwie ucieszysz zdrowiem swem rodzice.
Mnie — nie wiem! Którego już nadwietszałe lata
Wypychać się potężnie zdają z tego świata.
Bądź mię jednak zastaniesz umarłym, bądź żywym,
Nie najdziesz, jedno żem ci jest lub był życzliwym.
I rzeczesz kiedyś, po mym przechodząc się grobie:
Miałem ja przyjacielem tego człeka sobie!

* Rzeczywiście urodził się około r. 1613, co później udowodniono.

Jakoż ja tem i teraz to pismo zawieram,
Że niewątpliwie twoim żyję i umieram.
Naso mój jeszcze w cieniu, lecz już w swym niewczasie
Narzeka u srogiego rzemieślnika w prasie.
Skoro mu jednak Bóg da stamtąd się wyprawić,
Nie zmieszka i do Belgów za tobą się stawić.
Vale! Otwinowski,
Podczaszy Sendomirski«.

Po kilkoletnim nie bez korzyści pobycie za granicą, powrócił młody starościc do kraju i zastał dziada jeszcze przy życiu. Nie długo atoli cieszył się już starzec z jego powrotu. Jest w wydaniu poznańskiem poezyi Morsztyna wiersz, pisany już z okazyi zgonu Otwinowskiego*. Dodana do niego data (1645) jest bardzo ważna; stąd bowiem dopiero dowiadujemy się o roku śmierci tłómacza Metamorfozów, którego nikt inny nie podał. Wiersz sam, w formie jakiegoś dyalogu mitologicznego, jest słaby. Bardzo w nim jeszcze wyraźny wpływ, jaki mógł był wywierać na młodym wnuku w początkowym jego zawodzie Otwinowski, przyciężki nieco wielbiciel rzymskiej poezyi. »Każdy listek tego grobowego wieńca szukany jest na błoniach zaczarowanego świata starożytności«, zauważył słusznie bezimienny wydawca poznański. Ale początek wiersza znowu posłużyć może do charakterystyki naszego autora. Tak się odzywa do zgasłego mistrza swojego:

»Dziadu mój drogi, takaż to zapłata
Za to, żeś młode piastował me lata
I do febowej drogę podał lutnie,
Żeć wiersz nad grobem muszę śpiewać smutnie?
Słuszniejsza było, aby wdzięcznym była
Wierszem twym moja ozdobna mogiła« . . .

Wypisuję jeszcze miejsce, gdzie opowiada, jak sami poeci zanoszą ciało umarłego do grobu:

»Najprzedniej Owidyusz z Wirgilim Maronem,
Bo oni z narodami pod zimnym Trionem

* Niema tego wiersza w rękopisie lwowskim. Zwracam tu czytelnika uwagę, że jest to więc jeden z nowych dowodów, iż autorem rzeczy objętych w wydaniu poznańskiem nie mógł być kto inny, jak właśnie autor Lutni w rękopisie lwowskim, i że nim był zatem Andrzej Morsztyn, wnuk Otwinowskiego.

Z łaski jego ichże się językiem zmawiają.
Lecz i jego ziomkowie niech im pomagają:
Dwaj Kochanowscy, Morsztyn Jarosz*, Naborowski,
Rej, Simon Simonides, Smolik, Karmanowski,
Orzelski, Żórawiński, Grodkowski, i co ich
Obfita w syny Polska może znaleźć swoich«.

Tak więc zakończył się ten serdeczny stosunek między młodzieńcem a starcem. Łączyły ich nie tyle może ogniwa pokrewieństwa, jak to podobieństwo zawodu, i — z jednej strony wdzięczność za kierunek, udział i uznanie, z drugiej — radość na widok, że latorośl własnego rodu bujnie wzrasta i piękne na przyszłość wzbudza o sobie nadzieje.

Nadzieje te nie dotyczyły samych tylko poetyckich zaszczytów. Przed śmiercią jeszcze Otwinowskiego oddany został młody Andrzej na dwór królewski i musiał być mile widziany przez Władysława IV, kiedy go mimo wiek młody nie pominięto przy sposobności wyprawionego (w jesieni 1645 r.) do Francyi poselstwa po ks. Maryę-Ludwikę mającą być zaślubioną Władysławowi IV. Na czele licznego i świetnego orszaku stanęli Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański i Wacław Leszczyński, biskup warmiński. Nasz poeta zajmował oczywiście jedno z podrzędnych miejsc w gronie takich dostojników. Osobiste jednak jego zalety, bywałość w różnych krajach za lat poprzednich, dokładna znajomość języków a mianowicie francuskiego i włoskiego, wreszcie obrotność, składność, przystojność i pewna galanterya, która mocno znamionuje wszystkie jego poezye, niepodobna żeby nie były miały sprawić korzystnego dlań wrażenia na całem otoczeniu przyszłej królowej. Godzi się wnosić, że i sama królowa polubić go musiała. Z czego się wywiązało to uwielbienie dla jej osoby, i dla jej niewieściego orszaku, i dla całego trybu jej francuskich nawyknień, któremu Morsztyn pozostał wierny w ciągu całego swego zawodu i które wypowiedział nawet tak silnie w jednym z poetyckich swoich utworów, jak zobaczymy niżej. Nie dziw, że przy takiem usposobieniu, takich protekcyach, uzdolniony z natury, przebiegał karyerę szybko i używany był do najważniejszych spraw dyplomatycznych.

---

* Mowa tu jest o Hieronimie Morsztynie, wierszopisie z pierwszej połowy XVII wieku, o którym dana będzie wiadomość na końcu rozprawy.

Po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza, drugiego małżonka królowej Maryi-Ludwiki, zajmował Morsztyn jeszcze tylko miejsce dworzanina pokojowego na dworze królewskim; ale miał i wtedy już wiele u króla wziętości (intimae admissionis ad regem, Kochowski). Niebawem otrzymał urząd Stolnika sandomirskiego i posłował na sejmie brzeskim 1653 r. Za objęciem rządów w Szwecyi przez Karola-Gustawa, wysłano pana Stolnika z pismem królewskiem do Szwecyi, donosząc o przybyć mającem niezwłocznie oficyalnem poselstwie polskiem. Jak wiadomo z dziejów, chodziło o zawikłania dyplomatyczne wielce drażliwe dla obydwóch panujących. Wyprawa Morsztyna nie poszła gładko. Sama już podróż przez Bałtyk o mało go życia nie pozbawiła. Było to w późnej jesieni 1654 r. W burzy rozbił się jego okręt. Wysłannik polski dobił do lądu zaledwie na jakiejś desce, do której się zdążył jeszcze przywiązać (Rudawski). Przygoda morska była wróżbą przykrych zajść, jakie go spotkać miały w stolicy Karola-Gustawa. Na liście, który przywoził szwedzkiemu królowi, opuszczono coś z tytułów, do jakich rościł prawo. To było powodem, że pomimo wszelkich usiłowań i półrocznego siedzenia w Stokholmie, nie dozwolono mu nawet widzieć królewskiego oblicza. Kiedy się potem z zawikłań rzeczonych wywiązała wojna szwedzka, widzimy znowu Morsztyna używanego do ważniejszych czynności dyplomatycznych. Posunięto go tymczasem na jedno z wyższych dostojeństw, Referendarza w. k. W roku 1658 podpisuje jako już referendarz, razem z Władysławem Rejem, kapitulacyę podaną naszym przez Szwedów przy oblężeniu Torunia. Punkta traktatu Oliwskiego (1660) ułożone i podpisane zostały także przez niego, w uczestnictwie Jana Leszczyńskiego, wojewody poznańskiego i Jerzego-Sebastyana Lubomirskiego, marszałka w. k., zamianowanych pełnomocnymi posłami do zawarcia pokoju (Kochowski). We dwa lata potem był Morsztyn od sejmu delegowany do rokowania z Moskwą.

W miarę rosnącego znaczenia spadały też nań różne dowody łaski i szczodrobliwości królewskiej. Za referendaryą wielką koronną poszły starostwa kowelskie, zawichojskie i wartskie. Przybyło do nich później znaczne starostwo tucholskie. Innego rodzaju zdarzeniem w jego życiu, ale więcej jeszcze znaczącem, bo otwierało już drogę do najwyższych dostojeństw, było pozyskanie serca i ręki w dozgonną przyjaźń (jak to wtenczas mawiano) jednej z dam honorowych królowej, znakomitej rodem, znakomitszej położeniem,

jakie miała na dworze. Ożenił się z Katarzyną Gordonówną margrabianką de Huntiley. Była to dama pochodzenia szkockiego. W dzieciństwie jeszcze wyrzucona przeciwnościami losu z własnej ojczyzny, znalazła opiekę u Maryi-Ludwiki, kiedy ta jeszcze żyła we Francyi. Przez nią wychowana i pokochana jak własna córka, razem z nią przywieziona do Polski, jedna z pereł orszaku, który zdobiła równocześnie taka Marya Kazimira d'Arquin, późniejsza królowa Sobieska, wydana została w r. 1659 za pana Referendarza w. k. Ślub suty sprawiła im sama królowa, nie bez okazałych uroczystości i tych oracyi bez końca, jakie wtedy koniecznie już musiały zdobić każdy akt solenny, a z których pozostała, jakby na świadectwo iż i te gody nie odbyły się inaczej, jedna »Mowa Weselna« niewiadomego mowcy, zamieszczona w Swadzie Polskiej.

W niewiele lat po ożenieniu, (1664/65) stracił brata Tobiasza, łowczego koronnego, który jako bezdzietny i nieżonaty, cały majątek tak ruchomy jak nieruchomy zapisał na rzecz naszego Referendarza. Z testamentu, który się dochował cało*, można powziąć wyobrażenie nie tylko o niepospolitych rozmiarach tej sukcesyi, ale i własnym majątku prywatnym samegoż sukcesora, który zapewne dorównywał schedzie braterskiej, łączącej się z nim obecnie.

Niewiadomo, czy piękna margrabianka Gordon tęskniła sobie tyle, co niejedna z jej towarzyszek rodem Francuzek, w kraju i społeczeństwie rubasznych jeszcze nieco synów północy. Jeśli rzecz tak się miała w istocie, to jej się tem za mąż pójściem bardzo więc wygodziło. Nieprzeto tylko, że jej mąż był bogaty i że ją uwielbiał, ile wnosić należy z poetyckich jego o niej w poemacie Psyche wspomnień; ale że się zdarzały nieustające zręczności do wyjazdów w dalekie kraje. Były to zaś wspaniałe, szumne i tłumne wyprawy. Jako bowiem pierwsza czasu swego zdolność dyplomatyczna, był w tych ostatnich latach panowania Jana-Kazimierza głównie Morsztyn wysyłany w charakterze posła rzeczypospolitej to do Rzeszy Niemieckiej, to do Rzymu, to nareszcie do Francyi. Wiadomo z dziejów, że równocześnie z kończącą się wojną szwedzką, ważyli w myśli obojgo królestwo a mianowicie królowa, ważne a trudne do przeprowadzenia dzieło co do następcy na tron,

* Obacz go w Bibl. Staroż. Pisarzy Polskich Wójcickiego. Tom V, str. 115 sqq.

wyznaczyć się mającego jeszcze za życia Jana-Kazimierza. Miał nim być książę francuski Ludwik de Condé, czy to sam, czy wreszcie syn jego, książę d'Enghien. Niektórzy w senacie, a w narodzie ogromna partya była najprzeciwniejsza rzeczonym zamysłom, jak się okazało w wojnie domowej z Lubomirskim, hetmanem i marszałkiem w. k. (1665). Pobudzała ich do oporu przeciw życzeniom królestwa przedewszystkiem miłość swobód szlacheckich, którym te praktyki co do najważniejszego punktu, bo co do elekcyi królów, ubliżały. Nie było bez tego, żeby i inne, skryte, więcej materyalne, przez pewną zagraniczną potencyę wywierane na nich wpływy i sposoby, nie były miały nadawać pewnej, że tak powiem, sankcyi, rzeczonemu miłośnictwu swobody. Niechaj to zresztą historya lepiej wyświeci; mnie wystarcza dodać do tego tylko, co się naszego poety dotyczy. Owoż Morsztyn stał po stronie partyi francuskiej, po stronie królowej — i popierał z duszy kandydaturę Kondeusza.

Warto przytoczyć w tem miejscu świadectwo o tem, wyrzeczone przez bawiącego w Polsce wtedy sekretarza księcia Kondeusza, nazwiskiem Caillet, w memoriale tamtemu przełożonym (1662): »O usposobieniu senatorów i szlachty polskiej względem elekcyi księcia d'Enghien« (obacz Skarbiec Sienkiewicza, tom I, str. 383) »Pan Morsztyn, referendarz koronny, są słowa Cailleta, ma wiele zdolności i zdatność do służby. W całej Polsce on najlepiej trafia w sposób myślenia królowej, która go często i chętnie do interesów używa. Nikt nadeń snadniej przekonać jej nie umie i nikt lepiej zamiarów jej odgadnąć nie zdoła, takich nawet, z którymi się tai. Pierwszy Marszałek (Lubomirski) zaczął go podnosić i dał poznać dworowi (?); stał się on wkrótce jemu samemu potrzebny jako pośrednik między nim a królową. Z tego powodu wielce był używany i potrafił zjednać sobie szacunek królowej; Marszałek bowiem zawsze bywał trudnym i nieznośnym w interesach... Pan Morsztyn pomógł wiele Marszałkowi do otrzymania urzędów i łask, które odebrał, i bez ustanku starał się wystawiać królowej wielką wziętość Marszałka i gotowość na jej usługi. Zdaje mi się, że intencye Morsztyna były najlepsze; tylko że Marszałek zataił się przed nim z postanowieniem zniweczenia elekcyi na przeszłym sejmie (1661)... Kanclerze i pan Czarniecki nie lubią Morsztyna; onito właśnie wzrośliby najwyżej znaczeniem i wziętością, jeśliby nasza sprawa udała się bez pomocy Marszałka; a wtenczas Morsztyn zostałby na boku« i t. d. Mocniejsze dowody jeszcze

przytoczę niżej z dzieł poetyckich Morsztyna na to, że od samego początku trzymał się stronnictwa francuskiego i gorliwie ono popierał.

A w całem jego dyplomatycznem działaniu, nie chodziło mu tyle o rozwinięcie swobód szlacheckich, ile o wzmocnienie rządu. Czy to pochodziło tylko z osobistego jego stosunku do rodziny królewskiej, czy też z głębszego przekonania, w to mnie nie wchodzić; godzi się atoli wnosić, że sumiennie był przekonany nie tylko o korzyści dla siebie, ale i o konieczności dla kraju, takiej polityki, takiej właśnie dążności w postępowaniu. Dowody i na to znajdą się niżej.

Zawikłała go jednak z czasem zabiegliwość zbyt gorliwa w trudności, jakie bodaj mógł przewidywać. Właśnie kiedy się Lubomirski po zajściach pod Częstochową (1665) i pod Mątwami (1666) był pogodził z królem i otrzymał od niego przyrzeczenie, że nikomu już pomagać nie będzie do osiągnienia korony polskiej, właśnie około tegoż czasu (1667) posłował Morsztyn we Francyi. Złączył on tu widoki swoje tem ściślej z życzeniami dworu francuskiego i zobowiązał się popierać kandydaturę Kondeusza nawet po tem wszystkiem co zaszło, na własną rękę. Śmierć królowej Ludwiki w r. 1667 zdawała się osłabiać stronnictwo francuskie; natomiast przychodziła mu w pomoc okoliczność, że i Lubomirski, główny przeciwnik życzeń tej partyi, nieco przedtem w tymże roku życie zakończył. Znalazł przeto Morsztyn za powrotem do kraju tem swobodniejsze pole do popierania ukartowanych w Paryżu planów. Co zaś najwięcej znaczyło, to że Jan-Kazimierz, pomimo podsuniętej sobie przez stronnictwo francuskie myśli złożenia korony... nie zmienił życzliwych usposobień swoich dla Morsztyna: owszem właśnie krótko przed abdykacyą wyniósł go na jedno z najwyższych dostojeństw w państwie, ofiarował mu podskarbiostwo w. k., a krom niego przy tej-to pono sposobności nadał mu bogate starostwo tucholskie (1668).

Niema potrzeby tłómaczyć, jak ważnem było stanowisko zajęte przez Morsztyna w najwyższym rządzie państwa i to jeszcze w chwili tak stanowczej. Urząd podskarbiego w. k. był sam przez się połączony z ogromnemi korzyściami. Nie mówiąc już o dochodach ze starostw, jakich kilka posiadał Morsztyn, uboczne intraty podskarbich, jeśli polegać można na świadectwie pisarza mało co

późniejszej epoki*, wzbudzającego wszelką ufność, że był obeznany z biegiem rzeczy publicznych, dochodziły zazwyczaj do 500.000 rocznie. Czy te dochody były pod każdym względem legalne, to inna kwestya. Niema też żadnego powodu do twierdzenia, że intrata Morsztyna z tych źródeł dosięgała rzeczywiście sumy rzeczonej. Mówię o niej jako o rzeczy, będącej skąd inąd w zwyczaju, jako o korzyściach, których zażywał każdy, bez żadnego skrupułu. Bądź jak bądź, objęcie skarbu przez naszego poetę uważane być musiało za wypadek w życiu jego i w dziejach rodziny jego, niepowoływanej przedtem do tak wysokich dostojeństw, tak pamiętny, że bito z tej okoliczności medal. Można oglądać wizerunek tego medalu w »Czasopiśmie zakładu Ossolińskich« 1830, t. III. Na stronie głównej popiersie podskarbiego, świadczące o pięknych rysach jego oblicza, z napisem w około: Joan. Andr. Morstin. mag. Reg. Pol. Thesaur. Na odwrotnej herb Morsztynów Leliwa i taki napis: »Ingenii coelestis apex, mens Pallade plena, eloquiumque rapit pectora cuncta tuum, Tu gazas patriae dispensas, magne Senator, ipse ingens patriae gaza decusque Tuae. Jacob Schmidt. d. d.« (nazwisko Mincarza)**.

Po abdykacyi Jana-Kazimierza i ogłoszeniu tronu polskiego za wakujący, postanowił nowy Podskarbi użyć wszystkich wpływów, dochodów, związków, jakimi rozporządzał, wszystkich zdolności jakiemi celował, do przywiedzenia zamysłów swoich powziętych we Francyi teraz do skutku i posadzenia na tronie francuskiego książęcia. Przypuścił do uczestnictwa w tem dziele pozyskanego stronnictwu francuskiemu już dawniej, osławionej pamięci prymasa Prażmowskiego. Niewątpliwie należał do tajemnicy i Hetman-marszałek w. k. Sobieski. Zaczęły się potajemne praktyki, agitacye, zmowy. Skrytość robót, źle utrzymywanych w tajemnicy, popsuła jednak wszystko. Szlachta zwietrzyła, ku czemu dążyły te zamysły

---

* Jana-Stanisława Jabłonowskiego. Podaje on w dziełku Skrupuł bez Skrupułu etc. str. 33 (ed. z r. 1730) że intrata podskarbiego w. k. dochodziła tej sumy de facto.

** Niema roku na medalu, brak przeto i pewności zupełnej, z jakiego powodu był bity. Domysłowo związałem go z objęciem skarbu przez nowego podskarbiego. Niesiecki wspomina, że obdarzył Morsztyn rzeczpospolitę sumą 60.000 z własnej szkatuły. Przy jakiej sposobności? nie mówi. Byćby mogło, że na pamiątkę tej ofiary medal był bity. Ale sądzę, że w takim razie byłaby jaka alluzya do tego w napisie.

magnatów. Czy niechęć przeciw kandydaturze zdyskredytowanej od pierwszej chwili przez Maryę-Ludwikę, czy niepopularność prymasa, czy obawy, że wyniknąć by z tego mogło jakie okrojenie swobód szlacheckich, dość że (1669) stało się na polu elekcyi, czego nikt nie mógł przewidzieć. Obranym został jakby na przekorę magnatom, zbiedniały i o tyle do niższej szlachty zbliżony ks. Michał Korybut Wiśniowiecki. Kandydatura francuska przepadła.

Od owej chwili zaczyna być pan Podskarbi coraz mniej popularną w narodzie osobą. W roku 1670 był na niego huczek niemały. Wiadomo, że zamyślała partya francuska, pod przywodem głównym prymasa, przeprzeć detronizacyę wybranego co tylko króla. Na sejmiku średzkim (1670) schwytano list z dnia 27 stycznia 1670 z Warszawy pisany do kasztelana poznańskiego Grzymałtowskiego, z ustępami niezrozumiałymi dla niewtajemniczonego w rzecz czytelnika, pisane bowiem były cyframi. Był to właśnie list od podskarbiego Morsztyna. Taka wtedy zawziętość była szlachty na to całe stronnictwo, że Grzymałtowskiego, na którym już dawniej ciężały podejrzenia o różne praktyki i malwersacye, na sejmiku owym na cmentarzu za owe cyfry zrąbano tak okropnie, że ledwie po długiej chorobie jakby cudem prawdziwym wrócił do zdrowia. Morsztyn salwował się wtedy wyjazdem do Gdańska, i trzeba było listów do sejmików (n. p. do opatowskiego) i zabiegów niemałych, nim się ośmielił znowu pokazać w kraju. Są nawet ślady, że był na niego wtedy już złożony sąd z senatorów i dwunastu posłów ziemskich pod prezydencyą królewską, który musiał się jednak skończyć na niczem*, dla braku formalności w oskarżeniu. Teraz dopiero przypomniała sobie szlachta, że nie należało dopuścić, aby rodzina aż dotąd przestająca na niższych funkcyach obywatelskich, wzbiła się tak wysoce, »że prima w tej ojczyźnie naszej za niedozorem naszym osiada subsellia!« Zaczęto szperać po Paprockim i Voluminach Legum, dochodząc nawet jakie tytuły do szlachectwa posiada? Mam przed sobą list jakiegoś chorążego krakowskiego do chorążego poznańskiego (Skóraszewskiego) pisany w tej właśnie chwili, w którym koledze poznańskiemu donosi kra-

* Należące do tego świadectwa i źródła, jakoto listy, między innemi i ów morsztynowski do Grzymałtowskiego i zapiski pamiętnikowe, posiada Bibl. Ossol. w rękopisie fol. nr. 245, z roku 1670. Jest to księga z rodzaju tak zwanych Silva rerum.

kowski, odpowiadając na zagadnienie co do rzeczonego punktu, że wprawdzie ród Morsztynów, jako zamożnych mieszczan krakowskich, daje się szlakować aż do roku 1422, jeżeli nie głębiej w przeszłość: »kiedyby jednak ta familia ad equestrem ordinem weszła, wiedzieć nie może, gdyż ani o tem Paprocki nie pisał, ani też in Volumine Legum niema o tem niczego; choćby być musiało, gdyby ta nobilitas (powiada chorąży) była po formie«. »Rozumiem tedy (konkluduje), że jako to mieszczaninom krakowskim wolno kupować dobra ziemskie, oni też kupili Raciborsko, Pawlikowice i inne, a przytem żenili się w szlacheckich aryańskich domach, ich wiarę przyjąwszy, i pod płaszczykiem aryańskim nobiles zostali przeciwko konstytucyey anni 162 (sic), i świeżej anni 1633«. Te szemrania szlacheckie pozostały jednak oczywiście bez skutku. Czy tam początek używania praw szlacheckich przez tę rodzinę stał się kiedyś ze wszystkiemi formalnościami, czy nie: rzecz była, i nie od dzisiaj. Morsztynowie uważani byli de facto za szlachtę od czterech lub pięciu generacyi, nie brakło im na koligacyach, urzędach i znacznych majętnościach. A nasz Andrzej mianowicie wpływem, urzędem, a co najważniejsza, rozumem, stał zbyt wysoko, był zanadto magnatem, żeby mu i król Michał (nie mówiąc o takich chorążych rozczytujących Paprockiego) mógł był odebrać zdobyte stanowisko. To też zajmował je, a zajmując bróździł we wszystkich sprawach przez ciąg krótkiego panowania Wiśniowieckiego. Trzymał się stale fakcyi, którą jawnie przedstawiał prymas, a tajemnie popierał hetman w. k. Bróździł zaś tem systematyczniej, że wątła polityka króla Michała, jak wiadomo, podlegała bezwyjątkowie natchnieniom właśnie dworu austryackiego, z którym Francya w wieku owym w najwyraźniejszem zostawała współzawodnictwie.

Wyniesienie na tron Jana III (1674) zdawało się kłaść koniec opozycyjnemu stosunkowi Morsztyna względem rządowej dążności. Przed wstąpieniem bowiem i czas pewien nawet po wstąpieniu na tron, podzielał Sobieski przekonania francuskiego stronnictwa. Z podskarbim naszym łączyła go przyjaźń osobista*, tak że wyznaczył między innymi i Morsztyna po dokonanej elekcyi do ułożenia i podpisania w jego imieniu paktów konwentów.

* Obacz wiersz do Jmpana Jana Sobieskiego w edycyi pozn. Poezyi Morsztyna, str. 22.

Nie długo jednak trwało to dobre między nimi porozumienie. Od czasu, kiedy stosunki rodziny królewskiej z dworem francuskim obojętnieć zaczęły, a widoki przymierza z cesarzem coraz się więcej zbliżały: od tego czasu i w miarę tego życzliwość podskarbiego dla króla stawała się coraz pozorniejszą. Natomiast był w ciągłych zmowach z poselstwem francuskiem. W kwestyi mianowicie tureckiej usiłował wpływać na uchwały w Radzie królewskiej w tym duchu, jak tego wymagała polityka Francyi. Usiłowania te były daremne. Zato działanie podskarbiego stawało się tem śmielsze, tem mniej oględne. Trudno dzisiaj oznaczyć, ile w tem wszystkiem było prywaty, ile rzeczywistego przekonania o potrzebie kraju. W każdym razie sposób działania podlega bezwarunkowemu potępieniu. Przyszło do tego, że odkryto później wyraźną intrygę zawiązaną między królem francuskim i jego posłem (de Vitry) z jednej strony, a Morsztynem i jego adherentami z drugiej. Wyjawiły się niedyskretne rady dawane Francyi przez podskarbiego przeciw własnemu królowi, listy tajemne, sumy jakieś, które nie dla Morsztyna, ale pewnie nie mimo jego wiedzy, a prawdopodobnie przez jego ręce, szły tytułem podarunków czy też pensyi dla tych polskich zwolenników polityki francuskiej, którym takie właśnie dowody wyższości tego-to systemu politycznego najlepiej przemawiały do przekonania*.

W roku 1683 pojawiło się jakieś satyryczne pisemko, nie wiem czy w kopiach rozrzucone, czy drukowane, przeciw Janowi III. Puszczone było w obieg pod imieniem Wydżgi, ówczesnego prymasa. Wytykał w nim autor wszystkie prywaty, wszystkie uchybienia polityczne i osobiste królewskie. Z przerażeniem dowiedział się arcybiskup gnieźnieński o tym pamflecie sobie przypisanym. Im więcej był zobowiązany do wdzięczności dla osoby Jana III, od którego przez kilka szczebli aż na wysokość prymasa był wyniesiony, tem gorliwiej zabrał się natychmiast do zrzucenia ze siebie wszelkich pozorów autorstwa rzeczonego, jak się wyraził, paszkwilu. Przełożył królowi memoryał p. t. »Votum Apologeticum Jmć X. Arcybiskupa na odezwę pod imieniem jego wydaną Wydżgi 1683«.**

---

* Opis tego wszystkiego dokładniejszy znajdzie czytelnik w Relacyi, ogłoszonej z rękopisu w Pamiętnikach o dawnej Polsce Niemcewicza T. V, p. 295 sqq.

** Czytać można to Votum w Pamiętniku Sandomirskim, T. I, Warszawa. 1829, p. 30, B. sqq.

Była to odpowiedź punkt za punktem na zarzuty bezimiennego pisarza, pisana z goryczą i wzgardą dla tegoż, z pochlebstwem dla króla, nie lękającem się czasami i rozminąć z prawdą, byle rzecz była nibyto na czysto postawiona. Gdyby nie znany owego wieku sposób, właściwy największej liczbie pism tamtoczesnych, takich, które miały szczęście być drukowane i czytywane przez współczesność: Votum Apologeticum miałoby przynajmniej tę ważność, że możnaby dokładne z niego powziąć wyobrażenie, co też zarzucano królowi w satyrze owej. Ale odpowiedź ks. prymasa jest pisana nie tylko makaronicznie, ale tak mętnie i zawile, że jasne myśli i sensowne ustępy są to prawdziwie tylko lucida intervalla w tej nietrzeźwej gadaninie. Ogólnie przeto tyle tylko godzi się twierdzić, że między punktami zarzutów bezimiennej satyry, wiele uwag było słusznych, wiele rzeczywistych błędów wytkniętych, wiele ostrzeżeń takich, że się później skutki przypowiedziane ziściły.

W każdym razie atoli, i tu znowu forma rzeczy, nadużycie imienia prymasa, bezimienność i skrytość zamachu, że już o zuchwalstwie całego kroku nie wspomnę, rzuciły na ową broszurę tak brzydkie światło, że wyjawienie prawdziwego jej sprawcy zapowiadało publiczny szkandał. Dodajmy do tego, że właśnie w r. 1683 (w jesieni) zwycięstwo wiedeńskie ozdobiło skroń Jana III laurem bohatera, a pojmiemy, że autor pisma mało co przedtem rozrzuconego, stanął w obec narodu jako już osądzony potwarca.

Nie wiem w jaki sposób rozgłosiło się wtedy, że autorem pamfletu jest Podskarbi w. k.

Czy tak było w rzeczy samej, nie jest bynajmniej pewnem. Zdaje się jednak, że pogłoska nie musiała być mylna. Zaszły bowiem równocześnie czy też niebawem później okoliczności, które nie tylko w obec ludzi ówczesnych, ale nawet i w oczach naszych nadają posądzeniu owemu wiele prawdopodobieństwa. To jest, rozeszła się najprzód wiadomość (która się też i potwierdziła), że sobie zakupił Morsztyn we Francyi znaczne, rozległe dobra, majętność Chateauvillain. Niezwłocznie potem (w końcu 1683 czy na początku 1684), wpadły w ręce Jana III tajemne korespondencye, a między innemi własnoręczne pismo podskarbiego do francuskiego króla, w którem minister ten rzeczypospolitej polskiej nie tylko oświadczał się poddanym Ludwika XIV, ale co gorsza, jakby jaki lennik korony francuskiej, zanosił doń nawet prośbę o zezwolenie wydania za mąż córki swojej za Bielińskiego, starostę malborskiego,

obiecując że ten zięć jego będzie pomocnym w zabiegach około obsadzenia tronu polskiego według życzeń Ludwika*. Tego oczywiście Sobieski ani nie mógł, ani nie chciał przepuścić płazem. Co za tem nastąpiło, opisał nuncyusz rezydujący naówczas w Polsce, Pallavicini, w liście do kardynała Buonvisi, datowanym z Warszawy d. 18 kwietnia 1684 roku, z którego wypisuję następujące miejsca: »Przywołano do króla trzech biskupów, tudzież Franciszka kapucyna; tym powiedziano, że gdy odebrane były pewne wiadomości o sprzysiężeniu przeciw królowi i rzeczypospolitej, żądano od nich przysięgi na sekret w tem wszystkiem, co im się objawi. Skoro wezwani przysięgli, okazano im listy posła francuskiego de Vitry i podskarbiego koronnego.

»Po zeznaniu Corpus delicti, przywołanymi zostali tenże poseł i podskarbi. Z początku podług zwyczaju francuskiego, poseł francuski zaprzeczał wszystkiemu; skończył nakoniec, iż z postępków swoich, królowi tylko swemu sprawę zdawać powinien. Z czemsiś podobnem chciał się i Morsztyn odzywać, ale przytomni biskupi (Wydżga, Dąbski i Wodziński) wraz go przekonali o winie. Gdy podskarbi odprowadzonym został do senatu i gdy przeczytano listy posła francuskiego i jego, chciał mówić; lecz przerwał mu mowę okrzyk powszechny, nazywając go bezczelnym i zdrajcą, i że jeżeli chce się usprawiedliwić jak obwiniony, wstać powinien z senatorskiego krzesła i mówić ze środka izby«.**

Trudno to tam było usprawiedliwić się w obec takich dowodów! Niewłaściwość i występność formy działania leżała na dłoni; choć wierzyć chciałbym, wnosząc z tego, co się powie przy ocenieniu dążności poetyckich prac Morsztyna, że cel tej smutnej pra-

---

* Obacz A. Chr. Załuskiego Epistolae hist. familiares. Tom I, fol. 810. cf. f. 820.

** Obacz Niemcewicza Zbiór Pamiętników o dawnej Polsce. Tom IV, str. 350 sq. Nie mogę tu pominąć milczeniem, że powołana wyżej Relacya niewiadomego pisarza (zamieszczona w Pamiętnikach o dawnej Polsce, Tom V, str. 295 sq.), i niniejszy list Pallaviciniego (w Tomie Pamiętników IV), odnoszą się oczywiście do jednego i tegosamego zdarzenia. Ale co szczególna, to że daty w jednem a drugiem są różne! Według Relacyi zajść miała ta scena między 14 a 15 marca roku 1680. Pallavicini znowu opisuje ją jako wypadek z roku 1684. Musi być więc jakieś bałamuctwo w ogłoszeniu rzeczonych źródeł. Rzecz sama w każdym razie jest pewna, jako jest pewne i to, że złożył Morsztyn urząd podskarbiego w r. 1684.

ktyki i ostateczne powody owych zabiegów nie były wcale tak zbrodnicze, jak się chwilowo zdawało. Skończyło się tedy na tem, że podskarbi złożył urząd (1684), opuścił ojczyznę i przeniósł się na stałe mieszkanie do Francyi, gdzie jak wspomniałem, nabył sobie prócz wsi Montrouge pod samym Paryżem położonej, majętność Chateauvillain, i zaczął się od niej tutaj nazywać hrabią de Chateauvillain. Żył jeszcze lat kilkanaście w tej przybranej ojczyźnie i podobno jako starzec z górą 80-letni doczekał się nawet początku wieku XVIII. Rok śmierci jego nie jest wiadomy*. Zostawił dwie czy trzy córki i jednego syna. Syn (imieniem Michał Wojciech) miał za sobą księżniczkę Cheuvreuse, służył w wojsku francuskiem, pod imieniem nowo-przybranem, i zginął w stopniu generała pod Namur r. 1695. Córki przeciwnie pozostały na ziemi, na której się zrodziły i wychowały. Jedna z nich (najstarsza, Ludwika-Marya) poszła za Bielińskiego później marszałka w. k.; druga (Izabella) za ks. Kazimierza Czartoryskiego. Jej-to wnukiem był Stanisław-August Poniatowski, król polski, zatem prawnuk po kądzieli naszego poety.

Dla uzupełnienia tej biografii Morsztyna, dodaję jeszcze, że był katolikiem i nawet dobrodziejem kościołów. Niesiecki nie przepomniał podać pamięci, że klasztor OO. Bonifratrów w Warszawie jego był fundacyi**. Mylny zatem podano szczegół w przedmowie

---

* Tak długo nie żył. Umarł we Francyi w r. 1693.

** Sprostować jednak pono wypadnie to podanie Niesieckiego co do fundacyi Bonifratrów warszawskich przez podskarbiego Morsztyna. We wspomnianym często wyżej testamencie brata jego Tobiasza, czytamy zapis w sumie 30.000 złp. na rzecz zbudować się mającego dla nich kościoła i klastoru w mieście Warszawie. Podskarbi, główny sukcesor po bracie i egzekutor jego testamentu, nie łożył tedy na to z własnej kieszeni, lubo mógł może i nieco dodać ze swego do sumy legowanej przez brata.

Katolikiem był Andrzej niezawodnie. Ale za fakt dowiedziony uważać można, że dopiero ojciec jego i to nie wcześniej jak po r. 1646, powrócił na łono katolickiego kościoła. Dziad poety Krzysztof, starosta filipowski w XVI wieku żyjący był aryaninem, szwagrem Fausta Socyna i nawet autorem publikacyi aryańskich (obacz w Wiszn. Hist. Lit. T. VIII, str. 220). Syn tegoż Krzysztofa a naszego poety ojciec, Andrzej starosta bolnicki i podczaszy sandomirski, musiał być takoż tego jeszcze wyznania, kiedy mu w r. 1646 przypisuje Wojciech Węgierski, kaznodzieja zboru krakowskiego, dzieło swoje p. t. Antidotum, drukowane w Baranowie 1646 r. W przedmowie z goryczą mówi o szkaradzeństwie odstępstwa swojej wiary i łamania danego słowa. Gdyby więc ojciec naszego

do wydania poznańskiego poezyi Morsztyna, jakoby autor był aryaninem. Trzymała się wprawdzie dawniej rodzina Morsztynów tego wyznania, ale to się w późniejszych pokoleniach zmieniło.

IV.

Chciałbym teraz odsłonić drugą stronę życia Morsztyna, stronę życia prywatną, zawód i charakter jego poetycki. W danym wyżej szkicu widzieliśmy, ile pod względem publicznym życie jego było czynne. Gdyby zależało na drobnostkowych szczegółach, możnaby ten obraz zajęć jego służbowych uzupełnić z poezyi jego wielu jeszcze rysami. Życie Morsztyna zaraz od czasu służby na pokojach królewskich, upływało ciągle, jak to mówią, na wózku. Pisze np. w jednej z poezyi niedrukowanych dotąd, w wierszu do Szumowskiego:

»Niesłusznie Janie, niesłusznie to zową,
Co my służymy, służbą pokojową;
Co to za pokój, co to za wczas taki,
Włóczyć się z dworem, jako wilk za flaki (?),
Nie jeść kiedy chcesz, nie spać gdy się drzymie,
Bez opończy w deszcz, bez czapki stać w zimie,
Słuchać wycia psów, chocieś nie myśliwy,
Przepić, coć żyzne przyślą z domu niwy,
Kłaniać się wszystkim, choć bolą kolana« ...

A cóż dopiero, powiada dalej, te nieustające posyłki:

»Ty z przywilejem, ty biegaj z wiciami,
Ty z Opatowem, ty z Proszowicami
Umawiaj Sejmik, ty biegnij do Lwowa,
Jeśli wyprawa na obóz gotowa« i t. d.

---

poety był już wtedy także jednym z takich odstępców, nie byłby mu pewnie przypisywał dzieła Węgierski. Na dalsze zatem dopiero lata przypada konwersya, i to tem pewniej, że jego syn Tobiasz także uczynił ten krok, lubo w późniejszym nieco wieku. Pisze on przed samym zgonem (1664): »niedawno będąc do kościoła prawdziwego przyłączony..., przepraszam Majestat boży, żem inspiracyom Ducha św. przez czas jaki odpór dawał i żem się, będąc już od niemałego czasu w sumieniu mojem o prawdziwej wierze ugruntowany, z publiczną profesyą jej dla jakichkolwiek respektów zatrzymywał«. (Testament).

Możnaby tedy sądzić, że wśród życia tak zajętego samemi sprawami publicznemi, jeżeli który to nasz poeta pisał rzeczy, któreby przygodnością, powagą urzędową, słowem publiką — ten stan autora jako statysty odbijały. Tymczasem rzecz się miała właśnie przeciwnie. Był to człowiek prawdziwie urodzony na dyplomatę. Czynny, zabiegliwy, obrotny w gabinecie — poza jego ścianami wyrzucał z myśli brzemiona interesów, rzucał się w wir życia towarzyskiego całą duszą, i nie było bankietu, pustoty, zabawy, czy w gronie kolegów, czy na pokojach królewskich, w którejby Morsztyn nie odgrywał głównej roli. Niktby tam pewnie z miny jego nie odgadł, że to człowiek nie tylko do tańca — nie tylko do koperczaków! Takie przynajmniej wrażenie sprawiają jego poezye. Jeśli wypadło wyprawić naprzykład balet z okazyi jakiej dworskiej uroczystości, układa go, a przynajmniej uzupełnia go wierszem swoim Morsztyn. Każdej damie biorącej w nim udział, umie grzeczność zaśpiewać. Zaszła potrzeba wystąpić z czemś jeszcze solenniejszem — Morsztyn tłómaczy sztukę Kornela i zapewne, jak wnosić ze wszystkiego należy, nie tylko ją tłómaczy, ale i do jej odegrania należy pospołu z dworzanami króla i z damami dworu królowej. A i to jeszcze nie zapełniało bynajmniej wszystkich chwil wolnych, wszystkich potrzeb jego temperamentu. Miał on jeszcze i po mieście rozliczne znajomości i stosuneczki, które serce jego więziły. Całą litanię możnaby złożyć Zoś, Kaś, Jagnieszek, Helen, Bogumił, Filid i bezimiennych bogdanek, dla których pałał affektem i które rymami swemi unieśmiertelnił. Ta erotyczność stanowi głównie znamię jego liryków. Niektóre z nich pisane są wprawdzie dowcipnie, zręcznie, figlarnie, z wielkim talentem, ale z taką swobodą, jeśli nie swywolą, że wcaleby ich drukować nie należało. Ale bo ich też nie przeznaczał do druku. Pisał dla własnej zabawy, udzielał przyjaciołom; co z nich w rękopisach zostało, stanowi małą zapewne tylko cząstkę tego, co popisał. Znał on tę słabę stronę swojego serca i spowiada się z niej naiwnie w wierszu »Praktyka« (wyd. pozn. str. 68):

»Ledwie mię pierwsze okryło powicie,
Ledwie mi prządka niełaskawa życie
Zwijać poczęła, kiedy spadłszy lotem,
Kupido wygnał parki z kołowrotem,
— Ja sam, powiada, przy życia zaczęciu
Wieszczbę nowemu zaśpiewam dziecięciu.

Śpiewa mu tedy Kupido, jakieto życie dla niego przeznaczone i dodaje:

Tylko też umiej zażyć swej pogody,
I niepuszczaj się bez steru na wody.
Umiej oczyma mówić. . . . . .
. . . . . .
Umiej usłużyć, umiej się ustroić,
Żartować i gdy pozwolą, pobroić,
Więc kartkę podać i krokiem nieskorem
Przybyć na daną godzinę wieczorem,
I każdą pomnij, ćwicz się w każdej sztuce,
Którą dał Nazo w zalotów nauce.
On swoje wierszem przyozdobił Włochy,
Ale i ty wiersz zaśpiewasz niepłochy,
Który się czasu nie zlęknie i laty
Wiecznemi będzie brzmiał między Sarmaty!
Tylko mi niedbaj wysoko rym wznosić
I dawne dzieje piórem twojem głosić!
Nie pisz, co gwiazdy na kole bieżącem,
Co słońce czyni, złączone z miesiącem;
Pomiń monarchów polskich dzielne sprawy
I bitne króle, Jany, Władysławy —
Zostaw to innym; to twoje roboty,
Pieśń składać gładką i łacne zaloty,
Moje tryumfy wspominać i nowy
Nad tobą przezysk i twoje okowy« ...

Owoż powyższego zalecenia Kupidynowego trzymał się w życiu nasz poeta i — nie można tego zataić — marnował najczęściej talent. Lira jego nie brzmiała tonami, jakimi przed stu laty zachwycał naród poeta z Czarnolesia. W kilku zaledwie utworach zostawił ślady wyższego natchnienia, jakiego zdolność odebrał z natury. Życie na dworze, wśród zepsucia, w wieku ze wszech miar odrodnym od dawnych tradycyi, spłaszczyło, ścieśniło jego widnokrąg i dar poetycki przykuło do ziemi.

Rozczytując liczne jego utwory tego rodzaju, nabywamy wyobrażenia nie tylko o samym ich autorze, ale o całym trybie życia wyższych stanów owego wieku. Pełno w rękopisie lwowskim i wydaniu poznańskiem jest wierszy, to do najpierwszych panów, to do przyjaciół, rówieników i kolegów na dworze Jana-Kazimierza, jak np. do Grotkowskiego, do Władysława Szmelinga, do Przeczkowskiego, do Szumowskiego i t. d. Widzimy z nich, jak rozlu-

żnienie obyczajów idąc z góry na dół, dalekie już uczyniło w owych czasach postępy. Dziwna rzecz, że pokolenie dzisiejsze wystawia sobie ludzi ówczesnych w takim rygorze, w takiej grozie obyczaju! Piękne to ale szczególne złudzenie! Skąd my mogliśmy nabyć takich wyobrażeń, uchodzących już za dogmat niemal, za miarę dla fantazyi poetów i powieściopisarzy, której przestąpić nie wolno? Miałyżby przyczyniać się do tego te marsowe mężów postaci w zbrojach, te wizerunki niewiast w zakonnych szatach, które oglądamy na nagrobkach, na portretach z czasu owego? Czy raczej uwodzą nas owe stosy łacińskich ascetycznych traktatów, w jakie szczególniej obfitowała epoka życia Morsztyna? Niezawsze tam nurtuje życie religia, gdzie o niej najwięcej piszą, gdzie ją analizują do najsubtelniejszych odcieni, a po życiu hulaszczem kładą się w habitach zakonnych do pozłocistej trumny! Były bezwątpienia i w wieku Morsztyna domy, rodziny, przechowujące tradycyę lepszej przeszłości. Ale co pewna, to że reguły w życiu ówczesnem tradycya takowa już nie stanowiła, i wiedzieć o tem należy, ażeby się nie łudzić urojeniami.

Z pomiędzy wymienionych dworzan pokojowych królewskich, jedna tylko postać poety Grotkowskiego pięknie odbija. Kochał go widać i poważał Morsztyn najwięcej ze wszystkich towarzyszów swoich, bo się najczęściej do niego właśnie odzywał; a lubo w tych wierszach panuje niekiedy ów ton lekki, świadczący już o całym kierunku dworskim, są jednak miejsca, gdzie widać jakby uwielbienie dla niego, które i w poecie piękniejsze budziło myśli. Kończy np. temi słowami list do niego pisany do Neapolu, gdzie w sprawie sum neapolitańskich przebywał z polecenia królewskiego Grotkowski:

»Możeć Twój wierszem mówić dowcip żyzny
I z teraźniejszym i z upadłym Rzymem;
Ale ty pomniąc prostotę Ojczyzny,
Mów z nią domowym nieprzewoźnym rymem,
I swojej matce nie zadaj tej blizny,
Żebyś językiem miał pisać pielgrzymiem,
Bo ona widząc rym Twój tak przebrany,
Śmie swoje nad Rzym przekładać Słowiany.
Jakoż raz tylko usłyszawszy Ciebie,
Zapomniał Parnas mówić po łacinie;
Muzy po polsku piszą, i ty Febie
Polskie grasz tańce niebieskiej drużynie.

Skądeś tak wieki i po swym pogrzebie
Zniewolił, Janie, że co Tobą słynie,
Dziękuję, że w nim Twoje prace wyszły,
Przeszłyć zazdrości — zadziwi się przyszły«.

Już z tego wyjątku poweźmie czytelnik wyobrażenie, że i na wznioślejszych więc uczuciach nie brak poezyi morsztynowskiej. Przyznając wyżej, że najczęściej marnował talent, nie chciałbym przeto odmawiać wyższego znaczenia całemu jego stanowisku w literaturze. Ażeby je ocenić, oznaczyć, obeznajmy się bliżej z pozostałościami jego muzy.

Morsztyn mało co, najpewniej nic wcale nie publikował drukiem z pism swoich. Jest ślad w jednym z jego wierszy (»Do swoich książek« na początku wydania poznańskiego i także w rękop. lwow.), że raz jakiś zbiór poezyi przygotowywał do druku. Żegna się tam żartobliwie z lutnią swoją, która się, powiada, napiera iść na świat przez nielitościwe prasy drukarskie. Ale do tego, nie wiadowo czemu, nie przyszło. Natomiast widać ze wszystkiego, że było u niego zwyczajem, co się nowych płodów znalazło, zgromadzać w wiązanki i posyłać je w rękopisie osobom, z któremi się przyjaźnił, które poważał, albo których względy pragnął pozyskać. Nie mówiąc już o pojedynczych listach poetyckich, którymi obsyłał n. p. Jana Sobieskiego (w rychlejszych czasach), siostrę swoją Rejową, krewnego Stanisława Morsztyna rotmistrza J. K. Mci, Kazimierza Kłokockiego stolnika płockiego i t. d., udarował naprzykład całym zbiorem pieśni miłosnych »jaśnie wielmożnego Jmć Pana Koniuszego Koronnego Aleksandra Lubomirskiego«. Nazwał ten zbiorek Kanikułą, jako napisany w czasie kanikularnych upałów na niebie i w sercu własnem:

»Mnie wściekła gwiazda, mnie i Venus męczy,
Mnie wewnątrz ogień, mnie i z wierzchu dręczy«.

Są to rzeczy po większej części słabe i były też pisane w rychlejszych latach, jak data 1647 wskazuje. W rękopisie lwowskim, nie znajduje się Kanikuła. W tychże zapewne czasach był posłany w darze przekład Amynty Tassa żonie tegoż Aleksandra Lubomirskiego, z domu Ossolińskiej, koniuszynej koronnej, z osobną dedykacyą tłómacza. Wspomniałem już wyżej, że Amyntas zdaje się być jedną z najpierwszych jego prób poetyckich; mało ma zalet,

w rękopisie lwowskim go niema, w drugim (z którego powstała ed. pozn.) znaleziono początek; całość odszukał i wydał Nowakowski w Berlinie. Inny zbiór wierszy wyprawił Morsztyn do brata wspomnianego wyżej Aleks. Lubomirskiego, do hetmana i marszałka wiel. kor. Jerzego Lubomirskiego. Całego zbioru tego nie mamy. Znajduje się tylko w obydwóch rękopisach wiersz długi dedykacyjny do niego, zawierający ciekawy opis Warszawy ówczesnej. Z napisu: »posyłając wiersze panu Marszałkowi« etc. widać, że służył za przedmowę do całej wiązanki poezyi:

»Wielkiemu Panu, ale i wielkiemu
Wierszów uznawcy, dowcipów sędziemu*,
Pójdź, rozkazaniem jego przymuszony,
Oddaj te wiersze i moje pokłony.
Żebyś nie zbłądził, chociaż nie za morze
Idziesz, o jego tak się pytaj dworze«...

(i tu nastuje cała marszruta przez ulice warszawskie, dowcipnie i zręcznie upoetyzowana). Ten wiersz do Jerzego Lubomirskiego należy do ważniejszych płodów naszego autora. On jeden też tylko był już dawniej ogłoszony z rękopisu lwowskiego, z wyjaśniającemi uwagami i wiadomością bardzo niedokładną o autorze (w Czasop. zakł. Ossol. 1830, T. III str. 105, cf. r. 1831, I, str. 19). W wydaniu poznańskiem utwór ten znajduje się także (str. 24).

Widać z tego wszystkiego, że zatem w młodszych latach zostawał Morsztyn w szczególnie ścisłych stosunkach z Lubomirskimi.

Podobnym zbiorem przesłanych w podarunku poezyi była Lutnia, ofiarowana w r. 1661 Łukaszowi Opalińskiemu, marszałkowi nadwornemu kor. Stanowi ona właśnie treść rękopisu lwowskiego, opisanego wyżej. Ten Łukasz Opaliński, brat rodzony znanego satyryka Krzysztofa Opalińskiego, był także i sam pisarzem. Prócz kilku mów politycznych, zostawił polski poemat dydaktyczny pod tytułem Poeta (wydany w Krakowie dopiero 1780 r.) i kilka dzieł łacińskich politycznej lub religijnej treści, między któremi

---

* Nie wiem, czy każdemu wiadomo, że był nawet autorem i to poetyckich rzeczy marszałek Jerzy Lubomirski. Przekład z włoskiego, utworu Guariniego Pastor Fido, bezimiennie w Toruniu r. 1695 wydany, jegoto jest pióra. Mylnie to niektórzy przypisywali jego synowi, znanemu w literaturze księciu Stanisł. Herakliuszowi Lubomirskiemu.

najważniejsze Polonia defensa contra Barclavium, Dantisci 1648. Umarł w rok po otrzymaniu Lutni od Morsztyna, t. j. 1662 roku. Wspominają go wszyscy, jako męża przewagami wojennemi, rozumem, głęboką nauką, a mianowicie gruntowną znajomością obojga starożytnych języków (?) odznaczonego. Któżby z tych rysów nie utworzył sobie wyobrażenia, że to był człowiek moris antiqui, groźny, poważny, wzbudzający gdzie się tylko pokazał, samę cześć dokoła i respekt! Tak jednak być nie musiało. Musiały się figliki czasem trzymać i pana marszałka; inaczej nie byłby mu śmiał ofiarować pan referendarz kor. poezyi, między któremi wiele jest takich, żeby ich dziś żadną miarą nie uchodziło drukiem ogłaszać. Boć przecie dobieramy zazwyczaj darów wedle natury tego, kogo zamierzamy obdarzyć.

Lutnia ta dzieli się na dwie księgi i obejmuje same tylko liryczne, ulotne wiersze. Odnoszą się oczywiście wszystkie do czasu przed r. 1661, a zatem do epoki kawalerskiego życia Morsztyna. Pewna część onych znajdowała się i w owym rękopisie drugim; przeszła więc z niego do edycyi poznańskiej. Bardzo wiele jednak jest w Lutni takich utworów, których tam niema, a któreby istotnie zasługiwały na ogłoszenie*. Wartość ich nie polega na samej tylko treści, rzucającej światło na ówczesne stosunki towarzyskie, ale i na artystycznych zaletach. Można Morsztynowi zarzucać płochość, wietrzność, poziomość natchnienia. Pod tym względem przewyższał go pewnie współczesny Wacław Potocki nieskończenie. Ale czego trudno odmówić naszemu poecie, to prawdziwego dowcipu i panowania nad językiem i wierszem, jak na owe czasy, znakomitego! Inni, n. p. Kochowski lub też Twardowski Samuel, uważani do niedawna za główne illustracye poetyckie epoki morsztynowskiej, jakże często grzeszą przeciw najskromniejszym wymaganiom co do poetyckiej formy, czy to w pojedynczych wyrażeniach, czy w całym toku języka. Jęczą pod ciężarem książkowych wysłowień, mitologii, erudycyi, słowem najniezdarniejszego pedantyzmu. U Morsztyna takiej uczoności niema. On tam z książek natchnienia nie czerpał, pisał ze źródeł życia, i jak jeszcze ruchliwego, gwarnego życia! Co pisał, rzucone było od ręki, jak (w prozie) Pamiętniki Paska. A gdyby mu kto miał przyganiać, to odpowiadał zawczasu:

---

* Obecnie są już ogłoszone. Wyszły w tomie II Rozpraw i sprawozdań Wydziału filolog. Akad. Um. (1875).

wszakże ja tego drukować nie myślę, ja na tem imienia nawet mego nie położyłem!

»Jam nie myślał nigdy o tem,
Być Bekfarkiem i Galotem.
Takem sobie w domu gędził,
Abym zły humor odpędził.
Zaczem ktośkolwiek jest, panie,
Coć się tych mych dum dostanie,
Choć się affektem rozpalisz,
Lub poganisz, lub pochwalisz:
Nic nie rzekę, choć usłyszę,
Bo się w Lutniej nie podpiszę«. (z ręk. lwowsk.)

Ta zamaszysta improwizacyjność, ta że się tak wyrażę, egotyczność poety, nadaje zdaje mi się płodom jego znamię czegoś nowego w dawnej literaturze naszej. Bez talentu, byłyby to rzeczy nie zasługujące na żadną uwagę. Ale przy tak niezaprzeczonej zdolności poetyckiej, stanowią one typ nowy, który miał przyszłość w dalszych kolejach poezyi polskiej. Aż dotąd poeci nasi czerpali mniej więcej z tradycyi starożytnego pieśniarstwa. Przedmiotowość i plastyczność była szczególną cechą utworów Jana Kochanowskiego i dalszych jego braci po duchu. Ci z nich, którzy żyli w wieku Morsztyna, szli temi tradycyami coraz dalej, brnąc czasem aż nadto głęboko w szkolności, książkowości form i sposobów. Jest to jedna z głównych przywar nawet autora Wojny Chocimskiej. Owoż odbija od nich Morsztyn, jako przedstawiciel poezyi zupełnie odrębnego rodzaju. Związek jego z wzorami starożytnymi był tylko na początku zawodu, póki starczyło wpływu dziada jego Otwinowskiego. Później puścił się na własną rękę, torami mało dotkniętymi poprzednio. Zrywał kwiaty na smugach życia. Płatał figle wedle rzeczywistej praktyki. A jeśli odwzorowywał formy postronne, jeśli przenosił do mowy polskiej tradycye obce, to ich szukał na niwie współczesnych literatur europejskich, mianowicie literatury włoskiej, z którą się oswoił, przebywając we Włoszech za młodu. Lubił nastrajać lutnię swoją na nutę włoskich melodyi i wiele rzeczy wyśpiewał w formie sonetu, w sestinach, stancach i t. p. że już o tłómaczeniu Tassa nie wspomnę*. Z łaciny przeciwnie chyba czasem jaką pieśń Sarbiewskiego przepolszczył.

* Samo nazwanie jednego zbioru poezyi Lutnią zdradza to pokrewieństwo. Słynny poeta włoski XVII wieku Marino podobnie zatytułował zbiór liryków, idylli i epigramatów swoich »La Lyra, rime«. Wenecya 1602.

Pomijając już zbiór kilkunastu Zagadek wierszem, ofiarowanych siostrze Teofili Rejowej, które podobną zbiorową całość tworzyły i znajdują się w wydaniu poznańskiem: przechodzę do utworów dłuższych, odrębnych.

Należy do nich »Balet królewski w Warszawie 1654«. Niema go w rękopisie lwowskim i nie byłoby potrzeby wspominać o nim, gdyby nie okoliczność, że się z niego dowiadujemy, jak tego rodzaju widowiska dawane były na dworze warszawskim. W braku towarzystwa stałych artystów scenicznych, brała na siebie zadanie takich przedstawień młodzież dworu królewskiego obojej płci. Wszystkie damy biorące udział w balecie są tutaj wymienione z nazwiska. Widzimy między niemi i Maryę-Kazimirę, późniejszą królowę polską, i Katarzynę de Gordon, następnie żonę poety. Przedstawiały obie — żniwiarki.

Daleko więcej znaczy: »Cid albo Roderik, Comedya Hiszpańska z francuskiego języka przetłómaczona, która w zamku warszawskim reprezentowana była na sejmie 1661 roku, po odebraniu miast litewskich, także miast pruskich od Szwedów windykowanych, jako Prolog in-persona Wisły świadczy«.

Ten przekład znanej tragedyi Kornela wyszedł był z druku, razem z poematem Psyche, podobno jeszcze w XVII wieku.

Ważny jest nie tylko przeto, że się rozpoczynają już więc na nim (w środku XVII wieku) dzieje wpływu klasycyzmu francuskiego na poezyę naszą i że o tyle okazuje się Morsztyn poprzednikiem epoki przeważnie to piętno noszącej za Stanisława-Augusta, prawnuka jego; ale i dla płynnego wiersza, jakim spolszczył tę sztukę. Na początku naszego wieku, Ludwik Osiński zachwycał Warszawian swoimi przekładami sztuk klasycznych francuskich. Wiemy, że kierował się w rymowaniu zasadami dość wybrednemi. Niełatwo mu drugi dogodził. Owoż na pochwałę niemałą przekładu morsztynowskiego posłużyć może wiadomość, że nie czując się na siłach Osiński zrobienia czegoś lepszego, zatrzymał podobno* w swojem tłómaczeniu w wielu razach tekst Morsztyna, i tylko od niego zupełnie odstępował w pojedynczych ustępach, lub też gdzie uważał za potrzebne skracać sztukę Kornela. — Dodany jest do przekładu Cida, jak już napis opiewa, zręczny prolog oryginalny Morsztyna.

---

* Mówię podobno, gdyż ten przekład Osińskiego nie jest wydany, ażeby go z morsztynowskim porównać można.

Są w nim ładne myśli, choć dworszczyzna wszędzie przebija. Występuje nibyto Wisła i wyraża radość swoją z posiadania rodziny królewskiej znowu nad swymi brzegi:

»Jam też pilno spieszyła,
Żebym tu na czas była,
Upaść do nóg z swą danią
Przed mym panem i panią,
I powiedzieć im śmiele,
Że być u nich w poddaństwie
Najwyższe me wesele!
I żem z tego pyszniejsza,
Że nurt mój bystry pod ich rządem bieży,
Niż że w mem łożu dawna Wanda leży!«

Prolog kończy się takiem życzeniem:

Żyjciesz tedy wiek długi!
Niech za wasze usługi
Niebo i polskie strony
Oddają wam korony!
Niechaj fortuna płocha
Z statkiem się w was rozkocha,
I niech nieprzyjaciele
Pod nogi wasze ściele!
Dzierżcie jednych w przymierzu,
Drugich zaś bierzcie w łyka:

Żyj Kazimierzu!
Żyj Ludwika!«

Wspomniałem, że ten przekład sztuki Kornela jest wydany razem z poematem Psyche, i to prawdopodobnie jeszcze w XVII wieku, bezimiennie. Do dwóch rzeczonych utworów Andrzeja, dołączono tu jeszcze dwa dzieła innego autora i wydano wszystko razem bezimiennie pod takim tytułem: Psyche z Lucyana, Apulejusza, Marina, — Cid albo Roderik komedya hiszpańska z francuskiego przetłómaczona, — Hippolit y Andromacha, tragedya z francuskiego przetłómaczona, bez oznaczenia miejsca druku i roku, 4o (Bentkowski). Tej edycyi nie znam, mam jednak powody, z których się niżej wytłómaczę, dla których wnoszę, że wydawcą jej był krewny i przyjaciel podskarbiego, Stanisław Morsztyn, wojewoda naówczas mazowiecki, właśnie autor obydwóch tu dołączonych, a nie będą-

cych dziełem podskarbiego, utworów. Rok wyjścia z druku (około r. 1698) przypada w każdym razie na kilka lat po wyniesieniu się już z Polski poety naszego. W drugiem wydaniu, o pół wieku z górą późniejszem, pobałamucono już stosunki autorów do dzieł każdego z nich, przypisując wszystko w czambuł Andrzejowi podskarbiemu; tytuł tego wydania taki jak i pierwszego, z różnicą że dodano teraz: przez J. W. JMci Pana Andrzeja Morsztyna na ten czas podskarbiego W. K. Teraz zaś na wielu instancyę przedrukowana kosztem Stanisława Słowińskiego Bibl. J. K. M., w Lipsku Roku MDCCLII (więc 1752 a nie 1725, jak wielu jeden za drugim powtarza) 4-to, str. 360. Innych wydań niema.

Otóż te dwie drukowane prace, te obydwa (jak wszyscy rozumieją) »przekłady«, Cid i Psyche, stanowiły aż do tej chwili cały zasób zasługi autorskiej Morsztyna około literatury*. Edycya poznańska jego poezyi poszła na cześć innego, na cześć Zbigniewa. Lutnia zalega we Lwowie w rękopisie. Amyntas wyszedł bezimiennie. Cid jest tylko tłómaczeniem. Psychy nikt czytać nie raczył. Nie dziw, że figurował też i figuruje dotąd nasz podskarbi gdzieś ledwie na szarym końcu po wszystkich rysach piśmiennictwa i historyach literatury polskiej. Zaledwie go raczą wspomnieć jako tłómacza!

A tymczasem, gdyby się był tylko chciał kto bliżej przypatrzyć tej »tłómaczonej Psysze z Lucyana, Apulejusza, Marina«, byłby łatwo dostrzegł, że choćby jej autor nic innego nie był napisał, jak tylko właśnie Psychę, jużby go do pisarzy szarego końca, do tłómaczy zwłaszcza zwykłego kalibru liczyć nie należało. Jakże bo też ma to być poemat przełożony jednym zamachem ręki i z Lucyana, i z Apulejusa, i z Marina zarazem? Lucyan Grek, wcale nie pisał poezyi, a to poemat! Apulejusz (pisarz łaciński II wieku po Chr.) także żadnego wiersza nie skleił. Marini, poeta włoski, pisał ich wiele, to prawda. Ale Marini umarł już w roku 1625; a w morsztynowskiej Psysze są szczegóły nie tylko o takich zdazdarzeniach, które zaszły na kilkanaście, kilkadziesiąt lat po r. 1625, ale którychby włoski poeta, tak jak są opowiedziane, wcale przedstawić nie mógł, choćby nawet był wtedy jeszcze przy życiu. Zresztą

* Że Hipolit i że Andromacha nie były pióra Andrzeja, ale Stanisława Morsztyna, o tem dawno już wiedziano, ze wzmianki Załuskiego w Bibl. Poet. Pol. strona 61.

nie widzimy też w spisie dzieł Mariniego żadnego poematu pod rzeczonym tytułem, jako go też nie widzimy ani między pismami Lucyana, ani Apulejusza.

Jakiż sens tedy tych słów na tytule: »z Lucyana, Apulejusza, Marina?«

Wziął sobie nasz poeta za osnowę swego romansu-wierszem, do tego bowiem rodzaju poezyi odnosi się poemat, o którym mowa, dawny mit grecki o Amorze, zakochanym w śmiertelnej ale ślicznej nad wszelki opis dzieweczce, której było Psyche na imię. Do licznych pisarzy, tak w prozie jak wierszu, którzy obrabiali tę poetyczną tradycyę, należeli w starożytności Lucyan i Apulejus. U obydwóch jednakże użyta ona jest tylko jako epizód, wstawiony w utworach dłuższych innej treści i innej nazwy, pisanych prozą*. Co do Mariniego, pism jego nie znam i nie mam w tej chwili sposobności oglądania takowych. Ile wnosić można z tego, co o nich mówią po dziełach historyczno-literackich, będzie i u Mariniego rzeczony mit o Psysze traktowany tylko jako epizód, wtrącony do długiego poematu Adone w 20 pieśniach. Mógł z włoskiego Morsztyn zaczerpnąć niejeden szczegół, jak też przyswoił sobie niejedno z Apulejusa (o czem przekonałem się porównywając obydwóch); ale o wiernym, zawisłym od oryginału przekładzie w każdym razie mowy tu być nie może**.

Dla przekonania czytelnika, że istotnie tak jest, niech mi będzie wolno przytoczyć z jednego ustępu Psychy nieco wyjątków***. Są one i skądinąd ciekawe. Rzucają światło na charakter polityczny poety, odsłaniają nam stosunki dworskie ówczesne, pisane przytem językiem i wierszem, jakim mało kto przemawiał w wieku XVII, a nie muszą być znane, bo niktby tego natenczas nie uważał za tłómaczenie z greckiego!

Już to w ogóle o poezyach Morsztyna nadmienić można, że lubo się jego muza najczęściej trzpiotać lubiła, wyziera jednak z niejednego wiersza podskarbi, myślący polityk i dyplomata. Jeszcze referendarzem będąc, kiedy wysyłał wiersze do Jerzego Lubomirskiego marszałka wiel. kor., wyraził się w owym poemaciku

---

* Lucyana Λούκιος ἢ ὄνος, Apulejusa De Asino aureo.

** Psyche jest naśladowaniem pieśni IV poematu L' Adone, jednakże zawiera i własne rzeczy polskiego autora.

*** Stanca 25 do 53; wszystkich stanc obejmuje poemat 296.

opisującym Warszawę w taki n. p. sposób o sejmach (Mowa zwrócona do Lutni):

»Przyszedłszy w miasto, nie wstępujże w prawo!
Sejmy tam łamią, przerabiają prawo.
Rzadko tu dobry strój, że prawdę rzekę:
Ukręcąć kołki i potłuką dekę,
I swar poselskiej zagłuszy cię Izby,
Nie przeciśniesz się przez panięce ciżby«....

W wydaniu poznańskiem Poezyi (str. 123) czytamy wiersz p. t. »Non fecit taliter ulli nationi«, taki:

»Żadnej krainie Bóg nie błogosławił
Tak jako Polsce; bo choć ją postawił
Wśród nieprzyjaciół krzyża zbawiennego,
W całości dotąd jest z obrony jego.
Stąd ma i sławę, bo postronni wiedzą,
Że za jej strażą w bezpieczeństwie siedzą.
Do sąsiadów też chleba nie biegamy
Prosić — i owszem swego udzielamy.
Czegoż chce więcej ta kraina z nieba,
Mając dość sławy, obrony i chleba?
— Rządu potrzeba!«

Najwybitniej świadczy jednak o osobistych Morsztyna stosunkach do rządu i do tronu ustęp w Psysze, który tu streścić zamierzam. Zaczyna się w poemacie opowiadanie od tego, że Wenus wpada w wielkie kłopoty. Wszyscy śmiertelni zapominają o niej. Nikt jej już ofiar nie składa. Nikt ani o niej nie myśli! Zjawiła się bowiem na ziemi cudownej piękności królewna, Psyche, która urodą tak owładnęła umysły ludzkie, że ołtarze dymią się tylko dla niej kadzidłem, że wszystkie usta powtarzają jej tylko imię. Spieszy bogini na miejsce, gdzie zamieszkuje ta piękność, chcąc dowieść wszystkim a przedewszystkiem sobie samej, że przecież niczem jest śmiertelna cudność w obec nadziemskiej. Ale niestety, jedno spojrzenie na Psychę wystarcza na obalenie wszelkich nadziei odzyskania dawnych uwielbień ze strony rodu ludzkiego. Psyche bowiem rzeczywiście jest tak piękna, że gaśnie przy niej nawet nadobność Wenery! To ją do rozpaczy, a dalej do zemsty wielkiej pobudza; zaprzysięga zgubę Psysze, a narzędziem zemsty ma być jej synek, bożek miłości, Kupido. Ale gdzie on jest? Tak

dawno go już nie widziała. Nigdzie się o niego dopytać nie może. A więc

XXV.

»Szuka go Wenus najprzód między Greki,
Ale tam tylko i szable błyszczące
I na krew ludzką rozdarte paszczęki
I bisurmańskie znajduje miesiące.
Stamtąd woźnikom* popuszczając ręki,
Pomija brzegi od ognia gorące
Sykulskiej Etny; aż ją powóz płochy
Wysadza między zalotnymi Włochy«.

Co teraz następuje, nie wyszło z pióra poety włoskiego:

XXVI.

»Ale tam — miasto miłości — plugawe
Widzi nierządy, opaczne chciwości,
Zazdrość zbrodnistą, podejrzenia krwawe,
Wolność wygnaną, wszędy pełno złości. —
Stąd idzie między Niemkinie łaskawe:
Lecz tu Kupido nie bardzo rad gości,

Bo (powiada poeta)

Tu zimna miłość i jakby umarła«.

XXVII.

»Przewozi się stąd między oddzielone
Od świata morzem naszego Brytanny,
W kraje gładkością od wieków wsławione,
Gdzie i dowodzą i królują Panny;
Ale zastawszy piaski krwią skrwawione
Niewinną, i z rąk świętokradzkich ranny
Królewski tułów, o! straszne przykłady,
Nie może patrzeć na poddanych zdrady«.**

Udaje się tedy Wenus do Francyi. Ale i tam nie znajduje Kupidyna.

---

* Gołębiom.

** Ta wzmianka dotyczy skazania na śmierć Karola I 1649. A Marino umarł 1625.

XXIX.

»Darmo go jednak szuka we dnie, w nocy:
Bo tu tak siła znalazł do roboty,
Że musiał sobie przybrać do pomocy
Młodszych braciszków, którym kołczan złoty
Rozdał, żeby swej spróbowali mocy.
A sam zwątlony, bez sił, bez ochoty
Na odpoczynek odważył się z nową
Do Polski zjechać Kupido królową.

Mowa o królowej Maryi Ludwice. — Spieszy zatem Wenus za nim do Polski. Przebywszy morza i różne lądy,

XXX.

. . . . . .

»Nakoniec stawa tam, gdzie Wisła ginie
Przy Gdańskim porcie, i stąd ku Warszawie
Płynie, gdzie w gęste ubrawszy się chmury,
Wchodzi nieznaczna między pańskie mury«.

W następujących teraz 24 strofach, poświęconych wyłącznie królewskiemu dworowi polskiemu, mówi Morsztyn z galanteryą wprawdzie, ale i z prawdziwem uwielbieniem o zaletach tyle poniewieranej w dziejach naszych Maryi Ludwiki. Wszedłszy Wenus na pokoje królewskie,

XXXII.

»Zadziwiła się, nie wie, czy na ziemi,
Widząc królowę, czy stanęła w niebie.
Nie śmie jej równać z duchy niebieskiemi,
Wyżej ją kładzie bogiń, wyżej siebie;
I zwyciężona blaski niezwykłemi,
Urodę własną poniża i grzebie —
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:
Podobnoć to ja? podobnoć to Psyche?«

Oczywiście znajduje w tem miejscu Kupidyna. Powstaje tedy groźnie na niego:

XXXV.

»Ty coś zwykł rządzić i panować wszędy,
Odpiąłeś sajdak i skrzydłać nadgrzały;

Jak ogrodniczek pilnujesz tu grzędy!
Znać że cię smaczne przytłumiły węzły,
Wpadłeś w Labirynt . . . . . .

Ale odpiera te wyrzuty Kupido. Zagaduje matkę, wskazując na Maryę Ludwikę:

XXXVII.

»Widzisz tę Panią? Ta-to jest, co kraje
Tuteczne rządzi i Sarmacką stronę;
Której wielki król* wolność swą poddaje,
I wkłada na jej warkocze koronę!
A kiedy Bratu śmiercią rządy wzdaje,
On jako spadkiem bierze ją za żonę.
Jakby korona wraz chodziła z wdową,
Nie chce być królem, tylko z tą królową.

XXXVIII.

»Cesarze greckie, Muntuańskie pany,
I krew Gonzagów, i Paleologi,
Dom Lotaryńskich książąt zawołany
I sławnych królów francuskich rząd srogi
Liczy w swym rodzie. I stąd bez nagany
Mogłaby zasieść miejsce między bogi;
Ale jej godność — nad wszystkie przykłady —
I starożytność przewyższa i dziady.

XXXIX.

»Przewyższa wielką fortunę umysłem,
Umysł rozumem, rozum wszelką cnotą.
Jako nad bajką i pięknym pomysłem
Zdziwi się przyszły wiek nad jej robotą,
Nad zdrową radą, nad mieszkiem nieścisłem,
Gdzie między stany stwierdza zgodę złotą,
Albo zachęca na nieprzyjacioły,
Albo funduje szpitale, kościoły«.

Następująca strofa odnosi się do tajemnych zamysłów Władysława IV w ostatnich latach jego życia, niedoprowadzonych do skutku.

* Władysław IV.

XL.

»Posag rzęsisty i drogie klejnoty
Na Otomanów i na wojnę świętą,
Na zaszczyt* granic, oddaje z ochoty;
Ale imprezę mądrze rozpoczętą
Rozbija zazdrość złości czy ślepoty!
Przypłacisz tego z stratą niepojętą,
Głupi Polaku! i w ciężkiej przygodzie
Ganić twój upór będziesz, lecz po szkodzie!

W dalszych strofach wylicza Morsztyn wszystkie nieszczęścia publiczne w ciągu panowania Jana Kazimierza: utratę Ukrainy, bunty kozackie, napady Tatarów, wojnę z Rakocym, z Moskwą, Szwedami. Wśród tylu burz, wszyscy upadają na duchu. Spiknionym przeciwnościom tylko jedna nagiąć się nie daje — królowa!

XLIII.

»Powraca w Polskę, opuszcza kraj szląski,
Kraków odebran za Jej dobrą sprawą,
Ona z Stanami czyni nowe związki,
Ona zatacza działa pod Warszawą,
Odbiera Toruń, kraj Pruski nie wąski,
I tryumfuje nad zazdrością żwawą.
Nakoniec Matka Ojczyzny prawdziwie,
Wieczysty pokój zawiera w Oliwie«. —

Teraz dotyka sprawy drażliwej dla współczesnych, w której i sam odgrywał rolę: kandydatura do tronu polskiego Kondeusza.

XLIV.

»Nie dosyć na tem, widząc się niepłodną
I przewidując przyszłe nieszczaniny**,
Chce za żywota, łaską dzięków godną,
Wcześnie opatrzyć królem te dziedziny;
Lecz i w tem Polskę znajduje niezgodną!
Nie wal na prawo, o Polaku, winy!
Chciwość — niesłowność — praktyki — i płonne
Nadzieje w zguby pędzą-ć nieuchronne!«

---

* Staropolski wyraz, tyle znaczy co zakrycie, obrona granic.

** Zapewne ma być niszczaniny, zniszczenia, albo mieszaniny, zamieszania?

Z następnej strofy wnoszę, że chociaż pewnie nie cały poemat, to przynajmniej ten polityczny w nim ustęp pisany być musiał po śmierci już królowej Maryi Ludwiki. Wiadomo, że zgon jej przypadł bardzo krótko po uśmierzonej wojnie domowej z Lubomirskim (w r. 1667). Okoliczność ta podnosi i uzacnia powyższe uwielbienia, zdejmuje z nich wszelki pozór pochlebstwa. Za kadzidło dla Jana Kazimierza również by tego wszystkiego nie można uważać; nie przeto tylko że i jego abdykacya, toż wyjazd z kraju nastąpiły zbyt rychło (1668), ale że z całego tonu owych pochwał widać, jak mało sobie ważył osobistość króla w obec moralnego znaczenia królowej. Takie milczenie o Janie Kazimierzu dowodzi owszem, że go Morsztyn uważał za niedołęgę i wcale się nie starał zamaskować takiego o nim mniemania. Zresztą znajdzie się niżej wskazówka, że prawdopodobnie i Jana Kazimierza nie było już między żyjącymi, kiedy ten ustęp był pisany. Mówił więc z powodu rychło przypadłej śmierci królowej, niby proroczym głosem, tak wtedy Kupido do Wenery:

XLV.

»Niegodna ziemia zdobić się nią dłużej,
I prosto w niebie po pracach zasiędzie,
Gdzie, jak powieki wiecznym snem zamruży,
Przebierać będzie w pierwszym bogów rzędzie« i t. d.

Wypowiedziawszy w ten sposób wszystko o królowej, zapoznaje teraz poeta przez usta Kupidyna Wenerę z damami składającemi orszak królowej. Tu wiele kawalerskiej galanteryi i dworactwa, ale nie bez zmyślności artystycznej. Nie mogąc trybem historyka zapuszczać się aż do wymówienia suchych nazwisk każdej z dam honorowych, radzi sobie wybiegiem, to jest przejmuje od Włochów ulubiony wtedy sposób oddawania myśli swojej zapomocą tak zwanych concetti.

. . . . »Teraz orszak biały
Jej nimf uważaj! Przyznasz to bez sporu
Że taka pani godna tego Dworu.

XLVII.

»Ta, co pociągłym rzuca ognie okiem,
I szkarłat z mlekiem w równe mięsza szyki,

Tak jak ty, matko, włada serc wyrokiem,
I monarchiją rozciąga podwiki;
Gdzie się zamierzy z rozjazdem szerokiem,
Pełnym obłowem ponapełnia wniki,
I kędykolwiek swe sidła zastawi,
Popęta serca — Bez sen — i na jawi.

(Ma się to rozumieć o pannie Bessaine, w której też sidła wpadł później Denhof podkomorzy kor., który ją zaślubił).

O późniejszej królowej Sobieskiej, naówczas pannie Maryi Kazimirze d'Arquin, tak mówi:

XLVIII.

»Ta pierwsza twarzą, choć ostatnia laty (najmłodsza),
Zrodzona między grzecznymi Francuzy,
Zdolna jest spalić w popiół oba światy
Od wschodu słońca aż gdzie się zanurzy.
Nie żałuj serca w takie ręce straty!
Jeśli jej niebo żywota przedłuży,
Jej zbytnia gładkość, co dopiero świta,
Przed swem południem i króle pochwyta.

XLIX.

»Czy możesz, matko, myśl tam zaciec śmiele,
Jakie ozdoby i jakie ponęty
W kupę się zeszły w tem anielskiem ciele?
Dowcip, i rozum niemniej pewnie święty.
Zgoła z niebieskiej poszła parentele,
Bo wszystkich Bogów w niej jest skarb zamknięty*;
Skąd wotem serca niosą jej w podarki,
Jak do kościoła, i jako do Arki«.

(Z dwóch wierszy strofy XLVIII, drukowanych tu odmiennemi czcionkami, zdaje mi się, wnosićby można, że więc już po elekcyi Jana III (1674), a temsamem po zejściu Jana Kazimierza († 1772), rzecz ta musiała być napisana. Inaczej jakżeby mógł był przepowiedzieć, że »króle pochwyta?«).

---

* Nie od rzeczy będzie może nadmienić, że to tak częste porównywanie tych osób z bogami, nieznośnie brzmiące w innym razie, o tyle może tu być uniewinnione, że to mówi Kupidyn. Jemu snadniej uchodzi wszystko do bogów odnosić.

W podobny sposób mają strofy swoje i inne damy: panna de Mailly, później Pacowa kanclerzyna lit.; panna Tarło, wydana później za ks. Sapiehę podskarbiego wiel. lit.; panna Wodyńska, następnie żona Żeleckiego łowczego kor. Przytoczę tylko jeszcze stancę, gdzie wspomniał o żonie swojej poeta, naówczas pannie Katarzynie Gordon:

L.

»Angielka rodem, i płcią nad Anioła,
Co za nią idzie, — królów w rodzie liczy,
Anioł dowcipem, głosem Anioł zgoła,
Twarzą zawstydza i przykładem ćwiczy
Swe towarzyszki! Nie czary, nie zioła
Sławne jej często poddają zdobyczy, —
Cnoty i rozum i kształt niezmierzony,
To są jej pęta i trwałe Cordony«. —

Na LIII strofie kończy się ten ustęp o rzeczach polskich. Przechodzi potem autor do głównej osnowy swego poematu. Zdaje mi się więc, że ustęp ten później dopisany, a przynajmniej rozprzestrzeniony dodatkami nowymi być musiał; sam zaś poemat odniósłbym do r. 1659 (w którym się Morsztyn ożenił), lub mało co przedtem; zakończenie bowiem Psychy jest takie:

CCXCVI.

»Odpuść, Kupido, że twoje zaloty
I tajemnice skryte twojej Psychy
Podałem światu! Bądź kontent z ochoty,
Jeśli wiersz czego nie dokazał lichy!
A za podjęte prace i roboty,
Kiedyć wiadomy serca zapał cichy,
Włóż na me skronie myrtową koronę,
Dokaż, nad Kasią niech nie darmo płonę!« *

* Ażeby dotknąć i ubocznych uwag, które się tu nastręczają, dodaję, że i napisana około 1659 r. Psyche biegać jak inne płody Morsztyna musiała po rękach w rękopisie, i to na kilkanaście lat przed ogłoszeniem drukiem. Znał ją współczesny Kochowski i już w wierszu »Poetowie Polscy« zamieszczonym w »Niepróżnującem Próżnowaniu«, o niej wspomina. Niepróżnujące Próżnowanie wyszło w Krakowie 1674 r. A pierwsza publikacya Psychy i Cyda, przyszła do skutku dopiero znacznie po r. 1784, jak już nadmieniono.

— Wspomniane potąd utwory Morsztyna odnoszą się niemal wyłącznie do lat jego rychlejszych (1638—1661). Czy pisał tyle i w późniejszym wieku i jak pisał? na to żeby odpowiedzieć, trzebaby odszukać nowy jaki rękopis. W edycyi poznańskiej szczupła tylko ilość znajduje się poezyi, pochodzących (według dodanej daty) z roku 1671, 1674, 1677 i 1678. Są one po większej części religijne. Dawniej tym tonem brzmiała nader rzadko, w wyjątkowych chyba razach, światowa lira Morsztyna. Pod koniec dopiero wieku, dni uroczyste, np. Wielki Piątek, Boże Narodzenie itp. przywodziły mu czasem na myśl poważniejsze wzory, do których własne dostrajał uczucia. Odrywał wtedy myśli od ziemi i w pięknych, uroczystych słowach zwracał mowę do Boga. A było w takich chwilach i podumać o czem w obliczu nieba! Raz (1678) rzuciła go ciężka niemoc na łoże. Była to uporczywa a niewymownie dokuczająca febra Quartanna. Bóle fizyczne złamały widać do ostatniej iskry żywotnej sprężysty umysł podskarbiego. Opuścił ręce, zwątpił o sobie, zaczął się obliczać z sumieniem i pokazało się, że rachunek jakoś niedobrze wróży! Poetyckim tedy, prawdziwie natchnionym głosem, głosem Psalmisty, podniósł serce ku Bogu i wyśpiewał wiersz dziwnie piękny, zatytułowany Pokuta. Jest to prawdziwa spowiedź, istna analiza najtajniejszych zakątków własnego wnętrza. I dawniej czasem najskrytsze usposobienia serca swojego wypowiadał z prawdziwym darem anatoma duszy, kiedy np. mówi (w ed. pozn. p. 101):

»Pytasz, jak się mam? co za moje życie?
— Żałości pełne, ciemnością nakryte,
Głodne pokoju i w troski obfite,
Skąpane we łzach, stałe w złym humorze,
Ciższe niźli noc, burzliwsze niż morze....«

Ale to były tylko skargi miłosne. W Pokucie dopiero oglądamy ten subjektywizm jego ze strony poważnej, ze strony która i najprzeciwniejszych poezyi lekkiej czytelników pogodzi pono z talentem autora.

»Tyś szczera czystość, niewinność bez skazy,

(mówi do Boga w niemocy swojej poeta),

Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmazy? —
Jam widział gmachy śmiertelnego grzechu
Siedmiorakiego — i straszny w pośmiechu

Zakon Twój miałem — i Twe przykazanie
Każdem znieważył albo zgwałcił, Panie!« —

I teraz przechodząc winę za winą, mówi n. p.

Jam niejednego, chociaż Twa przestroga
Przeciwna była, miał Pana i Boga!
Częstom człowieka tak spodobał sobie,
Żem kładł w nim większą nadzieję niż w Tobie!
Często godności i dobrego mienia
Chciwość tak srodze ujęła sumienia,
Żem ich posadził (jakoby tam Ciebie
Nie było nigdy) za Bogi na niebie!

Jam brał na darmo i z lekką uwagą
Imię Twe, ciężką karmiąc Cię zniewagą.
Krzywoprzysięstwem żem zgrzeszył, mój Boże,
Któż nad Cię lepiej przeświadczyć się może?
. . . . . .

Jam tak siódmy dzień święcił i niedzielę,
Żem rzadko bywał i w te dni w kościele;
Poprzestałem weń powszedniej roboty,
Alem się puścił na większe niecnoty.
. . . . . .

Jam i rodzicom nie był tak powolny,
Żeby im miał być mój żywot swawolny
Zawsze do smaku! Jednak wiesz o Panie,
Że szanować ich pilnem miał staranie.
Ale starszego (!), któregoś czcić kazał,
Nie zawszem sobie jak trzeba poważał,
I gdy napomniał, mimo uszy, hardzie
Puszczałem, wieku swojemu ku wzgardzie!«

Nieco niżej, zapewne mając na myśli swoje działanie publiczne, przyznaje:

»Jam fałszywego nie jest wolen słowa,
Często się z myślą nie zgadzała mowa,
I żeby mowę nieco tem osłodzić,
Śmiałem zmyślone powieści przywodzić...«

W dalszej osnowie wyznając rzewnie żal takiego żywota, oświadcza, że całą ufność w miłosierdziu tylko bożem pokłada i że wierzy, że

»Jako daleko ziemia na dół spadła
Od górnej sfery, i jak się odsiadła
Strona zachodnia od tej, którą wschodzi
Słońce, — tak litość Twoja nas rozwodzi
Z popełnionemi upornie złościami,
I tak granice sypie między nami!
Miłość Twa Panie i nad nieba wyższa,
I macierzyńskie uczucia przewyższa...«

Pięknych miejsc w tym wierszu jest tyle, że chcąc dać o tem wyobrażenie, trzeba go cały wypisać. Dlatego niech i tyle wystarczy.

Zamykamy rzecz naszą o Andrzeju Morsztynie życzeniem, ażeby się też znalazł jaki wydawca dla jego niewydanych dotąd poezyi, o ile ogłoszone być mogą i o ile na to zasługują*. Oczywiście nie wszystko pisane było w tym celu przez autora, ażeby kiedykolwiek miało być drukowane. Wspomniałem powyżej, że często on marnował zdolności. Byłoby to tedy (tak przynajmniej sądzę) krzywdą pamięci zmarłego, gdyby się miały do utworów, znamionujących talent jego w całej pełni, dołączać i mierności, które przy czytaniu wrażenie osłabiają i którychby on, gdyby żył, nigdy nie pozwolił ogłaszać. Możnaby do tej publikacyi dodać także najcelniejsze rzeczy już drukowane, z wydania poznańskiego, w którem utwory prawdziwie piękne także giną poniekąd, właśnie przeto, że się mieszczą w masie mniej udatnych. Coby także bardzo posłużyło na korzyść tym przebrańszym poezyom, to ażeby je drukować z rozumną interpunkcyą i dzisiejszą pisownią, nie wiążąc się ani pod jednym, ani pod drugim względem do tego stanu, w jakim się te pisma znajdują w rękopisie. Wydanie poznańskie siliło się zatrzymać pozór jego zewnętrzny pod obydwoma względami. Niemniej i berlińska publikacya Nowakowskiego (Amyntas). Sądy o tem mogą być wprawdzie różne, ale mnie się zdaje, że podobna usilność i skrupulatność niezawsze jest trafnie zastosowaną. Ciekawa jest pisownia polska w rękopisach z XIV, XV i poniekąd nawet XVI stulecia. Tu wierność najstaranniejsza przy ogłaszaniu ich drukiem jest niezbędna. Ale od czasu gdzie drukowano już polskie książki, przedmiotem głównym spostrzeżeń ortograficznych powinny być przedewszystkiem druki; z rękopisów zaś interesować

* Życzeniu temu stało się zadość przez wydanie poezyi Morsztyna warszawskie z r. 1883.

w tym względzie mogą chyba tylko autografy, to jest pisma takie, które ręką samego autora były kreślone. W wieku XVII, po ustalonej już mniej więcej pisowni (o ile była ustaloną przed Kopczyńskim) i po wprowadzeniu jej w takiej postaci do wszystkich drukowanych książek, nawet autografy niczego już nie dowodzą; cóż dopiero kopie sporządzone przez niewiadomych z osoby, a zwykle na oślep bazgrających odpisywaczy! Co komu za pożytek, co za rezultat z tego, że widzi w wydaniu n. p. poznańskiem resp. berlińskiem: tesz, y (zamiast i), jakosz, wyszszy, grabiłł, gardziłł, chitrość. Czy się ma z tego zrobić wniosek, że tak z zasady pisano w XVII wieku? — Że spójnik y był dawniej stale używany zamiast dzisiejszego i, to każda książka drukowana w owym czasie okaże; na cóż dzisiaj w nowych drukach o tem przypominać? A jeżeli kto zakonkluduje i co do wyrazów grabiłł, jakosz, chitrość i t. d. że to pisownia XVII wieku, to się grubo pomyli, bo ci, którzy znali zasady ówczesnej ortografii (przekonywają o tem książki drukowane) wiedzieli już bardzo dobrze, jak się takie wyrazy piszą. Cóż ma zatem wynikać z drukowania wiernie wyrazów owych tak, jak są w rękopisie? Chyba to, że ten kopista, który to pisał, był nieuk i nie znał ortografii. A to wiadomość nieciekawa! a drogo okupiona!, bo takie usterki sprawiają wstręt przy czytaniu i psując estetyczne wrażenie, utrudniają słuszne ocenienie utworów poety. Zresztą nie sądźmy, żeby to nawet było tak łatwo zachować wiernie i nieodmiennie wszystkie właściwości ortograficzne jakiego dawnego rękopisu. Nie dość tu jest chcieć; trzeba jeszcze i niejedno umieć i wiedzieć. Starali się n. p. o to bardzo usilnie wydawcy drukowanych dotąd (przed r. 1859) pozostałości Morsztyna. Obaczmy, czy im się to udało. W wydaniu poznańskiem znajdujemy stale przez ó pisane słowa jak np. grób, piórka, góra, rozbóy. W Amyntasie Nowakowskiego:

»Nie miałem tyle mózgu y chitrości« ...
»Tym więcéj w zdrade y chitrość bogaty« ... itd.

A jabym ręczył, że ani ó ani é nie znajduje się w rękopisach. Musi być w nich grob, piorka etc. więcey itd. Nie rozróżniano wtedy bowiem jeszcze w ciągu wieku XVII w piśmie kreskowanych i niekreskowanych samogłosek e i o (przynajmniej nie w tem znaczeniu). Cóż więc jest? oto zasadnicze cechy ówczesnej pisowni zatarto, pominięto, a błędy nieuka przepisywacza (zdrade, chitrość, tesz i t. d.) odkopiowano jakby rzeczy wielce znamienne.

Żeby zaś nie być mylnie rozumianym, wyraźnie jeszcze dodaję, że mówię tu o samych tylko różnicach co do pisowni, nie zaś co do form języka. Formy staropolskie szanować w każdym razie należy, gdziekolwiek się znachodzą, dotyczą bowiem samej istoty rzeczy, samej rdzeni mowy naszej. A zatem słusznie jest, że zatrzymano n. p. wyrażenia, jak dusze mnie zbawiła (zamiast duszy), wieku swojemu (zamiast wiekowi), Praefacya od Sylviey (zamiast Silvii), siadszy za stołem (zamiast siadłszy), napierwsi ludzie (zamiast najpierwsi) i t. d. Nie mogę wszakże pominąć uwagi, że ażeby wiedzieć: co jest zasadniczą własnością formy, a co prostą pomyłką pisowni, znowu — niejedno wiedzieć i umieć należy. Ale czas wielki, ażeby nasi dawni autorowie byli w nowych edycyach wydawani według jakichś więcej niż dotąd obmyślonych i racyonalnych zasad. I przepraszam czytelnika, że go zajmuję temi dla niego może nudnemi uwagami, korzystając z podającej się sposobności pomówienia raz o rzeczy, zaiste nie obojętnej!

V.

Pozostaje słów jeszcze kilka powiedzieć o innych dwóch tegoż imienia wierszopisach XVII wieku, o Stanisławie i o Hieronimie Morsztynach.

Szczegóły życia Stanisława z Raciborska Morsztyna mało są wiadome. Kilka nowych dat o nim przywieść potrafię; wyczerpać rzeczy nie będzie mi jednak podobna, nie mam bowiem przed sobą żadnych o nim rękopiśmiennych źródeł, a zresztą chodzi mi właściwie tylko o wskazanie stosunku jego do podskarbiego Morsztyna tak co do pokrewieństwa jak autorstwa.

Był on synem Jana Morsztyna, stryjecznego brata poety Andrzeja, matka zaś jego była z Arciszewskich. A zatem był Podskarbi, jeżeli się tak wyrazić można — jego stryjecznym stryjem (obacz przyłączoną na końcu tabelę genealogiczną). Wiekiem jednak nie musieli się oni bardzo różnić od siebie, co tem prawdopodobniejsze, że Stanisław szedł ze starszej linii Morsztynów. Za czem poszło, że nie pamiętając o małej różnicy co do stopniowości generacyjnej, mówili sobie a przynajmniej mówił jemu podskarbi bracie, o czem wnoszę z wiersza pisanego przez Andrzeja do

Stanisława, zamieszczonego w edycyi pozn. p. 28. — Rok urodzenia naszego Stanisława niewiadomy.

Rzeczony wiersz »Do Stan. Morsztyna, rotmistrza J. K. M.« służyć może za główne źródło do skreślenia obrazu jego młodości. Według niego pierwszy jego występ z domu rodzicielskiego zaczął się także od podróży do obcych krajów, którą w jakiejś przynajmniej części musiał odbywać razem z krewnym Andrzejem, poetą. Nie można wszakże oznaczyć, kiedy ta podróż przypadła, wiadomo bowiem, że ten ostatni często za granicę wyjeżdżał. Żartobliwym tonem zagaduje go w tym wierszu Andrzej, zniewolony właśnie (z przyczyny słabości) do picia chiny i innych dekoktów, co o tych trunkach rozumie? i przypomina mu przy tej sposobności rozliczne napoje, jakich się nakosztował w rozlicznych swoich podróżach i terminach wojennych.

»Powiedz mi bracie*, boś ty zwiedził smaki
Trunków i napój piłeś niejednaki,
Piłeś wraz ze mną to, co Francuz daje,
Przyrumienione tylko wino d'Aje....
. . . . . .
Umiesz w niemieckich winach zażyć braku,
. . . . . .
Znasz trunki, które przemierźle wyniosły
Hiszpan śle, co nad Alikantem rosły« i t. d.

W ten sposób można w trop za temi datami określić obręb podróży Stanisława Morsztyna. Zwiedził zatem Niemcy, mianowicie południowe, Francyę, może Hiszpanię, a w każdym razie bardzo dokładnie Włochy, Sycylię i Maltę. W Malcie byli obydwaj razem; i przypomina sobie przy wspomnieniu Malty poeta o brzydkim napoju, jakiego tu skosztowali — o kawie!

---

* Z wyrazu bracie możnaby wnosić, że wiersz ten do innego Stanisława, to jest do rodzonego brata Andrzeja, także imieniem Stanisława, był pisany. Wniosek podobny byłby atoli mylny. Zobaczymy niżej, że nasz Stanisław (poeta) spędził znaczną część życia w obozach. Posiadał w owych latach stopień rotmistrza królewskiego, i tu w wierszu wszakże oto rotmistrzem także jest nazwany. To wszystko ściągać się więc nie może do rodzonego brata Andrzejowego, Stanisława wojskiego sandomirskiego. Nie tylko bowiem niema żadnej nigdzie wzmianki, żeby ten Stanisław służył wojskowo, ale jego urząd świadczy nawet, że nie mógł być wojskowym, skoro był wojskim.

»W Malcieśmy pomnę kosztowali kafy,
Trunku dla baszów Murata, Mustafy
I co jest Turków. Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawi gęby!«

Powróciwszy do kraju zaciągnął się nasz Stanisław do wojska i miał udział w wojnach kozackich, toż innych równocześnie i następnie prowadzonych. Do tegoto odnoszą się miejsca w rzeczonym wierszu, jak n. p.:

»Piłeś i wodę, kiedy w Dzikie pola
Wziął cię był z sobą dziedzic z Koniecpola« . . .

Albo (powiada niżej), co jeszcze gorsza, skosztowałeś nawet wody,

. . . . »w Zbaraskim zawarty
Okopie, takiej która świadczy znacznie,
Że co kto musi, to uczyni smacznie«.

Wedle tego więc służba jego wojskowa zaczęła się około 1647 r. O dalszych jego czynach i kolejach daje pewną już wiadomość Niesiecki. Był w bitwach pod Cudnowem (1660), Chocimem (1673), gdzie został niebezpiecznie ranny, Żórawnem (1676) i Strygoniem (1683). Przechodził zaś następujące stopnie wojskowe: nasamprzód rotmistrza, potem »obersztera J. K. M.« (c. 1674)*, a wreszcie chorążego zatorskiego (c. 1676)**. Bywszy oprócz tego podstolim chełmskim, otrzymał w r. 1687 krzesło w senacie jako kasztelan czerski***; wreszcie wyniesiony na wojewodę mazowieckiego (1696), a nakoniec sandomirskiego (1704). Żył długo; miał za sobą Konstancyę Oborską, kasztelankę czerską, zaślubioną r. 1676. Zrodziło się z tego małżeństwa troje dzieci, dwóch synów i jedna córka. Rok śmierci wojewody podają niektórzy na 1697, ale mylnie. Z województwa sandomirskiego ustąpił krewnemu Jakóbowi

---

* Kochowski, Nieprózn. Próżnow. I edyc. (z roku 1674) p. 316.

** Obacz dedykacyę Baletu w ed. pozn. Zbign. Morsztyna str. 169.

*** Colores Lunae Morsztynianae etc. Warszawa 1687 fol. (Panegiryk pijarski winszujący wyniesienia).

Morsztynowi dopiero w roku 1717, a życie musiał zakończyć kilka lat później*.

Z pism jego poetyckich znane mi są tylko te, które ogłosił drukiem; stanowią one jednak szczupłą tylko część wszystkich rymowanych jego utworów. Juszyński w Dykcyonarzu swoim (T. I str. 315) wspomniał o widzianym przez siebie rękopisie poezyi wojennych któregoś z Morsztynów, między któremi znajdować się miały także i nagrobki stryjom Stefanowi i Samuelowi Morsztynom. Rzut oka na tabelę genealogiczną rodziny Morsztynów wystarcza, ażeby się przekonać, że z pomiędzy piszących członków takowej, sam tylko Stanisław albo Zbigniew mógł mieć dwóch stryjów tego imienia. Jednego z nich zatem musiały to być płody. Na innem miejscu tenże Juszyński (str. 314) podaje, że się w Bibliotece Załuskich znajdowały dwa rękopisy poetyckiej treści, z wyraźnie dodanem imieniem Stanisława Morsztyna jako ich autora. P. Żegota Pauli także posiada jakiś rękopis jego poezyi, o czem wspomniał w przedmowie do poezyi Gawińskiego przez siebie wydanych (Lwów 1843).

Ogłoszone drukiem dzieła Stanisława są następujące:

1. Kilka krótszych poezyi, jako to »Odkryta szczerość kawalerska«, — »Dedykacya i Explikacya Baletu«**, — i »Nagrobek Żebrowskiemu«, znajdują się w końcu wydania poznańskiego poezyi przypisanych Zbigniewowi Morsztynowi, z wyraźnem już na tytule każdego wiersza nadmienieniem, że są pióra »Stanisława Morsztyna obersztera J. K. M.«.

Napisane r. 1676.

2. »Hipolit, tragedya jedna z dziesięciu, które wierszem łacińskim napisał Seneca, na polskie przetłómaczona«.

Przypisany jest Hipolit Janowi Jabłonowskiemu »Chorążemu koronnemu«. Wiadomo, że chorąży kor. Jan-Stanisław Jabłonowski, później wojewoda wołyński a nakoniec ruski, był także autorem.

---

* J. Bartoszewicz, »Znakomici Mężowie«, T. I, str. 182 pisze: »Po śmierci wojewody sandomirskiego Morsztyna dostał Ożarowski list przypowiedni na chorągiew pancerną z dnia 3 marca 1726 roku«.

** Wiersz ten, ważny do historyi teatru w Polsce, był najprzód ogłoszony z innego rękopisu w Teatrze starożytnym Polskim Wojcickiego (Tom II, str. 231 i n.). Ale Wojcicki nie znajdując imienia autora w swoim rękopisie, nie mógł też rozstrzygnąć, czyimby był utworem. Teraz więc wyjaśnia się ta wątpliwość.

Znane są jego liczne pisma łacińskie, a z polskich Historya Telemaka wierszem, Ezop Nowy Polski, Szkrupuł bez szkrupułu i t. d. Żadne z pism tych jeszcze wtedy wydane nie było; młody (około 20-letni) chorąży rozpoczynał dopiero zawód autorski. Owoż przez alluzyę do daru poetyckiego i do dostojeństwa chorążego, które łączył w sobie Jabłonowski, temi słowy przypisuje mu żartobliwie Morsztyn swój przekład Hipolita:

»Zacny Chorąży, usłyszawszy, że Ty
Werbujesz pod swą chorągiew poety,
Przy podniesionym do popisu drągu
Począłem i ja myśleć o zaciągu.
Ale że wszyscy nie jednako piszem,
Z rzadka kto będzie Twoim Towarzyszem;
Sam przodek trzyma koronny Chorąży
I nikt mu pewnie w wierszu nie nadąży:
Ja się już sądzę, żem leniwy w biegu,
Więc choć w ostatnim postaw mnie szeregu«.

Z przedostatniego wiersza wynika, że w późnym już wieku musiał te słowa pisać nasz autor. Bliżej jeszcze potrafim czas przekładu Hipolita oznaczyć, jeżeli weźmiem na uwagę lata, kiedy Jabłonowski chorążym kor. został (1687), a kiedy na wyższe dostojeństwo postąpił, otrzymując (niewspomnioną jeszcze w dedykacyi) godność wojewody wołyńskiego (w r. 1693). Na sześcioletni więc przeciąg czasu chorążowstwa Jana-Stanisława Jabłonowskiego rzecz ta przypada (1687—1693). Musiała mu być przesłana w owych czasach, zwyczajem morsztynowskim, w rękopisie; zobaczym bowiem, że dopiero po kilku latach później wyszła z druku.

3. »Andromacha, tragedya z francuskiego przetłómaczona« (z Rasyna).

I tu dopiero przez wiersz dedykacyjny dochodzimy do wniosku o czasie, kiedy ta tragedya została przełożona. Przypisana jest »Jmci pani Konstancyi z Obor Wojewodzinej Mazowieckiej« (żonie tłómacza). Ponieważ został Stan. Morsztyn wojewodą mazowieckim w r. 1696 i tytułuje tu już żonę według tego urzędu, nie rychlej przeto i wiersz ów mógł być pisany; że zaś nie był znowu pisany później jak w r. 1698 i to przed miesiącem sierpniem, o tem dowiadujemy się z dalszego brzmienia rzeczonej dedykacyi:

»Kochano Żono, której uczynione
W ręku świętego Biskupa przysięgi....

. . . . . .
Tyś i Mężowi doskonale wierna
I bardzo kochasz spólne dzieci nasze,
Więceś podobna cnotą Andromosze;
Zaczem Tobiem ją przypisał ochotnie,
Żebym tem dowiódł, że Cię kocham szczerze;
Żeby co w sercu i w uściech, istotnie
Wieczną pamiątką trwało na papierze« i t. d.

Wspomniałem wyżej, że mieli Morsztynowie troje dzieci. Żyły one jeszcze wszystkie w początkowych miesiącach r. 1698. Dopiero w sierpniu zgasła w ośmnastej swej wiośnie najprzód córka Teresa*, a w miesiąc potem syn najstarszy Jan-Kazimierz, będący już pułkownikiem gwardyi królewskiej. Skoro zatem mowa tu jeszcze o dzieciach, nie zaś o dziecku (jedynym synu, który pozostał przy życiu, Antonim), na przeciąg przeto czasu od 1696 do połowy roku 1698 przypada przekład Andromachy, a przynajmniej powyższa dedykacya.

Prawdopodobnie w tym także czasie zostały (bezimiennie) ogłoszone drukiem obydwa te przekłady t. j. Hipolit i Andromacha. Wspomniałem wyżej, mówiąc o drukowanych utworach Andrzeja Morsztyna, że jego Psyche toż Cyd z Kornela wyszły najprzód pod sam koniec XVII wieku, w edycyi bez miejsca i roku, razem z Hipolitem i Andromachą, wszystko bezimiennie. Nie mogło to być, jak się teraz przekonywamy rychlej, jak w r. 1696—1698. A zatem dawno po wyjeździe z Polski Podskarbiego. Wydawcą był prawdopodobnie sam nasz Stanisław, wojewoda mazowiecki. Któż inny bowiem mógł za jego jeszcze życia ogłaszać jego dzieła? II-ga edycya, wiele później wydana w Lipsku (1752 r. 4°), otrzymała tytuł, w którym przypisano wszystkie cztery utwory samemu tylko Andrzejowi. Że to więc co do dwóch ostatnich jest pomyłką, widzimy najprzód z czasu, kiedy były pisane, po wyjeździe z Polski podsk. Morsztyna, dalej z dedykacyi Andromachy »żonie« autora, Konstancyi z Obor wojewodzinej mazowieckiej, a nakoniec z wyraźnego wspomnienia przez A. Załuskiego**, że tłómaczenie Hipolita jest pióra Stanisława, nie zaś Andrzeja Morsztyna.

---

* Obacz Plankty Żałobne po zmarłej Teresie Morsztynownie etc. Sandomierz (1698) fol. kart. 6 (publikacya okolicznościowa, panegirycznej treści).

** Bibl. Poetar. pol. str. 61.

Strata dwojga dorosłych, jedno za drugiem umierających dzieci, napełniła smutną żałobą opustoszały dom wojewody mazowieckiego. Stojący ponad progiem mogiły, jako rozumiał, starzec uczuł głęboko cios tak znienacka, tak nagle zadany. Nastroił, po raz ostatni, lutnię do tonów, jakimi niegdyś opłakiwał wieszcz czarnoleski zgon równie bolesny niezapomnianej, umiłowanej odtąd przez naród cały Urszulki swojej. Przyczyna smutku, przedmiot pieśni, dorównywały sobie w obydwóch razach. Ale oczywiście zdala pozostały za genialnymi trenami Kochanowskiego skargi pisarza XVII stulecia. Bądź jak bądź, rzewnego uczucia niepodobna odmówić wyrazom, którymi i późniejszy poeta wypowiada swe żale:

»Przestać trzeba! Przez żałość utraconych dzieci
I palce ociężały, i pióro z nich leci!
Lecz choć ręka nie służy, choć serce się smęci,
Przy skończeniu jeszcze tren zaśpiewam łabęci.
Łabędź przy śmierci śpiewa, ja z wami umieram,
Dzieci me, ja za wami spieszno się wybieram« ...

Publikacya ta, czwarta z porządku między ogłoszonemi jego dziełami, wyszła pod tytułem:

»Smutne żale po utraconych dzieciach roku 1698 napisane«, Kraków 1698, 4°, str. 43, bez wyrażenia imienia autora. II wydanie: Warszawa 1704, 4°. Żale te przypisane także zostały współbolejącej matce, żonie autora.

Jako poeta, zajmuje Stanisław Morsztyn jedno z podrzędniejszych miejsc w dziejach dawnej literatury naszej. W sposobie blizki, a nawet prawdopodobnie i starający się zbliżyć do utalentowanego imiennika, Andrzeja. Obierał sobie przedmioty za przykładem jego, to naginając talent do okoliczności dworskich (Dedykacya i Explikacya Baletu), to torując drogę poczynającemu się wtedy u nas wpływowi poezyi francuskiej (Andromacha). Stanowczego zdania o mierze jego zdolności wydać trudno, nie znając wszystkich niewydanych dotąd jego poetyckich pozostałości. W każdym razie nie wyrządzim mu pewnie krzywdy, jeżeli rzecz zamkniemy sądem, że był to wprawdzie niższy talentem, ale pokrewny kierunkiem naśladowca Andrzeja — jeden z pierwszych wyobrazicieli poezyi klasyczno-francuskiej, rozciągającej przewagi swoje na brzegach Wisły już pod koniec XVII wieku.

VI.

Pod sam koniec niniejszej pracy zamierzając mówić o Hieronimie z Raciborska Morsztynie, trzecim tego nazwiska pisarzu w rzeczonej epoce, nadmienić muszę, że pod względem czasu wyprzedził on nie tylko Stanisława, ale i Andrzeja, starszym będąc od tamtego o dwie, od Podskarbiego zaś o jednę generacyę, jak przekonywa wykaz genealogicznych stosunków tej rodziny dołączony na końcu. Szczegóły jego życia, rok urodzenia i śmierci zupełnie są zresztą nieznane. A i to nawet, co wiadome, wzbudza często wątpliwości. Mówi n. p. Niesiecki o nim tak niewyraźnie, że z niego wyrozumieć trudno, byłli synem czy też wnukiem Franciszka; co tem zawikłańsze, że w owych czasach niepomiernie rozrodzona familia Morsztynów liczyła przynajmniej trzech Hieronimów, którzyby tedy poniekąd także jakieś mogli rościć prawa do uchodzenia za autorów, choć naturalnie na jednego tylko zgodzić się trzeba.

Nie uważam atoli za stosowne obeznawać czytelnika z całymi, że tak powiem, aktami tej sprawy; postawię więc od razu wypadek poszukiwań gotowy, który łatwo wyczerpnąć w kilku wyrazach.

Hieronim Morsztyn, syn Franciszka, zostawał względem podskarbiego Andrzeja w tymsamym właśnie stopniu pokrewieństwa, jakie zachodziło między Podskarbim a Stanisławem, to jest był Andrzej jego stryjecznym synowcem. Rodzić się musiał nasz Hieronim dobrze jeszcze w XVI wieku (1570—1580?), piastował urząd stolnika bielskiego, zszedł ze świata w każdym razie przed r. 1655, pisał się z Raciborska jak cała ta dzielnica ich rodu, i zostawił siedmioro rozporządzonych dzieci, to jest trzy córki i czterech synów, a prócz tego trzy poematy, w części także rozporządzone, bo dwa z nich drukowane jeszcze były za życia autora. Poematy te nie zapewniają mu miejsca w gronie prawdziwych poetów polskich; są to twory tego rodzaju, że się ich autor i mianem rymotwórcy kontentować powinien. Że jednak nie można Hieronimowi odmówić gładkiego, płynnego wiersza, i że wypowiadał nim rozmaite powieści, które bardzo do smaku przypadały ówczesnym ludziom, jak widać z często powtarzanych wydań, niech mi tedy wolno będzie powiedzieć słów kilka i o tych dziełach jego. Będzie to poniekąd uzupełnienie uwag, rzuconych na początku tego pisma naszego. Widzieliśmy w powyższem, jakich płodów publiczność czytająca w owych czasach nie lubiła, nie czytywała, nie drukowała. Zoba-

czmyż, co też najwięcej popłacało natomiast, oprócz tych rozlicznych pism z okoliczności, które wtedy głównie już zatrudniały prasy drukarskie.

Za pierwszą jego publikacyę uważam poemat: »Światowa Rozkosz z ochmistrzem swoim i ze dwunastą swych służebnych Panien«. I-sze wydanie, przez nikogo dotąd nie widziane, zapewne bez wyrażenia imienia autora na tytule, jako i w późniejszych edycyach, wyjść musiało w r. 1606 w Krakowie. Wnoszę o tem z daty położonej pod przedmową: »D. z Krakowa w Kwietnią Niedzielę, Roku Pańskiego 1606«. Przedmowa ta, znajdująca się w niektórych późniejszych wydaniach, jest napisana do »Jego Mości Pana Mikołaja Zenowicza, wojewodzica brzeskiego« etc. i podpisał się pod nią autor: Hieronim Morsztyn z Raciborska, na czem też cała pewność polega, że to jest dzieło tego pisarza. II-gie wydanie, którego egzystencya również dotąd przez nikogo nie była wspomniana, wyszło w Poznaniu u Rossowskiego w r. 1622 4°, kart nieliczbowanych 22. Posiada je Biblioteka Ossolińskich we Lwowie, w której też je oglądałem. Jest zupełnie bezimienne, niema bowiem nie tylko na tytule imienia autora, ale nawet i przedmowy owej tu już nie zamieszczono. Natomiast dał drukarz Rossowski od siebie dedykacyę do Jego Mości Pana Łukasza Kolińskiego w Filozofiey i Medycynie Doktora, gdzie oświadcza, że rozumie, »iż rzecz potrzebną i wielom bardzo wdzięczną uczynił, gdy tę książeczkę, która już prawie była esca blattis et tineis, od zginienia wyswobodził i w ludzkie ręce podał« etc. Przedrukował snać tedy jakiś uszkodzony egzemplarz pierwszej owej krakowskiej edycyi z r. 1606, w r. 1622 już wyczerpniętej i zagrożonej przez mole w istnieniu swojem. III-cia edycya »drukowana z poprawą« (więc zapewne za życia autora i z jego woli) wyszła 1624, bez miejsca druku, bezimiennie, ale znowu z ową 1606 datowaną przedmową morsztynowską, 4°, kart nieliczbowanych 23. Jest to wydanie miane aż dotąd za pierwsze; wspomniał o niem Wiszniewski i z niegoto dał Kraszewski odbić na nowo cały ów poemat w swoich »Pomnikach do historyi obyczajów w Polsce«. (Ja wydania tego z r. 1624 nie oglądałem). IV-te wydanie w Krakowie 1630, 4°. (Juszyński i Wiszniewski). Po raz piąty i ostatni dał ją, jak wspomniałem, odbić w »Pomnikach« Kraszewski, Warszawa, 1843 roku.

Pod względem poetyckim »Światowa Rozkosz« nie ma wielkiego znaczenia; ale słusznie zauważył szanowny wydawca ostatni,

a przed nim jeszcze Maciejowski i Wojcicki, że jest to »w pewien sposób nieoszacowany materyał dla historyka obyczajów«. Autor zamierzył sobie opisać rozmaite przyjemności życia ludzkiego i daje obraz pod wielu względami ciekawy zabaw i rozrywek ówczesnego przodków naszych pożycia. Ton i cały sposób w tym poemacie jest jeszcze skromny i nigdzie zbytnią swobodą nie razi. Nie wiem tedy, na jakiej zasadzie wyrzekł o nim uczony autor Historyi Literatury Polskiej, Wiszniewski (T. VII, str. 134), że »jest to jedyny może u nas przykład poezyi, w którejby tak nagi epikureizm przebijał się«. Jedno z miejsc na pierwszych kartach brzmi wprawdzie nieco niebezpiecznie:

»Moja rzecz jest opisać świeckie delicyje,
Których każdy, póki żyw, niech jak chce użyje,
Bo po śmierci, acz wierzym o wiecznej radości,
Daleka to od ziemskich będzie rozpustności!«
»Świecka rozkosz, to mój rym! Onej pióro moje
Dzisia służy...« i t. d.

Z takiego założenia osnowy można niezawodnie nie najlepiej wróżyć sobie o całym poemacie. Rzecz się atoli w istocie ma inaczej. Wykonanie całego pomysłu jest raczej obyczajowe i budujące. Możnaby dążność i treść całą Światowej Rozkoszy zamknąć w następujących słowach: Są na świecie przyjemności i rozkosze rozliczne, i sama natura nastręcza wedle kolei zmieniających się pór roku człowiekowi zabaw przednich nie mało; ale śmierć kładzie temu wszystkiemu przecie ostateczny koniec i iści się prawda najgłębsza: Vanitas vanitatum et omnia vanitas! — Do najlepszych ustępów poematu zaliczyłbym część zatytułowaną »Uciecha«.

Drugim utworem pióra tegoż autora była sławna w dawniejszem naszem piśmiennictwie:

Banialuka czyli »Historya ucieszna o zacnej królewnie Banialuce«, poemat zapewne tłómaczony z francuskiego języka, z rodzaju tych bajecznych rymowanych romansów, które nie przestawały jeszcze natenczas zalewać literatur zachodniej Europy, jako główny środek zachwycania umysłów skłonnych do marzeń i poetycznych rozczuleń. W naszem piśmiennictwie zjawiają się przekłady takowych już w drugiej połowie XVI wieku. — Kiedy Banialuka naszego poety powstała i kiedy wyszła pierwszy raz z druku? powiedzieć nie umiem. Juszyński w »Dykcyonarzu Poetów« podaje, że wychodziła często w początkowych latach XVII jeszcze wieku. Ale

już jemu żadna taka edycya nie musiała być naocznie znana, skoro żadnej takowej nie wymienił szczegółowo. Nie opisał też nikt inny dotąd najpierwszych wydań tej baśni, których musiało jednak być wiele; wiadomo bowiem, że powieść o owej bajecznej Banialuce tak była w Polsce rozpowszechniona, że w przysłowie poszło »banialuki prawić«, jeżeli kto rozpowiadał rzeczy niepodobne do wiary.

W późniejszych czasach (począwszy od r. 1650) zaczęto wydawać poemat o Banialuce razem z dwiema innemi rzeczami prozą, pod odmiennym bo ogólnym tytułem:

»Antypasty Małżeńskie trzema uciesznemi historyami (etc.) zaprawione«. Wychodziły zawsze bezimiennie. Pierwsze wydanie podobno w Krakowie r. 1650, 4to 18 arkuszy (Bentkowski). Potem bardzo często, n. p. 1703, 1736, 1752 i t. d. (Mnie znana tylko edycya z roku 1736).

Przydane tu do »Banialuki« dwa owe nowe utwory są to powiastki pisane prozą, niezmiernie nieudolnie, tak że wątpię nawet, żeby były dziełem Hier. Morsztyna. Są też o wiele krótsze od poematu będącego na czele. Pierwszej napis: »Historya o Galezyusie i Filidzie«; druga zawiera: »Historyą o Przemysławie X. Oświecimskiem« — W ogóle nie mogę pominąć tego milczeniem, że i co do samej Banialuki zachodzi pewna wątpliwość; gdyż nie wiemy znikądinąd, że jej autorem jest nasz H. Morsztyn, jak ze wzmianki Juszyńskiego, który wszelako nie podał dowodów ani też źródeł, z których się o tem dowiedział. Na tytułach wydań niema imienia autora wyrażonego.

Trzeci utwór Hieronima Morsztyna, został oddany do druku prawdopodobnie dopiero po śmierci autora. Jest z tegosamego rodzaju pism, co Banialuka, podobny do niej stylem i wierszem, tylko że względy na przyzwoitość tu już znacznie luźniejsze. Tu zatem możnaby słusznie zarzucić Morsztynowi epikureim, od którego go broniłem, dopóki chodziło o »Światową Rozkosz«. — Tytuł poematu następujący:

»Philomachia albo affektów gorącej miłości wyrażenie z kilku par obojej płci przykładów, młodym na pohamowanie etc. W druk podana po śmierci autora Hieronima Morsztyna z Raciborska«. Warszawa 1655, 4to. Tej edycyi nie widziałem; wspominają o niej Bentkowski i Wiszniewski. Drugiego wydania nikt nie podał. Trzecie, pod tymże tytułem, z dodatkiem: »teraz znowu po trzecie

przedrukowana«, wyszło w Warszawie 1689*, 4to, stron nieliczbowanych 92 i ono właśnie mi znane. Czwarta i ostatnia edycya, Kraków 1705, 4to (nie znam).

Widzimy z tego, jakieto dzieła były drukowane i przebijane i czytywane w owej epoce!

Data: po śmierci autora Hier. Morsztyna, jeżeli rzeczywiście znajduje się już na wydaniu z roku 1655, i jeżeli to wydanie jest istotnie pierwszem nie drugiem, wskazuje, że więc przed r. 1655 życie zakończył Hieronim.

Philomachia obejmuje trzy romanse wierszem, miłosne, które mają być przekładem z francuskiego (Wiszniewski). Pierwsza powieść jest o Alfonsie ks. Aragońskim i Orystelli królewnie kreteńskiej córce Minosa (!!); w drugim romansie opowiedziany jest »Żałosny koniec dwojga ludzi kochających się w sobie, Zygismundy i Gwizdarda«; trzeciej powieści tytuł: »Historya bardzo piękna (?) o Talezie królewicu Lidyjskim a o Perepodzie królewnie Aragońskiej«.

Dążność wszystkich miała niby być moralna (»młodym na pohamowanie«). Nieszczęśliwych ale winnych kochanków dopędza w samej rzeczy ostatecznie zawsze śmierć marna i koniec okrutny! Z czego zatem niby sens moralny, że zbytnia miłość jest zgubna. Ale przeprowadzenie rzeczy arcyfrywolne i tłuste, chwile mianowicie szczęśliwe romansu, oddane con amore i bez ogródki, zdradzają, że autor jako moralizujący rzetelnie nie występuje. Że też i skądinąd nie był sam nieprzyjacielem miłości, dowodzi wiersz na końcu książki, ze strony już jego własnej napisany, »Pieśń na Nieużytą«, gdzie w 7 strofach własne cierpienia lirycznie wypowiada kochance. — W powieściach buja sobie autor, czy raczej pisarz oryginału, z którego tłómaczył Morsztyn, na skrzydłach niekrępowanej fantazyi (Nil płynie wedle niego n. p. w Aragonii, a córka Minosa kocha się w Aragońskim książęciu). Na końcu każdej powieści pisze każdemu z ginących bohaterów, a czasem całej nawet onych rodzinie — Nagrobki! Taka to już wtedy była mania pisania nagrobków! — Język i wiersz nie jest tak lichy, jak się w czytaniu wydaje, z przyczyny bezliku błędów drukarskich, a mianowicie

* Myślę, że o tejto publikacyi chciał mówić Krasicki w rzeczy o »Rymotwórstwie i rymotwórcach«. Powiada tam, że Hier. Morsztyn zostawił po sobie elegie, które zebrane wyszły w Warszawie w r. 1689. Mylnie uważał to za elegie!

w przecinkowaniu, które wielce utrudniają rozumienie. Płynie on dość potoczyście i łatwo. Wiele w nim starożytnych form, mianowicie częste jeszcze przykłady liczby podwójnej, n. p.:

»Wszakeśwa w jednym z sobą grobie leżeć miała,
Orystello, nie dziwuj żeświa się rozstała«.

(zamiast wszakeśmy mieli..., żeśmy się rozstali).

— Wspomniałem wyżej, że w XVII wieku żyło przynajmniej trzech Hieronimów Morsztynów; z czego przyznałem, że mogłaby się nastręczać wątpliwość, który z nich tedy pisał poematy? Owoż winienem dodać w tem miejscu dodatkowo wiadomość, że Niesiecki mówiąc o Hieronimie, stolniku bielskim, wyraźnie wspomniał, że tento jest Hieronim z Raciborska Morsztyn, który napisał »Affektów gorącej miłości wyrażenie«. Nie mówi wprawdzie rzeczony autor Herbarza, żeby inne jakie dzieła jeszcze miał był wydać stolnik Hieronim; ale podobno to dostateczne świadectwo co do jednej publikacyi wystarcza, ażeby i inne temu właśnie a nie innemu Hieronimowi przypisać*. Czyby zaś wszystko to już być miało, co Stolnik ogłosił i co napisał: w braku materyałów do wyczerpnięcia rzeczy niezbędnych, rozstrzygnąć mi trudno. Zdaje się jednak, że w rękopisach muszą gdzie zalegać nie tylko Andrzeja, nie tylko Stanisława, ale i Hieronima Morsztyna poezye dotąd nie drukowane, zwłaszcza jeżeli nie jest pomyłką — łatwą do uniewinnienia w tak zagmatwanej materyi — co podał Wiszniewski (T. VII str. 135), że miał w rękach spory rękopis wierszy »Hieronima Morsztyna«. Miały to być rzeczy najwięcej treści satyrycznej, niekiedy bardzo dowcipne, ale nie bez pewnej śliskości, która już znamionuje pióro tego pisarza.

Zamykając rzecz, dołączam teraz tabelę genealogiczną Morsztynów i nadmieniam, że dla ułatwienia przeglądu kładę na niej

---

* Z późniejszych odkryć wynika z całą pewnością, że i kanonik krakowski Hieronim czyli Jarosz Morsztyn pisał wiersze. Światowa Rozkosz mogłaby jego być dziełem, równie jak wiersz polski »Poenitentia«, zalegający w ms. w Petersburgu (Sign. XIV Poesis Nr. 9 fol.), z jego pióra pochodzi. W takim razie byłby drugi Hier. Morsztyn, Stolnik bielski, nie synem Franciszka, ale wnukiem. — Zostawił także po sobie wiersze (»Muza domowa«) i Zbigniew M. miecznik mozyrski, aryanin, w r. 1660 z kraju wydalony, zmarły około r. 1698 w Prusiech książęcych. Obacz. Bibl. Warsz. z r. 1885 tom I.

jedynie takich tylko członków tej rodziny, którzy się albo sami literaturą zajmowali, albo w rozprawie powyższej z jakiegokolwiek powodu zostali wspomnieni. Wszystkich innych pominąłem.

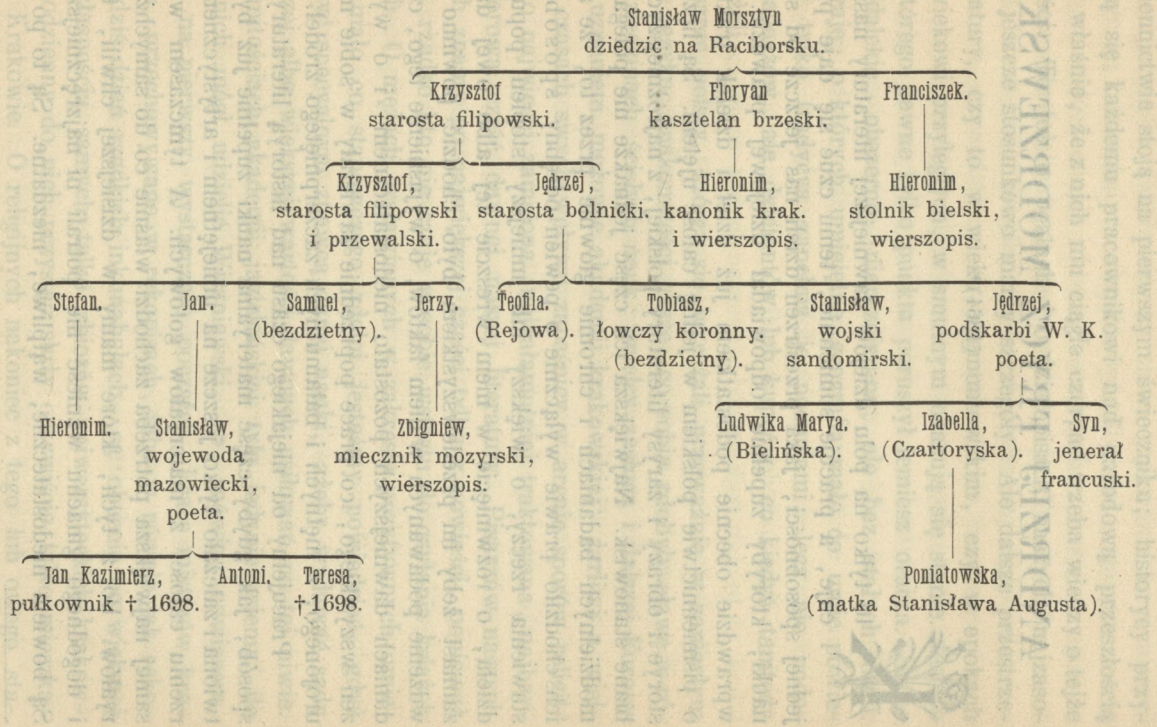

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI.

(1864)*

Kto tylko na polu dziejów dawniejszej literatury naszej pracuje, a pracuje sumiennie, temu czuć się daje przy niejednej sposobności, jaka przestrzeń dzieli nas jeszcze od stanu tej nauki, któryby zupełnie odpowiadał dziejowej prawdzie. Mamy wprawdzie obecnie podostatkiem już dzieł i dziełek traktujących o piśmiennictwie polskiem w jednę całość ujętem. Są liczne i historye i obrazy i zarysy literatury polskiej, z najróżniejszych obrabiane stanowisk. Największa ich część jednakże nie polega na samodzielnych badaniach i chromie głównie przez to, że autorom ich chodziło prawie wyłącznie o pewien odrębny sposób przedstawienia rzeczy, o większy lub mniejszy stopień popularności dzieła, o rozwinięcie w niem wreszcie tej albo owej dążności: zamiast żeby im przedewszystkiem było chodzić powinno o sprawdzenie podawanych w niem faktów, o wyjaśnienie tego, co w badaniach dawniejszych pozostało niedostatecznem, i o wyłączenie zeń wszystkiego, co prace poprzednie zawierały w sobie mylnego, urojonego, z mętnych i bałamutnych zaczerpniętego źródeł.

Pracujemy od niejakiego czasu nad historyą literatury w taki sposób, jak gdyby część materyalna nauki zupełnie już była załatwiona i zależało tylko jeszcze na umiejętnem i artystycznem utworzeniu całości z materyałów gotowych. A tymczasem w rzeczy samej największa potrzeba zachodzi właśnie co do samychże materyałów. Bo z tych, które mamy w dzisiejszej chwili, trwałego i dogodnego gmachu wznieść nie potrafi ni najzręczniejsza ręka. Są bowiem niedostateczne, wątpliwe, niezdatne. Są to po najwię-

* Było to zamieszczone w tomie V Biblioteki Ossolińskich.

kszej części cegły z niedobrej gliny i kruszą się na pierwsze uderzenie krytycznej kielni...

Wiadomości nasze o pisarzach polskich minionych epok są zaspakajające tylko w niektórych dziedzinach literatury. Poeci w piśmiennictwie stoją na pierwszym świeczniku; historycy przypominają się każdemu pracownikowi nad narodową przeszłością przez to właśnie, że z nich mu ciągle czerpać trzeba wiedzy o tejże przeszłości. To też o poetach i o dziejopisach naszych najzasobniejsze jeszcze stosunkowo mamy szczegóły. Ale dalsze przestrzenie literatury, czy to w wieku zygmuntowskim, czy w epokach temuż wiekowi przyległych, w smutnym okazują się stanie. Jest to ugor, którego pewne tylko punkta poruszył lemiesz oracza. Są to rozłogi dalekie, obszerne, nieprzejrzane, ale bez stałych osad. Są to kraje, o których umiejętna geografia mało co umie powiedzieć, i tylko tradycya zapełnia je podaniami, lecz nie podaniami badaczów, ale dyletantów lub kupców, co kiedyś tamtędy przejeżdżali...

Pisarze polscy, którzy się wyrażali przeważnie w zamarłym Rzymian języku; znakomitości nasze, co sobie zdobyły sławę w różnych dziedzinach ścisłych nauk; wielcy zasługą i dalszej Europy niegdyś uznaniem mężowie akademii krakowskiej; żarliwi a wielkiego w czasach swych wpływu zapaśnicy w arenie sporów religijnych: oto najwięcej zamglona, najbałamutniej traktowana, najbardziej ugorowa część dawnej naszej literatury. Pisarzów naszych łacińskich znamy po największej części tylko z powieści, ponieważ dzisiaj... rzadko kto nie czuje w sobie wstrętu do czytania książek łacińskich. O mężach wsławionych w zakresie pozytywnych umiejętności mało co stanowczego zdolni jesteśmy powiedzieć, gdyż trzeba być specyalnym znawcą danej nauki, ażeby wydawać sądy o mniejszej albo większej wartości dawnych usiłowań na tej niwie. O znakomitościach akademii jagielońskiej tyle jedynie wiemy, ile nam o nich mógł udzielić Wiszniewski, co, mówiąc nawiasem, zaledwie na pierwszy wystarczało początek. Prace mistrzów krakowskich, przechowywane w rękopisach, albo w równie jak rękopisy po dziś dzień rzadkich inkunabułach, są obecnie po większej części własnością samych tylko zbiorów uniwersyteckich krakowskich. Codzienny do nich przystęp służy oczywiście tylko mieszkającym w Krakowie. O religijnych nakoniec z tego lub owego stanowiska autorach już dlatego nie jest zadaniem łatwem coś wy-

czerpującego napisać, ponieważ dzieła ich były w czasach umysłowej reakcyi po największej części systematycznie wytępiane i należą przeto obecnie do nadzwyczajnych bibliograficznych rzadkości.

W tym stanie rzeczy, pisarz chcący dziś objąć cały ogrom literatury, a uważający sobie za obowiązek nie przyjmować do obrazu swojego, jak tylko twierdzenia i wiadomości pewne, sprawdzone, pojaśnione dostatecznie, widzi się co krok w nader trudnem położeniu. Trzeba mu bowiem co chwila budowniczą pracę nad całkowitem przeszłości naszej umysłowej przedstawieniem przerywać i zwracać się do krytycznych, cząstkowych rozpatrywań, dotyczących to tego, to owego szczegółu. Robota taka postępuje zwolna i zbyt trudna jest, jak na siły pojedynczej osoby. Zależy to bowiem od miejsca zamieszkania, od specyalnego uzdolnienia naukowego, od samego wreszcie przypadku, ażeby się kto mógł znaleść zawsze w możności podołania wszystkiemu. Życzyćby więc należało, żeby przedsięwzięciom tego rodzaju przychodzili w pomoc i inni, i to jak najliczniejsi, znosząc każdy ze swego stanowiska wypadki badań częściowych, z którychby się dała kiedyś złożyć zupełna, porządna, wszelkim wymaganiom zadość czyniąca całość.

Monografie zatem stanowiłyby dzisiaj najwłaściwsze zadanie pracy, a nie całkowite coraz nowe historye piśmiennictwa, do których tylu ciągle widzimy porywających się ochotników. Te ostatnie, jako przedsięwzięte bez należytego przygotowania i wykonywane pospiesznie, sprawy w niczem nie bogacą; raczej żal tylko obudzają, że autorowie czas i siły swoje marnują nad... przepisywaniem jeden z drugiego, podczas gdy pracą skromniejszą, w ściślejszych przedsięwziętą rozmiarach, mogliby byli przynieść rzetelną przysługę wspólnym wszystkich usiłowaniom.

Przyznać wprawdzie należy, że od niejakiego czasu świat nasz literacki zaczyna potrzebę tę pojmować. Niejedno częściowe dzieło, czy to nad pisarzem jakim, czy nad pojedynczą jaką piśmiennictwa ojczystego dziedziną przedsięwzięte, usunęło już rumowiska mylnych podań i sprzeczności z obrębu traktowanych przedmiotów. Z tem wszystkiem są to jeszcze usiłowania nie dość powszechnie podzielane przez ludzi, którzyby mogli coś także do nich dorzucić. Zato pochopność do porywania się na roboty nad siły i nad możność ciągle jeszcze u nas przeważa.

Autor niniejszej rozprawy, z samego zawodu i obowiązku swojego zniewolony do zajmowania się całym ogółem literatury

naszej, aż zbyt często znajduje się w położeniu, którego trudność powyżej wskazał. Nawet w zakresie tych działów piśmiennictwa, których opracowanie przez dawniejsze powagi, wielkiego nieraz imienia, zdaje się być już zupełnie dokonanem, wypada mu częstokroć podejmować poszukiwania na nowo i przychodzić do wypadków całkiem odmiennych. Zajęcia takie, lubo konieczne, nie są wdzięczne. Chodzi nieraz o podrzędne na pozór, osobne, cząstkowe zagadnienia, a praca nad tem zapełnia tygodnie i miesiące. Na szczęście, usiłowaniom tym przychodzą przynajmniej w pomoc warunki miejscowe. Pobyt we Lwowie pozwala korzystać ze skarbów umysłowej naszej przeszłości, które tu w zamożnej bibliotece narodowego Zakładu imienia Ossolińskich i w kilku księgozbiorach prywatnych, razem biorąc, liczniej i zupełniej są zgromadzone, niżeli w któremkolwiek innem z miast naszych. Przy zasobach stąd czerpanych, znalazła się w ciągu lat kilku sposobność sprostowania mnóstwa dat, podawanych w najpoważniejszych dziełach za niewątpliwą pewność; uzupełnienia wielu niedostatków czy to w biograficznym, czy bibliograficznym dziale umiejętności; wreszcie orzeczenia i o wewnętrznej niejednego pisarza wartości w sposób nie ze wszystkiem zgodny z ową pobłażliwą, potulną, panegiryczną krytyką zacnego i zasłużonego skądinąd Janockiego toż innych jemu podobnych, która pomimo postępu czasu ciągle jeszcze zdaniem kieruje niektórych dzisiejszych na tem polu uczonych.

W ostatnich czasach był autor z porządku zajęć swoich spowodowany do bliższego rozpatrzenia się w mętnych szczegółach podanych o Andrzeju Fryczu Modrzewskim. Wielkie znaczenie zasług pisarza tego na tle zygmuntowskiej epoki wszyscy wprawdzie w ogóle należycie uznają. Szczegółowe atoli wiadomości o życiu i dziełach jego tak są niedokładne, a krom ubóstwa swego tak nawet i podejrzanej pewności, że wypadło koniecznie zasieść raz z całą wyłącznością do sprawdzenia tego wszystkiego, co o Modrzewskim wiemy. Nie brak wprawdzie bynajmniej na piszących o nim, czy to w ulotnych artykulikach zamieszczonych w pismach czasowych, czy w większych dziełach, dotyczących całej literatury ówczesnej*. Ponieważ jednak na tej drodze i z tych źródeł nie

* Do pierwszej kategoryi pism o Modrzewskim należy żywot jego dany w Tygodniku wileńskim r. 1816; jako też inny, równie jak tamten pobieżnie tylko skreślony, w leszczyńskim Przyjacielu Ludu, w roku 9-tym

dało się nic wystarczającego zaczerpnąć, nie pozostawało, jak zabrać się do przewertowania wszystkich pism tego męża, z powodu rzadkości mało komu dziś już w całkowitym ich komplecie przystępnych. Co się więc z takowych udało pod względem biografii jego wyśledzić i zestawić: będzie stanowiło treść rozprawy niniejszej.

Nim przystąpimy do samejże osoby pisarza naszego, powiedzmy przedewszystkiem słów kilka o jego rodzie i o jego nazwie. My go dziś znamy i wspominamy zazwyczaj pod nazwiskiem Modrzewskiego, właściwie jednak raczej on się sam nazywał zawsze *Fryczem*. Przypuścić należy, że i współcześni potocznie o nim mówiąc, tem tylko mianem zwykli go byli nazywać; w listach bowiem, toż w wzmiankach o nim po innych dziełach z owego czasu, znajdujemy jedynie »Fricius«, »Fricius noster«, »Fricius haereticus«, »mi Frici« itd. Prawie zaś nigdy nie natrafiamy »Modrevius«. Na pierwszej karcie dzieł przezeń wydanych znajdujemy wprawdzie zawsze wyrażone oba nazwiska: *Andreas Fricius Modrevius*. Ale na nagłówkach stronic dalszych powtarza się przez całą książkę już tylko samo nazwisko *Fricius*. W papierach archiwum uniwersytetu krakowskiego jest on jako uczeń także tylko wspomniany pod tem nazwiskiem. Widać zatem, że to była nazwa jego wła-

istnienia tego pisma. Ks. Fr Xawery Szaniawski, warszawski niegdyś profesor, miał o Modrzewskim odczyt na publicznem posiedzeniu uniwersytetu warszawskiego w roku 1819. Rzecz ta była niezwłocznie potem ogłoszona drukiem, w kształcie osobnej publikacyi, pod napisem »Posiedzenie Uniwersytetu« itd. Warszawa, 1819. Jednakże Szaniawski rzeczy głównej w niej z lekka tylko dotyka. Zajmuje się bowiem prawie samem tylko dziełem Modrzewskiego *De Republica emendanda*, o życiu zaś autora tyle tylko powiada, że i po nim nic dokładnego tu nie jest wiadomem. Z większym skutkiem poruszył to pytanie uczony autor »Wiadomości historyczno-krytycznych«. Znaleziono w pośmiertnych jego papierach traktat o Andrzeju Modrzewskim i ogłoszono go w tomie IV co tylko wymienionego dzieła. Przedmiot jednakże i tu nie jest wyczerpnięty. Jest to więcej charakterystyka tylko Modrzewskiego jako człowieka i pisarza, a nie jego żywot. — Do drugiej kategoryi wspomnień o autorze naszym należą dzieła traktujące o całej literaturze polskiej, każdemu znane, począwszy od Bentkowskiego i J. Poplińskiego aż do Bartoszewicza. — W dawniejszych czasach wspomnieli o Modrzewskim: Węgierski (Slavonia Reformata), Sandius (Biblioth. Antitrinit.), Lauterbach (Polnischer Socinismus), Starowolski (Hecatontas i De claris oratoribus Sarm.), i mianowicie Janocki w swoich Janocyanów tomie I str. 84 i nast. I ci jednakże bardzo mało dostarczają do biografii szczegółów i mówią o tem tylko przy sposobności.

ściwa, nazwa że tak powiem główniejsza i codzienna. Modrzewskim zaś nazywał się tylko w razach wyjątkowych, gdzie chodziło o dołożenie i przybranej drugiej nazwy, niejako o cały z dyplomatyczną zupełnością podpis autora.

Pomylił się zatem Ossoliński, kiedy go nazwał *Frycem* Modrzewskim i twierdził, że Fricius znaczyło tosamo, co Fryderyk. Sam się temu Ossoliński już dziwił, dlaczego po łacinie nigdy się Modrzewski nie pisał Fridericus, lecz Fricius. Zapytania tego nie umiał sobie rozwiązać. Nie byłby go, zdaje mi się, wcale postawił, gdyby był tylko rozważył, że i na przekładzie polskim dzieła jego *De Republica emendanda* jest napis: »przez Andrzeja Frycza Modrzewskiego«. Tłómacz jego Cypryan Bazylik, jako współczesny autora i bez wątpienia osobisty jego znajomy (pochodził bowiem z Sieradza, o kilka tylko mil oddalonego od Wolborza, gdzie przemieszkiwał Modrzewski, oprócz tego domownikiem był rodu Łaskich, pod których opieką i Modrzewski w młodości swojej zostawał), znał niezawodnie dobrze jego nazwisko, i gdyby to było imię chrzestne, a nie rodowe, byłby je pewnie spolszczył.

Że w Polsce była istotnie rodzina Fryczów w wiekach XV i XVI, to zresztą i skądinąd wiadomo. Gniazdo jej główne było pierwotnie na Szląsku. Nieraz przez kronikarzy naszych są wspominani Fryczowie jako Szlązacy, przysyłani przez rząd miejscowy do królów polskich w poselstwie. Prawdopodobnie w ciągu wieku XIV lub XV jakiś tejże rodziny członek osiadł na stałe w Polsce i tutaj dopiero do dawnej nazwy przybrał od miejscowości, w której zamieszkał, drugie miano Modrzewski. Który to jednak był Modrzew czy też Modrzewo, dzisiaj rozstrzygnąć trudno. Jest bowiem kilka wsi tego imienia w obrębie dawnej korony polskiej*.

Zresztą dodać nie zawadzi, że od czasu osiedlenia się w Polsce była to rodzina szlachecka, praw indygenatu polskiego niezawodnie używająca. Wprawdzie Orzechowski skłóciwszy się razu pewnego z autorem naszym w pewnej dyspucie, usiłował potem zniesławić jego osobę między innemi i przez to, że w pisemku przeciwko niemu wydanem zadawał mu pochodzenie mieszczańskie i od praw szlachcica go odsądzał. Odpowiedział Frycz jednak na to, że gdyby co na tem zależało, łatwoby mu było dowieść, że oboje rodzice jego szli z szlachty. Tosamo twierdził o sobie nieraz

* Najpewniej Modrzew w parafii Wolborskiej.

i przy innych sposobnościach, występując w dziełach swoich w obronie praw mieszczan i ludu wiejskiego*. Nie chciał mieć przeciw sobie pozorów mówiącego *pro domo sua*. Nikt też inny zresztą nie uczynił już potem tego zarzutu Modrzewskiemu. Być bardzo wszelako może, że uszlachcenie Modrzewskich nie polegało na żadnym wyraźnym akcie nobilitacyi. Do połowy XVI wieku wystarczało bowiem cudzoziemcowi zamożniejszemu przybyć do kraju naszego i w nim nabyć ziemską posiadłość, żeby *ipso facto* być policzonym do szlachty. Stądto może Orzechowski wpadł na myśl uwłaczania pod tym względem Fryczowi. Bądź jak bądź, szlachectwo jego przez to powątpiewaniu nie podległo, czego już i ta okoliczność dowodzi, że w razie przeciwnym nie byłby król Zygmunt August niezawodnie omieszkał wynieść do szlacheckiego stanu człowieka, którego osobiście tyle cenił i którego w tylu razach używał do spraw publicznych pierwszorzędnej ważności.

Względem herbu niema zupełnej pewności. Zdaje się wszelako, że ci Modrzewscy, z których nasz Andrzej pochodził, używali herbu Jelita czyli Koźlerogi, pod którym ich też Paprocki przywodzi.

Zamożność tej rodziny po osiedleniu się w Polsce zresztą nie musiała być wielka. Dziad autora naszego, nie wiem jakiego na chrzcie imienia, sprawował urząd wójta *(advocatus)* w Wolborzu. Miasteczko to w województwie sieradzkiem, własność biskupów kujawskich i wtedy ich rezydencya, nadane było wraz z okolicznemi wsiami prawem niemieckiem i miało swoje własne sądownictwo, nad którem zwierzchnictwo piastował wójt. Do urzędu tego było przywiązane dziedziczne posiadanie gruntów, stanowiących oddzielny folwark pod miastem czyli wójtostwo. Tym folwarczkiem był zapewne przyległy Wolborzowi Modrzew. Zajmowanie posad i stanowisk takich przez szlachtę nie należało w ówczesnej Polsce do rzeczy nadzwyczajnych. Owoż na takiem to stanowisku zostawał w drugiej połowie XV wieku dziad autora naszego. Syn jego, a ojciec naszego Frycza, imieniem Jakób, także potem zajmował tę posadę. Tu mu się narodził syn Andrzej, było to w roku 1503. Tu się doczekał i drugiego jeszcze syna, Jana Krzysztofa, o którym zresztą nic więcej mi niewiadomo, jak tylko że był dworza-

* Np. w Oratio Philaletis: »Ego itaque, etsi parente utroque nobili natus sim, tamen...«

ninem i sekretarzem królewskim, a w r. 1561 piastował jakiś urząd w kancelaryi miejskiej sieradzkiej*.

W Wolborzu zatem albo wolborskim Modrzewiu, na samym początku XVI-go stulecia kłaść należy urodzenie autora naszego. W Wolborzu, w domu rodzicielskim, lata mu upłynęły dziecięce; tu też i pierwsze początki nauk otrzymał w szkółce miejscowej, dopóki go nie wysłano do Krakowa na akademią, co przypadło w czasie stosunkowo dość rychłym, bo już w jego 14 roku, to jest 1517**.

Za przybyciem do Krakowa, zaciągnął się w poczet uczniów wydziału sztuk wyzwolonych. Taki naówczas był zwyczaj. Każdy

---

* Był tam *actorum municipii magister*, jak go brat jego Andrzej tytułuje, przypisując mu wydany w roku 1562 traktat *De peccato originali*.

** Wszystkie te szczegóły są nowe, dlatego zdać muszę sprawę, skąd je mam. W zakończeniu Sylwy III-ciej wymawia gorzko papieżowi Piusowi V Andrzej Modrzewski, że go rugować kazał z wolborskiego wójtowstwa, »które przecież jest własnością jego z ojca i dziada« *(bonis patriis avitisque)*. A zatem musiał być stałem miejscem zamieszkania tej rodziny Wolborz. To potwierdza i *Liber Promotionum*, tj. spis wszystkich obdarzonych jakimkolwiek stopniem akademickim w wydziale filozoficznym krakowskim, wydany w r. 1849 w Krakowie przez Józefa Muczkowskiego. Pod rokiem 1519 wspomniany tu jest nasz autor w następujących wyrazach: *„Anno domini 1519 ad gradum baccalaureatus promoti, hoc qui sequitur ordine sunt locati: Andreas de Wolborz“* itd. Do tego nazwiska dodała czyjaś ręka nieco później, ale zawsze jeszcze w wieku XVI, w nawiasie: *Fricius haereticus*. Niema zatem wątpliwości, że o naszym Andrzeju Fryczu tu mowa. Do tego miejsca w *Liber Promotionum* dodał Muczkowski jako notę wypisek z księgi wpisów czyli Metryki krakowskiej, który brzmi tak: *„Andreas Jacobi de Wolborz, anno 1517“*. Pod tym więc rokiem tu on zapisany, jako nowo przyjęty uczeń. — Czas jego narodzenia powszechne, prawie przez wszystkich powtarzane podanie odnosi do roku 1520. Że ta data nie może być prawdziwa, tego dowodzi już sama powyższa wzmianka, że Andrzej z Wolborza do akademii wstąpił w r. 1517, a w 1519 już bakałarzem został. Michał Wiszniewski, lubo nie znał jeszcze tych wzmianek o Fryczu w *Liber promotionum* i w Metryce akademickiej, odstąpił od mniemania wszystkich o Fryczu dawniej piszących i stawił czas jego przyjścia na świat na roku 1506 (obacz tom IX, str. 32). Zbliżył się znacznie do prawdy, zupełnie jednak i on jej jeszcze nie doszedł. Bo obaczmy, co po różnych miejscach dzieł swoich sam Frycz o wieku swoim podaje. W roku 1560 czy 1561 urodził mu się syn. Przytomny krótko po narodzeniu się jego w Wolborzu wtedy Orzechowski, winszował tego Fryczowi i znajdował w rysach niemowlęcia wielkie podobieństwo do ojca. W kilka dni potem poróżnił się z Modrzewskim, i kiedy nieco później ogłosił z tego powodu znaną swoję chryję przeciwko niemu, wyśmiewał go w niej i poniżał pod różnymi

student, czy to zamierzający się poświęcić nauce prawa, czy teologii, czy sztuce lekarskiej, poczynać musiał od wydziału *artium*, i dopiero na mocy pozyskanych w nim stopni wolno mu było przechodzić do właściwego fakultetu.

Pomimo bardzo młodocianego wieku, musiał Frycz okazać niepospolite uzdolnienie i przykładać się do nauk z rzadkim zapałem, kiedy już po dwóch leciech pobytu w akademii przypuszczono go do egzaminu na bakałarza *artium*, pierwszy z kolei stopień akademicki. Egzamin ten nie tylko wypadł szczęśliwie, lecz nawet w porównaniu z drugimi kolegami młody Frycz najlepsze udowodnił postępy. W szeregu ośmiu innych ubiegających się w roku 1519 o ten zaszczyt, kładzie księga promocyjna imię jego na pierwszem miejscu i z przyciskiem wypowiada to pierwszeństwo nad innymi Andrzeja Wolborczyka.

Po otrzymanym bakalaureacie, sposobiono się zazwyczaj z porządku rzeczy do dalszych egzaminów w tymże wydziale. Przede-

---

względami, a między innymi i z tej przyczyny, że oto on, starzec 90-letni, doczekał się wreszcie syna! Ale co to za syn? To chyba jakiś Izaak, syn obiecany *(filius promissionis)* itd. Chciał przez to dać z lekka do zrozumienia, że nie Modrzewski ojcem owego dziecka. Na to mu Frycz odpowiedział publikacyą: *„Orichovius sive depulsio calumniarum“*. Była ona pisana w ostatnich dniach roku 1562, jak świadczą słowa samegoż autora na końcu książki. W broszurze tej odpiera jak inne zaczepki, tak i ten zarzut dotyczący jego wieku. Powiada, że chyba tylko Orzechowskiemu uchodzi pisać wszystko, cokolwiek mu przyjdzie do głowy. »A cóż ty na to powiesz, mój Orzechowski, kiedy ci oświadczę, że nie tylko metryką, ale i świadkami, co byli na ślubie rodziców moich, dowieść tego potrafię, że nie mam jeszcze lat 90, ani 80, ani 70, ani nawet jeszcze i 60«. Skoro pisemko owo było pisane roku 1562, a nie miał autor jego wtedy jeszcze spełna lat 60, zatem rodzić się musiał po roku 1502. To tedy pierwszy punkt oparcia do oznaczenia jego wieku. W kilka lat później, w r. 1569, w przedmowie do ostatniej swej pracy, do Sylwy IV, dedykowanej prymasowi Uchańskiemu, powiada Frycz o sobie i o Uchańskim, że oto wiek ich sędziwy, do grobu obydwom już niedaleko!... »Tak ja, jak i ty, przebyliśmy już rok klimakteryczny«. Klimakterycznym rokiem, jak wiadomo, nazywano rok wieku 63. Sylwa ta była pisana, jak się rzekło, w roku 1569, w którym Frycz miał zatem więcej lat wieku, niż 63. A zatem rodzić się musiał przed 1506. Zestawiając obydwa wnioski, przychodzimy do wyniku, że przyjście na świat Frycza zajść musiało w latach 1503, 1504 albo 1505. Najprawdopodobniej jednakże w roku 1503; inaczej bowiem zaszczyt otrzymanego przezeń już w roku 1519 bakalaureatu byłby go spotkał w młodszym jeszcze wieku, niż w roku jego szesnastym. A to prawie rzecz niemożliwa.

wszystkiem trzeba się było starać teraz o stopień mistrza sztuk wyzwolonych. Przy pomyślnym biegu nauk, osięgano ten drugi wieniec akademicki we 3, w nadzwyczajnych razach we dwa lata po wyniesieniu na bakałarza. Należałoby tegoż samego spodziewać się i po Fryczu. Niewątpliwą bowiem jest rzeczą, że przez kilka lat następnych po owej promocyi roku 1519 był ciągle uczniem akademii. Przeciw wszelkiemu oczekiwaniu, *Liber Promotionum* o dalszych jego postępach zupełnie milczy. W ogóle niema już o Modrzewskim żadnych innych w księdze tej wzmianek. Czy to milczenie przypisać należy przypadkowi tylko i niedbałemu zapisywaniu do niej nazwisk egzaminowanej młodzieży, czy też rzeczywiście nie ubiegał się Modrzewski o *magisterium in artibus*? — tego rozstrzygnąć nie umiem, choć skłaniałbym się ku przypuszczeniu drugiemu. Bądź jak bądź, tyle jest pewnem, że przez 2 czy 3, jeżeli nie 4 lata po roku 1519, w Krakowie ciągle bawił, i że pierwsze rozgłosy o wystąpieniu Lutra, jako też pierwsze dzieła z łona reformacyi wynikłe, zastały go jeszcze w akademii krakowskiej.

Oto co sam Frycz rozpowiada w jednem z pism o tych czasach swojej młodości*. Jest to ustęp i skądinąd ciekawy, maluje bowiem zachowanie się ówczesne całejże akademii względem reformacyjnych dążności.

»W chwili, kiedy ci przypisuję ten traktat, przypominają mi się czasy, kiedyśmy to obydwaj, w pierwszym kwiecie naszej młodości, siedzieli u stóp mistrzów naszych krakowskich w wydziale sztuk wyzwolonych. Wszystkiego innego uczyliśmy się wtedy, tylko nie teologii! Bo też teologia ówczesna, jak sobie przypominamy, nie tyle była czerpana ze samych źródeł, ile ze strumyków i to niekoniecznie przejrzystych, a jak wielu o tem rozumie, nawet i dość zamulonych... Wielki w czasiech onych panował spokój w kościele. Nie zakłócali go żadni kacerze. Aż oto, pośród najgłębszej ciszy zjawia się Luter i podaje w wątpliwość podwaliny

---

* W epilogu do rozprawy pod napisem: *Defensio eorum, quae antea scripsit de Concilio universorum* itd. przypisanej przyjacielowi i koledze niegdyś szkolnemu, Pawłowi Głogowskiemu. Rozprawa ta oddrukowana jest w tomie II-gim 3-go wydania dzieła *De republica emendanda* wydania bazylejskiego z roku 1559. W żadnej innej edycyi zresztą nie znachodzi się. Ten Głogowski był wtedy (r. 1558) archidyakonem poznańskim.

chrześcijańskiej nauki! Przynoszono do nas księgi jego z głębi Germanii, sprzedawano je w samejże akademii publicznie. Wielu miłośników wszystkiego, co tylko nowe, czytało je z potakiwaniem i pochwałami. Nie potępiali ich ani teologowie nasi. Wtem papież, bodajnie Leon X, zakazał tego czytać, grożąc każdemu, ktoby był nieposłuszny, karą exkomuniki. Przestrachem zdjęci mistrzowie nasi, tacy byli dalecy od czytania ksiąg zakazanych, że je owszem w ogień wrzucali. Lecz my młodsi, słysząc jak sprawa Lutra pomyślnie w Niemczech coraz dalej postępuje, widząc jak zdania jego coraz dalej się roznosiły po Francyi, po samych nawet Włoszech, a niepomału znajdowały posłuch i w własnej ojczyźnie naszej, nie mieliśmy siły powstrzymać się od steku dzieł ze wszystkich stron do rąk nam podawanych, ile że takowe pochodziły od mężów takiej nauki i wymowy! Interdykt papieski niepokoił wprawdzie sumienia. Lecz ponieważ w owym czasie jak co do innych rzeczy, tak też i co do zakazów tego rodzaju nie było żadnej pewności, mają-li one wagę, czy nie: więc czytaliśmy, co tylko wpadło do ręki. W pierwszej chwili dalecyśmy byli od myśli przywtarzania onym doktrynom. Boć niemała to jest zaprawdę rzecz, wyzuwać się z dawnej wiary, którą się niemal wyssało z mlekiem matki! Ale z czasem... Jako ci, co wiele chodząc na słońcu, ogorzałymi się stają, chociaż powód ich po słońcu chodzenia jest inny, jak żeby się opalić: tak też i ja rozczytując uważnie rzeczone księgi dla ich tylko poznania, w nieuchronny sposób chwiać się zacząłem w dawnych moich wyobrażeniach, a nasiąkać nowemi...«

Okazuje się zatem, że pierwszy zaród akatolickich doktryn wyniósł Frycz już z akademii krakowskiej. Mylnem jest przeto, co zwyczajnie o nim podają, że niemi nasiąknął dopiero w zagranicznych uniwersytetach, a mianowicie w wittemberskim, w którym miał strawić pod kierunkiem Melanchtona przeszło 3 lata.

Fakt dłuższego pobytu w Wittemberdze i poufałej zażyłości z wspomnianym co tylko filarem reformacyi nie podlega zresztą powątpiewaniu. Miało to jednakże miejsce dopiero znacznie później bo w latach od 1533—1536*.

---

* W zbiorze listów Melanchtona, wydanym przez Sauberta w Norymberdze roku 1640, ma się (podług Ossolińskiego) na stronie 24 znajdować rekomendacya dana przez niego Fryczowi, kiedy się tenże na dłuższy pobyt wybierał do południowych Niemiec, a na razie do Norymbergi. Pisał ją Melan-

O kolejach życia Modrzewskiego od czasu wyjścia z akademii krakowskiej (prawdopodobnie w r. 1522) aż do chwili, w której zawód swój autorski rozpoczął, bardzo mało co pewnego wiadomo. Przez cały 20-letni ten przeciąg czasu ginie nam z oczu i chyba tylko ogólnymi rysami daje się zapełnić ta próżnia w jego żywocie. Dawniejsi pisarze podają, że miał on kończyć nauki w akademiach włoskich, opuściwszy krakowską. Jeżeli podania te prawdziwe (o czem zresztą jabym sobie pozwolił wątpić*), to godzi się wnosić, że od owej już pory autor nasz zostawał w stosunkach pewnej klienteli względem rodziny Łaskich, będąc albo ichto funduszem do Włoch wysłanym, albo też towarzysząc któremu z młodych wojewodziców w podróży naukowej do Padwy lub Bononii. Boć ojciec Modrzewskiego wątpię żeby miał na to, aby tyle łożyć na wychowanie syna.

---

chton do Wita Dietericha, któremu go jako przyjaciela swego polecał. Data listu jest z roku 1537. Oto główniejszy ustęp z rzeczonej rekomendacyi: »Etsi putabam, tibi hunc hospitem Andream Fricium Polonum magnae voluptati fore sine meis litteris, scio enim singulari prudentia, fide et diligentia in omni officio praestando praeditum esse: tamen dedi proficiscenti ad vos has literas, ut ad ea officia, quae in eum tua voluntate collaturus es, mea causa aliquid adderes studii. Fuit mihi familiaritas ejus amplius triennio non eo tantum jucunda, quod delectaretur his litteris, quas nos quoque amamus, sed multo magis, quod me saepe in rebus duris et consilio et oratione sua juvit et erexit« itd. — Ten tedy list otrzymał Modrzewski od Melanchtona na wyjezdnem do Norymbergi 1537. W poprzedzającym roku przepędził czas jakiś w Polsce, jak tego dowodzi data listu jego do Jana Łaskiego, pisanego w Krotowie *(Crotovii 20 Junii 1536)*. List ten ma się znajdować w jakimś zbiorze wydanym przez *Sim. abb. Gadema* r. 1663 w Harlindze. Wspomniał o nim tylko nawiasowo w rozprawie swej Ossoliński, nic bliższego o treści jego nie podając. Zbioru Gadomy żadna z lwowskich bibliotek nie posiada, dlatego niepodobno mi udzielić o nim szczegółów. — Okazuje się zatem, że owe 3 lata w Wittemberdze spędzone przypadają na 1533—1536. Powrót do kraju nastąpił r. 1536. Już wszelako r. 1537 wypadło mu znowu wyjechać do południowych Niemiec.

* Zdaje mi się, że ta wzmianka o studyach włoskich Frycza polega tylko na urojeniu. My dziś ani wyobrażenia nie mamy, z jaką lekkomyślnością nieraz dawniejsi biografowie ludzi znakomitych zaokrąglali wizerunki ich życia. Kiedy brakło materyału danego, kuło go się na własną rękę. Skoro np. Frycz wyszedł na wielkiego pisarza, i to jeszcze łacińskiego, a wszyscy prawie ludzie uczeni w Polsce spędzali młodość w akademiach włoskich, więc oczywiście nie mogło być bez tego, żeby i Frycz nie miał czy to w Padwie, czy Bononii, albo zgoła w obydwóch akademiach nauk dokończyć. Oto prawdopodobnie cała podstawa tej wiadomości. Domysł ten mój opieram na tem, że naprzód w żadnem dziele

Rodzina Łaskich, był to w wieku XVI najzamożniejszy, światłem i ogładą obyczajów najznakomitszy, słowem najwięcej pański dom w całem województwie sieradzkiem. Głową tego domu był w owych czasach prymas i arcybiskup gnieźnieński Jan, znany wydawca Statutu (umarł r. 1531). Jegoto głównie zabiegliwości zawdzięczała rodzina Łaskich owę świetność, przez którą potrafiła się wznieść po nad poziom wpływów, znaczenia i wziętości wszystkiej okolicznej szlachty. Brat rodzony arcybiskupa, Hieronim czyli Jarosław, był wojewodą sieradzkim począwszy od tegoż roku, w którym Jan z kanclerza został prymasem, tj. 1510. Zostawił on trzech synów: Hieronima, Stanisława i Jana. Byli to mężowie wrodzonem usposobieniem i zawodem, jaki sobie wybrali, wprawdzie wielce różni od siebie; każdego z nich jednak pamięć złączona jest z dziejami kraju. Najstarszy, Hieronim przeżył znaczną część żywota swego dobrowolnie na ziemi obcej, w wirze gmatwających się coraz bardziej zajęć dyplomatycznych i rycerskich, jako powiernik i najbliższy doradca króla węgierskiego Jana Zapolyi, którego klęski i przewagi z kolei dzielił wiernie, prawie do samego końca panowania tego książęcia. Poselstwa kilkakrotne jego do Turcyi, z wielkiemi nieraz odbywane niebezpieczeństwy, a prawie zawsze pomyślnym wieńczone skutkiem, chlubnie wspominają kroniki nasze. Był on równie jak jego ojciec, pod koniec życia wojewodą sieradzkim, zszedł ze świata r. 1542. Następca jego bezpo-

---

Modrzewskiego nie mogłem się doszukać najmniejszej wzmianki o pobycie jego we Włoszech. Ani w nich śladu jakiejkolwiek osobistej znajomości z którym uczonym włoskim! Ani śladu jakiegokolwiek wspomnienia, któreby się odnosiło do wspólnego z rodakiem jakim pobytu w szkołach po tamtej stronie Alp. Co większa, w wspomnianym wyżej pamflecie Orzechowskiego przeciw Fryczowi! znajdujemy obok zarzutu nieszlachectwa, zbyt zgrzybiałego wieku itd. i ten jeszcze, że Modrzewski jest nieuk, nie umie nic wyższego, gdyż poza gramatykę ani nie wyjrzał! Zdaje mi się, że ten zarzut dowodzi czegoś. Dopuścił się tu Orzechowski wprawdzie wielkiej niedorzeczności, gdyż Frycz miał i rozumu i nauki więcej w jednym palcu, niż on w głowie całej; ale nie był to jednak zarzut bez wszelkiego pozoru. Oto miało to znaczyć, że Frycz za młodu nie przebywał szkół tak sławnych jak Orzechowski. Bije on w to zawsze z wielkim fumem i chełpliwością, przy każdej sposobności, gdzie się takowa tylko nadarzy, że był za młodu uczniem najsłynniejszych mistrzów i w Padwie i w Bononii i w Rzymie. I dlatego patrzał z piętra na swego antagonistę, że ten całe swoje wykształcenie zawdzięczał tylko krakowskim profesorom i własnej usilności.

średni na temże województwie, a brat młodszy, Stanisław, był ile wnosić można więcej domatorem. Nie wychylał się z domu, cóż dopiero z granic ojczyzny, chyba że chodziło o oddanie jakiejś posługi własnemu królowi. W takim razie chętnie podejmował się poselstw publicznych do panujących postronnych i umiał w razach takich dowieść, że tradycye zręczności przywiązane do tego domu żyły i w nim, chociaż zresztą przenosił życie spokojne senatora-obywatela nad burzliwe zapędy obydwóch swoich braci. Zakończył życie r. 1550, zostawił liczną rodzinę. Najzmienniejszych kolei losu doznał w życiu swojem trzeci wojewodzic, Jan Łaski, prawie rówiennik Frycza naszego, rodził się bowiem r. 1499. Ten żył w stanie duchownym. Spędziwszy młodość w najgłośniejszych akademiach zagranicznych, a zwłaszcza włoskich, przy znakomitej nauce i zdolnościach, któremi się rzeczywiście odznaczał, a co więcej jeszcze znaczyło, przy protekcyi stryja prymasa, mógł liczyć na to, że najświetniejsza przyszłość przed nim otwarta. Jakoż w młodym stosunkowo już wieku posiadł on kilka wyższych prebend kościelnych. Był proboszczem katedralnym gnieźnieńskim i kolegiaty łęczyckiej, a krom tego także kustoszem płockim. Nadto piastował i w zawodzie dworskim dyplomatycznym ważne dostojeństwo wielkiego Sekretarza koronnego przy boku króla Zygmunta. Z tego miejsca, nadawanego zawsze z zasady samym tylko duchownym, nie było już innej drogi, jak albo na kanclerza, albo na biskupa. Wśród tak obiecujących widoków dalszej karyery w ojczyźnie, krótko po śmierci stryja wmięszał się Jan Łaski w zawikłania węgierskie, a to z powodu udziału w nich brata jego Hieronima. Było to około r. 1535, kiedy się osobiście udał do Węgier w rzeczonej sprawie. Poznany bliżej przez króla Jana Zapolyę, otrzymał od niego nominacyę na jedno z biskupstw tamecznych (wesprymskie). Zanim jednakże nadeszło potwierdzenie papieskie, zaszło zdarzenie, że ksiądz nominat oderwał się od Kościoła katolickiego! Rzucił się w objęcia najskrajniejszych frakcyj protestantyzmu i pojechał do Niemiec. Bliższe okoliczności tej katastrofy w życiu jego nie są wiadome. Mianowicie nie jest wyjaśnionem, o ile się do tej zmiany wyobrażeń przyczynić mogło poznanie osoby, którą później zaślubił (podobno w Brabancyi roku 1540). Był to pierwszy w Polsce przykład przekroczenia tego rodzaju! W dziesięć lat później, za Zygmunta Augusta, był czas, gdzie się co chwila zdarzały podobne przestępstwa w duchowieństwie. (Orze-

chowski, Przyłuski, Krowicki, Lutomirski, Walenty z Chrzczonowa, Mączyński, Prażmowski itd.). Wtedy wprawdzie nie pociągały one za sobą innych już skutków, jak albo przejście do którego z wyznań akatolickich, albo utratę charakteru kapłana, z pozostaniem zresztą i nadal w katolickiej wspólności. Ale postępek Łaskiego, jako niesłychany w swym czasie, jako pierwszy i tak jaskrawy przykład zdeptania praw i karności kościelnej, wbrew edyktom, które król prawie co rok ponawiał, nie mógł być przepuszczony bezkarnie. Bawiącemu więc i tak już za granicą oświadczono, że wszystkie beneficya jego duchowne zostały oddane innym, i że powrót do ojczyzny najsurowiej mu zakazany. Wtedy puścił się Łaski w ciągłe, dalekie, do najróżniejszych stron przedsiębrane podróże. Chodziło o znajomości i dysputy z różnymi teologami zachodniej Europy, o zebranie około siebie trzódki równie myślących i o wyszukanie jakiej stałej siedziby dla tej nowej owczarni, którą wszystkie ówczesne odcienie protestantyzmu zacięcie odpychały od siebie. Wyobrażenia bowiem Łaskiego sięgały dalej, niżeli doktryny Lutra albo Kalwina. Bez powodzenia, walcząc nieraz z niedostatkiem, i zawsze tylko dorywczo, przesiadywał Łaski po różnych miastach Niemiec, Holandyi i Anglii. W Anglii wreszcie po śmierci Henryka VIII przyszło rzeczywiście do spełnienia życzeń jego, tak długo nadaremnych. Król Edward VI uznał gromadzące się za jego panowania do Anglii z różnych narodów wychodztwo za odrębną i uprawnioną społeczność religijną; nadał jej urzędową nazwę »kościołów cudzoziemskich«, obdarzył swobodami, a na początek nadał im z własnego swego ramienia biskupa czyli superintendenta — w osobie Jana Łaskiego. Stało się to r. 1551. Tych »dobrych czasów« nie było jednak więcej, jak tylko trzy lata. Zaraz za wstąpieniem na tron katolickiej Maryi (1553), wszyscy niekatolicy przed prześladowaniem uchodzić musieli z kraju. Wtedy też i Łaski razem z rodziną swoją i 175 współwyznawcami, ludźmi wszelkiego stanu, wieku i płci, porzucił Londyn i puścił się morzem ku brzegom Danii, spodziewając się na tych brzegach znaleść tęsamę gościnność, jakiej dotąd nie odmawiał mu kraj Edwarda. Omyliła go jednakże nadzieja. Ściśle luterska Dania odepchnęła ich od siebie jako kacerzy. Wśród najprzykrzejszej zimy, w sposób gwałtowny a dziwnie nieludzki, zmuszeni zostali ci biedni tułacze na rozkaz królewski do niezwłocznego oddalenia się z ziemi duńskiej. Z wielkiem niebezpieczeństwem życia zaledwie przebili się na drugą stronę

morza, do Niemiec północnych. Objeżdżali tu wszystkie znaczniejsze miasta: Wismar, Lubekę, Hamburg, z nadziejami przytułku. Wszędzie byli przez pastorów witani z podejrzliwością i złorzeczeniem, traktowani z perfidyą, a wydalani z miasta gwałtem i bez względu na wszelkie przedstawienia. Takato wtedy była tolerancya na całym świecie, nawet niekatolickim, który tyle rozprawiał o »fanatyzmie papistów« i tyle krwi przelał »dla wolności sumienia«. W jednej tylko Polsce naszej było wtedy inaczej! — Po tych nadaremnych tu i owdzie błąkaniach znalazł wreszcie Łaski (1554) chwilowe schronienie w Emdzie (w wschodniej Fryzyi). Następnie dano mu też jakiś zakres działania w Frankfurcie nad Menem. I tu jednak niedługo bawił. Po 20 latach niebytności w ojczyźnie, zaczął na starość doznawać coraz bardziej tęsknoty do miejsc, gdzie się rodził i w których strawił młodość, szczęśliwszą! Wiał tam już wtedy inny duch, jak w roku 1540. Powrotowi jego do swoich nie stało nic na przeszkodzie. Przybył przeto do Polski pospołu z wielu towarzyszami wędrówek swoich w roku 1556, i żył jeszcze 4 lata, niezaczepiany ani ze strony rządu ani hierarchii, poważany wielce przez te sekty religijne, które się przechylały ku wyobrażeniom popłacającym w Pińczowie i Rakowie. Zakończył życie w podeszłym wieku r. 1560. Zostawił dwóch synów, Jana i Hieronima, i córkę, którą pojął w małżeństwo ks. Stanisław Lutomirski. Był autorem kilku dzieł teologicznych pisanych po łacinie, które wyszły z druku*.

Otóż z tymi trzema braćmi Łaskimi zostawał nasz Modrzewski w pierwszej połowie życia swojego w takich stosunkach, że ani wątpliwości to podlegać nie może, iż wielka część przygód tak Hieronima Łaskiego, jak może nawet i Jana odbyła się przed jego oczyma i z jego uczestnictwem. Był on bowiem dworzaninem ich domu przez cały ten czas, który nastąpił po studyach jego krakowskich, a w którym go jako uczonego i pisarza tracimy z oczu. Oto co sam on o sobie w późniejszym wieku powiada, przemawiając do papieża Pawła IV w dedykacyi dzieła *De ordinibus Ecclesiae:*

---

* Szczegóły te o J. Łaskim zaczerpnięte są głównie z dzieła Cypryana Bazylika »O srogiem prześladowaniu kościoła bożego«, z mowy Stanisława Orzechowskiego *De lege coelibatus contra Syricium*, nakoniec z Węgierskiego *Slavonia reformata*.

»Kiedy mi doniesiono o tych prześladowaniach, które mię Ojcze święty czekały z twojej przyczyny, zacząłem z goryczą ducha mojego rozpamiętywać lata moje. Pierwszy wiek upłynął mi w szkołach. Potem mię zaprowadzono na dwór, ażebym zrobił fortunę (*post ad aulam deductus sum opum gratia*). Nareszcie powróciłem znowu do nauk, jak ów wygnaniec co odzyskuje ojczyznę, dobrze już w dojrzałym wieku. Trudno opisać, ilem trudów dla nich ponosił« i t. d.

Nie powiada tu wprawdzie Modrzewski, w czyim domu i na jakim dworze przepędził tę liczbę lat, która żywot jego naukowy rozerwała na dwie niejako połowy. Zważywszy jednak, że Łascy byli osiadli właśnie w Sieradzkiem, w którem leży i Wolborz, że przeto stary Frycz, ojciec naszego pisarza, jeżeli już miał oddać syna pod skrzydła jakiego magnata, to go oddał najprawdopodobniej na dwór Łaskich, z którymi musiał mieć z dawien dawna znajomość; zważywszy dalej, że w dziełach Frycza pełno jest wzmianek to o prymasie Łaskim, to o Hieronimie, to o Stanisławie, to o Janie, to o młodym Albrechcie Łaskim (synu Hieronima), i to wzmianek ciekawych, życzliwych, dowodzących, że musiał on być kiedyś nietylko częstym gościem, ale nawet domownikiem i przyjacielem całego owego rodu i że zachowywał nawet w późniejszych czasach cześć i wdzięczność dla niego: to zdaje mi się, że powyższe przypuszczenie ma po sobie wiele podobieństwa do prawdy*. Był więc Modrzewski niezawodnie przez cały czasu owego przeciąg dworzaninem jednego z braci Łaskich, najpewniej Hieronima, może Stanisława; ale kiedy tego była potrzeba, towarzyszył on snać w podróżach i innym braciom, albo też sam je odbywał z ich polecenia i w ich sprawach. Mianowicie odnoszę owo przeszło 3 całe lata trwające przesiadywanie jego w Wittemberdze, o którem już powyżej wspomniałem, do stosunku Modrzewskiego z Janem Łaskim. Trudno tu myśleć o jego własnych studyach, o uczęszczaniu na prelekcye Melanchtona, toż innych profesorów tamecznych, lub czemś podobnem. Działo się to w la-

* Zresztą i wyraźnie nawet samże Modrzewski poświadcza domysł powyższy w jednem miejscu dzieła swego *De emend. Republ.* Mówi on tam przy końcu »Przydatku« *(Appendix)* tak: »A ponieważ mnie, który Łaskich domowi od wielu lat rad służę, nie ciężko było onę radę Łaskiego (prymasa) na piśmie zostawić«... i t. d.

tach 1534 — 36. Wiek Frycza nie był już przeto wtedy po temu. Zachowany zaś list jego do Jana Łaskiego*, pisany właśnie w roku 1536, potwierdza mój domysł, że byli oni ze sobą wtedy w jakichś stosunkach, szczególnie zbliżających jednego do drugiego. Równie też widzi mi się, że i powtórny wyjazd Modrzewskiego do Niemiec, który miał miejsce w roku 1537, nie mógł mieć innego celu, jak tylko ażeby w czemś usłużyć sprawie prałata Łaskiego. Była ta podróż przedewszystkiem skierowana do Norymbergi. Że była w związku z rzeczami religijnemi, tego dowodzi samo już powtórne nawiedzenie w owym czasie przez Frycza Wittembergi i Melanchtona i wzięcie od niego rekomendacyi na drogę. Pobyt jego w Norymberdze i południowych Niemczech przeciągnął się wtedy także podobno do lat trzech, jeżeli twierdzenie Janockiego jest co do tego punktu prawdziwem. Zapewne wycieczek podobnych to do Niemiec, to do Węgier było i więcej. Bliższych jednak szczegółów o tem wszystkiem nie posiadamy.

Przystępuję teraz do okresu życia pisarza naszego, gdzie go widzimy niejako tuż przed sobą; gdzie rok za rokiem postępować można w ślad jego myśli, polegając na najpewniejszych świadectwach o tem wszystkiem, co się z nim i przezeń działo, bo na jego dziełach.

Zawód ten pisarza rozpoczął się u niego z rokiem 1543, a więc rzeczywiście, jak się wyraził sam o sobie, już w dobrze dojrzałym wieku. Miał lat właśnie 40, kiedy pierwsze jego pismo opuściło prasę drukarską. Był on już natenczas niezawisłym człowiekiem. Zajęcia dworskie nie miały go już odtąd odrywać od ulubionych jego prac umysłowych. Jak wygnaniec, co po długiem tułactwie z uniesieniem wita odzyskaną ojczyznę, tak też i on z zapałem rzucił się teraz znowu w ten zawód, którego pociech i swobody nie doznawał inaczej, jak chyba tylko dorywczo, od czasu wyjścia ze szkół. Pierwsze jego usiłowania miały na celu polityczny stan Polski. Chodziło o wprowadzenie społeczeństwa na drogę reform. Dawała się czuć potrzeba naprawy niektórych instytucyi publicznych. Naprawy takiej potrzebę i zbawienność pojmowały światlejsze umysły ówczesnej generacyi, lecz ogół o tem nie myślał. Rzecz, którą nasamprzód podjął Modrzewski, była wtedy roztrząsana na sejmach. Pierwszy do tego popęd wyszedł był od samego

* Obacz wyżej notę na str. 121.

króla Zygmunta Starego, na kilka lat przed wystąpieniem Fryeza, bo w roku jeszcze 1538. Znużyły wtedy cierpliwą pobłażliwość królewską zbyt zagęszczające się od niejakiego czasu mężobójstwa, z lada powodu popełniane tak w Koronie, jak i na Litwie. Dopuszczano ich się względem każdego, kogo tylko mogła dosięgnąć zemsta lub nienawiść prywatna; najczęściej jednakże bywał ofiarą tej swywoli lud prosty, wieśniaczy... Na przekroczenia podobne w ówczesnym stanie rzeczypospolitej nie było odpowiedniej kary. Chcąc tym bezprawiom zapobiec, trzeba było odmienić jedno z zasadniczych praw publicznych państwa; i na tęto właśnie konieczność zwrócił wtedy uwagę przybocznej swojej rady król Zygmunt. Prawo krajowe polskie już od czasu statutu wiślickiego, a raczej od czasów najdawniejszych (boć statut wiślicki był tylko spisaniem i zrównaniem dawnych praw zwyczajowych), nie karało mężobójców inaczej, jak tylko pieniędzmi. Później dodano do tego jeszcze i zagrożenie niedługiego stosunkowo więzienia, ale aż do kary śmierci się nie posunięto. Kara pieniężna nazywała się tu główszczyzną. Za Jana Olbrachta zaostrzono cokolwiek dawniejsze przepisy prawne; leez i to złego nie naprawiło, gdyż były to obostrzenia mało znaczące. Za zabicie szlachcica musiał się od owego czasu opłacać morderca sumą 100 czy też 120 grzywien i oprócz tego odsiadywał wieżę przez rok i 6 niedziel. Za zabicie nieszlachcica wynosiła główszczyzna ciągle tyle tylko, ile za czasów kazimierzowskich, to jest wynosiła grzywien 10, bez wieży. Tej nierówności przepisów karnych było wynikiem nieuchronnym to, że podczas kiedy szlachcic prawie bezkarnie zabijał kmiecia, kara bowiem 10 grzywien łatwo przez niego mogła być opłacana: kmieć za zabicie szlachcica dawał najczęściej gardło lub też pokutował za nie dożywotniem więzieniem. Na zapłacenie bowiem 100 albo 120 grzywien, środki jego zazwyczaj nie starczyły. W takim zaś razie zastosowywano zasadę, że kto nie może płacić, ten poddaje surowości prawa życie lub ciało swoje... Owoż przeciw tymto niewłaściwościom chciał Zygmunt I w r. 1538 obmyślić coś zaradczego. Skłaniał więc senat do uchwalenia czegoś na ówczesnym sejmie piotrkowskim, coby i poczuciu sprawiedliwości i względom na praktyczny skutek w duchu czasu zadość czyniło. Spodziewał się, że za przykładem senatu pójdzie i izba poselska. Kiedy się rozpoczęły narady nad podaną propozycyą królewską, okazało się, że zdania senatorów były różne. Niektórzy przemawiali wprawdzie za tem,

żeby główszczyznę zamienić na karę śmierci, jak to w całej Europie zachodniej naówczas było praktykowanem; ale byli i tacy, co obstawali za dawnym stanem rzeczy. Kiedy przyszło do głosowania, okazało się, że większość popierała główszczyznę. Propozycya królewska tedy upadła. Młody Zygmunt August, 16letni naówczas, nie miał wprawdzie głosu na sejmie, lecz poza murami izb dał się słyszeć z wielkiem oburzeniem przeciw temu usposobieniu i głosowaniu rady królewskiej. Radziłbym teraz, mówił młody królewicz, spisać imiona i tych, co głosowali za główszczyzną i tych, co byli za karą śmierci. Jeżeliby zdarzyć się kiedy miało, że któremu z tych ostatnich wydarłaby życie ręka mordercy, to zbrodniarz ten niechby winę swoję okupił śmiercią. Lecz jeżeliby został ofiarą bezprawia taki senator, co się przyczynił do utrzymania główszczyzny, to niechżeby też za jego z świata sprzątnięcie nie pokutowało się inaczej, jak tylko płacąc owe 120 grzywien. — W następnych latach propozycya ta królewska na sejmikach ciągle była poruszana na nowo. Wielu dostojników koronnych było za potrzebą reformy. Najświatlejsi i najzasłużeńsi potępiali publicznie ów dawnego prawodawstwa zabytek. Mistrzowie akademii krakowskiej, ze stanowiska umiejętności wychodząc, bili w prelekcyach swoich na niedorzeczność główszczyzny. Ze wszystkich ambon, nawet po zborach akatolickich, dawały się słyszeć upominania, ażeby życzeniu króla nie stawiać poprzek zabiegów, które w ruch wprawiał tylko upor i przesąd. Wszystko to było jednak napróżno. Rzecz ta tak mało wtedy odpowiadała wyobrażeniom większości mających udział w prawodawstwie, że ten projekt do ustawy nie przeszedł ani tych nawet przedwstępnych stadyów sejmowego postępowania, wskutek którychby mógł być oddany do laski marszałka izby poselskiej.

Wtedyto postanowił Modrzewski zabrać głos w tej ważnej sprawie, za pośrednictwem prasy. Nie piastując żadnego urzędu, nie należąc do żadnego praktycznego w społeczności zawodu, jako człowiek jedynie poświęcony nauce, jako — że się po dzisiejszemu wyrażę, tylko literat z profesyi, ale przemawiający w sposób taki, że i potomność miała słyszeć odezwanie się jego, spodziewał się przełamać ten upor, na który nie było środka ze strony zwyczajnego toku obrad sejmowych. Wystąpienie to jego nie przeto tylko było krokiem wyższego znaczenia, że był za postępem w rozwoju ustaw publicznych, ale że równocześnie chciał wyjednać posłuch

niejako i wpływ na sprawy publiczne literaturze. Z zupełną świadomością i z widocznym przyciskiem mówi o sobie, jako o człowieku, który nie jest niczem i tylko się z powołania oddał umiejętnym badaniom prawdy; ale dodaje, że teorya powinna mieć wpływ na praktykę, i że konieczną jest rzeczą, ażeby mężowie nauki byli z uwagą słuchani, skoro chodzi o pytania, których rozwiązanie stanowić może o szczęściu i przyszłości kraju całego.

Cztery rozprawy ogłosił Frycz w ciągu tyluż lat w materyi kary za mężobójstwo. Nazwał je mniej właściwie mowami. Miane one bowiem przez niego nigdzie nie były, ale tylko nadany im był zewnętrzny kształt ustnego przemówienia publicznie.

Pierwsza mowa, zwrócona do młodego króla, wyszła pod następującym napisem:

Ad serenissimum et inclytum Regem Poloniae Sigismundum Augustum Lascius, sive de poena homicidii, Andrea Fricio Modrevio Authore. Kart 43 nieliczbowanych, w dwunastce, bez oznaczenia miejsca i roku. Dopiero na końcu książki: *Kraków u Wietora r. 1543.*

Powód nazwania tej publikacyi *Lascius* usprawiedliwiało to, że wprowadzony w niej jest Hieronim Łaski wojewoda sieradzki, jako niby zabierający głos w senacie nad tą propozycyą królewską i wszelkimi dowodami obstający za potrzebą postanowienia kary śmierci zamiast główszczyzny, a to za każde mężobójstwo, czyby ono było spełnione na szlachcicu, czy nieszlachcicu. Senator ten właśnie rokiem pierwej zakończył życie. W materyi tej on nigdy w senacie nie przemawiał. Był jednak tych przekonań, jakie mu tu Frycz w usta kładzie, i miał krótko przed zgonem swoim, na łożu śmiertelnem, do otaczających otwarcie i stanowczo nieraz odzywać się w tymże sensie, w jakim go tu Frycz mówiącego wprowadza. Byłto więc zarazem i hołd wdzięczności oddany cieniom zmarłego za jego nad Modrzewskim opiekę, i tem uroczystszy sposób polecenia narodowi tej koniecznej w prawodawstwie reformy.

Praktycznego skutku nie miała jednak ani ta mowa w usta Łaskiemu włożona, ani też mowy wydane w następnych latach. Przemawiał w nich już Modrzewski w własnej swojej osobie. W mowie drugiej zwraca się do senatorów, do szlachty i do narodu polskiego; w trzeciej do biskupów i do duchowieństwa (obie te mowy wyszły w roku 1545); w czwartej nakoniec apeluje do Boga

i dołącza do tego skargę do całej ludności polskiej, nie wyłączając i gminu (to wyszło w roku 1546*).

Ostatnia mowa przypisana jest królowi Zygmuntowi I. Oto kilka ustępów z Dedykacyi.

»Przypisałem i poświęcam tobie, miłościwy królu, tę skargę. Albowiem nikomu bardziej zależeć na tem nie może, jak królom, ażeby wiedzieli, na co się skarżą ludy, które całość i zbawienie swoje ich powierzyły opiece. Nic bardziej nie zabezpieczy życia twoich poddanych, jak ustawa, której oto się domagamy. Wszelkie do niej przeszkody w niwecz iść muszą przed twojem postanowieniem, skoro ono się jednoczy ze zdaniem, wolą, pragnieniem wszystkich poczciwych i światłych, z przekonaniem wielu przedniejszych w senacie i większej części stanu rycerskiego, z głosem całego twojego ludu. Dlaczegoż więc miałoby ci zbywać na sile, żeby rzecz doprowadzić do skutku? Miałażby królewska twoja powaga być jeszcze święta, jeżeliby najświętszej sprawie dopomóc w niczem nie mogła? Pierwszy to zaiste panującego obowiązek, praw boskich i praw przyrodzenia przestrzegać. Nie nalegam o przypuszczenie do senatu osób, którym główne ustawy nasze bronią do niego wnijścia. Chociaż gdybym i to radził, osobliwie aby ludzi uczonych nie czynić martwymi, radziłbym niezawodnie rzecz dla kraju naszego użyteczną. Boć zaiste, nauki czczą tylko będą marą, jeżeli im zabronimy wszelkiego wpływu na sprawy publiczne; jeśli zatkamy uszy na głos rozumnych. Wszelako nie targnę ja się tu na zasadnicze prawa rzeczypospolitej; nowości nie wymyślam: powta-

---

* Oto tytuły rzeczonych publikacyi:

Ad Senatum, Equites, Populumque Polonum, Oratio II De poena Homicidii. Do tego dołączona jest: *Oratio Philalethis Peripatetici, in senatulo hominum scholasticorum, De decreto conventus, quo pagi civibus adimi permittuntur, habita 1543 Kal. April.* W dwunastce, kart 36 nieliczbowanych. Na końcu książki: *Kraków u Scharfenbergera 1545.*

Ad Archiepiscopos, Episcopos et Presbyteros Ecclesiarum Sarmaticarum, Oratio III De poena homicidii. Kraków u Wietora, 1545. W dwunastce, kart 19 nieliczbowanych.

Ad Populum plebemque Polonam, Andreae Fricii Modrevii Querela de contemptione legis divinae in homicidas. Cui adjuncta est Oratio IV ad Deum, ex psalmis Davidicis composita. Kraków u Scharfenbergera, 1546, 12°, kart 32 nieliczbowanych.

Wszystkie cztery mowy wyszły w powtórnem wydaniu przy dziele *De Republica Emendanda*, w edycyi bazylejskiej z roku 1559.

rzam tylko, co teolodzy, co kaznodzieje, co wszyscy zgoła ludzie sądzą być podług prawa bożego, prawa natury, prawa narodów. Nie mój tedy to głos, lecz głos świata, głos niebios samych! Jeszcześ, królu, będziesz się wahał, słysząc wyrok samego stwórcy świata? Sam wiek twój sędziwy cię napomina, byś dłużej sprawy nie zwłóczył. Pamiętaj, że przed Bogiem, sędzią narodów, będziesz równie odpowiadał za głowę lichego kmiotka, jak i szlachcica. Pogromiłeś północ, odparłeś nieraz Tatary, zawarłeś Wołoszę w jej granicach, przypomniałeś Prusakom powinność uległości i posłuszeństwa. Lecz jeżeli nie położysz końca domowej rzezi, jeśli za równe zbrodnie równych kar nie nałożysz, podniet do zajmujących się z tego nienawiści nie ugasisz, niezgód wewnętrznych nie uśmierzysz, barbarzyńskich zadziergów obousiecznym słowa bożego mieczem nie utniesz: wierzaj mi królu, posłannictwo twoje natenczas nie będzie wypełnione! Pozostanie coś, czegoś zaniedbał, o co potomność, o co my oskarżać cię będziemy. Pozostanie skaza na twojej sławie! Wnuki powiedzą o tobie, żeś fale namiętności umiał rozburzyć, ale ukołysać — nie potrafiłeś«...

Z tej krótkiej próby odgadnie czytelnik ton i sposób całego przemówienia. Skutku pożądanego wszystko to jednak nie miało. Skończyło się na próżnych czegoś lepszego oczekiwaniach od późniejszego czasu. Zygmunt Stary nie czuł w sobie pociągu do przeprowadzania zamysłów swoich przebojem. Większość panów stała przy swojem i było jej z tem dogodnie. To też wysilenia Modrzewskiego były daremne tak przy owej sposobności, jako i w późniejszych pismach, w których niekiedy sprawę tę podejmował na nowo. Zamiana główszczyzny na karę śmierci dała na siebie czekać jeszcze przez wieki całe, pomimo że tak w ciągu wieku XVII, jako i XVIII nie brakło nigdy na głosach, które dowodziły jej konieczności. Na Litwie wprawdzie została przeprowadzona ta reforma już w wieku XVI, przy sposobności układania tak zwanego trzeciego Statutu litewskiego (1588). Przyczyniła się zapewne do tego i literacka usilność naszego Frycza. Ale w Koronie zaledwie przyszło do tego dopiero za rządów Stanisława Augusta, w r. 1768.

Teraz słów kilka jeszcze o głosie Modrzewskiego, który pod napisem *„Oratio Philalethis“* dołączony był do drugiej mowy jego *De poena homicidii* i z nią razem wyszedł z pod prasy r. 1545. Było to także pismo politycznej osnowy. Uderza w niem Frycz na ustawę zapadłą jeszcze za czasu króla Jana Olbrachta, na mocy

której zostało zakazanem mieszczanom nabywać odtąd własności ziemskich, a ci którzy je z ojców i dziadów już posiadali, zmuszeni zostali od ich sprzedaży. Podziwiać można podniosłość stanowiska, dobitność dowodów, śmiałość i logiczność, z jaką autor ustawę tę nicuje i wykazuje jej niesprawiedliwość, niepraktyczność, szkodliwość dla dobra rzeczypospolitej, a przedewszystkiem sprzeczność ze wszystkiem, co się tylko zasadą prawną nazywa. I to jednakże wystąpienie przeciw jednej z fundamentalnych ustaw państwa nie miało skutku. Patrząc na ten pomnik literatury naszej z czasu, gdzie w innych krajach nie śmiał nikt jeszcze podnosić głosu przeciw obowięzującym ustawom, podziwiamy tę swobodę w ojczyźnie naszej. Tem bardziej zato żal przejmuje, kiedy się rozważy, że swoboda ta wydawała w kraju naszym tak mało owocu na korzyść koniecznych reform...

Wymienione aż potąd dzieła są wszystkie polityczne. Widzimy w nich autora wprawdzie pod wpływem tego ducha krytyki, który stanowił jedno z głównych znamion społeczeństwa naszego w wieku XVI, ale tylko w obrębie instytucyi świeckich. Równocześnie z mową czwartą *De poena homicidii* wystąpił on z pisemkiem, które choć krótkie, zdradzało w nim dostatecznie i zwolennika także usiłowań mających na celu pewne reformy w kościele. Była to rozprawa, znowuż ułożona w kształcie mowy, pod tytułem:

Ad Regem, Pontifices, Presbyteros, et populos Poloniae Oratio A. Fricii Modrevii De legatis ad Concilium Christianum mittendis. Kart 32 nieliczbowanych, 12mo. Na końcu książki: Kraków, u Scharfenbergera, 1546.

Powód do napisania tego dziełka był taki. W roku 1545 rozpoczął czynności swoje zwołany dwoma laty pierwej przez papieża Pawła III Sobor Trydencki. Miały w nim wziąć udział wszystkie narody katolickie. Jakoż z wielu krajów przybyli do Trydentu posłowie. Lecz w Polsce wcale się nie zabierano do tego, żeby kogoś na to koncylium wysłać. Inicyatywa do tego spoczywała w rękach królewskich i najwyższej hierarchii. Był wtedy prymasem, a zarazem i biskupem krakowskim Piotr Gamrat, niebardzo dbały o to, co stanowiło obowiązek głowy kościoła w narodzie. Śmierć Gamrata zaszła zresztą w ciągu owego roku 1545. Zastąpili go na arcybiskupstwie gnieźnieńskiem Dzierzgowski, w krakowskiej zaś katedrze Maciejowski Samuel. Ale i ci, wraz z resztą biskupów, nie tro-

szczyli się o rozpoczęte koncylium. Owóż przeciwko tejto obojętności na najpierwsze sprawy kościelne, w królu i biskupach polskich, podniósł głos Frycz ze stanowiska swego, jako prosty i świecki człowiek, ale biorący żywo do serca sprawy każdemu chrześcijaninowi tak święte. Dowodzi, że życzenie papieża, ażeby zgromadzić około siebie przedstawicieli wszystkich dzielnic owczarni chrystusowej, powinno być szanowane; że źleby było, gdyby na zgromadzeniu tem naród tylko polski zastąpiony być nie miał; że nie godzi się biskupom owego czasu iść w ślady ostatnich czterech prymasów*) i współczesnych tymże biskupów, którzy dbali o przepych pański, o powiększenie majątku, o przewagi polityczne w senacie, o ciżby sług w dworach swoich, słowem o wszystko — tylko nie o sprawy duchowne! Jeżeli zaś (powiada Modrzewski) wydawali czasem jakie edykta, dotyczące karności kościelnej, to chyba takie, ażeby księża n. p. brody golili, albo ażeby nie dopuszczać na wyższe miejsca w kościele osób urodzeniem znakomitem nie zaleconych; dalecy zaś byli od tego, żeby zajrzeć w wewnętrzne i istotne dyecezyi potrzeby, na których nauka religii chrześcijańskiej polega i od których zawisła możność utrzymania zgodnej jedności kościoła. Wreszcie przechodzi autor do propozycyi, jakie osoby i jakim trybem wybrane byćby najwłaściwiej mogły na posłów do obradującego koncylium. Poleca w ogóle do tego ludzi nauką, świątobliwością życia, wrodzonem uzdolnieniem i dbałością o rzeczy wiary odznaczających się, choćby tym przymiotom niekoniecznie odpowiadały inne względy, względy na urodzenie, dostatki i t. p. Proponuje liczbę trzech wyprawić się mających posłów na sobor. Chce, żeby byli wybierani przez wszystkie stany, tak przez duchowieństwo, jak świeckich — tak przez szlachtę, jak lud; i przez wszystkie dyecezye, a to w taki sposób, że najprzód w poszczególnych dyecezyach przez wszystkich wiernych mają być wybrani elektorowie; a następnię przez elektorów, w jedno miejsce przysłanych od wszystkich dyecezyi, wykonany ma być wybór owych trzech wyobrazicieli całego społeczeństwa polskiego...

Czy to wmięszanie się świeckiego człowieka w sprawy duchowne było przez wszystkich w Polsce mile widziane, o tem godzi się wątpić. Przez Zygmunta Starego i przez młodego króla jednak dobrze zostało przyjęte. Co większa: temuto właśnie dziełu, jako

* Drzewicki, Krzycki, Latalski i Gamrat.

i mowom swoim poprzednio ogłoszonym za karą mężobójstwa, zawdzięczał Frycz wyniesienie swoje na urząd, który nie był bez widoków dalszej promocyi na przyszłość. Właśnie w tymże r. 1546 został powołany do bezpośrednich usług przy boku młodszego króla w zakresie spraw publicznych i obdarzony tytułem, a jak wnosić należy, i pewnymi dochodami do urzędu tego przywiązanymi, tytułem mówię Sekretarza królewskiego*.

Jako sekretarz królewski, był Modrzewski nieraz wysyłany już to w charakterze towarzysza poselstw do różnych znaczniejszych dworów postronnych, już jako samoistnie działający pełnomocnik króla polskiego. Wyjazdów takich przypada kilka już na najpierwsze czasy po wyniesieniu go na ten urząd, a jeszcze przed zgonem starszego króla (1548). Tak n. p. wiemy, że jeździł z wojewodą sieradzkim, a niegdyś protektorem swoim, Stanisławem Łaskim, w poselstwie do Krystyana króla duńskiego**. Z tymże Łaskim odbył r. 1547 podróż do Augsburga, do cesarza Karola V i zarazem do Ferdynanda króla niemieckiego, w jakiejś misyi publicznej***. Do Alberta księcia pruskiego jeździł, jak się zdaje, sam jeden, jako pełnomocny wysłannik królewski****. Nakoniec w r. 1549 towarzyszył Hozyuszowi, koledze niegdyś swemu w akademii krakowskiej, wyniesionemu co tylko na biskupstwo chełmińskie, po-

---

* Właściwie nie jest wiadomo, w którym roku Frycz został sekretarzem królewskim. Daje się to jednakże wywnioskować z innych okoliczności. Na tytule czwartej Mowy za karą mężobójstwa, jako też na *Oratio de legatis mittendis*, obu wydanych w roku 1546, niema jeszcze przy nazwisku autora dołożonych słów *secretarius regius*. W kilka lat później wydana księga jego *De republ. emend.* (1551) już dodatek ten przy imieniu autora ma. A zatem fakt, o który tu chodzi, zajść musiał między 1546 a 1551 r. Że zaś zaszedł jeszcze przed śmiercią Zygmunta Starego, zatem przed 1548 r.: tego dowodzi najprzód wzmianka samegoż Frycza w publikacyi »Orichovius«, że sprawował jakiś urząd przez tegoż jeszcze króla sobie nadany i że był przezeń używany do różnych posług; dalej ta okoliczność, że już w roku 1547 widzimy go sekretarzem poselstwa polskiego przy boku Stanisława Łaskiego. Albo zatem na początku r. 1547, albo co prawdopodobniejsza, już w końcu 1546, zaraz po ogłoszeniu dzieł owych, posadę tę otrzymał. Boć jeżeli co, to właśnie owe publikacye zwrócić na niego musiały uwagę dworu.

** Obacz list Drohojowskiego do papieża Pawła IV, w Schelhorna *Ergötzlichkeiten aus der Kirchenhistorie*. Tom I, str. 674.

*** Wspomina o tem sam Frycz w dedykacyi Pawłowi IV dzieła *De ordinibus Ecclesiae*.

**** Obacz *„Orichovius“* Modrzewskiego.

wtórnie do Karola V i Ferdynanda*. Wyprawa ta dyplomatyczna trwała przez kilka miesięcy. W kwietniu, maju i czerwcu (1549) widzimy Frycza z tego powodu bawiącego w Pradze czeskiej, a przez miesiąc wrzesień w Antwerpii.

Jeżdżąc po różnych miastach i krajach, przestając z różnymi ludźmi, znajdował Modrzewski nieraz sposobność spotykania się z mniemaniami, które dawny zaród powątpiewań religijnych, jeszcze w akademii w serce jego rzucony, na nowo rozbudzały. Całe Niemcy wrzały wtedy dysputą religijną. Chcąc nie chcąc, musiał autor nasz brać w nich udział. W taki sposób pisarz, który zaczął od dzieł politycznych, coraz się więcej przechylał ku badaniom kontrowers konfesyjnych, a to na korzyść tego postępu i tych reform w kościele, których wtedy wyczekiwali i z pomiędzy katolików niektórzy, jako nastąpić mających wskutek inicyatywy samejże stolicy apostolskiej, skoroby tylko raz na dobre zgromadził się sobór powszechny, przez papieża żądany. W owym czasie Frycz co do innych zagadnień nie był jeszcze sam z sobą w zgodzie. Uważał je za pytania otwarte. O dwóch tylko punktach rozumiał, że je zgłębił do tego stopnia, iżby mu się godziło wydać o nich zdanie stanowcze z wnioskiem wyraźnie sformułowanym. Punktami tymi była komunia święta, zdaniem Frycza nawet świeckim osobom pod obu postaciami udzielać się mająca, i kwestya bezżeństwa księży, które jak najnalegliwiej pragnął widzieć przez sobór katolicki na zawsze uchylonem.

Owóż przesiadując w roku 1549 w Pradze, napisał w przedmiocie pierwszego punktu dwa Dyalogi, w których zdania swego dowodzić daje temu z dwóch rozmawiających, który z dysputy obronną ręką wychodzi. Później nieco, w Antwerpii, napisał rzecz w formie rozprawy o drugiej znowu kwestyi, t. j. przeciw celibatowi. Wszystkie te trzy utwory wydał razem w r. 1550, niewiadomo mi, w którem mieście, ale zapewne w Bazylei, pod tytułem:

*Andr. Fricii Modrevii i t. d. Dialogi de utraque specie Coenae domini. Ad haec Disputatio de verbis divi Pauli: Bonum est homini mulierem non tangere, attamen propter fornicationem unusquisque habeat suam***. — Późniejsze wydania

---

* Obacz źródło zacytowane na str. 135 pod **.

** To najpierwsze wydanie Dyalogów z roku 1550 zostało do tego stopnia wyniszczone do szczętu, że nawet o istnieniu jego żaden z bibliografów

były z roku 1554 i 1559, jako dodatek do obu bazylejskich edycyi dzieła *De republica emendanda.*

Wystąpił w pismach tych Modrzewski ze zdaniami niewątpliwie niekatolickiemi. Nie było to jednak jeszcze stanowcze oderwanie się od kościoła i przejście do jakiego odszczepionego obozu, ponieważ przy zamięszaniu ówczesnem stosunków religijnych, największej części nawet katolików zdawało się, że było rzeczą dozwoloną odzywać się z propozycyami wręcz przeciwnemi dotychczasowemu stanowi rzeczy w kościele. Dopiero koncylium trydenckie uchyliło później tę chwiejność zdań w samemże łonie kościoła.

Następne dzieło Modrzewskiego, najobszerniejsze i najważniejsze ze wszystkich, które napisał, jedna z pierwszych ozdób literatury naszej w wieku Zygmuntów, było znowu osnowy politycznej. Nie wykluczył jednak z zakresu jego autor i kwestyi dotyczących kościoła, których rozbiorowi coraz wyłączniej poświęcał odtąd całą swoję usilność. Pierwsze wydanie, po dziś dzień nadzwyczaj rzadkie, wyszło w Krakowie pod napisem:

Andreae Fricii Modrevii, Commentariorum de Republica Emendanda libri quinque, ad regem, senatum, pontifices, presbyteros, equites, populumque Poloniae ac Sarmatiae. Liber I de Moribus, II de Legibus, III de Bello, IV de Ecclesia, V de Schola. Cracoviae, Lazarus Andreae excudebat mense aprili 1551. 8vo, kart z jednej tylko strony liczbowanych 179.

Drugie wydanie jest bazylejskie z roku 1554, równocześnie podobno w dwu odbiciach, folio i 8vo. Znam je tylko w formacie folio. Takowe ma stron 388 i jest znacznie zupełniejsze od pierwszego t. j. krakowskiego wydania. W formacie ósemkowym edycyi z roku 1554 nie widziałem. Że być ma, twierdzą Simler, Sandius i Bayle.

Trzecie i ostatnie wydanie jest bazylejskie z roku 1559 folio, w trzech tomach, lecz z paginacyą ciągłą przez wszystkie trzy tomy; wszystkich stronic 807, prócz indeksów. Jest to najlepsze

---

naszych nie wiedział. Że jednak edycya ta istniała, tego dowodzą następujące słowa samegoż autora, w roku 1558 wyrzeczone do J. Lutomirskiego, a to w przypisaniu temuż pewnego traktatu w owym czasie napisanego, który się znajduje w edycyi dzieła *De republ. emend.* trzeciej, czyli bazylejskiej z r. 1559, od strony 595 do 630: *„Editi sunt abhinc fere octennium a me Dialogi duo de corpore deque sanguine Christi nobiscum communicando“* i t. d.

i najzupełniejsze wydanie, obejmuje bowiem w sobie dobrze drugie tyle, niż poprzedzająca edycya*.

Dzieło *De Republica emendanda* było tłómaczone na język polski, niemiecki, podobno także na francuski, a w części i na

---

* Względna rzadkość wszystkich wydań dzieła tego w oryginale łacińskim, zniewala mię do podania choć tutaj w nocie, co się w każdem z nich mieści i o ile jedno drugie uzupełnia nowymi dodatkami. Wydanie krakowskie jest ze wszystkich najmniej zupełne. Nie zawiera w sobie nawet tego, co zapowiedziano na tytule. Nie 5 bowiem ksiąg, ale tylko trzy księgi w niem znajdujemy: *De Moribus, de Legibus* i *de Bello*. Dwie księgi ostatnie: *de Ecclesia* i *de Schola*, z przyczyn od Frycza niezawisłych, nie zostały w niem ogłoszone. Przytłumiła je cenzura duchowna w ciągu tłoczenia. Mówi o tem autor na końcu książki, a jeszcze obszerniej w II edycyi. Powiada, że jakieś wysoko położone osoby, poznawszy dzieło jego w rękopisie, pomimo wszelkich jego starań i usprawiedliwień, położyły przeszkody niezwalczone naówczas przeciw ogłoszeniu obu rzeczonych ksiąg, chociaż druk ich już był zaczęty. O jakich osobach tu jest mowa, trudno orzec na pewne, prawdopodobnie jednak był to biskup ówczesny krakowski, Jędrzej Zebrzydowski, a nie było też pewnie i bez tego, żeby nie odegrał w tem znacznej roli i Hozyusz, zawsze Modrzewskiemu niechętny.

Edycya bazylejska z roku 1554 obejmuje całe dzieło, t. j. trzy pierwsze księgi bez żadnych odmian, tak jak były wytłoczone w wydaniu krakowskiem; a następnie i obie tam brakujące, t. j. czwartą *De Ecclesia* i piątą *De Schola*. Do księgi *de Ecclesia* dodana jest na miejscach kilku, które przez owych czytających ją w rękopisie były szczególniej zaczepione, ustępami obrona autora czyli Apologia. Nakoniec dołączone są w tej edycyi obydwa Dyalogi *De utraque specie Coenae Domini*, i *Disputatio de verbis divi Pauli: Bonum est* i t. d. — rzecz, jakem to już powyżej powiedział, ogłoszona po raz pierwszy osobno w roku 1550.

Druga bazylejska edycya z r. 1559, czyli w ogóle trzecie dzieła tego wydanie, na trzy podzielone tomy, stanowi zbiór wszystkich pism Modrzewskiego aż potąd ogłoszonych, tak politycznych, jak religijnych. W tomie I (od str. 1 do 392) mieści się całkowite w pięciu księgach dzieło *De Rebubl. Emendanda*, jak było wyszło w poprzedniej bazylejskiej edycyi, bez żadnej odmiany. W tomie II są rzeczy po największej części nowe. Nasamprzód *„De Ecclesia liber II“* (ciągnie się to od str. 393 do 594). Jest to zbiór dziesięciu odrębnych rozpraw w różnych materyach religijnych, napisanych w latach 1554 i 1556, jako odpowiedź, obrona albo też rozwinięcie punktów już dotkniętych w rychlejszejszej księdze *„De Ecclesia“*, a po tejże ogłoszeniu zaczepionych przez różne osoby innego przekonania. Każdy traktat jest poprzedzony przypisaniem tegoż przyjaciołom lub osobom autorowi życzliwym, nieraz ze wzmiankami bardzo przydatnemi do ułożenia biografii Modrzewskiego. Niemniej wcielone są do tej »Drugiej księgi o kościele«, owe dwa Dyalogi *De utraque specie Coenae* (dwa razy poprzednio już drukowane), z przydaniem trzeciego Dya-

hiszpański. Przekład niemiecki przez Wolfganga Wyssenburga (*„Von Verbesserung des gemeinen Nutz, V Bücher“*) wyszedł w r. 1557 w Bazylei, fol. — Tłómaczenie polskie, wyśmienicie dokonane przez Cypryana Bazylika (»O poprawie Rzeczypospolitej księgi czworo«), wyszło najpierw w Łosku roku 1577, folio, kart 144 (edycya dzisiaj niezmiernie rzadka); następnie w r. 1770 w Wilnie, 8vo, str. 576; nakoniec w roku 1857 w Przemyślu, 8vo, jako jeden z tomów »Biblioteki Polskiej« wydawanej przez Turowskiego*. — Na język hiszpański była tylko przełożona księga

---

logu w tejże materyi, nowo napisanego w roku 1555; tudzież *Disputatio de verbis divi Pauli* i t. d. Nakoniec zamyka to nowy traktat, w 1556 roku powstały, papieżowi Pawłowi IV dedykowany: *„De Ordinibus Ecclesiae“*. To tedy wszystko razem nazywa się tu *„Liber II De Ecclesia“*. Poczem zawierają się jeszcze w tomie II dwie obrony *(Defensio)*; jedna przeciw Hozyuszowi, chociaż go po nazwisku Frycz nie wymienia, z powodu jego Dyalogu, wydanego r. 1558 w Dylindzie pod tytułem: *„Dialogus de eo, num calicem laicis, et uxores sacerdotibus permitti, ac divina officia vulgari lingua peragi fas sit“*. (W tym dyalogu Hozyusz z wielkiem oburzeniem zaczepił był mniemania Frycza, rozwinięte w jego obydwóch dyalogach, pod jego niemal okiem niegdyś w Pradze pisanych. Z równą więc nieprzyjaźnią odpiera tu Hozyusza napaść i Modrzewski). Druga obrona ma napis: *Fricii Defensio eorum, quae antea scripsit de Concilio universorum etc.* Obydwie defenzye były napisane w r. 1558. Na tem się kończy tom drugi. W tomie III są pisma polityczne, po największej części już dawniej ogłoszone, jakoto: Najprzód *Appendix librorum de emendanda Republica* (to było pismo świeże, napisane wprawdzie jeszcze 1553 r., lecz nigdy przedtem niedrukowane); dalej wszystkie cztery mowy *De poena homicidii* (wydanie zatem drugie); potem *Oratio Philalethis* i *Oratio de legatis ad concilium christianum mittendis* (wydanie także powtórne); nakoniec trzy Listy (z których drugi, t. j. list Jana Justiniana z Padwy do Frycza, bardzo do biografii jego ważny); wreszcie *Index*.

* Przekład niemiecki Wyssenburga dokonany być musiał wedle edycyi pierwszej, t. j. krakowskiej; gdyż tyle tylko właśnie w sobie zawiera, co tamta, t. j. trzy pierwsze księgi.

Przekład polski Bazylika obejmuje więcej, gdyż ma i księgę piątą O Szkole. Ta jednakże nazywa się tu księgą czwartą; rzeczywista zaś czwarta księga (O Kościele) jest opuszczona. Oprócz tego dodano tu także z trzeciej edycyi łacińskiej »Przydatek *(Appendix)* do ksiąg o poprawie Rzeczypospolitej«. Najpierwszą tłómaczenia tego edycyę, z r. 1577, dobrze opisał M. Wiszniewski (obacz jego Historyi Literatury tom IX str. 338). Okazuje się z jego opisu, że dołączone były do tego dzieła przydatki i przedmowy kilku współczesnych różnowierców, mianowicie Wolana i Budnego, które mogły być ważne z osnowy swojej. Żałować należy, że w wydaniu Turowskiego wszystkie te dodatki zostały opuszczone.

trzecia „*De Bello*“, a to przez Jana Justiniana, Włocha. Egzemplarz tego ma się znajdować w wiedeńskiej bibliotece cesarskiej*. O tłómaczeniu francuskiem nie umiem podać bliższych szczegółów. Że jednak wydane było, to jest pewne**.

Wnosząc z ducha poprzednich pism politycznych Modrzewskiego, które były przeważnie opozycyjne i reformatorskie; wnosząc z tytułu »O naprawie Rzeczypospolitej«: sądziłby każdy, że i w tem dziele chodziło autorowi o przetworzenie istniejącego porządku rzeczy, o obalenie ustaw danych, o wykrycie samych słabości składu politycznego w Polsce, o idealny kształt republiki jakiejś, wymarzonej w murach szkoły na wzór Platona; słowem o przebudowanie tej Polski, która była, na coś zupełnie nowego. Bynajmniej jednak z tego stanowiska tu nie wychodzi autor. Chociaż filozof, reformator, idealista, był to zawsze Polak i to Polak swojego czasu. Dla niego Polska w porównaniu z innemi państwami była zawsze jeszcze idealnym porządku społecznego ustrojem. Zostawia też ją po największej części nietkniętą w jej formach z dawien dawna odziedziczonych; gdzieniegdzie tylko w wspaniałym tym gmachu porusza i radby wyjął cegiełkę, ażeby coś lepszego natomiast wsunąć. Zato żąda nalegliwie i wielkim głosem nastaje na to, ażeby instytucye tej pięknej politycznej budowy rzeczywiście miały moc i były należycie pełnione; żeby urzędy działały prawdziwie w duchu swego zaprowadzenia; ażeby wreszcie obyczaje były na wysokości ducha, który stworzył te instytucye.

---

* Wiadomość tę podał pierwszy Frisius (Bibl. Gesn. str. 43), a za nim Sandius i Ossoliński (Wiadom. Hist. kryt. tom IV, str. 120). Nie powiadają jednak, czy ten przekład hiszpański posiada bibl. wiedeńska tylko w rękopisie, czy też był on drukowany. Że księgę O wojnie rzeczywiście Jan Justinianus, uczony włoski zamieszkały w Padwie przełożył przed rokiem jeszcze 1555 na hiszpańskie, to wiadome i z jego listu do Frycza, który jest zamieszczony przy końcu wydania bazylejskiego z roku 1559. Powiada tam, że się zabrał do tej pracy dla Maksymiliana, króla czeskiego (syna cesarza Ferdynanda I).

** Wspomina o tem sam Modrzewski, i to w dwóch różnych dziełach (w *Narratio simplex rei novae*, i w przedmowie do trzeciej Sylwy). Nie powiada wprawdzie, któreto mianowicie dzieło jego było tłómaczone na różne języki, a między innymi i na francuski, ale z całego kontekstu jasno wynika, że mowa jest o dziele *De republica*. Nie pojmuję, jak Wiszniewski (w tomie IX, str. 33) mógł wzmiankę tę odnosić do Sylw. Jeżelić Frycz, pisząc dopiero Sylwy, już o przekładach mówi: to niepodobno, żeby te Sylwy już istniały w tłómaczeniach na różne europejskie języki.

W ogóle więc cały układ dzieła tego nie tyle jest krytyczny, opozycyjny, ile organiczny. Główne jego założenie ku temu zmierza, ażeby okazać, co to jest państwo porządnie zbudowane, i jakimi ono organami żywotność swoję wywiera. To teoretyczne znamię przeważa tu nadewszystko. Kreśląc kształt prawdziwej rzeczypowszechnej, tego ideału państwa, ma autor ciągle przed oczyma Polskę, w całym jej organizmie. Takowy opisuje, z niego głównie czerpie pomysły.

W samem już określeniu pojęcia państwa widać, że za wzorzec tego ideału, który poleca, uważa swoją ojczyznę. Przechodzi wszelkie formy rządowe, jakie kiedykolwiek były albo być mogą. Ocenia formę monarchiczną, arystokratyczną i demokratyczną. Każdy z tych kształtów ma wedle niego swoje niedogodności. Rozumne dopiero połączenie wszystkich trzech zasad zdolne jest zdaniem jego złożyć doskonałą budowę. »Taką dopiero, powiada, rzeczpospolitą za najlepszą mają, która sposób owych pierwszych trzech w sobie zamyka, gdzie królewska władza wszystko rządzi, osobom zacnym (*τοῖς ἀρίστοις*) celniejsze urzędy dawają, a wszystkim wolno zarówno dochodzić sławy, nad wszystkimi prawo jednę opiekę ma«...

Któż w tem określeniu nie widzi podobieństwa do jagiellońskiej Polski, a raczej istotnego jej wizerunku? Podobieństwo to pod względem ostatniego tylko orzeczenia chromie. Prawo nie miało niestety w Polsce w wieku XVI równej nad wszystkimi opieki. To też jest właśnie jeden z tych punktów, których naprawy najnaleglíwiej domaga się Frycz w dalszem dzieła rozwinięciu.

Książka zaczyna się od listu dedykacyjnego do króla Zygmunta Augusta. Zastępuje on przedmowę. Żałować trzeba, że w tłómaczeniu polskiem nie wiem dlaczego list ten jest opuszczony. Główna myśl autora zwięźle i dobitnie z toku pięknej tej dedykacyi przeziera. Zupełnie w duchu tradycyjnej polityki, zawsze przestrzeganej w narodzie naszym, odzywa się tu do króla autor w następujący sposób:

»Oczekujemy od ciebie, najmiłościwszy panie, żebyś rozszerzył to królestwo — nie przydaniem do niego nowych prowincyi i krajów, lecz zaprowadzeniem praw świątobliwych, trybunałów surowych, karności sfornej! Wielu na obce godząc, naraża berła swoje na niebezpieczeństwo: chciwość cudzego żądna, opętawszy raz zniewolony sobie umysł, żadną się nie nasyca zdobyczą: ale

niema szczęśliwości, jak tylko w mądrem przestawaniu na swojem. Nowe u nas imię Augusta (pomnożyciela) nosisz, przyczyńże tego królestwa nowym zwrotem, nową ozdobą. Najprzód okaż cnotliwy umysł przywiązaniem do nauk, z których jakby ze źródeł płyną mądrość i przewaga i prawa rozumne i rząd zbawienny; których owocem jest prawdziwa pomyślność. Dalej poczytaj sobie za najświętszą powinność zepsute obyczaje oczyścić, prawa niedołężne umocnić, upadłą karność podźwignąć; a nie dopuszczaj, ażeby przez twoję opieszałość mieli gotowy do nas przystęp postronni nieprzyjaciele, którym niecnoty, okrucieństwa, wewnętrzne wady i domowe zbrodnie otwierają zazwyczaj szerokie do kraju wrota«...

Już z tych słów kilku wynika, że Frycz upatrywał naprawę rzeczypospolitej przedewszystkiem w umocnieniu tej że tak powiem obyczajowej strony powszechnego pożycia. Więcej rygoru i poczucia obowiązku, więcej cnoty publicznej i prywatnej, więcej rozmiłowania w naukach, więcej sprawiedliwości w całym narodzie żądał, ażeby go podnieść na prawdziwą wysokość i siły na zewnątrz i szczęścia powszechnego w wewnętrznym granic obrębie. Na instytucye zaś polskie w ogóle bynajmniej nie powstaje. Niektórych tylko rozwolnień, nadużyć i zboczeń od pierwotnej tradycyi domaga się usunięcia. I w tych jedynie razach stawia pomysły nowe, którymi owe nadpsute i czasowi mniej odpowiednie ustawy mogłyby być zastąpione. Między innemi, bynajmniej nie zapomina i teraz o dowodzonej przez siebie tyle już razy dawniej konieczności zaprowadzenia kary śmierci na mężobójstwa, i to na podstawie zrównania pod tym względem wszystkich stanów ze sobą. Radzi dalej ustanowienie urzędu, któryby przypominał cenzorów rzymskich, a któregoby celem było powściągnąć zbytki, marnotrawstwo i takie przekroczenia niweczące pomyślność i powodzenie powszechne, których sądy i prawa niezdolne są dosięgnąć. Poleca również reformę sądów, i projektuje ustanowienie nieustającego trybunału czyli ławicy dziewięciu, na którejby zasiadali wysłańcy od wszystkich stanów, trzej z szlachty, trzej z duchowieństwa, trzej od stanu miejskiego, i w którejby sprawy doraźnie, sprawiedliwie, w krótkim czasie i bez apelacyi (wyjąwszy nadzwyczajne przypadki) były sądzone. Jako miejsca urzędowania ławicy tej najwłaściwsze, wskazuje Kraków lub Piotrków. Wnosi nakoniec, ażeby przypomnieć sobie o projekcie do instytucyi, którą czasu swego polecał już prymas Łaski, a po nim także Dzierzgowski, t. j.

o projekcie założenia stałego skarbu publicznego, mającego zaradzać potrzebom rzeczypospolitej w razie wojny i w innych nagłych wypadkach, i także (o ileby na to pozwalały stosunki) potrzebom osób prywatnych, a to przez wypożyczanie takowym sum, jakieby im były potrzebne, pod dostatecznem tychże zabezpieczeniem. Od tych sum pożyczonych płaciliby oni procenta i w ten sposób przyczynialiby się do wzrostu zasobów onego skarbu. Daje mu nazwę *Mons Pietatis*, Bank pobożności, a raczej biorąc wyraz w znaczeniu prawdziwie rzymskiem, Bank miłości (ojczyzny), zapewne przez wzgląd na początek jego powstania, a który w taki sposób projektuje, ażeby wszyscy, którzy czy to własność, czy urząd jaki po raz pierwszy otrzymują, wnosili całoroczny lub też półroczny dochód z tejże własności czy też urzędu do tego banku jako jednorazową wkładkę, a następnie rok rocznie przez całe życie płacili do niego część 20tą lub też 10tą (czego orzeczenie Frycz pozostawia ustawie) rocznych swoich dochodów. Pociąga do tego obowiązku wszystkich zamożnych, jakiegokolwiekby byli stanu, czy świeccy, czy duchowni, czy szlachta, czy mieszkańcy miast większych. Tylko wieśniaków, jako i bez tego już czynsze płacących panom swoim, tudzież ubóstwo ledwie żyć z czego mające, uwalnia od rzeczonego podatku.

Rady, projekta i napomnienia Modrzewskiego pozostały po największej części przez ówczesne społeczeństwo nieuwzględnione. Miała się z niemi rzecz, jak później z Reformacyą obyczajów Starowolskiego, i z tylu innemi pismami w przedmiocie polityki, które w czasach swoich nazwać było można głosem wołających na puszczy. Były to tylko piękne teorye na papierze, które ten i ów może czytał z pochwałą, ale przy zastosowaniu przysłowia: *video proboque meliora, deteriora sequor...* Z tem wszystkiem mylilibyśmy się jednak, gdybyśmy rozumieli, że nic zgoła z rad przez Modrzewskiego podanych nie weszło w życie praktyczne. Oczywiście, zupełnego zrealizowania myśli Frycza, w ten sposób, jak je z teorycznego swego punktu widzenia podawał, nie znajdziemy w późniejszych instytucyach. Ale *mutatis mutandis*, niektóre propozycye jego zostały jednak urzeczywistnione. Przynajmniej posłużyły oneto właśnie za pobudkę do wprowadzenia w życie tej albo owej ustawy w takimże duchu. I tak, zdaje mi się, że nie jest bez analogii z Frycza projektem ustanowienie, w r. 1562 przez Zygmunta Augusta do skutku doprowadzone, ażeby ze wszystkich

dóbr królewskich, tak starościńskich jak i ekonomicznych, płacona była na utrzymanie wojska tak zwana kwarta, t. j. czwarta część całorocznego dochodu, z tem zastrzeżeniem, że starości i inni beneficyanci świeżo posiadłością swoją udarowani, przez rok pierwszy wnosić byli obowiązani poczwórną kwartę, czyli cały dochód roczny. Nie była to zupełnie myśl, jaką poddawał Modrzewski. On chciał ofiary od narodu, od całego narodu. Lecz skoro naród głucho przyjął ono żądanie, więc król potrzebę takiej instytucyi zrozumiał i ze swoich dóbr przychylił się do zadośćuczynienia takowej. — Również upatruję podobne pokrewieństwo pomiędzy projektowaną przez autora naszego ławicą sędziów, a ustanowionym za Stefana Batorego Trybunałem koronnym, a następnie też i litewskim. Pierwszy przyszedł do skutku w r. 1578, drugi 1581. Główne warunki są niemal tesame i w propozycyi Frycza i w instytucyi Batorego. Tylko udział reprezentantów stanu miejskiego w rzeczonych trybunałach pozostał na kilka jeszcze wieków marzeniem... Żądana wreszcie przez Modrzewskiego zamiana głowszczyzny na karę śmierci, za wszelkie mężobójstwa, choćby dokonane na kmieciach, weszła na Litwie w życie już na mocy trzeciego litewskiego statuta (1588); w Koronie ujrzały ją dopiero czasy Stanisława Augusta (1768), jak to wyżej już powiedziałem.

W wskazanym powyżej duchu napisane są trzy pierwsze księgi dzieła *De Republica emendanda*, to jest księgi: o Obyczajach, o Prawach i o Wojnie, wydane razem w Krakowie (1551) i stanowiące ściślejszą całość. Pozostaje mi jeszcze dać czytelnikom moim wyobrażenie o księdze O kościele, toż O Szkole, które wskutek zakazu ze strony cenzury duchownej, dopiero w drugiem dzieła tego wydaniu (1554), za granicą, wyszły na widok publiczny.

Pierwej jednak nadmienić muszę, że pomiędzy czasem edycyi pierwszej a drugiej zaszło zdarzenie, które Modrzewskiego do ogłoszenia tej części dzieła ośmieliło i zdaniem jego upoważniało. W roku 1552 czy też 1553 zostało z ramienia sejmu wyznaczone poselstwo, udać się mające w imieniu Kościoła i narodu polskiego na koncylium trydenckie. Koncylium ono w latach owych i poprzednich to się rwało, to znowu poczynało obrady swoje, i to po kilka razy; ciągle bowiem czynnościom jego stawały w drodze nieprzełamane jakieś przeszkody, a to ze strony państw różnych, które w niem miały wziąć udział, a nie zawsze były zadowolone z okoliczności, pod jakiemi się koncylium zbierało. Po dwukrotnem tedy począwszy

od r. 1545 rozpoczynaniu nadaremnem obrad swoich, miało się koncylium trydenckie w roku 1553 zebrać na nowo; po raz pierwszy miała być na niem reprezentowaną i Polska. Zupełnie w myśl Modrzewskiego, którą był rzucił jeszcze w pisemku swojem *De legatis ad concilium mittendis* (1546), poselstwo polskie owego roku miało być złożone nie z samych tylko osób duchownych, ale i świeckich. Składali je: Jan Drohojowski biskup kujawski, Jakób Uchański, naówczas biskup chełmski, i Stanisław Tenczyński kasztelan lwowski. Tym trzem, przez stany sejmujące obranym, przydał z ramienia swego król Zygmunt August jeszcze czwartego, mającego im towarzyszyć w charakterze sekretarza. Sekretarzem tym miał być Modrzewski. Do skutku wyjazd tego poselstwa wprawdzie nie przyszedł, z przyczyny, że i w tym czasie znowu nie mogło się zebrać koncylium. Chwilowo jednak zdawało się Modrzewskiemu, że nadana ta jemu funkcya upoważnia go do ogłoszenia dzieła swego »O kościele«. Co się przedtem wydawać mogło nieuzasadnionem wdzieraniem świeckiego człowieka w sprawy do niego nienależące, miało teraz pozór czegoś, co wynikało z natury rzeczy. Jako bowiem sekretarz zejść się niebawem mającej rady, Frycz przygotowuje tu niejako zawczasu akta do tej wielkiej sprawy, nad którą radzić miano, a to poruszając, zestawiając, rozpatrując wszystkie pytania i wszystkie okoliczności przy ferowaniu decyzyi mieć jakąś ważność mogące, ażeby polscy członkowie soboru w każdej kwestyi znaleźli że tak powiem materyał już gotowy.

Z tego stanowiska też napisana jest cała księga. Frycz rozwija w niej pomysły — nie jakby Kościół urządzony być powinien (choć z góry stawia jako pewnik, że reformy on potrzebuje), lecz raczej jak się do koncylium powszechnego zabrać należy, którego dopiero zadaniem będzie przekształcić Kościół, gdzie tego będzie potrzeba. Przytem podnosi także niektóre kwestye otwarte, tak z obrębu dogmatów, jako i dyscypliny kościelnej, przez różne stronnictwa religijne odmiennie pojmowane, i stawia je jako szczególne przedmioty obrad przyszłego synodu. Stara się zebrać i przy świetle pisma św. toż dzieł ojców Kościoła ocenić, co tylko za albo przeciw w tych pytaniach już było wyrzeczonem; i następnie w tym stanie przedkłada je soborowi do rozolucyi. Mówi o nich ani jako katolik ani jako niekatolik; sądzi je z największą bezstronnością; po największej części sam nie rozstrzyga niczego i wypowiada zdanie swoje w formie tylko pytania,

mniemania, rady, której nikomu się nie narzuca i do której nikogo się nie zniewala. W dwóch tylko punktach przemawia śmielej i z tem przekonaniem, że niema tu już dłużej nad czem szeroko rozprawiać. Są to kwestye co do bezżeństwa księży i co do komunii św. w obu postaciach. Tu Frycz staje się namiętniejszym, tu opinie przeciwne gromi, tu rozwija myśli swoje w formie doraźnych twierdzeń.

Księga piąta *De Schola* (O szkole) jest krótka. Najwięcej w niej opozycyi przeciwko duchowieństwu, mianowicie przeciw najwyższym w kraju wyobrazicielom Kościoła. W rozbiór właściwych rzeczy szkolnych prawie wcale nie wdaje się tu Modrzewski. Pomija wszelkie pytania fachowe i w tej mierze odsyła czytelnika do dzieła wydanego współcześnie przez Szymona Maryckiego *De Scholis* (1551), chociaż mówiąc nawiasem, i to pismo bynajmniej nie wyczerpywało przedmiotu. Natomiast z całym przyciskiem wykazuje Frycz potrzebę lepszego opatrzenia funduszów szkolnych, które sobie prałaci i biskupi, hołdując po największej części próżnowaniu, nieuctwu i marnotrawstwu, na swoję wyłączną korzyść przywłaszczyli. Boć przodkowie nasi, powiada, nie szczędzili nadań i dobrodziejstw tylko w tym celu, żeby ludzie uczeni i szkoły opatrzone były dostatnio i przyzwoicie. Ludźmi uczonymi i nauczycielami byli wtedy duchowni. W ich ręce przeto wszystkie te skarby zostały złożone. Z czasem wycofali się prałaci i zwierzchnicy hierarchii od wszelkiego z naukami wspólnictwa. Pozostali przy samym tylko kościele, a szkoły i nauki zdali na innych. Dostatki jednak i majętności wyłącznie zatrzymali dla siebie, ci zaś cierpią teraz niedostatek, a nawet i nędzę...

Zaraz po tem ogłoszeniu drukiem ksiąg o Kościele i o szkole w zupełnej dzieła *De Republ. emendanda* edycyi, zwaliły się na Frycza różne przykrości. Zaczepiona przezeń hierarchia nie przepuściła mu tego płazem, że w wielu miejscach jego dzieła były wyrażenia nieostrożne, mniemania niekatolickie, choć się sam autor niby za katolika uważał i jako taki przemawiał. Wystawiono go przed papieżem jako heretyka. Wytykano, że żądał ażeby o rzeczach wiary, na koncylium, świeccy pospołu z duchownymi rozstrzygali; że wszelkie sekty i herezye uważał nie po za obrębem prawdziwego kościoła, lecz jeszcze w jego niejako łonie; że je nazywał wobec stolicy rzymskiej stronami *(partes)*; że choć z czcią największą mówi np. o św. Augustynie, to z drugiej strony i Me-

lanchtona nazywał »mężem wielkiej sławy i rozgłośnego imienia«, a o Kalwinie się wyraził *„vir summus et singularis“* (człowiek wielki i znakomity); że za powszechny sobor poczytywał tylko taki zjazd wszystkich kościołów, w którymby byli reprezentowani i Grecy schizmatycy i wszelkie odcienie wschodniego chrześcijaństwa, i nawet sekty z reform luterskich wynikłe, albowiem sam Kościół rzymski nie jest mu jeszcze katolickim czyli powszechnym Kościołem; że stawiał sobor nad papieżem i żądał, ażeby pod uchwały tegoż poddał się papież, jakokolwiek one wypadną itd. itd. Nie uwzględniano, że Modrzewski to wszystko był wyrzekł jako mniemania, które koncylium, kiedy się zbierze, albo zatwierdzi albo odrzuci. Nie zasłaniał go też już wtedy charakter sekretarza poselstwa na koncylium trydenckie, albowiem jak się już powiedziało, rzecz ta cała spełzła i tym razem na niczem. Do zebrania się jego ani w r. 1553 ani w najbliższych latach następnych nie przyszło. Panowie owi do uczestnictwa w niem obrani, zostali przeto w domu, i jak się później okazało, nie mieli nawet i później wziąć w tym synodzie udziału. Poruszone przez rozbiór Modrzewskiego namiętności różnych odcieni konfesyjnych, zaczęły obracać się teraz przeciwko niemu. Pełno było przymówek, pisemek, broszur ulotnych, słowem i piśmiennych i osobiście czuć się dających przykrości, które mu się dawały w znaki*.

Najdotkliwszą jednakże była dla niego niechęć, jakiej doznał wtedy ze strony samejże głowy Kościoła. Papież naówczas panujący Paweł IV umieścił za wydanie owej księgi o Kościele imię Frycza na liście heretyków, dzieło jego położono w indeksie ksiąg zakazanych, nadto nastąpiły jeszcze ze strony Rzymu i takie kroki, które zagroziły nawet materyalnej egzystencyi autora naszego. Egzystencya ta w owych czasach w znacznej części zawisła była od hierarchii. Właśnie bowiem w owym czasie, kiedy się Frycz do wydania tej księgi zabierał, tj. w r. 1553, objął on był po ojcu swoim owo wójtostwo wolborskie, którego objęcie w spadku poniekąd zależało od woli biskupa kujawskiego jako pana Wolborza.

* *„Multi me allatrant, mordent, pestem mihi ac perniciem machinantur; vocor ab aliis haereticus, ab aliis haeresiarcha; consuetudo mea quibusdam bonis viris nominatim est interdicta; fraudes struuntur nefariae in fortunas et caput meum; haecque omnia propter librum De Ecclesia“.* Tak się skarżył na dolę swoją Modrzewski przed hetmanem J. Tarnowskim w liście, który poprzedza jego »Drugą księgę o kościele«.

Zdaje się, że stało się to wskutek zgonu jego ojca, który zajść musiał w tym czasie. Zatrzymując więc Frycz nasz i nadal charakter sekretarza królewskiego i pełniąc od czasu do czasu przywiązane do funkcyi tej obowiązki, przyjął równocześnie i ów drugi urząd w Wolborzu i przeniósł się do tego miasta. Zatwierdził go na tej posadzie ówczesny biskup kujawski, Jan Drohojowski, tensam, z którym miał był posłować do Trydentu. Drohojowski był to człowiek w rzeczach wiary patrzący na wszystko z szczególnem pobłażaniem. Pobłażanie to płynęło u niego z indyferentyzmu, który nie był nieznany w Rzymie i zachodziły nawet z tego powodu od czasu do czasu upomnienia, już to wprost do niego, już do króla zwrócone, ze strony kilku papieży następujących po sobie. Modrzewski miał z nim i z resztą jego familii dawną zażyłość. Do biskupa miał przystęp codzienny. Z bratem zaś jego Stanisławem Drohojowskim, starostą wolborskim, kolegował jako sekretarz królewski i takie miał u niego zachowanie, że mu (mimo różnicy położenia towarzyskiego) nawet syna Jana do chrztu podawał*. Zbliżało ich też do siebie i podobieństwo wyobrażeń w zakresie wiary; wręcz bowiem wspomina Paprocki o tymże bracie biskupim, że był *„alienus a fide catholica“*.

Otoż ta przyjaźń Frycza z biskupem, to zajmowanie przez heretyka urzędowej posady w mieście nie tylko katolickiem, ale jeszcze kościelnem, wywołało wielkie nieukontentowanie w papieżu Pawle IV. Było to w roku 1556. Zaraz w pierwszych miesiącach rzeczonego roku, był Drohojowski razem z Fryczem wysłany przez króla w poselstwie do Brunświku. Odprowadzali królewnę Zofię Jagielonkę, siostrę Zygmunta Augusta, co tylko zaślubioną książęciu Henrykowi brunświckiemu, na miejsce jej przeznaczenia. Modrzewski towarzyszył księżnej w tej podróży w charakterze jej kanclerza, Drohojowski jako głowa całego weselnego orszaku. Za powrotem do domu, który przypadł na miesiąc marzec, po kilku tygodniach doznał Modrzewski ze strony Drohojowskiego takiego obejścia się, do jakiego nie był przyzwyczajony. Przyszedł pewnego poranku do biskupiego pałacu, chcąc się widzieć z biskupem; ale mu odpowiedziano przez sługę, że go biskup przyjąć nie może i że jest jego życzeniem, ażeby się wcale odtąd z nim nie widywał. Na za-

* Było to przed r. 1554, jak się okazuje ze wzmianki o tem w pewnem dziele Modrzewskiego.

pytanie: dlaczego? — nie umiano mu nic więcej powiedzieć, jak tylko że taka jest wola biskupa. Ze łzami w oczach, jak sam powiada, wyszedł z pałacu zawstydzony i nadaremnie sobie głowę łamiąc, czem takiem mógł obrazić Drohojowskiego. Dopiero w kilka dni później jakiś przyjaciel wyjaśnił mu, co zaszło. Biskup otrzymał surowy list od papieża. Wyrzucano mu, że proteguje kacerzy, którzy wyznają, uczą i piszą doktryny bezbożne, dla prawdziwych katolików pełne zgorszenia, a jedność kościoła rozrywające; że się z nimi wozi po poselstwach publicznych i że ich cierpi na urzędach w własnych swych dobrach; że ich wynagradza pensyami i posługuje się ich pomocą we wszystkich swych interesach i t. d. Nazwisko Frycza nie było wprawdzie w liście wyraźnie wymienione, ale nie podlegało wątpliwości, o kim mówiono. Dlatego biskup widzi się więc zmuszonym do zerwania z nim stosunków, które go narażają na takie nieprzyjemności... Nie dość na tem, po upływie jakiegoś czasu przestrzeżono Frycza poufnie, że są tacy, którzy podjęli dalsze zabiegi przeciwko niemu, w celu nie tylko ogołocenia go z fortuny, ale nawet zagrażające i jego życiu: żeby więc był przygotowany na gwałt jawny, który go spotkać może*...

Wtedyto ujrzał się autor nasz zmuszonym opuścić dom i rodzinę i szukać przytułku po domach obcych, pod opieką ludzi możnych, którzy go zaszczycali przyjaźnią. Od początku miesiąca sierpnia (1556) widzimy go przesiadującego przez całą drugą połowę roku owego po różnych miejscach. W końcu rzeczonego miesiąca bawił we wsi jakiejś, którą nazywa po łacinie *Fabrilium* (Cieśle?). Tu skończył dzieło swoje *De ordinibus Ecclesiae*, przypisane zagniewanemu na niego papieżowi; stąd też datował obszerną do niego przedmowę, w której do Ojca św. przemawia swobodnie, śmiało, prawie powiedziałbym zuchwale. Miesiąc wrzesień spędził w Wiewiórce, w gościnie u hetmana Tarnowskiego, który szczególniej zajął się wtedy jego losem**. W końcu października przebywał w Osiecznie czy Osieku *(„in arce oseciensi“)*. Dopiero pod sam

---

* Obacz dedykacyę Pawłowi IV pisma Modrzewskiego *De ordinibus Ecclesiae*.

** Na czele Księgi drugiej o Kościele (wydanej nieco później, w r. 1559) pisze w liście dedykacyjnym do J. Tarnowskiego: *„Tu mihi in duris temporibus meis humanissime hospitium praebuisti, semperque benignissime fecisti, ac tuam benevolentiam in me tutando prolixe praestitisti“*. Data tego listu z Wiewiórki, w wrześniu 1556.

koniec roku 1556 czy też z początkiem następnego, odważył się wrócić wreszcie do domu. Przyjaźń z Drohojowskim zawiązała się na nowo. Obawa przed niełaską papieską została uchylona, nie tyle zapewne dziełem owem Frycza *De ordinibus Ecclesiae*, które jak sądzę, w rękopisie zostało posłane Pawłowi IV zaraz po napisaniu*, ile listem Drohojowskiego, w którym się tenże przed stolicą apostolską z zarzutów co do towarzystwa z Fryczem usprawiedliwił i do pewnego stopnia oczyścił**. Zresztą w tymże roku 1557 biskup ten zakończył życie. Modrzewski przez czas choroby jego prawie nie odstępował od jego łoża. Jego też modlitwom biskup przy skonaniu swojem polecał się przedewszystkiem i do ostatniego tchnienia swojego nie dozwalał mu oddalać się od siebie***.

Po Drohojowskim nastąpił na biskupstwie kujawskiem Jakób Uchański. Ten był ściślejszym może jeszcze przyjacielem i zwolennikiem Frycza, aniżeli biskup poprzedni. Znajomość ich datowała się z czasów młodości. To też o ponownych przykrościach dla niego ze strony biskupiego pałacu nie mogło być ani mowy przez cały ten czas, dopóki Uchański z kujawskiej katedry nie postąpił na arcybiskupstwo gnieźnieńskie (1562).

Wśród takich okoliczności dziwić się temu nie można, że dalsze życie Modrzewskiego poświęcone było przedewszystkiem rozbiorowi różnych kwestyi religijnych, w tej dążności, w jakiej napisane były jego dzieła poprzednie. Odrywały go wprawdzie od tej literackiej czynności różne inne zajęcia, zajęcia około roli, trudy wynikające z jego wójtowskiego urzędu, niemniej i obowiązki, do których się często poczuwać musiał jako sekretarz królewski. W tym względzie nie było roku, w którymby czy to przez czas sejmu nie był musiał funkcyonować przy boku Zygmunta Augusta (a sejmy za jego panowania, jak wiadomo, były niemal coroczne), czy też przed zgromadzeniem się stanów nie był użyty do jakiej podróży

---

* Pismo to wyszło z druku dopiero r. 1559 (w drugiem bazylejskiem wydaniu dzieła *De Republ. emend.*). Był to rok właśnie śmierci papieża Pawła IV. Wątpię przeto, żeby był mógł Paweł IV widzieć jeszcze onę publikacyę. Że zaś Frycz wyraźnie wspomina (w dedykacyi Sylwy III), że owem pismem ułagodził gniew Ojca św. na się, więc chyba musiał posłać jemu takowe w rękopisie.

** List ten Drohojowskiego do papieża czytać można w *Schelhorna Ergötzlichkeiten aus der Kirchenhistorie und Literatur*, T. I, str. 674.

*** O tem mówi Modrzewski w pisemku swojem p. t. „*Orichovius*“.

w sprawach publicznych. O ile jednak kłopoty gospodarskie, sądy miejskie, posługi około rzeczypospolitej pozostawiały mu nieco wolnego czasu, o tyle wracał ciągle do usiłowań, które uważał za najnaglejsze, za najważniejsze i za najwdzięczniejsze, a takiemi były w jego oczach traktaty teologiczne w spornych kwestyach. Nie tylko sam chętnie zasiadał do pisania takowych, lecz nawet i drugich do tego nakłaniał. Tak n. p. wyrzucał Orzechowskiemu w r. 1556, że zamiast przyczynić się do wyjaśnienia prawdy w zakresie zagadnień, które ze wszystkich, jakie tylko być mogą, są największej wagi, zajmuje się raczej historyą*. Było to dziwne złudzenie! My dziś z ubolewaniem patrzymy na to, że taka zdolność, taka pracowitość, taka sumienność w obrabianiu przedmiotów naukowych marnowała się w znacznej części na robotach, które ani narodowi ani Kościołowi nie poszły na pożytek. Wchodząc jednakże w ówczesne okoliczności i intencye, jakie Fryczem powodowały, przyznać przynajmniej tyle należy, że nawet w razach, gdzie się zabierał do analizy subtelności teologicznych, żadnego zastosowania w praktyce mieć nie mogących i prawie trącących scholastycyzmem, był on jednak wyższy umysłem nad niejednę osobistość, którą wiek XVI sławił jako znakomitość pierwszego rzędu. Albowiem przystępował on do nich z całą świadomością, że to kwestye niepotrzebnie poruszane. Polecał ciągle wszystkim różnowiercom pojednanie między sobą i zgodę. Od wikłania się w zbytecznych subtelnościach teologicznych odradzając, wzywał zbory i sekty dysydenckie, ażeby raczej w pokoju i jedności praktykowały jasne wszystkim nauki i prawdy ewanieliczne. Wiedział on, że pytania owe, które tyle wtedy w materyi wiary sprawiały wrzawy pomiędzy różnemi stronnictwami religijnemi, pozostaną po większej części rzeczą na zawsze niedocieczoną dla rozumu ludzkiego. Skoro jednak zostały już wytoczone i poddane pod rozsądek znawców owej nauki, a przez każdego były odmiennie rozwięzywane, uważał sobie za obowiązek przyczynić się i ze swej strony

---

* „*Scio te historiam texere rerum nostratium. Verum sepone studia omnia in tempus aliud. Hoc, quod nunc est maximum, maxime necessarium, tracta*“. Tak pisał, poświęcając Orzechowskiemu traktat *De modo transsubstantiandi panis et vini*. Data ta i skądinąd jest ważna. Dowiadujemy się tu bowiem, że więc w r. 1556 pisał Orzechowski swoje *Annales*. Do wydania takowych przyszło dopiero znacznie później, po śmierci autora.

do sprowadzenia wszelkich zdań o tem — że się tak wyrażę, do jednego mianownika. Jako sam nie należał do żadnej sekty, nie poddawał wyobrażeń swoich pod przymus żadnej wypowiedzianej barwy konfesyjnej, a górował nad wszystkimi nauką i co więcej jeszcze znaczyło, przedmiotowością stanowiska swojego, daleką od wszelkiej namiętności: tak też mógł się spodziewać, że jeśli kto, to on stać się może rozjemcą i pośrednikiem pomiędzy tymi zwaśnionymi, którzy w mniemaniach swoich zależeli od tysiącznych okoliczności ubocznych, zewnętrznych i nieraz czysto osobistych. Podejmował tedy kwestye szczególniej rozdwajające akatolików polskich pomiędzy sobą i takowe w sposób literacki, teoryczny rozbierał, zbliżał do siebie, godził, zestawiając dowody za i przeciw, traktowane bezstronnie i umiejętnie.

W takito sposób powstało wiele pism Modrzewskiego specyalnie teologicznych, których wykonanie przypada na lata między rokiem 1554 a 1562. Wcześniejsze z nich wydane zostały w r. 1559 pod napisem: *Liber II de Ecclesia*, a to w edycyi dzieła *De Republ. emend.* w ogóle trzeciej, czyli powtórnej bazylejskiej (z owego roku). Zapełniają traktaty te cały tom drugi rzeczonego wydania. Te zaś prace jego, które napisane zostały po roku 1559, wyszły z druku pod następującym tytułem:

Andr. Fr. Modrevii Libri Tres, quorum primus de peccato originis, secundus de libero hominis arbitrio, tertius de providentia et praedestinatione Dei aeterna. Ejusdem de Mediatore libri tres. Accessit Narratio i t. d. Anno 1562, w formacie ćwiartkowym, bez oznaczenia miejsca druku (zapewne w Pinczowie), stron 200, 84 i 152, w osobnych paginacyach*.

Krótko przed ogłoszeniem tego dzieła i właśnie w czasie, kiedy Modrzewski w traktacie *De Mediatore* roztrząsał spór między Stankarem a resztą sekt akatolickich z wielką wrzawą prowadzony, azali Chrystus, będący pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi, i obydwie natury w sobie łączący, boską i ludzką, jest takim po-

---

* Pismo pod tytułem *Narratio* i t. d. wyszło tu już w powtórnem wydaniu, jak się to zaraz opowie. Takowe ma paginacyę o tyle zbałamuconą, że obejmuje stron nibyto 152, ale się poczyna od strony 107, poprzedzających zaś 106 stronic niema tu wcale. Nie wiem, jak sobie to wytłómaczyć. Księgi *De Mediatore* zapełniają stron 84. Poprzedzające je zaś trzy traktaty „*De peccato originis*“ i t. d. mają osobno liczonych stron razem 200. — Powtórne tej publikacyi wydanie wyszło częściowo podobno w Bazylei r. 1613 i 1617, 8-vo.

średnikiem jako Bóg, czy jako człowiek?... nawiedził Wolborz Stanisław Orzechowski, dawny przyjaciel autora naszego, i miał z nim owo sławne zajście, które tak jednego, jak i drugiego spowodowało do pism przeciwko sobie, napiętnowanych najwyższą namiętnością i nieprzyjaźnią wzajemną. Rzecz się zdarzyła w roku 1561 i miała się, jak następuje.

W miesiącu marcu roku owego wrócił biskup Uchański z co tylko odbytego synodu warszawskiego do Wolborza i przywiózł z sobą Orzechowskiego, który na synodzie tym był także obecny i występował na nim z znaną swoją mową *Pro dignitate sacerdotali*. Był wtedy Orzechowski właśnie w najwyższym rozpędzie żarliwości swojej więcej niż papistycznej. Nie przeszkadzała jej okoliczność, że lubo był księdzem rzymsko-katolickim, pojął był żonę i że jako odszczepieniec zamieszczony był na indeksie z rozkazu stolicy apostolskiej. W rzeczonej mowie z takim ogniem uderzył na Stankara i Lismanina, że ich herezye w puch rozbił i rozproszył na wszystkie wiatry. Szkoda tylko, że ani jeden ani drugi nie był obecny owemu jego tryumfowi nad nimi! Uchański na wyjezdnem do domu, zaprosił go do siebie. Życzył sobie, ażeby Orzechowski podysputował trochę z Fryczem — czy to że lubił takie dysputy, czy też że chciał wypróbować nieco tęgość argumentów tego zapaśnika wiary o hart... logiki Modrzewskiego. Jakoż Orzechowski przyjął chętnie zaproszenie biskupa i przybył z nim do Wolborza. Zaraz na drugi dzień poczęły się rozprawy pomiędzy Modrzewskim a owym gościem, w samej tylko przytomności gospodarza domu. Rozprawy te trwały cztery dni. Dotyczyły rozlicznych punktów stojących wtedy niejako na porządku dziennym kontrowers religijnych między różnemi sektami. Prowadzone były z wielkiem jak na Orzechowskiego umiarkowaniem — wśród oznak serdecznej przyjaźni, przy ciągłych wynurzaniach szczególnego poważania, z jakiem się oświadczał Orzechowski dla Frycza już po odbytej każdodziennej dyspucie — ściskając, całując go przy obiedzie, w obec licznych biesiadników zasiadających do stołu biskupiego. Serdeczność ta zdawała się być szczerą. Miała być tem rzetelniejsza, że się gruntowała na dawnej zażyłości pomiędzy nimi. Znali się bowiem od młodości; nieraz już i dawniej rozprawiali ze sobą o rzeczach teologicznych, co nawet w razie odmiennych o tem lub owem mniemań, bynajmniej nie osłabiało życzliwości jednego dla drugiego. Zobowiązywały ich też względem siebie małe przysługi,

do sprowadzenia wszelkich zdań o tem — że się tak wyrażę, do jednego mianownika. Jako sam nie należał do żadnej sekty, nie poddawał wyobrażeń swoich pod przymus żadnej wypowiedzianej barwy konfesyjnej, a górował nad wszystkimi nauką i co więcej jeszcze znaczyło, przedmiotowością stanowiska swojego, daleką od wszelkiej namiętności: tak też mógł się spodziewać, że jeśli kto, to on stać się może rozjemcą i pośrednikiem pomiędzy tymi zwaśnionymi, którzy w mniemaniach swoich zależeli od tysiącznych okoliczności ubocznych, zewnętrznych i nieraz czysto osobistych. Podejmował tedy kwestye szczególniej rozdwajające akatolików polskich pomiędzy sobą i takowe w sposób literacki, teoryczny rozbierał, zbliżał do siebie, godził, zestawiając dowody za i przeciw, traktowane bezstronnie i umiejętnie.

W takito sposób powstało wiele pism Modrzewskiego specyalnie teologicznych, których wykonanie przypada na lata między rokiem 1554 a 1562. Wcześniejsze z nich wydane zostały w r. 1559 pod napisem: *Liber II de Ecclesia*, a to w edycyi dzieła *De Republ. emend.* w ogóle trzeciej, czyli powtórnej bazylejskiej (z owego roku). Zapełniają traktaty te cały tom drugi rzeczonego wydania. Te zaś prace jego, które napisane zostały po roku 1559, wyszły z druku pod następującym tytułem:

Andr. Fr. Modrevii Libri Tres, quorum primus de peccato originis, secundus de libero hominis arbitrio, tertius de providentia et praedestinatione Dei aeterna. Ejusdem de Mediatore libri tres. Accessit Narratio i t. d. Anno 1562, w formacie ćwiartkowym, bez oznaczenia miejsca druku (zapewne w Pinczowie), stron 200, 84 i 152, w osobnych paginacyach*.

Krótko przed ogłoszeniem tego dzieła i właśnie w czasie, kiedy Modrzewski w traktacie *De Mediatore* roztrząsał spór między Stankarem a resztą sekt akatolickich z wielką wrzawą prowadzony, azali Chrystus, będący pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi, i obydwie natury w sobie łączący, boską i ludzką, jest takim po-

---

* Pismo pod tytułem *Narratio* i t. d. wyszło tu już w powtórnem wydaniu, jak się to zaraz opowie. Takowe ma paginacyę o tyle zbałamuconą, że obejmuje stron nibyto 152, ale się poczyna od strony 107, poprzedzających zaś 106 stronic niema tu wcale. Nie wiem, jak sobie to wytłómaczyć. Księgi *De Mediatore* zapełniają stron 84. Poprzedzające je zaś trzy traktaty „*De peccato originis*“ i t. d. mają osobno liczonych stron razem 200. — Powtórne tej publikacyi wydanie wyszło częściowo podobno w Bazylei r. 1613 i 1617, 8-vo.

średnikiem jako Bóg, czy jako człowiek?... nawiedził Wolborz Stanisław Orzechowski, dawny przyjaciel autora naszego, i miał z nim owo sławne zajście, które tak jednego, jak i drugiego spowodowało do pism przeciwko sobie, napiętnowanych najwyższą namiętnością i nieprzyjaźnią wzajemną. Rzecz się zdarzyła w roku 1561 i miała się, jak następuje.

W miesiącu marcu roku owego wrócił biskup Uchański z co tylko odbytego synodu warszawskiego do Wolborza i przywiózł z sobą Orzechowskiego, który na synodzie tym był także obecny i występował na nim z znaną swoją mową *Pro dignitate sacerdotali*. Był wtedy Orzechowski właśnie w najwyższym rozpędzie żarliwości swojej więcej niż papistycznej. Nie przeszkadzała jej okoliczność, że lubo był księdzem rzymsko-katolickim, pojął był żonę i że jako odszczepieniec zamieszczony był na indeksie z rozkazu stolicy apostolskiej. W rzeczonej mowie z takim ogniem uderzył na Stankara i Lismanina, że ich herezye w puch rozbił i rozproszył na wszystkie wiatry. Szkoda tylko, że ani jeden ani drugi nie był obecny owemu jego tryumfowi nad nimi! Uchański na wyjezdnem do domu, zaprosił go do siebie. Życzył sobie, ażeby Orzechowski podysputował trochę z Fryczem — czy to że lubił takie dysputy, czy też że chciał wypróbować nieco tęgość argumentów tego zapaśnika wiary o hart... logiki Modrzewskiego. Jakoż Orzechowski przyjął chętnie zaproszenie biskupa i przybył z nim do Wolborza. Zaraz na drugi dzień poczęły się rozprawy pomiędzy Modrzewskim a owym gościem, w samej tylko przytomności gospodarza domu. Rozprawy te trwały cztery dni. Dotyczyły rozlicznych punktów stojących wtedy niejako na porządku dziennym kontrowers religijnych między różnemi sektami. Prowadzone były z wielkiem jak na Orzechowskiego umiarkowaniem — wśród oznak serdecznej przyjaźni, przy ciągłych wynurzaniach szczególnego poważania, z jakiem się oświadczał Orzechowski dla Frycza już po odbytej każdodziennej dyspucie — ściskając, całując go przy obiedzie, w obec licznych biesiadników zasiadających do stołu biskupiego. Serdeczność ta zdawała się być szczerą. Miała być tem rzetelniejsza, że się gruntowała na dawnej zażyłości pomiędzy nimi. Znali się bowiem od młodości; nieraz już i dawniej rozprawiali ze sobą o rzeczach teologicznych, co nawet w razie odmiennych o tem lub owem mniemań, bynajmniej nie osłabiało życzliwości jednego dla drugiego. Zobowiązywały ich też względem siebie małe przysługi,

do domu, nie czekając obiadu. Po jego odejściu, Orzechowski zjawił się między gośćmi, ale był już czegoś zwarzony, i pod wieczór — ulotnił się z Wolborza.

Ponieważ rzecz się wydarzyła publicznie, a nawet urzędownie, zostawszy do akt grodzkich zaniesioną, uważał Frycz za potrzebne i ze swej strony podnieść skargę o tę krzywdę swoję wszem wobec. Opisał tedy całe owo zdarzenie, jak było i ze wszystkimi dokumentami, i wydał to pod tytułem:

And. Fricii Modrevii Narratio simplex rei novae et pessimi exempli, simul et querela de injuriis, et expostulatio cum Stanislao Orichovio Roxolano. Pinczoviae 1561, małe 8vo, kart nieliczbowanych 44.

Orzechowski na pisemko to odpowiedział, ale dopiero r. 1562, w sam czas zebrać się mającego sejmu w Piotrkowie, na którym wiedział że i Modrzewski jako sekretarz królewski będzie. Chciał go jak najpubliczniej i jak najdotkliwiej znowu mitrężyć. Jakoż popisał w swej replice (tytuł jej: *Fricius sive de Majestate Sedis Apostolicae*) dziwne rzeczy przeciwko Modrzewskiemu. Nie oszczędził ani jego osobistości ani domowych stosunków; pokłamał szczególne ambaje o jego wieku, o jego pochodzeniu, o jego nieuctwie i t. d. Został jednak i za tę napaść surowo ukaranym. Na tymże bowiem zaraz sejmie piotrkowskim odpisał mu znowu Modrzewski dziełkiem pod tytułem: *Andr. Fricii Modrevii Orichovius, sive Depulsio calumniarum Stan. Orichovii Roxolani* (wyszło na początku roku 1563, ale bez wyrażenia miejsca i czasu, w małej oktawce, kart 47 nieliczbowanych). W tem pisemku tak autor wymalował zmienność charakteru Orzechowskiego i niepoczciwość w wyborze środków do celu prowadzących, że od tego czasu był już przez całe życie wolny od dalszych jego zaczepek. Punkt za punktem paszkwil jego przechodzi i kalumnie odpiera; odpowiada szczerze i bez ogródki na wszystko i wychodzi z całego tego sporu ostatecznie, co się zowie, obronną ręką.

Zbliżamy się do końca życia pisarza naszego. Koniec ten był smutny dla niego. Już na kilka lat przede śmiercią widział się Frycz w okolicznościach coraz mniej pocieszających. Osamotnienie i czczość życia dawały mu się coraz bardziej w znaki. W roku 1562 biskup Uchański przeniósł się na arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Przyjaźni i zaufania dochowywał on wprawdzie Modrzewskiemu i na dostojności prymasa, ale Wolborz był odtąd dla Frycza już tylko nudną

mieściną, pozbawioną wszelkich stosunków z tym światem uczonym, z którym dawniej w zamku Uchańskiego i Drohojowskiego miał ciągłą styczność. Następcą Uchańskiego został tu Mikołaj Wolski. Biskup ten już dlatego mniej był Fryczowi przychylny, że się z Uchańskim obydwaj niecierpieli. Dawna zażyłość z prymasem wykluczała Frycza z otoczenia Wolskiego. Że go tenże pomimo jego odrębnych opinii religijnych cierpiał na wójtowstwie w Wolborzu, i to było już wielką łaską. Zawdzięczał ją Modrzewski, jak się zdaje, tej głównie okoliczności, że Wolski rodził się z Łaskiej. Podtrzymywała go przeto jako tako w oczach biskupa tylko pamięć na dawne jego zasługi około tego domu. Do tych niepomyślnych okoliczności prywatnych, przyczyniały się coraz bardziej i publiczne, wielce utrudniające położenie Modrzewskiego jako pisarza. Z zamknięciem obrad koncylium Trydenckiego (1564), poczęła się w Polsce reakcya na korzyść katolicyzmu. Hozyusz wrócił po długiej niebytności do kraju, otoczony całym blaskiem położonych około powszechnego kościoła zasług, z imponującem dostojeństwem kardynała i... z Jezuitami! Był on odtąd moralnie głową w całym kościele polskim. Był duszą wszystkich działań na sejmach i sejmikach. Pomimo wielu trudności i wstrętów i nawet huków przeciwko Hozyuszowi, przemógł tenże na sejmie parczowskim (1564) o tyle w duchu tego wszystkiego, ku czemu dążył, że król co do osoby swojej dekreta trydenckie przyjął. Stany robiły jeszcze trudności, lecz i to z czasem miało się utrzeć. Ciągłe zatargi akatolików pomiędzy sobą zdyskredytowały w Polsce wolnomyślność w rzeczach religii. Poczęły się już od owegoto czasu liczne powroty dyssydentów na łono powszechnego kościoła. Tak zwany edykt parczowski, przez legata papieskiego Comendoniego na owymże sejmie wyjednany, zarządził przymusowe wydalenie z krajów polskich tych cudzoziemców, którzy tu roznosili akatolickie dążności. Duszno się robić zaczęło i krajowcom niekatolikom, nie chcącym nic wiedzieć o postanowieniach trydenckich. Do najważniejszych pomiędzy nimi był liczony Modrzewski. Właśnie w tych ostatnich latach wystąpił on znowu z dziełem, które zwróciło na niego powszechną uwagę, choć przypadkowo zabiegi innych różnowierców opóźniły na lat kilka ogłoszenie drukiem onego dzieła. Były to jego Sylwy. Z powodu wszczętych i z wielkim szkandałem od lat kilku prowadzonych waśni między różnymi odcieniami religijnymi co do pojęcia istoty Trójcy świętej, której Pinczowianie czyli Socynianie

zaprzeczali, inni znowu akatolicy podtrzymywali, polecił był Zygmunt August Modrzewskiemu zająć się tą rozterką teologiczną i tak to zagadnienie rozebrać, żeby choć pojednanie samych dyssydentów pomiędzy sobą co do tego punktu mogło być osiągnięte. Było to w roku 1564, właśnie w owym czasie, kiedy król przygotowywał wyprawę moskiewską. Wskutek tego królewskiego zlecenia wygotował autor nasz w ciągu roku 1565 dwa traktaty, które nazwał Sylwy*, a to dlatego, że było to raczej zestawienie tylko i rozbiór zdań obcych w odnośnej materyi, począwszy od ojców kościoła aż do ostatnich czasów, aniżeli wywód własnego twierdzenia. W pierwszej Sylwie rozbiera pytanie o Trójcy świętej. W drugiej poszedł o wiele dalej, aniżeli właściwie żądał od niego Zygmunt August; namawia tu bowiem króla, ażeby zwołał synod narodowy, ze wszelkich bez wyjątku wyznań i sekt religijnych złożony, i żeby na nim pojednał wszystkich, a nie pytał o dekrety trydenckie, które zdaniem jego nikogo obowięzywać nie mogły, skoro to koncylium odbyło się jego zdaniem w sposób zgoła nieprawny i nieporządny. — Było to i niewczesne i niemądre żądanie! Niewczesne, gdyż się już był król polski przychylił do uchwał trydeckiego koncylium; niemądre, ponieważ do marzeń tylko chyba zaliczone być mogło, żeby religijne wyznania ówczesne w Polsce były się dały połączyć z sobą, choćby i na narodowym synodzie! Modrzewski niestety dążył ku temu jednak przez całe życie...

Kiedy w następnym roku (1566) obydwie te Sylwy wraz z dedykacyą królowi odesłane zostały do Bazylei do wydawcy Oporina pod prasę, zdarzyło się, że bawiący tam wtedy właśnie minister pewien kalwiński z Krakowa, nazwiskiem Tretzy (nie Andrzej Trzecieski, jak mylnie oddrukowano u Wiszniewskiego), dorwał się podstępnie do tych rękopisów i uszedł z nimi z Bazylei do kraju. Zauważył bowiem, że się autor w wykładzie swoim zbyt ku Pinczowianom przechylał w traktowanym przedmiocie, a kalwinom nie było to na rękę. Po upływie kilku dopiero miesięcy dowiedział się od Oporina Modrzewski, jaki los spotkał jego papiery. Zaczął robić starania, żeby je z rąk Tretzego wydobyć. Starania te nie doprowadziły do żadnego skutku; miały raczej takie tylko następstwo, że się i między niekatolikami i katolikami rozniosło, w jakim du-

* *Sylva rerum* nazywano w dawnej Polsce zbiory najrozmaitszych zapisków, cytacyi, wspomnień i t. p.

chu dzieło owo było napisane. To obudziło przeciwko niemu żywą niechęć różnych osób. Katolicy zwrócili szczególną czujność na jego postępowanie. Obawiano się jego wpływu na króla i na prymasa, którzy i bez tego nie byli przeciwni myśli niezawisłego od Rzymu, narodowego synodu. Legat papieski Comendoni, może i Hozyusz, ostrzegli snać stolicę apostolską o niebezpieczeństwie grożącem z tej strony Kościołowi w Polsce. Papieżem był wtedy (właśnie począwszy od roku 1566) Pius V. Krótko po jego wstąpieniu na tron, przeszły i rządy biskupie nad kujawską dyecezyą w inne ręce. Mikołaj Wolski zakończył życie w roku 1567; jego miejsce zajął Stanisław Karnkowski, mąż surowej woli w rzeczach religii, jeden z naszczerszych wielbicieli Hozyusza i zupełnie z jego szkoły. Tym razem mogli się w Rzymie na pewne tego spodziewać, że życzenia dane do rozumienia biskupowi kujawskiemu względem Frycza zostaną ściśle spełnione. Podczas więc, kiedy tenże w Wolborzu zaczął pisać na nowo owe Sylwy zagrabione mu w rękopisie i układał takowe z pozostałych notatek i raptularzów, z niejakiem, jak sam podaje, dopisaniem rzeczy nowych: otrzymał biskup Karnkowski (ku końcowi roku 1567) rozkaz od ojca świętego, ażeby Modrzewskiego wyzuł z urzędu i posiadłości w obrębie jego majątku dzierżonych i żeby go jako heretyka niezwłocznie z wszelkich stosunków z sobą oddalił. Odniósł się z tą sprawą Karnkowski natychmiast do Hozyusza; obawiał się bowiem, żeby tak surowe obejście się z człowiekiem, który miał wielką wziętość w narodzie i był zasłaniany przez potężnych obrońców, nie sprawiło więcej zgorszenia, aniżeli pożytku. Hozyusz miał zawsze wprawdzie żywe poczucie sprawiedliwości, ale tam, gdzie chodziło o rzeczy wiary, względów ubocznych nie znał. Zwykł on był w biskupstwie swojem rugować z wszelkich posad akatolików, mimo nawet ujmowania się za nimi samego króla! W tej też myśli i Karnkowskiemu wtedy odpisał (dnia 9. stycznia 1568 r. z Heilsberga): »Kiedy Modrzewski zaparłszy się Chrystusa*, upiera się błędu swego nie odwoływać, nie mogę radzić czego innego, tylko żeby się spełnił wyrok stolicy apostolskiej«... Wtedy dopiero przystąpił do dzieła Karnkowski. Wprawdzie wykonał je w sposób o tyle jeszcze nie najsurowszy,

---

* Wyrażenie to rozumieć należy jako oratorską przenośnię, boć w ścisłym sensie nie dopuścił się Frycz nigdy tego przestępstwa. Wszystkie pisma jego tego dowodzą.

że za korzyści przywiązane do posady, którą Fryczowi odbierał, ofiarował mu jakieś pieniężne wynagrodzenie; żeby jednak to wynagrodzenie było dorównywało stratom, jakich przez to doznał Modrzewski, o tem godzi się wątpić, sądząc z tego co tenże w dalszem następstwie pisał i czynił. W miesiącu lutym tegoż roku zmuszony tedy został nasz autor do ustąpienia z Wolborza, wyzuty z urzędu i gruntów, które jak się wyrażał i jak było rzeczywiście, posiadał z ojca i dziada*...

Od tego czasu długo nie miał Modrzewski własnego domu. Bawił to tu, to ówdzie, u przyjaciół i krewnych, i wśród tych wędrówek kończył dzieło, rozpoczęte jeszcze w Wolborzu. Do dwóch Sylw, które zrazu miały stanowić zupełną całość, dodał teraz jeszcze dwie nowe. Trzecia Sylwa »O Jezusie Chrystusie synu Bożym i człowieczym a zarazem Bogu i Panu naszym«, pisana była »Trepnicii«, (Trzepnica w Łęczyckiem niedaleko Wolborza, gdzie także i owe Cieśle (Fabrilium) leżały, wsi ucząstkowej szlachty, krewnych pewnie autora naszego). Tamto więc przez ciąg roku 1568 bawił. Ta Sylwa jest przypisana papieżowi. W obszernej dedykacyi mówi tu do Piusa V Modrzewski nie tonem człowieka, który się pragnie usprawiedliwić, lecz w widocznym zamiarze dania uczuć ojcu świętemu, że mu na rozkaz jego wprawdzie wyrządzono niesprawiedliwość, ale go przez to bynajmniej nie złamano i nie zdołano przekonań jego zachwiać...

Czwarta Sylwa (*De Homousio*) poświęcona jest prymasowi Uchańskiemu, a datowana z roku 1569 z Ostrołęki, *„ex Acuto Prato Poticaniorum“* **. Była to wtedy majętność Potkańskiego,

---

* Bliższe szczegóły całej tej sprawy zawiera w sobie korespondencya między Karnkowskim, Hozyuszem i Papieżem, podana w zbiorze *Epistol. Ill virorum*, zamieszczonym w tomie II lipskiej edycyi Długosza, mianowicie na str. 1638, 1651 i 1753.

Oto co między innemi donosił do Rzymu biskup kujawski po doprowadzonem już do skutku oddaleniu Frycza: »Tyle tu Frycz między znakomitemi osobami jednej z nim wiary znajduje zwolenników, tak też dobrze się obwarował, iż ciężkoby mi przyszło, bez wzniecenia jakowej wrzawy z dóbr go rugować; prócz tego służy mu dożywocie od Jana Drohojowskiego, poprzednika mego, za potwierdzeniem kapituły przyznane. Wolałem tedy na worku poszkodować, godząc się z nim polubownie, żeby wziąwszy ze skarbu mego pewną pieniężną sumę, ze wszystkich włości w biskupstwie mojem posiadanych ustąpił« i t. d.

** Wieś także w Łęczyckiem, w brzezińskim powiecie.

dawnego kolegi na dworze Łaskich i przyjaciela Frycza. U niego zatem rok ten 1569 przepędzał.

Pod koniec życia wszedł w posiadanie wsi (nie wiem, czy całej, była to bowiem dawniej, między r. 1520 — 1530, posiadłość kilku dziedziców, jak to w Łaskiego Liber Benef. zapisano), która się zowie Małcz, a także leży w tym powiecie wojew. Łęczyckiego. Nabył ją kupnem. W tem miejscu zakończył życie, w jesieni r. 1572, zostawiając jednego syna i kilka córek, nierozporządzonych jeszcze w czasie śmierci ojca. O czasie zejścia Modrzewskiego nikt ze współczesnych nie wspomniał; zawdzięczamy wiadomość o tem prywatnej tylko rękopiśmiennej zapisce, położonej na egzemplarzu dzieła De emendanda Republica bazylejskiej z r. 1559 edycyi, będącym dziś własnością biblioteki dzikowskiej. Pochodzi ona od kogoś, niewiadomego nazwiska, który znał osobiście Frycza, ponieważ opisuje i jego powierzchowność. Powiada, że był słusznego wzrostu, z siwą brodą kędzierzawą, nie bardzo długą. Na oko wydawał się prostakiem i małomownym, lecz pisma okazują, jakim on był. W Małczu, wiosce przezeń kupionej jest pochowany, niedaleko Wolborza. W ostatnim akcie życia chciał się spowiadać, lecz księży z powodu bojaźni przed morową zarazą nie było; tak więc jakby opuszczony zszedł z świata. Syn jego w pierwszej młodości zginął r. 1587, przeszyty kulą z rusznicy. Wdowa po nim (po Andrzeju) poszła później powtórnie za mąż za Magnuszewskiego*.

Przedmowa do czwartej Sylwy, r. 1569 pisana, daje wnosić swoim układem, że autor miał zamiar dzieło to zaraz po dokończeniu ogłosić. Tymczasem nie ogłosił go, a nawet w kilka dopiero lat później (1590) i dawno już po śmierci jego obca jakaś ręka oddała ono pod prasę**. Przytem i to zastanawia, że tekst samejże Sylwy czwartej nie jest dokończony. Wątek jest widocznie raptem urwany, w ciągu pracy. Nakoniec i to nie może być przypadkowem

---

* Zawdzięczamy ogłoszenie i wydobycie tej zapiski z ukrycia hr. Stan. Tarnowskiemu, a to w cennym jego rozbiorze najważniejszego dzieła Frycza: »O poprawie Rzeczypospolitej«. Przegląd Polski z r. 1867 tom IV str. 213.

** Wyszło bez oznaczenia miejsca druku (w Pinczowie?) pod tyt.: *„A. F. Modrevii Silvae Quatuor. I. De tribus personis et una Essentia Dei. II. De necessitate conventus habendi ad sedandas religionis controversias. III. De Jesu Christo* i t. d. *IV. De Homousio. Omnia nunc primum in lucem edita. Anno 1590.* 4to, stron 273.

żo to było dzieło jego ostatnie, choć żył jeszcze 4 lata. Trudno jednak domyślić się powodów tego wszystkiego.

Że zgon męża tak znakomitego przeszedł niepostrzeżony przez współczesnych do tego stopnia, że żaden z pisarzy owego czasu nawet o śmierci jego nie wspomniał: to sobie tłómaczę tą okolicznością, iż stanowisko religijne Frycza, w końcu mianowicie życia, było zupełnie odrębne, odosobnione i nikogo nie obchodzące. Modrzewski chciał wszystkie wyznania pogodzić, lecz nie należał wyłącznie do żadnego z tych, które były. W przekonaniu swojem, miał on siebie za katolika, choć z pewnem zastrzeżeniem. Tymczasem katolicy go za swego nie uważali. A inne stronnictwa i sekty religijne także z nim nie miały żadnej wspólności, skoro do żadnego z ich zborów nie uczęszczał, na żadnym synodzie dyssydenckim się nie pokazał i całe swoje działanie religijne obrębem jedynie literackim opisał. Był to zatem człowiek pomiędzy wszystkimi odcieniami konfesyjnymi stojący, lecz w taki sposób, że się znajdował poza sferą wszelkich faktycznie istniejących towarzystw religijnych. Jako taki, mało kogo obchodził.

Pod tym względem ciekawe jest zdanie Modrzewskiego o samym sobie, wyrzeczone we wspomnianem już raz wyżej przypisaniu pewnego jego traktatu do Pawła Głogowskiego, w roku 1558. ... »Wprawdzie już za młodu chwiać się zacząłem w dawnych moich wyobrażeniach, a nasiąkać nowemi. Tych nowych zdań jednakże nigdy tak nie przyjąłem, żebym je miał wyznawać, albo też rozumieć, iż mi się z nich żyć godzi (to jest: iżby miał odgrywać rolę jakiego ministra akatolickiego). Żyłem zawsze podług obyczajów w społeczeństwie i kościele przyjętych. I jako żyję w rzeczypospolitej, chociaż nie wszystkie jej ustawy pochwalam, a główszczyznę nawet wręcz zaczepiłem w publicznie wydanych pismach, tak też i do Kościoła nie przestałem należeć, chociaż ani jego nauka, ani obrzędy nie ze wszystkiem zdaniu memu odpowiadają... Tymczasem pomiędzy papistami a lutrami wrzał ciągle bój zacięty o kwestye dotyczące religii i kościoła. Nie wiem, z jakiego dopuszczenia bożego się to stało, że ja między nich wdałem się w samo niejako ognisko walki, i żem pisał takie rzeczy, które miały czy to sprowadzić pokój pomiędzy stronnictwami, czy też więcej odpowiadać bezstronnej prawdzie. Dlatego też niezawsze piszę takie rzeczy, któreby się wszystkim mogły podobać. Bo jestże

też to podobne w takiej rozterce wyobrażeń? Niektóre słowa moje potępiają luteranie, niektóre znowu papiści; tak więc ani jedni, ani drudzy nie liczą mnie do swoich. Ale najwięcej zacięci przeciwko mnie są niektórzy z papistów«...

JANA KOCHANOWSKIEGO MŁODOŚĆ.

Rzecz czytana na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności dnia 28 maja 1884 roku.

Płynie rok, naznaczony imieniem Jana Kochanowskiego. Za kilka miesięcy przyjdzie narodowi naszemu obchodzić trzecią stuletnią rocznicę zgonu tego wielkiego poety. Dnia 22 sierpnia 1584 r. zrana między 8 a 9 godziną rozbiegła się po Lublinie przerażająca wieść, że p. Wojski sandomirski, sławny wierszopis, od kilku dni w murach miasta goszczący, co tylko życie swoje śmiercią nagłą i niespodziewaną zakończył. Przepełniony był wtedy Lublin ludźmi wszelakiego stanu, ze wszystkich ziem i powiatów kraju, ponieważ był to właśnie czas odbywającego się sejmu, zwołanego do Lublina przez króla Stefana. Wrzało życie na wszystkich punktach. Ruchliwa rzesza przybyłej szlachty płynęła ulicami jak fala. Wokoło senatorskich gościn i wybitniejszych posłów sejmowych tworzyły się grupy ich przyjaciół i zwolenników. Obliczano siły stronnictw, układano plan dalszego działania, werbowano przekonania dotąd nieuprzedzone lub chwiejne. — Wśród tych kół ożywionych widziano dniem jeszcze wprzódy poetę czarnoleskiego, przyjmującego z właściwą mu kordyalnością uścisk dłoni każdego co się doń zbliżył, aby z nim znajomość dawną odnowić, świeżą zawiązać. Oglądano go w pozornej pełni siły i zdrowia, żywo omawiającego z niejednym z bliższych przyjaciół sprawę, która go, niebędącego posłem, do Lublina sprowadziła. Chodziło o przypomnienie królowi i sejmującym stanom nieporuszonej dotąd zbrodni, nieskarconego dotąd zabójstwa, dokonanego zdradnie i wbrew prawu narodów przez Turków, tam na ich ziemi, na Jakóbie Podlodowskim, krewnym poety. Właśnie miała się w dniu tym pamiętnym odbyć audyencya, naznaczona przez Batorego do wysłuchania tej

skargi. Właśnie w chwili, kiedy oczekiwano przybycia poety przed tron królewski, przyniesiono doniesienie, że nie przybędzie, gdyż przed tronem Boga już stanął.

Wszelka zasługa i każda chluba narodu wtedy dopiero odpowiednio do wartości swojej zaczyna się cenić, kiedy się dowiemy, że jej już niema, żeśmy ją utracili. A im więcej niespodziana ta strata, tem bardziej i żal powszechny i nieukojony. Cenilić wprawdzie współcześni swego mistrza nad mistrzami i w ciągu już jego zawodu na ziemi; lecz nigdy pewnie nie zrozumiano w tym stopniu, kogo w nim ojczyzna miała, jak nad jego dopiero grobem. Ze wszystkich pism, pod bezpośredniem wrażeniem tej żałoby narodowej powstałych, a jest ich zasób niemały, ze wszystkich mówię czy to prozą, czy wierszem — czy po polsku wysłowionych, czy w łacińskim języku — czy w formie osobnych utworów, wyłącznie samej tylko zmarłego czci poświęconych prac piśmienniczych, czy przeciwnie mimochodem rzuconych wzmianek o zgonie Kochanowskiego w toku dłuższej dziejowej osnowy, jedno tylko płynie uwielbienie i cnót człowieka i geniuszu pisarza — jedno niepodzielne uznanie zasług, położonych około mowy, literatury, smaku i poczucia estetycznego w narodzie. W owych prostych słowach Bielskiego, że był to »poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się drugiego takiego spodziewać można«, wypowiedziane zostało powszechne tamtoczesne zdanie, któremu i z późniejszych nikt nie zaprzeczył i które pozostało literalnie prawdziwem przez dwa z górą stulecia, poniekąd zaś jest prawdziwem nawet i dzisiaj. Bo jakkolwiek doczekaliśmy się w ciągu trzeciego po Kochanowskim wieku mistrzów słowa, śmiało mogących się równać z nim i więcej na umysły nasze wywierających potęgi, aniżeli ten ojciec poezyi polskiej, całą epoką oddalony od tegoczesnych prądów: to pozostały mu i tak jeszcze zalety, w których mu żaden nie dorównywa — zdrowe natchnienia, harmonijna równowaga duchowa i ta spokojna, pewna siebie siła, której zaczerpnąć mógł tylko z równie zdrowych, czerstwych i żywotnych stosunków społecznych i politycznych.

Uznając w nim męża takiego, niedziw, że się Polska cała w tym roku więcej niż kiedy myślą swoją ku niemu zwraca, pamięć jego ze szczególnem uwielbieniem odświeża, pod hasłem jego imienia w jedno się łączy i do ożywionej pracy duchowej wspólnym wysiłkiem zabiera. A jeżeli ze stron wszystkich przychodzi nam się spotykać z dążeniami takiemi, toć nie podobna, aby i to

posiedzenie dzisiejsze skończyć się miało bez oddania czci należnej Kochanowskiemu. Z woli kolegów mnie się dostał w udziale zaszczyt, uczynienia w imieniu Akademii zadość potrzebie, którą wszyscy czujemy. Występuję przed dostojnem zgromadzeniem jednakże z niejaką nieśmiałością, albowiem przynoszę drobną tylko część żywota poety. Rozporządzając czasem tak skąpo mi wymierzonym, nie mam do wyboru, jak tylko jedno z dwojga: albo przebiec całość życia Kochanowskiego, ujętą w jak najściślejsze kluby i pozbawioną owych rozlicznych, w każdym razie nieobojętnych szczegółów, które takiemu zarysowi same jedne życia i barwy nadają, albo też pozwolić sobie tych ostatnich, lecz w takim razie poprzestać tylko na urywku. Nie wiem, czy dobrze uczyniłem, żem wybrał drugie i że zamierzam roztoczyć przed oczyma słuchaczów moich sam tylko obraz młodości Jana. Zależy mi głównie na tem, aby w nim uprzytomniły się owe wszystkie stosunki i okoliczności wiekowe, przez które młody Kochanowski, chcąc nie chcąc, z natury rzeczy musiał przechodzić i podlegać ich wpływowi, zanim w pewnej dojrzałości umysłowej i artystycznej mógł stanąć na własnej wyżynie. Pragnąłbym dać w tym odczycie odpowiedź na pytanie: Co on komu zawdzięczał? gdzie się czego nauczył? z któremi postronnemi kulturami w rzeczywistym zostawał związku? Słowem, co miał ze siebie i ze swego narodu, a co mu przyszło z obcego świata?

Urodził się Jan Kochanowski w roku 1530, w pięknej Sandomirskiej ziemi, w ojczystej wiosce Sycynie pod Sieciechowem, z ojca Piotra herbu Korwin, matki Anny z Białaczowa Odrowążówny. Osobistość rodziców i zasady panujące w ich domu, nie pozostają nigdy bez przeważnego wpływu na dzieciach. Kiedy się mówić ma o mężu takiej miary, jak ten poeta nasz, chęć zapoznania się bliższego z rodzicami jego staje się tem więcej uzasadnioną.

O ojcu Jana utworzyć sobie można wyobrażenie jedynie z dat, które więcej się ściągają do jego majątkowych stosunków, niż do jego osoby. Musiał to być człowiek, u którego zmysł praktyczny górował nad wszystkiem innem: szlachcic rządny, oszczędny, gospodarz biegły w swej sztuce, *faber fortunae suae* postępujący

bezwzględnie ku raz wytkniętemu celowi. Bezwzględność ta zdaje się, że czasem u niego przebierała nawet miarkę właściwą. Pozostał w dawnych aktach radomskich dokument sądowy z roku 1511, który tego Piotra K. w wątpliwem stawia świetle. Jest to wyrok na niego i na starszego jego brata imieniem Jana, przeciw którym własna ich matka wniosła była skargę o to, iż niedość, że ją wyrzucili z dóbr zapewnionych jej w dożywociu przez zmarłego męża, ale nawet zaprzeczają jej spokojnego posiadania wiosek jej własnych dziedzicznych. Sąd przyznał słuszność skarżącej, a bezwzględność synów skarcił. Może to był wybryk młodości, jakkolwiek już pełnoletniej; miał bowiem Piotr lat wtedy 26, a Jan był mu starszym bratem. — Na dalszem życiu ojca poety naszego nie widać jednakże już drugiej podobnej skazy, chociaż dbałość o dobra doczesne musiała zawsze bardzo wiele u niego znaczyć. Ojciec Jana rozpoczął rządy na własny rachunek dopiero po uskutecznionych działach między rodzeństwem, z 6 braci i 4 sióstr złożonem. W następstwie tych działów, dokonanych roku 1519, całą schedą z majątku familijnego nań przypadłą, była połowa Czarnego-lasu i to z włożonem nań jeszcze zobowiązaniem, żeby z pomiędzy sióstr jednę aż do jej wyjścia za mąż miał przy sobie, a następnie i wyposażył. Pomimo tak trudnych początków potrafił nasz czarnoleski współdziedzic w niedługich stosunkowo latach tak pokierować interesami, że się mógł liczyć do zamożniejszej szlachty w swoim powiecie. Już w roku 1527 rozszerzyła się szczupła jego posiadłość o drugie tyle, a to przykupionym sąsiednim folwarkiem Rudą wraz z młynem. Był wtedy jeszcze bezżenny. Kiedy pomyślał o ustaleniu losu swego związkiem małżeńskim, przekraczał już czwarty krzyżyk. Wybór osoby był pod wszelkim względem szczęśliwy. Anna z Białaczowa, panna i zacna i z domu dobrego, o 22 lata młodsza od męża, wniosła w dom jego nie tylko statek, ale i posag przechodzący zwykłą miarę średnioszlacheckiego wyposażenia, braci bowiem nie miała. Małżonkowie krótko po ślubie nabywają położoną nieopodal Sycynę, do której i stałą swoją rezydencyę przenoszą. W kilka lat potem przykupują Konary (roku 1540), następnie Barycz, wreszcie i Wolę Szelążną (r. 1543). Ze wzrostem majątku szła w parze i estyma sąsiadów. Dowodem jej piastowany co najmniej już od roku 1535 przez Piotra Kochanowskiego urząd generalnego sędziego ziemi sandomirskiej, zapewne połączony i z korzyściami materyalnemi, odpowiedniemi godności. Do tego majątku

przybyły w późniejszych latach (około r. 1555) trzy jeszcze wioski; tego jednak już sędzia sandomirski nie dożył, zszedł bowiem ze świata w r. 1547, licząc 62 lata wieku.

Z wdzięcznością mogła sobie wspominać ojca takiego pozostała rodzina, z wdzięcznością mówi o nim i Jan w wiadomym nagrobku. Podobieństwa charakterów jednakże między synem a ojcem nie było.

O naturze matki tyle nam tylko wiadomo, ile nam o niej powiedział nieznany z nazwiska biograf Jana, w kilku słowach mimochodem rzuconych o niej — w owym najdawniejszym życiorysie poety, powtórzonym później dosłownie przez Starowolskiego. Była to osoba niepokalanej czystości duszy, niezrównanej prostoty i w ogóle obyczajów prawdziwie starodawnego zakroju. Z zaletami niewieściemi łączyła silną a stałą wolę, a dała tego dowody, kiedy jej przyszło po wczesnym zgonie małżonka podjąć na się, samej jednej, ciężar wychowywania licznej, po większej części drobnej jeszcze dziatwy, a zwłaszcza synów, których w karbach należytych trzymać umiała i prowadziła po drodze wytkniętej ręką surową *(severissima disciplina)*. Jeżeli te kilka rysów uzupełnimy sobie w myśl, osnową ostatniego z »Trenów«, osnową owego trenu, w którym syn jej, ze wzrokiem w trumienkę swego dziecięcia utkwionym, pogrążony w martwej zadumie, na wszystko co go otacza zobojętniały, widzi w duchu tę matkę przed sobą, przemawiającą do niego owemi głębokiemi a nieubłaganie trzeźwemi słowy, które się stają ostatecznem na jego boleść i rozpacz lekarstwem, słowami, do których podobne nieraz pewnie z ust jej słyszał kiedyś, pod jej macierzyńską opieką wzrastając: to nam to wystarczy na utworzenie sobie o tem wyobrażenia, jaką Kochanowski miał matkę, jakie zasady w niego wpajała, jakie dążności mógł wynieść z domu rodzicielskiego. Duch matki żył w wyobraźni Jana do samego końca dni jego. Idealna natura matki przypomina się przez cały wątek jego żywota.

O pierwszych początkach nauki szkolnej Jana Kochanowskiego i jego braci, nie można podać żadnych szczegółów pewnych. Widać tylko, że zdolnościami wrodzonemi, równie jak i chęcią do nauk, od razu musiał nieporównanie przewyższać innych swych braci,

skoro ojciec jego jednego z nich wszystkich do stanu uczonego przeznaczył i do Krakowa na akademię posłał. Zaszło to w jego roku 14tym, 1544, jak nas o tem powiadamia księga tamtoczesna wpisowa, do dziś dnia zachowana w uniwersyteckiem archiwum, w której imię »Jana Kochanowskiego z Sycyny« jako świeżo wstępującego w poczet młodzieży słuchacza wydziału sztuk wyzwolonych, pod tym rokiem jest zapisane. Godność dziekana piastował w owym semestrze, a było to półrocze letnie, mistrz sztuk wyzwolonych Michał z Główny. Berło rektorskie trzymał w ręku Jan z Piotrkowa, profesor teologii.

Uniwersytet Jagielloński w owym czasie nie miał już takiej świetności, jak dawniej, w wieku XV. Duch nauki i metoda pozostała w nim wprawdzie takąsamą, jaką była za czasów największej jego wziętości; ale właśnie ta zbyt wyłączna i twarda wierność dawnym tradycyom pozbawiała go już w tej epoce i wpływu i rozgłosu, jakie sobie dawniej był zjednał. Powstawały w sąsiednich Niemczech w czasie, kiedy szkoła krakowska zażywała już swej sławy, liczne jedna po drugiej wszechnice, które samą już swoją nowością, szczodrobliwszą protekcyą książąt swoich, sławą niektórych profesorów, a nadewszystko planem naukowym, więcej do potrzeb i prądów czasowych zastósowanym, coraz bardziej zaćmiewały słynność akademii krakowskiej, do tego stopnia, że i sami Polacy, i to właśnie z najpierwszych rodów, w wieku XVI już najzwyklej pomijali ten zakład, a szukali cudzych bogów w takim Lipsku lub Wittenbergu, że tu nie wspomnę już włoskich uniwersytetów, które jako pierwszorzędne w tamtoczesnym świecie ogniska życia naukowego, jak od czasów najdawniejszych, tak i teraz przepełnione były polską młodzieżą. Do tego zwrotu umysłów przyczyniały się niemało i religijne nowinki, które za wystąpieniem Lutra stanowiły główny żywioł badań i działań w tych świeższej daty akademiach niemieckich. Sama ciekawość ciągnęła do nich, a zwłaszcza do Wittenberga, słynącego w owym czasie Melanchtonem. W owem letniem półroczu r. 1544, w którym Kochanowski w poczet młodzieży krakowskiej wstąpił, a z nim i innych 162 młodych ludzi, razem z nim zapisanych do Album jako świeżo przyjęci, mogła się Wittenberska wszechnica chełpić ilością 423 takiegoż nowego zaciągu, chociaż ją wokoło otaczało kilka w pobliżu podobnych zakładów i choć rywalizować z nimi musiała. Kochanowskiego koledzy i rówiennicy krakowscy, była to

z wyjątkiem paru Węgrów i kilku Ślązaków, sama tylko młodzież krajowa, po największej części o nazwiskach nieznanego skądinąd brzmienia. A tam złożyły się na ten przyrost frekwencyi różne narody i rasy — od Szwecyi aż do Hiszpanii — a między niemi figuruje i sześć nazwisk z naszego kraju z epitetami *Polonus nobilis*: kontyngens w tamtym roku nie wiem dlaczego stosunkowo mniej liczny; w innych bowiem latach, i wprzód i potem, przybywały ich do Wittenberga znaczniejsze zwykle ilości, po 10, po 12 i t. p. we wzrastającej progresyi.

Do podobnych rezultatów przychodzimy i przepatrując księgi wpisowe Lipskiej wszechnicy, z których wyciąg wszystkich uczniów naszego narodu ogłosił w ostatnich czasach Tomkowicz. W stosunki zaś innych uniwersytetów niemieckich z tego punktu widzenia nikt się dotąd nie zapuścił, choć i to byłoby bardzo potrzebnem.

Jakkolwiekbądź, myliłby się jednak, ktoby z tego co tu powiedziałem wnosił, że mistrzowie akademii krakowskiej w owym czasie zalegali pole i pod względem ekstenzywnego działania. Każdy z nich był zobowiązany co najmniej do jednej, czasem i do dwóch codziennych prelekcyi, a sama już liczba tych uczonych imponuje w porównaniu ze stosunkami tegoczesnymi. Rezydujących w *collegium maius*, czyli t. zw. starszych kolegów, wydziału sztuk wyzwolonych (o innych bowiem wydziałach, jako Kochanowskiego nie obchodzących, tu nie mówię), było w owych latach dziewięciu; młodszych, czyli *collegae minores*, czternastu; a niewcielonych do żadnego jeszcze *collegium*, chociaż czynnych i gorliwiej może jeszcze niż tamci dobijających się stanowiska, którychbyśmy po dzisiejszemu docentami prywatnymi nazywać mogli, a wtedy nazywali się *magistri extranei*, tych poczet dochodził co najmniej do dziesięciu. Miał przeto w czem wybierać nasz młody sandomirski sędzic, ogólna bowiem ilość wszystkich jego profesorów przechodziła liczbę trzydziestu. Prelekcye głównie były dawane w *collegium maius*, dzisiejszym gmachu bibliotecznym. Poczynały się w porze zimowej o 7mej, w lecie już o 4tej godzinie rano, i trwały do 4tej popołudniu, z krótką tylko przerwą między 11tą a 12tą godziną dla zjedzenia obiadu. W soboty nie było wykładów z katedry. Natomiast toczyły się w tych dniach w dwóch albo trzech salach równocześnie dysputy naukowe, głównie odbywane przez młodszych członków korporacyi akademickiej, w których nie tylko uczniowie,

ale i profesorowie uczestniczyć byli powinni, przysłuchując się temu, co było mówione, a czasem i czynny udział biorąc w dyspucie.

A czy nie możnaby w szczególności wiadomości jakich udzielić o profesorach Kochanowskiego? — Dzięki księgom z tamtego czasu, przechowywanym w archiwach tutejszych, znamy ich wszystkich, lecz po największej części jedynie z nazwiska, niekiedy ze stanowisk wyższych, o ile dostały im się w udziale później w hierarchii kościelnej; znamy ich czasem z pism zalegających w rękopisie w tutejszej bibliotece, w których wnętrze nie zajrzała dotąd niczyja ciekawość — a już w rzadkich tylko razach z dzieł drukiem publikowanych, któremi imię swoje wsławili. Co do niektórych, choć się nie pokusili o autorską sławę, pozostały nam zapiski, charakteryzujące wartość ich wiedzy lub profesorskiego wykładu. Tak n. p. o Pawle z Raciąża, jednym z młodszych kolegów, dopisała przy nazwisku jego na brzegu księgi jakaś ręka współczesna: *„Maximus philosophus et mathematicus et disputator subtilis sophisticus“*. A ktoś późniejszy miarkuje tę pochwałę w ten sposób: *„Optimus lector, licet parum resumebat ad unguem, tamen lectionem omnem explicabat, scilicet prout ei liquebat“*. Ciekawem byłoby wiedzieć, którą z tych dwóch przeciwnych sobie opinii o Pawle z Raciąża podzielał Jan Kochanowski. Umarł ten mistrz w młodym wieku w r. 1547 na morową zarazę, wtedy grasującą w Krakowie.

O innym profesorze niech mi tu będzie wolno wspomnieć z innej przyczyny. Mam na myśli Jana Silviusa z Sieciechowa. Sieciechów — wszakże to najbliższe sąsiedztwo Sycyny i Czarnolasu. Ale spostrzegam jeszcze ściślejszy związek, który mógł z tym Janem Silviusem łączyć naszego sędzica sandomirskiego. Zachował się w archiwum sieciechowskich Benedyktynów dokument z r. 1552, mocą którego tamtoczesny opat wraz całym swoim konwentem darzy na czasy wiekuiste sieciechowskiem wójtowstwem *„providum Benedictum Czarnolas“* wraz z rodzonym tegoż Czarnolasa bratem Janem Silviusem, profesorem filozofii i mistrzem akademii krakowskiej, któreto wójtowstwo za niewysoką wkupną cenę nadaje im się za wierne i przez jednego i drugiego z tych braci około klasztoru położone zasługi. Dowiadujemy się zatem, że nazwa Silvius była tylko zlatynizowaniem rzeczywistego jego nazwiska, które brzmiało Czarnolas i którego domorosły brat profesora, Benedykt, używał w tem brzmieniu polskiem do końca życia, profesor przeciwnie, zwyczajem wszystkich tamtoczesnych uczonych, hołdujących

prądom renesansowym, przekształcił je na klasyczne i rzymskie. Nazywali się ci bracia Czarnolasami oczywiście od miejsca, z którego czy to sami, czy ich ojciec (potem w Sieciechowie osiadły) pochodził. A skoro się zważy położenie dziedzicznej wsi Kochanowskich Czarnylas, pod Sieciechowem, to wątpić pewnie nie można, że z tegoto Czarnego-lasu, a nie innego, wyjść musieli — może synowie podstarościego, albo jednego z kmieci w tej włości: bo że nie byli z krwi szlacheckiej, to widać z epitetu danego Benedyktowi w dokumencie (*providus*, a nie *nobilis* lub *generosus*). Usługi uczonego Jana Silviusa Benedyktynom wyświadczone, mogły zapewne na tem tylko polegać, że przez dłuższy przeciąg czasu tenże Silvius czy to jako nauczyciel, czy jako kierownik szkoły klasztornej w Sieciechowie działając, zjednał sobie takie względy opata. A jeżeli po tem wszystkiem i tę jeszcze okoliczność zważymy, że ten Jan Silvius w tymsamym właśnie dopiero 1544 roku w Krakowie w *collegium minus* się pojawia, w którym młody Kochanowski studya swe tamże rozpoczął, to już trudno oprzeć się pokusie wiodącej do przypuszczenia, że ich znajomość nie dopiero w owym roku się wszczęła. Najpewniej w tejto sieciechowskiej szkole i Jan Kochanowski i inni bracia jego pod tym mężem, z ich domem bliższe stosunki mającym, początkowe pobierali nauki. Razem z mistrzem swoim przeniósł się potem nasz Jan do Krakowa, a i przez następne lata, akademikiem już będąc, pod jego pewnie opieką i kierunkiem bezpośrednim pozostawał. — Czas śmierci mistrza Silviusa przypadł na r. 1553. Stopień magistra *artium* otrzymać on musiał w wieku swoim już nieco spóźnionym, w r. 1539. Co znaczył jako uczony, nie wiem. W pierwszym semestrze pobytu Kochanowskiego w Krakowie wykładał *spheram materialem*, a więc przedmiot jakiś z astronomii.

Do mężów rzeczywiście wyższej zdolności w tamtoczesnym wydziale sztuk wyzwolonych zaliczać należy następujących trzech: Wojciecha z Nowegopola, Szymona Maryckiego i Jana Leopolitę. Do nichto przedewszystkiem mógł nasz Jan czuć pociąg i korzystać z ich wykładu.

Nowopolski, lepiej nam znany pod zlatynizowanem swojem nazwiskiem Albertus Novocampianus, zwrócił się w późniejszych latach ku umiejętnościom lekarskim i teologicznym. Zostawił w obydwóch tych umiejętnościach dzieła po łacinie pisane, z których jedno szczególną mieć musiało wziętość nawet w Niemczech i Francyi,

skoro w powtórnych tam wychodziło wydaniach (z r. 1561 i 1572, kolońskiem i lugduńskiem). W czasie studyów krakowskich Kochanowskiego zajmował się jednakże Novocampianus filologią łacińską i wydał książkę, czasu swojego bardzo cenioną i wykładową, *De accentibus et recta pronuntiatione*. Wyszła r. 1548 i miała później dwie jeszcze inne edycye. Był ten Nowopolski potem kierownikiem wychowania młodego królewicza węgierskiego, syna Jana Zapolii. Życie zakończył r. 1588.

Jan Leopolita, tak nazwany od miasta swego rodzinnego Lwowa, rzeczywiście zaś zwał się Nicz, siedmiu laty tylko starszy od naszego poety, zajmował wtedy jeszcze skromne stanowisko docenta prywatnego. Był to mąż porywającej wymowy, do największych później mowców kościelnych zaliczany przez Wujka i przez Skargę; ma swoją zaszczytną kartę także i w historyi piśmiennictwa religijnego, a nadewszystko zasłynął i potomności imię swoje przekazał jako jeden z naszych najpierwszych tłómaczów Pisma świętego. W tamtych czasach dawał Leopolita prelekcye tylko w świeckich różnych przedmiotach. Zszedł ze świata w 49 roku swego wieku, 1572.

Najwięcej jednak wpływu na młodym Kochanowskim mógł wywrzeć, najwięcej pochopu do zasmakowania w humanizmie mógł mu udzielić nie kto inny, jak Szymon Marycki z Pilzna, sławny autor dzieła, mającego i po dziś dzień jeszcze znaczenie, bo i dobrze napisane i pełne ciekawych a trafnych spostrzeżeń o tamtoczesnych edukacyjnych naszych stosunkach — dzieła *De scholis seu academiis*, wydanego r. 1551 w Krakowie. Wprawdzie przez pierwsze dwa lata krakowskich studyów naszego Jana były czynności nauczycielskie Maryckiego w akademii wypełniane przez jakiegoś jego substytuta, jak się *Liber diligentiarum* wyraża; sam bowiem profesor ten przebywał wtedy w Padwie, a następnie w Rzymie, dokąd się udał kosztem wojewody krakowskiego a dobrodzieja swego, Piotra Kmity. Daje mu urlop na ten wyjazd dwuletni rektor i senat akademicki właśnie w początku roku 1544. Lecz po upływie tego czasu powrócił Marycki do katedry, przejęty entuzyazmem najżywszym dla wszystkiego, czego się tam pod włoskiem niebem napatrzył, nasłuchał i o ile czas tak krótki na to pozwalał, nauczył. Przywiózł z sobą gorący zapał do pracy nad grecką szczególnie starożytnością, w znajomości której nikt go u nas w tamtym czasie nie tylko nie przewyższał, ale mu i nie dorównywał.

Pragnął Marycki wpoić polskiej młodzieży zamiłowanie klasycznych badań nie tylko słowami, jakie wygłaszał z katedry, ale i przystępnem dla niej wydawnictwem dzieł, najwięcej podziwianych przez niego, bądźto z rzymskiej, bądź z greckiej literatury, które w Krakowie dawał do druku wraz z egzegetycznemi uwagami swojemi i zaopatrzone w przedmowy, z wielką werwą zawsze pisane, podnoszące wzorowość, piękność i ważność tych zabytków zamierzchłej starożytności. Przedewszystkiem zajął się w taki sposób mistrzami celującymi w wymowie tych obydwóch narodów, Ciceronem i Demostenesem, którego mowy wydawał wraz z własnym swoim na łaciński język przekładem. Niedługo niestety wytrwał na tej drodze chwalebnej — obojętność zbiła go z toru. Już w r. 1548 z końcem letniego półrocza porzucił *almam matrem* i Kraków i zawód nauczycielski. Pomimo krótkości czasu, przez który mógł nasz przyszły poeta korzystać z wiedzy mistrza Szymona, zdaje mi się, że jednak nie zbłądzę, jeżeli w nim właśnie wskażę człowieka, którego dążność najwięcej zaważyła na szali w kolejach dalszego zawodu tego młodego, tak z tamtym spokrewnionego ducha. Marzenie Jana zwiedzenia klasycznej Italii, poznania ludzi nadających ton Europie w zakresie smaku, sztuki, wiedzy i poetyckiej piękności, zaszczepione mu zostało niewątpliwie przez tego to pierwszorzędnego w kraju naszym wtedy przedstawiciela onej dążności.

Jak długo przeciągnął się pobyt Kochanowskiego w Krakowie, tego napewne nie wiemy, i różne są co do tego domysły. Nie podzielam przypuszczenia, żeby koniec tutejszym jego naukom była położyła śmierć jego ojca, która, jak wyżej już powiedziałem, przypadła na rok 1547. Krótka przerwa w owej chwili z tego powodu mogła była nastąpić; ale jakże miał 17-letni wtedy młodzieniec, chciwy wiedzy i rozmiłowany w swoim zawodzie, a bynajmniej nie mający do walczenia z brakiem funduszów, osiadać dla tej żałoby na kilka lat próżnowania przy boku matki? W kłopotach gospodarskich miała ona dość pomocy w najstarszym swym synu, przezornym i przez całe młodsze rodzeństwo cenionym Kasprze. Dla idealisty Jana nie było nic właściwszego, jak do Krakowa powrócić.

Jeżeli to zaś za rzecz prawdopodobną uznamy, w takim razie zgodzić już nam się wypadnie na zdanie, i przez drugich już wyrzeczone, że przebywał nasz Jan tutaj aż do roku 1549, t. j. aż do sławnej owej, choć smutnej, wszystkich uczniów z uniwersytetu

i miasta secesyi i rozsypki na wszystkie strony świata, która z przyczyn każdemu pewnie w pamięci przytomnych, opisanych w Orzechowskiego kronice, wydarzyła się dnia 15 kwietnia 1549, a to głównie z podbechtania i pod przywodem burzliwego, a mimo to, a raczej może właśnie dlatego, wielki mir mającego między młodzieżą magistra *artium* Marcina Glosy z Wąchocka, który jak przy owejto sposobności, tak i w dalszym zawodzie swoim tak zawsze działał, jak gdyby się tylko na szkodę swego kraju narodził. Przeżył resztę swego życia w Królewcu na dworze księcia Albrechta, w którego ręku był jednem z najzręczniejszych narzędzi do zlutrzenia i do zniemczenia Prus wschodnich, wtedy jeszcze przeważnie polskich.

Spotykamy się teraz z przerwą w biografii Kochanowskiego, przerwą blisko dwuletnią (1549 — 1550), któreto lata ani nie wiemy gdzie przeżył, ani czem je zapełnił.

Mojem zdaniem, najprędzej spędził je w domu rodzinnym, przemarzył je myślami o podróży dalekiej, do krainy cudownej, gdzie niewiedzieć, co wprzód podziwiać — piękność natury, urok klimatu, poetyczność ludu, przepych dzieł ludzkich, sławę mistrzów uczonych, majestat kultu religijnego, a do tego na każdym kroku ślady owej jeszcze świetniejszej wielkości, minionej i powalonej w ruiny, a jednak władnącej nad umysłami i wymowniejszej nad wszystko. Zanim się matka i brat starszy zgodzili na potrzebę i na możliwość tej wędrówki kosztownej, zanim się oswoili z tą myślą, mogło upłynąć czasu tyle, ile go właśnie mamy tutaj przed sobą.

Inni sądzą o tem inaczej i przypuszczają, że na te właśnie dwa lata przypada bytność Kochanowskiego w jednym z uniwersytetów niemieckich. Dała do tego mniemania powód wspomniana tu już bezimienna biografia poety, wedle której miał Jan, po ukończeniu początkowych nauk w ojczyźnie, udać się w celu dalszego wykształcenia najprzód do Niemiec, następnie do Paryża, i spędzić w tych stronach lat siedm. Po upływie tych lat siedmiu miał się dalszym studyom oddawać w Padwie i Rzymie.

Z powyższemi datami trudno pogodzić wiadome nam skądinąd szczegóły, a niewątpliwe. Wiemy naprzykład od samego poety, z jego łacińskich elegii, że jego bytność we Francyi przypadła na

sam koniec jego nieobecności w Polsce; że wracał do kraju i do rodziny z Paryża; że uskutecznił ten powrót w roku 1557. Wiemy, że jego włoskie studya wyprzedziły czas w Paryżu przeżyty i że się poczęły w roku 1552, pod tymto rokiem bowiem zapisano imię jego w księdze młodzieży, świeżo do uniwersytetu padewskiego przybyłej.

Wiemy nakoniec, że przez pierwszą połowę roku 1551 bawił w Sycynie, a świadczą o tym jego wtedy pobycie w domu, zachowane dokumenta dawnych sądów radomskich, przed którymito sądami w rzeczonym czasie, w dwóch różnych chwilach, wraz z braćmi swoimi nasz Jan stawał dla załatwienia jakichś urzędowych czynności. Z tego wszystkiego wynika, że podróże Kochanowskiego rzeczywiście zapełniają jedynie przeciąg czasu od drugiej co najrychlej połowy roku 1551 aż do roku 1557, a odnosić je tylko można do Włoch i do Paryża. Dla Niemiec niema tu miejsca.

Niemieckie studya dałyby się jedynie umieścić w obrębie czasu po secesyi krakowskiej roku 1547, a przed czynnościami sądowemi w Radomiu w roku 1551, jakoż też rzeczywiście tam je kładą ci wszyscy, którzy w nie wierzą. Lecz i tak nawet odsłaniają się tu trudności, które nie wiem, jakby się dały usunąć.

Przedewszystkiem dziwić to może każdego, że to mniemane zetknięcie się Kochanowskiego z umysłowym światem niemieckim nie pozostawiło ani na nim, ani na dziełach jego żadnych śladów po sobie. Jego bytność we Włoszech i Francyi byłaby dla nas rzeczą pewną, choćbyśmy o niej skądinąd nic nie wiedzieli. Rozliczne wzmianki o stosunkach z tymi krajami, spotykane w dziełach poety, starczą za wszystko. Podobnego związku z niemieckim krajem żadne jego słowo nie zdradza. Nie kładę wprawdzie zbyt wielkiego przycisku na owo powiedzenie: »Nie uczyłem się w Lipsku, ani w Pradze wiary, i nie wiem, jako każą w Genewie u fary«, ponieważ słów tych autor nie wyrzekł od siebie, ale je włożył w usta Satyra, który w wiadomym utworze występuje jako personifikacya ducha starodawnej Polski, gromiącego zdrożności wieku. Ale godzi się zapytać, czy nie wieje z tych wierszy pewien wstręt do tych źródeł nowomodnej, zawracającej głowy mądrości, który i samemu autorowi nie mógł być obcym? — Że bezimienny biograf tak pozytywnie mówi o wyjeździe Jana do Niemiec, nie zdaje mi się być dowodem rozstrzygającym. Tyle nam mylnych rzeczy naopowiadał o tym całym okresie w życiu Kochanowskiego, że i co do tego

szczegółu mógł się pomylić, mógł pomieszać daty dotyczące Jana z rzeczami do innej ściągającemi się osoby, możliwość czego niżej okażę. — Inne poszlaki z dzieł Jana powoływane, także nie wytrzymują próby. Tak n. p. owe słowa w wierszu »Do gór i lasów« (wyd. Turow. I, str. 87), gdzie powiada, że był w stronach świata najdalszych, że »Francuzy, Niemcy i Włochy nawiedził« — czyż mogą stanąć za dowód rzeczy, o którą się tutaj rozchodzi? Kto, jak Kochanowski, z pośpiechem, więc najkrótszą dążył drogą z Paryża do Sycyny, oczywiście musiał »Niemce nawiedzić«. Albo owo drugie miejsce, w utworze pisanym prozą »O pijaństwie, jako to jest rzecz sprosna« (II, str. 173): chwali tu autor Włochów, ponieważ to naród trzeźwy; o Niemcach zaś powiada: że »takież to ożralcy, jako i my«. Czy spostrzeżenie to słuszne, tego ja nie wiem; ale jeżeli tak było, to ażeby powziąć o tem wiadomość, nie potrzeba było na to studyów akademickich na miejscu. — Zresztą niechże nam kto dowiedzie nakoniec, którato była ta akademia niemiecka, wybrana przez Kochanowskiego na to, żeby w niej dopełniać nauk nieukończonych w Krakowie? — Powszechnie wskazują wittenberską, jako szkołę nie tylko pod względem naukowym wtedy między wszystkiemi tego kraju, ale i z powodów religijno-konfesyjnych najbardziej pociągającą do siebie młodzież z całego świata. Z Wittenberga wyszedł Luter; w Wittenbergu panował w tych właśnie latach po dyktatorsku nad umysłami przyjaciel i pomocnik Lutra Melanchton; do Wittenberga ciągnął i z Polski w tych czasach każdy kto tylko miał na to środki. Że rzeczywiście tak było, tego nie przeczę; ale stanowczo mogę oświadczyć, bo wiem o wszystkich w tej szkole się kształcących Polakach w XVI wieku, że ani Jana, ani żadnego innego Kochanowskiego między uczniami wittenberskimi nie było. Również nie miał zaszczytu liczyć Jana do adeptów swoich i drugi wtedy kwitnący niemiecki uniwersytet, t. j. lipski, choć znaczna ilość innych naszych rodaków pobierała i tam wtedy swoje nauki, a między nimi i rodzony brat poety naszego Mikołaj, autor pozostałych po nim wierszy, wydawanych kilka razy po jego śmierci dopiero już to osobno, już razem z Jana dziełami, pod tytułem »Rotuły do synów swoich«. Mikołaj Kochanowski zapisany jest do Album lipskiej wszechnicy w roku 1555, uczęszczał więc do niej w czasie, kiedy brat jego starszy albo już gościł w stolicy Francyi, albo się do niej wybierał. I tato też najprędzej okoliczność dała powód bezimiennemu biografowi Jana do

popełnienia omawianej tutaj pomyłki. Tak jak dzieł tych dwóch braci później częstokroć nie rozróżniano i w oczach niejednego uchodziły za niepodzielną Jana tylko samego własność, tak też ich studya spłynęły po ich zgonie w jedno wspomnienie, odniesione do jednej tylko osoby.

Zatem kilkoletni przeciąg czasu, spędzony pod włoskiem niebem, po bezpośrednim wyjeździe Jana z ojczyzny, począł się w dwudziestej drugiej jego wiośnie i stanowi w każdym razie kulminacyjną w dziejach studyów jego epokę, której jednak bliższymi szczegółami o nim z tego czasu zapełnić nie możemy, nie mając ich skąd zaczerpnąć. Że Rzym nawiedził, że do południowych Włoch dotarł, jest rzeczą pewną, ale też na tem kończy się cała nasza w tym względzie wiadomość. W Wenecyi musiał strawić czas dłuższy. Są tego ślady w ulotnych tak łacińskich jak i polskich jego poezyach. Biograf wspomina o zażyłości z Manucyusem. Uczony ten humanista, Paweł Manuzio, był stałym mieszkańcem stolicy dożów, tam zatem tylko mogli się z sobą widywać. Skoro się znał z Manucyusem, trudno przypuścić, żeby nie był wszedł Kochanowski w bliższe związki i z jego przyjacielem, sławnym Karolem Sigonio, który począwszy od roku 1552 zajmował w weneckiej, wielkiego wtedy rozgłosu szkole katedrę, choć nazwy akademii nie miała, powołany do niej z Modeny. Tegoto Sygoniusa, mistrza i przyjaciela Zamojskiego, powoływał w kilkanaście lat później do Polski nasz król Batory razem z Antonim Muretem i Jakóbem Zabarellą na profesorów akademii krakowskiej — niestety bezskutecznie. Władze włoskie, zazdrosne sławy tych mężów, podwyższając szczodrze ich płace, potrafiły udaremnić to staranie się o nich króla polskiego. Również i co tylko wspomniany Muret, rodem Francuz, czterema tylko laty starszy od naszego Kochanowskiego, nie mógł mu pozostać nieznanym, jeżeli, jak przypuszczam, pobyt Jana w Padwie przeciągnął się po za rok 1553; już w następnym bowiem roku pierwszorzędny czasu swojego ten latynista osiadł tam nad Adryatykiem w charakterze publicznego profesora, porzuciwszy francuską swoją ojczyznę, w której nie widział właściwego dla siebie pola działania.

Jednakże powyższe stosunki z Wenecyą mogły mieć dla Kochanowskiego tylko drugorzędne, pomocnicze znaczenie. Właściwem źródłem, z którego wiedzy zaczerpnął, była dla niego Padwa; z tem miejscem łączył go stale jego akademicki charakter i tu najdłużej przebywał. Trafił tu na czas największego rozkwitu nauk, wykładanych w uniwersytecie przez pierwsze siły, na jakie się zdobyć wtedy mogła ta ziemia klasyczna; na czas wielkiego też do tej szkoły napływu młodzieży z całego świata. *Poetae, oratores, philosophi non ignobiles Patavii habitant* — pisze do swego rodaka jeden ze współczesnych, a nieuprzedzonych, bo postronnych świadków tego życia umysłowego — *et sapientia in unam urbem commigravit veluti in aliquam domum, ubi Pallas omnes artes docet. Neque ullus locus est, ubi melius tua illa inexhausta legendi et audiendi aviditas exsatiari possit*". Szczególniej był Kochanowskiemu przewodnikiem w jego postępach tutejszych humanista, wierszopis łaciński i profesor padewski Franciszek Robortello, powołany do wykładu rzymskiej i greckiej literatury po śmierci Łazarza Bonamicego w roku 1552, a zatem właśnie w chwili przybycia Jana naszego do Padwy. W późniejszych latach, po roku 1560, zmniejszył się urok imienia tego męża, kiedy się zadał w namiętną polemikę ze Sygoniusem, ubliżającą i powadze stanowiska, jakie zajmował, i godności nauki, której był przedstawicielem. Był to bowiem człowiek gorącej krwi, zaciekły i niepowściągliwy, chciwy sławy, nie znoszący współzawodnictwa, gotów do walki z każdym, kto mu się zdawał być zdolnym do zakwestyonowania jego przewagi. Sygonius wprawdzie o tem nie myślał, ale znajdował się względem niego właśnie w tem położeniu, zwłaszcza od czasu, kiedy i jego już przeniesiono do Padwy, tak iż chcąc nie chcąc musiał rywalizować z kolegą. Rozdzieliła się wtedy cała młodzież uniwersytecka na dwa przeciwne sobie i nienawistne obozy, któryto rozdział i rozbrat przeszedł wkońcu na takie tory, że spowodował nareszcie władzę rządową do surowego wkroczenia w te zatargi uczonych. To jednak nastąpiło później. Lecz w owych latach pobytu Kochanowskiego we Włoszech, poczynał się dopiero ów antagonizm, i miał Robortello wtedy powszechne jeszcze uznanie gruntowności, erudycyi, smaku, bystrości krytycznej, zamiłowania w nauce i niepośledniego talentu, którychto zalet nie można mu było i później nawet, pomimo wszystkich przywar jego osobistych, odmawiać. Wydawał w krótkich po sobie odstępach wiele

dzieł w swoim czasie cenionych, treści po największej części literacko-dziejowej i estetycznej, w odniesieniu do starożytnych klasyków obojga języków. A nierównie bardziej jeszcze pociągał uczniów ku sobie swoim pełnym życia i werwy, prawdziwie wymownym i zajmującym wykładem ustnym, pod którymto względem równać się z Robortellem nie mógł nawet głębszy od niego jako pisarz i jako badacz, przeciwnik jego Sygonius.

Osiągnąwszy już korzyści, jakie przy zdolnościach w takim kraju, pod takiem kierownictwem i wśród takiego otoczenia można było sobie przyswoić, zwrócił się Kochanowski ku Francyi, zamienił Padwę na Paryż. W którym roku to zaszło, tego nie wiemy. Jaki był cel tej podróży? czego mógł szukać w Paryżu? — trudno i to odgadnąć. Że nie dla uniwersytetu, ani dla nauk tam jechał, widzi mi się być pewnem.

Uniwersytet paryski miał w zamierzchłych wiekach średnich prawowicie nabytą sławę pierwszorzędnej w świecie szkoły i korporacyi ludzi uczonych. Od Abelarda w wieku XII począwszy, idzie przez kilka dalszych stuleci zwarty szereg mężów wielkiego imienia, około których w tem mieście gromadziły się tłumy chciwych ich słowa słuchaczów. Składały się one nie tylko ze szkolnej młodzieży, ale i z ludzi dobrze już obytych z nauką: z krajowców i z wędrowców z daleka, a ci ostatni przybywali do Paryża nie tylko ze stron otrząsających się dopiero z ciemnoty, ale i z krajów posiadających już i własne takie ogniska lub zawiązki życia umysłowego, jakiemi były Oxford i Cambridge dla Anglii, Walencya, Coimbra i Salamanca dla Hiszpanii, Bolonia, Salerno i Padwa dla Włoch i t. d. Idee przewodnie w wykładach tych nadsekwańskich, pochwycone przez podziwiającą je młodzież, stawały się potem hasłami ruchu naukowego i wszędzie indziej. Pisma tu dyktowane przez takiego Piotra Heliae albo Piotra Lombarda, stawały się potem tekstem naukowym i materyałem wykładu dla szkół w całej dalszej Europie, o ile takowa brała udział w tej wspólnej pracy duchowej.

W epoce odrodzenia sztuk i nauk jednakże, dał się ten uniwersytet wyprzedzić innym. Jakoż już od XV wieku począwszy, taki w nim widzimy stan rzeczy, że jeden chyba tylko teologiczny

wydział utrzymywał się i nadal przy reputacyi, jaką sobie zdobył był w wiekach poprzednich. Inne nauki, a zwłaszcza w wydziale sztuk wyzwolonych, kiedy je się porównywało ze sposobem, jak je pielęgnować zaczęto we Włoszech, nie mogły w nikim, co rzecz znał z blizka, podziwienia obudzać. A chociaż tak u nas, jak w innych krajach ceniono sobie i wtedy jeszcze wysoko zaszczyt stopni akademickich osiągniętych w tej akademii, przypisać to należy daleko bardziej sile tradycyi i powziętej raz wiary w doskonałość paryskiej umiejętności, aniżeli znajomości stosunków.

Dla illustracyi tego, co mówię, niech mi będzie wolno przytoczyć okoliczność następującą: Pod koniec XV wieku miała akademia krakowska w swojem gronie profesora, nazywanego powszechnie »mistrzem paryskim« *(parisiensis)* z powodu, że z Paryża przywiózł sobie ten stopień. Był nim Michał z Bystrzykowa. Otóż kiedy z tą promocyą do Krakowa powrócił, trzeba mu było dokonać tu formalności, którą my dziś zowiemy nostryfikacyą doktoratu, a tamtocześni nazywali to *„respondere pro loco“*, t. j. egzaminem a raczej dysputą o miejsce przyznać się odnośnej osobie mające między mistrzami tutejszymi. Dysputa tego paryskiego mistrza trwała dzień cały i następnego połowę, a oponentów wystąpiło przeciwko niemu 30 — sami już w posiadaniu miejsca będący mistrzowie. Przedmiotem dysputy była propozycya, którą tu muszę powtórzyć w oryginale, na polskie bowiem przełożyć jej wcale się nie podejmuję. Brzmiała tak: *Utrum materia prima sit entitas actualis et potentativa simpliciter simplex, per se cognoscibilis et per se reponibilis in praedicamento, ab entitate formae et privatione realiter distincta et absque contradictione ab eisdem separabilis?*

Takiejto więc filozofii uczono wtedy w Paryżu i takąto w tej akademii wtedy mówiono łaciną! Zdarzenie, o którem wspomniałem, ściąga się wprawdzie do czasu nieco dawniejszego, zaszło w roku 1485; lecz stosunki tego rodzaju, wynikające z panującego systemu, skłonnością tradycyjną całej korporacyi poparte, szczególnie w tamtych wiekach, powolniejszem tętnem bijących, nie dawały się tak łacno przekształcać i ku lepszemu nawodzić. Zresztą nie brak nam i wręcz na świadectwach autentycznych, bo i krajowych i współczesnych i z pośród samego tego uniwersytetu wynikłych, że w nim stan rzeczy nawet i za Franciszka I jeszcze najskromniejszych wymagań nie zaspakajał. *„Ante excitatum*

a Francisco rege humanitatis studium, omnium artium barbaries in academia regnabat", mówi Piotr de la Ramée (Ramus), profesor łacińskiej wymowy w tej akademii za czasu rządów Karola IX, w mowie mianej do tego króla „*Pro reformatione universitatis*". Wzbudzenie dążeń humanistycznych, wspomniane tu jako czyn za Franciszka I, zasadzało się na tem, że zostało założone i uposażone przez tego króla około roku 1540 nowe kolegium, t. zw. »królewskie«, zaopatrzone w katedry, między innemi i do wykładu wszystkich trzech starożytnych języków. Jednę z tych katedr właśnie zajmował wspomniany co tylko Ramus. Był gorącym zwolennikiem klasyczno-humanistycznych dążeń; całe życie toczył walkę ze stronnikami dawnego systemu, którzy i potem ton nadawali w uniwersytecie; i z ichto też poduszczenia marną śmiercią zakończył życie, zamordowany przez najętą rękę w roku 1572. Że dbał o piękność języka, nazywano go *logodaedalos* — i stąd cała między nimi nienawiść.

Powyższe jednostronności i niedostatki w paryskich uniwersyteckich stosunkach nie mogły oczywiście być niewiadome Kochanowskiemu, i byłoby to zaprawdę rzeczą dziwną, gdyby po tem wszystkiem, co przeszedł, on, młody człowiek lat sobie już liczący wtedy conajmniej 25, miał był podjąć ową podróż do Francyi, jako presumptywny student szkoły, w którejby nie bez pożytku dla niej mógł był zająć miejsce raczej profesora. Tak być w żaden sposób nie mogło. W czem innem szukać należy powodu tej podróży Jana do Francyi. Mógł chcieć kraj zwiedzić, stolicę jego poznać, języka się nauczyć, wreszcie rozerwać się po kilkoletniej mozolnej pracy — albo też były tej bytności w Paryżu jakie inne jeszcze przyczyny, nad któremi głowę sobie łamać nie zda się na nic.

Cokolwiekbądź było, jednakże pominąć nie możemy, że po za murami szkoły rozgrywały się w tamtoczesnej stolicy Francyi, w jej sferach inteligentnych dążności, które dla poezyi francuskiej epokowe spowodować miały następstwa; działy się rzeczy, które i naszego wędrowca uwagę zwrócić na się musiały i zajmowały go coraz żywiej. Na sam środek XVI stulecia przypadł tam przełom w literaturze. Dawne tradycye zużyły się, dawne sposoby rymotwórstwa straciły urok. Przed oczyma młodszej generacyi stanął inny ideał. Wytknięto sobie inną drogę, wywieszono inny sztandar, pod nowem hasłem rozpoczynano zwrot z dotychczasowych torów.

Cała plejada sił nowych pojawiła się na widowni — Ronsard wziął pod swoje rządy parnas francuski.

Wiele już mówiono o wpływie tego poety na Kochanowskiego. I ja pewnego wpływu nie przeczę — nie trzeba tylko przeceniać go ani tam szukać, gdzie go nie było i być nie mogło.

Nie mówiłem dotąd wcale o Kochanowskim jako poecie, ani o jego poezyach. Śledziliśmy jedynie bieg jego nauk, rozwój jego wykształcenia. Teraz spróbujmy jednak utworzyć sobie o tem wyobrażenie, co mógł on znaczyć jako poeta — w chwili kiedy się z Ronsardem spotkał, i czem był w chwili owej i Ronsard.

Przypuszczam, że wrodzony Janowi naszemu pociąg poetycki, władać nim zaczął we wczesnym już wieku, i że nie ograniczał się u niego do samego tylko podziwiania obcych kreacyi. Żyłka poetyczna zdaje się była w jego rodzie familijnym, dziedzicznym darem. Jeden z najmłodszych jego braci, Andrzej, zostawił po sobie przekład Eneidy. Drugi brat, Mikołaj, nucił pieśni, których tylko pewnie część stosunkowo nieznaczna zachowana nam jest pod nazwą »Rotułów« do swoich synów. Jeden z tych właśnie synów Mikołajowych, Piotr Kochanowski, dokonał tłómaczenia Jerozolimy Tassa i Orlanda Ariosta, wierszem niepośledni znamionującym talent. A co się tyczy samego Jana, w Trenach poświęconych Urszulce, mówi o niej stroskany ojciec jako dziedziczce lutni swojej: zagasło wprawdzie jej życie, zanim mogła wziąć w posiadanie ten spadek rodowy — ale że ktoś, choćby to była pokądzielna dziedziczka, musiał być w rodzinie, coby przejął tę lutnię, to widocznie i jemu było świadomem.

Wobec tego pierwsze próby poetyckiej twórczości Jana odnieść nam się godzi pewnie już do krakowskiej życia jego epoki. Mógłże nie poznać i nie odczytywać utworów w onych latach, które właśnie tam w Krakowie wychodziły z pod pras drukarskich? Były to przecie już czasy, gdzie A. Trzecieski, Rej, i różni inni z imienia dziś nam nieznani pieśniarze, ogłaszali swoje rymy, które dla samej choćby już tej przyczyny, że to były polskie pieśni, zwracały na się uwagę powszechną, a zwłaszcza w gronie młodzieży krążyły z ręki do ręki. Wtedyto, za bytności Jana w Krakowie, pojawił się Rejowski »Żywot Józefa« (roku 1545); w tymże roku wyszedł z druku zbiór owych rzewnych i wielkiej piękności, choć w łacińskim wypowiedzianych języku, »Elegii« Janickiego, krótko przed ich ogłoszeniem odprowadzonego do grobu w pierwszym

kwiecie młodości, że tu już inne tamtoczesne publikacye pominę. A jeżeli czytając to wszystko, podlegał Kochanowski wrażeniom, dającym nam się łatwo odgadnąć, to jakże nie miało go to porywać i do próbowania sił własnych?

Za przybyciem do Włoch otworzył się przed nim widnokrąg nierównie szerszy. Z jednej strony kult poezyi nowoczesnej łacińskiej, tak powszechny w tym narodzie, że samemi imionami ludzi, uprawiających z powodzeniem tę sztukę w tej generacyi, dałyby się zapełnić całe kolumny; z drugiej strony narodowa włoska poezya, w pełnym już swoim rozkwicie, z przeszłością więcej niż dwuwiekową, jak najściślej zespolona z życiem rzeczywistem ludu, który poetów swoich umiał na pamięć. Geniusz Danta wprawdzie stał jeszcze w cieniu, jak wnętrze gotyckiej świątyni. Mało kto wtedy oryentował się w jego kreacyi, a stąd pozostała ona może i Kochanowskiemu nieznaną. Ale Petrarka! ale Ariost! — Orland Szalony miał 60 osobnych wydań w ciągu samego XVI stulecia, a Petrarka takiem był już bożyszczem wszystkich, że każde słowo, każda sylaba przezeń użyta, służyła za przedmiot podziwu u jednych, komentarzy u drugich, naśladowania u wszystkich. Żyć w atmosferze takiej — jakże to nie miało działać na wyobraźnię tego młodego Polaka, wprowadzać go w nowe światy — wzbudzać w nim aspiracye, nieznane dla niego w ojczyźnie?

Nie wszystkie wprawdzie jego rzeczy, pochodzące z owego czasu, dają go nam widzieć pod wpływem tych włoskich wrażeń. Działał na niego i wpływ starożytnych wzorów, w ducha których miał teraz sposobność wniknąć głębiej, niż kiedykolwiek. Jego Elegie łacińskie treści erotycznej, zdradzają takie niewolnicze jeszcze naśladownictwo i poruszają się w ciasnem konwencyjnem kole książkowych reminiscencyi. Gdyby nie wiersz, zawsze misternie toczony, i dykcya jakby wykradziona klasykom, nie byłoby przyczyny zwracać na te elegie uwagi. Są jednakże i między niemi niektóre z formy i treści godne takiego poety, n. p. owa »elegia o Wandzie«, ostatnia w księdze pierwszej, złożonej po większej części z robót wykonanych we Włoszech. — Uwielbienia dla Petrarki zostały ślady nie tylko w kilku foricoeniach, wręcz oznaczonych jego imieniem, ale i w niektórych polskich pieśniach, bądź osnutych na temat od tego poety zapożyczony, bądź wykonany jego formą — jako sonety, pierwsze sonety w naszej literaturze. — Poemat »Szachy«, zdaniem mojem, także z owego czasu pochodzi. W początkowej swojej

części (dopóki chodzi o wykład prawideł gry) jest to parafraza łacińskiego, taksamo zatytułowanego poematu M. Hieron. Vidy, współczesnego poety, który ten swój utwór skomponował w wieku swoim młodzieńczym, nie mając więcej jak lat 20 Odbywał wtedy studya swoje w Padwie około roku 1510. (Z druku wyszedł ten poemat Vidy dopiero r. 1527). W dalszym jednak wątku Szachów autor polski porzuca swój oryginał, zastępuje go własną inwencyą, której akcya się rozgrywa — nie jak u Vidy, w mytologicznym Olimpie, ale w romantycznej gdzieś daleko krainie — w Danii na dworze królewskim. Choć rzecz sama, od tego miejsca począwszy, jest więc zupełną własnością Kochanowskiego, to któżby jednak w jej przeprowadzeniu całem nie widział oczywistego wpływu Ariosta? U tegoto tylko mistrza w tym rodzaju poezyi mógł się nasz młody poeta tej elegancyi w traktowaniu przedmiotu i tej lekkiej potoczystości w dykcyi nauczyć. — Taksamo i co do *Carmen macaronicum de eligendo vitae genere* byłbym skłonny przypuszczać, że to zabytek z tej bujnej studenckiej pory życia naszego Jana. I do tego mu dostarczyły formy gotowej wzory tego właśnie rodzaju, już wtedy istniejące we włoskiej literaturze, a właśnie z Padwą zostające w ściślejszym związku. Tylko że Kochanowski w porównaniu z wyuzdaną swawolą swych poprzedników umiał zachować pewne jeszcze, bodaj stosunkowe umiarkowanie. Jednym z tych poprzedników, był Teofil Folengo, piszący począwszy od roku 1519 pod przybraną nazwą Merlina Cocaja, zmarły i pogrzebany w najbliższej okolicy Padwy, w Campese († 1544). Drugiego rzeczywiste nazwisko nie jest nikomu wiadome. Zostawił utwór, wydawany kilka razy w końcu XV wieku i później, pod tytułem *Typhis Odaxii Patavini, Carmen macaronicum de Patavinis quibusdam arte magica delusis.* Treść utworu Kochanowskiego nie zostaje w żadnej zawisłości od tej włoskiej publikacyi, ale tytuł obydwóch podobny, a sposób i mieszanina językowa tasama.

Czynilibyśmy jednak ujmę poecie, gdybyśmy mu tu podsuwali same tylko utwory, z formy lub rzeczy zawisłe od obcych wzorów. Dostrajał on tam lutnię swoją i do uczuć własnego wnętrza, a nad owładnięciem języka musiał usilnie pracować, jeżeli tamtoczesny jego wiersz polski posiada już wszystkie znamiona prostoty, siły i wdzięku, jakie w obrębie Zygmuntowskiej epoki były właściwe dykcyi samego tylko wieszcza czarnoleskiego. Dość tu przypomnieć

ową pieśń jego do Boga, zaczynającą się słowami: »Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary«, o której wiemy, że ona pierwsza rozsławiła imię poety, jeszcze wtedy nieobecnego w ojczyźnie; że była na jakimś zjeździe sandomirskiej szlachty w przytomności Reja i J. Zamojskiego czytaną z powszechnem podziwieniem, kiedy jej autor bawił jeszcze we Francyi. Czy rzeczywiście we Francyi, czy może jeszcze we Włoszech — jest dla mnie obojętnem; wystarcza mi tu to jedno stwierdzić, że zdarzenie to mogło zajść co najpóźniej roku 1555, skoro młody wtedy Zamojski, już od r. 1556 przebywający za granicą, był zjazdowi owemu przytomny. — Tak więc już w tych wczesnych latach miał w swej tece Kochanowski twory takiego nastroju! Ileż innych, mniej udatnych, musiało poprzednio z pióra jego wypłynąć, nim stanął na tej wyżynie!

Po takichto więc przejściach w poetyckim swoim zawodzie, przybył nasz Jan do Paryża i znalazł sposobność poznania się z Piotrem Ronsardem. Zobaczmyż teraz, jaką w chwili owej miał Ronsard przeszłość za sobą.

Był o 6 lat od Kochanowskiego starszy wiekiem, ale nie doświadczeniem pisarskiem; pod tym względem bowiem byli oni sobie obydwaj rówiennikami, a to z powodu, że francuski poeta swoją młodość spędził poniekąd w sposobie naszego Reja i bardzo późno zasiadł do pracy. Oddany w 9tym swoim roku do Collège de Navarre w Paryżu, nie zagrzał tam miejsca dłużej jak pół roku; rygor szkolny bowiem do smaku mu nie przypadał. Wtedyto ojciec, sam dworzanin królewski, przeznaczył i syna do dworskiej służby. Młody Piotr wchodzi w poczet paziów jednego z książąt krwi — znajduje w tej funkcyi sposobność nawiedzenia obcych krajów, poznaje Szkocyę, Anglię, Niemcy, korzysta z tego ile możności, starając się nadrobić brak wykształcenia wrodzonym sprytem, dworskim polorem i kawalerską galanteryą francuską. W takich stosunkach upływa mu cała dziesiątka lat. Kiedy należąc do czyjegoś orszaku, spędzał razu pewnego czas dłuższy w Niemczech, zapadł w ciężką jakąś słabość, w następstwie której prawie zupełnie utracił słuch — rzecz dla człowieka w jego położeniu fatalna, bo w służbie dworskiej, jak to współczesny Ronsarda biograf Binet powiada, dobrze jest mówić samemu mało, ale słyszeć trzeba wszystko, co się mówi wokoło. Prawdy tego powiedzenia doświadczył Ronsard nieraz na sobie. Wreszcie kiedy minął rok jeden i drugi, a głuchota nie ustępowała, zdecydował się w roku swoim

19tym porzucić swoją funkcyę nadworną. Zwraca się teraz, i to z największym zapałem, do nauk, nie zrażając się tem bynajmniej, że przyjdzie mu je rozpocząć od najpierwszych początków. Smakował oddawna w poezyi francuskiej, więc obiera sobie kierunek nauk literacki, humanistyczny. Przystaje do dwóch najcelniejszych wtedy w Paryżu znawców starożytnej literatury, Jana Dorata i Adryana Turneba, i pod ich kierownictwem dni i noce trawi nad poetami rzymskimi i greckimi, których staje się wielbicielem bezwarunkowym. Trwały te jego studya lat 7, od r. 1543 do 1550. Działo się to zatem w tym samym czasie, w którym nasz Kochanowski w Krakowie na naukach przebywał. Ale naszemu Janowi miała niedostatki w tych krakowskich jego studyach uzupełnić dalsza praca, pod okiem mistrzów włoskich. Ronsardowi smak i uczoność jego dwóch paryskich profesorów, wszystko musiała zastąpić.

Zaraz po wyjściu z pod ich opieki, zaczął się u francuskiego poety czas jego czynności autorskiej i rozgłosu osięganego w coraz szerszych kołach. Zerwał zupełnie z dotychczasowemi w poezyi francuskiej tradycyami, a natomiast postanowił sobie tak pisać, żeby to jego narodowi każdem słowem przypominało te wzory, nad których zrozumieniem i przyswojeniem sobie ich ducha tyle czasu przepędził. Zaczął od reprodukcyi starożytnych liryków — i ujrzała wtedy Francya po raz pierwszy w swojej literaturze »Ody« i »Hymny« w rodzaju Horacego i Pindara. Wielkie w owych czasach na dworze francuskim, w otoczeniu królowej Katarzyny Medici, było rozmiłowanie w poezyach Petrarki. Ronsard zatem zapragnął i tę plantę przesadzić na grunt francuski: pisze sonety miłosne. Osnowy do nich mógł czerpać chyba tylko z Petrarki, bo żadna Laura nie panowała jeszcze wtedy nad jego sercem. Od czegoż jednak wyobraźnia i pamięć? Przypomniał sobie, że kiedyś dawno, kiedy jeszcze był w dworskiej służbie, gdzieś w przejeździe raz jedyny widział osobę, której piękne imię — niestety tylko imię go uderzyło: klasyczne imię Kasandra. Otóż Kasandry tej uwielbienie dostarczyło sztucznego materyału do tych sonetów, których po czasie niedługim tyle się w tece poety znalazło, że wyszły z druku podzielone na kilka ksiąg. Również i Ód wyszły wtedy od razu już cztery księgi. Prócz tych ód i sonetów, przypadają jeszcze na owe lata poematy okolicznościowe, t. j. pisane z okazyi ślubów, narodzin, zgonów, wjazdów, powitań, odjazdów i innych tego ro-

dzaju zdarzeń na dworze królewskim. Starał się i w tych utworach ściągnąć Parnas klasyczny na poziom potrzeby swojej.

Otóż takito był stan rzeczy co do Ronsarda, kiedy się z nim Kochanowski w Paryżu spotkał, poznał i jeżeli może o tem być mowa, wszedł z nim w bliższe stosunki. Jakkolwiek bowiem w niejednem już piśmie dotyczącem Kochanowskiego, tak podniesiono tę zażyłość między nimi i tyle do niej przywiązywano ważności, że miało się od owej chwili począć nowe dla Jana życie: to my tę zażyłość nazwać musimy tylko domysłem, nieopartym na żadnej pewnej podstawie i bardzo mało prawdopodobnym. Wszystko, co nam o tem wiadomo, ogranicza się do owych kilku słów o Ronsardzie, które znajdujemy w łacińskiej Kochanowskiego elegii, w dwa lata po powrocie jego z Francyi do kraju pisanej, w »Elegii do Karola«. Karol ten, przyjaciel i niegdyś towarzysz podróży Kochanowskiego, był widocznie rodem Francuz i jak wszyscy wtedy jego rodacy, zapewne wielbiciel autora sonetów do Kasandry. Jak więc znalazło się w tej elegii miejsce dla przydłuższego wspomnienia, z szczerem wypowiedzianego współczuciem, o świeżo wtedy zmarłym królu francuskim Henryku II, tak też nie mogło się w niej obyć bez wzmianki i o tej drugiej tam wtedy w Paryżu znakomitości. Cała ta wzmianka jest taka:

Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wsławiony,
Co do mowy ojczystej nawiązuje strony.
Słysząc go, ledwiem nie rzekł, że to Orfej wtóry
Lub Amfion układa siedmiobramne mury,
Że rzeki zachwycone pęd swój zatrzymały
I na głos niesłyszany ruszyły się skały.

Mnie się powyższe słowa daleko bardziej wydają konwencyjnym komunałem, niż żeby z nich wyzierała jaka serdeczna pamięć, jaka osobista skłonność do człowieka wspominanego w ten sposób. Były te słowa tylko echem już wtedy powszechnego zdania Francuzów o tym swoim poecie: powtarza je tu Kochanowski za nimi, ale tak chłodno, jak gdyby rzeczywiście o mytycznym Orfeju lub Amfionie mówił, a nie o osobie, którą znał i darzył swoją przyjaźnią, lub którejby — w razie jeżeli takiej znajomości nie było — choć hołd uznania rzeczywiście płynący z serca i z przekonania własnego przesyłał. Ale i tego nie przypuszczam.

Ronsard za życia swego był przedmiotem uwielbienia narodu, jak mało kto przed nim i po nim; lubił on i sam siebie nazywać

i drudzy go nazywali księciem poetów francuskich. Była to jednak wielkość sztuczna i pół wieku nie upłynęło, a prysła jak bańka mydlana. Malherbe zachwiał jego sławę w podstawach. Arnauld w XVII już wieku wyrzekł, że prawdziwy to wstyd dla Francyi, że tak ceniła mizerne poezye Ronsarda.

Jakiego zdania był o nim Kochanowski, kiedy w Paryżu patrzał na rosnącą jego sławę, tego wiedzieć nie można. Trudno jednak nie przypuścić, żeby mu i wtedy już nawet miała być obcą świadomość, że co innego jest we własnej literaturze starożytne wzory w godziwy i własnego ducha niezacierający sposób naśladować, odtwarzać, a co innego być naśladowcą niewolniczym i śmiesznym do tego stopnia, że niema żadnej przesady w słowach, które Boileau o Ronsardzie powiedział: *Sa muse, en français, parlait grec et latin.*

Lecz rozwijać dalej tych stosunków obcej nam literatury nie jest rzeczą zadania mego. Mnie tu wystarcza naznaczyć, że jak styczności z żywiołami niemieckimi nie mogłem się wyżej w niczem u Kochanowskiego dopatrzyć, tak też i owe mniemane wpływy Ronsarda na niego zdają mi się być przywidzeniem. Wpływ i kierunek stanowczy nadawała mu tylko starożytna i włoska literatura w tej epoce jego młodzieńczej, którą zamknął powrotem z Paryża do ojczyzny w r. 1557, kiedy go doszła wieść o śmierci jego matki i żądaniu rodzeństwa, aby jak najspieszniejszem przybyciem do Sycyny umożliwił czynność działów majątku rodzicielskiego.

MIEJSCE URODZENIA
ADAMA MICKIEWICZA.

List do redaktora „Tygodnika Illustrowanego“ *.

Szanowny Redaktorze!

Co tylko ukończyłem czytanie nowego dzieła p. Piotra Chmielowskiego o największym naszym poecie. Z powodu tegoto dzieła powziąłem zamiar napisania słów kilku, o których zamieszczenie w »Tygodniku« poważam się prosić. Nie będzie to recenzya, tem mniej polemika z szanownym autorem. Chodzi mi tu o podniesienie jednego tylko punktu, o objaśnienie jednej tylko kwestyi, której p. Chmielowski nie rozstrzygnął i nie mógł rozstrzygnąć, ponieważ nie była i nie mogła mu być wiadoma pewna okoliczność, znana mi od bardzo dawnego czasu, ale nigdy dotąd nie spożytkowana przezemnie, czy to żem do niej nie przywięzywał wielkiej wagi, czy też że mi się sposobność do tego nie nastręczyła. Ściągam, co mówię, do miejsca urodzenia Adama Mickiewicza, którem nie był ani podawany przez Syrokomlę, a za nim przez Wójcickiego, Osowiec (Osowca żadnego w całej okolicy nowogródzkiej podobno niema), ani Nowogródek, ani właściwie Zaosie, ale inna, tak drobna i nic nieznacząca miejscowość, że w niej poeta nasz tylko tyle, że na świat przyszedł, ale w niej zresztą przez całe swoje życie ani dwudziestu czterech godzin nie spędził.

Skoro zaś tak się rzecz miała, skoro miejsce urodzenia Adama żadnego mieć nie może znaczenia w jego biografii i było co się zowie czemś przypadkowem, to się każdemu nasunie pewnie uwaga,

---

* Obacz rocznik tego Tygodnika 1886.

że niema o czem pisać i za miejscowością tą szperać. Cieszyć nam się i dziękować Bogu, że nam męża takiego zesłał, a za rzecz obojętną uważać, gdzie on się, jeżeli to zaszło w takich okolicznościach, narodził. Tak właśnie i ja dotąd sądziłem. Obecnie jednak, kiedy widzę w książce p. Chmielowskiego, t. j. w »Dodatku« do tomu I-go, zestawione w jeden obraz wszystkie tak różniące się między sobą mniemania o miejscu urodzenia poety, i kiedy okazuje się, że pomimo iż ta sprawa tyle już piór zatrudniała, nie przyszło dotąd jednak (ani nawet i w tem dziele) do trafnego rozplątania kontrowersu: toć zbytecznem już nie będzie, jeżeli i ja głos w tej sprawie zabiorę, podając do wiadomości publicznej, co mi o niej przypadkowo wiadomo.

Przedewszystkiem uważam za potrzebne przypomnieć tu stan rzeczy, jak on się w dziele p. Chmielowskiego przedstawia.

W głównym tekście, na str. 18-ej tomu I-go, pisze szanowny autor tak:

W Nowogródku w r. 1796 urodził się rodzicom naszego poety najstarszy ich syn, Franciszek Mickiewicz. »Tu też, najprawdopodobniej, przyszedł na świat w samę wilię Bożego narodzenia, według starego stylu d. 24 grudnia r. 1798 (czyli 4 stycznia r. 1799 według stylu nowego), Adam M.« — Następnie podaje p. Chmielowski datę czasu i miejsce chrztu: ten nastąpił dopiero d. 12 lutego st. stylu, więc w pięćdziesiąt dni po urodzeniu, w Nowogródku.

Otóż już to tak niezwykłe opóźnienie chrztu (a jest ono stwierdzone zupełnie pewnymi dokumentami) daje do myślenia, czy twierdzenie powyższe, złagodzone wprawdzie bardzo słowem »najprawdopodobniej«, nie polega na podstawie zbyt chwiejnej; czy byłby ów chrzest mógł przyjść do skutku tak późno, gdyby się Adam rzeczywiście w Nowogródku urodził. Lecz może rodzice poety mieli już taką w ogólności zasadę, żeby dzieci swoje dawać chrzcić nie tak zaraz po urodzeniu. Mamy w tomie IV »Korespondencyi Mickiewicza« na str. 40, metryki i wszystkich innych braci Adama. Co do dwóch starszych, Franciszka i Aleksandra, nie zapisano wprawdzie w ich metrykach, w których dniach się urodzili, a tylko kiedy zostali ochrzceni. Ale zato w metryce obu najmłodszych są podane obydwie daty, i urodzenia i chrztu. Kazimierz Jerzy urodził się dnia 26 lutego, a ochrzcono go dnia 7 marca r. 1804, zatem dziesiątego dnia po urodzeniu; Michał Antoni urodził się d. 29 kwie-

tnia, a chrzest jego odbył się d. 7 maja r. 1805, a więc dziewiątego dnia po urodzeniu. Dlaczegoż więc wyczekiwano chrztu Adama przez całe dni 50? Jeżeli dziecię było może słabe, to tem bardziej w takich razach chrzest się przyspiesza. Musiała chyba zachodzić tu jakaś inna tego przyczyna. Czy nią nie była ta okoliczność, że chrzest Adama miał się koniecznie dokonać w Nowogródku (choćby tylko z powodu rodziców chrzestnych, zamieszkałych w tem mieście), ale nowonarodzonego nie było przez te dni 50 w miejscu, bo się urodził gdzieindziej?...

W »Dodatku« (tom I, p. 451) powraca p. Chmielowski do tego pytania ponownie i podejmując wszelkie będące w obiegu o tem mniemania, powiada:

»Aż do śmierci Adama Mickiewicza w r. 1855 nie było najmniejszej wątpliwości, że się urodził w Nowogródku. Dopiero w niektórych nekrologach, bezpośrednio po zgonie poety wydrukowanych, mianowicie w »Przeglądzie poznańskim« i »Gwiazdce cieszyńskiej«, pojawiło się twierdzenie, iż Mickiewicz przyszedł na świat w Zaosiu. W trzy lata zaś potem, r. 1858, K. W. Wójcicki, pisząc życiorys naszego wieszcza do warszawskiego wydania pism jego, powołał się na świadectwo listu Syrokomli i przyjął za miejsce urodzenia Osowiec.

Odtąd powstały wątpliwości. Osowiec wprawdzie nie długo się utrzymał przy tym zaszczycie; ale Zaosie na seryo stanęło do wyścigu z Nowogródkiem i zyskało licznych zwolenników. Mianowicie od czasu, kiedy brat Mickiewicza, Aleksander, naprzód w liście z dnia 10 grudnia r. 1861 do Brochockiego, a następnie w liście do brata Franciszka, zapewnił stanowczo, iż wie na pewno, jako Adam w Zaosiu ujrzał światło dzienne, literaci i biografowie, opierając się na takiem świadectwie, zaczęli się przechylać w zdaniach swoich na stronę Zaosia, przeciwko Nowogródkowi« i t. d.

W dalszym toku przytacza p. Chmielowski kilka ustępów dosłownych z owego listu Aleksandra Mickiewicza do brata Franciszka, a między nimi i ten, najważniejszy ze wszystkich: My wszyscy bracia, mówi autor listu, poprzednio, przyszliśmy na świat w Nowogródku. »Adam zaś jeden urodził się w Zaosiu, a to takim składem rzeczy: Zaosie wtenczas należało do stryjów; jeden z nich umarł, a drugi wezwał ojca do zarządu; rodzice więc nasi w r. 1798, w grudniu, pojechali do Zaosia i tam dnia 24 grudnia urodził im się syn Adam. Był tam wtedy stryj nasz

Felicyan, dwunastoletni chłopak. Aż w lutym następnego roku powróciła matka z Adamem do Nowogródka i tam go ochrzcili dnia 12 lutego r. 1799 i tak metrykę zapisali. To wszystko po kilkakroć mi potwierdził nieboszczyk już Felicyan«. — »Akuszerką dla Adama w Zaosiu była szlachcianka Mołodecka. Ona, chcąc Adama przeznaczyć na rozumnego, użyła książki, na której ucięła pępek dziecku. Tę książkę pokazywała matka (później) swojej znajomej na stole u ojca, a moje uszko to podsłuchało; miałem tę książkę zawsze w pamięci. Był to »Sądowy proces« in 8-vo, w skórę czarną oprawny. Wyjeżdżając z domu do Wilna, zabrałem tę książkę i mam ją i teraz u siebie. To jedyna zachowana z tego powodu z ojcowskiej biblioteki« i t. d.

O całem tem opowiadaniu orzeka p. Chmielowski całkiem słusznie, że jest nacechowane zupełną szczerością; że podejrzywać je o chęć umyślnego przekręcania wiadomości byłoby rzeczą zgoła nieuzasadnioną. Ale równie słusznie, przynajmniej po największej części, dodaje do tego, że bynajmniej nie idzie za tem, by znamię niezachwianej wiarogodności nosiło. A nie przypisuje mu tej zupełnej pewności naprzód z tego powodu, że zostało ono spisane w późnym wieku, kiedy autor (Aleksander M.) miał rok 60, i po upływie tak wielkiego przeciągu czasu od zdarzeń, które opisuje; dalej, że urodzenie brata nie jest takim faktem, żeby się o nim ciągle myślało; że co do Adama Mickiewicza nie było takiego wypadku, coby urodzenie jego w szczególny sposób upamiętnił: »boć szczegół o akuszerce i książce jest bardzo małej wagi i z pewnością nie on skłonił Aleksandra Mickiewicza do zabrania z sobą na uniwersytet »Procesu sądowego« i do zachowania tej jedynej książki z biblioteki ojca, ale wzgląd o wiele praktyczniejszy, t. j. użyteczność tej książki w studyach prawniczych, którym się Aleksander poświęcić zamierzał«.

Nakoniec rzuca p. Chmielowski uwagę, że »z pewnością Aleksander Mickiewicz przez ciąg swego życia nie pomyślałby o miejscu urodzenia swego brata, gdyby nie wątpliwości po śmierci tegoż, wątpliwości, które zainteresowały ukształcony ogół polski. Wówczas to dopiero, takim bodźcem poruszony, zaczął Aleksander M. wygrzebywać w pamięci ślady dawno minionych zdarzeń i rozmów. Chęć powiedzenia czegoś pewnego bezwiednie oddziaływała na uszeregowanie się tych śladów w jakiś ład — i tym sposobem odżyły w jego umyśle wspomnienia, które on uważał za prawdziwe, ale

w których my możemy podejrzywać przekształcenia i przeinaczenia mimowolne, kojarzeniem się wyobrażeń spowodowane«.

Otóż co do tych ostatnich uwag muszę zrobić zastrzeżenie, że nie ze wszystkiem są one zgodne z rzeczywistością, choć ze swego stanowiska p. Chmielowski nie mógł prawie sądzić o tem wszystkiem inaczej. W opowiadaniu powyższem były niektóre tylko szczegóły przekształceniem i przeinaczeniem mimowolnem: rzecz główna była szczerą prawdą, a dowodzi tego to, że mi tosamo, choć w innej formie i z innymi szczegółami, opowiadał na dwadzieścia lat przed tym listem Aleksandra Franciszek Mickiewicz, w sile wieku i przy dobrej pamięci wtedy będący (liczył lat 45) i nie tak bardzo wtedy jeszcze oddalony od spółczesności wydarzeń — a opowiadał mi to w okolicznościach tak wyjątkowych, że ani mowy o tem być nie może, żeby mnie był chciał mistyfikować.

Z Franciszkiem Mickiewiczem łączyła mnie w młodości mojej blizka, wieloletnia znajomość, a początek i powód jej był ten, że zaraz od r. 1831 znalazł ten najstarszy brat Adama, jako wychodźca z ojczystej swojej krainy, przytułek i stały pobyt w gościnnym domu hr. Józefa Grabowskiego w Łukowie, a ja, po rychłej śmierci moich rodziców, oddany zostałem temuż Grabowskiemu w opiekę, wskutek czego spędzałem w gronie tej zacnej rodziny prawie zawsze wakacye i tygodniami całymi przebywałem w Łukowie po dwa, trzy, czasem i cztery razy corocznie. Tu zatem i wśród takich stosunków znalazłem sposobność poznania p. Franciszka, zbliżenia się do niego, pozyskania jego życzliwości, a w dalszych latach rzec mogę nawet przyjaźni, tak jak i ja z mojej strony przejęty byłem dla niego całą czcią i przywiązaniem, jakie się takiej zacności charakteru i szlachetności, jaką była jego zacność i szlachetność, należy. Trwał ten stosunek od r. 1835 do 1850. Potem rzuciły mnie losy w inne strony i już chyba raz czy dwa razy aż do czasu jego zgonu zdarzyła mi się jeszcze sposobność uściśnienia tego poczciwca.

Wspomniałem wyżej, iż opowiadał mi Franciszek M. o bracie w wyjątkowych okolicznościach. Rzecz się miała, jak następuje.

Było to w r. 1841, w miesiącu wrześniu, ostatnim miesiącu uczęszczania mego do gimnazyum w Poznaniu jako uczeń tego zakładu. W pierwszych dniach tego miesiąca zakończyły się egzamina dojrzałości, z pomyślnym dla mnie i kilkunastu moich kolegów skutkiem; zostaliśmy zaliczeni do kategoryi t. zw. abituryentów, t. j.

mających szkołę pożegnać, w celu bądźto pójścia na jaki uniwersytet, bądź do jakiego praktycznego zawodu; należało tylko jeszcze odczekać zakończenia całorocznych kursów szkolnych, któryto akt w tem gimnazyum publicznie w samym końcu dopiero września odbywa się z wystawną uroczystością, szczególnie w trzecim dniu całego tego obchodu, przeznaczonym do rozdania celującym uczniom nagród, ogłoszenia promocyi i doręczenia abituryentom zaświadczeń dojrzałości. Ostatnią tę czynność poprzedza tam wygłoszenie trzech mów, w języku łacińskim, niemieckim i polskim; na mowców powołuje gremium profesorów trzech z pomiędzy abituryentów, zaraz po zdaniu egzaminu dojrzałości. Przedmiot mowy obierają sobie sami, za aprobatą władzy szkolnej, i przygotowują się do wystąpienia każdy swojego, poza lekcyami szkolnemi, na których bywać jeszcze muszą przez te parę tygodni, które ich od ostatecznego zakończenia kursów rocznych odgradzają.

W owym roku mowa polska mnie się dostała w udziale (mówcą niemieckim czy też łacińskim, bo tego już dokładnie nie pamiętam, był kolega mój Henryk Szuman, obecnie prezes koła poselskiego polskiego w Berlinie. Trzecią mowę miał inny kolega, dzisiaj już zmarły). Kiedy mnie profesor nasz języka polskiego, Antoni Popliński, zapytał, o czem mówić zamierzam, odpowiedziałem bez namysłu: Oczywiście o Mickiewiczu! — Dobry przedmiot, odparł na to profesor, ale cóż ty o nim powiesz, kiedy tak mało o życiu jego wiadomo? — Zdajcie to panowie na mnie, odpowiedziałem; niech to już będzie mój kłopot. Mam takie źródło, z którego warto zaczerpnąć.

Źródłem owem dla mnie miał naturalnie być p. Franciszek w Łukowie. Przedstawiały się wprawdzie niemałe trudności i to dwojakiego rodzaju, żeby się w owej chwili dobrać do owego źródła, ale ufałem, że je pokonam.

Pierwszą trudnością to było, że od p. Franciszka prawie niepodobna było wydobyć coś, co się tyczyło jego przeszłości, jego familijnych stosunków, a nadewszystko jego brata Adama. Na tym punkcie dziwna była w tym człowieku skrytość. Że z bratem zostawał w jak najlepszych stosunkach, że od niego częste listy odbierał i na nie odpowiadał, że go szczerze i serdecznie kochał — wiadomo było każdemu. Dość było wspomnieć o wielkim naszym poecie, a choćby tylko imię jego wymówić, a p. Franciszkowi zaraz rozpogadzała się twarz, oczy iskrzyły się blaskiem niezwykłym.

Ale żeby komu dał jaki list Adama do przeczytania, żeby powiedział, co mu donosi, nad czem pracuje, jak mu się wiedzie — o tem ani marzyć nie było można. Cały stós tych listów leżał u niego pod innymi papierami, zapylonymi i w nieładzie porzuconymi na małym stoliku przy jego łóżku — ale broń Boże, żeby kto śmiał choćby dotknąć owego miejsca! Taksamo było też, jeżeli się kto p. Franciszka zapytał o co bądź, co dotyczyło jego litewskich antecedencyi albo przeszłości Adama.

Poważniejsze osoby, zagadujące go o to, zbywał półsłówkiem albo mruknięciem, a nas młodych odprawiał odpowiedzią, wprawdzie z całą życzliwością i dobrocią co do tonu i z uśmiechem wymawianą, ale w słowach, które bynajmniej nie zachęcały do dalszego pytania, w słowach n. p.: »O! jaki ty ciekawy!« albo »A na co tobie to wiedzieć?« A bywało, że się czasem usłyszało i co gorszego, n. p.: »Ot, nie baj mój kochany, bo durny jesteś«.

Tłómaczyliśmy sobie wszyscy tę skrytość p. Franciszka w ten sposób, że nie chciał się wydawać chełpliwym, zapuszczając się w opowiadanie o bracie, którego sława i cześć powszechna zlewała się i bez tego w jakiejś części i na jego także osobę. Była to pewna dumna powściągliwość, której nie można było w nim nie cenić.

Drugą trudnością — odległość Łukowa od Poznania. Wprawdzie trzymilowa tylko odległość, ale cóż z tego, kiedy mnie, zmuszonemu jeszcze chodzić w Poznaniu codziennie do klasy, niepodobna było zrobić do Łukowa wycieczki, a p. Franciszka ściągnąć do Poznania, graniczyło prawie z takiemsamem niepodobieństwem.

Franciszek Mickiewicz przybył w Poznańskie w charakterze emigranta i to dość skompromitowanego pod względem politycznym. Jakkolwiek bowiem ułomny, z przodu i z tyłu garbaty, maleńkiego wzrostu, w ogóle dziwnie szczupły i drobny, a w dodatku jeszcze i kulawy, z prawą nogą uszkodzoną w stopie i znacznie krótszą niż lewa — pomimo tego wszystkiego odbył on jednak w Warszawie kampanię r. 1831 w ułanach i wrócił z niej ze stopniem porucznika, ozdobionego srebrnym krzyżem »virtuti militari«. Kiedy osiadł w Łukowie, na razie bardzo mało było nadziei, żeby się w tej ostoi potrafił utrzymać na dłuższe czasy. Rząd pruski bezwzględnie w owym czasie i przez pierwsze po ruchach warszawskich lata wydalał każdego uczestnika tych ruchów za granicę,

jeżeli nie należał do krajowców, którzy swoją drogą w inny sposób i jeszcze surowiej byli karani. Dziedzic Łukowa hr. Grabowski miał wprawdzie pewne wpływy u władz miejscowych, zapomocą których starał się oddalić to niebezpieczeństwo od swego gościa — ale były to tylko wysiłki z dnia na dzień. Jedynym sukursem tych zabiegów było kalectwo p. Franciszka i cała jego fizyczna powierzchowność, przy której łatwo go było wydawać za bardzo słabowitego i chwilowo tak cierpiącego, że znieść dalekiej podróży nie może. Pozostawiano go tedy na czas jakiś jeszcze w spokoju, ale zjeżdżały do Łukowa po parę razy do roku komisye, żeby stan chorego zbadać i orzec, czy jeszcze koniecznie być musi w kraju cierpiany. W takich razach kładł się nasz biedny ułan do łóżka i przez dzień cały chorował, podczas gdy członkowie komisyi byli we dworze podejmowani gościnnie.

Tak minęły najgorsze lata, a z czasem groza ta złagodniała, tak iż nareszcie przestano go niepokoić. Ale bo też nasz chory i w owych latach i nawet później unikał wszystkiego, coby go czuwającym nad nim oczom przypomnieć mogło; rzadko pozwalał sobie wyjażdżek i to w najbliższe tylko sąsiedztwo; przez powiatowe miasto (Oborniki), rezydencyę landratury, przejeżdżał w najkonieczniejszym tylko razie i chyba tylko w powozie zamkniętym, a do Poznania nie ośmielał się nigdy zajrzeć. W ogóle przy takim trybie życia tak się w domu zasiedział, tak już odwykł od myśli i chęci do wszelkich dalszych peregrynacyi, że nawet i po zmianie systemu rządowego, zaszłej w Prusiech w r. 1840 razem ze zmianą osoby panującego, prawie wcale nie opuszczał Łukowa.

Takieto były trudności, które mi wtedy zwalczyć przyszło, chcąc p. Franciszka ujrzeć w Poznaniu i dowiedzieć się od niego czegoś dokładniejszego o bracie. Udało mi się to jednak o wiele łatwiej, niż sobie wyobrażałem. Jeden list, prawda że gorąco, nalegliwie i z całą elokwencyą, na jaką mnie tylko stać było, napisany do niego, sprawił ten skutek, żem go po upływie trzech czy czterech dni u siebie powitał. Gościł w Poznaniu parę dni, mówił ze mną w cztery oczy o wszystkiem otwarcie, i w ogólności tym razem odstąpił od zwykłego systemu swojego, przez wzgląd na to, że mu nie pusta ciekawość zadaje pytania, ale zamiar poważniejszy.

Co prawda, wiadomości jego o Adamie nie były tak obfite, jak się tego spodziewałem. Najdokładniejsze między niemi te były, które się ściągały do lat poety, spędzonych w rodzicielskim domu

przed pójściem do szkół, i podczas epoki szkolnej. Mniej dobrze był już poinformowany o trybie życia jego w uniwersyteckim okresie. Szczegóły o tem były mu już z drugiej ręki, ze spółczesnego opowiadania trzecich osób tylko wiadome. O Maryli i wszystkiem, co się z tem łączy, widocznie rozgadywać się nie chciał. Filareckie dążenia, zawikłania, następstwa tychże i rozwiązanie całego tego dramatu znał i opowiadał szczegółowo. Epizod karyery Adama w Kownie przedstawił w najogólniejszym tylko zarysie. O dalszych nakoniec kolejach życia tyle tylko umiał powiedzieć, że tam a tam, wtedy a wtedy, Adam przebywał. Wewnętrznych przesileń w duszy poety odsłaniać nie wiem, czy nie chciał, czy nie był w stanie.

W opowiadaniu jego o najrańszej młodości brata znalazły wybitne miejsce szczegóły o jego urodzeniu. Te zaś były następujące. Rodzice odbywali w r. 1798 przed Bożem narodzeniem jakąś podróż (czy oznaczył cel tej podróży, nie przypominam sobie; ale zdaje mi się, że nie mówił, dokąd jechali). Rozwiązanie matki przypadło w drodze, rychlej niż się spodziewano. Zaszło to w jakiejś samotnie nad drogą położonej karczmie, tak nędznej, że nawet stołu nie było, na którymby było można nowonarodzone dziecię położyć i powić w pieluszki. I otóż miało tam z tego powodu zajść to dziwne zdarzenie, że brak stołu zastąpiła księga i że na tej księdze dokonano tej pierwszej czynności z dziecięciem. Ową księgą zaś miał być foliant dzieł Krasickiego — jak gdyby przepowiednia przyszłości wchodzącego w świat w taki sposób dziecięcia... Nazwiska karczmy owej nie podał mi Franciszek Mickiewicz. O szlachciance Mołodeckiej także mowy nie było, ani też o tem, gdzie i kiedy małego Adama ochrzcono.

Po odjeździe p. Franciszka z Poznania układałem swoję mowę i jest to ów artykuł, zamieszczony w poznańskim »Orędowniku naukowym« z r. 1842, który i p. Chmielowski cytuje: pierwsza moja drukowana robota, zażądana dla tego pisma przez redaktora i zarazem profesora mojego A. Poplińskiego, zaraz po wygłoszeniu tej mowy na akcie szkolnym; pierwsza w polskim języku, a w ogólności druga z kolei, biografia wieszcza naszego: wyprzedził mnie bowiem w tym przedmiocie autor francuski Ludwik Loménie, zamieszczając rzecz swoją o Mickiewiczu w »Galérie des contemporains illustres« z r. 1841, którąto wtedy co tylko wydaną publikacyę miałem przed sobą, pisząc moją rozprawę, i korzystałem

z niej jako ze źródła. Drugiem zaś źródłem były szczegóły przez p. Franciszka podane.

Co się tych jednakże tyczy, wyznać muszę otwarcie, że choć jak najsilniej wierzyłem, że nie na to p. Franciszek peregrynacyę aż do Poznania podjął, żeby mnie w bałamutne fakta ubierać, i jakkolwiek zużytkowałem wszystko, com od niego usłyszał: to jednak na punkcie owego urodzenia, owej karczmy, owej księgi i to jeszcze z dziełami Krasickiego, byłem czemś na podobieństwo niedowierzającego Tomasza. Niedoświadczony, nie biorący rzeczy tak ściśle student, jakim byłem w tym czasie, nie zadałem sobie wprawdzie decydującego w takich razach pytania, kiedy wydane zostały pisma Krasickiego w jednotomowym foliancie (wyszło to wydanie w Poznaniu dopiero w r. 1830!); lecz i bez tego czułem instynktem, że mógłbym się na tym punkcie »relata referendo« niepomału skompromitować. Mniej więcej myślałem sobie o moim narratorze wtedy tosamo, co p. Chmielowski o liście Aleksandra Mickiewicza i szczegółach w nim zawartych wypowiedział na str. 453 tomu I, i tak też tylko i dzisiaj nawet tłómaczę sobie ów lapsus, o ile to dzieł Krasickiego dotyczy. Zresztą pomyślałem sobie, że bądź jak bądź, cała ta historya przedwczesnego połogu, odludnej, bezimiennej karczmy, nie mającej stołu, ale posiadającej dzieła Krasickiego, pieluch i t. d. nie nadaje się w żaden sposób na przedmiot do rozwinięcia przed publicznością, w której niemałego kontyngensu dostarczyć miały i panie, a nawet młode panienki — i wolałem... ominąć ten szkopuł milczeniem. A ponieważ jednak pisząc czyjkolwiek życiorys, trzeba koniecznie podać, gdzie i kiedy się rodził, więc co do tego pytania, aby rzecz ubić najkrócej, poszedłem w ślad Loméniego i napisałem na jego wiarę, że przyszedł Adam na świat w Nowogródku.

O tyle więc tylko jest prawdą, co powiada p. Chmielowski na str. 451, że aż do śmierci Adama Mickiewicza nie było najmniejszej wątpliwości, że się urodził w Nowogródku, a dopiero po jego zgonie w r. 1855 wynurzyły się mniemania przeciwne. Mniemania, a nawet twierdzenia przeciwne datują, jak widzimy, z dawniejszego już czasu, tylko że przed forum publicznem nie zostały wytoczone.

A teraz nasuwa się pytanie, gdzie więc ostatecznie jest miejsce, w którem przyszedł na świat Adam Mickiewicz? Aby na

nie odpowiedzieć, trzeba dwa zupełnie od siebie niezawisłe opowiadania braci poety, jedno ustne z r. 1841 Franciszka — drugie listowne z r. 1861 Aleksandra, połączyć w jedno, oczyścić z przymieszek bajecznych, od jakich ni jedno ni drugie nie jest wolnem, zgodzić z sobą i uzupełnić wzajemnie.

Skoro stryj tych obydwóch braci, Felicyan Mickiewicz, tyle umiał opowiedzieć Aleksandrowi o okolicznościach narodzenia Adama, a bawił wtedy w Zaosiu, więc na pewne przypuścić można, że podróż rodziców poety w owym razie była z Nowogródka do Zaosia, jakikolwiek zresztą powód był tej podróży, i że po zaszłej katastrofie, do Zaosia, a nie gdzieindziej, chorą z dziecięciem sprowadzono. W samem Zaosiu katastrofa ta nie przypadła; bo gdybyśmy sobie i najskromniejsze wyobrazili umeblowanie tego dworku małoszlacheckiego, to przecież bez stołu on się obywać nie mógł, a w takim razie nie byłoby też żadnej potrzeby powijać, czy też opisywaną przez Aleksandra Mickiewicza operacyę odbywać z Adamem na książce. Użycie do tego książki uważać należy za fakt, skoro obydwaj bracia o niej mówią — tylko że ani nie były tą książką dzieła Krasickiego, jak Franciszek sobie wymarzył, ani też nie zrobiono z niej użytku w tym celu, »żeby Adama przeznaczyć na rozumnego«, jak to znowu wyfilozofował sobie Aleksander. Użyto książki z fizycznej bezpośredniej potrzeby, w braku czego lepszego; i bardzo można temu uwierzyć, że nią był »Sądowy proces«, który ojciec Adama, z powołania prawnik, a prawdopodobnie i wtedy odbywający tę podróż w interesach majątkowych, o sądy się oprzeć mogących, wiózł ze sobą. Że to była książka niewielka in 8-vo, o to mniejsza; rozłożywszy ją otworzoną w połowie, miało się format in 4-to, a to wystarczało od biedy. Przyjmując zaś tę intercedencyą książki za rzecz pewną, zgodzić się musimy i na karczmę i to właśnie na jak najodludniejszą i najubóższą karczmę, jako widownię przyjścia na świat naszego wieszcza. A skoro ta karczma leżała nade drogą prowadzącą od Nowogródka do Zaosia, to nią nie mogła być żadna inna, jak albo taka, po której już dziś ani śladu nie pozostało, ale istniała naówczas, albo też nią chyba była *Wygoda*, położona na jakie ćwierć mili przed Zaosiem (w kierunku od Nowogródka), właśnie taka samotna, choć pewnie porządniejsza już dzisiaj karczma na rozdrożu między Kołdyczewem, Skrobowem i Michnowszczy-

zną*. Mogłaby tu wprawdzie jeszcze być także mowa i o trzeciej karczmie, t. j. téj w Zaosiu Chmielowskiem, o wiorstę oddalonem od położonego dalej za niem Zaosia Stypułkowskich, a wtedy Mickiewiczów, którato karczma także leży nad tą drogą. Lecz do tej nie dałby się tak łatwo zastosować opis Franciszka Mickiewicza, że to było miejsce samotne, a zresztą leży ona tak blizko dworku tego szlacheckiego folwarczku, że byliby raczej tutaj rodzice Adama szukali pomocy w owej chwili, niż w karczmie.

Lwów, dnia 29 stycznia r. 1886.

Post scriptum.

W biografiach częstokroć podaje się miejsce urodzenia inne, jak to gdzie istotnie zaszło samo przyjście na świat, jeżeli stało się to tam tylko przypadkowo, jedynie wskutek chwilowego pobytu matki. W takich razach stałe domicilium rodziców bierze nieraz górę nad owem miejscem dorywczem.

Illustruję to twierdzenie dwoma przykładami, o których się dowiedziałem już po oddaniu mojej do Pana przesyłki na pocztę, a dowiedziałem się właśnie z powodu, żem potem w pewnym domu znajomym w toku rozmowy dotknął przypadkiem tego przedmiotu. Oto kolega mój, dr. Wojciech Urbański, były profesor fizyki, a obecnie dyrektor biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, autor licznych pism w przedmiocie nauk przyrodniczych, uchodzi we wszystkich życiorysach swoich za urodzonego w Dubrawce pod Żurawnem: a to nieprawda, gdyż rzeczywiście ujrzał światło dzienne w Chodorowie, w którym jednak bytność jego matki chwilowa była skutkiem tylko przypadku. Chrzest odbył się w Żurawnie, którego kościół jest dla Dubrawki parafialnym; w Dubrawce też stałe było mieszkanie jego rodziców. Mam ten szczegół od niego samego.

Drugiego przykładu nie będziemy szukali daleko, podała mi go bowiem zaraz i pani Urbańska, małżonka p. Wojciecha, i to o ojcu swoim, poecie naszym Wincentym Polu. Powszechnie w biografiach, za życia Wincentego ogłaszanych, wymieniano Firlejowszczyznę pod Lublinem jako miejsce urodzenia autora Mohorta. Wiara też w to była jedyną przyczyną, że przyjaciele i wielbiciele

---

* Porównaj Edwarda Pawłowicza »Wspomnienia z nad Wilii i Niemna«, p. 74; i tegoż autora »Zaosie« w »Tygod. ilustr.« r. 1883, p. 219.

poety za złożony przez siebie fundusz kupili ten folwarczek i ofiarowali go Polowi. A przecież i tu znowu tylko tyle w tem prawdy było, że rodzice Wincentego w owym okresie czasu mieszkali stale w Firlejowszczyźnie. Urodzenie jednak poety nastąpiło w Lublinie i nawet dom jest wiadomy, gdzie ten wypadek zaszedł. Skonstatowanie tego faktu (zamiast dawniejszego mylnego mniemania) mamy dopiero w życiorysie W. Pola, napisanym przez hr. Maurycego Dzieduszyckiego, zamieszczonym na czele tomu VIII dzieł Pola, wydanych w 10-tomowym zbiorze we Lwowie, po zgonie już poety.

BISKUPSTWA

W PIERWOTNEJ EPOCE POLSKI*.

Zamierzam w szkicu niniejszym poruszyć pytanie, z którem się historyk Kościoła polskiego, porówno jak dziejopis polityczny, a niemniej i historyk cywilizacyi polskiej na samym wstępie spotyka — założenie pierwszych biskupstw w tym kraju. Czas założenia tych biskupstw, okoliczności temu towarzyszące, cel i powody, dla których każda z tych katedr (oprócz ogólnych kościelnych przyczyn, które są jasne) początek swój wzięła, osoba założyciela, nakoniec koleje i zmiany, jakim niektóre z nich podległy zaraz w pierwszym już czasie: są to wszystko rzeczy po największej części albo sporne albo wreszcie choć wyjaśnione, to wszelako nie uznane jeszcze za fakta.

W pracy niniejszej kusić się nie zamierzam o rozstrzygnienie pytań, z powodu zupełnego braku źródeł nieprzystępnych dzisiejszej krytyce, natomiast chciałbym głównie rozstrząsnąć punkta sporne. Powód sporności w tym przedmiocie w tem przedewszystkiem upatruję, że nasze najdawniejsze biskupstwa miały (że się tak wyrażę) podwójny początek. Wprowadzone w życie przez pierwszych naszych chrześcijańskich książąt, podległy prawie wszystkie, a może bez wyjątku wszystkie, w zamieszce między panowaniem Mieczysława II a Kazimierza I na lat kilkanaście zniszczeniu, tak iż dopiero za Kazimierza i najbliższych jego następców powstawały na nowo w swych bądź dawnych bądź nieco odmiennych formach. Otóż trudność w tem obecnie największa, że rozróżniać tu należy pierwotne założenie a wznowienie tych instytucyi.

---

* Rzecz pisana w r. 1875, ze zmianami i dopełnieniami dodanemi obecnie.

Rozbiór podań i napomknień źródłowych, po dziś dzień wykładanych co do niejednej katedry dwojako albo i w jeszcze bardziej rozbiegających się od siebie kierunkach, pociąga za sobą konieczność analizy dat i tamtoczesnych stosunków nieraz tak drobiazgowej, że wśród różnorodnych składających się na nią spostrzeżeń, traci się z oczu główny ciągły wątek dziejowy. Ażeby temu zapobiec, nie od rzeczy może będzie na samym wstępie ująć w obraz jednolity całą genezę naszej w pierwszych początkach organizacyi kościelnej, aby czytelnik miał ją przed sobą niejako uobecnioną na jednej karcie. Rzecz miała przebieg następujący.

Już we dwa lata po przyjęciu chrztu przez Mieczysława I, a więc w r. 968, założone zostało przez niego w porozumieniu z cesarzem Ottonem I biskupstwo w Poznaniu. Takowe ogarniało całą tamtoczesną Polskę; poddane zaś zostało wskutek ówcznesnego stosunku tego państwa względem cesarstwa, metropolitalnemu arcybiskupstwu magdeburskiemu, w tymżesamym roku 968 dla wszystkich między Elbą i Salą a Odrą zamieszkałych, jeszcze wtedy bałwochwalczych Słowian założonemu przez rzeczonego monarchę niemieckiego w porozumieniu z stolicą apostolską.

Pierwszym biskupem poznańskim był Jordan, zmarły około roku 983, a jego następcą Unger. Obaj pochodzenia cudzoziemskiego, choć rzecz niepewna, czy byli Włosi czy Niemcy. Ichto zatem staraniem, popieranem gorliwie przez książęcia panującego, rozkrzewił się pierwszy posiew religii chrześcijańskiej na ziemi naszej.

W kilkadziesiąt lat później, za panowania Bolesława Chrobrego, w pamiętnym r. 1000, pomnożona została ilość biskupstw polskich do pięciu. Otto III, cesarz niemiecki, podczas bytności swojej w Gnieźnie, przychylił się do życzeń księcia polskiego tak pod innymi, wiadomymi z dziejów względami, jak i co do urządzenia, odpowiedniego powiększonym już wtedy znacznie obszarom państwa, i tych kościelnych stosunków. Stanęło w roku rzeczonym nowe, samej tylko stolicy apostolskiej bezpośrednio podległe, a z niemieckiemi metropoliami żadnego już nie mające związku arcybiskupstwo gnieźnieńskie, rozciągające zwierzchniczą władzę nad biskupstwami: krakowskiem, wrocławskiem i pomorskiem czyli kołobrzeskiem, o których nie podano wyraźnie, czy powstały jeszcze na kilka lat pierwej przed rokiem 1000, czy dopiero

w tym roku. Okoliczności uboczne przemawiają za przypuszczeniem ostatniem.

Biskupstwo poznańskie pozostało wtedy jeszcze i nadal poza obrębem tej krajowej organizacyi kościelnej; później jednakże przeszło i ono z pod Magdeburga pod Gniezno. Zmiana ta zaszła w czasie nie dającym się dokładnie oznaczyć; w każdym razie nie przed rokiem 1018.

Reszta biskupstw pierwotnych polskich, mianowicie kruszwickie (później zwane kujawskiem) lubuskie i płockie, niewiadomo dokładnie z źródeł, kiedy i przez kogo założone zostały. Dwa pierwsze zawdzięczały także zapewne swój początek Bolesławowi Chrobremu.

Kruszwickie biskupstwo właściwie nie było nową fundacyą, ale tylko wznowieniem dawnego pomorskiego. Przeniesiono rezydencyę biskupów z Kołobrzega do tej kujawskiej stolicy, a to wskutek odpadu tamtych okolic napowrót w pogaństwo, który zdaje się że zaszedł około r. 1012.

Dyecezya lubuska miała stanowić, że tak powiem, marchię Kościoła polskiego, obliczoną na nawrócenie i pozyskanie dla wiary św. pod patronatem Polski Słowian zachodnich, graniczących w tamtych stronach z państwem Bolesława Chrobrego, a zatem Lutyków. Mogła powstać po ostatecznem ustaleniu zachodnich granic Polski budyszyńskim traktatem (1018). W tamtych więc latach, kiedyś po roku 1018, wziąć musiało początek owo biskupstwo. Poddane zostało, jak i poprzednie, gnieźnieńskiemu arcybiskupstwu.

Do tych sześciu najstarszych katedr i siódmej, w kilkadziesiąt lat później założonej płockiej, doliczyć jeszcze należy ósmą, t. j. biskupstwo wolińskie nad Odrą czyli jak się później przezwało, kamieńskie albo (zachodnio-) pomorskie. Zostało ustanowione przez Bolesława Krzywoustego, a to wskutek ostatecznego podboju i nawrócenia nadodrzańskich Pomorzan, dokonanego za jego dopiero rządów. Pierwszy biskup tej dyecezyi, rodem Polak, Adalbert (Wojciech), dezygnowany podobno już w lutym r. 1125, otrzymał sakrę biskupią dopiero około roku 1131, od papieża Innocentego II. Nie należy w tem biskupstwie upatrywać wskrzeszenia biskupstwa kołobrzeskiego, takowem było bowiem już biskupstwo kruszwickie. Wolińska katedra była nową fundacyą. Około r. 1176 stolica tego biskupstwa przeniesioną została z Wolinia do poblizkiego Kamienia (nad samem uściem Odry), zaczem poszła i zmiana jego

nazwiska. W owych czasach należało ono jeszcze do Kościoła polskiego, albowiem dopiero w r. 1216 odstrychnęło się od Gniezna i przeszło w skład prowincyi kościelnej magdeburskiej.

Tyle było pierwotnych, t. j. w początkowej dziejów epoce powstałych biskupstw naszych i o tych tylko pomówić sobie tutaj postanowiłem. Późniejsze fundacye, n. p. w r. 1243 pruskich katedr (chełmińskiej, warmińskiej itd.), albo czerwonoruskich (za Ludwika węgierskiego), przyszły do skutku wśród zgoła innych stosunków i nie przedstawiają też tyle trudności, ile tamte.

A teraz przystępuję do uwag poszczególnych o każdem z powyższych biskupstw.

1. Okoliczności założenia poznańskiego biskupstwa pojmują wszyscy jednako. Rozchodzi się tylko o rok, w którym to zaszło. Przyjęty przezemnie rok 968 jest konwencyjny, jako zgodnie podawany przez kilka najdawniejszych zabytków, co jednakże nie wyklucza możności przypuszczenia początku tego biskupstwa o rok albo dwa wcześniej*.

Pierwszym biskupem był Jordan, a po nim Unger, zmarły r. 1012; to są fakta zupełnie pewne, bo podane przez Diethmara,

---

* Rok 968 podają Zapiski gnieźnieńskie (Monum. Pol. III str. 42), pewien rocznik czeski (Miklosicza Slavische Bibliothek II str. 301), t. zw. Trzeci katalog biskupów krak. (Mon. Pol. III str. 330) i Baszko (Mon. Pol. II 482). W Baszka kronice jednakże, która nas doszła tylko w odpisach, różnemi pomyłkami skażonych, napisano zamiast r. 968, 938. Poprzedzająca to miejsce o parę wierszy wiadomość, że Mieczysław I rodził się r. 931, dostatecznie przekonywa, że liczba 938 jest tu tylko prostą pomyłką przepisujących. — Długosz przyjął rok 966 jako czas założenia. Ponieważ u niego jednak i dowodnie dopiero w r. 1000 lub jeszcze później powstałe biskupstwa wchodzą w życie w tymże r. 966, więcby to nie dowodziło niczego, gdyby nie było innych, a pewniejszych, na tosamo naprowadzających świadectw. Mianowicie współczesny temu zdarzeniu Diethmar (ks. II rozdz. 14, Mon. Pol. I, 248) donosi, że kiedy pierwszy arcybiskup magdeburski w dniu Bożego Narodzenia (r. 968) konsekrował na biskupów trzech swych sufraganów (merseburskiego, miśnijskiego i życkiego) jako świeżo w tym dniu otrzymujących biskupią sakrę: to wtedy poddał swemu metropolitalnemu zwierzchnictwu i trzech biskupów już pierwej wyświęconych, mianowicie hawelberskiego, brandenburskiego i Jordana pierwszego poznańskiego biskupa. Działo się to w kilkanaście tygodni po założeniu arcybiskupstwa magdeburskiego i tymto aktem poświęcenia jednych, a wcielenia do metropolii drugich biskupów został ostatecznie przeprowadzony ustrój tego arcybiskupstwa. Diethmar wprawdzie powiada, że się to wprowadzenie w życie arcybiskupstwa magd. stało w r. 970; wiemy jednak

który niewątpliwie znał tych biskupów osobiście. Przewodniczenie Ungera »przez 30 lat« Kościołowi polskiemu pokrywa lata 982—1012, którato wiadomość także od tego kronikarza pochodzi*. Z tegoby wynikało, że śmierć Jordana zajść musiała w r. 982. Zapiski gnieźnieńskie odnoszą ją do r. 984**. — Dalsi biskupi poznańscy nawet z imienia nie są nam znani. To co o nich Długosz podał, nie zasługuje na wiarę i dopiero od Bogufała I, więc w środku XII w., poczyna się u niego szereg biskupów pewnych***.

Dyecezya poznańska w pierwszych czasach obejmowała całą tamtoczesną Polskę, a i te ziemie, które do Polski przyłączano po roku 968, podlegały temu biskupstwu. Taki stan rzeczy trwał aż do r. 1000. Od owej chwili biskupstw polskich było już więcej. Pomimo tego zwano jednak przez długie czasy i potem jeszcze biskupów poznańskich niekiedy »polskimi«, polonienses. Tak n. p. kronika Galla wspomina za panowania Władysława Hermana (około r. 1085) »polskiego« biskupa Franka, a i żyjącego w r. 1112 Pawła polskim biskupem nazywa****. Dawniej widziano w nich kujawskich czyli kruszwickich biskupów i tak to w miejscu odno-

---

z dokumentów, że zaszło w r. 968. — Skoro zatem już w r. 968 nasz Jordan był »dawniej konsekrowanym biskupem«, więc ta jego konsekracya, a zarazem i początek biskupstwa poznańskiego, mogłyby być faktem z czasu przed rzeczonym rokiem, jakkolwiek w każdym razie i rok 968 nie jest tu wykluczony, skoro tamto się odbyło dopiero w dniu Bożego Narodzenia.

* Mon. Pol. I 287, ks. VI r. 43.

** Mon. Pol. III str. 42.

*** Tak n. p. wiemy z Galla kroniki (Mon. Pol. I 425 i 427), że w r. 1085 był biskupem pozn. Franko, a około 1112 Paweł: u Długosza natomiast figurują w tych czasach jakiś Teodor i Laurentius, osobistości zmyślone, choć z pewnością nie przez tego historyka dopiero. O istnieniu Ungera, drugiego biskupa pozn., Długoszowi nic zgoła, nawet imię jego nie było wiadome; wprowadza natomiast bajecznego Tymoteusza. Począwszy od Bogufała I († 1146) szereg biskupów przez niego podany polega już więcej na historycznej podstawie. I tu jednak nawet jeszcze daty chronologiczne nie wytrzymują próby wobec dokumentów współczesnych; kolej jednych po drugich także nie jest bez pomyłek, a niektórzy biskupi, n. p. Cherubin (1179), Benedykt (1191) i Andrzej II († 1348) całkiem wypuszczeni zostali. — Posiadamy »Długoszowy katalog biskupów poznańskich krytycznie objaśniony« (rzecz ks. biskupa Likowskiego w Przeglądzie kościelnym z r. 1880). Lecz i ten jeszcze katalog w początkowej partyi zanadto polega na Długoszu, choć wiele mylnych rzeczy prostuje.

**** Mon. Pol. I p. 425 i 427.

śnem objaśnia wydawca Monumentów. Obecnie powszechna prawie zgodność na to, że to byli poznańscy.

Przynależność dyecezyi poznańskiej do metropolii magdeburskiej niewiadomo jak długo trwała. W r. 1000, kiedy erygowano arcybiskupstwo gnieźnieńskie, tamtoczesny biskup pozn. Unger nie chciał zerwać swego związku z niemieckiem arcybiskupstwem i pozostawiono go pod niem. W tej zawisłości od Magdeburga zakończył i życie ten biskup w r. 1012*. Z tym faktem nie daje się pogodzić mniemanie, jakoby oderwanie się biskupstwa pozn. od kościoła magdeburskiego było zaszło r. 1007, na tej jedynie podstawie oparte, że w synodach niemieckich, na których arcybiskupi magdeburscy występowali z swoimi sufraganami, począwszy od tego roku żaden już biskup poznański nie brał udziału. Ta ich absencya mogła mieć dostateczny swój powód w nieprzyjacielskim w tamtych latach aż do 1018 stosunku Bolesława Chrobrego do cesarstwa i do wszystkiego co niemieckie. — Więcej rozpowszechnione do niedawna było przypuszczenie, że Poznań przeszedł z pod Magdeburga pod Gniezno właśnie w tym r. 1012, t. j. że bezpośredni nieznany nam z imienia następca Ungera, już był ordynowany przez gnieźnieńskiego arcybiskupa. Ale i tego przyjąć nie można, jeżeli się zważy, że zawistny Polsce i niezmiernie w takich sprawach drażliwy Diethmar żadnej wzmianki o tem nie czyni w swej kronice aż do roku 1018 doprowadzonej, w którymto roku dnia 1 grudnia i sam żywota swego dokonał. Byłby z pewnością Polakom nie puścił tego płazem, gdyby za jego życia byli wyrządzili tę krzywdę arcybiskupstwu, któremu i on jako biskup merseburski podlegał. Więc się to zdarzyć musiało dopiero kiedyś później, między r. 1019 a 1025, najpewniej przy sposobności założenia biskupstwa lubuskiego, na co wskazują i inne okoliczności, o których niżej.

Pierwotne wyposażenie biskupstwa poznańskiego składało się z dziesięcin od wszystkich wiernych (nienawróceni za rządów Mieszka I zapewne nie byli do nich zmuszani) i z dóbr ziemskich katedrze przy fundacyi nadanych. Tamtoczesne jednak »dziesięciny«

---

* Diethm. ks. VI r. 43, Mon. Pol. I 287. gdzie powiada, że w tymsamym roku i dniu, w którym zszedł z świata Tagino arcyb. magd. (t. j. w r. 1012) obiit Vungerus, posnaniensis coenobii pastor, consacerdos suus et suffraganeus, 30 ordinationis suae anno«. Umarł więc jako współbiskup i sufragan arcybiskupa magdeburskiego.

nie były rzeczywiście dziesiątą częścią dochodu, lecz pomniejszym surrogatem tej daniny kościelnej: nie decimae plenariae, lecz prodecimae. Zanim zaczęto składać kościołowi dziesięciny zupełne, dawano od każdego łanu po 3 spądy (modii) żyta i 12 denarów, a nim i do tego przyszło, poprzestawać biskup musiał i na mniejszych jeszcze pewnie ofiarach*. Dobra ziemskie z nadania książęcego posiadali biskupi poznańscy jeszcze przed r. 1000, a prawdopodobnie od czasu samej fundacyi. Dostarcza dowodów na to co tylko wspomniana bulla papieska z r. 1136. Kilka wsi, przed założeniem gnieźnieńskiego arcybiskupstwa należących do katedry poznańskiej, możemy nawet z nazwy przytoczyć: Stare Biskupice (a więc może i drugie Biskupice, bez tego przymiotnika) w opolu Żnińskiem, Unia w dzisiejszym powiecie wrzesińskim, i Zębocin gdzieś w Kaliskiem nad Cienią czy też w pobliżu tej rzeczki**.

2. Co się tyczy katedr gnieźnieńskiej, krakowskiej, wrocławskiej i kołobrzeskiej — wiadomo, że twierdzili wszyscy nasi dawniejsi pisarze, którzy o tem wspomnieli***, że biskupstwa te razem z poznańskiem, zaraz po chrzcie Mieszka I założone zostały. Co większa, twierdzenie to rozciągnięto i na biskupstwa nawet późniejsze, n. p. na chełmińskie i kamieńskie. Przyczyna tego mylnego mniemania była prosta. W rychlejszych czasach żaden z krajowców nie zanotował nic zgoła o początku organizacyi kościelnej w Polsce. W dalszych wiekach, kiedy już do reszty pozapominano o wszystkiem, co miało związek z owym początkiem, a budzić się zaczęła potrzeba świadomości dziejowej: postanowiono sobie nie tylko spisywać zajścia odtąd współczesne,

---

* O tej kwestyi mówiłem obszernie w mojem Studyum nad Bullą Inocentego II dla arcyb. gnieźń. z r. 1136, drukowanem w tomie XX Roczników Towarzystwa Przyj. Nauk poznańskiego z r. 1894; więc jej tutaj nie wytaczam na nowo.

** Wiadomości o uposażeniu biskupstwa pozn. z dawniejszych wieków nie posiadamy. Zachował się wprawdzie Liber Beneficiorum poznański, dotąd nie drukowany, lecz pochodzi dopiero z r. 1510 i co gorsza, mówi tylko o majątku kapituły i parafii w poszczególnych dekanatach, a pomija dotacyę biskupów. Tej obraz daje dopiero sporządzony w r. 1564 Inwentarz majątku i dochodów biskupów, zamieszczony w całości w Historyi miasta Dolska, dziele ks. kanonika Jabczyńskiego.

*** Wszyscy prócz Baszka, który co do biskupstwa kruszwickiego rzucił słowo bliższe rzeczywistości, a i innych biskupstw (prócz poznańskiego) nie odnosił do Mieszka I.

ale zapełnić i ową próżnię. Materyału nie było, kronik i roczników niemieckich nie znano; brak ten dat rzeczywistych zapychano tedy byle czem, a najwięcej domysłem i wymysłem. Przypuszczano początek wszystkich biskupstw jako datujący od samego zaprowadzenia chrześcijaństwa. Chodziło o wymienienie imion biskupów każdej poszczególnej katedry począwszy od r. 966, w każdej bowiem kapitule już wtedy prowadzono taki »katalog biskupów«, i — nazwiska się znalazły! W tym stanie rzeczy zastał sprawę tę Długosz, który nie tylko w Historyi swojej stosunki kościelne z dokładną systematycznością uwzględnia, ale nawet i osobno opracował dzieje wszystkich poszczególnych dyecezyi. I Długosz najdogmatyczniej wychodził od przypuszczenia, że początek wszystkich biskupstw dawniejszych sięga samego początku chrześcijaństwa w kraju. Katalogi owe biskupów znajdowały tedy zupełną u niego wiarę i na ichto podstawie układał on swoje konstrukcye. Długosz znalazł punkt oparcia do udzielenia, w najlepszej wierze, i nowych nawet szczegółów o założeniu tych biskupstw w r. 966. Wyczytał w pewnym dokumencie z r. 1148 (bulla papieża Eugeniusza III dla biskupa włocławskiego Warnera, Monumenta Polon. tom II str. 13), że granice biskupstwa włocławskiego określał kardynał Idzi, biskup tuskulański, jako legat papieski. Mając nabitą tem głowę, że ustanowienie granic dyecezyalnych w Polsce dokonanem zostało za czasów jeszcze Mieczysława I, postawił Długosz Idziego w tym czasie i temuto legatowi każe być organizatorem całego kościelnego ustroju w Mieczysławowej Polsce. Wobec daty tak pozytywnej, nie dziw, że wszyscy następcy Długosza szli już dalej tym torem i pomimo, że ów kardynał Idzi (jak się później okazało) żył dopiero za czasów Bolesława Krzywoustego, a nie w wieku X, trzymali się już tej osobistości jako współdziałającej z Mieszkiem w rzeczach kościelnych, aż do czasów poczynającej się w historyografii naszej krytyki, t. j. aż do Naruszewicza i Friesego.

Późniejsze dopiero zużytkowanie krytyczne lepszych, bo współczesnych zaprowadzeniu chrześcijaństwa wzmianek o tem w źródłach postronnych (mianowicie u Diethmara), dozwoliło co do pierwszych przynajmniej pięciu biskupstw polskich postawić rzecz jasno i pewno — z wyjątkiem chyba tego jednego wątpliwego jeszcze pytania, czy krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie biskupstwo założone zostało równocześnie z gnieźnieńskiem, czy o kilka może lat pierwej. Zdania w tej mierze są podzielone. Ja się oświadczam

za równoczesnością, a to z uwagi, że skoro trzy pomienione biskupstwa poddane zostały Gnieznu jako zwierzchniczej swojej władzy w roku 1000, bez dodatku w opowiadaniu Diethmara, iżby dawniej podlegały jakiemu innemu arcybiskupstwu, to wynika z tego jak sądzę, wniosek w wysokim stopniu prawdopodobny, że teraz też one dopiero i swój pierwszy początek wzięły.

Warto tutaj dosłownie przytoczyć całe to miejsce z Diethmara*, ponieważ i uboczne w niem szczegóły na tosamo wskazują. Opowiada tu więc kronikarz, jak Otto III, spędziwszy rok 999 w Rzymie, w marcu roku następnego, w czasie wielkiego postu, zjeżdża do Polski, a w szczególności przybywa do miasta Gniezna. Któż go tu (rozumie się oprócz Bolesława i jego dworu) na samym wstępie przyjmuje i do kościoła wprowadza? — Biskup Unger. O innych polskich biskupach ani słowa! A dalej tak: »Nec mora, fecit ibi (cesarz) archiepiscopatum, ut spero, legitime, sine consensu tamen praefati praesulis (Ungera), cujus dioecesi omnis haec regis subjecta est, committens eundem (archiepiscopatum) Adalberti fratri Radimo, eidemque subiciens Reinbernum Cholbergensis ecclesiae episcopum, Popponem cracoviensem, Johannem vratislaviensem, Ungero posnaniensi excepto«. — Nie przeczę, że dla szczególnej brewilokwencyi całe to zdanie tak wygląda, jak gdyby ci trzej ostatni, Reinbern, Poppo i Jan, już dawniej byli biskupami (kołobrzeskim, krakowskim i wrocławskim) i tylko poddani wtedy zostali zwierzchnictwu Radima. Lecz w takim razie cóżby znaczyło powiedzenie, do Ungera odniesione, że »cała Polska jego dyecezyę wtedy tworzyła«? Kronikarz zatem nic innego nie chciał tutaj wyrazić, jak tylko to, że w owej chwili razem z gnieźnieńskiem i te trzy biskupstwa świeżo w życie wprowadzone zostały i (prócz poznańskiego biskupa, który wolał zostać pod Magdeburgiem) poddano je metropolii gnieźnieńskiej. To słowo »fecit archiepiscopatum« zawiera w sobie nie tylko utworzenie arcybiskupstwa, ale i utworzenie biskupstw, składających arcybiskupstwo: bo bez podległych sobie biskupstw arcybiskupstwo byłoby dziwolągiem. — Być zresztą bardzo może, że i Reinbern i Poppo i Jan, a jeżeli nie wszyscy trzej, to ten lub ów z pomiędzy nich, już przedtem posiadali sakrę biskupią; lecz w takim razie byli biskupami misyjnymi, bez określonych dyecezyi, jak się

* Ks. IV r. 28 (Mon. Pol. I 259).

to często wtedy zdarzało. Wszakże i pierwszy arcybiskup magdeburski imieniem Adalbert, zanim go cesarz Otto I w r. 968 zamianował naczelnikiem tego kościoła, piastował godność biskupa gdzieś in partibus infidelium — na Rusi czy Rugii*. A nawet i dalej pójść możemy. Czyn Ottona I dokonany w Gnieźnie w marcu r. 1000, nie był bynajmniej improwizacyą z własnej fantazyi tego cesarza, ale wykonaniem uchwał, na życzenie Bolesława Chrobrego wspólnie z papieżem i synodem powziętych w r. 999 w Rzymie. Radim czyli Gaudenty, pierwszy arcybiskup gnieźn., ordynowany był na biskupa tam w Rzymie już w tym roku 999, a w grudniu tegoż roku już mu służył i tytuł arcybiskupa**. Za bytności Ottona III w Gnieźnie został on zatem — nie wyniesiony na to dostojeństwo, ale tylko wprowadzony na swój tron (i dlatego też u Diethmara użyte tu tylko to słowo »committens«). A taksamo były pewnie i te drugie polskie biskupstwa już w r. 999 w Rzymie postanowione, a biskupi dezygnowani.

Wprowadzenie jednak w życie tego wszystkiego nastąpiło w r. 1000***.

---

* Diethm. ks. II r. 14 (Mon. Pol. I str. 247) donosi, że A. był professione monachus et Rusciae prius ordinatus praesul, et hinc a gentilibus expulsus. Otto I w liście swoim z r. 968 (Pertz Legg. I p. 561) tak się o nim wyraża: Adalbertum episcopum, Rugis olim praedicatorem destinatum et missum, archiepiscopum... fieri decrevimus. Czy tu mowa o Rusi, czy Rugii, czy jak chcą niektórzy, o Słowaczyźnie węgierskiej — nie śmiem rozstrzygać.

** Rocznik kap. krak. Mon. Pol. II 793: »anno 999 ordinatio Gaudencii in episcopum«. — Annal. Gradic. (Pertz Mon. Germ. XVII 647): Item eodem anno 999 Radim ad ecclesiam Gnesnensem ordinatus. — Dokument z dnia 2 grudnia 999 (u Mabillona, Annales ord. s. Benedicti, edycya z r. 1739 IV, p. 119—121): »Gaudentius archiepiscopus s. Adalberti martyris (wypuszczone tu frater, a może ecclesiae) interfui et subscripsi«. Tak się on sam pod tym aktem w Rzymie wystawionym podpisał.

*** Dr. Kętrzyński w dwóch swych pracach (Biskupstwa i klasztory polskie w X i XI wieku, Przegląd powszechny z r. 1889; i Recenzya Organizacyi Kościoła w Polsce Dr. Abrahama, w Przewodniku nauk. i liter. z r. 1891 zesz. czerwcowy) rozwinął inne w tej kwestyi zapatrywania. Mianowicie przypuszcza, że biskupstwo krak. zostało założone jeszcze przez Mieszka I przed r. 981, a biskupstwa wrocł. i kołobrzeskie przez Bolesława Chrobrego kiedyś przed r. 1000, a dopiero po nich, w tym roku, w życie weszło arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Wszystkie te trzy biskupstwa z przed r. 1000 miały być sufraganiami metropolii magd. i dopiero w r. 1000 przeszły pod zwierzchnictwo gnieźnieńskie. — Nie przeczę, że uczony autor przeprowadza dowodzenie tych swych hypotez bardzo logicznie i zręcznie. Daleki też jestem od tego, żebym

Opozycya biskupa Ungera przeciw temu, co się w Gnieźnie w r. 1000 stało, nie mogła dotyczyć kreacyi nowych biskupstw, boć byłby śmieszny, gdyby był chciał całą Polskę na zawsze pod swym pastorałem zatrzymać. Obszary biskupstw niemieckich nierównie były mniejsze od jego nawet w r. 1000 mu pozostawionej

---

wręcz twierdził, że koniecznie inaczej się rzeczy miały. Posiadamy o tamtych czasach (pomimo Diethmarowskich dat) tak niedokładne wiadomości, że tu pole otwarte i do takich domysłów. Ale sądzę, że przynajmniej tyle mi dozwolonem, żeby rozpatrzyć, czy z tych punktów oparcia, na których polegają te przypuszczenia, wynika to, co p. K. twierdzi. Przedewszystkiem pojąć trudno, jak mogłyby się były dokonać bez krzyku owego zgagi Diethmara, który jako biskup merseburski, sam przynależny do metropolii magdeburskiej i tak na jej uszczuplenia zawsze drażliwy, byłby wiedział o tem wszystkiem — jak mówię przy zupełnem z jego strony milczeniu byłoby się mogło odbyć oderwanie aż trzech naraz dyecezyi od tamtej kościelnej prowincyi na rzecz świeżo erygowanej gnieźnieńskiej? Podnosi i z uznaniem, że poznański Unger odmówił na to swego konsensu: dlaczegoż milczy o tych, którzy nie poszli za tym zbawiennym przykładem? W pewnem dalszem miejscu kroniki nawet wychwala, niemal beatyfikuje Reinberna bisk. kołobrzeskiego po jego śmierci (ks. VII r. 52, Mon. Pol. I 310): byłożby to możliwem, gdyby Reinbern w jego sensie był się takiego wiarołomstwa dopuścił? — To powiedziawszy w ogólności, przypatrzmy się teraz bliżej dwom głównym dowodom naszego autora, czy je za takie można uznać. Pierwszym jest ów wiadomy układ bulli papieskiej z r. 1136 dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego wydanej, układ tego rodzaju, że zdaje się ona składać z dwóch głównych części: w jednej mowa o tych ziemiach polskich, które przy fundacyi arcybiskupstwa z pod poznańskiej dyecezyi przeszły pod pastorał gnieźnieński, w drugiej o ziemiach zdaniem p. Kętrz. dawniej podległych krakowskim biskupom, a w r. 1000 oderwanym od Krakowa i przydzielonym Gnieznu. Z tego musiałoby wynikać, że jak więc poznańska dyecezya była dawniejszą od gnieźnieńskiej, taksamo też i biskupstwo krak. musiało być od arcybiskupstwa starszem. Na to rozumowanie dać tu odpowiedzi nie mogę, gdyż chcąc ją dać, należałoby punkt za punktem wziąć pod rozbiór całą tę bullę. To zaś już uczyniłem (w tomie XX Roczników pozn. Towarz. Przyj. nauk »Studyum nad bullą Inocentego II), i mogę tylko w tem miejscu do tej publikacyi odwołać się, mianowicie do jej ustępu IV, w którym wykładam, dlaczego inaczej o tem sądzę. — Drugim dowodem p. Kętrzyńskiego są miejsca w Gesta archiepiscoporum magd. i w Annałach magdeburskich, dotyczące bytności Ottona III w Gnieźnie (Monum Germ. SS. XIV p. 390, i XVI p. 159). Tekst tu jest taki: »Nam tota haec provincia (cały kraj polski) posnaniensis episcopi erat parochia (dyecezya) et ipsa cum omnibus futuro tempore illic fundatis episcopatibus metropolitano magdeburgensis archiepiscopii fuerat subjecta. Hanc ergo iste imperator in quinque dividens episcopatus, in ipsa urbe Gnezi Gaudentium consecrari archiepiscopum fecit eique tres alios episcopos in tribus locis i. e. Salzcholberg, Crakowe, Wortislave ordinatos sub

dyecezyi. Mogło go to chyba korcić, że nie jemu się dostała arcybiskupia władza. Obszary dyecezyi pomorskiej (kołobrzeskiej), a po większej części i szląskiej, a także i krakowskiej, były to aneksye kraju już po r. 968 poczynione, więc prawa do nich poznański biskup nie posiadał. Rozchodzić się zatem mogło jedynie o rozgra-

---

iecit, posnaniensem vero episcopum, non assentientem, priori iuri magdeburgensis archiepiscopi reliquit«. Przedewszystkiem powiedzieć sobie należy, że to źródło, pochodzące dopiero z drugiej połowy XII wieku, więc $1^1/_2$ wieku późniejsze niż opowiadany fakt, parafrazuje tylko Diethmara, a żadnych własnych wiadomości nie przyczynia do rzeczy przez tamtego już powiedzianych. Przeczę też temu, żeby podkreślone wyżej wyrazy można tłómaczyć: (kraj polski) podlegał ze wszystkiemi później (po r. 968) tam założonemi biskupstwami metropolicie magdeburskiemu, t. j. żeby to futuro tempore mogło tu znaczyć później. Znaczy to, co jedynie słowa te znaczyć mogą: w czasie przyszłym, w przyszłości. A tylko jest nieścisłością stylizacyjną, że przy nich położono fundatis zamiast futuro tempore fundandis (które w przyszłości miały być założone). Taka nieścisłość nie jest unikatem w tamtoczesnych pismach. Tak n. p. czytamy w dokumencie przez biskupa wolińskiego Wojciecha w r. 1153 wydanym dla Benedyktynów w Słupsku (Mon. Pol. II p. 20): In eadem etiam provincia primam ecclesiam dedicavimus, quam et omnes alias hujus provinciae ecclesias, quaecunque in futurum construentur, abbati stulpensi subjectas esse decrevimus. I tu zamiast subjectas należało właściwie napisać subiciendas. — Taksamo też w zacytowanem powyżej miejscu chciał rocznikarz to jedynie powiedzieć, że aż do r. 1000 stanowiła cała Polska dyecezyę poznańską i jako taka podlegała ze wszystkiemi w przyszłości w niej powstać mającemi biskupstwami metropolicie magdeburskiemu. Tak być miało, tego się w Niemczech spodziewano, i rzeczywiście byłoby tak, gdyby... nie bytność cesarza wtedy w Gnieźnie i to wszystko, co przytem zaszło. — Przy takim jedynie wykładzie tego miejsca usprawiedliwionem jest powiedzenie, że Otto III wtedy Polskę in quinque episcopatus divisit. Gdyby przed jego do Gniezna przyjazdem były już istniały trzy kwestyonowane biskupstwa, prócz poznańskiego: toćby nie mógł podzielić kraju na 5 biskupstw, lecz raczej byłby tylko przydał piąte do czterech. — Nakoniec jedna jeszcze uwaga. Jeżeliby zgodzić się na to, że krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie biskupstwa fundowane były przed r. 1000, to któż był w takim razie ich fundatorem? Oczywiście Mieczysław I i syn jego. A mieliż oni do tego prawo? Że Bolesław Chrobry po roku 1000 takie prawo posiadał, jest faktem. Donosi nam o tem Gallus, kiedy powiada (Mon. Pol. I 401): Insuper etiam in ecclesiasticis honoribus quicquid ad imperium pertinebat, in regno Polonorum vel in aliis superatis ab eo vel superandis regionibus barbarorum suae suorumque posterorum potestati concessit imperator. Zlał więc na niego wtedy w Gnieźnie to swoje prawo Otto III, a sam je miał dziedzicznym spadkiem po Ottonie I, któremu nadał tę moc zakładania nowych biskupstw w krajach słowiańskich jeszcze w r. 962 papież Jan XII z tem nadmienieniem, że to pełnomocnictwo

niczenie: że musiały być o to targi, o tem świadczy okoliczność, że została przy Poznaniu kraina na wschodniej kończynie Polski, Ziemia czerska czyli t. zw. później archidyakonat warszawski. Co Unger tracił na rzecz dyecezyi gnieźnieńskiej, odzyskiwał w innych stronach. Mianowicie część biskupstwa pozn. na północ od Noteci, tej granicy odwiecznej między Polską a pogańskiem Pomorzem, nie mogła jeszcze w r. 968 ani do Polski ani do biskupstwa należeć. Szmat kraju nie do lekceważenia, sięgał bowiem od linii

---

nie tylko jemu służy, ale i jego następcom. (Gersdorf, Urkunden d. Hochstifts Meissen, Nr. 1). Co do Polski przelał więc Otto III to prawo swoje na książąt polskich, a panujący wtedy papież Sylwester II (999—1003) akt ten zatwierdził, jak nam o tem tenże Gallus w powołanem wyżej miejscu oznajmia: Cujus pactionis decretum papa Silvester s. Romanae eccl. privilegio confirmavit. — Lecz przed Sylwestrem i przed r. 1000 nie byli do tego umocowani książęta polscy, gdyż gdyby się były miały rzeczy przeciwnie, w takim razie nie byliby się ani cesarz ani papież już wtedy mieli w co mieszać.

I ja przypuszczam, tak jak p. Kętrzyński, że potrzeba fundowania nowych biskupstw w Polsce dawała się czuć dobrze już przed r. 1000 nie tylko Bolesławowi, ale może i ojcu jego. Niejedno mogło być zamierzone i do tego przygotowane, ale to były projekta. Mam i ja moją hypotezę, której nie narzucam nikomu, choć ją tu naznaczam i rozpatrzeniu drugich poddaję. Wspomniałem o niej już w mem Studyum nad bullą gnieźnieńską z r. 1136 w ustępie IV i VI. Była wprowadzona w życie przed założeniem jeszcze arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i owych trzech innych biskupstw, jakaś »abbatia« w Łęczycy, wyposażona tak wspaniale, jak żadne kiedykolwiek potem opactwo, z świątynią nazywaną i w ciągu późniejszych wieków katedrą czyli tumem, tak jak i katedry w Poznaniu, Gnieźnie, Włocławku, Płocku tumami się zwały i zowią w mowie okolicznej ludności. Czemużto kościół żadnej innej kollegiaty, żadnego innego klasztoru, ani nawet tynieckiego, najbogatszego ze wszystkich, nigdy nie nosił tej nazwy? Dlaczego o zgromadzeniu zakonnem w tej łęczyckiej abbacyi, choć się w bulli nazywa tak, nikt nigdy nie słyszał? Wszakże i zawiązek pierwszy arcybiskupstwa magdeburskiego nazywał się aż do r. 968 abbacyą św. Maurycego, i w przewidzeniu, że się na stolicę metropolitalną przekształci, już naprzód uposażany był odpowiednio do przeznaczenia swego. Niejedno i inne biskupstwo w Niemczech wytworzyło się na pniu takich abbacyi. Miałożby być rzeczą zbyt trudną do przyjęcia, że któryś z pierwszych naszych monarchów tam w Łęczycy pragnął ujrzeć drugie obok poznańskiego biskupstwo, a nie mogąc sam go założyć, już z góry to wszystko wykonał, co było w jego mocy: wybór miejsca i uposażenie w rozmiarach prowdziwie królewskich. Dalszy czas, rok 999, sprawą tą pokierował inaczej. Gnieznu z grobem św. Wojciecha przypadł zaszczyt przeznaczony Łęczycy. I wtedy nastąpiła inkorporacya kościoła łęczyckiego z całym jego majątkiem jako tylko kolegiaty do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.

wytyczonej grodami Santok, Drzeń, Wiedeń, Czarnków i Uście, głęboko na północ, w kraj pomorski między Iną a Głdą, aż do punktu, gdzie dziś Nowy Szczecin. Należał do dyec. pozn. jeszcze w wieku XIII. Co prawda, była to dzicz, którą dopiero nawrócić trzeba było, a odpadały od Poznania dziedziny już z grubsza pozyskane Krzyżowi. Główna jednak protestacya Ungera dotyczyła żądania, żeby się uznał podległym młodszemu od siebie biskupowi. Wolał zostać pod magdeburskim zwierzchnikiem i w tej mierze woli jego stało się zadość. Sam zaś arcybiskup magdeburski tamtoczesny Gizeler milczał na to wszystko, bo musiał; był bowiem u cesarza wtedy za inne swoje sprawki w niełasce i nawet na żądanie Ottona suspendowany przez Sylwestra II w r. 999*.

3. Imiona pierwszych biskupów w Krakowie, Wrocławiu, Kołobrzegu i Gnieźnie są pewne, dzięki źródłom niemieckim, a właściwie Diethmarowi, z którego one rzecz brały; bo skądinąd nie wiedzielibyśmy nic o tych biskupach. Ich dalsi następcy nieznani nawet z nazwiska. Tę próżnię wypełniały krajowe katalogi katedralne osobistościami, które albo nie istniały albo co najmniej wielka co do nich wątpliwość. Między sobą, tam gdzie jest kilka takich spisów, niezgodne, służyły potem za podstawę Długoszowi, który je godził, jak mógł i umiał — według własnego domysłu. A ta konstrukcya powtarzana potem była na jego wiarę przez drugich, aż do czasu poczynającej się niedawno temu krytyki.

Ściąga się co tu mówię, do pierwszej połowy wieku XI. Dalszych czasów biskupi po większej części są już bodaj z imienia znani, lecz chronologia i tu jeszcze bardzo długo chwiejna. Ustalać i prostować ją trzeba materyałem archiwalnym, o ile go starczy.

Arcybiskupi gnieźnieńscy, poświadczeni pewnymi pomnikami piśmiennymi, poczynają się właściwie dopiero od Marcina, o którym wspomina współczesny Gallus wśród opowiadań o wypadkach z samego początku panowania Bolesława Krzywoustego (r. 1102)**.

---

* Jaffé, Regesta I p. 496. Cf. Diethmar ks. IV r. 28 (Mon. Pol. I 259).

** Radim musiał dopiero po roku 1018 zakończyć życie, gdyż Diethmar, który umarł w tym roku, nie donosi o jego śmierci. Długosz każe mu umierać r. 1006. — Następcy Radima: Hipolit, rzekomo zmarły r. 1027, po nim Bossuta, a dalej Stefan, zmarły 1028 (Rocznik kapit. krak. Mon. Pol. II 794), trudno wierzyć żeby tak spiesznie zmierali jeden za drugim. Pytanie, czy żyli; albo chyba ta liczba 1028 położona zamiast 1038 (najazd Brzetysława na Polskę).

Biskupów krakowskich poczet wiarogodny poczyna się dopiero z Aronem († 1059) i jest odtąd w katalogach przeddługoszowych i u Długosza zestawiony dość jednozgodnie, po największej części nawet i co do chronologii. Poprzednicy Arona: Gompo i Rachelin, wraz z swymi czasami ordynacyi i śmierci, mogą uchodzić tylko za osobistości tradycyjne; Poppo przed nimi, pierwszy biskup, postać na pewne historyczna, niewiadomo kiedy zszedł z świata; jego zaś przed r. 1000 rzekomi antecessores: Prohor, Prokulf i Lambert, należą do kreacyi mytycznych*.

Gorzej się rzecz ma z pierwszymi (po Janie I, niewiadomo kiedy zmarłym) biskupami wrocławskimi. Po czterech bowiem bezpośrednich tegoż Jana następcach nawet pamięć imion ich nie pozostała. Nie wiedzielibyśmy nic zgoła, nawet ilu było tych bezimiennych, gdyby nie przypadkowa uboczna wzmianka w pewnym dokumencie Henryka Brodatego z r. 1209**, dotycząca biskupa Piotra (1074—1111), w której go nazwano, zapewne zgodnie z prawdą dziejową, ósmym z kolei wrocławskim biskupem. Wszystkie dawne katalogi wrocławskie, a jest ich sześć***, nic nie

---

Dalszy Piotr — zupełnie niepewny, miał umrzeć r. 1092. Byłaby to wielka przerwa między Stefanem a Piotrem. Pod tym r. 1092 zapisuje Rocz. Stokrzyski (Mon. Pol. II 773) natomiast zgon arcybiskupa Bogumiła. Katalogi nic o Bogumile nie wiedzą. Przed tym Bogumiłem, jeżeli istniał i w tym roku żyć przestał, trzebaby jeszcze wstawić Henryka, poprzednio opata würzburskiego, o którym Ebbo biograf św. Ottona bisk. bamberskiego (Mon. Pol. II 34) donosi, że z nim razem, z Henrykiem, powołanym na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, tenże Otto do Polski przybył. Wiemy skądinąd, że pobyt św. Ottona w czasie jego młodości w Polsce przypada na czas od c. 1080 i przez kilka dalszych lat. Zatem Henryk, jako nasz arcybiskup, byłby to chyba poprzednik Bogumiła. Katalogi jak o Bogumile, tak i o Henryku milczą, a za nimi i Długosz, a za Długoszem i ks. Korytkowski w swym »Katalogu arcybiskupów krytycznie zestawionym« (Roczników Tow. Przyj. Nauk pozn. t. XI z r. 1881). Katalog ten ks. Korytkowskiego jest rzeczywiście krytyczny, ale chyba od środka dopiero XII wieku począwszy. Wiek XI zalety tej nie posiada. — Dwa dawne katalogi arcybiskupów gnieźń., jeden starszy od Długosza, drugi późniejszy, mamy oddrukowane w III tomie Monumentów: materyał to przez wiek XI i XII bez żadnej rzeczywistej wartości.

* Pięć dawnych krakowskich katalogów biskupów mamy oddrukowane w tomie III Monum. Pol. — Kodeks dyplomatyczny katedry krak. (1166—1423) wydał Dr. Piekosiński.

** Grünhagen, Regest. zur schles. Gesch. Nr. 132.

*** Krytycznie opracowane przez Dra Kętrzyńskiego, znalazły miejsce w Mon. Pol. t. VI. Różnią się wielce od Długosza Żywotów biskupów wrocł.

wiedzą ani o tych czterech ani o poprzedzającym ich pierwszym biskupie, poświadczonym przez zródła niemieckie Janie I. Początek biskupstwa odnoszą do r. jużto 1046, już 1051; jako pierwszego swego pasterza stawiają Hieronima, po nim Jana (II), a po tym Piotra, jako z kolei trzeciego. Rzeczywiście był Hieronim szóstym, Jan (II tego imienia) siódmym, a Piotr ósmym. Czasy ordynacyi i zgonów przez dwa pierwsze wieki są podawane tam różnie, niektóre osobistości przeskakiwane, a takie co nie istniały (n. p. Magnus i Franko) natomiast wstawiane w szereg*.

Biskupi wrocławscy zostawali w związku z polskim ustrojem kościelnym tylko do r. 1344. Odtąd zaczęli podlegać arcybiskupstwu w Pradze. Już jednak i przed r. 1344 lubili dawać się zastępować na synodach polskich przez delegatów, nie przybywając na nie osobiście. Działo się tak w następstwie politycznych okoliczności.

Kołobrzeskie biskupstwo trwało pod tą nazwą krótko i Reinbern był jedynym kołobrzeskim biskupem. Został około roku 1012 przez Bolesława Chrobrego wyprawiony do Kijowa, jako towarzyszący córce jego (imię jej nieznane), narzeczonej Światopełka, syna Włodzimierza W. Tam, niedługo po przybyciu na miejsce, wraz z owem młodem małżeństwem został uwięziony przez tego księcia kijowskiego dla jakichś politycznych podejrzeń i zakończył życie w więzieniu**. Zdaje się, że ta nieobecność biskupa w swej dyecezyi dała powód Pomorzanom do powrotu w po-

---

Podczas gdy bowiem tamte wszystkie poczynają dopiero od Hieronima, który umarł około r. 1063 i rzeczywiście był szóstym, u nich zaś za pierwszego uchodzi: Długosz rozpowiada o biskupach wrocławskich już od r. 966. Takich co pokrywają przebieg czasu od 966 do 1000, jest u niego dwóch: Gothfried i Urban, rzekomo zmarły r. 1005. Jan, rzeczywisty od r. 1000 biskup, Długoszowi ani z imienia nie znany! A i czterej dalsi po nim, przed Hieronimem (Klemens, Lucilius, Leonard i Tymoteusz), zapewne z sztucznej jakiejś tylko kombinacyi tu weszli.

* Do zgodniejszych z historyą wiadomości o tych pierwszych biskupach przychodzimy zwolna dopiero zapomocą materyału archiwalnego. Na nim się opierają w miarę tamtoczesnej możności Rittera i Heynego Dzieje biskupstwa. Dyplomataryusz katedry wrocł. wydał Stenzel (1845), a Regesta Grünhagen (1864). Ważną jest przedmowa Kętrzyńskiego do Katalogów w tomie VI Mon. Pol.

** Diethmar, ks. VII r. 52 (Mon. Pol. I 310). Wspomina on o tem dopiero z okazyi zdarzeń r. 1017. W tym czasie nie żył już Reinbern. Sam wypadek zajść musiał bezpośrednio przed r. 1013, rokiem wyprawy Chrobrego na Ruś.

gaństwo, wskutek czego nic już nie słychać o dalszych kołobrzeskich biskupach. Rodem był Reinbern Niemiec, pochodził »de pago Hassegun« (Hessya?).

---

4. Początek biskupstw kruszwickiego, lubuskiego i płockiego nierównie więcej sprawia trudności Szczególnie czas założenia i osoba fundatora dwóch pierwszych należy do pytań spornych, nad któremi i nam tutaj zatrzymać się nieco dłużej wypada. Było mojem przekonaniem, kiedym niniejszą rozprawę po raz pierwszy przed 20 laty) układał, że wszystkie trzy te biskupstwa założył Bolesław Chrobry. Dziś nie śmiałbym tego z taką pewnością twierdzić co do biskupstwa płockiego. Lecz co do obydwóch drugich widzę się zniewolonym obstawać przy swojem dawniejszem zdaniu i wyłuszczyć mi tu należy powody, dlaczego mnie zapatrywania już potem przez innych rozwinięte nie zdołały zachwiać w tem przekonaniu. Mówmy nasamprzód z osobna o biskupstwie kruszwickiem.

Aż do czasów Naruszewicza powtarzali wszyscy (prócz Baszka) jeden za drugim, że weszło w życie to biskupstwo w r. 966. Takie było zdanie Długosza i różnych przeddługoszowych pism, nie wyłączając dawnych miejscowych katalogów biskupich. Ta opinia w czasach obudzającej się krytyki dziejowej upadła. Naruszewicz odniósł fundacyę kruszwickiego biskupstwa do czasów Mieszka II, a to na podstawie odnośnego miejsca w kronice Baszka, jedynego pisarza epoki przeddługoszowej, który tamtej powszechnej wiary nie podzielał i o ile go rozumiano, tak to podawać się zdawał. To mniemanie o początku kujawskiej dyecezyi w ciągu czasu między r. 1025 a 1034, panowało długo. Podtrzymywał je jeszcze Lelewel, ks. Buliński (Historya kościoła polskiego, 1873) i wielu innych aż w lata 1876 i 1881. Moje zdanie (z r. 1875) o nieco dawniejszem, między r. 1012 a 1025 tego biskupstwa ustanowieniu, choć z razu nie zaczepiane, pozostało odosobnionem. W ostatnich nakoniec latach rozwinięto natomiast całkiem inne na to zapatrywania. Dr. Kętrzyński wychodzi z założenia, że fundacya kwestyonowanego biskupstwa nie mogła być dziełem wcześniejszego monarchy, jak Władysława Hermana, i że w każdym razie nastało ono dopiero po kreowaniu płockiego, fundowanego w roku 1075 lub 76 za Bo-

lesława Śmiałego. Dr. Abraham poszedł jeszcze dalej; jakkolwiek bowiem ostatecznie niby nie przeczy temu, żeby pierwszy początek kujawskiego biskupstwa mógł pochodzić z czasów przez kronikę Wielkopolską wskazanych, której zresztą nie bardzo dowierza i odmawia jej znaczenia źródła w tym kierunku decydującego, to jednak prawdziwe ustalenie tego biskupstwa przypisuje Bolesławowi Krzywoustemu i to dopiero w drugiej połowie jego rządów, w roku 1124 albo 1125*.

Analizę powodów tych twierdzeń niech tu poprzedzi krótki szkic genezy kruszwickiego biskupstwa, jak mnie się ona przedstawia. Główny przycisk na tem kładę, że to biskupstwo uważam za identyczne w pierwszych jego czasach z kołobrzeskiem czyli pomorskiem, za przedłużenie tego biskupstwa, choć pod zmienionem nazwiskiem.

Powiedziało się już wyżej, że Reinbern był pierwszym i jedynym biskupem kołobrzeskim. Po jego wyjeździe w wiadomem poselstwie do Kijowa około r. 1012 i uwięzieniu i wreszcie śmierci tamże, Pomorze nadodrzańskie wróciło do pogaństwa. Zaprawdę trudno byłoby pojąć, jak ten wypadek, z natury swojej bynajmniej nie nadzwyczajny w tamtoczesnych okolicznościach, tak mógł wpłynąć na monarchę polskiego, będącego wtedy w pełni wieku i potęgi i sławy, żeby w zamysłach swoich nawrócenia Pomorzan miał był przeto tak zaraz dać za wygraną; żeby tak od razu zrezygnował z działania, poczętego z takim nakładem starań i ofiar. Łatwiej jemu przecież było istniejące de iure, choć wstrząśnięte w swoim bycie biskupstwo, własne swoje dzieło, podtrzymać, aniżeli synowi jego, różnymi przywalonemu kłopotami, po upływie lat kilkunastu nowe zakładać wśród okoliczności żadną miarą nie sprzyjających takim przedsięwzięciom. Mieczysław II mógł wystawić katedrę w Kruszwicy, w miejscu dawniejszego (może zgorzałego albo dre-

* Kętrzyński: Biskupstwa i klasztory polskie w wieku X i XI (w krakowskim »Przeglądzie Powszechnym« z roku 1889, T. 24, str. 23 i n.). — Założenie biskupstwa płockiego (w tymże Przeglądzie z r. 1890, zeszyt wrześniowy). — Studya nad dokumentami XII wieku (Rozprawy wydziału hist.-filozof. Akademii krakowskiej, t. I seryi II z r. 1891, str. 277).

Abraham: Organizacya Kościoła w Polsce, Lwów 1890. (Recenzyę tego dzieła, przez Kętrzyńskiego, mamy w lwowskim Przewodniku naukowym i literackim z r. 1891, zeszyt czerwcowy. Tu recenzent ponownie rozwija wywody swoje i uzasadnia w kwestyi odnośnej).

wnianego i ciasnego) kościoła w tej miejscowości, i wszakże sławi go też pewien współczesny głos jako założyciela wspaniałych świątyń*. Ale tradycya założenia przez niego biskupstwa w tym grodzie kujawskim wytworzyła się chyba ze wspomnienia, że on był tamtejszej katedry założycielem.

W gruncie rzeczy wszelako zachodzi pytanie, czy nawet była taka tradycya. Albowiem wiedzieć o tem należy, że Baszko nie wypowiada tego co o tem podał, w takich słowach, żebyśmy mu koniecznie podsuwali rozumienie, że dopiero Mieszko II to biskupstwo w życie wprowadził. I choć kroniki Wielkopolskiej i ja nie zaliczam do pomników dziejopisarstwa, przekazujących same tylko historyczne dogmaty, to jednak nie widzę znowu przyczyny, dlaczegobyśmy odnośne w tej kronice miejsce poczytywać mieli za ot sobie takie powiedzenie, nad którem wżdżymając ramionami wolno do porządku dziennego przechodzić. Dyskredytuje je w oczach mniej bacznego czytelnika to jedno, że się zdaje, jakoby Baszko i poznańskiego biskupstwa założenie przypisywał Bolesławowi Chrobremu, a to czyniąc upoważniał do przypuszczeń, że jego informacye w tej kwestyi niewiele więcej były warte, jak wszystkich innych o tem piszących. Rzeczywiście tak jednak bynajmniej nie jest. On tylko założenie katedry w Poznaniu do tego monarchy odnosi, a nie fundacyę biskupstwa. A taksamo zdaje się też i w Mieszku II widzieć raczej fundatora kościoła kruszwickiego, choć co prawda dla posuniętej za daleko brewilokwencyi, nie wyraża się o tem dość jasno**.

---

* List księżniczki czy księżnej swewskiej Matyldy do króla »Misegona« (Mieszka II) dołączony do przysłanej mu przez nią w darze pewnej księgi, oddrukowany w Monum. Pol. I str. 323: »Quis enim tantas erexit ecclesias?« itd. Jeżeli doszedł aż do niej odgłos o budowanych przezeń kościołach, toć tem bardziej byłaby słyszała coś o biskupstwach, gdyby je ten król fundował.

** W samym końcu rozdziału 10 (Monum. Pol. II 482) Baszko jak najstanowczej powiada, że Mieszko I w r. 968 Jordana »ordynował na biskupa Polski«. Zaraz potem w rozdziale 11 przechodzi do Bolesława Chrobrego i pisze dosłownie tak: »Ten sześć kościołów katedralnych, mianowicie poznański, który najprzód założył był i w któregoto kościoła murach pochowany spoczywa; gnieźnieński potem, mazowiecki dziś nazywany płockim, krakowski, wrocławski i lubuski; kujawski zaś dziś nazywany włocławskim syn jego po nim założył imieniem Mieszko«. — Prawda, że nie wspomina tu Baszko nic o kościele kołobrzeskim, którego pamięć za jego czasu całkiem poszła w zapomnienie. Prawda, że się nie trzyma chronologicznej kolei i tak pisze o krakowskim,

Powstające zatem wkrótce po zgonie Reinberna biskupstwo kruszwickie nie było fundacyą nową. Zaszło tylko przeniesienie zarządu dyecezyi pomorskiej do tego kujawskiego grodu, tak pobliskiego Pomorzu; osadzenie tu biskupa i kapituły, zamiast w Kołobrzegu na drugiej kończynie tego kraju, dokoła otoczonym żywiołami nienawistnymi. Prawdopodobnie pociągnęło to przeniesienie za sobą i jaką małą zmianę w rozgraniczeniu. Owa północna część Kujaw, która Kruszwicę przegradzała od pomorskiej granicy (od Wyszogrodu), mogła wtedy być wcieloną do dyecezyi pomorskiej, tak iż nowa rezydencya biskupa (taksamo jak później Włocławek i Płock) mieściła się na samych kresach powierzonej jemu owczarni. Przyczynek ten terrytoryalny przypadł jej kosztem dotychczasowego obszaru archidyecezyi gnieźnieńskiej — może niekoniecznie za zgodą arcybiskupa, a przynajmniej nie z doraźnem i zupełnem jego zadowoleniem*. Był to jednak stosunkowo tak nieznaczny przyczynek, że to biskupstwo i potem pozostało »pomorskiem«. A choć później (za Bolesława Śmiałego) ogarnęło ono całe Kujawy i w toku czasu przybierało różne nazwy: kruszwickiego — kruszwickiego lub włocławskiego ad libitum — włocławskiego lub kujawskiego: to jednakże pierwotna i właściwa nazwa »pomorskiego biskupstwa«, obok

---

wrocławskim itd. kościele (cathedralis ecclesia), że można przez to rozumieć i biskupstwa. Ale skoro w miejscu właściwem ustanowicielem poznańskiego biskupa nazywa Mieszka I, a o założonym przez Chrobrego kościele poznańskim powiada, że w jego murach znalazł swój wieczny spoczynek: toć rzecz jasna, że nie o biskupstwie mówi, ale o katedrze poznańskiej. Kiedy dalej powiada: »kościół mazowiecki, który się dziś płockim zowie«, »kościół kujawski, który się dziś nazywa włocławskim«: to te kościoły poczytywać musiał za położone wtedy gdzieindziej, jak w Płocku i Włocławku. I rzeczywiście Kruszwica jako stolica kujawskiego biskupstwa wyprzedziła Włocławek. A kto tam wie, jak było z płocką katedrą. Tam zaś wreszcie gdzie mówi o Mieszku II, bynajmniej nie powiada Kujaviensem episcopatum fundavit, ale ecclesiam, od któregoto wyrazu całe to zdanie zaczął.

* Jest w kronice Galla (Mon. Pol. I 416) w nader lakoniczny sposób powiedziana wzmianka o tem, że była chwila, w której Radim, pierwszy arcybiskup gnieźnieński, tak się z swoim monarchą poróżnił, że rzucił klątwę na Polskę. »Quam terram Gaudentius, s. Adalberti frater, occasione qua nescio, dicitur anathemate percussisse«. Różni różne tej klątwie podkładają powody. Lecz jeżeli jest w tem coś prawdy, to mnie się zdaje, że najsnadniej mogło być tego rozgoryczenia przyczyną to przypuszczone tu przezemnie oderwanie od dyecezyi gnieźń. kasztelanii kruszwickiej na rzecz biskupstwa kruszwicko-pomorskiego.

tamtych, służyła mu przez wszystkie dalsze wieki aż do samego końca niepodległej Polski i nie wyszła nawet pomimo tego z używania, że za czasów Bolesława Krzywoustego nastało i drugie na Pomorzu biskupstwo, t. j. Wolińskie czyli (jak się później przezwało) Kamieńskie.

Że o tem wszystkiem, co dotąd powiedziano, nic nie donos Diethmar, nie dowodzi niczego. Diethmar przecież nie był historyografem Kościoła polskiego. Co zapisał o biskupach poznańskich, co mrukliwie o zdarzeniach w Gnieźnie w r. 1000 nadmienił, miało ten jedyny powód, że biskupi poznańscy byli sufraganami magdeburskimi, a zdarzenia gnieźnieńskie w jego oczach uchodziły za krzywdę wyrządzoną Magdeburgowi. Przeniesienie siedziby biskupów kołobrzeskich do Kruszwicy nie obchodziło go wcale, mógł o niem nawet nie wiedzieć, i oto cały powód milczenia.

Po zgonie Mieczysława II (1034) nastały w Polsce wiadome okropne czasy. Przez czas jakiś rządy Ryxy, niemiłej narodowi — jej wyjazd czy wydalenie — a potem reakcya społeczna i religijna. Przewrót wszystkich stosunków, nawrót w pogaństwo — biskupi i księża pomordowani, a na dobitek po tem wszystkiem najazd nieprzyjacielski, w r. 1038 na Kraków i Małopolskę, w rok później na Giecz, Poznań, Gniezno i t. d. Kościoły złupione i puszczone w perzynę, grody zrównane z ziemią. »W świątyni św. Wojciecha męczennika (w Gnieźnie) i świętego apostoła Piotra (w Poznaniu a może i Kruszwicy) dzikie zwierzęta urządziły swoje siedliska« *. Cała organizacya episkopalna w kraju naszym od tego czasu przestała de facto istnieć. W żadnej katedrze nazwisk biskupów z tego okresu czasu nie znamy. Prawdopodobnie nie było ich wcale. O jednych tylko szląskich biskupach tyle przynajmniej wiadomo, ilu ich na ten okres przypada, choć imiona i tych kilku nieznane: skutek tej może wyjątkowej okoliczności, że ci biskupi schroniwszy się do Smogorzewa i do Ryczyna, jak to podaje tradycya, na uboczu przetrwali burzę, nim im losy dozwoliły wrócić do właściwej swej rezydencyi. — W r. 1039 wraca do kraju Kazimierz I i poczyna restauracyę świeckich i kościelnych stosunków. Uczynił wiele, wszystkiego odbudować nie zdołał. Klasztor tyniecki został wskrzeszony. Jego opat imieniem Aron poczyna około r. 1046 nowy

* Słowa Galla Mon. Pol. I str. 416. — Tu nadmienić należy, że nie tylko poznańska katedra jest pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, ale i kruszwicka.

poczet biskupów krakowskich, odtąd już nieprzerwany. Szereg wrocławskich nawięzuje się na nowo (w 1046 czy 1051) w osobie Hieronima. Jak się rzecz miała z poznańskiem i gnieźnieńskiem biskupstwem, tego wcale nie wiemy. Pewien rocznik mówi o odbudowie gnieźnieńskiej archikatedry pod r. 1064*, więc dopiero za panowania Bolesława Śmiałego. Że do przywrócenia do życia kruszwickiej za życia Kazimierza nie przyszło, można przyjąć za fakt pewny. W każdym razie jednak nastąpiło to za rządów syna jego i bezpośredniego następcy, najpewniej w r. 1075, w którym papież Grzegorz VII przysłał do Polski swoich legatów z wiadomym listem do Bolesława Śmiałego z d. 25 kwietnia owego roku**.

Co wywołało to wkroczenie stolicy apostolskiej w kościelne tamtoczesne stosunki w Polsce, wyrozumieć jasno z tego listu nie można. Zajść musiało ze strony któregoś z ówczesnych biskupów zażalenie na nieład panujący w hierarchii, niemniej i utysk na zaniedbywanie rządowych świeckich obowiązków przez Bolesława. Ale nie jest wykluczonem i przypuszczenie, że ten książę i sam krok ten papieża wywołał, żądając może sankcyi na coś takiego w rzeczach kościelnych, co choć zmierzało ku ich naprawie, nie czyniło zadość oczekiwaniu skutecznej i dostatecznej naprawy***.

---

* »1064 gnesnensis ecclesia consecratur«, Rocznik Trzaski, Mon. Pol. t. II str. 831.

** Mamy go w Mon. Pol. I 367 i w Kod. WPol. Nr. 4. Że ten list nie był zapowiedzią przybyć do Polski mających wysłanników papieskich, ale że z nim w rękach oni już w tym roku zjechali do Bolesława, tego dowodzą słowa »hos legatos ad vos direximus« i t. d.

*** List się zaczyna od pochwały i od wdzięcznego uznania życzliwości i szczodroty Bolesława dla osób i powagi biskupów w jego państwie. Działał zatem w tym kierunku Bolesław już i przed tym listem, a może i o jaki czyn świeżo zamierzony się rozchodziło, godny uznania, ale niewystarczający potrzebie. Idzie bowiem zaraz potem wytknięcie 1. tej okoliczności, że biskupi polscy non habent certum metropolitanae sedis locum (snać odżyły uroszczenia magdeburskiego nad kościołem poznańskim zwierzchnictwa, albo powstał jakiś zamęt wskutek piastowanej przez Arona w Krakowie arcybiskupiej godności, jeśliby w nią wierzyć można, albo wreszcie zachodziło jedno i drugie); 2. że biskupi przyjmując swą ordynacyę to od tego, to od owego metropolity, wskutek tego ostatecznie nie słuchają żadnego i nikomu nie podlegają (nec sub aliquo positi magisterio... liberi et absoluti...); 3. że biskupów w Polsce za mało, a dyecezye ich tak rozległe, iż im nie mogą podołać. — A zatem żąda tu widocznie Grzegorz VII podziału dyecezyi, jakiemi one wtedy były, a przynajmniej rozdzielenia na dwoje pewnej takiej

Jak nie znamy nazwisk ani liczby goszczących wtedy u nas legatów, tak też nie donosi nam żadne źródło, z jakim oni kraj nasz opuścili skutkiem, co się wtedy dokonało pod ich kierunkiem. Sama jednak natura rzeczy dyktuje, że pomnożenie liczby biskupstw do tej ilości, jaka odtąd wystarczała na potrzeby tego królestwa, zostało wtedy i przez nich przeprowadzone. A to znaczy, że biskupstwo kruszwickie i lubuskie do życia przywrócone, poznańskiego podległość Gnieznu na nowo stwierdzona, płockiej zaś dyecezyi (jeżeli jej dotąd nie było) ustanowienie także wtedy i przy tej sposobności zatwierdzone zostało. Kruszwickiemu biskupstwu przypadła najsnadniej wtedy dopiero cała reszta Kujaw, dotąd do gnieźnieńskiej dyecezyi należna. Rzeka Wisła przedzielała je od płockiego*; ziemię zaś Czerską pozostawiono po dawnemu pod pastorałem poznańskim. — Jak widzimy, cały ten ustrój oparł się więc na powrocie do dawniejszych, za Chrobrego przeprowadzonych, przez stolicę apostolską czasu swego uświęconych stosunków, krom nieznacznych kilku odmian w rozgraniczeniu — w duchu żądań naznaczonych w liście Grzegorza VII. Bolesław Śmiały zgodził się na te postanowienia, choć poprzednio zdaje się że miał zamiar połączyć Mazowsze i Kujawy z sobą na tylko jedno biskupstwo**.

---

dyecezyi, czy istniejącej, czy zamierzonej przez Bol. Śmiałego, która mu się wydawała być zbyt rozciągłą. — Ta krytyka istniejących stosunków mogła być wywołaną tylko przez krok odpowiedni jednego z tamtoczesnych biskupów. A taksamo stąd pochodziło i to, co potem następuje: napomnienie do więcej usilnego i miłego Bogu sprawowania commissae duci potestatis, moderaminis jurium et judiciorum itd.

* Pas zachodni ziemi Dobrzyńskiej, po prawej już stronie Wisły, przez całą tej ziemi rozciągłość, od Ciechocina do Grochowalska, należał jednak niewiadomo z jakiej przyczyny pomimo zawiślańskiego położenia swego nie do płockiej, lecz do kruszwickiej dyecezyi.

** Na przypuszczenie to naprowadza pierwszy ustęp pewnego bardzo dawnego zabytku, t. j. dokumentu »Bolesława« z r. »1065«, jakoby dla Benedyktynów w Mogilnie wystawionego, który mamy zamieszczony w tomie I i IV Kod. dypl. Wielkopolskiego pod Nr. 3. Dokument ten, wstawiony jako transumpt w przywilej księcia Mieszka (Starego) z r. 1100 (data niemożliwa, bo w tym roku nie żył ni ten ni żaden Mieczysław) i niby zatwierdzony w tym roku, znany był naszym uczonym aż do r. 1881 jedynie z kilku odpisów. Ponieważ data konfirmacyi (1100) jest niemożliwą, a i w transumpcie znajdują się rzeczy niepodobne do wiary, sprzeczności (n. p. pod względem podanych na końcu świadków, nie dających się w żaden sposób z początkiem dokumentu

Dalsze fakta dziejów tego biskupstwa w jego tamtoczesnej epoce były te, że około r. 1124 wyłączono z jego granic całą część Pomorza wtedy jeszcze pogrążoną w pogaństwie, z postanowieniem utworzenia z niej osobnej dyecezyi, która w kilka lat później otrzy-

---

pogodzić) i inne jeszcze poszlaki szczególnego bałamuctwa: sądzono przeto, że te wszystkie niemożliwości złożyć należy na karb tylko nieuctwa przepisujących. Przypuszczano, że owa data roku MC powstała przez wypuszczenie jednego C, zamiast MCC. Równie też i we wsuniętym w środek tej konfirmacyi dokumencie Bolesławowskim domyślano się pomyłek. Ażeby wiek przywiedzionych w nim świadków, którzy jak skądinąd wiadomo, dopiero w drugiej połowie XII wieku żyli, pogodzić z osobą wystawiającego ten akt w r. 1065 »Bolesława«, więc jakby wynikało z tej daty, B. Śmiałego: przyjmowano i tu także przekręcenie cyfry MCLV (1155) na MLXV (1065) i orzeczono, że to nie B. Śmiały, ale Kędzierzawy w r. 1155 ten dokument wystawił, a Mieczysław Stary go potem w kilkadziesiąt lat później (1200) potwierdził i powtórzył. Zresztą tamtoczesnym zwyczajem nie kwestyonowano autentyczności żadnego z tych dokumentów i odnoszono je obydwa rzeczywiście do klasztoru w Mogilnie. (Obacz List otwarty Helcla do Bielowskiego, i odpowiedź Bielowskiego Helclowi, pisma w tym przedmiocie bardzo ciekawe, w czasopiśmie »Biblioteka Ossolińskich«, tom VI i VII z r. 1865). — W kilka lat później, wydawca Kod. dypl. WPol. Zakrzewski, umieszczając te obydwa dokumenty w tej publikacyi w tomie I (w r. 1877 wydanym) jako Nr. 3 i 36, także nie podejrzywał jeszcze ich podrobienia, gdyż i on wtedy znał je tylko z pewnej późniejszej (z r. 1417) kopii, i przyjmował co do N-ru 3 hipotezę Helcla, że to dokument nie Śmiałego, lecz Bolesława Kędzierzawego z czasu około r. 1155. Dopiero zabierając się do oddania pod prasę tomu IV tego kodeksu, trafił Zakrzewski szczęśliwym przypadkiem na oryginał przywileju Mieczysława wraz z Bolesławowskim transumptem i oddrukował je w r. 1881 podług tego tekstu powtórnie na pierwszych zaraz stronicach IV-go tomu. Odszukał on ten oryginał w poznańskiem rządowem archiwum, do którego tenże dopiero w roku 1879 został przysłany z regencyi bydgoskiej, a tam się zapewne dostał i zalegał od czasu zniesienia klasztoru mogilińskiego, w którego skarbcu było to pismo przechowywane aż do ostatnich czasów i gdzie je też za dni swoich oglądał Długosz i po swojemu spożytkował w swej Historyi pod r. 1065 (tom I str. 329). — Przy sposobności tej autopsyi samego pierwotworu cóż się okazało? Oto że owe liczby lat 1100 i 1065 bynajmniej nie były zmylone przez kopistów; są tak podane jak najwyraźniej już i w samym oryginale. Ale oryginał okazuje się być falsyfikatem, na co nie tylko owe wszystkie w nim rzeczowe i chronologiczne bałamuctwa, ale i samo nawet pismo wskazuje: pochodzi bowiem co najwyżej z środka dopiero XIII stulecia. — Rzecz zatem przedstawia się obecnie tak, że konfirmacya Mieczysławowska z r. »1100« jest podrobieniem, na to jedynie (przez kogoś, który nie wiedział, kiedy żył Mieszko Stary) wykonanem, aby w nią jako niby-transumpt wsunąć dokument Bolesława, którego to dokumentu jako aktu osobnego nigdy nie było, i także go sfałszowano, lecz

mała swego własnego biskupa, a nazwaną została Wolińską, później Kamieńską. Stało się to za Bolesława Krzywoustego, w czasie kiedy na prośbę tego książęcia Otto biskup bamberski Pomorze

---

dlatego w tej formie, że z nim jako odrębnym dokumentem nie śmiano publicznie wystąpić, ponieważ nie posiadano pieczęci Bolesława Śmiałego, a takowa musiałaby być przywieszona do niego. Pieczęć zaś Mieszka Starego — tę posiadano i była ona przywieszona do tego falsyfikatu całego, jak nas o tem powiadamia kopista tego aktu, notaryusz Andrzej Dersławowicz z Jackowa, który go w r. 1417 przepisywał i tę pieczęć jeszcze widział i opisuje. Dziś jest ona już oderwana i trudno orzec, jaka była historyczna jej wartość, jakkolwiek z różnych przyczyn godzi się wątpić o jej autentyczności. (Bliższe co do tego szczegóły obacz w Liście Helcla).

Jakkolwiek mamy zatem do czynienia z dokumentem zmyślonym, pomimo tego zasługuje on jednak na uwagę i poniekąd na wiarę. Takich bowiem falsyfikatów, któreby były całkowicie wyssane z palca, któreby były od A do Z kłamliwe, stosunkowo niewiele jest w naszej dyplomatyce. Są niezawodnie i takie, i należy do tej kategoryi n. p. niniejsza konfirmacya Mieczysławowska. Lecz ten transumpt w niej zawarty należy do liczby dyplomatów o tyle tylko sfałszowanych, że je bezprawnie skompilowano z dawnych zapisek, przedmiotowo po największej części podających fakta prawdziwe, tylko że nie urzędowych i w klasztorze dla własnego tylko prywatnego swego użytku notowanych. W miarę tego jak która kongregacya zakonna otrzymała od kogo jakie dobrodziejstwo, zaciągano takie zdarzenia do przeznaczonej na to księgi, jużto dla przechowania pamięci, co od kogo pochodziło i z jakiego datowało czasu, już też w celu, ażeby się modlić za duszę takiego benefaktora. Nie podzielam wprawdzie zdania, żeby w Polsce nie miano w wieku XI jeszcze żadnych dokumentów przy nadaniach wystawiać; niewątpliwie jednak zdarzać się to wtedy musiało rzadko, i trudno było je otrzymywać. Kiedy później każdemu klasztorowi bardzo na tem zależało, ażeby piśmienne i urzędowe prawnej własności dowody posiadać co do swych uposażeń, najzwyklej działo się tak, że z kilku czasowo lub rzeczowo zbliżonych do siebie zapisek takich układano jednolity, niby urzędowy, przez tego lub owego księcia wystawiony lub potwierdzony dokument nadawczy. Forma takiego pisma była zatem podejściem, choć niekoniecznie w złej wierze; wszelako merytoryczna osnowa zgadzała się z faktyczną prawdą, jakkolwiek częstokroć wkładano w tekst takich robót pod względem swobód i uwolnień od podatkowych ciężarów dodatki już z własnej głowy, które wobec czasu, z jakiego miały pochodzić, były wierutnem kłamstwem (tak zwane przez niektórych naszych uczonych »późniejsze w autentycznych tekstach interpolacye«). Data czasu pewnej poszczególnej takiej zapiski służyć musiała w takich razach za datę dla całego takiego pisma (taką datą jest w naszym wypadku ów r. 1065). A nieraz i imiona osób, wspomnianych przypadkowo w jednej lub drugiej takiej notatce, bywały bez uwzględnienia ich wieku w jednę grupę łączone i wprowadzane do tekstu w charakterze świadków, obecnych opisanej czynności.

nadodrzańskie na wiarę chrześcijańską nawracał, w Polsce zaś w charakterze Legata papieskiego kardynał Idzi, biskup tuskulański przebywał i tak ten podział biskupstw przeprowadził. Rzeka Leba na Pomorzu tworzyła między niemi rozgraniczenie. Takie więc

---

Otóż i w naszym transumpcie jest taki zlep różnorodnych, z dalekich od siebie czasów pochodzących zapisek. Nie braknie i »późniejszej interpolacyi« (owo miejsce wręcz skłamane o homicidiach). Świadkowie pod koniec przytoczeni, niektóre osobistości wymienione jako darzące klasztor wsiami swojemi, mogły żyć, a w części i w dowiedziony sposób żyły za panowania Bolesława Kędzierzawego; a i od niego samego mogło pochodzić co z darów (np. owa sześćdziesiątka darowanych klasztorowi »servi ascripticii«), które specyalizuje to pismo. Ale żeby jego całość do tego książęcia odnosić, osobę zaś Bolesława Śmiałego całkiem z niego wyłączać — prawdziwie nie pojmuję, jak można było występować z takim wykładem. Są tu przecież takie obdarzenia, których Kędzierzawy nikomu dać z tej prostej przyczyny nie mógł, ponieważ albo się już nie kwalifikowały na darowiznę albo on sam ich nie posiadał. Tak np. owe grzywny coroczne z Wolborza — owa donacya wsi mazowieckiej Kromnów, albo Czerwińska — owo przekazywanie klasztorowi publicznych grodów, a między nimi nawet Włocławka i Płocka — a cóż dopiero owo zapewnienie dochodów z przewozu przez Wisłę w rozciągłości od Kamienia (nad Wisłą przy ujściu Bzury) usque in mare, t. j. aż do Bałtyku! Wolborz z całym swoim dystryktem należał przecież jeszcze z czasów przed Kędzierzawym do dotacyi włocławskiego biskupstwa. Kromnów był za jego czasów własnością klasztoru Czerwińskiego, a sam Czerwińsk wchodził w poczet dóbr stołowych biskupów płockich (Kod. Rzyszcz. tom II Nr. 1; tom I Nr. 3). Płock — stolica kraju i biskupstwa mazowieckiego. Włocławek — rezydencya biskupów i ich własność kościelna. A co się tyczy Wisły aż do samego Bałtyku, to dochodem z przewozów przez tę rzekę na Pomorzu, za czasów swoich mógł wprawdzie rozporządzać Bolesław Śmiały: ale za czasów Kędzierzawego — chyba Mieczysław; lecz i tego nawet nadania takie żadnego tam już wtedy nie byłyby miały znaczenia. Panowali przecież już wtedy nad Pomorzem wschodniem książęta własnej dynastyi, dzielni ludzie i wcale się nie pytający o Polskę, jak dziad Świętopełka Subisław i współczesny krewny jego książę Grzymisław na Świeciu, którzy u siebie własne już zakładali klasztory i te darzyli dochodami, jakie im a nie komu w granicach tych księstw służyły. — Powyższe przedmioty nadań mieszczą się wszystkie w pierwszym ustępie transumptu i cały ten pierwszy ustęp (aż do słów *In Culmine forum cum tabernario*) wtedy tylko nie jest bezsensem, jeżeli go odniesiemy do Bolesława Śmiałego. Tylko że nie należy temu wierzyć, żeby te prawa Bolesław przeznaczał i zapisywał klasztorowi w Mogilnie. Jest to widocznie jakiś fragment, może pierwszy skoncypowany projekt dotacyi jakiejś katedry i presumptywne wytyczenie granic dyecezyalnych tego biskupstwa. Myśl tę rzucił już Kętrzyński w roku 1890 (Założenie biskupstwa płock. w Przeglądzie Powszechnym), i piszę się na to przypuszczenie zupełnie; tylko że nie podzielam jego zdania, żeby to było

tylko znaczenie mogą mieć słowa w pewnej bulli papieskiej późniejszej (w bulli protekcyjnej Eugeniusza III z r. 1148 dla biskupstwa kujawskiego, Kod. Rzyszcz. II Nr. 1), orzekające, że obszar

---

pierwotne, rzeczywiście w życie wprowadzone uposażenie płockiego biskupstwa za Bolesława Śmiałego, które potem, za Władysława Hermana, wskutek erekcyi kruszwickiego, miano zastąpić innem znowu uposażeniem. — Jeżeli uwzględnimy położenie grodów, których tu wyrażono same tylko nazwiska *(Et hec sunt nomina castrorum:)* bez powiedzenia, w jakiem znaczeniu się te grody wymienia — jest ich zaś 19, między nimi stolice ziem, jak n. p. Dobrzyń, Płock, Włocławek itp., to nie można inaczej tego miejsca rozumieć, jak tylko tak, że to jest określenie obszaru tej dyecezyi. Pokrywają one całą ziemię Chełmińską, Dobrzyńską, Mazowiecką i wschodnią połowę Kujaw. Snać z tych kasztelanii miała się według projektowanego w r. 1065 planu Bol. Śmiałego składać ta zamierzona przezeń wtedy dyecezya kujawsko-płocka, do której wprowadzenia w życie jednak dlatego nie przyszło, że papież i jego Legaci w r. 1075 woleli wskrzesić do bytu biskupstwo kruszwickie, jakiem ono było niegdyś, a prócz niego kreować nowe (płockie). — Inne punkta ustępu pierwszego, mianowicie owe przewozy przez Wisłę od Kamienia aż do Bałtyku; wszystkie przewozy *na Wkrze* (tak czytam niezrozumiałe w dokumencie *„Navchre“*); przewóz (przez Narew) w Wiźnie i drugi (przez Orzycę) w Makowie; dziesięcina z targowego, z mennicy, z podworowego i t. d. przez całe Mazowsze; pewna ilość corocznych sum pieniężnych zapewniona na kilku grodach, jużto mazowiecko-kujawskich, już łęczycko-sieradzkich, a nawet sandomirskich; nakoniec 7 włości a raczej pewnie kluczów, i 3 pierwszorzędne kościoły z całą każdego dotacyą. — te punkta wszystkie obejmują pierwszy zarys uposażenia zamierzonego biskupstwa.

Z tą sprawą w r. 1065 trutynowaną musiał zostawać konwent Benedyktynów w Mogilnie w owej chwili w jakiejś bliższej styczności. Może tamtoczesny jego opat imieniem Mengozy był upatrzony na biskupa tej dyecezyi, tak iż do jego klasztoru dostał się odpis układów i projektów odnośnych. Spełzło to wszystko na niczem, ale pismo pozostało w archiwum mogilińskiem. W wieku XIII nie rozumiano już, co ta karta znaczyła. Mając jednak w pamięci, że ten klasztor był fundowany przez Bolesława Śmiałego (a że ten był jego założycielem, to donosi i trzemeszyńska zapiska, Mon. Pol. III str. 134), i widząc w tym zabytku wymienione imię tego panującego, rozumiano, że to akt fundacyjny klasztoru. Zabierając się zatem do skoncypowania w wiadomy z różnych zapisek sposób generalnego dokumentu w sprawie swego majątku, spożytkowano w nim owę notatkę zaraz na pierwszem miejscu i jej datą opatrzyli cały podrobiony dokument. Przypuszczam, że to co z tej karty przejęli, poczyna się dopiero od słów *„transitus omnes per Wislam de Camen“* i t. d. Cztery zaś poprzedzające to wiersze, które w części nawet sensu nie mają (bo cóżto za dziwoląg n. p. to »testimonium veritas omnis ecclesia religionis«), dopełnili już z własnej głowy. Taka w tym nagłówku biegłość w łacińskiem stylizowaniu, jaka znajomość historyi w konfirmacyi Mieszka Starego

tej dyecezyi ma pozostać, jak go w czasach swoich wytyczył kardynał Idzi*.

Drugim ważnym faktem było przeniesienie stolicy biskupstwa kujawskiego z Kruszwicy do Włocławka, co zajść musiało mało co przed r. 1133 — z powodów niewyjaśnionych, i o ile wnosić można, bez urzędowego doniesienia o tem Inocentemu II (rządził 1130—43). Do tych przypuszczeń upoważnia bulla tego papieża z roku 1133 dla arcybiskupa magdeburskiego Norberta (Kod. WPol. N. 6), w której Inocenty — źle jak widać powiadomiony o aktualnym stanie i o przeszłości rzeczy naszych kościelnych — i widocznie ulegając nalegliwym żądaniom tegoż Norberta, a może i cesarza — rozporządza, że biskupstwa z lewej strony Odry: Szczecińskie i Lubuskie, a z prawej Pomorskie (t. j. Wolińskie), Poznańskie, Gnieźnieńskie, Krakowskie, Wrocławskie, Kruszwickie, Mazowieckie (płockie) i Włocławskie, podlegają Norbertowi i nie powinny się (jak to czynią) wyłamywać z pod władzy tego metropolity magdeburskiego. — Rozporządzenie to wprawdzie nie miało żadnego skutku. Widać, że papież, lepiej o rzeczach tych później informowany, nie obstawał przy tym nakazie. Wtedy jednakże dał posłuch uroszczeniom magdeburskim, a pozwolił się w błąd wprowadzić i pod innymi względami. Mianowicie ta wzmianka o biskupstwie szczecińskiem jak gdyby istniejącem polegała na urojeniu: mówiono o niem co prawda w najbliższem otoczeniu biskupa bamberskiego Ottona po jego drugiej bytności na Pomorzu, że przydałoby się; ale go ani przed ani po r. 1133 nie kreowano. Dwa zaś biskupstwa, kruszwickie i włocławskie, wspomniane w tej bulli, jak gdyby jedno obok drugiego istniało, także były tylko wytworem wyobraźni, łakomej na takie rzeczy magdeburskiej hierarchii: słyszała że dzwonią, lecz niewiedzieć w którym kościele. — Pomimo całej jednak bajeczności tego wszystkiego, mamy w tej bulli, za-

datowanej rokiem 1100. Ale rdzeń rzeczy zmyśloną być nie może, bo i jakiż cel byliby mieli przypisywania sobie praw, włości i dochodów, których w dowiedziony sposób nigdy nie posiadali i z któremi, gdyby im je kto nawet przyznał, nie byliby wiedzieli, co począć.

* ... »Ut terminos tui episcopatus, mówi papież do biskupa tamtoczesnego Warnera, quemadmodum ab Aegidio... statuti sunt, absque diminutione aliqua tu et tui successores in perpetuum possideatis«. — Cf. Bulla z r. 1140 dla biskupstwa Wolińskiego (Mon. Pol. II str. 19), gdzie rzeka Leba wskazana jako rozgraniczenie.

chowanej w oryginale, autentycznej i niesłusznie przez niektórych podejrzywanej, niewątpliwe świadectwo, że ta zamiana Kruszwicy na Włocławek została dokonaną bez odniesienia się do najwyższej władzy Kościoła i w roku 1133 była spełnionym już faktem, lecz tak świeżym, że w Magdeburgu, a i w Rzymie, jeszcze nierozumiano jego znaczenia*. — Drugą okolicznością, przemawiającą za naszem określeniem czasu »przed r. 1133«, jest to, że najdawniejszy zachowany włocławski katalog biskupów, o którym niżej podamy bliższe szczegóły, zaczyna poczet tych biskupów, t. j. już włocławskich a nie kruszwickich, od biskupa Świdgera. Wprawdzie niema w tym katalogu przy imieniu Świdger daty czasu, kiedy nastąpił lub umarł, a taksamo i wszyscy dalsi w nim biskupi nie są określeni chronologicznie. Wiemy jednakże skądinąd to, czego tu nie powiedziano. Mianowicie powiadamia nas Długosz, że rządy Świdgera na te właśnie przypadły czasy i że w roku 1133 konsekrował on pewien w swej dyecezyi kościół, świeżo wtedy wystawiony**.

---

* W każdym razie zatem data, do niedawna podawana powszechnie w pismach pomniejszej ważności jako czas tego wyniesienia się z Kruszwicy, t. j. data roku 1159, nie może mieć żadnej realnej podstawy. Tem bardziej, że i wspomniana wyżej protekcyjna bulla włocławska z roku 1148 stwierdza, że w tym czasie katedra biskupstwa istniała już w Włocławku. Tytułuje bowiem biskupa tamtoczesnego »włocławskim«.

** W Historyi (T. I str. 547) podaje nam pod r. 1133, co następuje: »Dnia 16 marca (decimo septimo calendas aprilis) Piotr Duńczyk ze Skrzynna funduje klasztor i kościół zakonu Premonstratensów we wsi swojej Strzelnie, któremuto klasztorowi tenże Piotr tę wieś Strzelno darował w dniu poświęcenia kościoła przerzeczonego, a konsekrował go — w przytomności Bernarda biskupa lubuskiego i wspomnianego komesa Piotra — Świdger biskup (Dl. nazywa go tu jeszcze po dawnemu kruszwickim) na cześć i pod wezwaniem Św. Krzyża i N. Maryi Panny«. — W zapisce tej spostrzegamy wprawdzie kilka co do ubocznych rzeczy pomyłek. Nie była to wtedy dedykacya kościoła i klasztoru, ale tylko kościoła, gdyż klasztor nastał w Strzelnie dopiero około roku 1190. Nie zbudował też tego kościoła wiadomy szląski magnat Piotr z Skrzynna czyli Piotr Włast, ale Piotr dziad czy stryj Piotra w r. 1176 wojewody kujaw. i kasztelana kruszw. Zresztą jednak godzi się na tych faktach polegać, ponieważ miał snać Długosz przed sobą co do tego jakąś wiarogodną zapiskę, skoro z taką dokładnością i pierwotny tytuł owego kościoła, nadto rok, miesiąc i dzień tej dedykacyi, nakoniec imiona tych dwóch biskupów, był w stanie zgodnie z prawdą, wiadomemi skądinąd okolicznościami stwierdzoną, przekazać wiadomości potomnych. Mianowicie ów tytuł kościoła w Strzelnie (»św. Krzyża

Wskutek tego przeniesienia posiadało biskupstwo kujawskie od tego czasu dwie katedry i dwie kapituły pod jednym biskupem, w Kruszwicy i w Włocławku. Każda miała osobnych swych kanoników i osobne dla nich uposażenie, i tak to było aż do końca samoistnej Polski. Przez nałogowe przyzwyczajenie długo jednak po roku 1133 w mowie potocznej nazywano jeszcze biskupów kujawskich kruszwickimi. I Świdger i dalszy jego następca Onolf czyli Honold, i jeszcze Ogerius, a nawet tegoż następca Barto (w r. 1216) bywali przygodnie wspominani jako kruszwiccy*. Rzeczywiście od miejsca, z którego rządzili swą dyecezyą, służył im tytuł włocławskich, a w oficyalnej stylizacyi »kujawskich i pomorskich«.

Otóż w takimto przebiegu zdarzeń przedstawia mi się pierwotna historya tego biskupstwa. Tak rzeczy biorąc, nie zadziwia, ani dlaczego obejmowała ta właśnie dyecezya Pomorze (aż do r. 1124 całe), ani fakt że od r. c. 1130 posiadała dwie katedry i kapituły, ani ta aż w wiek XIII trwająca dwojakość tytulatury biskupów w następstwie długiego z początku przemieszkiwania w Kruszwicy, ani wreszcie ta okoliczność, że aż do samego ostatka widziano w tych biskupach przedniejszych, a to znaczy: dawniejszych polskich książąt Kościoła, aniżeli n. p. płoccy, a nawet poznańscy, do któregoto przedmiotu niżej z dowodami powrócę.

Szanowni moi antagoniści w tej kwestyi, których zdanie po za jej obrębem wysoko cenię, nie przyjmują mego zapatrywania. Z jakich przyczyn? — Oto ostatecznie jedynie dlatego, że oprócz

---

i Matki boskiej«) został później (w r. 1216 przy jego przebudowie) zastąpiony innym (św. Trójcy), a tamten poszedł w niepamięć. Do niedawna rozumiano, że się Długosz podając go jakim był wtedy, pomylił. Najświeższe jednak odkrycia przekonały, że historyk ten był dobrze o rzeczy powiadomiony.

* Dług. Hist. I 547: Świdger episcopus cruswicensis. Kod. dypl. MPol. N. 373, rok 1161: »Onoldo episcopo cruszviciensi« (praesente). Kalendarz kapit. krak. Mon. Pol. II 917 (po roku 1212): »Burna uxor quondam Hogeri crusviciensis episcopi obiit. Manuskrypt królewiecki Libri Cancellariae biskupa Stan. Ciołka (Archiv für österr. Gesch., tom 45 str. 323): »A. D. 1216 consecrata est eccl. Strzelnensis a ven. patre Barthkone episc. Kruszwicensi ad petitionem Cristini filii Magni Petri comitis... in honore s. Trinitatis et s. Mariae« (późniejszy tytuł kościoła w Strzelnie).

Baszka (któremu nie bardzo dowierzają) żadne źródło dziejowe z przed r. 1133 nie wspomniało o istnieniu biskupstwa kujawskiego. Dopiero bulla Eugeniusza III z roku 1148, nadmieniająca o legacie Idzim, że (w roku 1124) orzekł o granicach tej dyecezyi (mojem zdaniem tylko w ziemi pomorskiej); dopiero druga bulla, owa Inocentego II z r. 1133, mówiąca o już wtedy istniejącem biskupstwie kruszwickiem i o włocławskiem; wreszcie dopiero owa wzmianka w Historyi Długosza o Świdgerze, że w roku 1133 konsekrował kościół w Strzelnie: to dopiero mają być świadectwa rzetelnej wartości, jako w tym czasie, w roku 1133 i już 1124, istniało już to biskupstwo. Nasz kronikarz Gallus, w pierwszej połowie panowania Krzywoustego układający swoją kronikę, przypisał pierwszą jej księgę kilku współczesnym polskim biskupom. Wspomniał tam o gnieźnieńskim, płockim, poznańskim, krakowskim i wrocławskim. O kruszwickim milczy: »a zatem — wnioskują z tego ci badacze — nie było jeszcze wtedy kruszwickiego biskupstwa«, równie jak i lubuskiego wtedy także jeszcze być nie miało, skoro i o tym biskupie Gallus obok tamtych nie wspomniał. Jednem słowem: brak świadectw, milczenie o egzystencyi biskupstwa kujawskiego przed rokiem 1124, ma być decydującym dowodem, że ono dopiero w tym czasie weszło w życie. Zdaje się, że gdyby nie ów czysty przypadek, że niemiecki współczesny Bolesławowi Chrobremu kronikarz tylko z powodu swego rozgoryczenia zapisał, że gnieźnieńskie, krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie biskupstwa w r. 1000 za bytności Ottona III w Gnieźnie zostały zaprowadzone, inne bowiem źródła niemieckie, mówiące o tym wypadku, tylko wypisują Diethmara: to równem prawem twierdzićby należało, że dopiero Bolesław Krzywousty lub ojciec jego założył te katedry. Od krajowych bowiem roczników, kronik i katalogów biskupich niczego pewnego się o nich nie dowiadujemy. Argumentum a silentio miewa nieraz pewne swoje znaczenie; ale w wiekach, gdzie prawie wszystko pokryte milczeniem — bardzo to niedostateczny dowód. Pominięcie kruszwickiego i lubuskiego biskupa u Galla, zdaniem mojem miało za powód, albo że się nie poczuwał do żadnej dla nich wdzięczności, albo że wtedy (około roku 1112) wakowały te dwie katedry. Wszakże on w innem miejscu i o płockim biskupie milczy, kiedy opisuje pogrzeb Władysława Hermana w Płocku. Rozpowiada o arcybiskupie Marcinie i jego kapelanach jako czynnych przy tym obchodzie (ks. II r. 21), a o biskupie miejscowym,

do którego przedewszystkiem funkcya ta należała, ani jednego słowa! A czyż ma wynikać z tego, że nie istniało jeszcze wtedy płockie biskupstwo? Sam Gallus przecież w innych miejscach byt jego stwierdza. — Podobnie i inne przytaczane dowody, nie zdaje mi się, żeby były warowne. Tak n. p. ma wskazywać na nierychlejszy początek biskupstwa kujawskiego, jak dopiero za czasu misyonarskiej wyprawy Ottona bamberskiego na Pomorze (w r. 1124), ta okoliczność, że Bolesław Krzywousty wezwał do niej tego zagranicznego biskupa i listownie skarżył się przed nim, że u siebie nikogo nie może znaleść, coby się tej sprawy podjął. »Byłoby to zbyt smutne dla biskupa kruszwickiego świadectwo, któremu samo położenie geograficzne wskazywało ten kierunek działania« *. A przecież jednak sam szanowny profesor parę stron dalej uznaje (str. 97 i n.), że »biskupi polscy biernie się względem tego zadania zachowywali, być może z tego powodu, że nie mieli nadziei, aby ich praca odniosła skutek dla nienawiści wiekową utrwalonej walką Pomorzan do Polski«. — Przemilczeć też i tego wreszcie nie mogę, że to obstawanie przy założeniu biskupstwa kujawskiego dopiero w czasie panowania Bol. Krzywoustego, wprowadza autora w takie trudności, że widocznie sam czuje, jak niełatwo z nich wybrnąć. Raz przypuszcza (str. 90), że Legaci Grzegorza VII odbudowali dawną polską organizacyę kościelną, ale z tą zmianą, że w miejsce dawnej katedry kruszwickiej może utworzono biskupstwo płockie. Drugi raz (str. 94) przyjmuje alternatywę, że »albo jeszcze przed r. 1133 nastąpiło przeniesienie (założonej w roku 1124) katedry z Kruszwicy do Włocławka, albo że na razie utworzono (kiedy? w r. 1124?) dwie dyecezye (w Kruszwicy i Włocławku), jednę dla Kujaw z misyą chrystyanizowania Pomorza, drugą dla nawracania Prusaków: lecz gdy praca Ottona na Pomorzu pomyślny plon wydawała, złączono obydwa w jedno« — możliwość, którą sam nawet autor za »mniej prawdopodobną« uważa. Nakoniec (str. 95 w odsyłaczu) nie zataja, coby mu najwięcej trafiało do przekonania, mianowicie, że gdyby nie owa niemiła bulla papieska z r. 1133 dla arcyb. magd. Norberta, toby się nie wahał twierdzić, że aż po czasy Bolesława Krzywoustego biskupstwo kruszwickie nigdy, ani za Mieszka II, wcale nie istniało, »a dwoistą jego nazwę rozu-

* Organizacya Kościoła w Polsce, edycya I, str. 95.

miałby tak, że to biskupstwo dwie wiadome posiadało katedry, przy których istniały osobne kapituły«. (A ja myślę, że i z tego wyniku niedługo byłby nasz szan. autor zadowolony. Bo tu właśnie o to chodzi, by odgadnąć, dlaczego ono posiadało te dwie katedry i dwie kapituły osobne). — Rzecz stoi tak, że jakiekolwiek kto sobie wymyśli powody i okoliczności początku tego biskupstwa dopiero około r. 1124: pozostanie zawsze faktem, że jego przeniesienie z Kruszwicy do Włocławka zaszło mało co przed r. 1133. Jestże możliwem, żeby którykolwiek monarcha, a cóż dopiero rozumny Bolesław III, budował r. 1124 w Kruszwicy katedrę i przy niej zakładał biskupstwo na to, ażeby w 7 lub 8 lat potem budować drugą w Włocławku, wprowadzać w życie tosamo po raz drugi gdzieindziej, łożyć koszta na pomieszczenie biskupa i kanoników w tem drugiem miejscu, obmyślać i dla tej nowej kapituły odpowiednią jej godności dotacyę? Jakieżto zaszły między r. 1124 a 1132 okoliczności takie, któreby tę nielogiczność działania tłómaczyły i czyniły możliwą?

Dr. Kętrzyński bliższy jest zapatrywaniu mojemu, poczytuje bowiem Władysława Hermana za fundatora biskupstwa, a to przed r. 1085*. Przyjmuje także wiarogodność podania, że posiadanie przez to biskupstwo t. zw. kasztelanii Łagowskiej, już w bulli protekcyjnej z r. 1148 zatwierdzone tej katedrze, pochodziło z daru księżny Judyty, matki Bolesława Krzywoustego, zmarłej w r. 1085, coby świadczyło za początkiem biskupstwa w tym właśnie czasie**.

---

* Ks. Dr. Fijałek, stanowczy zwolennik tej hypotezy, podsuwa tu Kętrzyńskiemu zdanie, którego on nie podpisze, mianowicie kiedy powiada (Ustalenie chronologii biskupów włocł. str. 7), że on (K.) tradycyę istnienia biskupstwa najprzód w Kruszwicy, a potem przeniesienia do Włocławka, odrzuca zgodnie z swoim poglądem. Tak nie jest. I Kętrzyński to jako rzecz dowiedzioną stawia, że stolica tej dyecezyi pierwotnie znajdowała się w Kruszwicy. (Biskupstwa i klasztory w Polsce, Przegląd powszechny z roku 1889, T. XXIV str. 24).

** To podanie o Łagowie ma jednak swoje pewne trudności i poniekąd nie dziwię się temu, że prof. Abraham (w II edycyi swej Organizacyi Kościoła str. 280) silnie je zakwestyonował, tylko że może za daleko poszedł, w czem mu przywtarza i ks. Fijałek (Ustalenie, str. 5 w nocie). Żeby to podanie było »wprost niezgodne ze źródłami wieku XII«, t. j. z bullą Eugeniusza III dla Włocławka z r. 1148, jak to wyrzekł szanowny autor: tego się dopatrzyć nie mogę. Jest ono, co prawda, poparte dość późnymi zabytkami, bo w drugiej linii dziełami Długosza (Hist. I 392, Lib. Benef. I 273 i 619, III 214), a w pierwszej linii t. zw. Vtym katalogiem biskupów krak. (Mon. Pol. III

Ta różnica między nami jest co do dat chronologicznych tak drobna, że niewarto byłoby sporu o to wytaczać. Lecz ja odnoszę do roku 1075 wznowienie biskupstwa kruszwickiego, a szanowny mój kolega stawia pod r. 1085 jego założenie z nowa, i to jeszcze z tym dodatkiem, że biskupstwo płockie, jako założone

---

337), który taksamo jak Długosz z XV dopiero pochodzi stulecia. Ale to i jedyne, co mu zarzucić można. Cóż bowiem o tym Łagowie wypowiada owa bulla? Oto wymienia między posiadłościami kościoła włocławskiego »Ecclesiam s. Mariae in Zawichost cum castro Lagow et decima ejus aliisque suis appendiciis«. Rzeczywiście wygląda to na to, jak gdyby gród Łagów był stanowił dotacyę kościoła zawichojskiego i wraz z nim (kiedyś przed r. 1148) dostał się biskupstwu, lecz po takich dopiero możliwych autendencyach, że Judyta czasu swego, kiedy nie istniało jeszcze biskupstwo kujawskie, przeznaczyła ów gród kościołowi zawichojskiemu, a dopiero Krzywousty przy albo po fundacyi biskupstwa obdarzył je tym kościołem łącznie z jego posagiem. — Rozważyć tu jednak należy, czy też raczej nie wypadałoby tu przypuścić pewnego, jak to nieraz bywa, zamieszania, nieporozumienia w stylizacyi bulli? Tamtoczesne bowiem dokumenta Kuryi rz. dla krajów dalekich były zwykle układane bez znajomości odnośnej topografii, jedynie na podkładzie niejasno redagowanych tekstów, posyłanych do Rzymu. Bo oto wiadome tu fakta są takie: O jakiejkolwiek przynależności kościoła P. Maryi w Zawichoście (w dyecezyi krakowskiej!) do biskupstwa kujawskiego Długosz już absolutnie nic nie wie (Lib. Ben. I 356 i II 492). Był kiedyś dawno ten kościół uposażony (nie Łagowem, ale) dwiema wsiami w pobliżu Zawichostu (Kunice i Popowice); te jednak w dalszych czasach przeszły na własność jednej z prebend kolegiackich w Sandomierzu, a z niemi razem przeszedł i juspatronatus nad kościołem zawichojskim na tę sandomirską prebendę. O prawach biskupów włocł. do kościoła zawichojskiego nic nikomu wtedy już nie było wiadomo. Może zatem przez czas jakiś mieli biskupi patronat nad nim kiedyś, ale tylko to i nic więcej, i stąd poszło to z dawien dawna w niepamięć. — Co się tyczy Łagowa (w Sandomirskiem pod Łysą górą), trudno w to wierzyć, żeby ten gród kiedyś tworzył uposażenie kościoła zawichojskiego. Między Łagowem a Zawichostem zalega ośmiomilowa odległość. Łagów, rzeczywiście nadany kruszwickim biskupom, był centrem kasztelanii, obejmował kilkomilową rozciągłość w kwadrat, mieścił w sobie za Długosza czasów (Lib. Ben. I. 620) 16 wsi do biskupa należnych, rozrzuconych między innemi posiadłościami; tyleż ich i tesame wsi podaje także jeszcze i Liber Retaxationum włocławski z czasów biskupa Drzewickiego: a zatem są to wiadomości zupełnie pewne. Mało zatem podobieństwa do prawdy, żeby kompleks dóbr tak rozległy i tak oddalony od Zawichostu tworzył kiedyś uposażenie owego partykularnego kościoła. Kruszwicki kościół dostać go musiał jako nadanie samoistne, a bulla łączy to nadanie przez partykułę cum z kościołem zawichojskim chyba tylko nie rozumiejąc rzeczy i dla skrócenia tekstu. — Inna wszelako rzecz jest pytanie: czy rzeczywiście z daru matki Bolesława Krzywoustego to pochodziło? Snać bardzo dawne obiegało podanie, w Krakowie, Tyńcu i w kujaw-

przez Bolesława Śmiałego, było od niego dawniejszem, a ma tego i to dowodzić, że dyecezya kujawska była ze wszystkich po koniec wieku XII założonych biskupstw najmniejszą (str. 23), a rzeczą jest naturalną, że biskupstwa im dawniejsze, tem rozleglejsze posiadają granice, im zaś młodsze, tem mniejsze będą, bo powstają

---

skiej katedrze, że jakaś »Królowa Judyta« obdarzyła kapitułę krakowską kasztelanią chropską czyli kluczem pabianickim, Tyniec kluczem księgnickim, a katedrę kruszwicką Łagowem z przyległościami. Ale co to za królowa? Kalendarz kapituły krak. (Mon. Pol. II 940) ma zapisane ręką z środka jeszcze XIII wieku: »W wilię Bożego Narodzenia (więc 24 grudnia — którego roku? nie podaje) Judith regina Poloniae, quae contulit Chropy, umarła«. Dokument najstarszy tyniecki rzekomo z r. 1105 (Kod. dypl. Tyn. N. 1), sfałszowany, lecz w tensam sposób jak ów wyżej wspomniany Bolesława Śmiałego z roku 1065, t. j. nie wyssany z palca, ale sklecony z różnych wiarogodnych zapisek, opiewa: »Regina Juditha contulit Tinciensi ecclesiae Kxegnyci«. Katalog biskupów krak. (Mon. Pol. III 337) powiada więcej. Rozszerza on się w tem miejscu nad różnemi dobrodziejstwami Bolesława Chrobrego dla kościołów, a zaraz potem dodaje: »Judith vero, Polonorum regina (więc wiadoma żona Chrobrego, tego imienia Judyta), darowała kanonikom krakowskim kasztelanię chropską, Benedyktynom tynieckim Księgnice, a biskupom włocławskim kasztelanię łagowską«. Długosz w kilku miejscach dzieł swoich tosamo powtarza; ale widzi w tej przez jedne źródła wcale bliżej nieoznaczonej, przez drugie za małżonkę Chrobrego podawanej Judycie pierwszą żonę Władysława Hermana, księżniczkę czeską, matkę Bolesława Krzywoustego, i do niej więc odnosi ową zapiskę w Kalendarzu krak., że onato dnia 24 grudnia zakończyła życie (roku 1085). W jednem zaś miejscu pokusił się i to wytłómaczyć, dlaczego tę księżnę podanie nazywa »królową«. Oto miało to być z tej przyczyny (Lib. Ben. I 273), że »cześć małżonka i dostojeństwo ojca nakazywały ją tak zwać«. Wyjaśnienie dowcipne! bieda tylko, że ani Władysław Herman nigdy, ani Władysław II czeski (ojciec Judyty) wtedy, t. j. za jej życia... nie mieli królewskiego tytułu; dostał go bowiem ten książę czeski ad personam od cesarza dopiero w roku 1086. Przybywa do tego na dobitek i ta jeszcze trudność, że matka Krzywoustego, jak miał tego dowieść Dr. Juritsch w r. 1889 (Geschichte des Bischofs Otto von Bamberg, str. 17, n. 23 — ja nie znam tej książki, ale tak to podaje ks. Fijałek, Ustalenie, str. 5 w nocie), że powtarzam, ta Judyta czeska nie zeszła z świata d. 24 grudnia, lecz dnia 2 sierpnia! — Cóż tedy poczniemy z tą Judytą? Mnie się widzi, że tu niema innej rady, jak uznać w niej drugą małżonkę Władysława Hermana, której także było imię Judyta, a była to córka i siostra cesarzów niemieckich, primo voto żona Salomona króla węgierskiego, a więc królowa. Owdowiawszy w roku 1085, została w 3 czy 4 lata potem zaślubioną Władysławowi naszemu; kiedy umarła? niewiadomo, zapewne w r. 1105, a niewątpliwie dnia 24 grudnia, jak to opiewa Kalendarz. Tato więc, i w Polsce niewątpliwie królową nazywana Judyta, zapisała pewnie Chropy, Łagów i Księgnice różnym kościołom. — Jeżeli ten mój wniosek, którego nie sta-

z okruchów dyecezyi dawniejszych. — Ta zasada generalna może być słuszną; ale w niniejszym razie nie wiem, czy premissa prawdziwa; boć może przecie zachodzić pytanie, czy dyecezya włocławska łącznie z swym archidyakonatem (a aż do roku 1124 łącznie z całym krajem) pomorskim rzeczywiście ustępowała płockiej, a nawet poznańskiej, którą p. K. do największych zaliczył. Zazwyczaj zostaje uposażenie biskupstwa w prostym stosunku do ilości parafii sobie podległych i do rozmiarów dyecezyi. Dlaczegożto począwszy od czasu, w którym w Polsce weszło w zwyczaj, że się biskupi z jednej katedry do drugiej przenosili, oczywiście z mniej hojnie upasażonych na świetniejsze, co się zaczęło w wieku XV, dlaczego mówię nie było ani jednego takiego zdarzenia, żeby biskup jaki kujawski postąpił na płockiego albo na poznańskiego — przeciwnie zaś wiele przykładów, że płoccy promocyę do Włocławka za awans sobie poczytywali, a tosamo i poznańscy? Jeżeli włocławski biskup zamieniał swoje miejsce, to już chyba na prymasowskie, kilka razy na krakowskie, raz na bardzo szczodrze uposażone i uprzywilejowane warmińskie. Ale żaden ani na płockie ani na poznańskie się nie przeniósł, i byłabyto dla niego degradacya. Może tu odgrywały pewną rolę dochody? Zapewne, że i bez tego nie było; ale nawet i statystyka majątków sama przez się nie tłómaczy tego zjawiska, tak jak go nie wyjaśnia i obmierzona na mile rozciągłość dyecezyi. Biskup płocki, według inwentarza dóbr katedry tamtejszej, z pierwszej połowy XIII wieku, któryto spis nb. nie był kompletny*, posiadał w owym czasie co najmniej

---

wiam jako twierdzenia, a tylko jako wynik z powyższej kombinacyi, miałby jakie podobieństwo do prawdy, to byłaby wreszcie rozwiązana trapiąca od tak dawna naszych starożytników zagadka, w jaki sposób ów sfałszowany akt tyniecki przyszedł do tej daty r. 1105. Wtedyto pewnie wszedł klasztor w Tyńcu w posiadanie Księgnic; pod tym rokiem dana była zapiska, notująca z czyjego były daru i czas zgonu darodawczyni. Głupi fałszerz odniósł do tej daty cały dokument. — Kościół parafialny w Księgnicach był zbudowany pod wezwaniem »s. Stephani regis« (węgierskiego!), jak nam to donosi Dług. (Lib. Ben. III 214). A że go tam nie wystawili dopiero Benedyktyni tynieccy, ale z nieco dawniejszych czasów tam istniał, to wynika z breve papieża Klemensa VI, Kod. Tyn. N. 63.

* Mówię tu o odszukanym w roku 1885 przez p. Kętrzyńskiego w bibliotece kapitulnej płockiej bardzo ważnym rękopisie, który wszedł potem w skład tomu V Mon. Pol. (str. 419 i nast.) p. t. *Castellaniae ecclesiae Plocensis*. O wieku i pochodzeniu tego zabytku różni różnie sądzą. Ja go uważam

200 wsi, nie licząc w to innych dochodów, ani dziesięcin, ani też niekatedralnych włości kościelnych. W połowie XIV wieku doszła tam ta liczba wsi biskupich co najmniej do 250. — Biskup włocławski, nawet w XVI jeszcze wieku, nie posiadał więcej jak 182 wsi, 5 miast, i dziesięcinę z 812 cudzych dóbr*. A przecież ta mniejsza ilość wsi w dobrej glebie kujawskiej i sieradzko-łęczyckiej snać więcej znaczyć musiała, niż z górą półtrzecia sta osad na mazowieckich piaskach. Znaczenia biskupstw miarą zewnętrzną nie można oceniać, a nie rzuca to światła i na ich wiek.

W dawniejszem wydaniu niniejszej rzeczy mej o biskupstwach przywiodłem jako poszlak, że dyecezya włocławska czyli dawniej kruszwicka widziała w sobie bezpośrednie przedłużenie kołobrzeskiej fundacyi — tę okoliczność, że wiadomą jest rzeczą, iż w senacie i radzie królewskiej zasiadali ci biskupi zaraz za krakowskimi. Aż do czasu, kiedy jeszcze i wrocławscy biskupi należeli do składu polskiej hierarchii, onito zajmowali to miejsce; po ich przejściu pod metropolię praską, przypadło ich krzesło tamtym i odtąd obowięzywał porządek następujący: 1. arcybiskup, 2. biskup krakowski, 3. włocławski, 4. poznański, 5. płocki. (O lubuskim niewiadomo gdzie siedział, a powód dlaczego tego nie wiemy, poznamy później)**. — Właściwie był biskup poznański w całem tem gronie biskupów polskich najstarszy. Że zajmował mimo tego czwarte do-

---

za spisany z polecenia biskupa płock. Guntera (1227—32) i znajdę może kiedy sposobność dostarczenia oczywistych dowodów na to. Trzeba jednak spis dóbr w tej konsygnacyi podanych uzupełnić kilku dyplomatami, jak n. p. Nr. 5, 33 itd. w Kod. Maz., pewnem miejscem w Dług. Lib. Ben. (I 629) i t. p., gdyż jak powiedziałem, tamten manuskrypt, dorywczo ułożony, żadną miarą rzeczy nie wyczerpuje.

* Te daty podał mi ś. p. ks. Zenon Chodyński, zasłużony prałat włocławski, kiedym się z nim spotkał i zapoznał w r. 1886 w Szczawnicy. Wydany w r. 1891 włocławski Liber Retaxationum (w XI Nr. Monumentów hist. dioec. Wladislaviensis), spisany za biskupa Drzewickiego około roku 1527, stwierdza te daty.

** Zobacz Herburt, Statuta i przywileje koronne, Kraków 1570, str. 121. — Po wyniesieniu biskupstwa Halickiego na arcybiskupstwo (1375) i przeniesieniu go później do Lwowa, dostało się tym dostojnikom, jako arcybiskupom, w senacie miejsce zaraz po gnieźnieńskim — przed biskupami. W roku 1375 nastały nowe biskupstwa: przemyskie i chełmskie, a w r. 1400 kamienieckie. Te otrzymały miejsca swoje w chronologicznej kolei po płockich

piero miejsce, nie mogło mieć innej przyczyny, jak chyba tę, że przez pierwsze kilkadziesiąt lat do magdeburskiej hierarchii należał, a w synodzie polskim nie bywał. Kiedy oderwawszy się od tej spółki niemieckiej, wszedł i on w gremium polskie, to zająć tu już musiał miejsce za biskupami, których zastał w tej radzie, a zatem krzesło dopiero piąte (po wrocławskiem i po kruszwickiem), któreto krzesło stało się czwartem po odejściu wrocławskiego. — Ten wywód przyczyn pozornego upośledzenia poznańskich biskupów naprowadził mnie wtedy na myśl, że przedstawiony tu porządek na wiecach, w radzie książęcej, w senacie, musiał polegać na takimże porządku w synodzie i to od najdawniejszych już czasów. A ponieważ przejście poznańskiej katedry z pod Magdeburga pod Gniezno zaszło przecież pewnie jeszcze za panowania Bolesława Chrobrego, więc też i przeniesienie stolicy biskupiej kołobrzeskiej do Kruszwicy, jako fakt wcześniejszy od tamtego, nie może być czynem innego monarchy, jak tego właśnie. Mieczysław II (a tem mniej Władysław Herman lub Bolesław Krzywousty) nie założył tego biskupstwa.

Ta moja argumentacya z początku niektórym się podobała, później stanowczo jej zaprzeczono, przy czem użyto następującej uwagi: Pomijając kwestyę miejsca w senacie, co dopiero z późniejszych datuje się czasów, mylnem jest zapatrywanie, jakoby biskup kujawski na synodach przed poznańskim zasiadał. Zasiadano tam bowiem zwykle wedle starszeństwa sakry biskupiej*. I na dowód tego twierdzenia powołano się na dwa dokumenta, na Nr. 66 z roku 1210 w Kod. WPol. i na Nr. 7 z roku 1213 u Rzyszcz. II.

Pomimo pewnej logiczności, jaka za powyższem mem rozumowaniem zdawałaby się przemawiać, obecnie nie upieram się przy tem zdaniu co do synodów i przyznaję postawionej tu zasadzie starszeństwa sakry biskupiej względną słuszność. Wprawdzie z dwóch na dowód tu powołanych dokumentów nie wynika ta zasada bynajmniej, raczej świadczyćby one mogły przeciwko niej**.

---

biskupach. Od r. 1466 weszli w senat warmińscy i chełmińscy biskupi; od czasu Unii lubelskiej (1569) także wileński i żmudzki. Żaden z nich jednak nie zasiadł przed płockim, a cóż dopiero przed włocławskim.

* Abraham, Organizacya Kościoła, ed. I str. 96.

** Akt Władysława Odonicza z r. 1210 (Kod. WPol. Nr. 66) wymienia biskupów, na synodzie borzykowskim w tym roku zgromadzonych, w nast. porządku: Arcyb. gn. Henryk, Arnold bisk. pozn. (został biskupem przed ro-

Lecz tej kategoryi dokumenta, co powyższe, kwestyi tej ni w jednym ni w drugim kierunku nie rozstrzygają. — Trafne są słowa Rittnera (Prawo kościelne katolickie, T. I str. 230), że nauka o soborach powszechnych, o ich składzie, sposobie obrad, ważności uchwał i t. d. należy do najsporniejszych kwestyi prawa kościelnego. Historya świadczy dowodnie (słowa tegoż autora), że formy prawne, wedle których sobory powszechne odprawiano, ustawicznie zmieniały się. Kwestyi tej nie można stawiać inaczej jak historycznie, t. j. pytając, jakie te formy były w tej lub owej epoce. — Co tu ten pisarz wyrzekł o soborach powszechnych, można zastósować i do polskich. I na tych wiele się zmieniać musiało w toku wieków. Mianowicie o porządku, w jakim na nich zasiadali biskupi nasi, nie powiadamia żadne źródło współczesne. A to, co się z kombinacyi, z pojedynczych przykładów daje o tem powiedzieć, nie wystarcza na odpowiedź, czy taka kolej w naszym kraju obowiązywała przez wszystkie wieki, a mianowicie czy n. p. to, co o tem wywnioskować można względnie do wieku XIII i XIV, daje się zastósować z jednej strony do czasu Długosza, z drugiej do XI i XII stulecia*.

---

kiem 1201), Wincenty bisk. krakowski (1208), Gedko płocki (1207), Wawrzyniec wrocławski (1207), Ogeryus włocławski (przed r. 1206), Wawrzyniec lubuski (1201). Gdzież tu zasada starszeństwa sakry? Że arcybiskup na pierwszem miejscu; że po nim zaraz poznański jako biskup, w którego dyecezyi leży Borzyków, co w dokumencie wyraźnie podniesiono (in cuius dioecesi situs est locus); że po nim krakowski, jako osobnym przywilejem papieskim do tego uprawniony: to w porządku. Ale cóż powiedzieć o dalszych? (Mamy i inny jeszcze dokument podczas tegoż synodu wydany, benefaktora klasztoru w Busku Sławosza, Kod. MPol. N. 381. Tu porządek biskupów już inny, gdyż pozn. biskup przywiedziony tu dopiero po płockim, a przed wrocławskim: więc nieład jeszcze większy). W kolei przywieszonych do aktu Odonicza z roku 1210 pieczęci tych biskupów — jeszcze gorszy nieporządek. — Dokument Iwona kanclerza pol. z r. 1213 (Kod. Rzyszcz. III N. 7) przywodzi biskupów na synodzie sieradzkim tego roku zebranych, jako świadków pewnej ubocznej czynności, w nast. kolei: Arcyb. gnieźn. Henryk; Wincenty bisk. krak. (od 1208); Paweł pozn. (przed 1211); Barto włocł. (1213) — póty dobrze; ale dalej: Wawrzyniec wrocł. (1207), Gedko płocki (1207). Gdzież tu starszeństwo sakry?

Nadmienić jeszcze należy, że obydwa te dokumenty, choć były wydane podczas synodów, nie z nich wyszły, i że dotyczą czynności ubocznych, nic wspólnego nie mających z synodem. Kolej biskupów w nich przypadkowa, żadną nie kierująca się stałą zasadą.

* Jedynem, z czego tu powziąć można jakąś wiadomość, mogłyby być same chyba konstytucye, wydane urzędowo na poszczególnych synodach,

Wspomniałem w notach o specyalnym przywileju krakowskich biskupów. Między wszystkimi biskupami zajmowali oni od niepamiętnych czasów pierwsze po arcybiskupie miejsce. Pod koniec XII wieku (może z powodu że wtedy właśnie zastosować postanawiano owo sakralne starszeństwo) wyjednał Pełka bisk. krak. co

---

w których to synodalnych postanowieniach nieraz spotykamy w jednym z pierwszych zaraz ustępów wzmiankę i o biskupach przytomnych odnośnemu zjazdowi. Z kolei, w jakiej są przytoczeni, możnaby tedy sądzić, że tak i siedzieli wśród obrad. Jednakże i to bardzo niedostateczna podstawa! Posiadamy konstytucye synodalne, które o biskupach zupełnie milczą: odnosi się to do Synodu sieradzkiego z r. 1233, do łęczyckiego z r. 1244, do łęczyckiego z r. 1257, do wrocławskiego z r. 1266 (?), do kamieńskiego z roku 1271 i do łęczyckiego z r. 1285 (Hube, Constitutiones synodales, str. 1, 8, 10, 54, 56, 165). Są znowuż konstytucye synodalne, które donoszą o biskupach na soborze obecnych, ale ich wymieniają w niemożliwej (ni historycznej ni sakralnej) kolei, t. j. widocznie na chybi-trafi, a nie tak jak tam zasiadać mogli. Takim jest np. Synod z r. 1270 sieradzki (Kod. Rzyszcz. II N. 97) i inny niewiadomo gdzie odbyty w r. 1297 (Hube, str. 181). Nakoniec jest sześć takich synodów, których uczestnicy są wymienieni w porządku prawdopodobnie właściwym, t. j. w myśl zasady dawności sakry biskupiej, z tą jednakże zawsze excepcyą że biskupi krakowscy, bez względu na dawność ich ordynacyi, zawsze pierwsze między biskupami zajmują miejsce, a to na mocy specyalnego przywileju; powtóre, że od tej excepcyi ta znowu zachodziła druga jeszcze excepcya, że ten biskup, w którego dyecezyi się synod odbywa, otrzymuje pierwsze w spisie biskupów zaraz po arcybiskupie miejsce, nawet przed krakowskim. Ta szóstka konstytucyi, która zdaje się poprawnie donosić o kolei biskupów, pochodzi z następujących synodów: z wrocławskiego z r. 1248, sieradzkiego z roku 1262, dankowskiego z r. 1267, uniejowskiego 1326, kaliskiego 1357 i drugiego kaliskiego z r. 1406 (Hube, str. 16, 50, 183, 206 i 219; Kod. Rzyszcz. II N. 91). Na podstawie tych sześciu zgodnych ze sobą świadectw ostatecznie zatem polegaćby można, wszelako tylko co do przeciągu czasu objętego w ich ramach. Długosz bowiem bynajmniej nie przystaje już do nich, o czem wnoszę z następujących okoliczności. Wspomniałem wyżej o Synodzie wrocławskim jakoby z r. 1266, jako jednym z tych, co do których nie donoszą nam konstytucye odnośne niczego o biskupach onym przytomnych. Długosz (Hist. T. II 404) kładzie ten synod (i pewnie słusznie) na rok 1267 i tak wymienia biskupów: Arcybiskup — bisk. krakowski Paweł (sakra w r. 1266) — wrocławski Tomasz (1232) — włocławski Wolimir (1252) — poznański Mikołaj (1267) — płocki Tomasz (a raczej Piotr III, c. 1262) — lubuski Wilhelm (przed 1252) — chełmiński Henryk. Zdaje się być rzeczą pewną, że ten Henryk alias Heidenryk biskup chełm., nie dożył tego synodu, gdyż zszedł z świata r. 1264 (Mon. Pol. IV str. 50); płocki biskup Tomasz znowu jeszcze nie był w r. 1267 biskupem, wszedł on tu zamiast Piotra. A zatem widać, że nasz historyk tylko z własnej głowy zestawił ten poczet biskupów. Nie jest to porządek podług sakry, ale podług dawności

do siebie u papieża Urbana III zatwierdzenie innego porządku, t. j. dawniejszego zwyczaju. Prawie jedynym przedmiotem całej bulli protekcyjnej z r. 1186 dla jego biskupstwa (Kod. kat. krak. N. 3) jest to, że się tu Pelce i jego następcom poręcza prawo pierwszego miejsca i pierwszego głosu po metropolicie, a to na mocy antiquae consuetudinis. — Wbrew temu rozporządzeniu, chciano w r. 1226 pozbawić biskupa krak. tej jego prerogatywy. Na synodzie gnieźnieńskim owego roku zasiadł pierwsze po arcybiskupie miejsce Wawrzyniec (od r. 1207) bisk. wrocł. Iwo, od roku 1218 pasterz dyecezyi krak. pretendował dla siebie prawo do tego krzesła. Gdy mu go Wawrzyniec nie chciał ustąpić, wydalił się Iwo z synodu. (Dług. Hist. II 222). — W środku XIII stulecia znowu kwestyonowano tę prerogatywę krakowską. Tamtoczesny biskup Prandota uzyskał w kuryi rzymskiej w r. 1256 ponowne jej zatwierdzenie, z wyraźnym dodatkiem »etiamsi sint posterius ordinati«. (Kod. kat. kr. N. 53). — W roku 1323 zjechali się biskupi wszyscy do Sochaczewa na poświęcenie obranego biskupem poznańskim Jana III. Przy tej uroczystości powstał spór między Nankerem, dopiero od trzech lat biskupem krak. a Floryanem, co najmniej od sześciu lat płockim biskupem o to, kto ma zasiadać po prawicy arcybiskupa,

---

biskupstw, a to jak przypuszczam chyba tylko dlatego, że w takim porządku biskupi za Długosza czasów zasiadać na synodzie musieli. Doczepił lubuskiego i chełmińskiego tylko z tego powodu na końcu, że ci wtedy, kiedy to pisał, nie bywali już na polskich synodach, więc nie wiedział jak się co do nich miała rzecz dawniej. Podobnie postąpił sobie i przy wzmiance o synodzie łęczyckim za Kazimierza Sprawiedl. r. 1179, a wedle niego 1180 odbytym. Kadłubek (Mon. Pol. II 399) podał nam imiona biskupów na nim obecnych w nast., przypadkowej tylko kolei: Arcyb. gnieźń. — biskup krak. Gedko (od 1166), wrocł. Sirosław (1170), poznań. Cherubin (od kiedy?), płocki Lupus (przed r. 1177), kujaw. Onolf (przed 1161), kamieński Konrad (1161), lubus. Gaudenty(?). Snać podawał tu kronikarz imiona tych mężów, jak mu który na myśl przychodził. Długosz tu z Kadłubka czerpie (Hist. II 106), ale kolej biskupów u niego o tyle zmieniona, że kujawskiego kładzie po wrocławskim, a przed poznańskim. To znaczy, że przywodzi tych biskupów w porządku chronologicznym katedr (prócz krakowskiego, z powodu jego prerogatywy, i prócz lubuskiego, na sam koniec zepchniętego, z powodu że nie wiedział, co z nim począć). A to zdaje mi się, naprowadza w nienaciągany sposób na wniosek, że za jego czasów taki być musiał na synodach porządek, którego ten prałat nie mógł nie znać jako i sam uczestnik w tych zgromadzeniach, a nieraz i jako pełnomocnik swego biskupa.

którym wtedy był Janisław. Po stronie Floryana stali biskup włocławski Maciej Pałuka i ów świeżo ordynowany Jan poznański. Nankera żaden nie wspierał. Tamci podnosili zasadę, że quicunque episcoporum prior est vocatione, primum locum obtineat in omni episcoporum congregatione. Nanker zaś jako biskup krak. odwoływał się do specyalnego swego przywileju. Janisław arcybiskup na razie rozstrzygnął pytanie to w dowcipny sposób tak, że przyznał słuszność Nankerowi de facto, a drugiej stronie de jure. Z tej scholastycznej różniczki jednak nie był zadowolony biskup krak. I po dwuletnich zatargach zapadł w kuryi gnieźnieńskiej nareszcie wyrok, który już i de jure przysądził prawo pierwszego miejsca krakowskim biskupom, a przeciwnikom jego wieczne nałożył milczenie*. — Przytaczam tu te wszystkie zajścia w tym celu, by okazać, ile znaczenia hierarchia tamtoczesna do tych rzeczy przywięzywała, choć one w naszych może oczach uchodzą za błahe. Emulacya ta o pierwszeństwa objawiała się nieraz przy danych sposobnościach i później. W wieku XV, gdy Zbigniew Oleśnicki biskup krak. otrzymał kardynalską purpurę, powstał znowu między nim a arcybiskupem gnieźnieńskim spór o pierwsze krzesło w Radzie królewskiej. Został przez króla załatwiony w ten rzeczywiście pocieszny sposób, że z nich obydwóch po kolei tylko zawsze jeden będzie do Rady przybywał, a do drugiego będzie się po jego wotum posyłało do jego prywatnego mieszkania. Stąd też i wtedy i później, ilekroć osięgnął jaki biskup polski kardynalski kapelusz, nigdy się arcybiskup z takim kardynałem-biskupem ani w senacie ani w innych trzecich miejscach, aby sobie nie ubliżyć, nie jawili razem, ale tylko jeden lub drugi. Arcybiskupi gnieźnieńscy nawet Nuncyuszom papieskim nie dozwalali pierwszego kroku, a kiedy raz, za Władysława IV, prymas Wężyk z własnej woli przeciwnie sobie postąpił, to z tej przyczyny powstało sarkanie na niego powszechne. Przy koronacyi Zygmunta I wszczynali znowu arcybiskup halicki i biskup krakowski podobny spór między sobą, a to o to, który z nich do kościoła katedralnego ma prawo kroczyć po prawej ręce nowego króla. Przyznano wtedy ten zaszczyt biskupowi, z tej uwagi »quod loci episcopus esset**.

---

* Kod. kat. kr. N. 131 i 137.

** Lengnich, Jus publicum, ed. z r. 1766, str. 85, 87, 93.

Wobec tedy takich przykładów, takiego panującego w owych naiwnych wiekach prądu, jakkolwiek zupełnie uchylam na bok pytanie co do porządku biskupów na synodalnych zebraniach, owszem nawet koncedуję, że niechby tam byli oni mieli sobie nawet i przez cały poczet wieków odrębne swoje zasady, oparte na sakralnej dawniejszości: podtrzymuję moje dawniejsze powiedzenie, że udowodnione wiadome miejsce biskupów kujawskich w Radzie królewskiej rzuca światło na wiek tego biskupstwa i rozstrzyga o jego początku w takim czasie, kiedy jeszcze nie poczytywano poznańskich za bezwarunkowo krajowych książąt kościoła.

Słuchajmy, co pisze biskup włocławski Rybiński do papieża w swej relacyi z r. 1781 o stanie dyecezyi*. »Prerogatywą biskupów włocł. jest, że się zaliczają do najprzedniejszych (inter primarios) biskupów korony polskiej tak pod względem kościelnym(!), jak senatorskim (tam in ecclesiastico ordine quam in munere senatorio), ponieważ *utraque dignitate* zaraz po krakowskich następują. Jako z kolei drudzy pomiędzy biskupami, oddają w tej kolei votum na sejmach, a i pod tym względem uchodzą za wyższych nad drugimi, że imto służy prawo — w razach nieobecności prymasa królestwa — zwoływania stanów na sejmy elekcyjne, wyznaczania czasu elekcyi, przewodniczenia na niej, nominacyi, inauguracyi i koronowania królów i królowych Polski« i t. d. — Wiem z góry, jaki zarzut na to usłyszę: To stan rzeczy bardzo późny! Nie przeczę, że późny; ale cóż stwierdza w r. 1543 w obec papieża w Rzymie kardynał-protektor polski? — Tosamo! Powiada bowiem: »Biskup włocławski est *tertius* inter praelatos regni Poloniae«**, t. j. zajmuje trzecie po gnieźń. i po krakowskim miejsce. — Co zaś do wieku XV, klasyczną w tej mierze powagą jest Długosz. Ilekroć jemu wypadnie powiedzieć co o biskupstwach polskich w całym ich komplecie, to nie wymieni ich nigdy inaczej, jak w tym porządku: gnieźnieńskie, krakowskie — (póki było naszem) wrocławskie, włocławskie, poznańskie, płockie. Dalsze późniejsze biskupstwa także zawsze u niego zatrzymują swój chronologiczny porządek***.

---

* Monumenta hist. dioec. wladisl. N. IX z r. 1889, str. 26.

** Scriptores rerum Polonic. Tom XV, Analecta rzymskie przez Dr. J. Korzeniowskiego zabrane, str. 5.

*** Obacz Tom I jego dzieł, str. 339, 340; Hist. I. str. 118, II str. 346 i t. d. Mógłby mi tu ktoś przeciwstawić jako dowód, że przecież poznańskie

Jeżeli rozważymy, że ten historyk poczytywał wszystkie te biskupstwa za założone przez Mieczysława I w roku 966, to zrozumiemy, że mu tej kolei nie dyktowała żadna o różnicy ich wieku opinia, ani historyczna doktryna, ale chyba sam za jego wieku faktyczny stan rzeczy, t. j. tradycyjny taki właśnie między biskupami porządek, jeżeli nie na synodach, to jednak wszędzie indziej. A ponieważ i biskupi, co najmniej od XII wieku taksamo jak Długosz mieli się wszyscy za równie dawnych, i jakkolwiek oni wszyscy zarówno powodowali się ową szczególną ambicyą i emulacyą, a jednak w ostatecznym wyniku dostarczyli Długoszowi takiego faktycznego punktu oparcia do ich ugrupowania: więc nie można inaczej o tem sądzić, jak chyba że ta kolej pochodziła z czasów najodleglejszych. Boć kiedyś później nie byłby już jeden drugiemu prawa swojego ustąpił. Powód zaś tego porządku nie mógł być inny, jak historyczny. Co też stwierdza i bulla z r. 1133 (Kod. WPol. N. 6), z niemieckiego punktu widzenia zestawiająca biskupstwa w kolei, jak powstawały bądź z nowa, bądź wskrzeszone do bytu:

»Poznań, Gnezen, Craco, Wartislaw — Cruciwiz, Masowia et (w mylnem mniemaniu że to coś osobnego) Lodilaensis«; nasamprzód zaś wymieniony tam Lubus, jako punkt po tamtej stronie Odry leżący, co i wyraźnie powiedziano.

---

5. Pozostaje wspomnieć tu jeszcze o dawnych, przeddługoszowych katalogach biskupich tej dyecezyi. Odszukano takich dwa.

---

stawiał przed kujawskiem, tę okoliczność, iż jego Żywoty biskupów polskich w krakowskiem wydaniu z roku 1887, jak dotąd jedynem jakie mamy, tak są ułożone, że tu następuje rzecz o Włocławskich dopiero po Poznańskich. Owoż nadmieniam, że ktokolwiek odczyta z uwagą przedmowę wydawców na początku tej książki, przekona się, że to tylko im się podobało nie wiem dlaczego tak ten porządek ułożyć. Długosz tegoby nie pochwalił. Pisał on o tych wszystkich biskupach mniej więcej równocześnie, w miarę źródeł, których kiedy mógł dostać. O wrocławskich ukończył rzecz roku 1468. O włocławskich kiedyś przed 1473 (później dociągnął je do 1473). O krakowskich mało co po r. 1474. O poznańskich w r. 1475 (później dociągnął je do r. 1479). O gnieźnieńskich 1476 (później dociągnął do 1480). O płockich skończył r. 1478. — Te jego roboty stanowiły każda dla siebie osobną całość. Zbioru ich w jedno dzieło nie posiadamy ani w jednym kodeksie, a w których jest ich kilka naraz, tam włocławscy przed poznańskimi przodują.

Pierwszy jest krótki, składa się z czterech tylko wierszy, które prawdopodobnie miały być hexametrami, i nie podaje nic więcej, jak same imiona biskupów, bez oznaczeń chronologicznych. Poczyna od Świdgera, któreto imię przeistacza (wskutek złego odczytania może nagrobku albo jakiej dawniejszej zapiski) na Rudgerus. Kładzie po nim dalsze imiona aż do biskupa Henryka księcia legnickiego (został biskupem ten Henryk w roku 1390), wszystkie zgodnie z historyą, lecz niewiadomo dlaczego wypuszcza Jana Kropidłę, poprzednika Henryka. Zdaje się przeto być ułożonym ten katalog za rządów tego biskupa, po roku 1390, a może za życia jeszcze Zbyluta († 1383), w którymto razie słowa dotyczące Henryka byłyby późniejszym dopiero czyjejś ręki dopiskiem, która zapomniała lub nie chciała wprowadzić w ten poczet niemiłego tej kapitule Kropidłę księcia opolskiego, bezpośredniego następcę po Zbylucie. Miejscem, gdzie powstał ten katalog, był oczywiście Włocławek. Chodziło w nim jedynie o znotowanie biskupów samych włocławskich, a nie i dawniejszych kruszwickich: i to powód że tu pierwszym jest Świdger, żyjący około r. 1133*.

Drugi katalog, który zgodnie z jego wydawcą Kętrzyńskim** nazwijmy Wolborskim, z tej przyczyny że biograf biskupów kujawskich w XVII wieku żyjący Damalewicz, który z niego korzystał, pod takiem go przywodzi nazwiskiem — musiał zostać ułożony niedługo po roku 1464, a to z różnych materyałów dawniejszych, a między nimi i z wymienionego tu na pierwszem miejscu katalogu włocławskiego. Ktoś potem inny, w XVI wieku żyjący, prowadził go jeszcze dalej (aż do biskupa Zebrzydowskiego, któratо kontynuacya pochodzi z lat najbliższych rokowi 1545 i na nim się kończy). Ta całość obydwóch robót jednakże przeszła do nas tylko w odpisie, nie tylko późnym (z XVII wieku) ale i bardzo błędnie dokonanym: zalega ms. ten obecnie w Petersburgu. — Pierwsza połowa tego katalogu była Długoszowi znana i na niejto oparł on całą swoją chronologię biskupów kujawskich, pomimo że takowa

---

* Jest katalog ten oddrukowany w Mon. Pol. IV str 24, a wzięto go z kodeksu Żywotów biskupów kujawskich przez Długosza spisanych, któryto kodeks jest dziś własnością Biblioteki Ossolińskich. Nie jest to oryginał tego dzieła Długoszowego, ale już odpis, przeznaczony dla biskupa krakowskiego Tomickiego, więc w pierwszej połowie XVI wieku zrobiony.

** Mamy katalog ten wolborski drukiem ogłoszony w Monum. zaraz po tamtym.

przez pierwsze wieki (aż do roku 1284 t. j. do biskupa Wysława) zupełnie się okazuje być błędną i bałamutną.

Katalog wolborski poczyna zgodnie z powszechnem tamtoczesnem mniemaniem szereg biskupów z rokiem 966. Wymienia z czasu 966 — 1075 pięć nazwisk, z których pierwsze cztery, a może wszystkie są wymarzone, choć od roku c. 1013 do c. 1038, jak przypuszczam, istnieli w Kruszwicy biskupi, taksamo nam z imienia nieznani, jak wszyscy drudzy z owego czasu. Długosz to wszystko za nim powtarza, tylko że z Laurentiusa robi Mauritiusa, a z Marcellina Marcella, co dowodzi, że miał i inne jeszcze materyały pod ręką. — Między rokiem 1038 a 1075 niema w katalogu (a w konsekwencyi i u Długosza) żadnej przerwy: zapełnia ten przeciąg czasu jakiś Andrzej (rzekomo 1055 — 1081), z którym rzeczywisty od roku 1075 począwszy biskup kruszwicki, ktokolwiek nim był, nie ma pewnie żadnej wspólności. — Po tym Andrzeju idzie pięciu takich biskupów, z których trzej pierwsi (Baptysta, Paulin i Balduin), każdy z niemożliwemi chronologicznemi datami, może mają jakie historyczne znaczenie, dwaj zaś dalsi są urojeniem, mianowicie Świdger w tem miejscu, i Honold*. U Długosza wszystko taksamo. — Od tego miejsca zaczyna katalog wolborski być już zgodnym z włocławskim: Rudger (recte Świdger), Werner (a raczej Warner, bulla z roku 1148), Unelfus i t. d. aż do Wysława, którzyto biskupi wszyscy rzeczywiście szli tak po sobie, tylko że daty czasu aż do Wysława żadnej nawet najpobłażliwszej nie wytrzymują krytyki.

Katalog wolborski jest z tego jeszcze względu ciekawy, że o każdym biskupie podaje, gdzie on pogrzebany. Przywięzuję do tych dat pewną, bodaj względną wartość, gdyż nie przypuszczam, żeby się komu chciało dawać wiadomości, którychby nie miał pod ręką i czerpaćby je miał tylko z fantazyi. Co za cel byłby takiej roboty? Otóż groby biskupów w starej lub przebudowanej katedrze włocławskiej poczynają się dopiero od następców Świdgera. Gdzie leży Świdger? nie można wyrozumieć na pewne, gdyż to w tym katalogu duplikat, tak przywiedziony, że »Rudgerus« już

---

* Rozumiem to tak: Nasz pisarz w swych różnych źródłach spotykał Świdgera i waryantę tego imienia Rudgera, niemniej Honolda i jego waryantę Unelfa. Cóż robi? Tworzy z nich cztery różne osobistości. W tej tu grupie biskupów wstawia Świdgera i Honolda, a w dalszej wstawi Rudgera i Unelfa.

w Włocławku, a »Suidgerus» jeszcze w Kruszwicy spoczywa. Ale trzej jego poprzednicy najbliżsi (Baptysta, Paulin i Balduin), ci pogrzebani w Kruszwicy. Coś w tem prawdziwego będzie zapewne. Tem bardziej, że najpierwszym pięciom, t. j. owym bezwarunkowo bajecznym biskupom aż do Andrzeja, każe autor katalogu mieć miejsce wiecznego swego spoczynku... na wsi: jednym w Dźwierznie, a drugim w Parkaniu. Snać nie znajdując ów pisarz ani śladu ich grobów w Kruszwicy, a wierząc w ich istnienie, przypuścił, że chyba w tych kościelnych dobrach, odwiecznej własności tego biskupstwa pochowani być muszą, ile że z dawien dawna obie te wsi były parafialnemi*.

Notuję tu jeszcze jako źródła najważniejsze do historyi biskupstwa kujawskiego: trzy bulle protekcyjne papieskie z r. 1148, 1238 i 1259 (Kod. Rzyszcz. II Nr. 1 i 451; Perlbach, Pommerell. Urkundenbuch I str. 52); następnie Monumenta historiae dioec. Wladislaviensis, wychodzące tomikami od roku 1882 począwszy staraniem ks. prałatów Chodyńskich. Dotąd N-rów 13. — Nakoniec pracowita publikacya ks. Dr. Jana Fijałka p. t. Ustalenie chronologii Biskupów włocławskich, Kraków 1894. Obejmuje poczet biskupów od Świdgera (1133) do Hieronima Rozdrażewskiego († 1600), a w Dodatkach dołącza wiadomość i o kanonikach z czasu od 1383 do 1450.

---

6. Dzieje pierwotne Lubuskiego biskupstwa pozostały zagadkowe w wielu nader ważnych punktach pomimo gruntownej i źródłowej monografii o niem Wohlbrücka**. Temi słowy zaczynała się rzecz moja o tem biskupstwie w dawniejszej swojej redakcyi, a i dziś tosamo powtórzyć mi przychodzi z tym dodatkiem, że obecnie przedmiot ten jeszcze bardziej stał się sporny i zacie-

* Donosi nam Liber Retaxationum włocławski (str. 48 i 49), że Dźwierzno i Parkanie, choć to były najprzedniejsze biskupie wsi, stały kościelnie pod juspatronatem pierwsze proboszcza, drugie dziekana kruszwickiego. Wynika stąd, że kościoły w tych wsiach jeszcze wtedy stanąć musiały, kiedy Kruszwica a nie Włocławek była siedzibą rządu dyecezyi. Później bowiem byłby się ten juspatronat prędzej dostał włocławskim prałatom.

** Geschichte des ehemaligen Bisthums Lebus und des Landes dieses Namens. 3 tomy. Berlin 1829.

mniony. — Nazwałem wyżej dyecezyę lubuską »polską marchią duchowną«. Chciałem przez to wyrazić, że cel tej fundacyi był wprawdzie nie tylko kościelny, ale i polityczny, w każdym razie jednak w głębszem znaczeniu, niż go np. pojął Lelewel. On go bowiem na tem zasadza*, że »miała ta fundacya poznańskiego biskupa odgrodzić od archidyecezyi magdeburskiej i wstrzymywać wdzierstwo (?) tej odepchniętej metropolii« — dziwne zaiste pojęcie tamtoczesnej kościelnej organizacyi. Działalność lubuskiego biskupstwa rozciągać się miała w myśl swego założyciela na dziedziny pozyskać się dopiero mające tamtoczesnej Polsce. Stanął bowiem kościół ten na jej kresach, ościennych plemionom lutyckim, wtedy jeszcze pogańskim (w obrębie dzisiejszej Brandenburgii). — Ta warownia Krzyża i zarazem wpływu polskiego, jakkolwiek niewątpliwie dzieło Bolesława Chrobrego, trudno przypuścić, żeby wcześniej przyszła do skutku, jak dopiero po r. 1018, t. j. po budyszyńskim traktacie. W tym roku zakończył życie Diethmar, w którego kronice żadnej o tem niema wzmianki, a z pewnością byłby podniósł jęk bolesny, gdyby była kreowana za jego czasów. — Burzliwe lata po zejściu syna i następcy fundatora biskupstwa, i dalsze onych burz skutki, udaremniły rozwój przeznaczonej i spodziewanej działalności tej twierdzy. Pozostała przy juryzdykcyi nad szczupłym tylko skrawkiem kraju polskiego, oddanym jej na początek przy założeniu, i musiała się zadowolić odtąd rolą biskupstwa in partibus, a niezadługo nawet zagranicznego względem państwa Piastów.

Przeciwko temu zapatrywaniu podniesiono wątpliwości. W roku 1883 Stanisław Maroński**, w dalszych latach dwaj inni wyżej wspomnieni pisarze wystąpili z innemi zdaniami. Tamten przypuszcza pierwszy początek lubuskiego biskupstwa nie wcześniej, jak za Bolesława Śmiałego w r. 1075 lub 1076; dwaj drudzy nawet dopiero za Bolesława Krzywoustego w roku 1123 lub 1124. Stawiają zaś tak późny jego początek i tu znowu z tego powodu, że źródła współczesne o istnieniu tego biskupstwa nie wiedzą absolutnie niczego przed pomienionym okresem czasu. Najwcześniejsze o niem bowiem wzmianki, godne uwagi, ukazują nam je dopiero jako już istniejące w roku 1133. Mianowicie wiadoma bulla Inocentego II z tego roku dla arcybiskupa magdeburskiego Norberta,

---

* Polska wieków średnich. T. II str. 34.

** O założeniu biskupstwa Lubuskiego, Bibliot. Warsz. Tom II z r. 1883.

która stwierdza jego już istnienie w tym czasie, i owo oparte na współczesnej zapewne zapisce miejsce w Historyi Długosza o konsekracyi kościoła w Strzelnie, dokonanej w tym właśnie roku przez biskupa kujawskiego Świdgera w przytomności biskupa lubuskiego Bernarda*. A ponieważ i nasz najdawniejszy kronikarz Gallus zdaje się nic nie wiedzieć o tem biskupstwie, owszem dedykując pierwszą księgę kroniki polskim biskupom, nie wymienia między nimi biskupa lubuskiego, więc i to ma przemawiać za nieistnieniem tej dyecezyi w początku XII stulecia. — Fakta tu przytoczone nie przeczę, że są prawdziwe. Chodzi tu jednakże o wyrozumienie, czy wystarczają na dowód twierdzeń na nich opartych. Doniosłość tego dowodu daje się zaś jedynie wtedy ocenić, jeżeli rozważymy: 1. czy wobec innych wiadomych ubocznych faktów było... nie powiem prawdopodobną, ale wręcz możliwą rzeczą, żeby Bolesław Krzywousty zakładał to biskupstwo, albo żeby Bolesław Śmiały takowe (nie wznawiał, ale) z nowa fundował; i 2. czy pomimo pozornego milczenia Galla, nie służą wiadome słowa przez niego w innych miejscach powiedziane, na poważny punkt oparcia dla wniosku, że się rzeczy miały przeciwnie. — Cóż bowiem donosi nam w tej mierze rzeczony kronikarz? Oto przekazał pamięci potomnych n. p. takie o Bolesławie Chrobrym wspomnienie (I. r. 11, Mon. Pol. I 407): »Narody barbarzyńskie w okół swego państwa (in circuitu), które zwyciężał, nie do składania trybutu pieniężnego zmuszał, ale do przyjęcia religii. A nadto kościoły tam własnym kosztem wznosił i biskupów wraz z księżmi kanonicznie i wspaniale z całym potrzebnym przyborem u pogan ustanawiał«. (Ta liczba mnoga »biskupów«, to imperfectum »ordinabat«, wskazujące że nie mówi się tu o fakcie jednorazowym, to *„in circuitu“* nareszcie, czyż te słowa tak na wiatr mogły być wyrzeczone i czy godzi je się tak per non sunt traktować?). Cóż pisze tenże Gallus o tem w innych jeszcze miejscach? Oto np. powiada, że cesarz Otto III, kiedy odwiedził grób św. Wojciecha w Gnieźnie, »przelał wszystkie swoje prawa w rzeczach kościelnych na Bolesława w obrębie Polski i tych krajów nienawróconych, które zdobył albo zdobędzie. A układ ten papież Sylwester II (rzą-

---

* Kod. dypl. WPol. Nr. 6. Dług. Hist. I. 547. Zresztą obacz wyżej str. 231.

dził kościołem od 999—1003) osobnym przywilejem (więc dokumentem) zatwierdził« *.

Możnaż przypuszczać, żeby mając taki układ z cesarzem, posiadając taki przywilej od apostolskiej stolicy, ten fundator tylu innych biskupstw, ten zdobywca tylu pogranicznych krain, przez lat 25 dalszego świetnego swego panowania, nie korzystał z przelanej na siebie władzy i trzymał te pergaminy niezużytkowane w schowaniu? Temu przeczy nawet sam Gallus, kiedy na jeszcze innem miejscu powiada: »Potrzebaż jeszcze wymieniać zwycięstwa tego monarchy i tryumfy nad ludami nienawróconymi, o których wiadomo, że je stopami swemi zdeptał? Wszakże to on Selencyę, Pomorze i Prusy, wtedy jeszcze w swem pogaństwie oporne, bądźto starł bądź nawrócone umocnił w wierze **, ponieważ wznosił tam świątynie wspaniałe i biskupów przez papieża, a raczej papież przez niego tam ustanowił«. — To i tu znowu w liczbie mnogiej powiedziane »biskupów« nie może się przecież odnosić do samego tylko kołobrzeskiego. Nie ściąga się i do biskupstw fundowanych w r. 1000, gdyż (prócz Kołobrzeżan) kraje zawarte w ich dyecezyach nie były »in perfidia resistentes«, były nawrócone i poznańskiej katedrze podległe. A zatem mowa być musi o innych biskupach. Jednym z nich niechby był pomorski (Reinbern) — któryż drugi? Czy nie pasterz krainy, nazwanej tu Selencya?

Zapewne, wielka to trudność odgadnąć, co mógł Gallus rozumieć tem wyrażeniem. Niejednemu nasuwała się myśl, że to Silesia. Lecz Gallus umiał użyć właściwej nazwy tam gdzie mówił o Szląsku ***. Wiedział, że to »Zlesia«, a nie Selencia. Kiedy

---

* Gallus ks. I. r. 6. (Mon. Pol. I 401): Insuper etiam in ecclesiasticis honoribus quidquid ad imperium pertinebat, in regno Polonorum vel in aliis ab eo (Boleslao) superatis vel superandis regionibus barbarorum suae potestati concessit. Cujus pactionis decretum Silvester papa s. Romanae ecclesiae privilegio confirmavit.

** Ks. I r. 6 (Mon. Pol. 400): ...Ipse namque Selenciam, Pomoraniam et Prusiam, vel in perfidia usque adeo resistentes contrivit, vel conversas in fide solidavit, quia ecclesias ibi magnificas et *episcopos* per apostolicum, immo apostolicus per eum ordinavit. — Słowa »in perfidia resistentes contrivit« mogą się stósować do Prus, których nie potrafił zmusić do nawrócenia Bolesław. Nawrócił zaś i nawróciwszy biskupstwami umocnił w wierze, dwie drugie tu wymienione krainy.

*** Mon. Pol. I 459: Zbignevi milites, cum Bohemis per regionem *Zlesiensem* depraedantes, quidam capti, quidam gladio jugulati.

w miejscu powyżej przytoczonem podaje »Selencyę, Pomorze i Prusy, jako kraje nienawrócone i w swem bałwochwalstwie uporne, to nie można tego stosować do Szląska. Północną część Szląska przyłączył wprawdzie dopiero Bolesław do swego państwa, lecz była to przedtem część Czech, narodu dawniej niż Polska pozyskanego dla chrześcijaństwa, więc Szląska nie potrzebował do wiary zmuszać. Zresztą zważmy położenie, kolej w jakiej tu przytoczone te trzy krainy: »Selencya, Pomorze, Prusy«: widocznie kierunek od zachodu na wschód, a nie skok aż od Szląska w Pomorze. Ten porządek położenia powtarza się i w drugiem jeszcze miejscu, gdzie Selencya znowu wspomniana. Na samym wstępie kroniki, poświęconym topografii i przedstawiającym stan rzeczy w Polsce w czasach już kronikarza, za Bolesława Krzywoustego, powiada co następuje (str. 394): »Tak więc Polska stanowi północną część Słowiańszczyzny. Graniczy od wschodu z Rusią, z południa z Węgrami, »a subsolano« (?) z Morawią i Czechami, a na zachód z Dacyą (?) i Saksonią. Nad morzem zaś Północnem ma za sąsiadów trzy barbarzyńskie ludy: Selencyę, Pomorze i Prusy, z którymi książę nieustannie walczy, ażeby je do przyjęcia wiary nakłonić« itd. Szląskiem zatem, najspokojniejszą prowincyą w tamtych czasach, i tu żadną miarą Selencya być nie może.

Widocznie wyobrażał sobie Gallus ten kraj jako z przeciwnej strony Pomorza położony, jak Prusy. Mogło to być ku zachodowi, albo wreszcie z południa zachodniego Pomorza. Powiedzenia o wszystkich trzech w czambuł, że leżą nad Bałtykiem, nie można brać literalnie. Cała ta grupa barbarzyńców tak się Gallowi przedstawiała; kart geograficznych bowiem on nie miał, a i z naocznego zwiedzenia nie znał tych stron, bo tam nie był. Jak chybił, kiedy powiada, że Morawia i Czechy leżą *a subsolano* (od wschodu Polski), jak niewłaściwie dalszą zachodnią Słowiańszczyznę nazwał Dacyą, tak też i to położenie Selencyi »nad morzem północnem« w jego tylko wyobraźni istniało. Boć z nadbałtyckimi z lewej strony Pomorza ludami słowiańskimi (za Odrą) nie wojował ani czasu swego Chrobry ani Krzywousty za życia Galla. Nie miała też nazwy »Selencya« żadna za Odrą okolica nadbałtyckiego słowiaństwa. Przez Selencyę rozumieć zatem trzeba coś chyba położonego z południa od Pomorza.

Obaczmy teraz, czy Diethmar nie dostarczy nam klucza do rozwiązania zagadki, który to kraj. Figuruje u niego pewna miej-

scowość, zdaje się prowincya cała, Cilensi. Po zajęciu Łużyc w roku 1007 przez Bolesława Chrobrego nastąpił odwet ze strony wojsk niemieckich pod wodzą Henryka II cesarza i innych książąt. Działo się to roku 1009 czy 1010. Miejscem zbornem było »Belegori« n. Elbą (Białe-góry czyli dzisiejszy Wittenberg = Weissenberg, inni widzą w tej miejscowości Belgern n. Elbą, co nie stanowi wielkiej topograficznej różnicy). Z tego punktu wyruszyła cała ta siła do miasta Jarina (dziś Gehren) i do Łużyc (dolnych). Tu cesarz zachorował i poradzono mu już stąd wrócić do domu, co i uczynił. Pod dowództwem innych panów poszły stąd wojska do Cilensi i spustoszyły całą tę okolicę, potem zwróciły się do Diedesi, a po zniszczeniu i tej krainy zapędziły się aż pod Głogów, w którym Bolesław Chrobry cierpliwie oczekiwał ich przybycia, z niewielką siłą zamknąwszy się w tym grodzie. Przydługa słota nie dozwoliła poczynać oblężenia Głogowa; więc Niemcy poprzestając na splądrowaniu powiatu, niczego więcej nie dokonawszy, przez kraj Milczan wróciły do domu*.

Jeżeli się przypatrzymy etapom tego pochodu, to wypada rozumieć przez Cilensi chyba tylko zaodrzańską połowę ziemi Lubuskiej; w te strony bowiem prowadzi linia, wytyczona od Wittenberga do Gehren, a stąd i dalej w tejże wschodnio-północnej dyrekcyi**. Zrabowawszy to Nadodrze w okolicy dzisiejszego Frankfurtu i Fürstenwalde, pustoszyło wojsko niemieckie potem sąsiedni tamtemu z południa kraik Dziedoszan, a z tem się uprzątnąwszy, poszło jeszcze dalej na południe — w Głogowskie.

Kombinując w tych dwóch dziejowych zabytkach, Diethmarowskiej i Galla kronice, to co z nich każda w swój sposób domyślać się daje o położeniu »Cilensi« i »Selencya«, któreto nazwy przecież pewnie tosamo miały znaczyć: przychodzimy do wyniku, że z wszelkich możliwych oznaczeń położenia tej ziemi w r. 1010 napadniętej, a wiek później przez Galla wspominanej, najbliższym prawdy będzie wykład, że to ziemia Lubuska. Nie ma ona w tych

---

* Diethmar, ks. VI rozdz. 38. Mon. Pol. I 284 i n.

** Wydawca tego tomu Monumentów ś. p. Bielowski tłómaczy Cilensi inaczej. Miał to być Szląsk, mianowicie okolica-Niemczy (Niemtsch). Lecz marszruta z Wittenberga a choćby z Belgern do Gehren, stąd pod Niemczę, z Niemczy znowu do Dziedoszan, a stąd ponownie do Głogowa, byłaby tak bezgłownem kręceniem się w koło, że jej nie można przypuścić.

kronikach jeszcze tej nazwy »lubuska«, nosi inną natomiast — prawdopodobnie dlatego, że Lubusz nie miał jeszcze za Diethmara i długo potem tego znaczenia, żeby całej tej krainie swoje imię nadawać. Był inny punkt, który tę rolę wtedy spełniał.

Diethmar w tych ustępach swojej kroniki, gdzie mówi o zajściach między Polską a cesarstwem za panowania Mieszka I i Bolesława, wymienia różne miejscowości leżące po drodze tym dwom narodom, nawiedzającym się wzajemnie. Nazwy Lubusz między niemi niema. Znał on gród pewien, który nazywa Lubuzua, ten jednak w dowiedziony sposób leżał gdzieindziej (w Łużycach) i nic wspólnego nie miał z naszym Lubuszem*. Pierwsza w ogólności współczesna wzmianka o tym Lubuszu i już o »ziemi lubuskiej« datuje dopiero z roku 1194**. Istniał on niewątpliwie już dawniej; jest wspomniany jako punkt, wybrany na przedmiot pierwszego starcia się sił Henryka V z pograniczem polskiem w r. 1109, ale dopiero przez Baszka***, więc pod koniec XIII wieku. Gallus o nim nie wspomina, choć poświęca tej napaści niemieckiej przydłuższy ustęp. Dalsze wzmianki o Lubuszu są owe już nam wiadome z roku 1133, mówiące o nim jako stolicy biskupstwa: bulla papieska z tego roku i zapiska reprodukowana przez Długosza, opiewająca o bytności biskupa lub. Bernarda w Strzelnie, kiedy kościół tam poświęcano. Innych, wcześniejszych nad te wzmianek nie znam.

W samym Lubuszu, w gronie duchowieństwa kapitulnego, utrzymywało się do późnych czasów podanie, do któregoto szczegółu niżej znajdę sposobność powrócić, że rezydencya biskupa

---

* Diethmara Lubuzua, w innych mss. Libusua, przywiedziona pod r. 922 i 1012, leżała w pobliżu Elby, w oddaleniu jakich 16 mil od nadodrzańskiego Lubusza, i istnieje jako wieś Lebusa zwana do dziś dnia, w księstwie saskiem w powiecie Schweinitz, między Dahme a Schlieben. Szańce z czasów jeszcze rzymskich w pobliżu tego miejsca, wspominane przez Diethmara, a i dziś jeszcze niezrównane z poziomem, świadczą o tożsamości.

** Rocznik WPol. (Mon. Pol. III str. 7) pod r. 1194: Castellanus Hilic obiit et Pomorani terram Lubus debellaverunt.

*** Mon. Pol. II 504: Castrum magnum Lubusz (Henricus) impugnat, quod ad capiendum facile existimans, ulterius festinat i t. d. Wydawca tej kroniki przypuszczał, że tu przed facile opuszczone non. Być może. Ale niewykluczony i taki wykład, że tu nie braknie niczego. Cesarz H. dlatego nie chciał tracić czasu około zdobycia tego grodu, że jak zająć go, tak też potem i dać odebrać go sobie było łatwo, więc nie było o co się kusić.

i kanoników pierwotnie istniała gdzieindziej. Ubarwione to bajecznością, lecz było takie podanie.

Rzecz szczególna, że ta nazwa najdawniejszego kronikarza naszego »Selencia« tak się spodobała Kadłubkowi piszącemu rzecz swoją w końcu XII stulecia, że chociaż jej już nie rozumiał, onej tylko (w formie Silencia i także Silencium) używał — w znaczeniu Szląska. Ale w dwóch miejscach* nazywa tę prowincyę boską, świętą. Wprawdzie i tu mówi on widocznie także o Szląsku. Lecz skąd przychodzi Szląsk do tego zaszczytu, kiedy żadnej innej ziemi ten autor nie daje takich predykatów? Czy nie zaszło tu jakie przekręcenie, jakie źle do przedmiotu zastósowane powtórzenie reminiscencyi, gdzieś czytanej i tkwiącej w pamięci tego bałamutnego pisarza? — Wyniku z tego żadnego nie wydobywam, niczego nie twierdzę: chciałem tylko zwrócić na to uwagę, bo zdaje mi się, że warto.

Miejscem w czasach pierwotnych najważniejszem w ziemi lubuskiej był Sulęć. Niewątpliwie o nim mówił Diethmar, tam gdzie pisze Cilensi. Tak to rozumiał i Papłoński, kiedy na swojej »Mappie Słowiańszczny lechickiej w wieku X i XI«, wydanej w Warszawie roku 1862 z okazyi swego przekładu kroniki Helmolda, w tem miejscu gdzie Sulęć, późniejszy Sulęcin, dziś z niemiecka Zielentzig leży, położył Cilensi. Jest to punkt na samych wschodnich kresach ziemi lubuskiej, blizki granicy WPolski właściwej (ku Międzyrzeczowi). Przez środek ziemi lubuskiej płynie Odra. Lubusz leży na jej brzegu, ale na lewym, od strony Niemiec. Jeżeli Diethmar, pomimo tego jego położenia z tamtej strony rzeki, nie nazywa okolicy, którą w r. 1010 pustoszyło wojsko niemieckie, Lubuską, ale Sulęcką (Cilensi), toć widać, że ten gród warowny nadawał wtedy nazwisko całej tej prowincyi, nawet jej zaodrzańskiej połowie, i był w tej ziemi pierwszorzędnym. Albowiem owo wojsko przy tamtej sposobności nie przeprawiło się przez Odrę, nie dotarło rzeczywiście aż do Sulęcia, lecz plądrowało okolice zaodrzańskie (mówiąc z naszego punktu widzenia).

Taksamo też jeżeli Gallus pisze, że w Selencyi, jeszcze wtedy w swem bałwochwalstwie uporczywej, krzewił wiarę i zakładał biskupstwo Bolesław Chrobry, to przez Selencyę niepotrzeba ko-

---

* Mon. Pol. II str. 347 i 372: »*in divinam* Silencii provinciam signa surgunt bellica«. — »Eosque *sacra* Silencii donat provincia«.

niecznie rozumieć Sulęcizny w ściślejszym sensie, t. j. przedodrzańskiej połowy prowincyi, która jako prawdopodobnie zaludniona polskim żywiołem, mogła już nie być pogańską; ale odnieść to należy do zaodrzańskiej połowy. Tam mieszkała wtedy mieszanina lutyckiego a może i łużyckiego żywiołu, drażniona przez brandeburskich misyonarzy niemieckich i nienawidząca wszystkiego, z czem byli w spółce, a więc i Krzyża. — Kto tam wie wreszcie, czy w Sulęciu nie mieszkali pierwsi biskupi lubuscy. Twierdzić tego nikt nie będzie, ale i żeby przeczyć temu, niema dowodów*.

Powyższego rozpatrzenia ten wynik, że rzekomo tak uporczywie co do naszej kwestyi milcząca kronika Galla, byle ją tylko uważnie czytać i trochę poddać pod indagacyę, wyśpiewuje przecież niejedno, czego na razie od niej się nie spodziewano.

Przechodzę teraz do powiedzenia mego kilka stronic wyżej, że mają w kwestyi obecnej prawo głosu i okoliczności uboczne. Stawiam pytanie tak: Z dwóch naszych panujących — tu Bolesław Chrobry, a tam Krzywousty — który z nich z przyczyn dziejowych mógł, a który nie mógł być fundatorem katedry tu omawianej?

---

* Co się tyczy nazwy Sulęć, to takowa jest poświadczona dokumentami i innemi źródłami współczesnemi aż do końca XIII stulecia. Podają ten gród jako Sulench, Zulenche, Sulencz w swej tamtoczesnej pisowni (dokument z r. 1241 i 1244 przywiedziony u Wohlbrücka w T. I str. 67 i 69; Rocznik WPol. i Kronika Baszka, Mon. Pol. III str. 36, II str. 593 i 595). W XIV w. już go zwano Sulęcino (»Zalocino« w sfałszowanym przez Johannitów w tym dopiero czasie dokumencie rzekomo z r. 1252, Kod. WPol. Nr. 300). A wtedy też pewnie, wskutek zniemczenia całej tej ziemi, nastała i niemiecka nazwa Zielentzig, która do dziś dnia się utrzymuje. — Dzieje zaś tego grodu takie, że aż do Henryka Brodatego czasów była ta warownia bezpośrednią własnością rządową. Brodaty był nie tylko ziemi lubuskiej panem, ale i południowo-zachodniej połowy WPolski. Rozgraniczający te dwie prowincye Sulęć odtąd, jako obronny punkt, stracił swoje dawniejsze znaczenie. Lubusz już wtedy stał się grodem pierwszorzędnym od strony Niemiec. To zapewne główny powód, dlaczego z ręki tego książęcia przeszedł Sulęć na własność (niewiadomo w którym roku) Mroczka z Pogorzeli wojewody opolskiego. Ten nie miał nic lepszego z nim do uczynienia, jak darować go Templaryuszom (w roku 1244). Ten zakon, obdarzany nadaniami przez naszych książąt i panów, trzymający mimo tego zawsze z niemieckimi wrogami naszego kraju, po przejściu ziemi lubuskiej w r. 1250 pod obce rządy, oddał Sulęć do dyspozycyi marchionom brandeburskim, którzy sobie już w r. 1269 urządzili tam twierdzę, klucz przez całe czasy następne do wdzierstw wszystkich w dalsze potem dzierżawy Polski.

Największą trudność i przeszkodę w jej założeniu tworzyło biskupstwo brandeburskie. Ta fundacya cesarza Ottona I, kreowana w r. 948 i obdarzona przezeń przywilejem, nie tylko jej dochody, ale i granice jej dyecezyi jak najdokładniej określającym *, miała prawo, poręczone i przez legata apostolskiego, za swój obszar uważać całą środkową Słowiańszczyznę między Elbą a Odrą, między biskupstwem Hawelberskiem z północy a Miśnijskiem z południa. Wymieniono w tym dokumencie fundacyjnym kilkanaście ludziszcz słowiańskich, składających tę dyecezyę, między niemi i Sprewian. O Lubuszanach niema w nim wprawdzie mowy, ponieważ wyraz ten, jak już wyjaśniłem, nie tworzył jeszcze wtedy ani topograficznie ani etnograficznie odrębnego pojęcia. Ale mieścili się Lubuszanie w tej nazwie Sprewian (nasza zaodrzańska dzierżawa ta dosięgała Sprewy). Rzeka zaś Odra jak najwybitniej wskazana została w tym dyplomacie cesarskim, w porozumieniu z legatem apostolskim wydanym, jako wschodnia granica biskupstwa — na wieczne czasy.

Pomimo orzeczeń tak jasnych, za Bolesława Chrobrego istniała cała ta sprawa, jak się dzisiaj wyrażamy, więcej na papierze, niż w rzeczy. Przez te pierwsze kilkadziesiąt lat bytu biskupstwa brandenburskiego, działanie jego w tych stronach ograniczało się do jak najmniejszych rozmiarów. Pogaństwo za Odrą kwitło i teraz w najlepsze, jak niegdyś. Nawrócenie — przyszłość dopiero miała je spełnić. O dokonanie zatem tego dzieła, przez Polskę, pokusić się wtedy było i warto i możliwą jeszcze rzeczą. Kiedy monarcha nasz, w tych widokach, zakładał to swoje biskupstwo, nie przywłaszczał sobie owoców siedemdziesięcioletniej pracy obcego kleru, gdyż ich nie wydała. Nie ogołacał sąsiedniego biskupa z dziesięcin, włości i innych intrat z tych stron, ponieważ istniały w wyobraźni i nadziei tylko, a nie w rzeczywistości. Że ten biskup i jego duchowny zwierzchnik z goryczą i nienawiścią patrzeli na te czyny księcia polskiego i rozumieli, ku czemu to wszystko zmierza, rzecz niewątpliwa. Lecz ta gorycz i zabiegi, jakie czynić mogli i z pewnością podejmowali, z góry były przesądzone jako daremne. Miało się do czynienia z potentatem, który w r. 1000 niezawisły kościół polski postawił, w kilkanaście lat później i Poznań z pod ich

* Monum. German. Diplom. T. I część 2ga Nr. 105. Hasselbach Cod. dipl. Pomer. Nr. 7.

opieki wyjął, po 16-letniej wojnie z cesarstwem zawarł pokój korzystniejszy dla siebie niż dla strony przeciwnej, a nadto posiadał jeszcze od Ottona III i od Sylwestra papieża nadane sobie pełnomocnictwo, które czyny jego takie przewidywało i z góry legalnymi czyniło. Po jego zgonie, w pierwszych latach panowania Mieczysława II, wrzeć musiała ta zawiść brandeburskiego biskupa całym ogniem jeszcze przeciwko Polsce, kiedy roczniki niemieckie pod r. 1030 donoszą, że ten król polski do tego stopnia zuchwałość swoją posunął, że wracając z jakiejś podjętej wtedy w Niemcy wyprawy, wziął w pęta tego prałata i uwięzionego traktował jak pospolitego jeńca*.

A teraz uprzytomnijmy sobie stan rzeczy za Bolesława Krzywoustego. Z wiadomych przyczyn, społeczno i religijnodziejowych, spodziewane działanie biskupstwa lubuskiego nie tylko nie dokazało poza granicą kraju niczego, ale zaledwie się utrzymać zdołało przy tym skrawku dyecezyi za Odrą, który dostało na początek. W roku 1109 najazd Henryka V. Pierwsze jego uderzenie właśnie na Lubusz. Nie zdobył go czy nie zdobywał wcale, ale go podarował właśnie temu księciu kościoła, któremu punkt ten był solą w oczach, a który cesarzowi tu towarzyszył. Była to darowizna wróbla na dachu i nie wszedł arcybiskup w jej posiadanie: ale pretensya zostanie i niezadługo zrodzi skutki. Cesarz niemiecki odciągnie i popamięta »Psiepole«, ale i polski książę był kontent, kiedy go się pozbył z karku. O jakichkolwiek przedtem czy potem zamysłach Krzywoustego szerzenia swojego państwa, a choćby wpływu, na zachód w obrębie średniej Odry — dzieje milczą. Cały gwicht jego wysiłków odnosił się do Pomorza, a nie do ludów lutyckich. I zaprawdę nie mogło być inaczej. Półtorawiekowe z górą już wtedy istnienie biskupstw niemieckich za Odrą osięgło z czasem zamierzone następstwa. Podległych sobie Słowian albo zmuszono do przyjęcia wiary z tej ręki albo ich Niemcy rozpędzili na wszystkie wiatry. Pełno wzmianek w dokumentach naszych, a i czeskich i nawet węgierskich z tamtego czasu, o zjawiającej się w tych krajach jakiejś klasie, nazywanej *hospites*. Ci »goście«, ci jak ich u nas nazywano łazęgi (»lazanki«), z jakiegoż żywiołu się oni rekrutowali? Mogła to być zbieranina z całego świata, lecz w pierwszej linii tworzyli ją Słowianie z za Odry. Trapiona ta przez książąt

* Mon. Pol. II 765. Zapiski Annalisty Saksona i Chronografa saskiego.

i przez księży niemieckich ludność opuszczała przez wiek XI własnowolnie zagrody swoje w pomniejszych gromadach. Od r. 1110, po przytłumieniu powszechnego tam powstania ludu przeciw swym rządom, byli z kraju wypędzani okolicami całemi, a na ich miejsce ściągano do osiedlenia tłum osadników z głębi Niemiec i dalej, z Flandryi, Seelandyi, Holandyi i t. d. Tento napływ obcych żywiołów zaczynał już w tym czasie tworzyć główny kontyngent dyecezyan zaodrzańskich biskupów, jak o tem na tylu różnych miejscach świadczy blizki czasom tym Helmold. Więc mamyż wierzyć, że Bolesław Krzywousty, wprowadzając lubuskie biskupstwo w życie, nie mające żadnej racyi bytu dla jego własnego kraju, marzył może zapomocą tej fundacyi przetworzyć na Polaków tych kolonistów? Czy taki niezdrowy zamysł do twarzy temu rozumnemu monarsze? W owym czasie ręka magdeburskiego metropolity i jego sufraganów nie tylko kościelnie ciężyła już faktycznie na powierzonych im dyecezyach, ale i polityczne, świecko-rządowe prawa podnosił ten arcybiskup do lubuskiego powiatu, jako sobie nadanego w r. 1109. Dokument fundacyjny z roku 948, zapewniający rzekę Odrę jako wschodnią dyecezyi brandeburskiej granicę, przechowywano jako najcenniejszy przywilej, i da go sobie w roku 1161 na nowo tamtoczesny biskup zatwierdzić cesarzowi Fryderykowi I, w dosłownej tejsamej stylizacyi*. Bulla Innocentego z roku 1133 dla arcyb. Norberta, która choć dopiero w tym roku wyjednana, może służyć za wyraz aspiracyi z kilku lat wstecz, chce nie tylko co do Poznania przywrócić dawny porządek, ale zagarnia wszystkie polskie kościoły pod tamten zarząd. Usposobienie nawet niższego kleru w tamtych stronach względem Polski było w tych czasach już takie, że n. p. podczas gdy Diethmar, w miejscu gdzie o początku arcybiskupstwa gnieźnieńskiego donosi, poprzestał na wyrazach, że je »ut spero, legitime« Otto III założył, to annały magdeburskie wypisując tę rzecz z niego, zastąpiły tamte słowa wręcz przez »non legitime« **.

I wśród takich okoliczności miało się udać Bolesławowi Krzywoustemu w latach 1124/25 przeforsować założenie lubuskiego biskupstwa? Aniby to dla niego żadnego nie było miało pożytku ani papież, uwzględniając dane stosunki, nie byłby się mógł przy-

* Hasselbach, Cod. dipl. Pomer. Nr. 25.
** Monum. German. XVI str. 159.

chylić do tego żądania. Zresztą rzecz taka, gdyby było do niej przyszło, tyleby była w sferach tamtejszych sprawiła wrzawy, że musiałoby się to odbić głośnem echem i w rocznikach niemieckich. Dlaczegoż milczenie tych obcych źródeł dziejowych zupełnie spuszczamy z oka, jeżeliśmy tacy baczni na rzekome naszych kronikarzy milczenie?

Przechodzę do dalszego pytania. Z miejsca biskupów zajmowanego w gronie reszty episkopatu wynika nieraz wniosek co do wieku biskupstw. Dlaczego nic się nie daje wyrozumieć w ten sposób o wieku lubuskiego biskupstwa?

O tem ich miejscu nie miał już Długosz jasnego wyobrażenia. Jaka tego przyczyna?

Wspomniałem wyżej, że zaodrzańska połowa ziemi lubuskiej podarowana została przez Henryka V arcybiskupstwu magdeburskiemu*. Ta donacya na pozór nie miała na razie żadnego realnego znaczenia; dalsze koleje jednakże, przez które przechodziła ta ziemia, nadały sprawie inny obrót. — Kiedy synom Władysława Wygnańca pozwolono w roku 1163 wrócić do kraju, najmłodszy z braci Konrad otrzymał w dziale Lubusz. Świadczyłoby to o tem, że ta prowincya (właściwie do WPolski przynależna) już za życia ich ojca była zaliczana do Szląska. (Dług. Hist. II 62). Po wczesnej śmierci Konrada, przeszedł ten spadek na Bolesława Wysokiego, a po nim na jego syna Henryka Brodatego. W tych czasach Władysław Laskonogi jako ks. wielkopolski, z tego jak widać tytułu, dopominał się tej dzielnicy od Brodatego, i oddaje mu ją Henryk w r. 1217 w dożywocie**. Jak długo się Laskonogi cieszył tem dożywociem, tego na pewne nie wiemy; lecz zdaje mi się, że nie dłużej jak do roku 1225. Wtedy bowiem pewien książę postronny, landgraf turyngski Ludwik IV, zawiadowca w owym czasie miśnijskiej marchii, ni stąd ni zowąd najechał Lubusz*** i prowadził o ten zabór wojnę »z książęciem polskim« (niewiadomo

---

* Baszko wprawdzie w tem miejscu, gdzie pisze o zdarzeniach w r. 1109, nic nie nadmienia o tej darowiźnie. W dalszem wszelako miejscu, pod r. 1239 (Mon. Pol. II 559), donosi, że było tak. U Długosza (Hist. I 478 i 490) postawione to jako fakt. Jak niżej zobaczymy, odwoływali się dalsi arcybiskupi magdeburscy do tego nadania jako do rzeczy powszechnie wiadomej.

** Dokument odnośny w Kod. WPol. Nr. 95, i drugi Nr. 98.

*** Rocznik WPolski, Mon. Pol. III str. 7. Cf. obszerniejszy o tem wszystkiem ustęp w dziele Wohlbrücka I p. 17 sqq.

którym i z jakim skutkiem, lecz zapewne miał już do czynienia z Henrykiem). — Zanim przyszło do tych zdarzeń, przypomniano sobie w Magdeburgu o cesarzu Henryku V i jego donacyi z r. 1109. Kiedyś na początku XIII wieku tamtoczesny arcybiskup katedry tej wyjednał sobie od cesarza Filipa (więc między r. 1197 a 1208) ponowne donacyi tej zapewnienie; a teraz, w r. 1225, przelewa ów landgraf mniemane swoje do Lubusza prawa na arcybiskupa Adalbertha, który żeby rzecz nie zaschła, miało to wszystko bowiem wtedy archiwalne tylko jeszcze znaczenie, daje sobie w r. 1226 ową konfirmacyę Filipa na nowo zatwierdzić cesarzowi Fryderykowi II*. Od tej pory nie widać władzy Laskonogiego w ziemi lubuskiej. Natomiast poczytują się za jej panów, wykluczając jeden drugiego, Henryk szląski i ów arcybiskup; czynią bowiem równocześnie nadania w tamtych stronach obydwaj**. — W roku 1238 Brodaty schodzi z świata; rząd nad Szląskiem łącznie z Lubuszem przechodzi na jego syna Henryka Pobożnego***. Na tę chwilę przypadło pierwsze już orężne wkroczenie owego przywłaściciela w te sprawy. Willbrand, następca Adalberta, napadł z nienacka w tych latach na ziemię lubuską. Wziąć jej w posiadanie nie potrafił, gdyż dość wcześnie przybył na odsiecz książę szląski i bardzo smutnie ta wyprawa się dla tamtego skończyła****. Niepowodzenie jednakże nie odstręczyło i Willbranda od zamiarów powziętych, choć na sposobność dogodną trzeba było kilka lat czekać. Nadarzyła się dopiero za panowania Bolesława Łysego, który powaśniony i z WPolską i z własnymi swymi braćmi, szalone swoje rządy tak pokierował, że mu przyszło w tym właśnie arcybiskupie szukać sojusznika i opiekuna. W roku 1249 zawarli ze sobą taki traktat, że książę szląski połowę ziemi i grodu lubuskiego oddaje Willbrandowi na wieczną własność, ten zaś przyrzeka bronić go jako lennika swego od wszelkich jego wrogów*****. Pieniężnego

---

* Grünhagen, Regesten, Nr. 310a. In extenso w Gerckena Cod. dipl. Brandeb. T. IV str. 436.

** W r. c. 1229 darzy Henryk Templaryuszów 250 łanami w okolicy między Falkenhagen a Müncheberg. W r. 1230 darzy arcyb. Adalbert klasztor św. Maurycego w Halli 100 łanami i wsią Cieszno (2 mile od Lubusza). Wohlbrück I 24.

*** Cronic. princ. Polon. Mon. Pol. III 486.

**** Baszko, Mon. Pol. II 559. Długosz Hist. II 259 sq.

***** Kod. WPol. Nr. 2055. Baszko, Mon. Pol. II 566.

wziątku żadnego przy tem nie było. Wiecznie goły jednak ten wnuk Henryka Brodatego potrzebował i takiej pomocy. Więc już w roku następnym zaciąga jakąś bagatelną pożyczkę od marchionów brandenburskich i w zastaw za to daje im w ręce resztę swych praw do ziemi lubuskiej*. Pożyczki tej nigdy nie zwrócił, i w tento sposób stała się ta ziemia nasza kresowa, na zawsze utracona, zawiązkiem t. zw. Nowej marchii. Aż do roku 1336 dzierżyli ją po połowie arcybiskupi magdeburscy i marchionowie — odtąd na mocy układu między sobą, tylko ci ostatni.

Wskutek tego przejścia całej ziemi lubuskiej pod obce i wrogie krajowi naszemu rządy, położenie tamtejszych biskupów stało się niepomiernie trudnem i przykrem. Byli tam nie tylko przez tych panów swoich, ale nawet i przez ludność, w przyspieszonem tempie niemczoną, traktowani po nieprzyjacielsku. A i w Polsce zwichnęło się ich stanowisko jako narodowych biskupów. Czego z tamtej doznawali strony, daje wyrozumieć choćby przelotny rzut oka na ich ciągłe poniewolne przenosiny z miejsca na miejsce z swoją katedrą i kapitułą. Aż do roku 1225 rezydowali w Lubuszu. Przy wspomnianym wyżej napadzie owego Landgrafa turyngskiego na Lubusz, katedra tamtejsza poszła z ogniem. Biskupi odtąd tułali się po swoich wsiach okolicznych, albo po szląskich, które im nadał Henryk Brodaty, a często przesiadywali w Polsce. Jeszcze w r. 1241 świątynia ich katedralna, choć ją wtedy budowano, nie była gotowa**. Pomimo wreszcie jej odbudowy, zostali już w r. 1276 spowodowani urządzić sobie stały pobyt w Górzycy (dziś Göritz, wioska biskupia w dyecezyi lubuskiej, z prawej strony Odry). Ta katedra górzycka, wraz z mieszkaniem biskupa i kanoników, i cała ta wieś, zostały w r. 1325 przez pospólstwo z zaodrzańskich okolic do szczętu zniszczone***. Po tym wybryku hierarchia dyecezyalna osiadła we Frankfurcie i odbywała nabożeństwo w tamtejszej farze. Tego kościoła używać jednak jak najgroźniej zabroniła im już roku 1330 władza krajowa. Przez następnych lat 25 dyecezya nie miała żadnej katedry, a biskupi gościli po różnych miejscach poza

---

* Cronic. princ. Polon. Mon. Pol. III 491. Cron. Polon. ibid. str. 643. Dług. Hist. II 323.

** Grünhagen, Regesten, Nr. 391 z r. 1232. Tamże Nr. 569 z r. 1241.

*** List papieża Jana XXII z r. 1327, Kod. WPol. Nr. 1074.

jej granicami, unikając uwięzienia we własnym domu*. W r. 1354 nawiązał tamtoczesny biskup (Henryk II) lepsze z rządem margrabiów stosunki, wrócił do Lubusza i wystawił tam dorywczo jakąś nędzną katedrę. I ta jednak w roku 1373 pośród rozruchów wojennych poszła w ruinę, a co z niej ocalało, »zostało zamienione na stajnię« **. Osiada wtedy biskup z kapitułą znowu w Frankfurcie, a z tego miasta w r. 1385 przenoszą się do Fürstenwalde***: i tu ich w roku 1555 spotyka kasata tego biskupstwa. — Niepokojeni w taki sposób u siebie, nie posiadali i w Polsce znaczenia przynależnego biskupom. Pod kościelnym wprawdzie względem wytrwali oni pod zwierzchnictwem metropolitalnem gnieźnieńskiem aż do ostatka, aczkolwiek osobiście przestali na synodalne posiedzenia przybywać już pod koniec XIII wieku i zastępowali się odtąd pełnomocnikami swoimi. Ale w sprawach świeckich publicznych naszego kraju nie mogli uczestniczyć tak jak inni biskupi; pomimo bowiem dóbr znacznych, ponadawanych im w rdzennej Polsce przez różnych książąt jeszcze przed r. 1240, trudno im było uchodzić za członków tej społeczności. Ich dyecezya leżała za granicą i w kraju nieprzyjacielskim. Na wiecach książąt, w Radzie królewskiej, nie było dla nich od r. 1250 miejsca.

Tego położenia wyjątkowego nie poprawiło nadane im przez papieża zwierzchnictwo kościelne nad katolicką ludnością na Rusi, które otrzymali w r. 1257. Boć i te strony aż do Kazimierza W. czasów nie należały do Polski.

Powód przelania na lubuskich właśnie biskupów tej władzy, pomimo tak wielkiego oddalenia ich dyecezyi od Rusi, nie jest dotąd dostatecznie wyjaśniony, a nawet o czasie, kiedy to zaszło, krążyły i dotąd obiegają niezgodne z sobą i z dziejową prawdą zdania. Niektórzy sądzą, że charakter ruskich pasterzy dostał im się już przy fundacyi biskupstwa t. j. z postanowienia Bolesława Krzywoustego, rzekomego twórcy tego kościoła. Szczupły obszar właściwej dyecezyi lubuskiej miał od pierwszej zaraz chwili wymagać, ażeby zakres działania i dotacyę tych biskupów uzupełnić

---

* Wohlbrück, Gesch. des Bisth. Lebus, I str. 136, 442, 450, 456, 471 i t. d.

** Dokument biskupa Piotra z roku 1373, in extenso u Wohlbrücka, I str. 506.

*** Dokument biskupa Jana Kietlicza z r. 1385, tamże t. II str. 11.

w inny, mianowicie w ten właśnie sposób... Wątpię, żeby to zapatrywanie zwolenników znalazło i poprzestanę na jego tylko tu przytoczeniu. Dawniej łączono lubuską jurysdykcyę nad Rusią z tym znowu faktem, że posiadało to biskupstwo znaczne dobra w Sandomirskiem, mianowicie klucz Opatowski, do którego należało 16 wsi, a prócz tego należało do tych biskupów i miasto Kazimirz łącznie z 14 wsiami okolicznemi w Konińskiem (w WPolsce). Że rzeczywiście posiadali oni te dobra, dowiedzioną jest rzeczą; nie wiemy jednak z pewnością, od kiedy i z czyjego to było daru. Długosz, nie najlepiej poinformowany w tej kwestyi, odnosi jedno i drugie nadanie do osoby Henryka Brodatego, który miał darować tym biskupom Opatowszczyznę w swym charakterze opiekuna małoletniego Bolesława Wstydliwego i z jego na to zgodą. Miały to zaś być dobra po Templaryuszach, wtedy z miejsca tego wydalonych*. Być może, że był H. Brodaty nadawcą Opatowa temu biskupstwu, ale Templaryuszów nigdy przedtem nie było w tej okolicy, jak to w dalszej mej rozprawie (O klasztorach) okażę. A co się tyczy dóbr kazimirskich, to tych im darować żadną miarą nie mógł ten książę szląski. Jego bowiem panowanie nad WPolską rozciągało się tylko do Warty**, a Kazimirz leży z tamtej strony tej rzeki. Darodawcą tego klucza, w razie jeżeli jego przejście w posiadanie tych biskupów zaszło w czasach Henryka Brodatego, mógł zatem być chyba Władysław Odonicz. — Inną wersyę co do dóbr opatowskich znajdujemy w Kronice Baszka, gdzie o nadaniu klucza kazimirskiego żadnej niema wzmianki, zato o całej Opatowszczyźnie tak rzecz wyłożona, że miały dawniej te dobra stanowić uposażenie klasztoru opatowskiego, którego opat imieniem Gerard miał zostać nowo-ustanowionym biskupem katolickiej ludności ruskiej, po nim zaś miał ten cały kompleks dóbr biskupstwa ruskiego, a poprzednio klasztornych, podlec wcieleniu kościołowi lubuskiemu, a to za sprawą Henryka Brodatego***. — Całe to miejsce nie zasługuje na żadną wiarę; nie tylko bowiem i chronologicznie i rzeczowo niemożliwe okoliczności podaje, ale jest nawet wręcz sprzecznem z innem, a niewątpliwie zgodnem z prawdą miejscem w tejżesamej kronice. Mamy je na str. 573, a opiewa jak następuje: W r. 1253

* Długosz, Hist. II 251; Lib. Ben. I 574 i 633.

** Obacz układ co do podziału tej prowincyi między Henrykiem a Władysławem Odoniczem z r. 1234 w Kod. WPol. Nr. 168.

*** Baszko rozdz. 61 Mon. Pol. II 556.

dnia 8 maja obchodzono w Krakowie kanonizacyę św. Stanisława. Uczestniczyli w tej uroczystości: Opiso opat messański, legat Innocentego IV, Pełka arc. gnieźń., Prandota bisk. krak., Tomasz wrocł., Wolimir włocł., Andrzej płoc., Wit pierwszy biskup litewski z zakonu Dominikanów, Gerhard pierwszy biskup ruski z zakonu Cystersów, poprzednio opat z Opatowa (a dalej następują przytoczone świeckie osoby obchodowi temu przytomne). Tosamo podaje i Rocznik Wielkopolski (Mon. Pol. III str. 23) z tą wszelako różnicą, że przy imieniu »Gerharda pierwszego biskupa Rusi«, nie dokłada tych słów »z zakonu Cystersów, poprzednio opat z Opatowa«. Tosamo czytamy i u Długosza (Hist. II 346), bez tego dodatku. Tosamo wreszcie i w dwóch dawnych katalogach biskupów krakowskich (Mon. Pol. III 360), bez dodatku o Gerhardzie, żeby był Cystersem i z Opatowa. — Mnie się zdaje, że ten w tekście Wpolskiej kroniki dodatek, równie jak i całe owo na str. 556 tejże Kroniki anachronizmem skażone miejsce, nie pochodzi z pióra Baszka, lecz należy je poczytać za wpisek późniejszego interpolatora. Skoro bowiem przytomny kanonizacyi w roku 1253 Gerhard był »pierwszym biskupem Rusi«, to nie daje się z tem pogodzić wiadomość, że Henryk Brodaty († 1238) przelał po jego śmierci dobra tego ruskiego biskupstwa na biskupstwo lubuskie. Nic nam znikąd też niewiadomo o tem, żeby w Opatowie kiedy istniało opactwo Cystersów lub jakikolwiek inny klasztor. A lepsze źródła wskazują na to, że ów Gerhard był nie Cysters, ale Dominikanin.

Jakkolwiek zresztą miały się rzeczy z tem wszystkiem, to jedno będzie pewnem, że między posiadaniem dóbr opatowskich przez biskupów lubuskich a ich juryzdykcyą ruską nie było żadnego ani chronologicznego ani przyczynowego związku. Powód nadania im juryzdykcyi nad Rusią musiał być następujący.

Nawracanie Rusi, Polsce sąsiedniej, na łaciński obrządek poczęło się na dobre dopiero przez zakonników dominikańskiej i franciszkańskiej reguły. Zjawili się w kraju naszym pierwsi w r. 1223, drudzy 1237. Działanie Dominikanów na Rusi Czerwonej od razu w tak pomyślny postępowało sposób, że już w r. 1232 przedłożył Pełka arcyb. gnieźń. prośbę papieżowi Grzegorzowi IX, ażeby tam kreował biskupstwo*. Temu życzeniu przeszkodziły wtedy jednak

* Liskiego Akta grodzkie i ziemskie, t. VII Nr. 1.

nie dość dojrzałe jeszcze w tym kierunku stosunki konfesyjne w tym kraju; przynajmniej tak je papieżowi przedstawił zapytywany przez niego o to prowincyał Dominikanów Gerardus(!). To też wtedy skończyło się tylko na tem, że umocował Grzegorz bullą z r. 1234 zakonników reguły św. Dominika przebywających na Rusi do wypełniania tamże niektórych takich funkcyi kościelnych, które z reguły są zastrzeżone tylko biskupom*. — Pod rokiem 1253, z okazyi kanonizacyi św. Stanisława, ukazują wiadome nam już źródła dziejowe tegoż zapewne Dominikanina Gerarda jako pierwszego biskupa Rusi. — Biskupi lubuscy aż do tego czasu nie mieli najmniejszego udziału w tej propagandzie. Zdaje się jednak, że zaraz po zgonie Gerarda, który nie wiemy kiedy, ale zapewne wnet po tej kanonizacyi zaszedł, mianowicie w roku 1257 objęli oni główny nad tą sprawą kierunek. Wymogli zaś sobie to posłannictwo od stolicy apostolskiej przedstawieniem argumentu, że oni »od niepamiętnych czasów« posiadają prawo uważać kraj ruski za swą pierwotną owczarnię, któremuto twierdzeniu tam w Rzymie uwierzono. Wierzyli w to zresztą i sami ci biskupi wraz z swoim klerem, ponieważ krążyło między nimi jakoby z dawien dawna podanie, że katedra w Lubuszu nie była pierwszą katedrą tego biskupstwa; że kanonicy z swoim biskupem pierwotnie mieli siedzibę swoją gdzieś indziej — »u Galatów«. Pozytywne, do dziś dnia zachowane okazy tego wierzenia pochodzą wprawdzie dopiero z lat 1319 i 1385**; nie wątpić jednak, że z tem twierdzeniem już i około roku 1256 przed papieżem wystąpić musieli, a i jeszcze dawniej pewnie tosamo sobie i drugim opowiadali. Przez tych Galatów zdaje się, że nie rozumieli Galatów św. Pawła, lecz... Rusinów halickich. Wtedy bowiem po łacinie dość zwykle nazywano Ruś Czerwoną Galatia***. W tym sensie też widzimy i biskupa Jana Kietlicza w ustępie

---

* Liske, Akta grodzkie i ziemskie, VII Nr. 2.

** Dokument marchiona Waldemara z roku 1319 (Wohlbrück I str. 49), kończący się słowami »praesentibus Everardo et H. de Luchove, canonicis *ecclesiae quondam ad Galathas*, nunc autem Lubusanae«. — Dokument biskupa Jana Kietlicza z roku 1385 (Wohlbr. II 11): »Ecclesia Lubucensis, *quae olim in Russia sedem habebat cathedralem*, et abinde per paganos infideles expulsa et crudeliter profugata, ab antiquis temporibus quasi navis maris fluctibus usque in praesentiarum de loco ad locum vagabunda fluctuavit i t. d.

*** Między innemi widzimy to w obydwóch kronikach Szląskich, Mon. Pol. III 480 i 635. Także i u Długosza »Gallatia«, Hist. II 183.

w nocie tu przywiedzionym wykładającego przeszłość swego biskupstwa. Zarodu do tego podania o wypędzeniu przez pogan i okrutnem prześladowaniu przez niewiernych mogły dostarczyć wspomnienia z czasów przewrotu między r. 1034 a 1038; a co się tyczy tych Galatów-Rusinów, to przypuszczam, że tak jak czasu swego pierwszy arcybiskup magdeburski, nim w r. 968 otrzymał tę metropolitalną godność, za biskupa-misyonarza Rusi (Rusciae) uchodził i z tym tytułem w kronikę Diethmara jest wprowadzony, choć nie do Rusi, ale raczej na Rugię go wyprawiano*: tak też może i pierwszy lubuski biskup mógł poprzednio apostołować na Rugii, nim mu oddano tę polską dyecezyę. Jeżeli zaś nie to, to mogło zajść pomieszanie w ciągu wieków jednego z drugim, splątanie osoby pierwszego lubuskiego biskupa z pierwszym magdeburskim. W tych zaś razach obydwóch należałoby więc właściwie Rugię, słowiańską wyspę Ruję, Rujanę, uważać za ową »Ruscia«, »Galatia« — tem bardziej że nawet i w XII wieku widzimy ciągle jeszcze nazywaną Rugię mianem tamtej nazwie synonimicznem, mianem Ruthenia**.

W tym duchu musiało być przedstawione papieżowi prawo biskupów lubuskich do Rusi około r. 1256 przez Wilhelma tamtoczesnego zwierzchnika tej dyecezyi, skoro odpowiedź Alexandra VI z r. 1257, zachowana do czasów naszych, reprodukując powody tego żądania i za słuszne je uważając, przychyla się do niego i zdaje zarząd dusz pozyskanych Kościołowi w tym kraju w opiekę tego biskupstwa***.

---

* Obacz wyżej str. 212, gdzie mowa o tem, że użyty przez Diethmara wyraz Ruscia w piśmie cesarza Ottona I zastąpiony przez Rugię.

** Dwaj biografowie biskupa bamberskiego Ottona, Ebbo i Herbord, obydwaj dają tę nazwę Ruthenia wyspie Rugii, do której się rzeczony biskup dla jej nawrócenia załatwiwszy sprawę z Pomorzem wybierał, ale temu przeszkodziły uboczne okoliczności. Monum. Pol. II str. 69 i 123.

*** »Ponieważ biskupi lubuscy, poprzednicy twoi (słowa papieża do Wilhelma) zostawali za czasów swoich w posiadaniu władzy duchownej nad wszystkimi Łacinnikami na Rusi i to od niepamiętnych czasów (a tempore cujus memoria non exstitit), zatem«... Theiner, Vetera Monum. Pol. I Nr. 144. (Samo to miejsce służyćby mogło za dowód istnienia biskupstwa lubuskiego z dawien dawna; boć o fundacyi Bolesława Krzywoustego papież takby się nie wyrażał w r. 1257).

Taki jest pierwszy ślad i niewątpliwie sam początek juryzdykcyi kościelnej tych biskupów nad katolikami Rusi, bo to co dawniej być miało, było fikcyą.

Odtąd posiadali biskupi lubuscy ten charakter. Znamienną jednak jest rzeczą, że się nigdy nie tytułowali biskupami Rusi, choć na licznych dokumentach przez nich wydanych w tych już czasach nie brak. Bardzo rzadkie też są ślady ich działania w tym kraju, co już i Wohlbrück podnosi, a te co są, dotyczą błahych tylko czynności. Nieużywanie tytułu może tę miało przyczynę, że nie byłoby się to podobało margrabiom brandenburskim.

Po przyłączeniu już Rusi Czerwonej do Polski, Kazimierz W. pojmował, że ta lubuska opieka nad nią w religijnych rzeczach nie wystarcza. Zaczął się od Stolicy apostolskiej domagać założenia samoistnego łacińskiego biskupstwa, a to we Lwowie, już w r. 1362*. Nie dożył skutku tych starań, dopiero bowiem za Ludwika węgierskiego nastąpiło w r. 1375 założenie arcybiskupstwa w Haliczu i trzech łacińskich biskupstw ruskich, w Przemyślu, Chełmie i Włodzimirzu przez papieża Grzegorza XI**. Biskup lubuski tamtoczesny Henryk II, a po nim i Piotr, czynili co tylko mogli, żeby do tego nie dopuścić. Przedstawiali, że na Rusi niema nad czem zaprowadzać osobnych biskupstw. Wystawiali sobie sami w ten sposób świadectwo nieudolności. Papież też wcale nie zważał na te zabiegi***. Jeszcze nawet i po założeniu tych biskupstw nieraz tak sobie poczynali, jak gdyby ciągle trwało ich prawo mieszania się w zarząd kościelny nad Rusią. Powoli i to ustało z czasem.

Dobra kazimirskie sprzedał biskup Dietrich von Bülau za 20.000 zł. Mikołajowi Lubrańskiemu, bratu Jana Lubrańskiego biskupa pozn. Stało się to kiedyś przed rokiem 1520****. Opatowskie majętności przeszły w roku 1518 za takąż sumę w ręce kanclerza Krzyszt. Szydłowieckiego. Szląskie włości, które także były dość

---

* Odpowiedź Urbana V z r. 1363 z powodu tego kroku króla polskiego do arcybiskupa gnieźń. Jarosława w Kod. WPol. Nr. 1492.

** Bulla erekcyjna arcybiskupstwa Halickiego z roku 1375 u Theinera, Vetera Monum. Pol. I str. 713. Cf. Janko z Czarnkowa, Mon. Pol. II 664.

*** Pismo Grzegorza XI z r. 1372 i 1375, Theiner I str. 675 i 713. Cf. Wohlbr. Gesch. d. Bisth. Lebus, II str. 83 i dalsze.

**** Wohlbrück II str. 413. Lib. Benef. Łaskiego I 209 i 233. (Wohlbrück nie wiedział, kto je nabył).

znaczne, wyszły z posiadania biskupstwa, także sprzedażą, w r. 1553 za rządów Jana v. Horneburg. Właściwe w ziemi Lubuskiej uposażenie podległo konfiskacie rządowej w r. 1555. W taki sposób, że po zgonie tego biskupa Jana w tym roku, nakazał kapitule tamtoczesny margrabia wybrać na jego następcę swego wtedy 10 letniego wnuka, dla pozoru już wtedy noszącego tonzurę, a ten, połączywszy z tem biskupstwem niedługo potem i Hawelberskie, a w roku 1566 nawet i Magdeburskie arcybiskupstwo (choć wcale księdzem nie był, ani też katolikiem), kiedy został panującym margrabią w r. 1598, połączył te wszystkie dobra kościelne z rządowemi. Nazywał się Joachim Fryderyk.

---

7. O biskupstwie Płockiem stan wiadomości naszych na punkcie pytania, kiedy powstało i kto jego założycielem, jest taki, że nawet rozważywszy wszystko, co w ostatnich czasach o tem popisano, do wystąpienia z kategorycznem twierdzeniem jak się rzecz miała — daleko, a poprzestać najbezpieczniej tylko na przypuszczeniu.

Faktem pewnym jest tylko to, że w pierwszych latach panowania Bolesława Krzywoustego istniało już to biskupstwo. Stwierdza to współczesna kronika Galla*. Od kiedy istniało? — o tem ani od tego pisarza ani od Kadłubka nie dowiadujemy się. Dopiero Baszko w pierwszej połowie dzieła swego, pisanej za Przemysława II, więc pod koniec XIII stulecia, donosi (Mon. Pol. II str. 482), co o tem rozumiano za jego czasów. Widziano w niem fundacyę Bolesława Chrobrego. Ponieważ w każdym razie jest to już stosunkowo późna wiadomość, a co gorsza tak przez kronikarza podana, że tłómacząc ją w zwykły przyjęty sposób, nie na całe to miejsce godzić się można: z tej przyczyny nie ma ta opinia sfer kościelnych owego czasu powagi źródłowego powiadomienia.

Naruszewicz jej nie przyjął i wolał fundatora biskupstwa płockiego upatrywać w Kazimierzu I. To zapatrywanie długo się po

---

* Opisując wtargnięcie pewnej hordy Pomorzan aż na Mazowsze, fakt powszechnie odnoszony do roku 1109, wspomina przy tej sposobności Gallus (Mon. Pol. I 459) o biskupie tamtejszym Szymonie i otaczającem go duchowieństwie. Tegoż Szymona wymienia i w drugiem miejscu, między biskupami, którym pierwszą księgę swej kroniki przypisał (str. 391).

nim utrzymywało. W moim artykule o biskupstwach w roku 1875 pisanym nie poszedłem za tem zdaniem. Z uwagi na powyższe miejsce u Baszka, z uwagi że gdyby Kazimierzomi przypadała ta zasługa, nie byłby pewnie Gallus o niej przemilczał, z uwagi wreszcie że jeżeli misyjne biskupstwa dla nawrócenia Lutyków i Pomorzan przypisuję Chrobremu, to trudno mi pojąć, jakby mógł był własną prowincyę, rdzennie polskie Mazowsze, pozostawić bez pasterskiej opieki: wskazałem na tego króla jako założyciela płockiej dyecezyi. — Temu zdaniu, co prawda nie popartemu pozytywnymi dowodami, ani nawet kombinacyami, jakie w obronie dawności kruszwickiego i lubuskiego biskupstwa rozwinąć można — zaprzeczyli dalsi badacze tej kwestyi. Jednozgodnie obstają przy twierdzeniu, że wprowadził w życie biskupstwo płockie dopiero legaci Grzegorza VII w roku 1075 lub 1076, za rządów Bolesława Śmiałego specyalnie dla pomnożenia liczby biskupstw przysłani do Polski. — Otóż wobec tej ich jednomyślności ustępuję i przyjmuję tę hypotezę. Przyznaję, że ma ona niejednę okoliczność przemawiającą za swem podobieństwem do prawdy, jakkolwiek nie uchyla innych trudności.

Taką trudnością n. p. jest pytanie, jak się z Mazowszem miała rzecz pod kościelnym względem przed założeniem osobnego tam biskupstwa w roku 1075? Do jakiej należało dyecezyi — do gnieźnieńskiej czy do poznańskiej? Jedni widzą w niem obszar pierwszej, drudzy część składową drugiej, a i jedno i drugie grzęźnie w poważnych wątpliwościach, uwzględniając dalszy potem stan rzeczy, a niemniej i tę okoliczność, że w owej zawierusze społeczno-religijnej po ustąpieniu Ryksy z kraju, Mazowsze tworzyło względnie najspokojniejszą przystań w kraju, jak to opowiada Gallus*. — Lecz dajmy pokój tym pytaniom, bo ich nigdy nie rozwiążemy.

Dawny katalog biskupów płockich, prowadzony przez duchowieństwo miejscowe w przeddługoszowych czasach, nie dochował

---

* Mon. Pol. I 416: W tych ciężkich czasach, mówi ten kronikarz, illi qui de manibus hostium evadebant, vel qui suorum seditionem devitabant, ultra fluvium Wysla in Mazoviam fugiebant.

się do dni naszych. Na jego podstawie spisał Długosz swoje Żywoty tych biskupów, które doprowadził aż do roku 1478 i w tym je roku ukończył. To dzieło jego, prócz samej tylko przedmowy, zwróconej jako dedykacya do księcia mazowieckiego Kazimierza jako tamtoczesnego biskupa, także przepadło. Pozostał jednak wyciąg z niego, uskuteczniony w początku XVII wieku przez ks. Wawrzyńca ze Wszercza, który był penitencyarzem katedry płockiej i w późnym wieku życie zakończył (r. 1614). Odszukał manuskrypt ten w roku 1885 Dr. Kętrzyński w zbiorach pewnego parafialnego kościoła w Mazowszu i ogłosił go drukiem w tomie VI Monumentów Poloniae. Za pośrednictwem tych więc pism, Długosza i Wawrzyńca ze Wszercza, możemy sobie jasne utworzyć wyobrażenie o dawnym miejscowym Katalogu. Poczynał on spis biskupów płockich obyczajem tamtoczesnym od r. 966 i zapełnił czas od tego roku 966 do 1087 imionami biskupów włoskiego pochodzenia, których być miało sześciu. Siódmym biskupem miał być już Polak imieniem Stefan, a jego następcą Filip z rodu Doliwów. Po Filipie dopiero następuje Szymon, współczesny Gallowi i znany temu kronikarzowi, pierwszy zatem historycznie poświadczony biskup płocki, obłożony tu datami czasu 1107—1129, przeciw którym ze stanowiska dziejowego niema nic do zarzucenia. Co sądzić o Stefanie, Filipie i ich włoskich poprzednikach, czy to imiona bodaj w części rzeczywiste, czy wszystkie zmyślone? i czy mają jaką wartość daty chronologiczne, podłożone ich rządom? — o tem w obecnym stanie źródeł nic się nie da powiedzieć. Dalszy szereg od Szymona począwszy, jest zgodny z historyczną prawdą, ale szczegóły dodawane do tych imion pod względem narodowego i rodowego ich pochodzenia nie ze wszystkiem zasługują na wiarę. Tak n. p. czytamy o Alexandrze (1129—1156), następcy Szymona, że to był Polak, z rodu Dołęga. A tymczasem donosi nam uboczne i postronne, ale wiarogodne źródło*, że pochodził z leodyjskiej dyecezyi i był bratem rodzonym biskupa wrocławskiego Waltera (1149—1169), o którego pochodzeniu Długosz nic nie umiał powiedzieć, to jedno tylko podając, że odbywał studya swoje w Paryżu**. Obydwaj bracia ci pozostawili po sobie pamięć

---

* Obacz w czasopiśmie »Revue Benedictine« z roku 1891 Nr. 3, artykuł »Une colonie de moines Liegeois en Pologne au XII siècle«.

** Długosza Dzieł T. I str. 456.

w przebudowie katedr, które zastawszy drewniane i ciasne, przekształcili na murowane i wspanialszych rozmiarów. Poświęcenie płockiego katedralnego kościoła miało być dokonane r. 1144*.

Uposażenie biskupstwa płockiego przedstawia nam dość dokładnie zabytek, odszukany w Płocku przez Dr. Kętrzyńskiego i zamieszczony w tomie V Monumentów Poloniae, p. t. Castellaniae ecclesiae plocensis: inwentarz dóbr i dochodów biskupich, a po części i kapitulnych, spisany zdaniem mojem za rządów biskupa Guntera (1227—1232) i reprezentujący tamtoczesny stan rzeczy.

---

8. Pozostaje nam jeszcze określić tutaj jak najbliżej czas fundacyi Wolińskiego biskupstwa, a raczej podać przyczynę, dlaczego chwilę postanowienia i wytyczenia granic tej dyecezyi stawiam już pod rokiem 1124.

W dziele ks. Bulińskiego słusznie okazano początek tej dyecezyi w związku z nawróceniem Pomorza dokonanem za rządów Bolesława Krzywoustego przez Ottona, bamberskiego biskupa; nie powiedziano wszakże, w którym roku to zaszło, a prócz tego i w tem chybiono, że widzi autor w osobie tego Ottona założyciela rzeczonego biskupstwa. Założycielem był panujący książę polski Bolesław Krzywousty, a z nim razem i Warcisław, ówczesny podbity przez Polaków książę owej części Pomorza, w której miasto Wolin, nazywane także Julinem, to jest stolica powstającej dyecezyi, leżało. Otto bamberski miał zaś tyle w tem tylko udziału, że przez swoję apostolską w tamte strony wyprawę oczyścił pole z bałwochwalczego kąkolu i uczynił możliwem założenie biskupstwa.

Aby oznaczyć rok założenia, trzeba zestawić następujące wypadki. Apostolska praca biskupa bamberskiego na Pomorzu trwała od wiosny roku 1124 do miesiąca lutego r. 1125. Postępowała od pierwszej zaraz chwili stosunkowo z pomyślnym skutkiem. To spowodowało Bolesława Krzywoustego znieść się już w ciągu r. 1124 ze stolicą apostolską w sprawie założyć się tam mającego biskupstwa. Zjechał w tym celu do Polski legat papieski, biskup tuskulański kardynał Idzi, i ustanowił razem z Bolesławem naszym

---

* Rocznik płocki, Mon. Pol. III str. 119.

granicę powstać mającego biskupstwa. A ponieważ terrytoryum to całe należało aż do owego czasu (tytularnie wprawdzie tylko) do biskupstwa kruszwickiego, jakeśmy to już okazali powyżej: trzeba było przeto orzec i o tej dyecezyi granicach, mianowicie w jej zetknięciu z nowem biskupstwem. Z obydwóch zadań wywiązał się kardynał Idzi, jak to stwierdziła później mimochodem bulla Eugeniusza III z r. 1148 dla biskupa włocławskiego Warnera, w której Eugeni Warnerowi dobra i dochody jego biskupie poręcza i dyecezyę jego bierze w Piotra św. protekcyę (nie zaś »granice dyecezyalne zatwierdza«, jak to mniej bacznie powiedziano w Monum. Pol. t. II str. 13). Co się tyczy czasu, kiedy odbywał tę czynność w Polsce rzeczony legat: mamy tylko do wyboru rok 1124 albo 1125. Zdaniem mojem przechylić się tylko można do roku 1124: raz dlatego, że zjechał Idzi do Polski w charakterze »legata papieża Kaliksta II« (który zszedł ze świata jeszcze roku 1124 dnia 13 grudnia), a dowiadujemy się o tym charakterze Idziego z dokumentu zamieszczonego jako Nr. I w Dyplomataryuszu Tynieckim, któryto dokument choć sfałszowany, ubocznie opiera się niezawodnie na faktach zgodnych z historyą; okrom tego przechylamy się do r. 1124 i z tej przyczyny, że kiedy w lutym r. 1125 Otto biskup bamberski z Pomorza przez Polskę do domu wracał: była już mowa wtedy między nim a Krzywoustym o biskupstwie wolińskiem jako mającem wnijść w życie, a nawet i o osobie wyznaczyć się mającej na biskupa tej dyecezyi*. Jeżeli więc rozgraniczał obszary dyecezyalne tych biskupstw legat Kalixta (a nie Honoryusza II, jego następcy), i w lutym roku 1125 rzecz była już faktem postanowionym, więc tymczasowe spełnienie tego zadania przypada na rok 1124.

Pierwszym biskupem wolińskim został Wojciech, kapelan nadworny Krzywoustego i jeden z towarzyszów przydanych Ottonowi bamberskiemu do pomocy w czasie tej jego pomorskiej misyi. Już pod rokiem 1125 pisze o dezygnacyi tej Herbord. Sakrę biskupią otrzymał Wojciech jednakże dopiero od papieża Innocentego II, który na stolicę wstąpił w r. 1130 — a zatem nie rychlej ją otrzymał, jak w tym dopiero roku albo w jednym z następnych. Daje on sam wiedzieć nam o tem w przywileju przez siebie kla-

---

* Herbord, Vita Ottonis, Mon. Pol. II str. 100.

sztorowi pewnemu wystawionym w późniejszym czasie*. Zachowała się i bulla Innocentego z roku 1140, mocą której papież ten poświęconego już dawniej na biskupa Wojciecha, wraz z całą wolińską dyecezyą, przyjmuje pod swoję protekcyę i na wszystkie dochody biskupie rękojemstwo swoje rozciąga**.

Tak więc cała historya początku dyecezyi wolińskiej obejmuje następujące momenta: w roku 1124 postanowienie fundacyi, wytyczenie jej granic i zbudowanie katedry w Wolinie pod wezwaniem św. Piotra***); w r. 1125 dezygnowanie pierwszego biskupa; około r. 1131 jego konsekracya; a nakoniec w roku 1140 (przy poczynających się zawieruchach z powodu zgonu Bolesława Krzywoustego) poręczenie papieskie całego jego wyposażenia.

* Mon. Pol. II str. 19: dyplomat z r. 1153.

** W tymże tomie Monum. str. 19 w nocie.

*** Herbord, Mon. Pol. II str. 97.

KLASZTORY W POLSCE

W OBRĘBIE WIEKÓW ŚREDNICH*.

Przy całej różnorodności zakładów wychowawczych, na jakie się kraj nasz zdobył przed upływem XIV stulecia (nie licząc w to wszelako Kazimierzowskiej akademii w Krakowie), sprowadzić je można wszystkie do trzech następujących głównych odcieni: szkoły katedralne, parafialne (po miastach, a później i wsiach niektórych), nakoniec klasztorne. Katedralne szkoły pojawiły się najpierw. Miejskie parafialne szkoły miały się do nich jako niższe zakłady, wzięły jednak początek znacznie później dopiero. Wcześniej zato od parafialnych zaczęły się zagęszczać szkoły klasztorne, których początek w Polsce prawie równie będzie dawny, jak i samych klasztorów, te zaś zjawiać się na ziemi naszej poczynają prawie razem z religią chrześcijańską. Jeszcze za panowania Mieszka I poczęły, ile wnosić możemy, istnienie swoje najdawniejsze nasze klasztory; należało do nich zgromadzenie Benedyktynów w Międzyrzeczu (wielkopolskim), a może i klasztor w Trzemesznie. Za Bolesława Chrobrego ilość fundacyi takich wzrosła już znacznie, w dalszych zaś czasach rozszerzyły się instytucye zakonne w najrozmaitszych swoich odcieniach po całym kraju w tak nadzwyczajnych rozmiarach, że w epoce przed założeniem akademii krakowskiej uznać w nich należy jeden z najważniejszych, jeżeli nie wprost najważniejszy właśnie ze wszystkich czynnik oświaty i cywilizacyi w naszym narodzie. Szkoły klasztorne, jeżeli je weźmiemy w całej ogólnej ich masie — z osobna bowiem mierzyć się one stanowiskiem naukowem pewnie nie mogły z ka-

---

* Rzecz pisana w r. 1875, drukowana w Przewodniku naukowym i literackim z tegoż roku, obecnie pomnożona licznymi dodatkami.

tedralnemi — zacieniają w średnich wiekach bezwarunkowo całą działalność reszty naszych zakładów edukacyjnych i już dla tej jednej przyczyny (gdyby nie było nawet i innych do tego jeszcze powodów) warto podjąć szczegółowe rozpatrzenie stosunków związanych z ich egzystencyą.

Zupełnie zdaniem mojem niepotrzebnie zadawał sobie autor Historyi szkół w Polsce i Litwie trud dochodzenia, które z reguł zakonnych zasłużyć się mogły w pierwszych wiekach historycznego bytu Polski około rozszerzenia oświaty w szerszych sferach społeczeństwa narodowego, utrzymując z obowiązku, to jest na mocy statutu swojego, szkoły przystępne dla wszelkiej młodzieży, niekoniecznie tylko klasztornej — a które tej zasługi nie położyły, ponieważ nie miały przed sobą tego zadania i ograniczały się do kształcenia samych tylko członków grona swojego. Za zakon pożyteczny w tej mierze poczytał Łukaszewicz prawie samych tylko Benedyktynów, a inne reguły po największej części wykluczył od tej zasługi, ponieważ u tychże (z wyjątkiem chyba Kanoników regularnych) jeżeli udzielano nauk młodzieży, to tylko własnej, klasztornej. Mnie się zdaje, że z tego punktu widzenia nie należałoby rzeczy oceniać. Zapatrywanie takie mogłoby być słusznem w późniejszych dopiero czasach. Kiedy się ma do czynienia z pierwszymi dziejów naszych wiekami, obojętną to jest rzeczą, czy przy którym klasztorze kwitnęła szkoła publiczna, czy tylko taka że tak powiem wewnętrzna; a nawet nie pozbawiałoby to klasztoru zasługi, o jaką tu chodzi, gdyby i żadnej szkoły nie utrzymywał. Klasztory w tamtych stuleciach już same przez się były ogniskami życia umysłowego i że użyję tego wyrazu, szkołami dla całego ogółu (niekoniecznie młodocianej) okolicznej ludności; były zaś niemi nie przez udzielaną naukę, lecz przez sam fakt bytu i ustroju swojego, przez sam okaz tego w murach swoich ducha zwróconego ku rzeczom wyższym i tego działania w kierunku nie samych tylko potrzeb doczesnych, z którem nie miał nic wspólnego stan rzeczy tamtoczesny po za gronem zakonnem. Cokolwiekby kto rozumiał o użyteczności dzisiejszych instytucyi zakonnych, pozostanie w każdym razie prawdziwem, że w tamtej początkowej epoce każdy klasztor bez różnicy czem się przeważnie trudnił i z jakich pierwiastków się składał, stanowił na całą okolicę potężną dźwignię usiłowań, dzięki którym przetwarzało się powoli społeczeństwo jeszcze surowe w żywioł przesiąknięty idealniejszą dążnością, jakimś

prądem uzacniającym te nieokiełznane instynkta samorodne i wiodącym do postępu, bodaj na razie materyalnego. Były pomiędzy zakonami i takie, których zadanie prócz religijnych praktyk polegało przez kilka wieków głównie na tem, żeby n. p. zaprowadzać i utrzymywać na wydzielonych sobie obszarach wzorowe gospodarstwo rolnicze, karczować lasy, osuszać bagna, przestrzenie przedtem do niczego niezdatne zamieniać w urodzajną, miodem i mlekiem płynącą okolicę, obsiewać glebę kulturze dopiero pozyskaną ziarnem nieraz jeszcze w kraju nieznanem, urządzać na niej coraz nowe osady, z których później wsi, nieraz miasta znaczne się wytwarzały, zakładać po włościach swoich sady, ogrody, a gdzie położenie miejscowości było po temu, nawet winnice, po których dziś przy zmienionych klimatycznych stosunkach nie pozostało ni śladu i których wspomnienie utrzymuje się w samych już tylko nazwiskach miejscowości; pielęgnować na gruntach swoich warzywa, jarzyny, rośliny pastewne, kwiaty, drzewa owocowe wybornego gatunku, o jakich przedtem w całej okolicy mowy nie było; zakładać w obejściu swojem budynki z materyału, który w potrzebie mógł się oprzeć i zbrojnej nieprzyjacielskiej napaści; utrzymywać w nich najrozmaitsze własne warsztaty rękodzielnicze; wystawiać nakoniec przy szczodrobliwości dobrodziejów zakonu świątynie, jakim podobnych na kilkanaście mil w okół nie widziała jeszcze ludność miejscowa. Takimto zakonem byli przedewszystkiem Cystersi, instytucya najprzeciwniejsza dzisiejszym naszym wyobrażeniom, bo z samej zasady swojej najzupełniej obojętna dla otaczającego ją świata, wyrzekająca się bliższego z ludźmi zetknięcia, nie przypuszczająca krajowców do nowicyatu swojego, co się zowie ascetyczna, pustelnicza, nieużyta, samolubna, żyjąca tylko dla siebie, dla swego oderwanego ideału wewnętrznej, indywidualnej, mniszej doskonałości, a niewdzięczna dla ziemi, której sokami się pasła — a przecież mimo tego wszystkiego, w ówczesnych stosunkach, wbrew wiedzy i woli swojej niezmiernie pożyteczna dla kraju, gdyż mu wszczepiała bądź co bądź wyobrażenia, przechodzące poziom jego tradycyjnych potrzeb i środków uczynienia im zadość. Nawet Cystersi zatem położyli niezaprzeczoną zasługę około postępu społeczeństwa naszego. A cóż dopiero powiedzieć o takich zgromadzeniach, które wolne od wyłączności tego zakonu, miały więcej idealne cele przed sobą? Co powiedzieć o zakonach, które

jak Benedyktyni, Premonstratensi i t. d. nie tylko materyalną kulturę, ale i oświatę duchową w tym narodzie szerzyły*.

Czy przeto poszczególne zgromadzenia zakonne zajmowały się i szkolnictwem, czy nie — czy kształciły w murach swoich samę tylko własną młodzież klasztorną, czy i taką, która do nich przybywała bez zamiaru wnijścia w ich grono: nie stanowiło to wtedy wielkiej różnicy. Wiadomo przecież, że w wiekach średnich w rzadkich tylko razach oddawali się naukom i świeccy ludzie, a cały normalny zastęp ludzi światłych zamykał się w stanie duchownym. Duchowieństwo świeckie, po parafiach rozsiane, albo też

---

* Niech mi tu będzie wolno zwrócić czytelnika uwagę na okoliczność, która z pozoru zdawać się może uboczną, w rzeczywistości jednak wiąże się jak najściślej z przedmiotem tu poruszonym. Jeżelibyśmy zadali sobie pytanie, jaka też część płodów gruntu naszego stanowi naszą własność odwieczną, a cośmy z nich dopiero w ciągu przewodu dziejowego przyswoili sobie z zagranicy: to okazałyby się rezultaty, które niejednego zadziwią. Co się tyczy pospolitych naszych drzew leśnych, krzewów i zielsk, które sama ziemia wydaje, to takowe mogły wprawdzie być już w pierwotnym stanie kultury tesame prawie co dzisiaj. Tosamo rozumieć trzeba i o zbożach, których prawie wszystkie gatunki — z wyjątkiem chyba takich znacznie już później do nas przybyłych, jak tatarka czyli hreczka, kukurydza czyli turecka pszenica, wyka (Wicke) itp. — stanowią z dawien dawna własny słowiański kontyngent. Ale jakim się ten stosunek okaże, jeżeli go n. p. zastosujemy do jarzyn i ogrodowizn? Z tych, po skrupulatnem obliczeniu wszystkiego, przypadnie bardzo tylko niewielka ilość na naszą stronę, a cała w ogromnej większości reszta okazuje się przyniesionym z Włoch lub też Niemiec nabytkiem.

Podobny stosunek okazałby się, gdybyśmy zaczęli dociekać, które z kwiatów ogrodowych są nasze własne od wieków, a które dopiero przyswojone. Pod względem liczby przeważyłaby może cała litania takich, jak stokrotki, bławatki, pierwiosnki (czyli jak je w W. Polsce nazywają kluczyki), słonecznik, głóg, gwoździk, rozchodnik, macierzanka i całe tuziny podobnych; ale prawdziwa arystokracya w tem państwie Fauny: róże, lilie, rozmaryn, ruta nawet, tak popularna w pieśniach ludowych, i nieskończony szereg dalszych podobnych gatunków, są to wszystko przybysze dopiero z krajów dalekich. Taksamo się zaś rzecz ma i w świecie owocowym, mianowicie w zakresie uszlachetnionych rodzajów, boć główny zastęp prototypowych drzew takich, jak grusza, jabłoń, śliwa i t. d. zaludniał sady i pogańskich już antenatów tutejszych.

Owoż godzi się zapytać, od kiedy produkuje to wszystko i ziemia nasza? kto to do nas sprowadził? kto pierwszy to pielęgnował i rozpowszechnił? Niewątpliwie główna zasługa w tej mierze przynależy zgromadzeniom zakonnym i to właśnie już najrychlejszym, między którymi Benedyktyni i Cystersi pierwszą stanowią pozycyę.

piastujące wyższe dostojeństwa kościelne, miało po otrzymanem wychowaniu i wyświęceniu kapłańskiem więcej żywotne i praktyczne cele przed sobą. Właściwy zawód uczony przywiązany był z samej natury rzeczy głównie więc do tych murów klasztornych, które pomimo całej różnicy stosunków zastępowały w tamtym czasie swoim współczesnym wszystkie owe dźwignie oświaty, za jakie nam dziś służą biblioteki, drukarnie, księgarnie, pracownie artystów i literatów z powołania, tworzących postęp wiedzy i rozpowszechnianie takowej. Jeżeli gdzie w społeczeństwie ówczesnem, z dołu do góry oddanem tylko potocznym swoim zajęciom, zajęciom około roli, rzemiosł, żołnierki, życia politycznego i t. d. trudniono się naukami w głębszem tego słowa znaczeniu, jeżeli gdzie nagromadzano środki do tego niezbędne: to po klasztorach przedewszystkiem, gdzie sam kanoniczny statut zakonny zobowiązywał zdolniejszych członków zgromadzenia nie do samych tylko modlitw i religijnych praktyk, ale także i do zajmowania się naukami, a nadewszystko do skrzętnego przepisywania dzieł uczonych i pożytecznych. Przepisywanie dzieł autorów, tak starożytnych jak i współczesnych, było przeto w wiekach średnich głównie zadaniem zakonników: i nie chodziło tu bynajmniej o samo tylko zaopatrywanie w nowe nabytki własnej swojej biblioteki, bez której się nie obywała ani jedna taka klasztorna osada, ale i o odwdzięczanie się tymi pracy zbiorowej płodami za łaski doznane ze strony różnych osób poza murami klasztoru, a zatem o obdarzanie niemi dobrodziejów zakonu. Z polic klasztornychto księgozbiorów szły przedewszystkiem przeto owe wytworne, tak mozolnie najczęściej wykonane folianty do komnat biskupów, książąt i panów, za tych zaś pośrednictwem, w kraj dalszy. I gdyby nie te tak ciche, tak na pozór mechaniczne, tak po dziś dzień w części zapomniane, w części lekceważone »benedyktyńskie« zajęcia: nie miałby świat tegoczesny ani dziesiątej części tych arcydzieł starożytnej literatury, nad któremi się rozkoszujemy nie pytając wcale o to, komu głównie zawdzięczamy ich ocalenie. Połowa zabytków średniowiecznego piśmiennictwa, z których mimo całą ich naiwność i nieraz nieudolność autorską, czerpać musimy obecnie całą naszą wiedzę dziejową, albo w tychto murach powstała albo dzięki tamtejszym głównie odpisom dochowała się do dni naszych. Że w ogóle w zawierusze barbarzyńskich przewrotów, na jakie kraj nasz wskutek samego położenia swojego tak często był wystawiony, nie utonęła nawet pamięć tego wszy-

stkiego w powodzi czasu: to mamy zaprawdę do zawdzięczenia przedewszystkiem zakonnym instytucyom.

Społeczeństwo polskie od pierwszej chwili pojmowało całą tę tak różnostronną ważność zakonów. Szczodrobliwość królów, książąt, biskupów, panów i nawet niższych warstw towarzyskich dosięgała w tym kierunku rozmiarów, że je tylko podziwiać można. Nie uprzytomniwszy sobie jasno pobudek i celów, o które tutaj chodziło, łatwoby można poczytać tę tak prawdziwie książęcą hojność przodków naszych nawet za oznakę przesadnej dewocyi. I ani wątpić, że względy religijne stanowiły tu główną podnietę działania; ale przecież pojmowano samym instynktem, że się przez to fundowanie klasztorów i inne jeszcze cele osięga. I dlategoto potrafiła się instytucya zakonna, w najrozmaitszych swoich odcieniach, w przeciągu niewielu wieków, rozszerzyć w Polsce i przyjść w posiadanie zasobów, o jakich dzisiaj zaledwie ten lub ów dokładne tworzy sobie wyobrażenie. Poprzestajemy bowiem zazwyczaj na ogólnej wiadomości, żeśmy mieli bardzo liczne i bardzo rozmaitych reguł klasztory: ale wglądnąć w sprawę tę głębiej i z właściwego stanowiska, o tem rzadko się myśli.

Nie jest wprawdzie i mojem także zadaniem podejmować kwestyę tę tutaj z dokładnością monograficzną; poprzestać jednak na szczegółach w zwykłym obiegu o tem będących dzisiejszemu pisarzowi niewolno. Zamierzam zatem w artykule niniejszym roztrząsnąć baczniej bodaj kilka ważniejszych względów z materyą tą powiązanych, a mianowicie wdać się nieco w historyę zakonów w Polsce aż po koniec XV stulecia, ażeby wykazać, które z nich szczególniej się tu potrafiły rozszerzyć i w którym czasie która reguła u nas największej używała wziętości, niemniej w jakiej kolei zgromadzenia te przybywały siać swój posiew na gruncie polskim i z jakim skutkiem na nim względnie do drugich reguł działały. Będę mówił, jak się samo rozumie, tylko o zakonach najwięcej w kraju naszym rozpowszechnionych, w granicach średniowiekowej epoki. Takie reguły zakonne, które albo dopiero później, albo wcale nie przyszły u nas do szerszego rozpowszechnienia, jak np. zakon Kamedułów, św. Brygidy, Trynitarzy, Kanoników św. Ducha de Saxia czyli tak zw. Duchaków i wiele tym podobnych, pominę

milczeniem. Tych wpływ cywilizacyjny bowiem na społeczeństwo nasze dla samej już ich nieliczności nie mógł być tyle rozległy, zwłaszcza pod względem naukowej oświaty.

I. NAJDAWNIEJSZE ZAKONY.

Benedyktyni.

Najpierwszy zakon, który do Polski wkrótce po przyjęciu religii chrześcijańskiej zawitał, byli to Benedyktyni, reguła zakonna wtedy prym niezaprzeczony dzierżąca w całym świecie zachodnim*.

Twórcą organizacyi benedyktyńskiej był św. Benedykt z Nursyi w roku 528, a miejscem jej przeprowadzenia Monte Cassino w południowych Włoszech, skąd dopiero rozszerzyło się to zgromadzenie po wszystkich katolickich narodach. Mając na oku obok religijnych praktyk i szerzenie oświaty, a głównie sprawę wychowywania młodzieży, nie tylko własnej klasztornej, ale i świeckiej, położył zakon Benedyktyński wszędzie, gdzie tylko istniał, niezapomniane zasługi. On to też najwięcej się do tego przyczynił, że w zamęcie barbarzyństwa średniowiecznego intellektualne zdobycze starożytności nie zmarniały do szczętu: zajmowali się bowiem Benedyktyni, zwłaszcza dawniejsi, więcej niż jakikolwiek inny zakon umiejętnem przepisywaniem klasyków w sposób powyżej już określony. — W postępie czasu reguła ta jednakże uległa prawu,

---

* Do historyi Benedyktynów w Polsce mamy dzieła nast. Wojciecha Płockiego Błogosławieństwo Zakonu św. Benedykta. Kraków 1623. — Jana Węgrzynkowica Posag... zakonu św. Benedykta. Jarosław 1623. — Stanisława Szczygielskiego, niegdyś Opata Ben. w Trokach: Aquila Polono-benedictina. Kraków 1663; Series et notitia Trocensium Abbatum O. S. B. Kraków 1668; Tinecia (o Tynieckiem opactwie) Kraków 1668. — Izydora Schwartza Congregatio Benedictino-polona abbatum, praelatorum et monachorum per utramque Poloniam. 1774. (Z tych wszystkich książek mało pożytku, bo polegają na dokumentach częstokroć fałszowanych i pisane są bez krytyki). — X. J. Gackiego zato ważne są monografie: o Klasztorze w Sieciechowie, Radom 1872, i o Klasztorze Świętokrzyskim na Łysej Górze, Warszawa 1873. — Bruno Albers: Zur Geschichte des Benedictiner-Ordens in Polen, w Berneńskich Studien und Mittheilungen aus dem Ben. Orden, II zeszyt z roku 1894.

które się stwierdza w historyi każdej instytucyi na świecie, że im bliżej źródła, tem większa gorliwość w usługach celom, które im dały początek, im zaś dalej od pierwszego zawiązku, tem obojętniejsza dbałość o właściwą istotę rzeczy. I benedyktyńskie więc zgromadzenia zaczęły z czasem odbiegać od tradycyi swego założyciela, zwolniały w rygorze przepisanym, okazywały coraz jawniej, że duch pierwotny ulatuje z tej instytucyi. To dało powód, że się z tej reguły wytworzyły później różne osobne odcienie, już przybierające nowe dla siebie nazwy i odrębności, które im dały pozór samoistnych, nowo powstających zakonów (takimi n. p. byli Kameduli i Cystersi), już pozostające przy nazwaniu i przy formie pierwotnej, lecz obostrzające ścisłość reguły na nowo, na podstawie przedsięwziętej radykalnej reformy. Takim właśnie odrodzonym odłamem podupadłej tej instytucyi byli kluniaccy Benedyktyni, osiadli przedewszystkiem w Clugny we Francyi, a następnie i po innych miejscach Europy zachodniej, które wszystkie nazywały się kluniackiemi filiami, ponieważ reforma rzeczona tam najpierw przeprowadzoną została, co zaszło jeszcze w wieku X.

Z tegoto gniazda pośrednio wyszli i nasi Benedyktyni, sprowadzeni jeszcze za Mieczysława I do Międzyrzecza, a za Bolesława Chrobrego także do Tyńca, jakkolwiek pod względem tego tynieckiego opactwa zachodzą różne jeszcze wątpliwości, które niżej poruszę. Opactwo Międzyrzeckie zdaje się, że jeszcze w ciągu wieków średnich upadło: przynajmniej tracimy z oczu wszelkie ślady dalszego jego istnienia*. Trzemeszno przeszło później w posiadanie zakonników innej reguły. Tyniecki klasztor utrzymał się zato aż do ostatnich czasów, wysyłał z grona swego coraz nowe osady w miejsca, gdzie się dla tej reguły nadarzały nowe fundacye, i potrafił przyjść do majątku, z jakim się mierzyć już nie mogło żadne drugie w Polsce jakiejkolwiek reguły zgromadzenie zakonne. (»Abbas centum villarum«).

Benedyktyni utrzymali się w Polsce przy górującej nad innymi zakonami wziętości nie dłużej, jak tylko do drugiej połowy XII stulecia. W tym tylko przeciągu czasu najdzielniejszą musiała być i uchodziła za taką użyteczność Benedyktynów w tem społeczeń-

* Łukaszewicz w Opisie hist. kościołów w dyec. pozn. nic zgoła o Benedyktynach w Międzyrzeczu powiedzieć już nie potrafił — w braku źródeł dziejowych, któreby o nich mówiły.

stwie. Osięgnąwszy silną materyalną podstawę, bogate w ziemskich dobrach uposażenie, prawa i przywileje daleko sięgające — rozgospodarzeni w kilku po całym kraju rozrzuconych opactwach i dość licznych tak męskich, jak i żeńskich mniejszych konwentach, dali się oni później prześcignąć innym regułom; wskutek czego, zasypiając na laurach zdobytych, zatrzymali wprawdzie i nadal, co mieli już w rękach, ale od tego czasu przestali się prawie zupełnie szerzyć już dalej. W niektórych swoich osadach doczekali się nawet niezadługo po przybyciu swojem do nich albo bezwarunkowej kasaty albo przeniesienia do innych miejsc — a klasztory ich dostawały się w posiadanie innym zakonom.

Habit nosili Benedyktyni czarny. Lubili się osiedlać po miejscach wspaniale położonych, przedewszystkiem na wzgórzach z widnokręgiem otwartym, opodal od miast znaczniejszych, choć nie unikali przeto zetknięcia z okoliczną ludnością tak jak np. Cystersi.

Oto zestawienie wszystkich opactw tego zakonu, powstałych w granicach Polski aż do końca XV stulecia:

1. Międzyrzecz w Wielkiejpolsce, wspomniany jako już istniejące opactwo pod r. 1005, a to przez współcześnie żyjącego Diethmara*. Czas założenia nieznany (zapewne jeszcze w w. X). Zgromadzenie to składało się jeszcze w XIII wieku wyłącznie, a w każdym razie przeważnie, z osób niemieckiego rodu**. W ciągu jeszcze średnich wieków przestało istnieć.

2. Tyniec w Krakowskiem. Osoba założyciela i czas założenia niepewny; zdaje się, że była to fundacya Bolesława Chrobrego. Opactwo to miało jeszcze za czasów Długosza zwierzchność nadzorczą nad innemi w całej Polsce zgromadzeniami benedyktyńskiemi i z tego powodu było ono niekiedy nazywane arcyopactwem, a jego opaci *Archiabbates*. Sam Tyniec miał zostawać pod nadzorem Kluniaku***.

---

* Obacz Kroniki jego ks. VI rozdz. 20. Mon. Pol. I 279.

** »Theutonici de Medzyrzecz«, w Roczniku WPol. Mon. Pol. T. III str. 14, pod rokiem 1248. — W dypl. Bolesława kaliskiego jakoby z roku 1251 (Kod. WPol. Nr. 297 str. 262) jest także wzmianka o »domus Messeritz«. Jest to podrobiony w XIV wieku dopiero dokument.

*** Za tak dawnym początkiem tego opactwa przemawia po pierwsze właśnie to jego nad resztą klasztorów benedyktyńskich prawo zwierzchnicze, dowodzące samo przez się i czasowego względnie do drugich starszeństwa; powtóre tradycya w wiekach średnich w murach jego przechowywana i w niejednym

3. Opactwo Łęczyckie, jedno z najdawniejszych w kraju, niewiadomego początku, pod wezwaniem najśw. Maryi Panny. W roku 1136 już nie istniało jako odrębna fundacya, było bowiem z całem swojem nader wspaniałem uposażeniem wcielone do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. (Bulla Innocentego II, Kod. dypl. WPol. Nr. 7). Niema jednak zupełnej pewności, czy to nie była fundacya w rodzaju t. zw. później kollegiat, a nie zgromadzenie zakonne i to jeszcze benedyktyńskie.

4. Opactwo Lubińskie (w Wielkiej Polsce), pod wezwaniem Panny Maryi. Czas założenia dzisiejsza krytyka przyjmuje między r. 1050 a 1070; zakonnicy sprowadzeni z Leodyum. Długosz uważał za fundatora komesa Michała Skarbka i odnosi początek klasztoru do roku 1113*.

---

też dokumencie wznawiana, że fundatorami tego klasztoru byli król Bolesław i królowa Judyta, coby tedy wskazywało na wiek jeszcze X, t. j. na pierwsze lata panowania Bolesława Chrobrego, w których Judyta była króla tego małżonką. Dokumenta, o jakich tu mówimy, mianowicie akt kardynała Idziego z roku »1105«, jako Nr. I zamieszczony w Dyplomataryuszu Tynieckim, bulla Grzegorza IX z d. 26 maja r. 1229 (Nr. 11b), i przywilej Bolesława Wstydliwego z roku 1275 (Nr. 27), są to wprawdzie niewątpliwie pisma sfałszowane, pomimo tego zawierają one w sobie jednakże zawsze niezaprzeczony wyraz przekonania i tradycyi, jaka z dawien dawna o początku tego opactwa musiała w murach jego popłacać. Ślad rzeczy takiej jest zawsze ważny. Długosz (w Historyi pod rokiem 1044 i w Lib. Benef.) twierdzi wprawdzie, że założycielem tynieckiego opactwa był dopiero Kazimierz I w r. 1044, który pierwszych zakonników miał tu ściągnąć z Clugny czy też z Leodyum. Tosamo podają już i niektóre przed-długoszowe źródła dziejowe. Gdyby to jednak było prawdziwem, trudno byłoby pojąć, skąd przyszedł Tyniec pomimo tak późnego stosunkowo założenia swojego do pierwszeństwa i starszeństwa nad innymi tej reguły klasztorami w tym kraju. Zdaje się przeto, że Kazimierz I był tylko wskrzesicielem dawnej fundacyi, podupadłej albo do szczętu zniszczonej w zawierusze, która poprzedziła panowanie tego książęcia.

* Zachowane starodawne księgi tego klasztoru, Liber Confraternitatis Lubinensis, i Liber Mortuorum, poprzedzone wstępnemi uwagami i krytycznie opracowane przez pp. Papego i Kętrzyńskiego, znalazły pomieszczenie w Mon. Pol. Tom V str. 537 i nast. (Księgę Bractwa dano i w Kod. dypl. WPol. T. I str. 579). Z tychto pism widać, że fundacya Lubińska datować musi z wieku jeszcze XI. — Posiadamy z lat dawniejszych »Wiadomość o klasztorze Benedyktynów w Lubinie«, w ks. Jabczyńskiego Archiwum Teol. (r. 1836). W czasach ostatnich przybyła jeszcze rozprawka p. t. »Une colonie de moines Liegeois en Pologne«, w Revue Benedictine z r. 1891 Nr 3.

5. Mogilno w Polsce, opactwo założone przez Kazimierza I albo Bolesława Śmiałego*.

6. Opactwo Świętokrzyskie na Łysej górze w Sandomirskiem, niepewnego początku. Długosz (Hist. I 188) widzi w niem fundacyę Bolesława Chrobrego z roku 1006; Baszko (Mon. Pol. II 518) przeciwnie Bolesława Krzywoustego podaje jako żałożyciela. Za tem zdaniem poszedł też i ks. Gacki w obydwóch swych monografiach, powyżej już w swojem miejscu zacytowanych.

7. Sieciechowskie opactwo w Sandomirskiem. Jeżeliby można było polegać na autentyczności przywileju Bolesława Wstydliwego, nadanego w roku 1252 temu opactwu (Kod. kat. kr. Nr. 34), toby z niego dość jasno wynikało, że głównym fundatorem jego był Sieciech, wszechwładny palatyn ks. Władysława Hermana i ówczesny właściciel Sieciechowa. Z jego ręki otrzymał klasztor główne swoje uposażenie. Przyczynili się jednak później do powiększenia tego majątku i inni, jak Henryk ks. sandomirski, komes Jaksa znany założyciel Bożogrobców w Miechowie, i t. d. Długosz (Hist. pod r. 1010) widocznie na podstawie właśnie tegoto dokumentu przedstawia całe założenie tego opactwa, przesuwa je wszelako niewiedzieć dlaczego w czasy Bolesława Chrobrego i widzi w jego osobie właściwego fundatora, co mało podobne do prawdy. Baszko (Mon. Pol. II 518) i ten klasztor równie jak Świętokrzyski, do Krzywoustego odnosi.

Fundacya sieciechowska uważała się za odnogę klasztoru świętokrzyskiego, ten zaś był poczytywany za filię tynieckiego opactwa.

---

* W samym klasztorze tym zdaje się, że przechowywano w w. XIII tradycyę założenia przez Bolesława Śmiałego. Zapiska Trzemeszyńska, położona ręką z XV wieku w pewnym odpisie Kadłubkowej kroniki (Mon. Pol. III 134), także tosamo podaje: Item Boleslaus Audax, s. Stanislai occisor, monasterium Mogilnense fundavit. I może było tak, jeżeli opat Mengozy, dnia 3 sierpnia r. 1085 zmarły, rzeczywiście był pierwszym tego miejsca opatem, jak to podają Sufragia monasterii mogiln. oddrukowane w t. V Monum. Pol. str. 664. Długosz w Hist. stawia założenie, i to przez Bolesł. Śmiałego, pod rokiem 1065; jednakże przychodzi do tego wniosku tylko na fundamencie owego podrobionego, w Kod. dypl. WPol. pod Nr. 3 zamieszczonego dokumentu, o którym w poprzedniej mojej rzeczy (o Biskupstwach, str. 225) obszerniej już mówiłem. Tam wszelako występuje Bolesław nie jako fundator, ale tylko jako obdarzyciel już wtedy istniejącego klasztoru. Zatem początek jego sięga w każdym razie głębiej w przeszłość, niż rok 1065.

8. Opactwo Płockie, niewiadomo przez kogo i kiedy założone. Miało św. Wojciecha za swojego patrona, i mieściło się w obrębie zabudowań grodu płockiego (in castro Plocensi, Lib. Benef. Łaskiego I, 664). Zapewne fundacya Kazimierza Sprawiedliwego albo płockiego biskupa Wernera, lub też jego następcy Lupusa († 1186). Podany przez Szczygielskiego w Aquila Polono-Benedictina rok 1270 jako fundacyjny, żadną miarą nie daje się utrzymać*.

9. Opactwo Orłowskie pod Cieszynem na Szląsku — jako samoistna fundacya istniejące począwszy od r. 1268. Pierwotnie należał Orłów z swemi przyległościami, jako zwykły kompleks wsi, do klasztoru Tynieckiego, niewiadomo przez kogo tym zakonnikom tam na Szląsku nadany. Musiało się to stać jeszcze przed rokiem 1227, w tym bowiem już czasie papież Grzegorz IX zatwierdza konwent tyniecki w tem posiadaniu (Kod. Tyn. Nr. 6), a i w bulli z roku 1229 (ibid. Nr. 11*a*) wymienia wszystkie prawa i dochody z tą szląską posiadłością złączone, jako jeszcze atrybucye opactwa w Tyńcu. Dopiero z woli Władysława I ks. opolskiego nastąpiło w r. 1268 wyniesienie orłowskiej filii do znaczenia samoistnego opactwa, podległego wprawdzie Tyńcowi pod innym względem, lecz z uposażeniem odrębnem. (Kod. Tyn. Nr. 23). I jako takie trwało ono odtąd nadal aż do czasów swoich ostatnich**.

* * *

Z powyższych dziewięciu znaczniejszych fundacyi Benedyktyńskich przypadają trzy (w Międzyrzeczu, Mogilnie i Lubinie) na Wielkopolskę, trzy (w Tyńcu, Świętokrzyska i w Sieciechowie) na Małopolskę, jedna tylko (w Płocku) na Mazowsze, jedna (w Łęczycy) na ziemię Łęczycko-sieradzką, i jedna a najpóźniejsza ze wszystkich (w Orłowie) na Szląsk. Wiedzieć jednak należy, że na Szląsku istniały już i przed Orłowską fundacyą zgromadzenia benedyktyńskie, tylko że się nie potrafiły utrzymać i już w blizkich początku swego czasach zmuszone były ustąpić placu zgromadze-

* W przywileju nadawczym Konrada maz. dla Krzyżaków z roku 1228 (Stronczyński, Wzory pism dawnych, str. 2) występuje między świadkującymi Johannes abbas b. Adalberti plocensis. A zatem istniało już r. 1228 to opactwo i z wszelkiem prawdopodobieństwem pochodziło jeszcze z poprzedzającego stulecia.

** Mamy monogr. o tym klasztorze przez G. Biermanna: Das ehemalige Benedictinerstift Orlau im Teschischen, rok 1862, w programie gimnazyum Cieszyńskiego.

niom innych reguł, więcej miru u ludu i władz kościelnych posiadającym.

Taki początek miał tam mieć klasztor Lubiąski, dopiero przez Bolesława Wysokiego ks. szląsk. około r. 1175 odpowiednio wyposażony i nadany Cystersom, przedtem zaś podobno Benedyktyński. Dawna niepewna, lecz może nie bezzasadna tradycya klasztorna odnosiła pierwsze założenie tego klasztoru i sprowadzenie Benedyktynów w to miejsce do Kazimierza I, i tylko z powodu tego podania Długosz (Hist. I str. 289) już pod roku 1044 szczegółowo opowiada założenie i pierwsze uposażenie tej fundacyi, jak gdyby mu to wszystko było wiadome z najlepszych źródeł. Historycznie pewnego niema w tem nic więcej, jak tylko to, że na kilkadziesiąt lat przed rokiem 1175 istniał już klasztor lubiąski i należał do »mnichów czarnych«, i że tych miejsce później z woli ks. Bolesława i biskupa wrocł. Waltera w latach między r. 1163 a 1175 zajęli zakonnicy, szarą posługujący się barwą habitu (monachi grisei) czyli Cystersi*.

Takąż przeszłość miał i wrocławski klasztor Premonstratensów, słynący (później) pod nazwą św. Wincentego. Fundacya ta weszła w życie jako Benedyktyńska w czasie między r. 1126 a 1139, na razie pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny. Założycielem jej był Piotr Włast, znany magnat polski za czasów Bolesława Krzywoustego. Pierwsi mnisi byli tu sprowadzeni z Tyńca. Kiedy w kilkanaście lat później (w r. 1145) dano było fundatorowi tego kościoła złożyć w nim relikwie św. Wincentego, otrzymała ta jego fundacya podwójną nazwę: »s. Mariae et s. Vincentii«. A kiedy około roku 1150 przeniesiony został do Wrocławia inny monastyr, dotąd istniejący w Górce (Zobtenberg), osadzony przez kanoników regularnych św. Augustyna, fundacyi tegoż Piotra Własta i także pod wezwaniem Panny Maryi słynący: od tej pory pozostał przy tej nazwie sam ten już tylko z Górki świeżo przeniesiony tu klasztor, a tamten Benedyktyński poprzestawał na drugim tylko

---

* Tradycya klasztorna, o której wspomniałem w tekście, znalazła dla siebie wyraz w pewnym co prawda sfałszowanym, w wieku XIII powstałym dokumeneie »z roku 1175« (drukowany kilka razy, a jako Nr. 21 w Kod. WPol.), niemniej w dawnym wierszowanym zabytku (z początku XIV w.), oddrukowanym w Wattenbacha Monumenta Lubensia na str. 14, a ocenionym jako źródło na str. 6.

tytule »św. Wincentego«. Postępowanie Benedyktynów tych wrocławskich w tamtej epoce czasu nie musiało być zupełnie wzorowe, skoro około r. 1190 przyszło do tego, że za zgodnem porozumieniem biskupów i rodziny fundatora, relegowano ich pod Kalisz, a na ich miejsce sprowadzono do Wrocławia zgromadzenie Premonstratensów, które aż dotąd tam pod Kaliszem w wiosce Kościół czyli Kościelna wieś miało swój niebogato pewnie wtedy jeszcze uposażony konwent pod nazwą św. Wawrzyńca. Od kiedy istnieli tam ci Premonstratensi kaliscy, to nie jest dostatecznie wiadomo; podobno była to także Piotra Własta fundacya, jak to niektórzy podają, więc z czasu przed r. 1153, w którym Piotr życie zakończył. — Tak więc około roku 1190 kościół i klasztor wrocławski św. Wincentego, właściwie benedyktyński, przeszedł w ręce Premonstratensów; przeciwnie klasztor św. Wawrzyńca pod Kaliszem, dotąd Premonstratensów, stał się benedyktyńskim, zostającym nadal w związkach i pod zwierzchnictwem macierzy swojej, t. j. opactwa tynieckiego*.

Istniał także w Lubuszu n. Odrą jakiś klasztor, prawdopodobnie Benedyktynów. Nie znam bliższych o nim szczegółów.

Pomniejsze kolonie (prepozytury, kaplice, konwenty) Benedyktyńskie, prócz podanych powyżej opactw, były u nas w wiekach średnich następujące:

Pod przełożeństwem Tynieckiem: Kościół pod Kaliszem czyli t. zw. prepozytura św. Wawrzyńca, istniejąca tam począwszy od r. c. 1190. — Orłów na Szląsku, w tym charakterze aż do roku 1268. — Uniejów, 1365. Tuchów, 1468. Książ i Sochaczew(?).

---

* Obacz Regesta zur Schles. Gesch. Grünhagena T. I str. 28 i 52; ibid. Nr. 24 (r. 1139), Nr. 33 (r. 1149), Nr. 57 i 58 (r. 1193). — Benedyktyni przepędzeni pod Kalisz, może wstydząc się powodu, dla którego zostali relegowani w to miejsce, sfałszowali sobie później fundacyjny kaliski dokument, jakoby przez Miecz. Starego w roku 1209 (!) sobie nadany (Kod. WPol. Nr. 35, i w Kod. Tyn. Nr. 2). Ślady długo trwających zatargów między Benedyktynami a innymi zakonami z powodu utraty wrocławskiego klasztoru, widzimy w Nr. 106 i 589 Kod. WPol. i w N. 13, 15 i 16 Kod. Tyn.

Pod przełożeństwem Świętokrzyskiem: Koniemłoty, Wąwolnica, Słupia.

Pod Sieciechowem: Radom, Puchaczów.

Pod Lubinem: Jeżów w Mazowszu, jeszcze w XII wieku, Gostyń, Chojnaty i Kisowo.

Pod Płockiem: Rawa, Przybyszów, Zamek, Lentowo.

W dalszych wiekach szerzyli się Benedyktyni już chyba tylko na Litwie. Mianowicie powstało w roku 1405 z nadania Witołda W. ks. litewskiego opactwo Trockie. — Roku 1673 powstało drugie w tamtych stronach opactwo, bardzo bogato wyposażone, w Nieświeżu. — Prepozytury były te: w Poszołtuniu na Żmudzi, w Horodyszczu pod Pińskiem (c. 1660) i w Mińsku na Białej Rusi (1700).

Żeńskie klasztory.

Staniątki niedaleko Krakowa, fundowane około roku 1230 przez Klemensa z Ruszczy, w końcu życia kasztelana krak.*. — Chełmno w Prusiech zachodnich, r. 1274. Zakonnice przybyły tu z Pragi czeskiej**. — Legnica na Szląsku 1377. — Kraków, klasztor św. Scholastyki.

Dopiero po upływie wieków średnich powiększyła się znacznie ta szczupła ilość klasztorów Benedyktynek czyli jak je u nas najczęściej nazywano Chełmnianek, a to dlatego że prawie wszystkie późniejsze klasztory zaludniały się w pierwszych swych czasach zakonnicami z Chełmna sprowadzanemi. Pomiędzy tymi wiadome mi są w następujących miastach:

Łomża, Toruń, Poznań 1607. Żarnów w Prusiech. Nieśwież 1590. Sierpcz w Mazowszu. Wilno 1616. Lwów. Radom. Sandomierz 1616. Przemyśl. Jarosław na Rusi Czerwonej. Kowno c. 1650. Kroże. Słonim c. 1650. Smoleńsk. Orsza. Mińsk białoruski 1633, itd.

* * *

---

* Posiadamy już obecnie gruntowną monografię Dr. Bolesł. Ulanowskiego »O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach«, w Rozpr. i Sprawozd. wydziału hist. Akad. kr., tom 28.

** Ob. Ks. Pobłockiego »Wiadomość o pannach Benedyktynkach w Chełmnie i o reformacyi klasztorów tej reguły w Polsce«. W Przeglądzie kościeln. III r. 1881—2.

Należy tu jeszcze wspomnieć o pewnym odcieniu reguły Benedyktynów, t. j. głagolickiego obrządku. Ich początek dostatecznie ni co do czasu ni miejsca nie jest wyjaśniony, zdaje się jednakże sięgać w głębszą przeszłość, niż wiek XI (klasztor Sazawski w Czechach powstał w r. 1032, a nie słychać o tem, żeby on był założony dla jakiegoś świeżo dopiero powstałego zakonu). Być może, że patryarchą słowiańskich Benedyktynów był już sam św. Cyryll, który w Rzymie przed śmiercią jak wiadomo wstąpił do jakiegoś klasztoru i w stanie zakonnym tamże r. 868 życia świątobliwego dokonał. Ciało jego spoczywa w Rzymie w podziemiach bazyliki św. Klemensa, jak to głosi dawna tradycya, a pozytywnie stwierdziły to i świeżo teraz poczynione odkrycia w tej starożytnej świątyni.

W Polsce w sposób historycznie udowodniony istniał jeden tylko klasztor takiej reguły, a to w Krakowie na Kleparzu u świętego Krzyża, którego założycielem w r. 1390 czy 1389 był Władysław Jagiełło i małżonka jego Jadwiga. Zakonnicy do niego ściągnięci zostali z Pragi czeskiej, z klasztoru nazywanego Emaus, który tam jako fundacya cesarza Karola IV kwitnąć zaczął w r. 1347 i zaludniony został mnichami powołanymi z krajów dalmatyńsko-kroackich*. — Klasztor ten nasz na Kleparzu otrzymał bardzo niedostateczne uposażenie, nie zażywał w mieście żadnej wziętości i zaledwie dobiedował do roku mniej więcej 1470, po którymto czasie znika nam z oczu bez wieści**.

---

* Zamierzał Karol IV przez sprowadzenie tego zakonu do państwa swojego zbliżyć, a przynajmniej utorować drogę do możliwego zbliżenia kościoła zachodniego ku wschodniej cerkwi. Katoliccy głagolici słowiańscy zdawali się być najwłaściwszem ogniwem do połączenia tych dwóch ostateczności. Orzekać nie śmiem, czy kierowały podobne względy i postanowieniem naszej Jadwigi, kiedy małżonka swego spowodowała do sprowadzenia zakonników tych i do Krakowa. (Emauski klasztor w Pradze długo jednak nie wiekował: upadł już roku 1436).

** Długosz w Lib. Benef. (T. I str. 3, któryto tom pisany był około roku 1470) wspomina o tych słowiańskich zakonnikach na Kleparzu jako jeszcze tu istniejących. W Historyi zaś (T. III 488) mówi o nich takim tonem, jakby ich już nie było. Po roku przeto 1470 musieli ci głagolici opuścić Kraków.

Kanonicy regularni Laterańscy.

Drugie miejsce pod względem dawności przybycia i rozszerzenia swojego w Polsce zajmują Kanonicy regularni Laterańscy reguły Augustyna św.*.

Centralnem siedliskiem tego zakonu był klasztor i bazylika rzymska na Lateranie, i stądto ich nazwa. Wywodzili się zaś z tradycyi z osobą św. Augustyna († 430) związanych, którego zasady i zalecenia dały później niejednej innej jeszcze regule zakonnej początek, a mianowicie owym Augustyanom Eremitom znacznie późniejszej daty, których mieszać nie trzeba z Kanonikami, o których rzecz obecnie.

Laterańczycy pojawili się w Polsce już po Benedyktynach t. j. w XI wieku, doczekali się jednakże dorównywającej tamtemu zakonowi wziętości dopiero w XII-tym, a zatem byli to pierwsi co do czasu w naszym kraju rzec można współzawodnicy tamtego zakonu, którego żywotność, jak się wyżej już powiedziało, pod koniec XII stulecia już zaczęła zamierać. Swoją koleją znaleźli się wszelako i Kanonicy regularni bardzo wcześnie we współzawodnictwie z innym znowu, później od nich przybyłym tutaj zakonem, z Cystersami, i jeżeli się nie bardzo potrafili rozkorzenić na naszym gruncie, to tylko z przyczyny nadzwyczajnej od pierwszej zaraz chwili wziętości tego właśnie cysterskiego zakonu.

Kanonicy regularni trudnili się z obowiązku, nałożonego na nich samym ich statutem zakonnym, pielęgnowaniem nauk i kształceniem młodzieży, a mianowicie też świeckiej.

Członkowie zakonni reguły laterańskiej żyją wspólnie, lecz w swobodniejszych formach, niż inne zgromadzenia; zetknięcia z światem zewnętrznym nie zabraniał im ich statut, dlaczego też nie mnichami (monachi) w ścisłym sensie, ale kanonikami t. j. księżmi stałej regule poddanymi się zowią. Habit ich biały

---

* Mamy dwa tylko dawniejsze dzieła o tym zakonie: Matuszewicza Canonicus regularis Lateranensis in Polonia et M. Ducatu Lit. (1720 roku 4°), którato książka nic zgoła historycznego ani w ogóle ciekawego w sobie nie mieści; i A. M. Górczyńskiego Joannes de Nigrawalle... Bibliothecarius (s. l. 1707). Autor ten traktuje w I części o tym zakonie w ogólności, w II części daje historyę klasztoru Kanoników (u Bożego Ciała) na Kazimierzu krakowskim. Ważnych szczegółów nie znalazłem w tej książce. W ogóle mało tedy powiadomieni jesteśmy o przeszłości klasztorów tej reguły.

i tylko lniany, gdyż wełnianej odzieży nie powinni używać, na to zaś przywdziewają czarną dość długą pelerynę, czerwoną podszewką podbitą, bez kapturu. Mają nakoniec w porównaniu z innemi regułami i tę jeszcze odrębność, że ani laików (braciszków niewyświęconych) ani zakonnic do statutu swego nie dopuścili.

Fundacyi znaczniejszych zakonu Kanoników regul. laterańskich było w Polsce tylko pięć, dwie na Szląsku, reszta w innych prowincyach, mianowicie:

1. Opactwo w Trzemesznie niedaleko Gniezna, założone w końcu X stulecia, podług tradycyi klasztornej przez Mieszka I, prawdopodobniej za panowania już Bolesława Chrobrego przez św. Wojciecha, którego też ciało po męczeńskiej śmierci najprzód w kościele trzemeszyńskim złożone zostało, a stąd dopiero przeniesiono je do katedry gnieźnieńskiej*. — W tamtych pierwszych swoich czasach klasztor w Trzemesznie był klasztorem benedyktyńskim. W zawierusze po zgonie Mieszka II podległ zniszczeniu i dopiero podobno przez Bolesława Krzywoustego przywrócony został do życia, lecz jako konwent Kanoników regul. laterań.**.

2. Wrocławskie opactwo najśw. Maryi Panny na Piaskach (dzisiejsza Sandkirche), fundacya Piotra Własta, tegosamego który klasztor św. Wincentego w temże mieście założył, — z początku XII wieku (1108 — 1110).

Przez pierwsze 40 lat egzystował konwent ten w Górce pod Sobótką (Gorkau bei Zobtenberg, 5 mil od Wrocławia); pierwsi kanonicy przybyli tu z Arrovaise w Flandryi. W roku 1149 zaszło przeniesienie do nowo zbudowanego kościoła w Wrocławiu***.

---

* O założeniu przez Mieczysława I mówią Spominki Trzemeszyńskie, obacz Mon. Pol. III str. 134. Św. Wojciechowi (a zatem i Bol. Chrobremu) czyn ten przypisuje Passio s. Adalberti, w XI wieku pisana (Mon. Pol. I 154; wykład źle tam napisanego wyrazu »mestr f.«, przez Dr. Wojciechowskiego dany, obacz w t. IV Pamiętn. Akad. Um. str. 188). — O złożeniu ciała św. Wojciecha nasamprzód w Trzemesznie, wspominają różne wczesne i późniejsze źródła: Mon. Pol. IV 220, III 619 i 762 i t. d.

** Kod. WPol. Nr. 11, dokument z roku 1145 Mieczysława Starego, nie autentyczny ale ułożony na podstawie wiarogodnych zapisek i ważny. — O archiwum trzemeszyńskiem podał wiadomość ks. Łukowski w Rocznikach Tow. Przyj. Nauk pozn. T. XI.

*** Obacz dwie bulle protekcyjne dla tej fundacyi, z roku 1148 i 1193, w Heynego Geschichte d. Bisth. Bresl. I str. 160, i w Kod. MPol. I p. 58. —

3. Opactwo Czerwińskie najśw. Maryi Panny w Mazowszu w ziemi wyszogrodzkiej (Czerwińsk nad Wisłą). Założone podług jednych przez Piotra Własta, podług drugich przez biskupa płockiego Alexandra, między r. 1144 a 1155*.

Pierwsi zakonnicy przybyli tu z Liège z Francyi, skąd pochodził także i sam biskup ten płocki, brat rodzony biskupa wrocł. Waltera. Ta okoliczność silnie przemawia za tem, że więc nie Piotr Własť, lecz Alexander wprowadził klasztor niniejszy w życie. Jego dziełem także była konsekrowana roku 1144 świątynia katedralna płocka, po której wystawieniu zabrał się do fundacyi klasztoru. — Zatwierdzenie papieskie uposażenia opactwa czerwińskiego, przez Adryana IV, nastąpiło już roku 1155**.

4. Opactwo w Mstowie (niedaleko Częstochowy). Fundator i czas założenia nieznany.

Aż do roku 1220 była to tylko expozytura i filia klasztoru wrocławskiego na Piaskach. Tę przynależność Mstowa do zgromadzenia kanoników wrocławskich widzimy stwierdzoną i w bulli Celestyna III z roku 1193 kościołowi temu nadanej (Kod. MPol. I str. 58). Tak to było aż do roku 1220.

W tym czasie, głównie staraniem Iwona bisk. krak., otrzymał konwent Mstowski charakter osobnego opactwa, choć pewnie i nadal kościelnie zawisłego od swej macierzy. (Kod. MPol. Nr. 385 z r. 1220). Porówn. Długosz, Żywoty bisk. krak. (T. I Dzieł jego, str. 399).

5. Opactwo Żegańskie (Sagan) na Szląsku.

Istniało najprzód (począwszy od r. 1217) w Naumburgu n. rz. Bobrem, lecz tylko jako prosta filia i prepozytura wrocławskiego opactwa P. Maryi. W roku 1261 wyrobiła się z tego samo-

---

Starodawny, w samym końcu XII w. pisany, niestety tylko fragment tamtoczesnego uposażenia tego kościoła, mamy w Kod. WPol. Nr. 2021. — Chronica abbatum b. Mariae virginis in Arena drukowana w Stenzla Scriptores rer. siles. T. II.

* Piotrowi Własťowi przypisuje to założenie Baszko (Mon. Pol. II str. 520); biskupowi Alexandrowi inne źródło, oddrukowane pod tyt. »Spominek płockich« w Mon. Pol. III 119. Tylko że tu data roku pomylona (1055 zamiast 1155), był bowiem Alexander biskupem od r. 1130—1156.

** Kod. Rzyszcz. I Nr. 3. O pochodzeniu biskupów Alexandra i Waltera z dyecezyi leodyjskiej i o tem że sobie byli bracią, zobacz Kwartalnik Histor. z r. 1893 str. 352.

istna instytucya klasztorna, a r. 1284 przeniosła się z Naumburga do Żeganu. (Jest »Catalogus abbatum Saganensium« w T. I Stenzla Scriptores rer. silesiac.).

Oprócz tych pięciu istniało jeszcze, ale niedługo, i szóste opactwo, t. j.

Kamienieckie (w Kamenz) na Szląsku.

Fundatorem jego około roku 1210 był Wincenty z Pogorzeli, podług jednych pan świecki (comes), podług drugich kanonik katedralny wrocławski. Od chwili założenia Praepositus w tej swej fundacyi, a w końcu życia opat zgromadzenia wrocławskiego (na Piaskach). — To opactwo kamienieckie przeszło jednak już r. 1249 w posiadanie Cystersów, a to z postanowienia biskupa wrocł. Tomasza I i głównie z tego podobno powodu, że liczba kanoników w Kamieńcu zbyt była szczupłą*.

* * *

Daleko liczniejsze były pomniejsze rezydencye (kolonie, filie, prepozytury) tego zakonu w Polsce. Z tych jednakże weszły w życie jeszcze w epoce średniowiekowej tylko pewnie następujące:

»Prepozytura św. Pawła« w Kaliszu, kolonia wrocławsk. opactwa, założona zapewne jeszcze przez Mieczysława Starego, a obdarzona nowym kościołem przez jego wnuka Władysława Odonicza**.

Prepozytura w Męce pod Sieradzem, dawna »od niepamiętnych czasów« kolonia wrocławskiego opactwa. Istniała tu w tym charakterze aż do roku 1358. — W tym roku król Kazimierz W. nadał kanonikom regularnym wrocławskim starożytny kościół parafialny św. Mikołaja w Kaliszu z całem uposażeniem i wieś Kuchary z kościołem, a za to przejął na siebie klasztorne aż dotąd dobra Mękę, Polków, Węglów i Luboracice***.

---

* Chronica abbatum b. Mariae V. in Arena, Scriptores rer. silesiac. II p. 172. — Grünhagen Regesta Silesiae Nr. 688 z r. 1249. — Winter: Die Cisterzienser, T. II str. 333.

** Długosz Hist. t. II p. 44 pod r. 1155, którato data fundacyi zapewne jednak zbyt wczesna. Kod. dypl. WPol. Nr. 73, 81, 103 i t. d. W tym N. 103 (z r. 1218) nazywa papież Honoryusz III Odonicza fundatorem kościoła i bierze uposażenie tego kościoła w protekcyę.

*** Kod. WPol. Nr. 2050 z r. 1358. — Przeniesiony z Męki do Kalisza ten konwent zapewne połączył się tu z dawną Prepozyturą św. Pawła. Ale

Prepozytura w Błoniu pod Warszawą, z XIII pono wieku, kolonia opactwa Czerwińskiego. Kod. WPol. Nr. 1292 z r. 1349.

Prepozytura w Kłocku (Glatz) na Szląsku, z roku 1352, pod wezwaniem najśw. Maryi Panny. Zapewne kolonia wrocławska.

Prepozytura na Kazimierzu (w Krakowie), w tym charakterze począwszy od r. 1405. Kościół Bożego Ciała na Kazimierzu, w r. 1347 wystawiony przez Kazimierza W., stanął od razu z tem przeznaczeniem, by być przybytkiem zgromadzenia kanoników reguły św. Augustyna. Wykonanie ostateczne tego zamiaru przypadło jednak w udziale dopiero Władysławowi Jagielle, który r. 1405 ściągnął w to miejsce pierwszych zakonników ze Szląska z Kłocka*. — Proboszcz kanoników tych krakowskich Bożego Ciała miał później znaczenie prawie opata, albowiem zdane mu było zwierzchnictwo nad wszystkimi nie mającymi własnych opatów domami tej reguły w Małopolsce i na Litwie.

Prepozytura w Kłodawie w Łęczyckiem, w tym charakterze począwszy od r. 1429. Parafialny aż dotąd kościół św. Idziego w tem miejscu, wystawiony przez Władysława Hermana pod koniec XI stulecia, w postępie czasu przekształcony został na kollegiatę, ostatecznie zaś (1429) na klasztor kanoników lateraneńskich. To przeznaczenie nadał mu król Władysław Jagiełło w porozumieniu z Wojciechem Jastrzębcem arcybiskupem gnieźń. (Łaski Lib. Benef. II str. 451).

Były prócz tego jeszcze punkta takie w Warszawie u świętego Jerzego, podobno od roku 1450; — w Kurozwękach, od r. 1451; — w Kłobucku w dyecezyi krakowskiej, od r. 1454, fundacya Jana Długosza, zatwierdzona przez Kazimierza Jagielończyka; — w Krzepicach w Wieluńskiem, c. 1460; — w Kraśniku w dyec. krak., r. 1469; — w Kochowie w Sandomirskiem, z tegoż mniej więcej czasu**.

Żeńskich zgromadzeń tej reguły św. Augustyna nie było.

---

nadto wszedł i w posiadanie wsi Kościół, w której istniał aż dotąd klasztor Benedykt. św. Wawrzyńca. Obacz Łaski Lib. Benef. II 40.

* Kod. kat. krak. Nr. 383 z r. 1392. Ibid. Nr. 489 z r. 1405, mocą którego bisk. krak. Piotr Wysz całe to założenie jako właśnie uskutecznione zatwierdza.

** Długosz Lib. Benef. III str. 164, 172 i 177. — W XVI i XVII wieku przybyło do powyższych jeszcze kilka nowych tejże reguły klasztorów po różnych prowincyach koronnych i litewskich. Wiadome mi miejscowości takie są

Cystersi.

Trzecie co do wieku miejsce w tym szeregu zakonów najdawniejszych zajmują Cystersi*. Zawiązek ich reguły przyszedł do skutku znacznie później wprawdzie, niż obydwóch poprzednich, bo dopiero roku 1098 wyłączyli się Cystersi z łona całości benedyktyńskiej, a uzyskali zatwierdzenie papieskie jako odłam samoistny nie rychlej, jak w r. 1119. Pojawiło się jednak w Polsce nowe to zwolennictwo tak wcześnie, że zaledwie je tutaj potrafili wyprze-

---

te: Lubraniec w XVI w. — Pilica w końcu XVI w. — Bychów stary na Białej Rusi 1619. — Krzemienica na Litwie c. 1620. — Sucha w Krakowskiem 1624. — Wolbrom 1630. — Słonim wołyński 1650. — Wilno 1668 (1625).

* Do historyi Cystersów w ogólności następujące są dzieła: Caroli de Visch: Bibliotheca scriptorum s. ordinis Cisterc. (Wyszło podobno w Kolonii, r. 1656; ma być nie wiele warte. Doszukać go się nigdzie nie mogłem). — Winter: Die Cisterzienser des nordöstlichen Deutschlands bis zum Auftreten der Bettelorden, 3 tomy, Gotha 1868 i 1871. — Dohme: Die Kirchen des Cisterzienserordens in Deutschland während des Mittelalters. Lipsk, 1869. — Janauschek — Origines Cistercienses. — Z pism traktujących o poszczególnych opactwach tego zakonu w Polsce znane mi są następujące: Frömricha Geschichte der Cisterzienser-Abtei Kamenz in Schlesien, Glatz 1817. — Z. A. Helcla Rzecz o klasztorze Jędrzejowskim (w Rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego, 1852). — Wiadomość historyczna o klasztorze Bledzewskim przez Widawskiego, ostatniego przeora tamtejszego, w ks. Jabczyńskiego Archiwum Teologicznem na rok 1836 i 1837 (tom I str. 472—505, tom II, str. 55—69). — Historya klasztoru w Ludzimirzu, w Bibliot. Warszawskiej z r. 1850, III tom. — Monografia opactwa Cystersów w Mogile przez Tow. Nauk. krak. 2 tomy, Kraków 1867 (dzieło zbiorowe). — Dr. Władysława Nehringa o klasztorze w Lędzie, w Bibliotece Warsz. z r. 1870, IV tom. Dawniej wyszła Wiadomość historyczna o opactwie i kościele w Lędzie w Pamiętniku religijno-moralnym warszawskim (1858 r. Serya II, 1). — Dr. Perlbach: Die Cisterzienser-Abtei Lond im stadtkölnischen Archiv (w Mittheilungen aus dem Stadtarchiv von Köln Dra Höhlbauma z r. 1883, II zeszyt). — Do historyi założenia klasztoru w Henrykowie (Heinrichau) na Szląsku mamy odnośny artykuł Szajnochy w jego Szkicach (tom II, »Przed 600 laty«). — Potthast: Geschichte der Cisterzienserabtei Rauden. Leobschütz 1858. — Opactwo Pelplińskie przez ks. Kujota. 1875. — Gesch. des Klosters Wongrowitz von H. Hockenbeck, Leipzig 1879—1880. — Dr. T. Warmiński: Urkundl. Geschichte des Cisterziens. Klosters zu Paradies. Międzyrzecz 1886. — O innych pomniejszych rzeczach dotyczących tego przedmiotu znajdzie czytelnik wskazówki w powyższych pismach.

dzić Kanonicy Laterańscy przez trzy swoje najdawniejsze fundacye, trzemeszyńską, wrocławską i czerwińską. Mieli oni z Cystersami, jak się okazuje z porównania samych dat fundacyjnych, od pierwszej zaraz chwili nader trudną konkurencyę, równie jak i Benedyktyni. Po roku 1143, w którymto czasie otrzymali Cystersi pierwsze swoje na ziemi polskiej nadanie, nie udało się Kanonikom regularnym więcej już nowych opactw osięgnąć, jak dwa, t. j. Mstowskie i Żegańskie. Kamieniec oddać byli nawet zmuszeni tym nowym przybylcom. Stosunki Benedyktynów w tej mierze jeszcze gorzej się przedstawiają: jeżeli bowiem spuścimy z oka szląskie stosunki, jako też żeńskie klasztory, to tylko jedyne jeszcze Płockie opactwo może po roku 1143 założone zostało dla tej zakonnej reguły. A Cystersi szerzą się tymczasem w nieprzerwanym postępie po wszystkich dzielnicach kraju przez całe półtora wieku (aż do 1290), jak żaden drugi współczesny zakon, i zdobywają sobie stanowiska zamożne, wpływowe, wszelkimi pozaopatrywane przywilejami, z których ich strącić nie potrafiły żadne już prądy późniejsze, lubo takowe z czasem bardzo stanowczo się i przeciwko tym zgromadzeniom, a raczej ich cudzoziemskiej wyłączności zwróciły. Około r. 1290 jednakże przestali się Cystersi (niezawodnie głównie z powodu tej wyłączności, na którą w tym właśnie czasie sarkać głośno u nas zaczęto) szerzyć już dalej, a wziętość, jaką sobie pozyskali, przeszła stanowczo na inne, świeżo wtedy przybyłe, głównie na tak zwane żebracze zakony, Dominikanów, Franciszkanów i t. p.

Pierwszą osadą i centralnem przez dalsze wieki siedliskiem zakonu Cystersów była ustroń (a później miasto) Citeaux we Francyi, po łacinie Cistercium. Stąd nazwa tego zakonu »Cistercienses«. Była to w początkowych czasach bardzo twarda reguła. Żyli ponuro, odmawiając sobie wszystkiego, prawdziwie jak pustelnicy; unikali wpływu bezpośredniego na świat zewnętrzny i spotykania się z ludźmi po za murami swych świątyń. Modlitwa i praca ręczna, rolnictwo umiejętne i hodowanie bydła stanowiły ich przeważne zajęcie. Osiadali zwykle w puszczach albo wśród niedostępnych bagien, które jednakże pracą swoją niezadługo przemieniali w kwitnące okolice. Prostota ducha i abstrakcyjna doskonałość wewnętrzna była ideałem, który im przepisywała ich ascetyczna reguła. Wielka w pierwszych pokoleniach gorliwość zwolenników tej reguły, a mianowicie też rozgłośna sława św. Bernarda († 1153),

który przeżył życie w ich kole, zjednały Cystersom od razu tyle w oczach świata uroku, że się prędko rozszerzyli po wszystkich katolickich narodach, a nadewszystko w Niemczech. Tutaj też historyczną spełnili oni rolę w tych pierwotnie słowiańskich, między Elbą a Odrą rozpostartych dzielnicach, w których Cystersi-to w głównej części ustalili dopiero wiarę chrześcijańską a z nią i element niemiecki... Do Polski przybywali oni w dwóch obok siebie najzupełniej odrębnych napływach, z Francyi i z Niemiec. A ponieważ aż do XVI jeszcze wieku było to u nich stałą zasadą, ażeby nie dopuszczać do grona swojego nikogo, jak tylko własnych swoich rodaków: stanowiły przeto przez całe wieki średnie te zgromadzenia w Polsce bardzo wybitnie od reszty ludności kraju odosobnione osady, i nawet w własnym swoim obrębie zachowywały do późna stanowczy rozdział na niemiecki odcień i na francusko-włoski, wedle tego czy stąd czy z owąd do którego miejsca przybyła pierwsza taka osada. Nadaremnie skarciła już w roku 1285 synodalna konstytucya całej polskiej hierarchii, pod powagą i imieniem arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakóba Swinki wydana, niewłaściwość takiego wrogiego zachowywania się względem kraju, który hojnie wyposażył i gościnnie podejmuje tych cudzoziemców*; nadaremnie wytykał im to jeszcze w środku XV wieku w znanym swoim memoryale myślący i przenikliwy Jan Ostroróg. Stan ten rzeczy przez cały wiek XV tak po niemieckich, jak po francusko-włoskich klasztorach cysterskich w Polsce mimo to wszystko trwał nieodmiennie, jak się o tem z pism Długosza, który to przy różnych sposobnościach także stwierdza, przekonać można**. A że się to przeciągnęło (przynajmniej w niektórych miejscowościach) aż w wiek XVI: o tem poucza konstytucya Zygmunta I z r. 1511 i druga podobna z roku 1538, w których nareszcie wręcz im ten król zakazał takiej praktyki — nie wiem, z jakim na razie skutkiem***. — W ustawie owej synodalnej z r. 1285 upatrywać też możemy główną przyczynę, dlaczego właśnie od owej chwili począwszy, nie widzimy już po za Szląskiem ani jednej zna-

---

* Obacz R. Hubego Antiquissimae Constitutiones Synodales provinciae Gnesnensis i t. d. Petropoli, 1856 na stronie 173.

** Ale Długosz nazywa ten dziwny obyczaj Cystersów chwalebnym i ze wszech miar uznania godnym (?) cf. Hist. ed. krak. T. II str. 23.

*** Obacz *Vol. Legg.* I fol. 378 i 521 (nowego wydania str. 171 i 257).

czniejszej w kraju naszym nowo powstającej fundacyi na rzecz tego zakonu. Dzięki temuto jedynie zwrotowi nie mogli się Cystersi u nas tak znacznie przyczynić do osłabienia żywiołu narodowego, jak się tego można było obawiać*. Bez pewnej szkody nie obeszło się jednak; albowiem na stanowiskach dawniej zajętych stali Cystersi silnie w kraju naszym i po utracie dawniejszej popularności i działali przez całe średnie wieki ze skutkiem, którego pożyteczność niezaprzeczoną równoważyły te następstwa ujemne, jeżeli jej może nie przeważały**.

Później żywotność narodu i więcej polityczny prąd wieku powaliły wprawdzie o ziemię ten mur odosobnienia; w warownie obcego żywiołu wpłynęła i fala miejscowa, Cystersi stali się narodowcami, a raczej zaczęli się rekrutować z krajowców. Ale przyszło do tego dopiero w czasach, gdzie klasztory straciły były już główne swoje, t. j. cywilizacyjne w społeczeństwie znaczenie, i sprawa nasza prawie nic na tem już nie zyskała.

Cystersi nosili się biało — na biały z grubego śniadego sukna habit przywdziewali tak zwany szkaplerz brunatnego koloru z końcami sięgającymi z przodu i z tyłu do samej ziemi — a na to zarzucali płaszcz biały z mucetem takiejże barwy. — Szkołami

---

* Daleko więcej szkody wyrządził zakon ten n. p. w Czechach w kierunku germanizacyi, choć mu pod innym względem i tam odmówić nie można zasługi. »Wenn das südliche und das südwestliche Böhmen, pisze pewien tegoczesny pisarz niemiecki, jetzt vollständig deutsch ist, so ist das vorzüglich das Verdienst der dort gegründeten Klöster Goldenkron und Hohenfurt«. Były to właśnie cysterskie klasztory, nadzwyczajnie bogate. Opactwo n. p. w Goldenkron, założone w roku 1263 przez króla Ottakara II, było wyposażone 13 milami kwadr. wokół. Założyło ono na tych obszarach, przed rokiem jeszcze 1393, 22 wsi (oczywiście niemieckich), i głównie jeżeli nie wyłącznie jemuto przyznać należy, że pozyskało dla uprawy, ale też i dla nienarodowego żywiołu, całe stoki gór tamtejszych, znanych pod nazwą Böhmerwald.

** Do ujemnych następstw liczę n. p. osiedlanie po wsiach swoich klasztornych wyłącznie tylko kolonistów niemieckich, których za przykładem tego dopiero zakonu ściągać tłumami całymi zaczęły niezadługo potem i wszystkie inne warstwy społeczne, książęta panujący, biskupi, inne klasztory, panowie, szlachta... Nie to w tem wydaje mi się być zdrożnem, że ci ludzie byli cudzoziemskiego pochodzenia, bo owszem przyrost taki ludności mógł tylko być pożądanym; ale że otrzymywali w Polsce ci przybysze przywileje, jakich odmawiano własnemu narodowemu ludowi, który przez to spadał w coraz gorsze położenie społeczne i nareszcie zamieniony został w narzędzie tylko robocze.

przystępnemi dla świeckich stanów, z zasady się nie zajmowali, co im jednak nie przeszkadzało, przynajmniej w ostatnich wiekach średnich, trudnić się naukami i staranniej, niż pierwotnie, wykształcać własną swoję młodzież zakonną. Jednym z ich głównych celów było, jak się wyżej już powiedziało, umiejętne gospodarstwo rolnicze i w tym względzie mogli oni służyć za wzór do naśladowania dla narodu naszego.

Po tych uwagach ogólnych przystępuję do wykazu opactw i klasztorów Cystersów w Polsce, który zapewne będzie zupełny.

1. Opactwo Łekińskie, później Wągrowieckie w WPolsce, założone w r. 1143 przez komesa Zbyluta Pałukę w Łeknie i osadzone zakonnikami sprowadzonymi z opactwa Altenberg pod Kolonią, a więc narodowości niemieckiej *. Ich przeniesienie do poblizkiego Łeknu Wągrówca, z ich własnej woli uskutecznione, zaszło roku 1396. — Będąc samo filią tamtego nadreńskiego opactwa, wydało z siebie w Polsce dwa filialne klasztory: w Lędzie i Obrzè.

2. Opactwo w Lędzie (Ląd n. Wartą w WPolsce). Fundacya Mieczysława Starego, podobno z roku 1146. Pierwsi zakonnicy, jakkolwiek bezpośrednio z Łekna tu wzięci, pochodzili z stron nadreńskich; więc i ten klasztor narodowości niemieckiej **.

3. Opactwo w Jędrzejowie, pierwotnie we wsi Brzeźnicy (w Krakowskiem). Fundacya Jana Świebody, biskupa wrocławskiego, później gnieźnieńskiego arcybiskupa — z roku 1149 ***.

---

* Długosz Hist. pod r. 1145. — Dokument uposażenia, zachowany do dziś dnia w autentycznym oryginale, otrzymali od Zbyluta dopiero roku 1153 (Kod. WPol. Nr. 18).

** Dokument fundacyjny z datą r. 1145 (w Kod. WPol. Nr. 10) taksamo jest sfałszowany, jak druga jego dłuższa redakcya z tąsamą datą, która się (jako także niby autentyk i oryginał) przechowuje w miejskiem archiwum w Kolonii.

*** Rzekomy dokument fundacyjny czy dotacyjny z r. 1154 (Kod. MPol. Nr. 372), chociaż bardzo poważni uczeni bronią jego autentyczności, jest falsyfikatem i to nader bałamutnym, z faktyczną prawdą niezgodnym. Lepsze zato wyobrażenie dają o uposażeniu tej fundacyi dokumenta w Kod. MPol. przywiedzione pod Nr. 374*a*, 374*b* i 380. Wprawdzie i te są nieautentyczne, w klasztorze podrobione, ale widocznie na podstawie dawnych i wiarogodnych zapisek.

Była to filia opactwa w Morimundzie w Burgundyi, która i sama używała w sferach klasztornych tej nazwy (»Morimundus minor«), narodowości francuskiej. Jeszcze za czasów Długosza zachowywała ten charakter zagraniczny i prócz Francuzów i Włochów niełatwo dozwalała komu przystępu do swego grona. — W tym klasztorze przeżył Wincenty Kadłubek, były biskup krak. i znany kronikarz, lata swoje ostatnie.

4. Opactwo Oliwskie pod Gdańskiem, fundacya Subisława I księcia pomorskiego z roku 1170. Zakonnicy sprowadzeni z klasztoru w Kolbaczu na Pomorzu zachodniem — narodowości niemieckiej*.

5. Opactwo Lubiąskie (Leubus) n. Odrą na Szląsku, jedno z najlepiej uposażonych. Pierwotnie podobno benedyktyńskie, zostało na parę lat przed r. 1175 na nowo do życia powołane przez ks. szląskiego Bolesława Wysokiego i oddane Cystersom, z Schulpforte (n. rz. Salą) sprowadzonym. Narodowości niemieckiej**.

6. Opactwo Sulejowskie w Sandomirskiem, około r. 1176 założone przez Kazimierza Sprawiedliwego. Wywodziło się tak jak Jędrzejowskie z Morimundu w Burgundyi, więc narodowości francuskiej. Pierwotne czasy jego mało wyjaśnione, gdyż dokumenta najdawniejsze nieautentyczne.

W roku 1285 dla nieznanych bliżej przyczyn zgromadzenie to Cystersów na mocy uchwały kapituły zakonnej przeniesione do Byszewa (p. Bydgoszczą w WPol.), jednakże pewnie nie całe, gdyż klasztor Sulejowski istniał jednak i nadal. Obacz Kod. WPol. Nr. 2034 i Nr. 328, oba z roku 1285 (nie 1255, którą to mylną datę sprostowano w T. III tego Kodeksu str. 777).

7. Op. w Szpitalu (w ziemi Dobrzyńsk.), od roku 1253 Byszewskie, nakoniec w r. 1288 przeniesione do Smejsz czyli Koronowa (nad Brdą, 3 mile od Bydgoszczy). Początki tego klasztoru niewyjaśnione. Miało zacząć swoje istnienie we wsi Szpital n. Wisłą (Hospitale s. Gothardi in littore Vislae ex opposito

---

* Dokument erekcyjny, dopiero r. 1178 wystawiony, w Hasselbacha Kod. dypl. Pomor. Nr. 46. — Różne materyały do dziejów opactwa Oliwsk. mamy (po większej części po raz pierwszy oddrukowane) w Monum. Pol. w T. IV, V, a głównie w VI-tym.

** Cały komplet dokumentów dotyczących tego opactwa wydał Büsching. Urkunden des Kl. Leubus.

Wladislaviae, Kod. Rzyszcz. II Nr. 240). Żeby je tu fundował arcybiskup Bogumił († 1092), temu wierzyć trudno. Powstać musiało kiedyś później (c. 1183?). Stąd zostało przeniesione w roku 1253 do Byszewa, do świeżo wtedy założonego tu klasztoru przez komesa Mikołaja i ks. Kazimierza kuj.*. Nakoniec przeniósł je Wysław bisk. kuj. w r. 1288 do wsi swojej Smejsze, która przezwana została *Felix vallis* czyli Koronowo**. A Byszewo i wieś Szpital przeszła na własność sulejowskiej kongregacyi Cystersów w roku 1285. — Cały ten stosunek Sulejowskich, Byszowskich i Koronowskich Cystersów tak jest zwikłany, że chyba nowe jakie źródła rzecz tę wyjaśnić potrafią. (Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu posiada Annales coenobii Byssoviensis ab anno 1200—1400, pisane w początku XVII wieku przez Adama z Szadka, Ms. dotąd niedrukowany).

8. Op. Wąchockie w Krakowskiem, przez Gedeona biskupa krak. założone roku 1179 (Długosz). W języku klasztornym zwało się *Cella Mariae*, także *Camina minor* — nie wiem dlaczego, gdyż pierwsi tutejsi zakonnicy przybyć mieli z *Bella vallis* w Burgundyi. — Jeszcze za Długosza czasów zaludniali klasztor ten sami mnisi francuskiej (albo włoskiej) narodowości. Obacz Lib. Benef. III str. 400.

9. Op. Koprzywnickie w Sandomierskiem, w roku 1185 przez Kazimierza Sprawiedliwego założone jako odnoga Jędrzejowskiego czy też bezpośrednio Morimundzkiego. Jego nazwa łacińska — *Clara provincia*. Aż do Długosza czasów przystępne tylko dla osób pochodzenia romańskiego. — Cf. Kod. MPol. Nr. 495 i 497 z roku 1283 i 1284.

10. Op. Mogilskie w Krakowskiem, założone (pierwotnie we wsi Kacicach pod Słomnikami) w r. 1222, przez biskupa krakowskiego Iwona Odrowąża i stryjecznego brata jego Wysława (obacz Dyplomataryusz Mogilski). Nadało sobie nazwę klasztorną *Clara tumba*. Było filią lubiąskiego opactwa, a więc narodowości

---

* Przeniesienie to w r. 1253 do Byszewa jest poświadczone dokumentami w Kod. Rzyszcz. I Nr. 42 z r. 1253 (i Nr. 38 z r. 1251).

** Translokacya z Byszewa do Smejsz czyli Koronowa, opowiedziana pod r. 1288 przez Dług. Hist. II str. 494, jest poparta dokumentem z tego roku w Kod. Rzyszcz. II Nr. 462. — Mimo tego istniał i nadal klasztor w Byszewie, jak świadczą w Kod. WPol. NNr. 637, 655, 656, 830 i dalsze.

niemieckiej. (Przesiedlenie z Kacic do Mogiły zaszło jeszcze w roku 1226).

11. Op. Peplińskie w dzisiejszych zachodnich Prusiech — założone r. 1258 przez Sambora II, książęcia pomorskiego, w miejscowości Nowy Doberan (czyli Mons Mariae, Marienberg, gdzieś w okolicy Peplina), skąd przeniesione do Peplina roku 1274. — Zakonnicy narodowości pewnie niemieckiej. Przyszli z Doberan w Meklemburgii. — Materyały odnośne daje tom IV Mon. Pol.

12. Op. w Henrykowie (Heinrichau) na Szląsku, z r. 1227. Założył i uposażył je Mikołaj, kanclerz książęcia Henryka Brodatego. Filia Lubiąża — narodowości niemieckiej*.

13. Op. w Obrze nad Obrą w Wielkiej Polsce, fundowane przez Sędziwoja prałata gnieźnieńskiego w roku 1231, jako filia Łekińskiego opactwa, zawisła pośrednio od Altenberga, a zatem niemieckie. Kod. WPol. Nr. 130.

14. Op. w Paradyżu *(Paradisus Mariae)* w Wielkiej Polsce, w r. 1230 przez komesa Bronisza (Bronisius) założone dla mnichów sprowadzonych z Lehnina w Brandenburskiem. Niemieckie. Miejscowość ta dawniej nazywała się Gościchowo (Kod. Dypl. WPol. Nr. 126—129).

15. Op. Ludzimirskie, później Szczyrzyckie, pod Nowym Targiem w dzisiejszej zachodniej Galicyi. Filia opactwa Jędrzejowskiego, narodowości romańskiej, w roku 1234 przez wojewodę krakowskiego Teodora Świebodzica wzniesiona i dobrami nadana. Przesiedliło się do Szczyrzyc w pobliżu Ludzimirza już w r. 1243. Kod. MPol. Nr. 16 i 26.

16. Op. Kamienieckie (Kamenz) na Szląsku nad rzeką Nissą. Pierwotnie osada Kanoników regularnych Laterańskich z r. 1210. Dostało się w posiadanie Cystersom około roku 1249, sprowadzonym tutaj z Lubiąża**. Niemieckie.

17. Opactwo w Rudzie (Rauden) w górnym Szląsku. Filia op. Jędrzejowskiego z roku 1252; a więc narodowości romańskiej zapewne. Fundacya Władysława ks. opolskiego***.

---

* Początki i uposażenie klasztoru dokładnie opowiedziane w Liber Fundationis claustri s. Mariae in Heinrichau. Wydał Stenzel r. 1854 w Wrocławiu.

** Obacz wyżej str. 295, i Wintera Cisterzienser T. II str. 333.

*** Grünhagen Reg. Siles. II str. 13 i Nr. 1006. Obacz »Opactwo Rudzkie« przez S. J. w Kuryerze pozn. z r. 1882 numery listopadowe.

18. Op. Bledzewskie, pierwotnie Zembrskie (Semeritz) w Wielkiej Polsce, założone w roku 1260 przez komesa Eustachego. (Kod. WPol. Nr. 385). Wywodziło się z Doberługa w Łużycach niższych i nazywało się niekiedy w klasztornym swoim języku Nowy Dobryług. Było narodowości niemieckiej. Siedliskiem jego aż do r. 1410 c. był Zembrsk — potem Bledzewo.

19. Op. w Przemęcie (pierwotnie Wieleńskie) w Wielkiej Polsce. Powstało w r. 1278 jako kolonia Paradyża, a zatem narodowości niemieckiej. Założycielem był Beniamin wojewoda pozn. (Kod. WPol. Nr. 473). Aż do roku 1418 zostawało we wsi Wieleniu pod Wschową — wtedy przeniosło się do Przemętu. Nazwa klasztorna tej miejscowości: *Lacus Mariae.*

20. Klasztor w Jemielnicy (Himmelwitz) na Szląsku, założony około r. 1280 dla zakonników powołanych tu z Rudy. Filia przeto pośrednio Jędrzejowskiego opactwa i zapewne narodowości romańskiej. (Zbiór dokumentów w II t. Cod. dipl. Siles.).

21. Op. Krzesoborskie (Grüssau) nad Bobrem na Szląsku, w roku 1292 zajęte przez Cystersów z Henrykowa jako ich filia, fundowaną przez Bolka I ks. świdnickiego. List fundacyjny z r. 1292 w Grünhag. Regestach Nr. 2241. Zakonnicy narodowości niemieckiej. Klasztorna nazwa miejsca: Gratia s. Mariae virginis. — Annales grussovienses mamy w Mon. Polon. III str. 696*.

Klasztory żeńskie.

1. Trzebnica na Szląsku, fundacya z r. 1202, dla zakonnic z Bamberga sprowadzonych, dokonana przez Henryka Brodatego i jego żonę św. Jadwigę**. (Budowa kościoła i klasztoru, ukończona r. 1219, kosztowała 30.000 grzywien).

2. Ołobok pod Kaliszem 1213, założycielem był Władysław Odonicz, książę kaliski. (Kod. WPol. Nr. 81).

---

* W późniejszych wiekach przybyło Cystersom tylko na Litwie i Rusi kilka jeszcze klasztorów, mianowicie w Wistyczach 1675 (fundacya Tyszkiewiczów); w Olizarowym Stawie po łacinie *Clarus Fons* nazywanym (fund. podobno Komorowskich z r. c. 1710), i w Kimbarówce *(Vallis umbrosa)* 1711 roku. Tamże przybył w r. 1744 i żeński klasztor *(Vallis angelica).*

** Annales mon. Trzebn. w t. IV Monum. Pol. str. 6. — Bach: Geschichte von Trebnitz. — H. A. Schmidt: Gesch. d. Klosterstiftes Trebnitz. 1853.

3. Łubnica w Wieluńskiem. Klasztor Cystersek, założony przez rodzinę Klemensa Świebodzica kasztelana krak. fundatora Benedyktynek w Staniątkach, istniał tu już w roku 1245. (Kod. WPol. Nr. 244). Jeszcze przed r. 1250 nastąpiło połączenie tego klasztoru z klasztorem Ołobockim. Rezydencyą zakonnic była czas jakiś Łubnica (ibid. Nr. 281 z roku 1250). Niedługo jednak potem wróciły do Ołoboka, a Łubnica przestała być osobnym konwentem. (Cf. Kod. WPol. Nr. 407 i 214).

4. Owińska n. Wartą p. Poznaniem, fundacya Przemysła I z r. 1250. (Kod. WPol. Nr. 284 i 303). Zakonnice sprowadzone z Trzebnicy — czy dopiero w r. 1252? rzecz niepewna i Nr. 308 w tymże kodeksie bodaj autentyczny. (Podanie Długosza, Hist. II str. 292, jakoby założenie klasztoru tego zaszło już roku 1242, polega na jakiemś mylnem źródle).

5. Żarnowiec w gdańskiem Pomorzu koło Pucka, od Oliwy zawisły, fundacya podobno jeszcze z roku 1213 księżny pomorskiej Zwinisławy, matki Świętopełka II.

6 Klasztor Chełmiński w Prusiech zachodnich, z r. 1267.

7. Klasztor Cystersek w Toruniu, podobno 1311.

A zatem było wszystkich opactw i klasztorów cysterskich, tak męskich jak żeńskich, przy bardzo bogatem w dobrach ziemskich wyposażeniu, wogóle 28. Z tych przypada dla zakonnic siedm osad, a dla zakonników 21. Pomiędzy temi ostatniemi widzimy 14 miejsc zajętych przez mnichów niemieckiej narodowości. Dla Włochów i Francuzów było ich 5 niewątpliwie, co do dwóch zaś, t. j. Rudy i Jemielnicy na Szląsku, nie mam dostatecznej pewności; bo choć to były odnogi jędrzejowskiego opactwa, to jednak przy zniemczeniu późniejszem Szląska, niema to wielkiego prawdopodobieństwa za sobą, żeby się niemiecki żywioł z czasem powoli nie miał tam wcisnąć.

Zestawienie samych lat fundacyjnych dotyczących tego zakonu nastręcza ciekawe spostrzeżenia; daje bowiem z jednej strony widzieć dziwnie szybkie szerzenie się Cystersów po całej Polsce aż do roku 1280, z drugiej zaś strony zupełne (z wyjątkiem Prus i Szląska) odwrócenie się od nich kraju po roku 1280.

Premonstratensi.

Należą nakoniec do zakonów tej pierwszej doby współcześni prawie Cystersom, bo tylko mało co od nich początkiem swym młodsi, a także w Polsce rozpowszechnieni, Premonstratensi czyli inaczej Norbertanie.

Wywodzili się oni równie jak Kanonicy Laterańscy z reguły św. Augustyna; rzeczywistym jednak ich założycielem jako odrębnej frakcyi, był św. Norbert. Pierwsze ich zawiązanie się zaszło w roku 1121, w mieście francuskiem Prémontré (Praemonstrata) pod Laon, gdzie mieli nie tylko więc najstarszą, ale i na zawsze pryncypalną swoję siedzibę. Stąd też nazwa tego zakonu. Zatwierdzenie przez stolicę apostolską nastąpiło roku 1126. Był to rok, w którym Norbert na arcybiskupstwo w Magdeburgu postąpił († r. 1134 d. 6 czerwca).

Zakon Premonstratensów, w sprzeciwieństwie do reguły Cystersów, dopuszczał do wspólności zakonnej także braciszków (conversos, laików), a od Kanoników Laterańskich tem się różnił, że dozwalał i istnienia zakonnic. Co większa, w pierwszych początkach nawet było zasadą, żeby w każdym z tych klasztorów obok braci mieściły się (pod osobnym dachem, w klauzurze) i siostry. To połączenie męskich i żeńskich uczestników zakonu jednak już w kilka lat po zgonie założyciela odsłaniało pewne swoje niedogodności. Kapituła generalna już od roku 1140 zaczęła zalecać odrębne istnienie jednych od drugich, szło to jednak z oporem i mało gdzie tak zaraz zostało przeprowadzone. U nas w Polsce, gdzie fundacye dla zakonu tego poczynają się około r. 1150, wszystkie pierwsze tej reguły klasztory były mieszane czyli właściwiej może należy powiedzieć utrakwistyczne. Oddzielne, tylko żeńskie klasztory zjawiać się tu poczynają nie wcześniej jak około r. 1180, a nawet i po tym czasie zakładano u nas nowe konwenty dla płci obojga. Właściwie jednak nawet oddzielne zgromadzenia Norbertanek nie obywały się nigdy bez kilku zakonników, poza klauzurą mieszkających we wspólnem zabudowaniu. Kierownikiem żeńskiego konwentu i zawiadowcą jego majątku był zawsze praepositus czyli »proboszcz klasztoru«, a temu było przydanych i kilku innych Norbertanów do odprawiania nabożeństwa i obsługi duchownej tak sióstr, jak i wiernych poza klasztorem, na których oddziaływać w intellektualnym i moralnym kierunku zalecał statut zakonny.

Ponieważ więc na czele tych żeńskich zgromadzeń stał zawsze praepositus, zwano tedy klasztory panieńskie prepozyturami. Ale i z pomiędzy męskich niektóre mniej bogato uposażone poprzestawały na tym skromniejszym tytule. Wszystkie zato znaczniejsze mianowały się opactwami, a zwierzchnikami tychże byli opaci. Swem opactwem każdy opat rządził bezpośrednio; pośrednią zaś opiekę sprawował nad temi zgromadzeniami, bez różnicy czy to były opactwa czy prepozytury, które wyszły z jego klasztoru jako filie. Względem tych uchodził za »opata-ojca«. Sam zaś stał pod naczelnem zwierzchnictwem premonstrateńskiego opata, około którego jako generała zakonu zbierała się raz na rok kapituła generalna, złożona z przybywających tu na dni kilka opatów ze wszystkich krajów. — Z zasady osiadali Premonstratensi w pobliżu miast lub znaczniejszych osad, w pewnem zawsze oddaleniu od samej miejscowości. — Przywdziewali habit barwy białej, z takimże szkaplerzem, z materyi wełnianej*.

* * *

Zestawiam punkta przez Premonstratensów zajmowane, w chronologicznej ile możności kolei.

---

* Do historyi ogólnej zakonu Norbertanów jest dzieło pomnikowe, przez jednego z francuskich opatów premonstrateńskich imieniem K. L. Hugo wydane p. t. »Ordinis Praemonstr. Annales, pars prima. Monasteriologiam sive singulorum monasteriorum historiam complectens«. Ta część pierwsza (w 2 tomach in folio) wyszła w Nancy w roku 1734 i 1736; do publikowania drugiej części nie przyszło. Materyału do ułożenia tego dzieła dostarczyły autorowi zakony norbertańskie całego świata. Jedni tylko polscy opaci, z wyjątkiem ks. Wilkowskiego, opata hebdowskiego, odmówili mu swej pomocy, choć o nią przez 6 lat za pośrednictwem rozmaitych osób (1720—1726) ks. Hugo prosił i usilnie nalegał. Pisze o tem w przedmowie z wielką goryczą. To przyczyna, że z publikacyi tej dla nas mniejszy pożytek, niżby kto oczekiwał. — W dwadzieścia blizko lat później pojawiło się dzieło polskie opata witowskiego Ant. Józ. Daniela Kraszewskiego p. t. »Życie Świętych zakonu Premonstrateńskiego« i t d. Warszawa 1752. Jak sam tytuł opiewa, nie jest to historya zakonu, ale raczej zbiór żywotów, przeróżnych świątobliwych osobistości. Dołączył autor jednak pod koniec jako »Suplement« niejedno i dla dziejów przydatne (»O fundacyach i Fundatorach klasztorów polskich z historyków i manuskryptów zebrane«). Wiadomości przezeń podane są dość ubogie, pod krytycznym względem odpowiadające tylko wiekowi, w którym rzecz napisana. Ks. Kraszewski posiłkował się dziełem Hugona, ale na razie tylko tomem I części I,

Wyjątkowo co do tego zakonu, nie rozdzielam na osobne działy klasztorów męskich a żeńskich. Po największej części trudno jest orzec, czy który konwent był od samego początku dla jednej tylko, czy dla obojga płci. Zresztą stosunki te choć wiadome w czasie założenia, przekształcały się w dalszych latach. Nakoniec zgromadzenia żeńskie, jak się już powiedziało, nie były nigdy bez wspólności z zakonnikami w pewnej choćby nierównej ilości.

1. Najdawniejszą w Polsce, o ile wnosić możemy, prepozyturą Norbertanów a zapewne i Norbertanek, był klasztor św. Wawrzyńca pod Kaliszem, w miejscowości nazwanej z tego powodu Kościół czyli Kościelna wieś. Fundatorem (wedle Baszka) miał być Piotr Włast, tensam który w Wrocławiu Benedyktynów, a w Górze (pod Sobótką) Kanoników regularnych laterańskich założył. Czas założenia prepozytury tej niewiadomy. Zważywszy, że Piotr zszedł z świata w roku 1153 i że zatwierdzenie papieskie zakonu norbertańskiego przypada nie wcześniej jak na r. 1126, nie pomylimy się zapewne, jeżeli początek fundacyi pod Kaliszem zbliżymy ile możności do r. 1153, między 1146 a 1153.

Z wiadomych nam już powodów (obacz wyżej str. 289) zaszło przeniesienie tych Norbertanów z pod Kalisza do Wrocławia, do istniejącego tam od r. c. 1139 benedyktyńskiego opactwa św. Wincentego, około roku 1190, a przepędzenie zajmujących to opactwo aż dotąd Benedyktynów, pod Kalisz. Ponieważ benedyktyński odtąd klasztor pod Kaliszem zwał się w dalszych bliższych nam wiekach zawsze tylko praepositura s. Laurentii, a nie opactwem, wnosić z tego należy, że pewnie i przed r. 1190 nie było tam opactwa i że nie musiał też ów konwent należeć do najświetniej wyposażonych. Dopiero za przybyciem Norbertanów do Wrocławia,

---

gdyż II-go tomu wtedy pono w całym kraju naszym nie było. Starał się o pożyczenie go sobie z Wrocławia, ale go dostał, kiedy jego praca była prawie już ukończona. — Książka Fr. Wintera: Die Praemonstratenser des XII Jahrhunderts, Berlin 1865, nie traktuje o rzeczach dotyczących Polski. — Niepoślednią wartość posiada praca w tym przedmiocie najświeższa przez ks. Władysława Knapińskiego »Św. Norbert i jego zakon«, Warszawa 1884. Obrobiona gruntownie, źródłowo i w wysokim stopniu krytycznie, tak iż w niektórych tylko punktach odstąpiłem od jego zapatrywań.

przeszedł na nich tytuł opactwa, w następstwie tego że tu stanowisko takie po Benedyktynach zajęli.

Godzi się mniemać, że równocześnie z tem do Wrocławia przeniesieniem męskiego zgromadzenia zaszła i co do zakonnic ta zmiana, że im teraz przeznaczono inne miejsca pobytu, boć pod Kaliszem zostać i razem z Benedyktynami mieszkać nie byłaby im pozwalała reguła. Osiadły oneto zapewne w Strzelnie (na Kujawach) i tak zapoczątkowały około 1190 roku prepozyturę Strzelińską, o której niżej powiemy więcej. Naprowadza na ten domysł ta okoliczność, że opat Norbertanów wrocławski św. Wincentego uchodził przez całe dalsze wieki za opata-ojca nad Strzelnem, co przy wiadomem oddaleniu Szląska od Kujaw i przy odrębności politycznej obu tych ziem nie byłoby rzeczą możliwą, gdyby nie okoliczność, którą tu przypuszczam.

Opactwo wrocławskie św. Wincentego było przeto przedłużeniem tylko fundacyi podkaliskiej czyli kościelskiej i to powód, że czynię tu z nich obydwóch tylko jednę pozycyę*.

Supresya klasztoru Norbertanów wrocławskich zaszła w r. 1810. Dzisiejszy kościół św. Wincentego w Wrocławiu nie jest tym, przy którym opactwo to aż do r. 1529 istniało. Ten wznosił się gdzieś pod miastem, w roku 1529 został zburzony przez pospólstwo wrocławskie. W jakiś czas potem Norbertanie zajęli tu kościół po Franciszkanach, których także w roku rzeczonym z miasta wypędzono, lecz bez uszkodzenia kościoła.

2. Prepozytura w Zwierzyńcu pod Krakowem. Początek jej zasłaniają niepewne, nawet sprzeczne sobie podania. Podług jednych kościół św. Salwatora (Przemienienia pańskiego) w Zwierzyńcu, konsekrowany r. 1148, miał stanąć kosztem Piotra Własta. Podług drugich miał być fundatorem klasztoru Jaksa z Miechowa, a to za czasów biskupa krak. Mateusza, a więc między r. 1144

---

* Bulla protekcyjna Celestyna III z r. 1193 dla Premonstratensów wrocławskich jest w Kod. WPol. pod Nr. 31, a w Kod. MPol. w T. I str. 60. — Liber Mortuorum monasterii s. Vinc. mamy w T. V Monum. Pol. — Gesta abbatum s. Vincentii są publikowane w Stenzla Scriptores rerum Silesiacarum II.

Monografia o tem opactwie przez Görlicha »Urkundliche Geschichte der Praemonstratenser und ihrer Abtei zum heil. Vincenz vor Breslau« wyszła w 2 tomach r. 1836/41 w Wrocławiu.

a 1166*. Wypada zatem przyjąć czas powstania klasztoru na parę lat przed 1166, przy kościele już dawniej tu istniejącym, a wtedy zamienionym na klasztorny.

Równie zawikłaną jest kwestya, czy to był od razu klasztor żeński, czy i zakonników. Najdawniejszy zachowany dokument zwierzyniecki, z roku 1252 (Kod. MPol. Nr. 39), zdaje się świadczyć za utrakwizmem. I Długosz (Lib. Ben. III 58) mówi o założeniu fundacyi dla sióstr i braci. A zatem tak pewnie było w pierwszych czasach.

Później jednak, już w XIV wieku, była to niewątpliwie tylko rezydencya panien, pod prepozytem**. — Wyższa zwierzchność nad Zwierzyńcem należała do opata brzeskiego (czyli hebdowskiego).

3. Opactwo w Brzesku, później Hebdowskie, założone pewnie jeszcze przed r. 1166, pod Brzeskiem w dzisiejszej Galicyi niedaleko od Bochni. Była to wtedy wieś, ale z grodem i rezydencya kasztelana. Fundatorami być mieli jacyś dwaj panowie imieniem Strzeżysław i Wrócisław, a pozwolenie na to miał dać Bolesław Kędzierzawy († 1173). Pierwszy opat zwał się podobno Wojsław i miał umrzeć r. 1178***.

---

* Katalogi biskupów krakowskich, Mon. Pol. III str. 348 i 349. — Rok konsekracyi kościoła św. Salwatora podaje Rocznik kapit. krak. (Mon. Pol. II 798). Że go Piotr Włast zbudował, zapisał Długosz (Lib. Ben. III 58). Założenie klasztoru przez Jaksę odnosi tenże historyk do r. 1162 (Hist. II 59). W innem miejscu (w Lib. Ben.) łączy obydwa podania z sobą w ten sposób, że miał Jaksa kościół św. Salwatora wraz z parafią nie założyć, lecz wcielić do swego świeżo założonego klasztoru i że zaszła ta inkorporacya w r. 1191, za zezwoleniem biskupa kr. Gedka. Jednakże Jaksa zakończył życie jeszcze r. 1176. Więc r. 1191 jest tu chyba pomyłką zamiast 1171, gdyż rządy biskupie Gedka przypadają na lata 1166—1185.

** Dowodzi tego n. p. Nr. 311 z roku 1372 w Kod. MPol. i dalsze dokumenty. — Uposażenie prepozytury zwierzynieckiej w wieku XIII dokładnie jest przedstawione w Nr. 40 z roku 1254 Kod. kat. krak. Jest to przywilej Bolesława Wstydl. niewątpliwie autentyczny. Na tle tego dyplomatu powstał kiedyś znacznie później falsyfikat jakoby z r. 1256 (Kod. Rzyszcz. III Nr. 33), z taką interpolacyą, że to była fundacya panującej dynastyi, czemu wszystko przeczy.

*** Te wiadomości podaje bulla, wprawdzie poźna, lecz zasługująca na wszelką wiarę, Eugeniusza IV z r. 1442, zamieszczona w dziele Hugona »Annales ordinis praemon«. (I, w dodatkach na str. 636). Długosz (Lib. Ben. III 74) zapisał, że jacyś »proceres« za przyzwoleniem Iwona bisk. kr. (1218—1229)

Opat brzeski uchodził za opata-ojca nad opactwem witowskiem, płockiem, prepozyturą zwierzyniecką, buską i kilku innemi później założonemi. Ponieważ i Witów i Płock miały urządzenie w pierwszych czasach utrakwistyczne, przyjąć należy, że tensam stan rzeczy był z razu i w Brzesku. Później stał się tylko męskim konwentem.

Pierwsza obsada brzeskiego opactwa przybyła ze Strachowa pod Pragą czeską, gdzie dom tej reguły powstał jeszcze r. 1140. Przeniesienie z Brzeska do Hebdowa (w Proszowskiem) zaszło w XV wieku.

4. Opactwo Płockie. Początek Premonstratensów na przedmieściu płockiem dokładnie oznaczyć bardzo trudno, ponieważ ich kościół pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny przechodził poprzednio różne koleje. Założycielką tego kościoła była wdowa po wspominanym kilka razy w kronice Galla dostojniku Bolesława Krzywoustego Wojsławie Świebodzicu. Nazywała się Dobiechna, była córką Kiliana. Będąc bezdzietną, a mogąc rozporządzać kilku wsiami, które mąż jej przed śmiercią darował, obdarzyła niemi fundowany przez siebie kościół, konsekrowany przed wstąpieniem jeszcze na biskupstwo płockie Wernera (1157—1170), a więc za czasów poprzednika jego, biskupa Alexandra († 1156). Kościół ten w późne czasy zwany był od jej nazwiska kościołem Wojsławowej, ecclesia Woyslavae *. Przy konsekracyi tej świątyni rozporządziła Dobiechna, ażeby ta fundacya na wieki zostawała pod opieką i w zawiadywaniu biskupów pł. i kapituły. Orzec trudno, czy już sama fundatorka, czy może po jej już zgonie biskup Alexander, w każdym razie stało się to przed r. 1156, oddał ten kościół »czterem kanonikom i prepozytowi«. Ta stylizacya upoważnia do przypuszczenia, że tu mowa o Kanonikach regularnych Laterańskich, dla których zresztą biskup Alexander miał predylekcyę, był bowiem założycielem i ich konwentu w Czerwińsku. — Za wyniesieniem na biskupstwo jego następcy, Wernera, niewiadomo czy zaraz po 1156, czy do-

założyli brzeskie opactwo. Tak późny czas założenia ostać się nie może, ponieważ już w pewnym dokumencie z roku 1212 (Kod. MPol. Nr. 9) występuje między świadkami Walter opat brzeski. Biskupa Iwona wmieszał Dł. w sprawę założenia chyba tylko z tego powodu, że on za czasu swego biskupstwa obdarzył klasztor pawnemi dziesięcinami, o czem donosi i bulla.

* Jeszcze w dokumencie z r. 1237 (Kod. Mazow. Nr. 11) widzimy go tak nazywanym.

piero pod koniec jego życia (Werner † 1170), nastąpiła jednak ta zmiana, że ten biskup wprowadził do kościoła Wojsławowej »mnichów z ich opatem Bertoldem«. Zdaje się, że przez to rozumiani są już Premonstratensi, którzyby tedy od tego już czasu (przed r. 1170) zajmowali to w Płocku stanowisko, po usunięciu Kanoników. Skąd byli sprowadzeni ci Norbertanie, niewiadomo. Wnosić można, że z Brzeska; brzeski opat uchodził bowiem za opata-ojca w stósunku do płockich opatów: w takim razie przyjście Premonstratensów do Płocka niewieleby wyprzedziło rok zgonu biskupa Wernera, a założenie brzeskiej macierzy stawićby należało (jak to wyżej oznaczyłem) na kilka lat przed 1166.

Gospodarka pierwszych Premonstratensów w Płocku nie musiała być zupełnie wzorową, skoro wojewoda mazowiecki Ziro, wnuk wspomnianego wyżej Wojsława, lecz nie idący z Dobiechny, lecz z pierwszej jego małżonki (Kiełczówny), Dobiechna Kilianówna bowiem była drugą żoną Wojsława, zagarnął majątek tej fundacyi pod swój zarząd, i pomnożywszy go 5 wsiami, przez siebie przydanemi, oddał ją pod duchownym względem (quoad spiritualia) jakiemuś kościołowi w Halli*.

Stało się to w r. 1185, za biskupstwa już Lupusa (1171—1186), który widać nie bardzo się troszczył o tę fundacyę, skoro Ziro marnotrawstwo i nierząd podaje w swym dokumencie za przyczynę swej ingerencyi w tę sprawę. Jakie skutki pociągnęło za sobą poddanie klasztoru pod któryś kościół w Halli, nie jest wiadomo. Majątkowy zarząd dobrami po śmierci Zirona spoczywał w rękach i jego spadkobierców czas jakiś, aż dopiero biskup Gedko, pochodzący z tegosamego rodu, ale dbały o prawa biskupów, zaraz pewnie po objęciu biskupstwa (1207...), oddalił tych swoich krewnych od uroszczeń do opieki nad tą fundacyą, wykazując, że między nimi a fundatorką Dobiechną, jako drugą i bezdzietną żoną Woj-

* Wszystkich tych wiadomości zaczerpnąłem z dwóch dokumentów, nieznanych ks. Knapińskiemu, który z tego właśnie powodu inaczej przedstawia początek Norbertanów w Płocku. Jeden z tych dokumentów mamy w Kod. Mazow. pod Nr. 2. Jest to akt Gedka bisk. pł. bez daty, lecz z czasu między r. 1207—1223, w których Gedko piastował tę godność; powtórzony w T. IV Archiwum Komisyi Hist. str. 150. Drugi Zirona z roku 1185, zamieszczony w tymże tomie Archiwum, str. 287 Nr. 1. Obydwa autentyczne, więc wiadomości w nich podane wątpliwości nie podlegają.

sława, niema żadnej rodowej wspólności, i że biskupi płoccy sami jedni, z jej woli, są powołani do nadzoru nad jej legatem.

Klasztor płocki już od XIV wieku począwszy niewątpliwie był tylko żeńskim konwentem, poprzestającym na nazwie prepozytury Norbertanek, a raczej Magdalenek, tak je tu bowiem zwano od imienia patronki klasztornego kościoła*. Lecz w pierwszych czasach musiał uchodzić za opactwo i to obojga płci, skoro Gedko w swym dokumencie tak stanowczo mówi o opatach (Bertoldzie, a później Fulkoldzie) i o mnichach (monachi) sprowadzonych w to miejsce.

Dzisiejszy w Płocku kościół niegdyś Magdalenek, po ich zniesieniu w roku 1819 zamieniony na koszary dla wojska, nie jest tą świątynią, którą wystawiła Dobiechna. Ta istniała tylko do r. 1620. Między rokiem 1622 a 1633 zbudowano nową dla nich rezydencyę w miejscu dzisiejszem, o tyle dogodniejszem, że więcej zabezpieczonem od częstych wylewów Wisły.

5. Opactwo Witowskie (w Piotrkowskiem). Założycielem tej dla zakonników i dla zakonnic przeznaczonej fundacyi był Wit biskup płocki. Jeżeli ją wprowadził w życie jeszcze przed wyniesieniem swem na biskupstwo, co nie zaszło wcześniej jak około r. 1186, to w takim tylko razie mógłby być zgodnym z prawdą dziejową rok 1179 podany przez Kraszewskiego, który tu był opatem († 1758), jako rok fundacyjny tej kongregacyi. Pewnem to jednak nie jest. — Była to filia brzeskiego opactwa i pierwsi zakonnicy stąd wzięci.

6. Prepozytura Strzelińska (na Kujawach), klasztor od razu tylko żeński. — Chcąc dokładnie oznaczyć początek tego konwentu, należy rozróżniać kościół w Strzelnie, a klasztor z nim połączony. Klasztor nastał tu dopiero około roku 1190. Kościół zaś był tu konsekrowany jeszcze r. 1133 przez biskupa kujawskiego Świdgera, a to pod wezwaniem »św. Krzyża i Panny Maryi«. Fundatorem kościoła był Piotr, może ojciec a może brat starszy owego komesa Wszebora, podkomorzego księcia Kazimierza Sprawiedliwego, który w roku 1189 żył jeszcze, w r. 1198 już wspomniany jako zmarły, i którego synem był Piotr nazywany Stary (magnus), około roku 1176 wojewoda kujawski i kasztelan kruszwicki; tego zaś synem a wnukiem Wszebora był ów Krystyn

* Dokumenta n. p. z roku 1353, 1361 i t. d. (Kod. Rzyszcz II Nr. 297, I Nr. 123) ukazują to zgromadzenie jako niewątpliwie tylko z zakonnic złożone.

wojewoda mazowiecki, który przez księcia Konrada pozbawiony został wzroku i życia w roku 1217*. — Otóż ten kościół, od tak dawna już istniejący w Strzelnie, został około roku 1190 nadany Norbertankom, przeniesionym do tego miejsca w tym czasie z pod

* Szczegóły te genealogiczne, Piotra, Wszebora, Wszeborowicza Piotra i Krystyna dotyczące, dlatego z taką drobiazgowością zestawiam, ponieważ kwestya fundacyi kościoła i klasztoru strzelińskiego jest nawet dziś jeszcze niewyjaśnioną, rozmaicie a zawsze źle podawaną, a przez Długosza, którego miejsce w Hist. (I str. 547) jest głównem do tego źródłem, powikłaną została i pod innymi jeszcze względami. Przypuszczam że to miejsce opiera się co do głównych rzeczy na autentycznej jakiejś, czytanej przez Długosza zapisce; on ją jednak zwyczajem swoim chciał jak najzasobniejszą w szczegóły uczynić i dodatkami z własnej głowy popsuł, a przynajmniej zmniejszył jej wiarogodność. Co w niej uznaję za szczerą prawdę, podkreślam; reszta — to dodatki i po większej części pomyłki, z głowy dopiero historyka. *„Decimo septimo calendas aprilis 1133 Petrus* Dacus de Skrzin *fundat* monasterium et *ecclesiam* quadro lapide fabricat, ordinis Praemonstratensis *in villa sua Strzelno* Crusviciensis dioecesis. Cui quidem monasterio praefatam villam suam Strzelno contulit cum pluribus aliis in dotem in die *dedicationis ecclesiae* praefatae, *quam sub praesentia Bernhardi episcopi Lubucensis* et praefati comitis *Swidgerus episcopus* Crusvicensis *peregit, dedicando praefatam ecclesiam* monasterii *in honorem et titulum Sanctae Crucis et Sanctae Mariae Virginis«*. — Skoro wiadomy był Długoszowi rok, miesiąc i dzień dedykacyi, i pod jakim tytułem jej dokonano, i w obecności jakiego postronnego biskupa: więc musiał to wszystko wiedzieć tylko z zapiski, zwłaszcza że ów tytuł »św. Krzyża i Panny Maryi«, w kilkadziesiąt lat potem zastąpiony innym, zupełnie poszedł w niepamięć, a nasz historyk go jednak zna. Ale się pomylił, dodając do *Petrus* słowa, które z niego czynią wiadomego magnata szląskiego Piotra Własta czyli Duńczyka, słynącego jako założyciel 70 kościołów w wszelkich możliwych stronach kraju naszego. Równie także i w tem się pomylił, że z kościołem splątał i klasztor już pod tym r. 1133, i każe fundatorowi kościoła obdarzać go już w tym czasie wsią Strzelno, które rzeczywiście dopiero klasztorowi, a więc około r. 1190, przez Wszebora lub przez syna jego Piotra Starego mogło zostać nadane. — Rozpowszechniona w środku XII wieku u nas bajka o 70 przeszło kościołach i klasztorach fundowanych przez Piotra Własta sprawiła ostatecznie ten skutek, że prawie każdy gdziekolwiek w Polsce kościół starożytnej struktury uchodzi za jego budowę, a każdy Piotr, wspomniany w połączeniu z jaką dawniejszą fundacyą, koniecznie musi być Piotrem Własteem. W najczęstszych razach bajeczność takich podań nie daje się dowodnie wykazać; ale że strzeliński kościół nie miał z Własteem a raczej on z nim nic do czynienia, to leży jak na dłoni, gdyż wiadome są dalsze dzieje tego kościoła. — Ks. Knapiński całe powyżej przytoczone z Długosza miejsce odrzucił, a tylko z niego osobę fundatora klasztoru, t. j. Piotra Własta, jako rzecz wiarogodną przyjmuje. Skutkiem czego stawia początek klasztoru jako fakt dokonany jeszcze przed r. 1153, jako rokiem

Kalisza, gdzie we wsi Kościół przemieszkiwały razem z męskim konwentem, ten zaś konwent w tymże roku przeniósł się do Wrocławia i zajął tam opactwo św. Wincentego, aż dotąd Benedyktynów. (Obacz wyżej str. 310). — Niedługo po tych przesiedleniach, w r. 1193, otrzymała ksieni klasztoru Strzelińskiego z rąk papieża Celestyna III bullę protekcyjną dla swego zgromadzenia, a taksamo i Premonstratensi wrocławscy w tymże czasie (dzień przedtem) dla siebie uzyskują podobną (Kod. WPol. Nr. 32 i 31).

Kościół klasztorny strzeliński jeszcze około roku 1212 jest wspomniany jako »basilica in honore sanctae Mariae et s. Crucis«*. W parę lat potem albo zgorzał albo w inny jaki sposób uległ zniszczeniu ten kościół i został na nowo odbudowany przez Krystyna »jako patrona tej fundacyi i syna Piotra Starego«. Dedykacyi tego nowo odbudowanego kościoła, na prośbę tegoż wojewody mazow. dokonał w roku 1216 biskup kuj. Barto i otrzymała ta świątynia wtedy tytuł — zamiast dawnego — »sanctae Trinitatis et sanctae Mariae«. Te fakta są poświadczone dwiema zapiskami niezawisłemi jedna od drugiej, co do rzeczy zupełnie zgodnemi**. A. z całego tego przebiegu rzeczy wynika, że ani

---

zgonu tego Piotra. Dr. Ulanowski (O założeniu klasztoru Strzel. p. 146 i nast. Archiwum Komisyi histor. Akad. Um. t. IV) co do czasu założenia klasztoru zbliżył się więcej do prawdy, stawia to bowiem około roku 1185, ale rozumieć się zdaje, że i kościół razem z klasztorem powstał, a co gorsza, widzi fundatora klasztoru w synu Piotra Własta, którymto synem miał być ów Krystyn wojew. mazow. w r. 1217 pozbawiony życia. Tymczasem wiadomo przecież, że syn Piotra Własta zwał się Świętosław, zaś Krystyn był synem Piotra Starego Wszeborowicza. (Ojciec Piotra Własta zwał się taksamo jak i syn jego, Świętosław). — Dowodzą powyższych moich twierdzeń: 1. Co do Wszebora, miejsca odnośne w Liber Fraternit. Lubinensis Mon. Pol. V p. 577; w Lib. Mortuor. monast. Lubin. ibidem p. 648: w Kod. kat. krak. Nr. 4 z r. 1189; w Kod. WPol. Nr. 34 z roku 1198. — 2. Co do Piotra z epitetem Magnus, w r. 1176 wojewody kuj. i kaszt. kruszwic., że był Wszebora synem. Lib. Fraternit. Lubin. Mon. Pol. V p. 582; Lib. Mortuor. mon. Lubin. ibidem p. 615; Kod. WPol. Nr. 33. — 3. Co do Krystyna wojewody mazow., że zginął r. 1217, Rocznik kapit. krak. Mon. Pol. II p. 802, i Długosz Hist. II p. 203 sq. Że zaś był synem Piotra Starego, dowód tego podam niżej.

* Dokument Konrada mazowieckiego w Archiw. Komisyi Histor. Akad. Um. T. IV str. 116 Nr. 1.

** Jednę mamy wydobytą z archiwum niegdyś klasztornego przez Dra Ulanowskiego i zamieszczoną w co tylko cytowanem Archiw. Histor. T. IV str. 119 Nr. 5. Brzmi: »Anno 1216... ab episcopo kujaviensi Barthone felicis

kościół ani klasztor strzeliński nie zawdzięczał bytu swego rodzinie Piotra Własta, a tem mniej jemu samemu.

Odgadnięcie, że Norbertanki strzelińskie pochodziły z konwentu pod Kaliszem, jest godną uznania zasługą ks. Knapińskiego. Naprowadził go na to odkrycie Długosz, który jednak rzecz o tyle mylnie podał, że powiada (Hist. I 530), jakoby te zakonnice poprzednio były przemieszkiwały w Chalinie i stąd przybyły do Strzelna. Widać, że musiał mieć nasz historyk donoszące o tem źródło z niewyraźnie napisanym wyrazem »Chalis«, co czytał Chalin, zamiast Kalisz. Wieś Chalin jest na Kujawach, posiadała już za czasów Długosza parafialny kościół, ale klasztoru nigdy tam nie było żadnego *.

7. Prepozytura żeńska w Busku (w Krakowskiem koło Stopnicy). Ten klasztor wraz z kościołem Panny Maryi miał za fundatora brata biskupa Wita, imieniem Dersława, dziedzica Buska z przyległościami. Ponieważ zakonnice (z kilku braćmi dla obsługi kościelnej) były tu sprowadzone z Witowa, przeto czas założenia co najrychlej stawić można na r. c. 1190. O tem przybyciu ich z Witowa donosi nam sam Dersław w swym ciekawym testamencie, datą czasu nieoznaczonym, w każdym jednak razie w XII jeszcze wieku pisanym **.

---

memoriae... *patrono* Cristino *filio Petri* existente, consecrata est haec basilica in honore s. et individuae trinitatis et s. Mariae virginis«. Było to zatem pisane już po śmierci Barta († c. r. 1221). Druga zapiska się zachowała w Ms. królewieckim »Libri cancellariae biskupa Stan. Ciołka«, a brzmienie jej takie: »A. D. 1216 consecrata est eccl. Strzelnensis a vener. patre Barthkone episc. Kruszwicensi *ad petitionem Cristini, filii magni Petri comitis*... in honore s. Trinitatis et s. Mariae«. (Archiv für österreichische Geschichte, tom XLV p. 323). Ta notatka pochodzi widocznie jeszcze z czasu, kiedy Barto cieszył się życiem.

* Dokumenta dotyczące Strzelna zebrał Dr. Ulanowski i wydał razem niemal wszystkie w już pomienionem Archiwum Komisyi Hist. Akad. Um. T. IV, z cennemi uwagami krytycznemi i wiadomością o założeniu klasztoru. Liber Mortuorum strzelińskie jest drukiem ogłoszone w t. V Monum. Polon.

** Testament ten mamy w Kod. Rzyszcz. I Nr. 6. Mówi tu Dersław o biskupie Wicie jako jeszcze żyjącym († 1207); wspomina o niewolnikach i niewolnicach swej żony, co świadczy za wiekiem jeszcze XII, później bowiem już o niewoli u nas nie słychać. A zatem wydawca kodeksu nie rozminął się z prawdą, kładąc ten akt pod rokiem c. 1190. Podyktował to pismo Dersław, człowiek widocznie bezdzietny, w kościele swoim po odbytej spowiedzi, ks. Janowi,

Dalszymi uposażycielami Buskiej prepozytury byli brat fundatora, biskup Wit, za którego staraniem otrzymała ona od swego krakowskiego biskupa kilka dziesięcin, i dziedzic wsi Sławoszowa (pod Miechowem) imieniem Sławosz, który jej zapisał cały swój majątek w roku 1210*.

Że to był klasztor żeński, choć rządzony przez prepozyta, wynika z kilku dokumentów dotyczących tego konwentu**. W pierwszej ćwierci XV stulecia połączono z nim dwa inne żeńskie zgromadzenia, Imbramowickie i Krzyżanowickie, o czem później wspomnimy obszerniej.

Klasztor buski dotrwał aż do r. 1819. W tym czasie podległ kasacie.

8. Klasztor w Krzyżanowicach (w Sandomirskiem n. Nidą niedaleko Stopnicy). Czas założenia — podobno za panowania Leszka Białego (1206 — 1227); ale kto fundatorem, o tem zdania są różne. Bardzo wątpliwem mi się wydaje, żeby nim był sam ten książę, lub też syn jego Bolesław w r. 1254***. A wręcz za

---

który był pierwszym prepozytem tego klasztoru. Co znowu świadczy za przypuszczonym przez nas czasem tego aktu. Dersław wtedy wybierał się na wojnę. Nie spodziewał się wyjść z niej z życiem. Cały majątek swój zapisuje klasztorowi, który i przedtem już wyposażył, a to w następującej formie. Jeżeli żona jego po jego śmierci powtórnie pójdzie za mąż, dostanie z całego jego majątku jednę wieś. Jeżeli pozostanie wdową, dostanie dwie. Jeżeli wstąpi do buskiego klasztoru, jako mu kiedyś przyobiecała, otrzyma wszystkie jego włości, a gdyby obrała sobie inny jaki klasztor, wtedy nic nie dostanie. I brat biskup także odsądzony od spadku.

Wspominają różni autorowie o nagrobku fundatora klasztoru w kościele buskim z napisem na kamiennej płycie, że jako wojewoda sandomirski i starosta (!) krak. † roku 1241. Te daty nie zasługują na wiarę, jak się samo rozumie.

* Kod. Rzyszcz. I Nr. 7, dokument bez daty, ale z roku 1207. Ibidem Nr. 9 i 10, także bez daty, ale z przed r. 1210. Kod. MPol. Nr. 381 z r. 1210.

** Kod. Rzyszcz. I Nr. 9 z przed roku 1210 i Nr. 40 z r. 1252. Tak to i w Długoszu, Lib. Ben. III 85.

*** Długosz układając i uzupełniając dzieła swoje w różnych życia okresach, popełniał nieraz, w miarę coraz innych źródeł, z których czerpał, niekonsekwencye niezgodne z własnemi jego w innych miejscach twierdzeniami. Tak też i tu. W Lib. Benef. (III 103) zdaje się uważać Jaksę za założyciela, stylizując zresztą odnośny ustęp dziwnie zawile. O dwie stronice przed tem miejscem, a taksamo i w Historyi (II 348), wypowiada stanowczo, że fundacya Krzyżanowicka była dziełem Bolesława Wstydl. i weszła w życie r. 1254. Że

bajkę uważam tradycyę, jakoby klasztor krzyżanowicki był założony przez Jaksę z Miechowa, który przecież jeszcze roku 1176 życie zakończył. Skoro więc żadna z tych trzech w obiegu będących wersyi nie daje się utrzymać, poprzestać na tem należy, że funda-

---

się pomylił, nie potrzeba dowodzić; dość nadmienić, że samo to źródło, z którego niewątpliwie wydobył tę wiadomość, dostarcza dostatecznych punktów oparcia upoważniających do wniosku, że ta fundacya pochodzi z czasów znacznie dawniejszych. Tem źródłem był mu dokument Bolesława z r. 1254, który nas doszedł tylko w kopii, i to tak bałamutnej, jak żaden drugi dokument. Mamy go w Kod. Rzyszcz. T. I Nr. 44. Możnaby sądzić, że cudacka stylizacya tego aktu spada tylko na karb kopisty. Lecz już i Długosz musiał mieć do czynienia z tekstem taksamo niejasnym, i właśnie tylko dlatego go nie rozumiał. Ja myślę, że całe to pismo jest falsyfikat podrobiony w klasztorze, przez człowieka, który ustępy przejmowane z dawniejszych dyplomatów albo zapisek umiał odpisać, ale ich nie umiał związać, a to co do nich chciał dodać z swej własnej głowy, wyrażał w zdaniach, prawdziwie mnichowską łaciną i formą układanych, pozbawionych wszelkiego sensu. To i owo zatem w tej gmatwaninie pewnie będzie prawdą. Świeżo dorobione zaś miejsca są wręcz absurda. — Tłómaczę sobie możliwy powód tej całej roboty w następujący sposób. Klasztor krzyżanowicki otrzymał w roku 1253 od papieża Innocentego IV bullę protekcyjną (Kod. MPol. Nr. 442). Ta bulla, pomimo że klasztor należał do członków zakonu obojga płci, jest wystósowaną tylko do prepozyta i braci, a o siostrach wcale niema w niej mowy. Widać, że ów prepozytus postarał się w zmyślny jakiś sposób o taki właśnie układ tej bulli: wiedzieć bowiem należy, że w tych klasztorach mieszanych męska połowa konwentu zwykła była gospodarzyć dochodami, jak gdyby one do nich jedynie należały, o potrzeby zakonnic mało się troszcząc. O te ukrócenia swych praw często mniszki się skarżyły, działały jak mogły przeciwko temu — rzadko kiedy z dobrym skutkiem. Otóż rzeczona bulla z roku 1253, tak była ułożona, jakem powiedział, że zdawała się męskiej połowie zgromadzenia przysądzać całe prawo do majątku fundacyjnego, i nie dziw że czy to zaraz po jej przysłaniu, czy może w kilka lub kilkadziesiąt lat potem zapragnęły i zakonnice posiadać jakieś pismo, równie warujące ich uprawnienie. Tem pismem jest właśnie kwestyonowany dokument, a mojem zdaniem falsyfikat, opatrzony datą r. 1254. Poświadcza w nim nibyto panujący książę, Bolesław Wstydl., że w Krzyżanowicach »dispositione legitima« konwent panien Premonstratensek istnie. Ale to z takim zamachem, a tak niezdarnie stylizowanym i wręcz bezsensownym jest powiedziane (scripto praesenti, principali auctoritate, monasterium sanctimonialium inibi constituentes i t. d.), że można temu i sens taki podłożyć, że Bolesław dopiero niniejszym aktem w Krzyżanowicach te zakonnice osadza, a więc — klasztor dla nich zakłada (w r. 1254). I właśnie tak to Długosz rozumiał. — Na tem powiedzeniu jednak nie poprzestaje rzekomy wystawca dokumentu. Specyalizuje całe uposażenie, i to nie ryczałtem, nie w jednym ciągu, lecz ustępami, uwzględniając widocznie kolej czasów i pytanie, co kto dał. Więc nasamprzód po-

torem nieznana osobistość — z pierwszych lat panowania Leszka Białego.

Prepozytura w Krzyżanowicach w pierwszych wiekach swego istnienia była utrakwistyczna. Zakonnice pochodziły ze Strzelna, jak to Długosz zapisał (Lib. Ben. III 101), co się tem stwierdza, że opatem-ojcem nad niemi aż do roku 1416, tak jak nad Strzelnem, był opat św. Wincentego wrocławski. W tym czasie nastąpił rozdział tej kongregacyi. Siostry zostały translokowane stąd, równie jak i Norbertanki imbramowickie, do Buska*. W Krzyżanowicach pozostał praepositus z kilku zakonnikami oddzielnie, wyposażony trzema wsiami odebranemi mniszkom, pod zwierzchnictwem witowskiego opata jako opata-ojca. Trwało to tak aż do wieku XVIII, pod koniec którego (1781) wcielono tę męską prepozyturę do Hebdowa czyli jak się dawniej zwało, do brzeskiego opactwa**.

W roku 1819 cała ta grupa klasztorów, i Busk i Hebdów i Witów, podległy ostatecznej supresyi.

---

wiada, które wsi od niego samego klasztor dostaje: tych jest cztery, w części tesame, a między niemi i same Krzyżanowice, o których mowa już w bulli z roku 1253. A zatem nie teraz, nie r. 1254 dopiero mógł je Wstydliwy darować, ale chyba dawniej, jeżeli w ogóle coś z tego rzeczywiście od niego pochodziło. Potem podaje to pismo inne wsi »in eodem privilegio donatas«. Co to za idem privilegium? trudno dociec, bo o żadnym przywileju aż dotąd autor w niem nie wspomniał. Ale widać ze wszystkiego, że więc istniał jakiś już dawniej wystawiony temu klasztorowi dokument, o którym tylko przez przypadek teraz się dopiero dowiadujemy, jak gdyby o czemś już znanem. Co z niego tu przejęto, jest wyjątkowo sensowne i jasne, a nawet nacechowane takiem znamieniem dawności stosunków, że co najmniej do czasów Leszka B. odniesione być może. Dalej idzie wzmianka o wsiach (jest ich cztery), darowanych przez Pakosława wojewodę sandomirskiego. Wiadomo, że ten Pakosław zginął w r. 1241 pod Chmielikiem w bitwie z Mongołami. Zatem była to donacya z przed roku 1241, co dowodzi, że nie w r. 1254, ale już dawno przedtem klasztor powstał, a Pakosław czasu swego tylko uposażenie jego (może dawno przed śmiercią swoją) powiększył. — Z tego wszystkiego wynika, że Bolesław Wstydl. nie był fundatorem i że początek klasztoru rzeczywiście mógł sięgać w początkowe jeszcze czasy Leszka Białego, co też i stanowczo konstatuje w wieku XV Piotr, najwyższy arcy-opat premonstrateński, w pewnym swym manifeście (z roku 1416), który Długosz w całości przywodzi w swych Libri Benef. III str. 100.

* Długosz daje odnośne dokumenta, Lib. Ben. III 88, 98, 100. Stało się to koniecznością dlatego, że panny nie przestrzegały klauzury.

** Obacz ks. Knapińskiego dzieło wyżej zacytowane.

9. Klasztor Norbertanek w Żukowie (dziś Zuckau, półtrzeci mili od Gdańska). Założył go i bardzo wspaniale wyposażył Mestwin I ks. pomorski. Pierwsze przybycie panien zaszło r. 1210. Były wzięte ze Strzelna i installował je tu ich opat-ojciec, wrocławski zwierzchnik św. Wicentego. Po zniszczeniu kościoła i klasztoru w r. 1228 przez pogańskich Prusaków, odbudował je Świętopełk II, syn i następca fundatora, pomnażając dotychczasowe uposażenie* — Od czasu zaboru Pomorza gdańskiego przez Krzyżaków (1316) zaczął się klasztor ten chylić ku upadkowi. Nie odzyskał dawnej świetności i za polskich czasów, owszem coraz bardziej ubożał. Pod rządem pruskim (od r. 1773) postradał majątek swój ziemski, a w roku 1834 doczekał się ostatecznego końca.

10. Klasztor panien w Czarnowąsie, pierwotnie w Rybnikach (w górnym Szląsku). Założony roku 1211 przez księcia opolskiego Mieczysława I i małżonkę jego Ludmiłę (oboje † 1211). Ich kościół, w Rybnikach, był pod wezwaniem św. Salwatora, prawdopodobnie zatem wzięto pierwsze zakonnice z Zwierzyńca. Do uposażenia przyczynił się później biskup wrocł. Wawrzyniec, przekazując klasztorowi w r. 1223 kilka dziesięcin i inkorporując do niego kaplicę P. Maryi z całą dotacyą w tychże Rybnikach, konsekrowaną jeszcze przed r. 1198 przez Sirosława II, biskupa wrocł.**.

Przeniesienia Norbertanek rybnickich do Czarnowąsa dokonał w roku 1228 syn fundatorów, Kazimierz ks. opolski. Ten Czarnowąs (p. Opolem) nazywany był w ich klasztornym języku »Dom boży«, Domus Dei***.

---

* Dokumenta fundacyjne, jeden bez żadnej daty (ale z roku c. 1210), drugi z pomyloną (1209, zamiast 1229), daje Hasselbach w swym dyplomataryuszu pomorskim, p. 214 i 399. Konfirmacyjny przywilej Przemysława II z roku 1295, dający obraz całej dotacyi, mamy w Kod. WPol. Nr. 740. — Fragment »Menologii Zukowiensis« obacz w Mon. Pol. T. IV p. 140... Bliższe szczegóły o tym klasztorze podaje ks. Fankidejski: Klasztory żeńskie w dyecezyi chełmińskiej, Peplin 1883.

** Grünhagen, Regest. Nr. 266.

*** Grünhagen, Nr. 330. — Bulla dla nich protekcyjna Grzegorza IX z r. 1227 (Grünh. Nr. 320) była wydana jeszcze dla Rybnik. Tak ta bulla, jak i dokument Kazimierza z roku 1228 (Nr. 330), mówią tylko o żeńskiem zgromadzeniu. Od r. 1234 zaczynają dokumenta świadczyć o bytności w Czarnowąsie i zakonników, wziętych może z Wrocławia; to jednak trwało tam tylko

Prepozytura czarnowąska uchodziła za filię opactwa wrocławskiego, może z tego powodu, że prepozytów przysyłano jej stamtąd.

Kasata klasztoru nastąpiła r. 1810.

11. Klasztor panien w Dłubni, przezwanej później Imbramowice (w Krakowskiem, pod Olkuszem). Jego początek datować może z czasu między r. 1210—1220. Założyciel niewiadomy. Nie był nim Iwo biskup krak., choć w nim fundatora później upatrywano. On był tylko benefaktorem klasztoru; opatrzył go bowiem kilku dziesięcinami w r. 1228, a prócz tego i trzy wsi swoje dziedziczne mu podarował*. Domysł ks. Knapińskiego mógłby być trafny, że założycielem był wuj biskupa komes Imbram, właściciel Dłubni i patron istniejącego w niej już z dawniejszych czasów parafialnego kościoła. Wspomina Iwo w swym akcie z r. 1228 o nim jako już zmarłym i powiada, że z jego ręki i Dłubnię klasztor otrzymał i nadanie sobie kościoła owego jemu zawdzięcza. Jeżeli tak, to czegoż braknie do fundatorstwa? Stać się to mogło na kilka lub kilkanaście lat przed r. 1228.

Zgromadzenie zakonne było tu tylko żeńskie, pod prepozytem. A nawet bulla z r. 1229 wystosowana jest wprost do ksieni (abbatissa ejusque sorores). Miały one tu być wzięte z Zwierzyńca, tak przynajmniej to podał Długosz (Lib. Ben. III 106).

Porządek klasztorny i tu w XV wieku nie musiał być bez zarzutu, skoro za porozumieniem biskupa krak. z królem i z generałem zakonu postanowiono i przeprowadzono zasłanie całego tego konwentu do Buska. Stało się to w czasie 1416—1418 (Dł. Lib. Ben. III 88 i 98). W Dłubni, a raczej Imbramowicach, którato nazwa już w drugiej połowie XIII w. tamtę nazwę z użycia wy-

---

do r. 1282, choć sam kierownik klasztoru, praepositus, mieszkał z niemi i nadal, jak się samo rozumie.

Wszystek materyał archiwalny, dotyczący czarnowąskiego klasztoru zebrał Dr. Wattenbach i wydał w tomie I Cod. dipl. Siles. (1857). Ułożył i zarys jego dziejów: Geschichte des Klosters in Czarnowanz, w Zeitschrift des Vereins für Gesch. u. Alterthum Schlesiens, II (1858). — Nekrologium czarnowąskie dano tamże, I (1856).

* Dokument Iwona nadający dziesięciny. z r. 1228, mamy w Kod. kat. kr. Nr. 21. O trzech wsiach przezeń nadanych mówi bulla protekcyjna Grzegorza IX z r. 1229, w tymże Kod. Nr. 22.

parła, pozostał sam tylko prepozyt z kilku braćmi. Współczesny a świątobliwy Długosz mówi o nich z oburzeniem, że to próżniaki, pasibrzuchy, nikomu niepożyteczne... (ibid. p. 107). — W dalszych czasach widzimy w tem miejscu znowu konwent żeński: podobno wrócił w 70 lat po owem wypędzeniu do Buska. I cieszył się istnieniem w tej swej siedzibie aż do czasów ostatnich.

Wymieniliśmy jedenaście wogóle Zgromadzeń reguły św. Norberta, fundowanych w narodzie naszym w czasie największej u nas wziętości tego zakonu. Ta wziętość, jak się okazuje, nie trwała długo, mało co nad lat 70, od r. c. 1150—1220. Utrakwistycznych pomiędzy niemi było sześć, tylko żeńskich pięć. Największa ilość tych klasztorów przypada na Małopolskę: Zwierzyniec, Brzesko (Hebdów), Witów, Busk, Krzyżanowice i Dłubnia czyli Imbramowice. W Wielkiejpolsce istniały tylko dwa: Kościół pod Kaliszem (aż do r. 1190) i Strzelno. W Mazowszu prepozytura Płocka, na Szląsku Rybniki (Czarnowąs), na Pomorzu Żuków *. — Pomimo słabnącego w toku wieków znaczenia, dotrwały z małym wyjątkiem aż do początku obecnego stulecia.

* * *

II. ZAKONY RYCERSKIE I KRZYŻOWE.

Przechodzimy teraz do zupełnie odrębnego działu zakonów, o którym według porządku czasu — w zastósowaniu do Polski — mówić teraz dopiero kolej przychodzi, to jest do zakonów krzyżowych czyli jak je zwykle nazywają, rycerskich. Wzięły one pierwszy początek na Ziemi świętej, w Palestynie, w ciągu jeszcze stulecia XII. Były ich tam dosyć liczne odcienie, z których kilka zjawiło się później i w innych krajach mających

* W późniejszych wiekach przybyło jeszcze kilka klasztorów tej reguły, ale bez wybitnego znaczenia. W r. 1410 klasztor męski w N. Sączu, założony przez króla Władysława Jagiełłę (Dług. Lib. Ben. III 79, Hist. IV 8). — W roku 1609 klasztor żeński w Łęczycy, fundowany przez Mik. Szczawińskiego, kasztelana łęczyckiego. — W r. 1643 klasztor żeński w Krakowie (u św. Norberta), erygowany przez ksienią zwierzyniecką Dorotę Kątską. W roku 1646 kl. żeń. w Bolesławcu (n. Prosną p. Wieluniem), filia czarnowąska.

do czynienia z wrogami chrześcijaństwa; nas wszelako obchodzić mogą tylko cztery takie reguły: Miechowici, Templaryusze, Johannici i specyalnie w Polsce t. zw. Krzyżacy.

Zakony powyższe (z wyjątkiem Miechowitów) ani pod względem szkół i oświaty ani też w ogólnym cywilizacyjnym kierunku nie położyły wybitnych zasług. Ich zadanie zgoła ku czemu innemu zmierzało. Możemy przeto mówić tu o nich tylko pokrótce i poprzestać na tych jedynie szczegółach, które zdają się potrzebne do zaokrąglenia ciągłości całego tego rozdziału, poświęconego rozwojowi zakonnych instytucyi.

Instytucya Mnichów-rycerzy daje się pojąć tylko na tle miejscowych jerozolimskich stosunków.

Było w zachodniej Europie jak wiadomo zwyczajem zaraz od pierwszych początków chrześcijaństwa, podejmować z nabożeństwa pielgrzymki do grobu Chrystusowego. Wędrówki takie podlegały w owych wiekach niebezpieczeństwom, już to dla wielkiej odległości Palestyny i uciążliwej przez tyle mórz i lądów podróży, już i z tej głównie przyczyny, że Ziemia święta jeszcze w ciągu VII w. dostała się w posiadanie niewiernych. Nie bronili wprawdzie Saraceni bezwarunkowo zwiedzać tych miejsc dla każdego chrześcijanina tak drogich; jednakże opieki i obrony nie było, jeżeli komu przypadło popaść w jaką ciężką niemoc albo przygodę, niedostatek i inne podobne klęski, tak łatwo spotkać mogące każdego przychodnia z krajów dalekich, kiedy się zwłaszcza jest wystawionym na klimat tak ze wszech miar w porównaniu z własnym krajowym odmienny, na nieżyczliwość i chciwość obcej, fanatycznej ludności, z którą się tu stykać trzeba było codziennie, i na tysiączne tym podobne przypadłości, tak naturalne w każdej wędrówce, a cóż dopiero w tamtych stosunkach i wiekach. Ażeby tej potrzebie bodaj w części zaradzić, założyli kupcy włoscy z Amalfi, którzy utrzymywali stałe handlowe z Wschodem stosunki, na kilkadziesiąt lat jeszcze przed pierwszą wojną krzyżową, w Jeruzalem rodzaj zakonnego stowarzyszenia, które miało raz na zawsze utrzymywać u siebie szpital dla chorych pielgrzymów z włoskiego pochodzących narodu i wogóle opiekować się losem osób zwiedzających tę okolicę. Stowarzyszenie to powstało w roku 1048, działało od pierwszej chwili nader skutecznie w celu wytkniętym, otrzymało wszelako zatwierdzenie papieża Paschalisa II dopiero w ciągu rządów już chrześcijańskich w Jerozolimie, t. j. w roku 1113. Składało się całe

zgromadzenie tego zakonu z trzech stopni: z rycerzy, którzy zbrojnie popierać mieli cześć krzyża, z wyświęconych mszalnych księży, i z szpitalnych świeckich braciszków. Przybrali nazwę Braci Szpitalnych Jerozolimskich, albo inaczej Johannitów, a to od swego szpitalu, który stanął pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela jako patrona; później zaś rozsławił się ten zakon po całym i dalszym świecie pod nazwiskiem kawalerów Maltańskich, ponieważ począwszy od roku 1530 miał wielki mistrz tego zakonu rezydencyę swoją na wyspie Malcie i stąd zwierzchniczył naczelnie wszystkim domom tej reguły po rozmaitych narodach.

To zatem był pierwszy zakon oparty na instytucyi rycerskiej. Niezadługo wszakże znalazło się takich zakonów i więcej.

Wskutek doprowadzonej do skutku w roku 1096 pierwszej wojny krzyżowej, która trwała jak wiadomo aż do r. 1099, Palestyna przeszła w ręce chrześcijańskiego rycerstwa. Powstało królestwo Jerozolimskie, z zawisłem od siebie drugiem państwem, księstwem w Edessie. Naczelnikami tych państw byli książęta pochodzenia francuskiego. To dało powód do tem częstszych począwszy od tego czasu pielgrzymek do Ziemi świętej, szczególnie z Francyi. A ponieważ potrzeba troskliwej opieki nad tymi wędrowcami nie zdawała się być zupełnie uchyloną i w ówczesnych jeszcze okolicznościach, albowiem Johannici użyczali pomocy swojej prawie wyłącznie tylko Włochom, zawiązał się przeto w r. 1118 podobny także francuski zakon, którego główną siedzibą miało także być Jeruzalem. Uczestnicy tego zakonu, urządziwszy dom swój w pobliżu Salomonowej świątyni, przybrali nazwę »Milites templi Salomonis« (Templaryuszów) i uzyskali zatwierdzenie swojej reguły w r. 1128, od papieża Honoryusza II.

W tychsamych mniej więcej czasach powstał i trzeci, aż do pewnego tylko jednak stopnia podobny do tamtych zakon, który początkiem swoim podobno nawet jeszcze wyprzedził Templaryuszów: Bożogrobcy czyli »Kanonicy-Stróżowie grobu Pańskiego«. Zdaje się, że ci nie mieli żadnego znamienia narodowego, jako też nie przyswoili sobie tej rycerskiej troistej organizacyi, jaka stanowiła cechę Johannitów i Templaryuszów; zasadzali zaś całą swoję odrębność na zadaniu strzeżenia grobu Chrystusowego od możliwej w danych stosunkach profanacyi, w połączeniu z obowiązkiem utrzymywania i u siebie także szpitalu. Opierało się to stowarzyszenie głównie na regule św. Augustyna, podobnie jak

Laterańczycy i Premonstratensi, skąd też jego nazwa Kanoników, a nie rycerzy. Zawiązek jego pierwszy w Jerozolimie miał zajść w roku 1100. W potocznej mowie zwano później tych zakonników Miechowitami, ponieważ centralnem ich ogniskiem stał się później, jak się niżej opowie, nasz Miechów.

Czwartym zakonem tejże kategoryi byli nakoniec Krzyżacy, jak my ich pospolicie zowiemy, a właściwie »Bracia rycerze niemieccy szpitalu Jerozolimskiego Panny Maryi«, albo »Bracia niemieckiego szpitalu P. Maryi w Jerozolimie«. Pierwszy zawiązek tych tak rozwielmożnionych później w Prusiech mnichów szablistych zaszedł podobno jeszcze w r. 1128, w którym zaprowadzono i dla opieki nad pielgrzymami niemieckiej narodowości w Jeruzalem szpital utrzymywany przez zakonników, rekrutujących się z Niemiec. Właściwa rycerska jednak organizacya tego stowarzyszenia przyszła do skutku dopiero później, mianowicie przy sposobności trzeciej krucyaty (1189 — 1192). Tej krucyacie przywodził jak wiadomo Fryderyk I, cesarz niemiecki. Została podjętą wskutek upadku Jerozolimskiego królestwa i zajęcia tej stolicy przez Saladyna w r. 1187. Chodziło tedy o odzyskanie tego miasta z rąk Saracenów, czego się jednak mimo największych wysileń przeprowadzić nie dało. Cała wyprawa poprzestać musiała na zdobyciu twierdzy Akkon — i w temto mieście zaprowadził w r. 1190 Fryderyk książę szwabski, syn cesarza Fryderyka I, troistą mniszo-kapłańsko-rycerską reorganizacyę owego stowarzyszenia dotychczasowych niemieckich szpitalników jerozolimskich, z przeznaczeniem założenia głównej rezydencyi swojej odtąd w Akkonie — na co wszystko uzyskano w roku 1191 zatwierdzenie papieża Klemensa III.

W takito sposób powstały cztery powyższe zgromadzenia zakonne. Trzy z nich były rycerskie, a wszystkie cztery krzyżowe, jako wywołane do życia przez to starcie się Zachodu z księżycem w obronie Krzyża i odznaczone też widomie tem znamieniem na płaszczach swoich. Johannici nosili habit czarny z białym krzyżem wiadomej formy na piersiach. Stróżowie grobu pańskiego (Miechowici) mieli czerwony krzyż i to podwójny, wyszyty na czarnym płaszczu, z lewego boku. Templaryusze przywdziewali płaszcz lniany biały, z czerwonem krzyża znamieniem. A niemiecki krzyżak chodził w kaftanie (Waffenrock) czarnym pod płaszczem białym, opatrzonym czarnym krzyżem nie tylko z przodu, ale i z tyłu, na kapicy. Wszyscy oni — w myśl pierwotnej reguły

swojej — zaprzysięgali jako zakonnicy ślub ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i miłosierdzia nad chorymi i potrzebującymi pomocy. Ci z nich, którzy jak Johannici, Templaryusze i niemieccy Krzyżacy, łączyli z tą zakonną organizacyą i charakter rycerski, dodawali do tego ślubu jeszcze i ślub zwyczajny rycerzy: rozciągać opiekę swoją nad wdowami i sierotami, cześć kobiet, mówić zawsze prawdę, brzydzić się fałszem i krew przelewać za kościół i wiarę chrześcijańską, gdzie się tylko sposobność do tego zdarzy.

Pomimo brzmiących tak szczytnie zadań, pomimo ogromnej sławy wojennej, jaką sobie wszystkie trzy rycerskie te zgromadzenia zjednały w pierwszych czasach swego istnienia na Wschodzie, wiadomo że zakony rzeczone mało przyniosły światu i Kościołowi pożytku. Racya ich bytu podcięta im pod stopami została zbyt wcześnie. Już w roku 1187 przeszło państwo jerozolimskie napowrót pod panowanie księżyca. Akkońskie, ostatnie jakie było w rękach Chrześcijan na wschodzie, runęło r. 1291. Zakony jerozolimskie ujrzały się w bardzo trudnem położeniu i wykonywać celów swoich bez wystawienia się na wielkie niebezpieczeństwo prawie wcale nie mogły. Przez pierwsze lat kilkadziesiąt po pierwszej klęsce, trwała jeszcze nadzieja, że chrześcijaństwo zachodnie połączonemi siłami wznowi znowu panowanie swoje w tych stronach sobie wydartych. Zaczęto jednak już z początkiem XIII stulecia tracić coraz więcej ową nadzieję i takto do tego przyszło, że pod koniec tego wieku, w roku 1291 i następnych, wszystkie owe zakony wyniosły się cichaczem jeden za drugim ze Wschodu, aby się szerzyć z wielkim trzaskiem i blaskiem, gdzie nie było ani grobu Chrystusa, ani zajęć około niego, ani pielgrzymów, dla których się stawiać miało szpitale, ani Saracenów, z którymiby się walczyło — aby się szerzyć, gdzie im żyć było wiele wygodniej: we Włoszech, we Francyi, w Niemczech, Anglii, Polsce i całej Europie, wszędzie tu bowiem przyjmowano ich z uniesieniem. Zakon Templaryuszów tak się tu niezadługo rozszerzył, że w początku XIV stulecia liczył po różnych krajach do 9000 domów swoich klasztornych, a sama ilość jego rycerzy dochodziła liczby 20.000. Jakiej potęgi dosięgnął zakon Krzyżaków po owładnieniu Prus: to wiadome z dziejów każdemu. I Johannici wzrośli w znaczenie, zwłaszcza od czasu, kiedy ich wielki mistrz jak jaki książę udzielny zajął (r. 1310) w posiadanie Rodus, z którejto wyspy miał się później przenieść na stanowisko jeszcze wspanialsze, na

Maltę, gdzie od roku 1530 panował w charakterze rzeczywistego suwerena tej wyspy. Wszystkie te jednak powodzenia tak świetne nie powstrzymały — owszem, oneto właśnie przyspieszyły stanowczy rozkład, a przynajmniej zwyrodnienie moralne w łonie tych stowarzyszeń, które mianowicie u Templaryuszów i Krzyżaków poczyniło postępy tak wczesne i tak olbrzymie, że kiedy się porównywa to, czem oni byli, z tem czem być byli powinni w moc przepisów własnej swojej reguły: to się widzi sprzeciwieństwo zakrawające na prawdziwą ironię. I ściągnęło to też na jeden z tych zakonów, na Templaryuszów, aż zbyt rychło katastrofę, która była okropna. Na soborze powszechnym w Vienne r. 1312 wyrzeczono kasatę całego tego w Europie zakonu; ich majątek albo uległ konfiskacie publicznej, albo przekazany został na własność Johannitów: wielu z członków zgromadzenia zginęło we Francyi po więzieniach lub na torturach, a ich wielki mistrz zakończył w Paryżu życie na stosie i to wśród płomieni powolnych, aby okrucieństwo kary było tem sroższe (1314). Krzyżaków niemieckich ocaliła od podobnego losu nie tyle może ich bezprzykładna w dziejach zręczność polityczna, nie wahająca się przed użyciem najniegodziwszych środków dójścia do celu, ile stała nad nimi opieka niemieckiego cesarstwa wobec stolicy apostolskiej. Ostatecznie jednak sam ten zakon położył kres swemu istnieniu w czasach reformacyi. Jedni tylko Johannici dotrwali przy samoistności swojej do późnych czasów, nie dając powodu do publicznego zgorszenia, przeciwnie pozyskując i w dalszych czasach niejednę świetną kartę w swych dziejach. Lecz i tu były to czyny tylko rycerskie, zupełnie świeckiej natury, a z zakonnictwa zostały tylko czcze formy.

* * *

Tyle o zakonach tych w ogólności. Co się tyczy ich rozpowszechnienia w Polsce, to początek tego faktu przypada w części już na drugą połowę wieku XII. Jakkolwiek bowiem powiedziało się wyżej, że ostateczne opuszczenie Palestyny przez pomienione zakony — w osobie najwyższej ich władzy — przyszło do skutku dopiero w samym końcu XIII stulecia (wielki mistrz Johannitów osiadł na wyspie Cyprze w r. 1291, miawszy aż dotąd rezydencyę w Akkonie; wielki mistrz Krzyżaków przeniósł się z tegoż grodu w tymże roku 1291 do Wenecyi na razie; a wielki mistrz Templaryuszów poszedł w ich ślady r. 1298 i obrał sobie równie jak

Johannici Cypr na miejsce pobytu): — to jednak początek szerzenia się w Europie filialnych osad tych wszystkich reguł przypada już na czasy znacznie wcześniejsze, kiedy jeszcze byt tych instytucyi w pierwotnem miejscu działania nie był zachwiany. Tosamo zaś rozumieć trzeba także o Bożogrobcach, o których pomówimy nasamprzód.

Bożogrobcy miechowscy.

Czy w wielkich, głośnych w historyi krucyatach mieli jaki i polscy rycerze udział, tego nie zapisały dzieje. O jednym tylko takim wypadku wątpić nie można, mianowicie że Władysław, najstarszy syn Bolesława Krzywoustego, zmuszony w roku 1146 do ustąpienia z kraju, z znacznym pocztem »lechickiego« rycerstwa towarzyszył w r. 1147 Konradowi III królowi niemieckiemu w jego wyprawie do Palestyny, wspólnie z Ludwikiem VII francuskim podjętej, t. j. w drugiej z porządku wojnie krzyżowej*. Natomiast w przeciągu czasu między drugą a trzecią krucyatą podjęły że tak powiem prywatnie, na własną rękę, wędrówkę do grobu Chrystusowego dwie osobistości narodu naszego: w roku 1154 Henryk ks. sandomirski, a w niewiele lat później (1162) znany w rocznikach polskich magnat imieniem Jaksa z Miechowa. Nie sądzę, żeby to były wyprawy zbrojne: raczej je uważać należy za pielgrzymki, za peregrynacye zwyczajne z pobudek religijnych przedsięwzięte. Mając już wracać do domu w tymże r. 1162 czy 1163 ów Jaksa, zabrał ze sobą jednego członka zakonu »Stróżów grobu Chrystusowego« z Jeruzalem do Polski, z zamiarem ażeby w swoim Miechowie założyć podobny szpital. I dokonał tego zamiaru, uposażając klasztor zapoczątkowany w ten sposób trzema wsiami swojemi, Miechowem, Zagórzycami i Komorowem. Tę donacyę zatwierdził Bolesław Kędzierzawy, a po nim i następni książęta małopolscy, darząc ją znacznemi swobodami. A po Jaksie znalazła się w toku czasu aż do roku 1198 jaka trzydziestka rożnych innych benefaktorów, biskupów i panów świeckich, którzy uposa-

* Kinnamos, współczesny bizantyński historyk, Ἐπιτομὴ τῶν κατορθωμάτων, ks. II rozdź. 18. Połączyć z tem, co podaje Baszko, Mon. Pol. II str. 523, I urywek Rocznika gnieźnieńskiego Mon. Pol. III 43.

żenie pierwotne miechowskich zakonników nader znacznie powiększyli*.

Klasztor miechowski, jak był pierwszym tej reguły w Polsce i najbogaciej uposażonym w włości i przywileje, tak też i pozostał aż do końca centralnym punktem tego zakonu. Tu stąd rozszerzyli się ci zakonnicy potem nie tylko w naszym, ale i w innych niektórych krajach. Praepositus (proboszcz) miechowski miał znaczenie generała zakonu, którego członkowie właśnie przeto bywali i poza Polską nazywani Miechowitami. — Działały zgromadzenia tej reguły zresztą wszędzie, gdzie istniały, równie użytecznie, jak każdy drugi konwent z nierycerskich: trudniły się w polskich swoich klasztorach dość gorliwie naukami, wydały z siebie wielu mężów uczonych, istniał w Miechowie znaczny księgozbiór, w którym wiele być miało dzieł dawnych rękopiśmiennych, pióra własnego tych mnichów; nie zapominali też i o głównym swym obowiązku rozciągania opieki nad cierpiącą ludzkością. — Więc nie należy do nich tego stósować, com w ogólności o zakonach krzyżowych, a właściwie tylko o Krzyżakach i Templaryuszach powiedział.

---

* O tym początku klasztoru i losach jego dalszych aż do końca XII stulecia powiadamia nas dokładnie bulla patryarchy jerozolimskiego Monacha z roku 1198, w którym tenże wszystkie nadania poczynione klasztorowi aż do owego czasu szczegółowo wymienia i potwierdza. Mamy ją w Kod. MPol Nr. 375, a w WPol. Nr. 34. — Czas założenia w roku 1162 lub 1163 polega na datach wszystkich najdawniejszych roczników. Poszedł za niemi i Długosz (Hist. II str. 59); w Libri Ben. jednak (III str. 3) położył rok »1180...«, co wręcz niemożliwe. Albowiem Jaksa umarł r. 1176, a Bol. Kędzierzawy 1173.

Dyplomaty dalsze dotyczące Miechowa są zebrane w komplecie w Kod. MPol. T. II i III, o ile do Małopolski ściągają się. — Historya Zgromadzenia przedstawiona jest w wybornem jak na swoje czasy dziele Samuela Nakielskiego, członka tego zakonu: De sacra antiquitate et statu ordinis canonici Custodum s. Sepulchri Domini hierosolymitani libri tres. Kraków, 1625; i Miechovia sive Promptuarium antiquitatum monasterii Miechoviensis... Kraków, 1634 (właściwie 1647). W pierwszem opowiada autor przeszłość Zakonu w epoce jego przedpolskiej — w drugiem bardzo szczegółowo przechodzi dzieje klasztoru miechowskiego, które doprowadza aż do roku 1646. Wszystko oparte na źródłach i dokumentach, za jego czasu jeszcze przechowywanych w tamtejszem archiwum. — Jest też prócz tego rzecz »O początku, rozkrzewieniu i upadku Zakonu księży Kanoników Stróżów św. grobu Jerozolimskiego« przez ks Piotra Pękalskiego, ostatniego tej reguły zakonnika w Polsce i pewnie na świecie, Kraków, 1867.

W innych (poza Małopolską) dzielnicach naszych zdobywali sobie Bożogrobcy stanowiska mniej więcej w następującej kolei:

Na Szląsk, do Nissy zostali powołani przez biskupa wrocł. Sirosława II w roku 1190. W tych też czasach mieli już posiadać jakieś włości koło Bytomia (w Opolskiem) i w Białobrzeziu*. — W Wielkiejpolsce otrzymali szpital w Gnieźnie, uposażony około 12 wsiami, który oddawna (1179?) już tam był utrzymywany, lecz celowi nie odpowiadał, w roku 1244 z ręki księcia Wpolskiego Przemysła I**. — W Z. Dobrzyńskiej założyli dla nich szpital książęta dobrzyńscy Władysław i Bolesław (synowie Ziemowita) w roku 1323 w Rypinie. Pierwotne z ich ręki uposażenie, bardzo skromne, pomnażali później inni dobrodzieje***.

Inne jeszcze posiadłości i miejsca działania Miechowitów, o ile mi wiadome, były następujące:

Uniejów (od r. 1214). Reichenbach na Szląsku, 1315. Frankenstein szląski, c. 1320. Wyszogród, Rębów i Rawa w Łowickiem, c. 1320. Koło w Wielkiejpolsce, 1325. Sumin w ziemi Dobrzyńskiej, przed 1325. Kraków (klasztor św. Jadwigi na Stradomiu), 1351 czy 1360. Sempelborg (Sępolno) w Krainie za Notecią, 1360. Przeworsk na Rusi czerw. 1396. Leżajsk tamże, 1400. Żarnowiec pod Miechowem 1404. Sieradz 1417. Budałowice pod Jarosławiem na Rusi Czerw. 1446. Orzechowice 1411 i Giedlary 1439, w tejże prowincyi. Łęgonice (w w. XV).

Prócz tego mieli jeszcze założone w niewiadomych mi czasach klasztory te:

Chodów, Skaryszew, Sokołów, Wocieryż w Małejpolsce. Pyzdry w Wielkiejpolsce i Chełm (wieś). Grodzisk w Kaliskiem. (Czy byli i w Sandomierzu?).

A zatem czas ich szerzenia się: od roku 1163 aż po koniec XV wieku.

---

* Grünhagen, Regesten Schles. Nr. 45, 56 i T. I p. 53.

** Kod. WPol. Nr. 238. Nie zdaje się, żeby to był ten szpital, który (jak się to niżej opowie) także w Gnieźnie jeszcze r. 1232 był fundowany dla Templaryuszów przez Władysława Odonicza. Wsi obydwóch instytucyi, wiadome nam z nazwy, były różne.

*** W dyplomatarzyku Ulanowskiego (Archiwum komisyi historycz. T IV) Nr. 18 na str. 303. Dalsze nadania z r. 1325—1355 dano tamże na następnych stronicach. — O klasztorze w Suminie obacz tamże Nr. 20 na str. 305.

Johannici.

Właściwa pierwotna nazwa tego zakonu »Fratres Hospitalis beati Joannis Baptistae Hierosolimitani«, przyjęta przy zawiązku jego w Jerozolimie, a to od kościoła tamże pod tem wezwaniem, później (1530) dopiero zamienioną została na miano Kawalerów Maltańskich. Pierwsze przybycie ich do Polski przypada na r. 1154 czy 1155, w którymto czasie, jak się już wyżej wspomniało, ks. Henryk Sandomirski pielgrzymkę swoją do Ziemi świętej odprawiał i kilku tych zakonników ze sobą przywiózł. Osadził ich we wsi swojej Zagościu (koło Stopnicy). Ostateczne uposażenie jednakże przydzielił im nie wcześniej jak w r. 1166 czy 1167*. Nadał im Zagość ze znacznym wokół obszarem, na którym sobie później ci zakonnicy kilka wsi założyli, tak iż to ich tam wyposażenie stało się z czasem wcale dostatnie.

---

* Dokument fundacyjny zachował się w oryginale do czasów naszych (Kod. Rzyszcz. III Nr. 4). Jest wystawiony bez daty czasu. Wydawca kodeksu odniósł ten akt do roku 1153, w każdym razie mylnie; nie tylko przeto, że podług wszystkich naszych najdawniejszych roczników podróż Henryka do Palestyny dopiero 1154 przyszła do skutku, ale co najważniejsza, że sam tekst tego dokumentu o tem świadczy, że dopiero w kilkanaście lat po tej wędrówce i osadzeniu Johannitów w Zagościu został wydany. Mówi to bowiem Henryk: że już dawno ślubował w jednej ze wsi przeznaczonych dla tej fundacyi zbudować kościół na cześć św. Jana Chrzciciela, jednakże zamiaru tego, innemi zajęty sprawami, w t e d y k i e d y j e s z c z e m ó g ł t e g o d o k o n a ć, niestety nie uskutecznił; wskutek czego teraz dopiero niniejszym zapisem dopełnia, czego zaniedbał. Widać z tego, że wystawiał Henryk zatem to pismo w jakiejś ciężkiej dla siebie chwili, jeżeli nie w niebezpiecznej chorobie, to najprawdopodobniej wybierając się na wojnę z Prusakami pogańskimi, z której rzeczywiście nie wrócił. Poległ tam w roku 1167, jak zgodnie zapisują roczniki (Mon. Pol. II str. 775, 798, 833 i t. d.). Dokument a raczej zapiska, dana w Kod. kat. krak. jako Nr. 1, podaje wprawdzie zgon Henryka sand. pod r. 1166; sam jednak wydawca tego kodeksu przyznaje, że nie mogła być ułożoną wcześniej, jak w końcu XII lub początku XIII wieku. Rocznikom zatem co do tego szczegółu więcej wiarę dawać należy. Tak więc i dokument zagojski najpewniej dopiero w roku 1167 sporządzony został. Że wszystkie nadania w nim zawarte także z tego dopiero czasu pochodzą, a nie z r. 1155, na to wskazują ciągle się tu powtarzające czasy teraźniejsze (d o d u a s v i l l a s, d o e t i a m Z a g o s t, d o q u o q u e o v e s, d o t a b e r n a m, a d d o c a s t o r e s i t. d.), a nie perfecta, jakby być musiało, gdyby tu były rekapitulowane donacye z przed r. 1167.

Z tego punktu w Małopolsce szerzyli się w dalszych latach Johannici i po innych naszych prowincyach. Nie zamierzam i braknie mi materyału do tego, żebym wymienił wszystkie ich posiadłości; poprzestanę na wskazaniu kolei, w jakiej nadawano im główne stanowiska działania w różnych stronach kraju polskiego, a także pogranicznych*.

W roku 1170 przybyli do WPolski**. W tym roku oddał im Mieczysław Stary z porady bisk. pozn. Radwana szpital w Poznaniu, świeżo przez siebie tu założony przy kościele (już z lat dawniejszych istniejącym pod miastem) pod wezwaniem św. Michała. Wyposażył tę fundacyę dziewięciu wsiami, których nazwy (dziś po większej części zmienione) zachował nam Długosz. Do tego nadania Radwan dziesięciny z tychże wsi i z siedmiu innych przyczynił. To stanowisko w Poznaniu pozostało w późne czasy centralnym domem tego zakonu w wielkopolskiej dzielnicy. Zachowała ta fundacya nazwę »św. Michała« aż do w. XV. Wtedy został dawny ten kościół przebudowany i zaczął się odtąd nazywać kościołem św. Jana Jerozolimskiego, którąto nazwę ma i dziś, poprzestając jednak od czasu zaboru pruskiego na znaczeniu tylko parafialnego

---

* Z dawniejszych robót w przedmiocie przeszłości tego zakonu, głównie zasługuje na uwagę Adr. Krzyżanowskiego Zarys dziejów zakonu Maltańskiego w Polsce, wydany w Album Warszawskiem na rok 1845. Rzecz jednak nie doprowadzona do końca, urywa się na roku 1525. Jest dzieł kilka o Johannitach w obcych językach (Vertot 1761, Niethammer 1792. Falkenstein 1833, Beckmann i t. d.). Z tych jednak niczego się doczytać nie można o zakonie tym u nas.

** Kod. WPol. Nr. 29 bez daty (i Nr. 30 z r. 1192). Tu jednakże powiedziano: że nadanie Johannitom szpitalu poznańskiego przez Mieczysława Starego przy współdziałaniu biskupa Radwana zaszło r. 1187. Dokument, który to wypowiada (Nr. 29), doszedł nas tylko w odpisie i przypuścić trzeba, że w nim ta data przez nieuwagę kopisty pomylona, zamiast r. 1170, któryto rok a nawet datę dnia i miesiąca z wszelką dokładnością podaje Długosz (Hist. II 79). Przemawia za tem, że to pomyłka, nie tylko ta dokładność Długosza, ale nawet i sam tekst kwestyonowanego dokumentu (Nr. 29). Wystawia go biskup pozn. Benedykt w roku 1191, o czem świadczy datowany Nr. 30, i wspominając o biskupie Radwanie, dodaje, że tenże był »quintus ante nos episcopus«. Jeżeli tak, to trudno pojąć, jakby się w krótkim szeregu lat od 1187, w którym z porady Radwana miał Mieczysław założyć ów szpital, do r. 1191 mogło dać zmieścić aż 5 albo 6 biskupów. Jeżeli zamiast 1187, przyjmiemy r. 1170, wtedy trudność ta uchylona.

kościoła. Ostatni Johannita i komandor poznański, sekularyzowany kilkanaście lat przede śmiercią, zszedł z świata w późnym wieku około r. 1832, nazywał się Miaskowski.

Za dalszego panowania Mieczysława i syna jego Wład. Laskonogiego zdaje się że nie otrzymał ten zakon żadnych nowych nadań. Pomyślne czasy nastąpiły dopiero pod Władysławem Odoniczem. Ten im darował na północnych kresach swojego państwa, za Notecią, na pograniczu z Pomorzem, w ziemi Choczeńskiej (dziś Arnswalde) wieś Korytowo (obecnie Cürtow) z rozległym naokoło obszarem, co zaszło r. 1237*. A niedługo potem otrzymali i Lagów z przyległościami (na granicy Poznańskiego z Ziemią lubuską).

Inne punkta w Wielkopolsce, o ile wiedzieć o nich mogę, posiadane przez Johannitów, były następujące: wsi Siedlec, Radłowo, Pogorzelice, Bielawy; jakieś grunta w Obrzycku i Rogoźnie (wszystko to przed rokiem 1256); jakieś włości przy Starym grodzie pod Kobylinem (przed 1262), Szymanowo pod Szremem, Popowo i Jedlec p. Pleszewem (przed 1309); jakieś posiadłości przy Kościanie gdzie mieli komandoryę (przed 1356). Wymieniają także i szpital w Kaliszu, nadany roku 1283 przez Przemysława II z odpowiednią dotacyą**.

Mało co później jak w Wielkopolsce, jeżeli nie równocześnie, pojawili się i na Szląsku. Około r. 1180 widzimy ich tu już osiadających w Tyńcu (szląskim, dziś Klein-Tinz)***. W roku 1189 sprowadza ich tenże biskup Sirosław II do Warty. W r. 1194 nadaje im biskup i książę czeski Henryk kościołek P. Maryi z upo-

---

* Kod. WPol. Nr. 202, 297 i 1324.

** Dokumentu tej darowizny ostatniej nie znam. Co do innych wymienionych tu posiadłości obacz w Kod. WPol. Nr. 344, 603, 929 i 1335.

*** Możnaby nawet to ściągnięcie ich do Tyńca, nie wiem przez kogo uskutecznione, przypuszczać jeszcze przed r. 1180, a może przed 1170. Albowiem w roku 1189 zatwierdził bisk. wrocławski Sirosław dziesięciny tynieckie, które zatem chyba inny biskup przydzielić musiał, a nie Sirosław. Gdyby bowiem on je był nadał, nie potrzebowałby teraz ponownie ich nadawać czyli zatwierdzać. A że Sirosław był biskupem od 1171—1198, więc pewnie jeszcze poprzednik jego Walter ofiarował te dziesięciny. — Fakta wyżej zestawione opierają się na dokumentach nadawczych albo konfirmacyjnych, zregestowanych w zbiorze Grünhagena pod Nr. 55, 60, 52, 76 c., 86; niemniej na wiadomościach przytoczonych w Tomie I tego zbioru na str. 106.

sażeniem w Kłocku (Glatz, ten punkt graniczny należał wtedy do Czech). W roku 1202 otrzymują (późniejszą główną swą komandoryę szląską) Strzegomię (Striegau) od Hemerama kasztelana ryczyńskiego; a niebawem potem wchodzą w posiadanie i Löwenberga (w każdym razie przed 1213). Dwie znaczniejsze na Szląsku swe komandorye, Losów (Lossen pod Brzegiem) i Gröbnig, zajęli także w tamtych już czasach (przed 1238, Nr. 514 i 528 Reg. Grünh.). Przybyła do tego i komandorya Goldberg (przed 1267, Nr. 1266). — W górnym Szląsku należało do nich Makowo, r. 1240 przekształcone na miasto (Nr. 559), i wsi Rzepice, Błotnica, Czyżki (Nr. 552)). Z powodu patronatu nad kościołem w Głubczycach (Leobschütz), nadanego Johannitom przez Ottokara króla czesk., mieli i tam punkt oparcia (Nr. 1611).

Przejdźmy do ziem, gdzie już nie tyle, co w WPolsce i na Szląsku się rozszerzyli.

W Kujawach otrzymali jeszcze od Leszka Białego, więc przed 1227, Niemojewo (pod Inowrocławiem) i jakiś »Soblacz« (może Zbląg czy Zblęsze p. Brześciem). Zatwierdził im to r. 1232 Konrad maz. (Kod. WPol. Nr. 140). W Niemojewie urządzili sobie potem kujawską swą komandoryę (Nr. 955). — W Mazowszu nie wiem czy mieli więcej swych posad, jak w Górznie, gdzie ich w r. 1325 osadził i w dochody zaopatrzył Floryan biskup płocki*.

Wspomnijmy nakoniec o posiadłościach Johannitów, które umacniały znaczenie tego Zakonu w Polsce, t. j. o ich włościach na samem pograniczu Polski — w ziemiach pomorskich. Niedaleko od Korytowa, gdzie ich Władysław Odonicz osadził, posiadali oni tam od kilkudziesiąt już lat Starogród (nad rzeczką Iną) z niemałym wokół obszarem, nadany im przez zachodnio-pomorskiego księcia Bogusława II jeszcze w wieku XII**. W tymże mniej więcej czasie przybył im i drugi (na Pomorzu wschodniem) Starogród (nad Werissą, Verse, koło Czczewa), z miastem Skarszewy i ca-

---

* Kod. Mazow. str. 46.

** Hasselbach Cod. dipl. Pomer. Nr. 177 i 246. Zatwierdza tu w r. 1229. Barnim I ks. pom. tę donacyę jak powiada ojca i dziada swego, a zatem Bogusława I i II. Widać z tego, że już więc dziad Barnima powziął był zamiar osadzenia tam Johannitów, a dokonał go Bogusław II (1194—1220) zapewne wkrótce po objęciu rządów.

łym kluczem dóbr Lubieszowskich. Weszli tu w posiadanie tego wszystkiego w r. 1198, a obdarzycielem był tamtoczesny książę na Świeciu (Schwetz), Grzymisław*. W Lubieszowie urządzili sobie jeszcze przed wiekiem XIV centralną swą komandoryę w tych stronach, a raczej praeceptorium na całą Polskę.

Kiedy się zważy cały ten tak liczny poczet ich posiadłości na ziemi polskiej i pogranicznych, niemniej i tę okoliczność, że Johannici, jak wszystkie te zakony rycerskie, nie rządziły się tak jak klasztory innych reguł zasadą decentralizacyi i autonomii, ale stały pod jednym zszeregowane zwierzchnikiem: to uznać trzeba niemałą przewagę tych nibyto »szpitalników« nawet i pod politycznym względem. Nad przełożonymi licznych poszczególnych komandoryi w Polsce stał — nie wiem od którego czasu — komtur lubieszowski na Pomorzu, a ponad nim Wielki przeor czyli *Summus Praeceptor domorum s. Johannis* na całe Niemcy, Czechy, Morawię i Polskę — w roku zaś 1348 na Czechy, Morawię, Polskę i Austryę. (Kod. WPol. Nr. 889 i 1278). A zatem osobistość zasadniczo narodowości obcej, mająca na względzie interesa (oprócz zakonnych) tych potentatów, w których kraju rezydował, nie mające nic wspólnego z dobrem naszego narodu. W r. 1312, kiedy zakon Templaryuszów, jak się to niżej opowie, został zniesiony, przeszło całe potężne uposażenie tego zakonu w Polsce w ręce Johannitów. Stało się to na mocy rozporządzenia papieża Klemensa V. (Kod. WPol. Nr. 954). Posiadłości naszych Szpitalników św. Jana wzrosły wtedy w porównaniu ze stanem rzeczy dawniejszym, lekko rachując, w trójnasób. Całe szczęście dla nas, którego powodów nawet wytłómaczyć sobie nie umiem, że w tem Zgromadzeniu pomimo takich odtąd zasobów utrzymał się duch pewnego umiarkowania. Inaczej bowiem nie byłoby mu zbywało na środkach do wystąpienia w takiej roli, w jakiej przeprowadzili misyę swoją Krzyżacy. Co prawda, posiadłości Johannitów nie stanowiły, nawet i powiększone tym spadkiem z r. 1312, takiego jednego kompleksu w Polsce, jak tych drugich w Ziemi Chełmińskiej i Prusiech. Zresztą jednak byli to tacysami nieżyczliwi ojczyźnie naszej Niemcy, jak Krzyżacy, a i w zuchwalstwie, czy to wobec władzy

---

* Hasselbach, Nr. 75. Konfirmacya naszego Przemysława II jako już wtedy i pomor. księcia z roku 1295, w Kod. WPol. Nr. 2058.

królewskiej, czy kościelnej krajowej, o tyle tylko różnili się od Krzyżaków, o ile musieli. Kiedy n. p. gród Drahim (w powiecie Wałeckim, na pograniczu pomorskiem) w roku 1405 pochwycili w swoje ręce, to niedość że się nie zawahali przed tym gwałtem na własności Korony, ale nawet odrzucił dumnie ich tamtoczesny Mistrz wezwanie króla Władysława Jagiełły, ażeby albo ten zabór zwrócił albo go przyjął z rąk króla jako polską lenność. Nie pozostawało wtedy, jak siłą oręża zmusić hardego mnicha do respektu należnego tronowi. Wyprawiony z pocztem wojska na miejsce Tomasz z Węgleszyna, kasztelan sandomirski, odebrał w roku 1406 Drahim, lecz dopiero siłą mocą, po 4-dniowym szturmie. I Santok także czasu swego, w XV wieku, jak to podaje przy tej sposobności Długosz (Hist. III 565), nie byłby ponownie odpadł od Polski na wieczną własność Krzyżaków, a potem brandeburskich książąt, gdyby do tego intrygami swemi nie byli dopomogli ci ulubieńcy dawnych naszych książąt.

Pierwsza w Polsce kolebka Johannitów, Zagość, wyszła z ich posiadania za Władysława Łokietka także tylko z powodu takiego ich zuchwalstwa. Kiedyś bowiem przed r. 1320 dopuścili się Johannici lubieszewscy bezprzykładnych krzywd i gwałtów na dobrach i na podwładnych biskupa kujawskiego Gerarda, który był ich dyecezyalnym pasterzem i włości jego graniczyły z lubieszewskimi. Poniesione wtedy straty biskupa były tak znaczne, a bezczelność komtura lubieszewskiego posunęła się do takiego stopnia, że przyszło samemu papieżowi wdać się w ten zatarg. Wyznaczona do tego komisya papieska (z arcybiskupa i poznańskiego biskupa złożona) po kilka razy wzywała komtura przed swój trybunał. Na żaden termin nie stawił się, w ogóle poczynał sobie zupełnie tak, jak jego confrater w Malburgu działał w podobnych okolicznościach. Ciągnęła się ta sprawa lat kilkanaście, od r. 1320 do co najmniej 1333 r. Osoby stanowiące komisyę zmieniały się w ciągu czasu. Wreszcie skończyło się wszystko zaocznym wyrokiem. Wsi małopolskie Johannitów: Zagość, Winiary, Skotniki i Januszewice, a taksamo i kujawskie ich włości: Niemojewo i »Scheblenz« (Zbląg dziś?), które jak z tego zdarzenia widzimy, stały wszystkie wtedy pod komendą lubieszewskiego komtura i za niego odpowiadały, zostały przysądzone biskupowi kujaw., w części jako wynagrodzenie za straty, w części tytułem zastawu, aż się druga strona nie

podda sądowi delegatów papieskich. Zdaje się, że nigdy do tego nie przyszło i że tak wyszły te wsi z posiadania zakonu*.

W dalszych wiekach Johannici nie odgrywali w Polsce wybitnej roli, ale to tylko z tej przyczyny, że ich posiadłości najgłówniejsze, t. j. te co na nich spadły po Templaryuszach, na Pomorzu zachodniem i na północno-zachodnich kresach naszego kraju, zalane niemczyzną i owiane duchem nienawistnym narodowi polskiemu, razem z całemi ziemiami, w których leżały, w XIII i XIV w. poprzechodziły pod inne rządy, a głównie pod panowanie margrabiów brandeburskich.

Templaryusze.

O pierwszem pojawieniu się Templaryuszów w Polsce nic prawie niewiadomo**. W źródłach dziejowych spotykamy się z tym zakonem, jako już przybyłym i obdarzanym dobrami, dopiero w trzeciem dziesięcioleciu XIII w. Fakta wcześniejsze albo niepewne albo i wręcz nieprawdziwe. Tak n. p. mylnem jest, w co dawniej powszechnie wierzono, że to Templaryuszów Henryk sandomirski sprowadził do swego księstwa i osadził w Zagościu. To byli Johannici. Na żadną wiarę także i to nie zasługuje, żeby kiedy Templaryusze mieli swe stanowisko w Opatowie (w Sandomirskiem), jak to podaje Długosz. Według niego miało to być najdawniejsze miejsce pobytu tego zakonu w Polsce, aż do czasu kiedy cała Opatowszczyzna, miasto i 16 wsi wokół, przeszła w ręce biskupów lubuskich. To nadanie Opatowa rzeczonym biskupom uskutecznił w latach między 1234 a 1238 Henryk Brodaty książę szląski w swym tamtoczesnym charakterze opiekuna Bolesława Wstydliwego. Fakt co do istoty rzeczy pewnie prawdziwy, choć dotąd niewyjaśniony ani pod względem powodu, dlaczego właśnie lubuskie biskupstwo temi w tak oddalonej od Lubusza okolicy do-

---

* Kod. Rzyszcz. Nr. 235, 237, 239 i 261 w tomie II. Obacz moje Studya Heraldyczne, T. I str. 69 i n., gdzie o tem więcej.

** Między innemi są następujące publikacye o tym przedmiocie: Wilcke, Geschichte des Tempelordens. 1826. Stenzel, Über die Templer, w Jahresbericht der schles. Gesellschaft..., za rok 1837. Worbs, Über die Tempelherrn in Schlesien, Neues Archiv für die Gesch. Schlesiens, II — Ja moje daty wydobyłem z dyplomataryuszów po dziś dzień ogłoszonych drukiem.

brami obdarzone zostało, ani też co do pytania, do kogo przedtem należały te dobra. Że one kiedyś były uposażeniem klasztoru, o tem trwała jeszcze i za Długosza czasów tradycya; nadto stwierdza to i sama nazwa miejsca »Opatów«, świadcząca, że je opat jakiś założył lub przez czas dłuższy posiadał; nakoniec miała nasuwać to przypuszczenie i struktura kościoła opatowskiego, starożytna i wspaniała, nosząca wszelkie cechy klasztornej z czasów benedyktyńskich lub cysterskich świątyni*. Lecz Templaryusze nie nazywali swych przełożonych opatami; a zresztą gdyby był Opatów do nich należał, to przy swojej tak powszechnej jeszcze w XIII w. wziętości, nie byliby około r. 1234 rugowani ze stanowiska i pozbawiani swego majątku. Jak gdzieindziej, tak i tu w spokoju doczekaliby się swego w XIV wieku zniesienia. Musiał tam zatem istnieć kiedyś konwent jakiej innej, może benedyktyńskiej reguły, o którego przytłumieniu lub przeniesieniu dokąd inąd wieść do czasów nie tylko naszych, ale już i Długoszowych nie doszła. Henryk Brodaty, jak niżej zobaczymy, był u siebie, na Szląsku, szczodrym dobrodziejem, a nie wrogiem tego zakonu: dlaczegożby w Małopolsce miał go wyzuwać z własności? Zważyć też trzeba, że wiadomości Długoszowe o tych krzyżowych zakonach w ogólności nie wzbudzają zaufania. Onto pierwszy i to podał za fakt, że Henryk Sandomirski nie Johannitów, ale tych krzyżowców sprowadził do Zagościa — mniemanie mylne, choć powtarzane na jego wiarę aż do czasów ostatnich. Że Johannici byli kiedyś w tej okolicy, tego Długosz nie wiedział, a tem mniej było mu wiadomem, od kiedy i z jakiego powodu zniknęli ci zakonnicy w tych stronach. Kasatę Templaryuszów stawia w różnych miejscach dzieł swoich to pod

* Długosz Lib. Benef. I str. 574 i 633. W tem miejscu mówi autor nie tylko o strukturze kościoła, ale i to jeszcze dodaje, że stały tam w bramie kościelnej dwie naprzeciw siebie po obu stronach postawione statuy, w których miał jeden z opatowskich prałatów (w pierwszej połowie XV w. żyjący) upatrywać Templaryuszów i kazał im głowy postrącać jako pamiątkom zakonu przez Kościół uznanego za niegodny istnienia. Miał ich zaś dlatego uważać za Templaryuszów, ponieważ krój habitu był podobny do sukni onej reguły. Mnie się zdaje, że w XV wieku w Opatowie bodaj kto wiedział, jak się Templaryusze nosili. Sądzę także, że skoro te statuy stały w tem miejscu, to musiały w każdym razie przedstawiać jakich Świętych, bo dla innych śmiertelników nie byłoby miejsca nawet we drzwiach kościelnych. O Świętych zaś z zakonu Templaryuszów nie słychać. Zatem znaczenie tych figur musiało być inne.

rokiem 1244, to 1306, to wreszcie (jak rzeczywiście było) pod 1312 i t. d.*.

Przejdźmy do faktów stwierdzonych dyplomatami. Punkta działalności Templaryuszów, jeżelibyśmy spuścili z oka ich komandorye w kresowych okolicach Polski, nie byłyby liczne i nie zapewniałyby tym Krzyżowcom w kraju naszym poważniejszego znaczenia.

Widzimy ich przedewszystkiem sprowadzonych do Szląska. Mieli tu najdawniejsze, a i nadal główne w tych stronach swoje stanowisko w Oleśnicy (dziś Klein-Öls, pod Olawą). Była to donacya z czasu przed r. 1227, jak to z pewnego dokumentu wynika**; a że od Henryka Brodatego pochodziła, powiadamia nas Żywot św. Jadwigi, małżonki tego księcia. Drugą komandoryę w tej ziemi posiadali w Lignicy z odpowiedniem uposażeniem, nadanem kiedyś później***. — W Wielkopolsce pojawili się mało co później, w każdym razie za panowania jeszcze Władysława Laskonogiego. Nadano im tu Szpital w Gnieźnie. Niezbyt bogate pierwotne wyposażenie tego klasztoru powiększył w r. 1232 Władysław Odonicz kilku wsiami, które dokument odnośny wprawdzie podaje z nazwy, trudno je jednak co do położenia oznaczyć, gdyż po większej części obecnie się nazywają inaczej****. Niektóre mogły leżeć w pobliżu Gniezna, reszta zaś tego obdarzenia należy do uposażeń kresowych, o których niżej pomówimy osobno. — W Ma-

---

* Libri Benef. I 575; Hist. II 40, 301; III 70. — W Kronice Baszka jest znowu miejsce (Mon. Pol. II 556), gdzie powiedziano, że »monastyr« Opatowski, zanim go biskupom lubuskim na własność przekazano, należał do opata, nie dodano jakiej reguły, imieniem Gerharda; i że tenże miał być pierwszym rzymsko-katolickim biskupem Rusi. Połączenie tego opactwa z biskupstwem lubuskiem podług tego świadectwa miało być dokonane przez Henryka Brodatego. A więc znowu całkiem inna wiadomość. Gdyby to miejsce w kronice Wielkopolskiej, rzeczywiście pochodziło od Baszka, prawie współczesnego zdarzeniu, należałoby mu wierzyć. Lecz zdaje mi się, że i to będzie jedna z wiadomych tak licznych w tem dziele interpolacyi, wiekiem znacznie późniejszych. Poddaje mi ten wniosek nawet sama stylizacya, mianowicie zupełnie nieusprawiedliwione w tem miejscu słówko »namque«, przez które dodatek ten doczepiono najnielogiczniej do poprzedzającego zdania. Dlatego i ta wiadomość potrzebuje osobnych jeszcze dochodzeń, w braku źródeł nader trudnych, żeby dotrzeć do rdzeni rzeczy.

** Grünhagen, Regest. Siles. Nr. 316. Monum. Pol. IV 545.

*** Grünhagen, Nr. 2073.

**** Kod. WPol. Nr. 141 i 146.

zowszu znaleźli protektora w osobie ks. Bolesława I, który ich w roku 1239 obdarzył trzema wsiami w swem księstwie: Orzechowem, Skuszewem (obie koło Stanisławowa mazowieckiego) i »Dninsowem«, którąto wsią było może Daniszewo dzisiejsze niedaleko Płocka*. — W Małopolsce osadzeni podobno zostali w Łukowie, na pograniczu Lubelskiego a ziemi Jadźwingów. Nadawcą miał być Bolesław Wstydliwy w r. 1250**.

Jak widzimy, posiadłości Templaryuszów w właściwej, wewnętrznej Polsce nie byłyby się mogły mierzyć z majątkiem niejednego z naszych dawnych klasztorów. Zwróćmy się jednak teraz do ich dzierżaw kresowych, które niech mi tu będzie wolno zestawić nie w porządku, jakiegom się dotąd wszędzie trzymał, chronologicznym, lecz w wizerunku topograficznym, t. j. wedle tego jak one obok siebie zostawały w rękach tego zakonu.

Ażeby jednak to zestawienie było czytelnikowi jasne w całem swojem znaczeniu, pozwolę sobie doń dołączyć jeszcze jedno, co na pozór nie zdaje się należeć do rzeczy. Uwzględnię w niem i donacye dla innych instytucyi kościelnych, obcych krajowi i narodowi naszemu, ponadawane przez naszych książąt w tej niewątpliwie intencyi, ażeby cały pas ziem odgradzający Polskę od jej zachodnich i od północnych sąsiadów zostawał w rękach, które miały w części bronić ojczyznę naszą od jej naturalnych wrogów, w części dopomóc do gęstszego jej zaludnienia. Tymczasem skutek okazał, że ten niemądry szafunek właśnie główną stał się tego przyczyną, że te ziemie rdzennie nasze na wieki od Polski politycznie i etnograficznie odpadły. Nadania, o których mówić tu mamy, przypadają na lata między 1220 a 1250, niektóre tylko wyjątkowo na drugą dopiero połowę owego wieku. Darzycielami — byli szląscy książęta od Henryka I począwszy aż do jego wnuka Bolesława Łysego; z wielkopolskich — głównie Władysław Odonicz. O Konradzie mazowieckim i o Krzyżakach przemilczę, ponieważ to rzeczy każdemu znane. Dokumenta, w których się ci książęta po kawałku wyzuwają z swej ojcowizny na rzecz tych mniemanych obrońców i roznosicieli kultury, podawają za pobudkę najzwyklej takie powiedzenia,

---

* Dyplomat nadawczy w zbiorze Ulanowskiego, zamieszczonym w Archiwum komisyi historycznej, tom IV str. 290 Nr. 5 z roku 1239.

** Tak to podaje Lipiński w Starożytnej Polsce, II str. 1160, bez wyrażenia, skąd to ma.

jak *pro remedio animarum nostrarum, ob divinae remunerationis emolumentum* i t. p. Cel rzeczywisty tych roztrwonień terytoryalnych wszelako był niby polityczny, coby jednak tylko wtedy one usprawiedliwiało, gdyby ta polityka miała inne podstawy, jak niepojęte zaślepienie.

Nie biorąc więc w rachubę czasu nadań, a trzymając się tylko położenia, zaczynam od najdalej ku południowi wysuniętego pogranicza zachodniej Polski, tam gdzie się ziemia szląsko-lubuska wtedy stykała z łużycką. Otóż tu, na tych kresach, otrzymali Templaryusze od książęcia szląskiego Henryka Pobożnego plac działania pod grodem Szydłów (n. Odrą, z północy od Gubina), z obszarem całej setki łanów*. — Dalej na północ, już w obrębie samej ziemi Lubuskiej, lecz w jej kończynach po tamtej stronie Odry, nadał im był jeszcze w r. 1229 Henryk Brodaty gdzieś między dzisiejszem Falkenhagen a Münchebergiem przestrzeń 250 łanów. A wkrótce potem obdarzył ich tenże książę i drugim takim obszarem (300 łanów) nad rz. Łęcznicą (an der Lezeniz), gdzieś między Sprewą a Odrą**. — W roku 1249 przeszła cała połowa ziemi Lubuskiej z rąk jego wnuka Bolesława Łysego w posiadanie arcybiskupów magdeburskich, z tem jedynie przeznaczeniem, by ci książęta kościoła bronili za to tego swego benefaktora od jego wrogów, którymi byli jego właśni bracia rodzeni i książęta wielkopolscy, w których posiadłości się Łysy wdzierał***. A w rok potem odpadła reszta tej prowincyi do marchii brandeburskiej. Pod tem nowem panowaniem nie słychać żeby Templaryuszom były przybyły

---

* Grünhag. Reg. Sil. Nr. 564. Wohlbrück Geschichte des Bisthums Lebus, I str. 68. Czas nadania między 1238 a 1241.

** Grünh. Reg. Nr. 345 i 1346. Wohlbrück, I str. 25 i 115. Dla mniej świadomych, co łan znaczył, dodaję że były łany frankońskiej i flamandzkiej miary. Te ostatnie trzymały po 30 morgów chełmińskich; frankońskie $1^1/_2$ raza więcej. O których tutaj mowa, niewiadomo.

*** Powszechnie podają jako powód tego odstąpienia pieniężny interes. Miała to być odprzedaż. Odnośny dokument cesyi (Kod. WPol. Nr. 2055 z roku 1249) tego nie stwierdza; dobitnie samę tylko obronę podaje za powód. Nie obronił jednak Łysego arcybiskup od tej ewentualności, że go Wielkopolanie raz na zawsze wypędzili ze swej prowincyi. A mimo tego, co raz w ręce arcybiskupa przeszło, przepadło dla Szląska. Druga połowa ziemi Lubuskiej rzeczywiście za pieniądze oddana została przez tegoż księcia margrabiom brandeburskim w r. 1250. (Mon. Pol. III str. 491 i 643).

w ziemi Lubuskiej jakie świeże posady. Mieli oni tu jednak z czasów dawniejszych dwie znaczne komandorye: Sternberg i Sulęć (Zielentzig). Ten gród drugi, nad samą granicą wielkopolską leżący, otrzymali z kilku przyległemi wsiami od magnata szląskiego Mroczka z Pogorzeli w roku 1244*. (Przy Sternbergu leżała i komandorya Johannitów Lagów czy Łagów, nad samą wielkopolską granicą). — Idźmy dalej. Po drugiej stronie tej linii granicznej, posiadali Templaryusze ponadawane sobie przez Odonicza w różnych latach włości, jak Wiela-wieś koło Międzyrzecza i Templów; jak Boryszyn i Langopol p. Lubrzą (Liebenau); jak Koźmino pod Babimostem, i z pewnością niejednę inną jeszcze z owych wsi, o których dokumenta nadawcze mówią, ale ich położenie dla zmienionej już dziś nazwy nie daje się z całą pewnością wskazać**. — Przechodząc teraz z ziemi Lubuskiej dalej na północ, na poprzek Warty, mamy przed sobą ziemię kościerzyńską (Küstrin), którą tu wtedy tworzyły obydwa pobrzeża Odry. Tę ziemię, w jej całej rozciągłości, wynoszącej kilkanaście, jeżeli nie kilkadziesiąt mil □, oddał Odonicz Templaryuszom na własność w roku 1233 lub 1234***. — Więcej na północ idąc w tymże kierunku, leżała za kościerzyńską ziemia Kiniecka, tak nazwana od grodu Kińcz (w dyplomatach »Chinez«, dziś Kienitz). W tych stronach ofiarował im był ten wylany dla nich wielkopolski książę w r. 1232 włość Kwarczany (dziś Quartschen) z dołączeniem

---

* Grünh. Reg. Nr. 612. Wohlbrück, I str. 69 i 80. Ten Sulęć był potem otwartą do Polski bramą dla marchionów brandeb., ilekroć im się zachciało wykonywać swoje zapędy na okolice nasze koło Międzyrzecza i dalej, od Cylichowy do Skwierzyny, od Lagowa i Sulęcia po Obrę. I z czasem potrafili oni sobie dobrą połowę tego pasa granicznego na wieczne czasy przywłaszczyć.

** Kod. WPol. Nr. 141, 142, 146, 294, 862.

*** Mamy tylko konfirmacyę tej darowizny, a to w Nr. 372 (Kod. WP.) z roku 1259 przez Bolesława Pobożnego, z wyraźnem powiedzeniem, że takowa z rąk ojca jego pochodziła. Od kiedy? nie dodano. Lecz ponieważ Barnim I ks. pomorski, dla zaznaczenia swoich także do tych stron uroszczeń, udzielił i od siebie w roku 1235 aprobaty rzeczonemu Odonicza nadaniu (Hasselbach Nr. 220): więc w ten sposób wyrozumieć można, że stać się to musiało rokiem lub dwoma latami przed r. 1235. — A dlaczego też Templaryusze zażądali od Bolesława kaliskiego tej konfirmacyi właśnie w r. 1259? Oto dlatego, że ta ziemia Kościerzyńska już wtedy była towarem do odprzedaży, o czem ani się śniło konfirmującemu księciu. Przefacyendowali ją 1260 margrabiom brandeb. Riedel, Cod. dipl. Brandeb. A XIX, p. 5, B. I, p. 70.

do niej tysiąca łanów i zaleceniem (do dokumentu wpisanem), by ją mieli i urządzili more teutonico (Nr. 141 Kod. WPol.). A Barnim pomorski dołączył do tego w r. 1234 i Dargumice (Darmiezel, z północy Kwarczan, Hasselb, p. 476). W tych Kwarczanach, jako swej centralnej odtąd na Polskę i na Pomorze stacyi, rezydował namiestnik wyższej władzy zakonnej, t. j. tak zwanego *Summus praeceptor militiae Templi per Teutoniam, Boëmiam, Moraviam et Poloniam.* Doczepiona tu na samym szarym końcu »Polonia« odgrywała w tej całości i pod wszelkim innym względem podrzędną rolę — rolę narzędzia do innych celów, mimo tak rozległych nadań. — Na północ od tej ziemi Kinieckiej rozciągała się wzdłuż Odry ku Szczecinowi ziemia Pirycka z centralnym punktem Pirycz (dziś Pieritz), do Pomorza wtedy należna; a z tą od wschodu graniczył szmat kraju polskiego, od Santoka i Drdzenia czyli Drezdenka (dziś Driesen, nad Notecią) począwszy aż poza Choczno (dzisiejsze Arnswalde). W tych stronach należały do Templaryuszów następujące punkta: w ziemi Piryckiej Banie (w dokumentach Bane), nadane im z przyległościami w roku 1235 przez ks. pomorskiego Barnima (Hasselb. p. 482 i Nr. 220). W polskiej części tej prowincyi: Zechów (dziś Hochzeit, pod Landsbergiem), Myślibórz (Mützelberg, koło Pieritz, od wschodu), Kręcino pod Arnswalde, Tucząp gdzieś koło Drdzenia i Wenabnica (dalej na wschód ku Czarnkowu). Tu miejsce wymienić i Kolczyn, z południa od dzisiejszego Landsberga*. — Gdyby te wsi, sporadycznie rozrzucone w tych stronach, były sąsiadowały z osadami zaludnionemi krajowym żywiołem, nie miałyby z punktu widzenia naszego szczególnej wagi. Miała się rzecz jednak przeciwnie. Graniczyły z latyfundyami już to Johannitów, już Cystersów w Kolbaczu, któryto Kolbacz ani z położenia nie należał do liczby polskich klasztorów (leży w zachodniem Pomorzu, nie zbyt daleko od Szczecina) ani też nie był rozsadnikiem innych dążeń, jak szerzenia niemczyzny. W rękach Johannitów zostawał tu z tamtej strony granicy, jak się wyżej już powiedziało, od czasów Bogusława II warowny Starogród z przyległościami. A po naszej stronie tejże granicy leżała ich komandorya w Korytowie (pod Chocznem dziś Arnswalde), nadana im w roku 1237 przez Odonicza. Oba

* Kod. WPol. Nr. 216 i 294. Były tu i inne jeszcze darowizny, lecz ich nazwisk tamtoczesnych trudno dzisiaj odgadnąć.

kompleksy łączyły się z sobą przez włości kolbackich opatów, które o ile były położone na ziemi polskiej, pochodziły z daru naszych książąt i panów: Trzebień i Doberpol (1235), Zambrysk i Lasków (1236), Warzyn (dzisiaj Bismarkowski, 1238)*.

Kiedy się to wszystko rozważy, czyż można się temu dziwić, że te aż dotąd wymienione kresowe okolice Polski, a taksamo i przyległego Pomorza, już około r. 1260, a co najpóźniej 1270, były pochłonięte przez Niemców i figurują odtąd w dziejach jako t. zw. Nowa-Marchia. — Dalsza ku wschodowi ziemia, jak się później zwać zaczęła, Wałecka, nie podległa wprawdzie ostatecznie temu co tamte losowi, ponieważ ją Kazimierz W. w pięciu ostatnich życia swego latach wydobył z szponów niemieckich. Ale od c. 1303 do 1365 zostawała w ich rękach. Zabór ten tak długo mimo wysileń z naszej strony trzymany, można tłómaczyć położeniem geograficznem, niezgodą i słabością książąt naszych i tym podobnemi okolicznościami. Ale przyczyniły się do tego niepomiernie i zasiedziałe na tym naszym gruncie żywioły, które stale i konsekwentnie ciężyły ku zachodowi, a miały być zasłoną, przedmurzem od wrogów kraju. Miasto Człopa, wtedy jeszcze wieś (zwana Słopanowo) z rozległemi przyległościami, była tu od roku 1232 w posiadaniu całkiem już zagranicznego opactwa — Cystersów w Altenbergen (pod Kolonią nad Renem), a to z daru Odonicza**. Dwa obszary, każdy po 3000 łanów, wtedy jeszcze mało zaludnione, bo przeważnie były to bagniska, jeziora, lasy, jeden z południa miasta Tuczna (dziś Thutz), drugi z przeciwnej jego strony, więcej ku Wałczowi — dostały się w latach 1233 i 1239 z rąk tegoż marnotrawnego trwoniciela ojcowizny w posiadanie szląskich Cystersów w Lubiążu***. A na kilka lat pierwej, w roku 1225, obdarzył on toż opactwo i w nakielskim obwodzie podobną słabo zaludnioną wtedy jeszcze przestrzenią, tak w dokumencie nadawczym granice jej opisując, że widać, iż to szmat ziemi między dzisiejszym Złotowem (Flatow), Więcborkiem (Vandsburg) i Łobżenicą, wypełniający pewnie całą objętość (kilka mil □) tego trójkąta****. —

---

* Kod. WPol. Nr. 145, 186 i 195.

** Kod. WPol. Nr. 2054.

*** Kod. WPol. Nr. 121 i 147.

**** Kod. WPol. Nr. 116 i 118. — Władysław obdarzał ziemią polską i inne jeszcze cudzoziemskie klasztory. Tak n. p. nie mówiąc już nic o Trze-

Templaryusze weszli do ziemi Wałeckiej dopiero roku 1286 i zajęli w niej stanowisko na najdalej ku północy wysuniętem pograniczu od strony zachodniego Pomorza. Nadał im tu Przemysław II, jak się wyraża (Kod. WPol. Nr. 570), *„desertum“* nad rz. Drawą i jeziorem Drawickiem. Powstała z tego z czasem jedna z pierwszorzędnych domen i komandoryi tego zakonu, ziemia Tempelburg, tak nazwana od centralnego w niej grodu tejże nazwy, a po polsku Czaplinek (ku zachodniemu południowi od dzisiejszego Neu-Stettin). Posiadali także kuryę swoją i w samym Wałczu (Nr. 679).

O głośnych czynach rycerskich zakonu Templaryuszów w Polsce, jakich się spodziewać po nim musieli książęta, którzy go tak szczodrze wyposażali, w dziejach nie słychać. Jedyna zaszczytna pamięć, którą pozostawili, to chyba to, że w wielkiej onej bitwie pod Lignicą w r. 1241, gdzie ks. szląski Henryk II w boju z Mongołami śmierć poniósł, i oni także wraz z Johannitami mieli pewien udział*. Prawdopodobnie jednak stanęli tam do walki tylko krzyżowcy miejscowi, t. j. z komandoryi lignickiej; ponieważ gdyby i ci z kresowych okolic kraju byli przybyli na pomoc, wynik starcia nie stanowiłby tak smutnej karty w historyi.

W roku 1312 cały ten zakon na żądanie państw zachodnich, któremu stolica apostolska nie chciała stawiać oporu, został zniesiony. Czy się to stało za jakieś rzeczywiście tak ciężkie winy zakonu, czy raczej przeto, że jego wzrost w potęgę i bogactwo wzbudził pożądliwość rzeczonych rządów, o tem i dziś jeszcze podzielone sądy. Rząd polski nie odniósł z tej kasaty żadnej korzyści, ponieważ wszystkie dobra Templaryuszów na Pomorzu i w Polsce przeszły na własność zakonu Johannitów, a to na mocy rozporządzenia papieża Klemensa V**.

* * *

bnicy, bo ta leży jeszcze w Szląsku, opatrzony został przez niego w r. 1210 kilku wsiami w kasztelanii przemęckiej nad Obrą klasztor Pforta, w Saxonii n. rz. Salą. Kod. WPol Nr. 66.

* Obacz rozprawę Ulanowskiego »Współudział Templaryuszów w bitwie pod Lignicą 1241 r.« w tomie XVII Rozpraw i sprawozdań wydziału filozoficzno-historycznego, od str. 275.

** Kod. WPol. Nr. 954.

Krzyżacy.

Wielki Mistrz tego zasadniczo z samych prawie Niemców złożonego zakonu wyniósł się z Palestyny w roku 1291 i obrał sobie na razie rezydencyę w Wenecyi. Już jednak przedtem potrafili sobie ci krzyżowcy pozyskać liczne stanowiska działania w krajach europejskich, a zwłaszcza w Niemczech. Występowali tu wszelako na razie w skromnej roli, odpowiedniej zgromadzeniom zakonnym. Zanim się z wyższemi aspiracyami pojawili w Polsce, zdarzyła im się sposobność sił swych spróbować na Węgrzech. Andrzej II król węgierski (1205—1235), podobnie jak Konrad mazowiecki przez Prusaków, niepokojony przez swoich od wschodniej strony jego państwa sąsiadów, dzikich a bitnych Kumanów, powołał Krzyżaków do siebie z tem przeznaczeniem, by zasłaniali kraj jego od tych najazdów i zmusili rzeczoną rasę bałwochwalczą do przyjęcia wiary. Ku temu celowi oddał im w posiadanie ziemię Burską (Burza) w Siedmiogrodzkiej prowincyi. Krzyżacy wyjednali od papieża zatwierdzenie sobie tego nadania, lecz w takiej formie, że miała ta przekazana im ziemia odtąd uchodzić za własność Kościoła czyli św. Piotra, któreto wyrażenie tak potem tłómaczyli, że ta część Węgier nawet i pod publiczno-prawnym względem jest wyjętą z pod władzy króla, i stanowi osobne państwo w państwie, niezawisłe od nikogo innego, jak od papieża i od W. Mistrza zakonu. W takiem znaczeniu jednak nie pozbywał się Andrzej na ich rzecz tego kawałka kraju. Kiedy zatem i postępowanie Krzyżaków zaczęło być stósowane do tych książęcych uroszczeń, wygonił ich z swego kraju nie oglądając się ni na ich zgrzyty ni na protest zasłaniającej ich kuryi rzymskiej. Działo się to w latach 1218 i dalszych.

O tem wszystkiem musieli chyba nic a nic nie wiedzieć książęta polscy, kiedy pomimo tego zachciało im się mieć ten zakon i w swoim kraju. Uczynił początek w tej mierze jeszcze w czasach, kiedy Konrad mazowiecki może ani nie słyszał o istnieniu Krzyżaków, bo jeszcze w roku 1224, nasz prawdziwie w stopniu do głupoty posuniętym skory do takich ofiar książę kaliski, Władysław Odonicz. »Dla pozyskania, jak powiada, miłosierdzia bożego«, przekazał w rzeczonym roku *dilectis fratribus de domo Theutonica* 500 łanów na północnych (z zachodniem Pomorzem graniczących) kresach kraju nad rz. Piłą i jeziorem Izbicznem (dziś Pielburger See). Leży ta okolica na wschód od ziemi czaplińskiej czyli Tem-

pelburskiej, którą miał w dalszej przyszłości (w r. 1286) nadać Templaryuszom Przemysław II*.

Układy Konrada mazow. z Krzyżakami o przyjęcie roli, jaką im przeznaczył w swem księstwie w stosunku do pogańskich Prusaków, przypadają na koniec roku 1225 i na dalsze aż do 1228, w którym zostały ukończone, tak iż wtedy w znaczniejszej sile zakon ten na miejsce przybył i zajął nadaną sobie na wieczne czasy ziemię Chełmińską. Jeszcze w r. 1226, kiedy umowa ta zaledwie pierwsze przechodziła swe stadya, wyjednał sobie W. Mistrz Herman de Salza od cesarza Fryderyka II z góry zatwierdzenie tego nabytku, lecz w takim sensie, że i ziemia Chełmińska i wszystko, co zakon na Prusakach zdobyć potrafi, wyłącznie ma do zakonu należeć jako jego państwo własne, niepodległe żadnej władzy krajowej i bezwarunkowo niezawisłe od mazowieckich książąt**. O tym fakcie książę Konrad nie wiedział, jak też pewnie i to nie było mu wiadomem, że w tymże r. 1226 Mistrz ten Krzyżaków (a i dalsi jego następcy) został wyniesiony przez cesarza do godności księcia imperii Takiego potentata nie byłby pewnie Konrad wpuszczał do swych dzierżaw, pomimo całej grozy wiszącej nad Mazowszem ze strony dziczy pruskiej. Otworzyły mu się oczy na przymierze, jakie z nim zawarł, dopiero roku 1234, kiedy przybylcy zrzucili maskę z twarzy i jawnie występować zaczęli w charakterze, którego nie potrafili przeprowadzić w Węgrzech. Dalsze zajścia między obiema stronami pomijam, należą one do politycznej historyi naszej***.

Przeniesienie rezydencyi głowy zakonu do Malborga zaszło w roku 1309, przedtem zaś przebywał W. Mistrz już to w Wenecyi, już w Marburgu heskim, a to co posiadał w Polsce, stało

---

* Fakt ten z roku 1224, zwykle pomijany w historycznych kompendyach przypominam jednak z tem zastrzeżeniem, że ręczyć nie można za autentyczność dokumentu, mocą którego zapisuje im ten szmat ziemi Odonicz. Jest to Nr. 2025 w Kod. WPol., zachowany tylko w odpisie, może podrobiony przez tych fałszerzy. Konfirmacya papieża Grzegorza X, udzielona tej darowiźnie, nosi datę bardzo późną, dopiero roku 1275. Zachowała się w autentycznym oryginale. Kod. WPol. Nr. 457.

** Kod. WPol. Nr. 591.

*** Prócz innych źródeł do tych dziejów, warto tu wspomnieć o »Exordium ordinis Cruciferorum« pisanem przed r. 1260 przez bezimiennego Polaka. Obejmuje lata od 1190—1256. Mamy to oddrukowane w tomie VI Mon. Pol.

pod rządami namiestników czyli »krajowych mistrzów«, z których pierwszym (począwszy od roku 1228) był Herman Balk.

* * *

III. ZAKONY ŻEBRACZE.

Kiedy już wszystkie powyżej wymienione zakony: Benedyktyni, Laterańczycy, Cystersi, Premonstratensi, Bożogrobcy, reguły rycerskie i kilka innych jeszcze, mniej ważnych, pominiętych tutaj przezemnie, pozajmowały swoje stanowiska na ziemi naszej i po większej części odegrały już rolę, jaką na niej miały spełnić, by nadal, na drugim już tylko planie działając, używać w pokoju zasobów, nagromadzonych za lepszych swych czasów: — przyszła kolej wreszcie na zakony z jałmużny tylko żyjące czyli t. zw. żebracze, Mendicantes, których pierwszy zawiązek zaszedł we Włoszech, dopiero w początku wieku XIII. Znamieniem tych nowych reguł było bezwarunkowe wyrzeczenie się wszelkiego posiadania, a zatem ścisłe ubóstwo. Wprawdzie składało ślub ubóstwa wszystko duchowieństwo klasztorne, wszelkich reguł, nawet rycersko-zakonnych, jakie tylko pojawiły się w dziejach kościoła. Dawniejsze jednak, przed XIII wiekiem powstałe zakony składały go w tem jedynie znaczeniu, że niewolno było poszczególnym jednostkom posiadać coś i nazywać swem własnem. Z tego bynajmniej nie wynikało, żeby się klasztor jako klasztor mienia wyrzekał: śluby indywiduów bynajmniej nie odnosiły się do całego zgromadzenia, do korporacyi jako zbiorowej osoby. Przeciwnie, korporacye wszystkich powyższych reguł miały, jakeśmy wyżej widzieli, nader bogate, bardzo często prawdziwie pańskie uposażenia w ziemskich dobrach, raz na zawsze sobie nadanych, a użytkowanie tego mienia wspólnego służyło pośrednio oczywiście i każdemu z osobna należącemu do grona takiego, tak iż owe śluby ubóstwa nie przeszkadzały nikomu mimo mniszego habitu opływać przecie w dostatki, których mógł im pozazdrościć niejeden świecki duchowny. Dopiero w pierwszych latach XIII stulecia pojawiły się zakony, które nawet jako zbiór osób wyprzysięgały się wszelkiej stałej własności, miały za zadanie żyć całem gronem swojem jak żebrak tylko z dnia na dzień z jałmużny, którą się jeszcze z ubóstwem pospolitem, tłumnie zalegającem zawsze ich furtę,

szczodrobliwie dzieliły. I tato cecha bezwarunkowego ubóstwa nadała im nazwę jałmużniczych czyli żebraczych zgromadzeń (Bettelorden)*.

Odcień powyższy składają następujące, zagęszczone czasu swego i w naszym kraju reguły: Dominikanie, Franciszkanie, Marki, Augustyanie. Później (od roku 1395) przybyli do nich jeszcze Karmelici, a jeszcze później (od roku 1453) nareszcie Bernardyni.

Wszystkie te zgromadzenia rozpowszechniły się w nader krótkim przeciągu czasu po całym katolickim świecie, a mianowicie też w Polsce w takich rozmiarach, jak żaden dawniejszy zakon. Markowie wprawdzie nie tyle; ale zato wszystkie drugie, szczególniej Dominikanie, zapełnili klasztorami swoimi wszystkie kraju tego dzielnice do tego stopnia, iż w każdej poszczególnej prowincyi więcej można wyliczyć n. p. franciszkańskich, a cóż dopiero dominikańskich klasztorów, niż którejkolwiek z owych dawniejszych reguł w całem polskiem królestwie. Wziętości tej zaś tak wielkiej dwie były główne przyczyny. Nasamprzód bezprzykładna, w pierwszych mianowicie wiekach ich egzystencyi, z zupełnem wyrzeczeniem się siebie prowadzona gorliwość religijnego działania we wszystkich im wytkniętych kierunkach. Nie odosobniali się oni tak jak n. p. Cystersi od społeczeństwa świeckiego; nie upatrywali celu swojego w świątobliwej, własne zbawienie na oku tylko mającej zadumie. Przeciwnie, żyć razem z ludźmi było ich hasłem i działać z kazalnicy, z konfesyonału, na misyach, życiem całem, ku ich poprawie. Cenili także naukę i odznaczali się wykształceniem. Nie zamykali się nakoniec przed żadną narodowością, owszem głównie narodowym żywiołem zaludniali swoje klasztory. To tedy jedno. Powtóre przychodziła też niemało w pomoc ich rozszerzeniu i dziwna łatwość założenia takiej klasztornej osady: dość bowiem było wyznaczyć tylko plac jaki w miejscu, gdzie mieli osieść ci zakonnicy, choćby ledwie zabudowany, na pierwsze ich pomieszczenie. Reszta

* Rozumieć to jednak należy tylko o pierwszych wiekach istnienia tych zakonów Później bowiem i one w części, a zwłaszcza Dominikanie, odeszły powoli od tej zasady i zaczęły wchodzić w posiadanie ogrodów, gruntów, domów, a nakoniec i wiosek całych. Zawsze jednak pozostały one biedniejsze, niż poprzednie zakony.

Żeńskie klasztory nawet od pierwszej chwili dawały się obdarzać dobrami, boć za kwestą chodzić zakonnice nie mogły. Dlatego ich też mniej.

potrzeb sama się z siebie już niezadługo »przy pomocy Pana Boga i dobrych ludzi« znalazła. Kosztownych nadań wioskami i t. p. nie tylko nie wymagali, ale gdyby je kto i dawał, nie byliby mogli (przynajmniej w pierwszych czasach) przyjąć.

Dominikanie.

Najwcześniej założonym i najpierw też sprowadzonym do Polski był między tymi zakonami Dominikański*.

Fundatorem Dominikanów był Hiszpan Dominik św., który zatwierdzenie dla tej przez siebie w południowej nasamprzód Francyi i we Włoszech w życie wprowadzonej reguły wyjednał już roku 1215, a to od papieża Inocentego III. Nazwa kanoniczna tego zakonu *Ordo Fratrum Praedicatorum* (kaznodziejski) stąd poszła, że głównem ich zadaniem było opowiadanie słowa bożego w krajach zarażonych herezyą, albo pogańskich, albo wreszcie choć chrześcijańskich, ale niekatolickich. Sławą i talentem kaznodziejskim odznaczali się oni też zawsze, nawet w późniejszych czasach. Nazywali się porówno ze wszystkimi mendykantami Bracią, w przeciwstawieniu do mnichów (samotników) i do zakonnych kanoników, któreto nazwania pozostawili tamtym, starszym od siebie zgromadzeniom. Mieli jeszcze i drugą nazwę — Starszych braci, Majores — a to w przeciwstawieniu do Franciszkanów,

---

* Do dziejów tego zakonu w Polsce i połączonych z nią krajach odnoszą się dzieła następujące:

Abrah. Bzowskiego Propago divi Hyacynthi seu de rebus gestis in provincia Poloniae ordinis Praedicatorum... (1606. Wenecya).

Szym. Okolskiego Russia florida... (Lwów 1646).

P. Kamieńskiego Antiquitas Praedicatorum ordinis in m. ducatu Lithuaniae... (Wilno 1642).

Chodykiewicza De rebus gestis in prov. Russiae ordinis Praedicatorum... (Berdyczow 1780).

E. Tyszkiewicza O klasztorach w dyecezyi Wileńskiej (w Tece Wileńskiej na rok 1858, zeszyt III, gdzie szczegółowo o tym zakonie).

Ks. Barącza Rys dziejów Zakonu kaznodziejskiego, 2 tomy. (Lwów 1861).

(Barącza dzieło strasznie rozwlekłe; Bzowskiego zwięzłe i najlepsze ze wszystkich, szkoda tylko, że nawet podane przez tego znakomitego pisarza daty nie zawsze wytrzymują próbę, kiedy się je porównywa z osnową dokumentów).

którzy się nazywali Fratres Minores (młodsi lub Minoryci) z przyczyny późniejszego nieco aniżeli Dominikanie zatwierdzenia swojego (w r. 1223) jako reguły zakonnej. — Zresztą obydwa te zgromadzenia, wbrew dyametralnie różnej swojej odzieży zakonnej, miały w sposobie i zakresie działania wiele podobieństwa pomiędzy sobą. Ślepem posłuszeństwem obydwa zarówno papieżowi oddane (»Domini cani« po włosku, »Domini canes« po łacinie — alluzya do tej bezwarunkowej wierności papieżom)*, współzawodniczyły one ze sobą żarliwością wiary i zapałem zakonnym posuniętym do ascetyzmu. Dominikanie jak orły kościoła, pod przywodem Tomasza z Aquinu i tylu innych jemu podobnych, przewyższali Franciszkanów nauką, świetnością wymowy, pogramianiem rozgłośnem heretyków, wpływem, sławą i — fanatyzmem. Franciszkanie zaś przechodzili tamtych pokorą iście gołębią, cichym a równie skutecznym trudem apostolskich wysiłków i prostotą niezrównaną życia swojego. Dobrze to scharakteryzował Długosz (w Lib. Benefic.): Dominicani corvina** pollent calliditate in refellendis haeresibus — Franciscani in perferendis passionibus columbinam redolent simplicitatem«.

Inkwizycya św. zostawała, jak wiadomo, głównie w rękach kaznodziejskiego zakonu. W pierwszych czasach tej instytucyi, kiedy ona jeszcze nie była stałą i tylko ją od czasu do czasu ustanawiano dla przytłumienia tu i owdzie zjawiających się odszczepieństw (n. p. sekty w Toulouse w r. 1206), powoływali papieże do tej czynności tylko samych biskupów miejscowych, a jeżeli niekiedy i zakonników, to już chyba dzierżących wtedy prym przed wszystkimi Cystersów. Dopiero w r. 1229 został ten trybunał kościelny uchwalony na soborze tuluskim jako nieustający i na całą Europę powszechny. Niezwłocznie potem, w roku 1233 — przeniósł papież Grzegorz IX kierunek nad inkwizycyą od biskupów na Dominikanów. Faktyczne zaprowadzenie jej w Polsce przypadło dopiero jednak na lat kilkadziesiąt później. Mianowicie zamianował papież Jan XXII w r. 1318 jako inkwizytorów dla dyecezyi krak. i wrocł.

---

* Stądto też poszło że pies z pochodnią gorejącą w paszczy wzięty został za symbol na obrazach zakonu Dominika św. Wierność i żarliwość wiary.

** Przyrównywając ich do kruków, chciał Długosz oczywiście tylko wyrazić zmyślność i przebiegłość tych ptaków, a nie inne, przez nas krukom przypisywane, mniej dodatnie przymioty.

dominikanina Peregryna z Opola i franciszkanina krakowskiego Mikołaja Hospodyńca. W roku zaś 1327 powierzył to zadanie stale na całą Polskę zakonowi św. Dominika*. Od tego czasu istniała tedy i w naszym kraju ta instytucya; o okrucieństwach jednak i zaciekłości fanatycznej tego trybunału w innych narodach zupełnie tutaj niesłychać.

Co się tyczy misyonarskiego działania w krainach nam przyległych, a Kościołowi jeszcze nie pozyskanych: podzieliły te dwa zakony zadanie między siebie zaraz od pierwszej chwili w ten sposób, że »starszy« zakon głównie apostołował na Rusi, prawosławiu wschodniemu jeszcze wtedy hołdującej, a Franciszkanie szli działać i bardzo często męczeńską śmiercią umierać na Litwie pogańskiej, którą też dobrze przeorali pługiem duchownym i krwią swoją tam przelaną przygotowali do przyjęcia słowa bożego za czasów jeszcze Mendoga i Gedymina. Gdyby nie krzyżujące to ich działanie szalbierstwo i wichrzycielstwo kruków malborskich, którzy w swój sposób wnosili kulturę niemiecką w ten świat dziewiczy jeszcze i dziki: nie byłaby pewnie Litwa aż na Jadwigę czekała w sprawie przejścia swojego na łono chrześcijaństwa i cywilizacyi europejskiej.

Przechodzę do zestawienia poszczególnych, w ciągu średnich wieków już istniejących klasztorów dominikańskich w Polsce.

Sprowadzeni pierwsi członkowie tego zakonu tu zostali w roku 1223, najpierwej do stolicy Małopolski, do Krakowa, a to przez biskupa krakowskiego Iwona Odrowąża, który ich w ośm już lat po potwierdzeniu papieskiem, wprost z Rzymu, do dyecezyi swojej powołał. Pierwszymi kierownikami i krzewicielami tego zakonu tutaj byli Polacy, krewni biskupa Iwona, św. Jacek († 1257) i Czesław († 1242), którzy Dominikanom od pierwszej chwili zapewnili w całej naszej ojczyźnie wziętość i stanowczą przewagę nad innymi zakonnikami.

Już samo wyliczenie główniejszych punktów, w każdej dzielnicy kraju naszego, w których Dominikanie najprzód osiedli, daje widzieć rozumnie obmyślany, rozlegle założony zakres działania tego

---

* Kod. WPol. Nr. 1075 i nast.

zakonu na całym obszarze Polski i Rusi. Mianowicie były to miasta następujące:

Kraków 1223. Kamień na Pomorzu 1224. Sandomierz 1224. Wrocław 1225. Gdańsk 1227. Kijów 1228. Poznań 1231. Płock 1234. Halicz 1238. Przemyśl 1241. Lwów 1270 i t. d.

Cały tłum wszystkich ich osad, które już w r. 1228 tworzyć zaczęły osobną »prowincyę polską«, najsnadniej będzie dla lepszej ewidencyi wymienić według poszczególnych prowincyi.

Więc w Małej-Polsce:

Kraków 1223. Sandomierz, dwa klasztory, 1224 i 1226*. Oświecim przed 1257. Opatowiec 1283**. Żmigród 1331. Lublin 1342. Bochnia 1375. Bełz 1394. Hrubieszów 1416. Horodło c. 1455. Choroszcz pod Białymstokiem (?). Wojsławice.

Z żeńskich klasztorów był tu w tej epoce tylko jeden — krakowski, założony roku 1455***.

Na Szląsku:

Wrocław 1225. Bolesławiec 1234. Opole 1245. Raciborz 1246. Świdnica po 1250. Głogów c. 1250. Oleśnica po 1250. Brzeg po 1250. Legnica przed 1278. Opawa 1291. Cieszyn przed 1300. Krosno c. 1300.

Żeńskie:

Wrocław. Raciborz 1236.

W Wielkiej-Polsce:

Poznań — przez pierwsze lat 13 na Śródce, 1231. Sieradz 1260. Brześć k. 1264. Wronki 1279. Żnin c. 1335. Łęczyca 1341

---

* Długosz w Hist. (II str. 158) pod rokiem 1200 każe sandomirski dominikański klasztor św. Jakóba zakładać już w tym roku 1200 Adelaidzie córce Kazimierza Sprawiedliwego, zmarłej r. 1211. W roku 1200 nie istniała jeszcze reguła Dominikanów! Przykład to ciekawy bałamutnej niekiedy chronologii nawet u tego pisarza.

** Fundatorem klasztoru tego, uposażonego przyległym małym folwarkiem, było opactwo Tynieckie, którego własnością Opatowiec zresztą nadal pozostał. A zatem i klasztory były czasem fundatorami innych t. j. obcej reguły klasztorów. (Obacz Hist. Dług. pod r. 1283).

*** Jeszcze roku 1365 starał się Kazimierz W. o pozwolenie papieża Urbana V na założenie klasztoru Dominikanek w Krakowie (Theiner, Monum. Pol. I str. 630). Czy to przyszło do skutku i czy data r. 1455 jest pewną? — nie wiem.

czy 1370. Piotrków 1370. Kościan 1410. Środa 1420. — W Mazowieckiej dzielnicy: Płock, dwa klasztory, 1234 i 1244. Sochaczew 1235. Warka 1279. Kalwarya nad Wisłą (?). Łowicz 1400.

Żeńskie klasztory:

W tej epoce tylko w Poznaniu, 1281, fundacya Przemysława II i innych panów, dość szczodrze wyposażona.

W Pomorskich i Pruskich stronach:

Kamień 1224. Gdańsk 1227. Chełmno 1228. Elbląg c. 1240. Toruń 1263. Frauenburg (w II połowie wieku XIII). Czczewo 1289. Gryfia (w końcu XIII w.).

Na Rusi Czerwonej:

Halicz 1238 (Długosz). Przemyśl 1241. Lwów 1270. Sambor 1406. Trembowla 1413. Kołomyja 1413. Mościska 1432. Czerwonogród przed r. 1444. Podkamień 1476. (Byli tu już przed 1245, lecz wymordowani przez Tatarów).

Żeński klasztor:

Lwów w XIII w.

Na Podolu, Wołyniu, Ukrainie:

Kijów 1228 (?). Żytomierz w XIII w. Smotrycz 1307. Kamieniec 1360. Łuck 1393. Włodzimierz 1497.

Na Litwie:

Wilno i Nowogródek (już w XIV wieku, za Gedymina; lecz istniały niedługo i dopiero w roku 1501 w Wilnie, a 1624 w Nowogródku wskrzeszone)*.

---

* Z powyższego przeglądu okazuje się tedy, że reguła ta szerzyła się w obrębie średnich wieków głównie na gruncie właściwym polskim i czerwono-ruskim.

W późniejszych zato czasach przybyło im w właściwej Polsce stosunkowo nie wiele już nowych osad:

Warszawa, 1603 czy 1605. Janów w Mazowszu, 1602. Lublin (drugi klasztor) 1607. Busk nad Bugiem, 1608. Klimuntow, 1613. Gidle niedaleko od Częstochowy, 1615. Wysokie Koło, 1637. Janów nad Białą, 1650. Warszawa (drugi klasztor), 1668. Borek w M. Polsce, 1670. Dzików 1678. Wielkie Oczy pod Bełzem (?). Krasnobród, 1673 — i kilka klasztorów zakonnic (w Płocku przed r. 1598, w Sochaczewie 1613, w Piotrkowie 1627, w Krakowie (drugi)

Franciszkanie.

Przechodząc do drugiego tejże kategoryi zakonu, t. j. franciszkańskiego, który się w kilkanaście dopiero lat po dominikańskim w kraju naszym pojawił i ile wnosić mogę, w pierwszych swych czasach głównie w zachodnich prowincyach Polski rozszerzył:

1634 i w Bełzie 1647). Wszystko to przybyło w wieku dopiero więc XVII, a nic zgoła w XVI, w którym prąd czasu, reformacyjnemi zabarwiony dążnościami, wcale nie sprzyjał zakonnym instytucyom.

Więcej stosunkowo pozyskali (w XVII w.) Dominikanie nowych stanowisk w Czerwonej Rusi:

Jezupol, 1598. Złoty Potok, 1604 (1609?). Busk, 1608. Lwów (drugi klasztor) 1609. Czortków. 1610. Rohatyn, 1614. Jaworów, 1615. Tyśmienica, 1631. Toporów (?). Śniatyn, 1643. Łańcut, c. 1650. Buczacz, 1652. Żółkiew, 1653. Czernelica, 1661. Brody, 1678. Sieniawa, 1676. Cieszanów, c. 1677. Lwów (trzeci klasztor), 1678. Bohorodczany, 1691. Tarnopol, 1749. Jarosław, 1777. — Żeńskie klasztory: Przemyśl, 1606. Lwów, przed 1627. Żółkiew, 1682.

Najwięcej jednak rozszerzyli się Dominikanie w tych dopiero późniejszych czasach na ziemi dalszej ruskiej, jako też na Litwie i Żmudzi. Wskutek tego przyszło też w r. 1612 do rozdzielenia jedynej aż dotąd na całą Polskę prowincyi na dwie, t. j. na »polską« i »ruską« »Litewska« zaś osobna prowincya dominikańska wydzieliła się w r. 1644.

Mianowicie osiedli w obrębie tak zw. dzisiaj krajów zabranych w tych miejscowościach:

Jazłowiec 1595. Latyczów 1606. Szarawce 1607. Bar 1607. Czartorysk (?). Morachwa 1609. Stary Konstantynów 1613. Nowogród siewierski 1625. Czarnobyl 1626. Kamień Koszyrski 1628. Czerniechow 1628. Winnica 1630. Lubar czy Lubartow 1634. Owrucz 1638 Kodak 1640. Adamgród 1641. Ostrog (?). Sokołów 1643. Czerkasy 1643. Jackopol 1643. Tulczyn 1645. Lipowiec 1647. Lachowce 1660. Jałowicze 1658 czy 1667. Byczów czy Byszów 1674. Kozin 1738. Tywrów 1742. Sokulec. Chodorków 1742. — Żeński klasztor: w Kamieńcu podolskim, 1615.

W obrębie dawnego W. X. Litewskiego: Wilno 1501. Janów biskupi n. Bugiem 1602. Sejny 1603. Merecz 1605. Mińsk 1615. Ostrowiec 1618. Szkłów 1619. Ostrowno 1620. Słupce 1621. Rzeczyce 1621 (1634). Kowno 1621 (1641?). Nowogródek 1624. Klimowicze, przed 1626. Stołpce 1627 (1621). Dereczyn 1629 (1618). Wysoki dwór 1629. Brześć lit. c. 1630. Grodno 1633. Smoleńsk po r. 1634. Ziembin 1640. Witebsk 1642. Kalwarya żmudzka 1642. Wilno (na Łukiszkach) 1642. Wierzbołów 1643. Rosienie 1645. Poporcie 1649. Orsza 1650. Choroszcz c. 1650. Wasiliszki 1658. Rożanystok 1660. Werki 1664. Bielica 1665. Pińsk 1666. Oszmiana 1667. Jelna 1667. Ula 1669. Połock 1671. Nieśwież 1672. Czaszniki 1674. Buchowicze 1674. Kalwarya lit. 1675. Rykonty 1676. Poławeń 1676. Malatycze 1676. Mścisław 1676. Pasków 1676. Zasław lit. 1678. Troki 1678.

winienem uczynić zastrzeżenie, że daty moje co do tego zakonu pod wielu względami mogą być niedostateczne. O żadnem bowiem innem zgromadzeniu naszem zakonnem nie pisano z taką chwiejnością co do statystycznych szczegółów i z takiem ubóstwem pozytywnej dziejowej treści, jak o niniejszem*.

Smolany 1680. Słonim 1680. Połonno 1680. Kniażyce 1681. Hołowczyn 1681. Chotajewicze 1681. Rożana (?). Kleck 1683. Duniłowicze 1683. Krasnybór 1684. Walówka 1685. Piaski 1685. Klimówka 1686. Raków na Białej Rusi 1686. Bohdanów 1691. Hoszczew 1692. Posin w Inflantach 1694. Liszków 1694. Szumsk 1696. Terespol 1697. Agłona w Inflantach 1700. Dudakowicze 1701. Chołopienicze 1703. Druja 1706 (1697?). Uszacz 1716. Zabiały 1716. Tywrów 1742. Koniuchy 1735 czy 1746. Skopiszki 1752. Ruszona w Witebskiem 1766.

Żeńskie klasztory: Nowogródek 1654 i Wilno 1678.

* Przed kilkudziesięciu laty ogłosił O. Jakób Piasecki, prowincyał franciszkański, w Pamiętniku Religijno-moralnym na rok 1843 (zeszyt 4—9) rzecz p. t. »Opisanie klasztorów XX. Franciszkanów prowincyi polskiej«. Okazało się jednakże, że nawet temu autorowi, mimo materyałów, które z mocy swego urzędu mógł mieć przed sobą, nie były już wiadome wszystkie klasztory choćby tylko do samej polskiej prowincyi należące; o stosunkach ruskiej bowiem prowincyi zgoła w tym artykule nie mówi. — Z dawniejszych dzieł wymienić tu należy głównie Kazimierza Biernackiego Speculum Minorum... Kraków, bez wyrażenia roku, w którym książka ta wyszła z druku (około 1688). Rzecz ta daje obraz rozwinięcia się tego zakonu i w ogólności i w Polsce; jak na owe czasy niezgorzej jest obrobiona: ale i w niej o kilku tylko zaledwie klasztorach doszukać się można wzmianki, że były i że w tym lub owym roku założone zostały. Pragnął wprawdzie autor, jak to sam mówi na str. 293, podać wykaz wszystkich choćby tylko w wieku XVII powstałych konwentów: lecz żal się Boże, powiada, »tanta est mortalium inertia«, że mu ci nawet, od których to jedynie zależało, do tego nie raczyli materyału dostarczyć. — Dzieła Makowskiego (Thesaurus provinciae pol.) nigdzie doszukać się nie mogłem; wątpię wszelako, żeby w sobie zawierało jakie szczegóły, niespożytkowane jeszcze przez X. Piaseckiego. — Andrzeja R. Ciżemskiego Laurus Triumphalis... (Kraków 1660) ciekawe jest jako przyczynek do dziejów utrapień naszych w czasie napadu Polski przez Szwedów roku 1656 i n. ale dla naszego celu zupełnie się okazało bezużytecznem. Tożsamo rozumieć należy i o publikacyach Elbinga, Miskego i t. p. — Z tychto przyczyn i ja także nie jestem w stanie wymienić wszystkich, jakie tylko były, franciszkańskich naszych klasztorów, ani też nie ręczę wszędzie za prawdziwość dat fundacyjnych, jakie niżej położę przy miejscowościach tego zakonu, które mi są wiadome. — W ostatnich czasach przybyło jeszcze dzieło Müllera: Anfänge des Minoritenordens und der Bussbruderschaften, ale nie polskich.

Zgromadzenie »Młodszej braci« czyli inaczej Minorytów, nazywanych w potocznej mowie Franciszkanami, wzięło swój początek za sprawą Franciszka św. z Assyżu, męża włoskiej narodowości († 1226); zatwierdzone zaś zostało ostatecznie przez papieża Honoryusza III w roku 1223. Przybyło do Polski nie bezpośrednio z Włoch, lecz z Pragi czeskiej, a to w roku 1237, na wezwanie Bolesława Wstydliwego książęcia krakowskiego, szczególnego dobrodzieja tego zakonu, założyciela pierwszego ich w krajach naszych klasztoru w Krakowie*, a prócz tego i w kilku innych miejscach. Przez pierwsze wieki (aż do roku 1517) stanowili Franciszkanie polscy jednę całość czyli tak zwaną prowincyę z czeskimi klasztorami, skutek przybycia ich stamtąd; dopiero w rzeczonym roku odosobniły się dwie te prowincye od siebie jako odrębne i niezawisłe. Szląscy jednak zakonnicy tworzyli osobny odłam, gdyż wcieleni zostali jeszcze roku 1270 do tak zw. saskiej t. j. północno-niemieckiej prowincyi.

Pod względem terrytoryalnym postanowili sobie Franciszkanie polscy od pierwszej zaraz chwili, równie jak Dominikanie, rozszerzyć działanie swoje na cały obszar ojczyzny naszej i nawet przyległych okolic; takito cel jedynie mieć mogły najpierwsze ich, powstające prawie równocześnie klasztory w tych miastach: w Krakowie 1237, Haliczu 1238, Toruniu 1239, Wrocławiu 1240, Inowrocławiu w Kujawach (przed 1244), Gnieźnie 1259, Chełmnie 1258, a nadto jeszcze misye ich bardzo wcześnie rozpoczęte na Litwie i głębszej Rusi. — Do szczególnego zalecenia zakonu tego w narodzie naszym przyczynił się głównie przykład dany z wyżyn samejże rodziny panującej, kiedy trzy wdowy po zmarłych książętach w drugiej XIII wieku połowie, przyjęły jedna za drugą welon zakonny tejto reguły i świątobliwością życia, dokonanego in odore sanctitatis, rozsławiły w całej Polsce przewagę szczególniej niewieścich zgromadzeń tego odcienia. Były to: błogosławiona Salomea († 1268) wdowa po Kolomanie królu węgierskim, a siostra naszego Bolesława Wstydliwego; Kunegunda († 1292) wdowa tegoż

* Od tegoto klasztoru wzięła nazwę i przyległa tej miejscowości ulica w mieście Krakowie, to jest ulica Bracka; co naprowadza na wniosek, że ich wtedy nie tyle Franciszkanami musiano w Polsce nazywać, co raczej Braćmi. Taksamo było to i we Włoszech (*ai Frari, della Frate* i t. p. nazwy i dzisiaj jeszcze tam powszechne kościołów franciszkańskich).

książęcia, córka króla węgierskiego Beli; i siostra tejże Kunegundy bł. Jolanta († 1298) wdowa po Bolesławie księciu kaliskim.

Wykaz wiadomych mi klasztorów franciszkańskich, założonych przed r. 1500 w poszczególnych częściach kraju naszego:

W Małej-Polsce:

Kraków 1237. Zawichost (pierwotnie założony podobno w Sandomierzu 1242, ale to niepewna wiadomość). Libichowa p. Bochnią (przed 1250). Stary Sącz 1280. Nowy Sącz 1297. Trzciana (?). Nowe miasto Korczyn (1257?). Lelów nad Białą 1357. Chęciny 1368. Lublin 1456. Tarnów, Szczebrzeszyn i Radom (kiedy?). Opatów 1471.

Żeńskie klasztory tak zwanych Klarysek, Damianitek, Franciszkanek, któreto nazwy wszystkie tosamo znaczą:

Zawichost 1255, w roku 1257 klasztor przeniesiony do Skały czyli Grodziska pod Krakowem, a stąd 1316 nareszcie do Krakowa u św. Jędrzeja, gdzie trwa aż do dni naszych*. — Stary Sącz 1280.

Na Szląsku:

Wrocław 1240. Opole. Nissa 1257. Bytom 1258. Opawa. Głogów 1264. I następujące założone jeszcze przed r. 1270: Brzeg, Świdnica, Goldberg, Löwenberg, Żegan (Sagan), Namysłowo (Namslau), (drugi) Głogów, Lignica, Koźle.

Żeńskie:

Wrocław 1260. Głogów 1307. Brzeg 1335 (?).

W Wielkiej-Polsce i Mazowszu:

Inowrocław przed 1244. Kalisz 1257. Szrem 1270 (1238?). Gniezno 1280. Oborniki 1292. Brześć kuj. (?). Radomsk 1328 (pierwotnie w Brzeźnicy 1286). Radziejów w Kujawach 1298. Pyzdry 1277. Łęczyca. Dobrzyń c. 1316. Wyszogród 1320. Wschowa 1445. Poznań 1455 (?).

---

* Zauważyć tu należy, że żeńskie tej reguły klasztory od roku 1260 począwszy nie miały tego znamienia ubóstwa zawarowanego ślubami, co męskie konwenty. Tak n. p. klasztor ich w Skale obdarzony został przez Bolesława Wstydliwego 25 wsiami do Zawichostu należącemi, a prócz tego i kilku jeszcze innemi wioskami w Sandomirskiem. — O początku tego klasztoru mamy monografię Ulanowskiego w Pamiętniku akademii umiej. T. VI.

Żeńskie:

Gniezno 1259, bogata fundacya Bolesława Pobożnego, książęcia kaliskiego. — Bydgoszcz.

W Prusiech:

Toruń 1239. Chełmno 1258. Nowe. Chełmża. Braunsberg. Gdańsk. Malborg. Brodnica. Nieszawa 1463 czy 1426.

Na Rusi Czerwonej:

Halicz 1236. Lwów 1336 (1236? kiedyś później znalazł się tu i drugi jeszcze klasztor). Przemyśl. Krosno c. 1370. Sanok 1377. Gródek, Zamość, Stryj, Kosów i Jarosław (kiedy?).

Na Litwie:

Wilno 1332 (wymordowani już roku 1333). Lida 1366. Pińsk 1396.

W XV w. musiało powstać kilka klasztorów — może w Wilnie (na nowo), Nowogródku, Drohiczynie, Grodnie i Kownie, których czasu założenia znikąd się dowiedzieć nie mogłem. W ogóle wiek XV co do tego zakonu w obec litewsko-ruskich okolic jest jeszcze zupełnie nierozjaśnionym ustępem dziejów*.

---

* W wieku XIII i XIV nie mieli Franciszkanie stałych wszędzie, gdzie działali, na Litwie i Czerwonej Rusi przytulisk; nie przeszkadzało to jednakże bynajmniej ich misyonarskim wysiłkom. W tak zw. po dziś dzień krajach zabranych (Podole, Wołyń i Ukraina) podług Biernackiego mieli oni być czynni także jeszcze w XIII wieku. Stałe punkta jednakże, o ile one mnie są wiadome, pozyskali oni tu głównie dopiero w XVII wieku (stulecie reformacyjne nie było i dla nich zatem przyjaznem). Mianowicie powstały późniejsze klasztory franciszkańskie w miejscowościach następujących:

Na Podolu, Wołyniu i Ukrainie:

Krzemieniec 1607. Korzec, około tegoż czasu. Międzyrzecz 1610. Lachowce. Kamieniec podolski. Bar. Horyniec. Mederecz. Wąchowce. Sumsk. Gruszkopol. Lisianka. Komargród 1746.

Na Litwie i Białej Rusi:

Oszmiana 1505. Narwiliszki 1617. Olszany 1618. Dzisna 1630. Połock. Olkieniki 1636. Postawy 1640. Mińsk. 1676. Orsza 1680. Prozoroki 1698. Stawiska. Szejbakpol. Świsłocz. Łopienica. Pińsk. Hubin. Giełwany. Kołtyniany. Użwałd. Sokolników. Sienno. Łukomla. Iwieniec 1702. — Żeńskie klasztory były tu w Wilnie 1596, Brześciu lit. 1659. Słonimie c. 1660 i t. d.

Markowie.

Do rzędu zakonów z jałmużny tylko żyjących należało według Długosza (Lib. Benef. III) na trzeciem miejscu zgromadzenie księży Marków, jak ich w Polsce zazwyczaj nazywano potocznie, właściwie zaś używających nazwy przez Kościół zatwierdzonej Kanoników regularnych de poenitentia beatorum martyrum*. Nazwanie Marków stąd im przyszło, że pod wezwaniem św. Marka poświęcony został ich kościół klasztorny krakowski na Sławkowskiej ulicy, pierwszy który sobie zbudowali w tym kraju i który uważali przez wszystkie następne czasy za swój centralny.

Początek tego zakonu gubi się w oddalonej i mniej wyjaśnionej przeszłości: miał on się zawiązać w Benewencie jeszcze w r. 1169, na zasadach reguły św. Augustyna; zatwierdzenie zaś papieskie otrzymał roku 1215. Celem jego — dobroczynność i utrzymywanie dla ubóstwa i dla pielgrzymów do Ziemi świętej idących lub też z niej wracających, szpitalów. Ubior — habit biały z czerwonym na piersiach znakiem krzyża świętego i serca, a na to czarny płaszcz, którego używali tylko w razie wyjścia poza mury klasztorne.

Z powyższego wynika, mianowicie jeżeli uwzględnimy ich już dawniejszą w kościele przeszłość i nazwę »Kanoników«, jako też znamię krzyżowe na piersiach i cel zakonny: że właściwie była to reguła więcej zbliżona do Miechowitów i wogóle do tych wszystkich, o którycheśmy przed Dominikanami mówili. Między żebraczymi zakonami zajmują oni miejsce tylko dla obostrzonego ślubu ubóstwa.

Do Polski przybyli Markowie po Franciszkanach dopiero, mianowicie w r. 1257, w którym im założył Bolesław Wstydliwy ich klasztor krakowski. Rozpowszechnić się w tym kraju znacznie nie

---

Na polskiej ziemi mało co już klasztorów franciszkańskich po upływie średnich wieków przybyło. Wiadome mi są tylko te:

Grocholice, Stężyca w M. P. 1591. Puszcza Solska pod Zamościem, 1603 czy 1645. Bełchatów 1617. Piotrków 1621. Smarzowice (3 mile od Piotrkowa) 1622. Warka w Maz. 1629. Grabów nad Prosną 1628. Poznań 1637. Warszawa 1645. Góreck 1668. Łagiewniki 1675 i jeszcze kilka późniejszych.

Żeńskie: Warta. Kalisz 1618. Szrem 1623 (1616?). Poznań 1637. Chęciny 1639.

* O początku tego zakonu rozpisał się Nakielski w swojej Miechowii str. 55 — 61.

potrafili. Wszystkie ich (przed rokiem 1500 powstałe) osady redukują się do następujących:

Kraków 1257. Trzciana czyli Libichowo w Krakowskiem przed 1267. Tęgobórz p. Sączem 1400. Na Litwie Twerzec, Miedniki i Bystrzyca, w pierwszej połowie XV wieku.

Sławę tego zakonu w Polsce podtrzymuje głównie Michał Giedrojć do rzędu błogosławionych policzony, członek krakowskiego konwentu, † 1485.*

Augustyanie.

Po przybyciu już Franciszkanów i Marków, zaczęli się w Polsce rozpowszechniać z kolei także i Augustyanie, czwarty odcień tej kategoryi zakonnej.

Zawiązek ich klasztornej organizacyi t. j. ustroju, w jakim ich północna Europa poznała, przypada podobno na rok 1256 czy 1245; właściwy początek ich jednak sięga o tyle w głębszą nierównie przeszłość, że wytworzyła się ta reguła z pustelniczych, w stałą regułę nieujętych tradycyi i zwolennictw, około pamięci św. Augustyna z dawien dawna się grupujących: za czem też poszła i kanoniczna nazwa, jaką sobie członkowie tego zakonu w stałe formy się przetwarzając nadali, Braci Pustelników św. Augustyna (Fratres Eremitae).

Z tegoto zgromadzenia, jak wiadomo, wyszedł Luter w w. XVI.

Ubior Augustyanów jest czarny, krojem tylko się różniący od habitu Benedyktynów i Franciszkanów. Z Kanonikami regularnymi św. Augustyna (Laterańczykami) nie mają oni prócz imienia tego ojca kościoła, żadnej wspólności. Cel ich główny miał się zasadzać na pracy z konfesyonału i kazalnicy.

Powołanie swoje do Krakowa (przed r. 1363) zawdzięczali ci zakonnicy królowi Kazimierzowi Wielkiemu, założycielowi ich wspaniałego kościoła św. Katarzyny na Kazimierzu, który zaczął się budować r. 1342, ukończony został w kilkadziesiąt lat później, a stanął wraz z klasztorem i za inne jeszcze fundusze, mianowicie za

---

* W późniejszych wiekach przybyły im jeszcze te punkta:

Limanowa (w dzisiejszej zachodniej Galicyi) przed r. 1535. Pilcza i Bogorya (obydwa c. 1623). — Na Litwie: Poniemunie. Wilno 1647. Michaliszki 1653.

300 grzywien ofiarowane przez kasztelana krak. Jaśka z Melsztyna, jako też za skarb jakiś bajeczny znanego w dziejach królowej Jadwigi Gniewosza z Dalewic, a raczej Wilhelma księcia austryackiego, któryto skarb dziwnym zbiegiem okoliczności został na ten cel obrócony mimo woli pierwotnych właścicieli*.

Fundacya ta Kazimierska dla Augustyanów nie była jednakże pierwszą na ziemi polskiej, choć ją za taką Długosz (w Lib. Benef.) podaje. W miastach pod rządem Krzyżaków osiadać zaczęli zakonnicy tej reguły jeszcze w wieku XIII (1265). Przypuścić przeto należy szerzenie się tego zakonu u nas, jako przeprowadzone z dwóch punktów wyjścia — najprzód w Prusiech a stamtąd i w przyległych im polskich prowincyach; a później (począwszy od r. 1363) dopiero i w Małej-Polsce. Tutejsi zakonnicy pochodzili jednakże z Pragi czeskiej, a nie z Prus.

Wpływu bardzo znacznego nie musiał ten zakon nigdy wywierać wśród społeczeństwa naszego; przynajmniej upoważnia nas do takiego wniosku małe stósunkowo jego rozpowszechnienie.

Wiadome mi klasztory augustyańskie, przed upływem wieków średnich powstałe na całej przestrzeni kraju polskiego, redukują się do liczby następujących:

Chojnice (w Prusiech) 1265. Starogród (pomorski) 1295. Rosel (w Warmii) 1451. — Bydgoszcz w WPol. jeszcze w XIII w. Wieluń 1335 (?).

Kazimierz (krakowski) przed 1363. Rawa w Łowickiem 1356. Warszawa 1356. Ciechanów, po roku 1358. Olkusz 1369. Książ wielki 1381. Pilzno 1403. Parczów 1447. Brześć litewski, w początku XV wieku.

Nie będą to może wszystkie klasztory; w każdym razie jednak widoczna, że popularność tego zakonu w Polsce zacieśnia się prawie tylko w ramach panowania ostatnich Piastów**.

---

* Obacz o tem zajmujące opowiadanie Długosza Lib. Benef. III str. 470. O tym kościele i klasztorze krakowskim mamy i monografię bezimiennie wydaną p. t.: »Wiadomość o kościele św. Katarzyny na Kazimierzu przy Krakowie«. Warszawa 1855.

** Po upływie wieków średnich przybyły Augustyanom klasztory jeszcze w następujących punktach: Załośce na Wołyniu. Krasnystaw 1506 (w r. 1624 klasztor ten przeniesion do Lublina). Orchówek na Podlasiu 1610. — Na Litwie: Grodno 1503. Brześć lit. 1503. Kowno i Wilno (kiedy?).

Żeński klasztor: w Krakowie, 1610.

Paulini.

Z podobnych poniekąd pierwiastków, co Augustyanie, t. j. z pustelniczych tradycyi św. Pawła z Tebaidy († 342), później dopiero do reguły św. Augustyna przystosowanych, wytworzył się i zakon Paulinów, o którym nam w tem dopiero miejscu wspomnieć należy, ponieważ przybył on do Polski znacznie później po Augustyanach.

Pierwszy zawiązek Paulinów, jako zakonu w stałą ujętego regułę, zaszedł na ziemi węgierskiej, według jednych podań w Patach w roku 1215, według drugich w Iruch w r. 1225. Uroczyste zatwierdzenie papieskie otrzymali dopiero w r. 1317, od Jana XXII.

Do utrzymujących się z samej tylko jałmużny zgromadzeń mniszych oni jednak na mocy już pierwotnej swojej reguły nie należeli i tem się też głownie różnią od Augustyanów, z którymi zresztą co do nazwy (Pustelników św. Augustyna) i trybu życia wiele mają przypadkowej wspólności. Różnią się od nich także habitem, który jest biały, z wełnianej materyi, ale nie z sukna — takiż szkaplerz i płaszcz, sięgający do samej ziemi.

Ściągnięcie swoje do Polski, w r. 1382 dopiero, zawdzięczają Paulini znanemu w dziejach naszych za rządów króla Ludwika Władysławowi opolskiemu, który ich pierwszy w czasie panowania swojego w księstwie Wieluńskiem z Węgier (z klasztoru Nosztre) sprowadził, w Częstochowie osadził i uposażeniem początkowem opatrzył. Z Częstochowy szerzyli się oni potem przez pierwsze lat kilkadziesiąt i dalej; wybitnego jednak stanowiska zająć w tym kraju nie potrafili i prawie nikną w porównaniu z Dominikanami i później (w XV wieku) z bernardyńskim zakonem.

Klasztory Paulinów w Polsce w obrębie wieków średnich były podobno tylko następujące:

Częstochowa 1382. Wieluń 1393. Wieruszów (niedaleko od Kępna w W. Polsce) 1401(?). Bęszowa w Mał. Polsce 1421. Pińczów 1449. Sienno(?). Oporowo 1454. Kraków na Kazimierzu, fundacya Długosza, r. 1472. Wielgomłyny w Łowieckiem 1476*.

---

* W dalszych wiekach przybyły im jeszcze punkta następujące: Warszawa pod koniec w. XVII. Konopnica w M. Polsce 1637. Włodawa na Litwie 1678. Leśna, także na Litwie, 1686 czy 1752. Leśniów pod Żarkami 1706.

(Daty te w znacznej części niepewne, nie mamy bowiem dostatecznie wyjaśnionej historyi tego zakonu).

Karmelici.

Jeszcze mniej niż Paulini i Augustyanie, rozpowszechnić się u nas potrafili w obrębie wieków średnich Karmelici, których Polska poznała w 13 lat dopiero po sprowadzeniu Paulinów — zakon powołany tu najpierw do Krakowa przez Władysława Jagiełłę, z Pragi czeskiej, i zaszczycony szczególniejszymi tego króla względami. Później dopiero — w wieku XVII i XVIII — miały dla Karmelitów nastąpić i w tem społeczeństwie, zwłaszcza na ziemi litewsko-ruskiej, czasy więcej pomyślne*.

Kanoniczna nazwa tej reguły: Fratres Beatae Mariae Virginis de monte Carmeli — Bracia N. Panny z góry Karmelu, wzięła początek od gór bezludnych w starożytnej Palestynie znanych pod tem nazwiskiem, i od grot jakich tam całe setki można naliczyć, w których od najodleglejszych czasów pustelnicy wiedli życie w bogobojnym ascetyzmie i odosobnieniu od świata. W jednej z tychto grot karmelskich miał czasu swego wedle tradycyi miejscowej trawić żywot podobny już prorok Eliasz św., wskutek czego też uznaje go zakon karmelitański za swego szczególnego patrona, a nawet pierwotnego założyciela. — Rzeczywisty zawiązek Karmelitów, jako zgromadzeń wspólnie żyjących podług stałej orzeczonej reguły, przypada dopiero na wiek XII. Przechodzili oni tam na Wschodzie różne koleje i przekształcenia zakonne, nim się w wieku XIII zaczęli i do Europy przenosić. Otrzymali tu zatwierdzenie kanonicznego swego statutu od papieża Inocentego IV dopiero w roku 1247 (1249?), poprzednio zaś przestawali na sankcyi, jaką mieli (od r. 1205 czy 1209) ze strony patryarchy jerozolimskiego Alberta. Ślubując twardy bardzo tryb życia i bezwarunkowe

---

* O Karmelitach w ogólności traktują dzieła: Daniela a s. Maria Speculum Carmelitarum, 1680 r. wydane. — O. Błażeja Hoyciusa Postanowienie zakonu Karmelitańskiego i t. d. 1623 (tłómaczenie z łacińskiego oryginału De ortu et origine Ordinis Eliae Patris i t. d. wydanego podobno r. 1621 w Poznaniu). — Alberta Kołackiego Summarium antiquitatum... ordinis s. Virginis Mariae Carmelitarum (gdzie i kiedy wyszło? Nie znam). — Ściśle krajowo-dziejowej treści jest książka, bardzo słabo zresztą napisana, ks. Ignacego Chodynickiego p. t. Wiadomość historyczna o fundacyach klasztorów zakonu karmelitańskiego w Polsce i Litwie. Lwów 1846. (Autorowi nie były znane nawet te wszystkie klasztory, które mnie się udało zestawić — choć i mój wykaz nie będzie pewnie zupełnym).

ubóstwo, stanęli w szeregu zakonów jałmużniczych czyli żebraczych — w późniejszych wiekach jednak wyjednali sobie u stolicy apostolskiej pewne złagodzenia pierwotnej swojej reguły. (Rozdział na Karmelitów bosych a trzewiczkowych zaszedł w ciągu wieku XV).

Do Polski przybyli oni stosunkowo dość późno, a to z Pragi czeskiej; otrzymali zaś pierwsze swoje umieszczenie w Krakowie i Poznaniu, w którychto obydwóch miastach Władysław Jagiełło w r. 1395 i 1399 pobudował istniejące dotąd dla nich kościoły.

Wszystkie ich stałe punkta w obrębie czasu przed r. 1500 ograniczają się do liczby następujących:

Kraków 1395. Poznań 1399. Płońsk w Mazowszu 1462. Jasło i Bydgoszcz, w XV wieku*.

Był jednym z najdawniejszych ich klasztorów i Gdański, ale data założenia jego jakoby jeszcze w roku 1186, dosyć rozpowszechniona, w żaden sposób nie może być prawdziwą**.

---

* We Lwowie otrzymali Karmelici plac na Halickiem (gdzie dziś Kryminał) od Władysława Warneńczyka i pozwolenie na nim założenia klasztoru jeszcze w r. 1444. Ale się temu rada miejska oparła, nie życząc sobie nowego jeszcze klasztoru w mieście. Obacz tom V Aktów z archiwum Bernardyńskiego str. 127 i 146.

** Uderzającem jest szczególne rozpowszechnienie Karmelitów, przypadające wyjątkowo na późniejsze dopiero wieki, i to głównie na Litwie, Białej Rusi, Wołyniu i Podolu — mniej już na Rusi Czerwonej, a najmniej w właściwej Polsce.

W niektórych punktach znajdujemy nawet po dwa klasztory, kiedy pojawił się później u nas i drugi odcień tego zakonu t. j. Karmelitów bosych (w przeciwstawieniu do trzewiczkowych), którzy do Polski przybyli w roku 1610.

Wilno 1514. Sąsiadowice na Rusi 1603. Lipie w W. Polsce 1605. Wąsocz w W. Polsce 1605. Kraków (bosi) 1610. Warszawa (bosi) c. 1610. Lublin 1610. Kcynia w W. P. 1612. Lwów 1614. Poznań (bosi) 1618. Radomel na Rusi 1619. Przemyśl 1620. Trembowla 1620. Husaków na Rusi 1623. Białynicze w Połockiem 1623. Wiśnicz 1624. Bołszowce na Rusi 1624. Wilno (drugi) 1626. Czerna pod Krakowem 1628. Berdyczew 1630. Mścisław c. 1630. Kniażyce na Litwie 1632. Lwów (drugi) 1634. Głębokie w Połockiem c. 1640. Warszawa (drugi) 1642. Rozdół 1647. Czausze na Litwie 1650.

Co do następujących nieznany mi jest rok założenia.

Markowa, Obory i Inowrocław w Wielkiej Polsce. Bielsk nad Białą, Guławska wola, Pilzno i Zakrzew w Małopolsce, Mohilew, Koleśniki, Linków, Pożajście, Słoboda, Taboryszki, Rosienie, Krupie, Chwałojnie i Zaświerz na Litwie, Kamieniec podolski.

Bernardyni.

Przystępujemy nakoniec do najmłodszego z pomiędzy wszystkich zakonów przybyłych do nas w ciągu średniej dziejów epoki, do zakonu, który wziętością i niezaprzeczonym wpływem swoim na społeczeństwo polskie sam jeden z tych wszystkich późniejszych wytrzymywał zaszczytnie współzawodnictwo z Franciszkanami (których nie lubił), a nawet z Dominikanami: do Reguły św. Franciszka pod zwiększonym rygorem, przyjętej przez zakon »Fratrum Minorum de observantia«, to jest przez Bernardynów*.

Wyszli ci mnisi z łona pierwotnej franciszkańskiej reguły, którą tylko z obostrzeniem wznowili: a zatem odłam Franciszkanów, lecz o wiele surowszego zakroju. Odmówili oni sobie nawet obuwia, dozwolony dawniej habit sukienny zamienili na włosiennicę najtwardszą, przepasaną grubym powrozem. Przepisali sobie i w wewnętrznym klasztornym trybie obowiązki, umartwiania, prywacye,

---

Władysławów na Żmudzi 1660. Horodyszcze na Wołyniu 1662. Dorohostaj 1667. Kłodawa 1668 czy 1623. Olesk na Wołyniu 1670. Lida 1672 (1676). Pompiany na Żmudzi 1675. Grodno 1676. Lublin 1680. Żołudek 1682. Krupczyce w Brzesko-litewskiem 1683. Kisielin na Wołyniu 1691. Drohobycz 1698. Mińsk 1703 (1677). Trutowo w W. Polsce 1717. Kiejdany na Litwie c. 1709. Kowno 1716. Wiśniowiec c. 1720. Pińsk 1734. Łuck 1740. Ostrog na Wołyniu 1741. Kochawina na Rusi 1742. Łabuń na Wołyniu 1745. Kupin na Podolu 1747. Annopol czyli Hlinniki na Wołyniu 1753. Miadzioł 1754...

Było kilkanaście i żeńskich klasztorów, n. p. Kraków 1618 (i drugi 1719). Wilno 1638. Lwów 1644 (i drugi 1677). Warszawa 1654. Poznań 1667. Lublin, Beresteczko. Dubno na Wołyniu 1702 i t. d.

* Do historyi Bernardynów w Polsce mamy dzieło niedawno temu wydane, choć napisane jeszcze na początku XVI stulecia: Jana z Komorowa »Tractatus Cronice Fr. Minorum Observancie a tempore Constanciensis concilii et specialiter de provincia Polonie«. (Wydał to Dr. Zeisberg w 49 tomie czasopisma Archiv für österreichische Geschichte, Wiedeń r. 1872). Tegoż dzieła obszerniejsza redakcya, w r. 1536 (roku śmierci autora) ukończona, wyszła w tomie V Mon. Pol. p. t. Memoriale ordinis Fratrum Minorum. — Pisał o nich także Grabowski: Commentarius rerum a Fr. ordinis Minorum de observantia... ab a. 1450 — 1744 gestarum. Poznań 1746. — W Tece Wileńskiej na rok 1858 Nr. IV podał E. Tyszkiewicz wykaz wszystkich bernardyńskich klasztorów, jakie były aż do ostatnich czasów, ale tylko na Litwie. — Podobnież wiele ich wymienił i z dobrych źródeł Hr. M. Dzieduszycki w dziele swojem o Zb. Oleśnickim (tom II str 420). — Ks. Sadok Barącz: Pamiętnik zakonu OO. Bernardynów w Polsce. Lwów 1874.

odpowiednie tej surowości samego już ich zewnętrznego pojawu. Właściwym inicyatorem tej ascetycznej reformy miał być (wedle Biernackiego Speculum Minorum) Paulucyus z Fulgino, w roku jeszcze 1368. Rozgłosu jednak większego długo nie miały klasztory przyjmujące przepisy przez niego zalecone. Aż dopiero w wieku XV pojawił się w jednym z takich klasztorów włoskich św. Bernard Seneński, i ten dopiero przez osobiste swoje przymioty zwróciwszy uwagę powszechną na całe zgromadzenie tej frakcyi, wysoko je postawił w poważaniu współczesnych. Uczniem i towarzyszem jego duchownego działania był św. Jan Kapistran, mąż nadzwyczajnych jak na tamte wieki intellektualnych zdolności. Ten nie tylko w samych Włoszech, ale i z tej strony Alp: w Niemczech południowych, w Czechach, na Szląsku, w Polsce, do którychto krajów przybywał w przeważnych sprawach kościoła i wymową niezrównaną wszędzie, gdzie się tylko pokazał, wzbudzał nieopisany entuzyazm — rozniósł i ustalił sławę swojego zakonu. Bawił on w Polsce, do której zjechał na żądanie biskupa Zbigniewa Oleśnickiego i Kazimierza Jagielończyka, od 28 sierpnia 1453 roku do 15 maja 1454, każąc po różnych miejscach, a szczególniej w samym Krakowie, gdzie mu urządzono mównicę przy kościołku św. Wojciecha na rynku pod gołem niebem, bo żaden kościół nie mógł objąć niezmiernej rzeszy ludu, cisnącej się, żeby go słuchać. Miewał przemowy swoje mąż ten uczony w języku łacińskim, a słowa jego powtarzali ludowi po polsku przytomni tym porywającym kazaniom księża miejscowi. Owoż już w pierwszych dniach bytności tego męża w stolicy tego królestwa powstał pierwszy zawiązek zgromadzenia, które się w Polsce Bernardyńskiem nazwało, a to nie tylko przez pamięć Bernarda św., założyciela poniekąd tego zakonu, ale i z powodu, że pierwszy ich klasztor w Polsce, t. j. stradomski w Krakowie, wtedy właśnie założony przez kardynała Zbigniewa, tego świętego za patrona swego otrzymał. Natłok do przyjęcia sukienki nowego tego zakonu wtedy był taki, że nim jeszcze opuścił Kapistran Kraków, liczyło to zwolennictwo już do 130 ludzi, w znacznej części należących do intelligencyi miejscowej, nawet pochodzących z korporacyi uniwersyteckiej i już posiadających stopnie akademickie. Podobne powodzenie miał ten mowca kościelny i w Wiedniu, gdzie w roku 1453 (przed samym wyjazdem jego do Polski) zapisało się do nowo powstałego tamże klasztoru także około 50 samych studentów akademii tamtejszej.

Świetnemu temu początkowi istnienia Bernardynów odpowiadało i dalsze ich szerzenie się po całej Polsce, szczególniej w przeciągu czasu od 1453 aż do początku następnego stulecia. Już w roku 1468 utworzyła się osobna »polska« bernardyńska prowincya (zrazu bowiem stanowiła ona tylko odłam niemieckiej). Wydała kilku z pomiędzy członków zakonu, których Kościół poczcił nazwą świętych albo błogosławionych (Szymon z Lipnicy † 1482, Jan z Dukli † 1484, Władysław z Gielniowa † 1507). — W XVI w. postępy tego zakonu szły słabiej, nie ustawały jednak i teraz. Odżyły zaś w pełnej sile na nowo z początkiem wieku XVII, a to na ziemi głównie litewsko-ruskiej, gdzie przeciągnęły się w każdym razie aż do środka XVIII wieku.

Oto wykaz znanych mi klasztorów Bernardynów, założonych w całej Polsce jeszcze przed rokiem 1500:

Kraków 1453. Warszawa 1454. Poznań, Kościan, Wschowa 1455. Kobylin w W. Polsce 1459. Tarnów 1459. Lublin i Lwów 1460. Ryga w Inflantach 1463. Przeworsk 1465. Kalisz 1465. Koło 1466. Warta 1468. Łowicz 1468. Wilno 1468. Radom 1468. Kowno 1468. Opatów 1469. Sambor 1474. Tykocin na Litwie 1479. Bydgoszcz 1480. — W czasie bliżej oznaczyć się nie dającym: Konin, Widawa, Brzeziny, Ostrzeszów i Gołańcz, w WPolsce; Dukla, Bochnia, Rzeszów, Jarosław i Przyrów w MPolsce. Grodno 1494. Skąpe 1498. Połock 1498. Lubawa 1502*.

Z całego powyższego opracowania konkluzya zatem taka, że zgromadzenia zakonne, które w epoce wieków średnich bodaj przez pewien, mniej lub więcej przeciągły okres czasu wywierały zna-

---

* W wieku XVI prócz Lubawy przybyły n. p. jeszcze klasztory w Budsławiu na Białej Rusi 1504; w Kazimierzu w W. P. 1514; w Iwiu na Litwie, przed 1538; w Przasnyszu 1587; w Nieświeżu 1594 czy 1598; w Sokalu 1599, i kilka jeszcze może innych, o których nie doszła mnie wiadomość. Fundacye nader liczne z XVII w., głównie w litewskich prowincyach, pomijam jako nienależące do zakresu naszego, odsyłając czytelnika do zestawienia, jakie dał w wspomnianej już wyżej publikacyi swojej Tyszkiewicz.

Była ilość niemała i niewieścich klasztorów: Poznań 1472 i drugi 1595; Wilno 1495 i drugi 1594; Przasnysz 1615; Warszawa 1617; Lublin 1618; Grodno 1620; Kowno 1634; Słonim 1645, i t. d.

czniejszy wpływ na społeczeństwo nasze, zamykają się w obrębie tylko ośmiu w ogóle reguł:

Benedyktyni i Kanonicy Laterańscy, Cystersi — mniej już Premonstratensi; Bożogrobcy, w najwyższym stopniu Dominikanie i Franciszkanie — nakoniec (pod koniec tej epoki) Bernardyni.

Pod względem kolei wiekowej grupują się te zakony w ten sposób, że działanie Benedyktynów i Lateranów pokrywa głównie wiek XI; w XII stuleciu przybywają Cystersi, Premonstratensi i Bożogrobcy. Wszystkie reguły powyższe odbijają od całej reszty późniejszych jakby pewna arystokracya zakonna, a przysądzam im ten charakter przez wzgląd na ich bogate ziemskie wyposażenia, na ich znaczniejszą starożytność, na opacką infułę ich przełożonych, na stosunkową nieludność mniszą w każdym poszczególnym klasztorze, nakoniec i na nieruchliwość pewną w porównaniu z zabiegliwymi, nad miarę zawsze przeludnionymi i z dnia na dzień żyjącymi klasztorami żebraczych, z samej zasady więcej demokratycznych reguł. Te się pojawiają w wieku XIII, a mianowicie nasamprzód Dominikanie, Franciszkanie i Augustyanie; w XIV Paulini i Karmelici, którzy jednak niewiele wtedy jeszcze w Polsce znaczyli; nakoniec w środku XV wieku przybywają wielce wpływowi Bernardyni.

Inne zagęszczone w Polsce zakony, jak Reformaci i Kapucyni, nie mówiąc już nic o przytomnych w pamięci każdemu Jezuitach i Pijarach — miały się pojawić dopiero w XVI, a głównie w XVII stuleciu.

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
2015799